

**Jeden człowiek przeciw barbarzyńcom!**

Opowieść o Ammianie Marcellinusię, który chciał ocalić Rzym dla potomnych...

WOJCIECH  
DUTKA

APOSTATA

LIRA  
WYDAWNICTWO

WOJCIECH  
DUTKA

# APOSTATA

LŃIRA  
WYDAWNICTWO

WARSZAWA 2022

© Copyright by Lira Publishing Sp. z o.o., Warszawa 2022

© Copyright by Wojciech Dutka, 2022

Redaktor inicjujący: Paweł Pokora

Redakcja: Małgorzata Piotrowicz

Korekta: Joanna Dzik

Skład: Klara Perepłyś-Pajak

Projekt okładki: Grzegorz Araszewski/garasz.pl

Zdjęcia na okładce i źródła ilustracji: © arogant,

© kvkirkilov/depositphotos.com, domena publiczna

Zdjęcie autora: © Maciej Zienkiewicz Photography

Producenci wydawniczy:

Anna Laskowska, Magdalena Wójcik, Wojciech Jannasz

Wydawca: Marek Jannasz

Lira Publishing Sp. z o.o.

Wydanie pierwsze

Warszawa 2022






ISBN: 978-83-67388-33-7 (EPUB); 978-83-67388-34-4 (MOBI)

Lira Publishing Sp. z o.o.

al. J.Ch. Szucha 11 lok. 30, 00-580 Warszawa

**L I R A**  
WYDAWNICTWO

[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

Wydawnictwa Lira szukaj też na:     

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej

 **publio**

# Spis treści

Motto

PROLOG

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział I. Cena purpury

Rozdział II. W blasku Mitry

Rozdział III. Ten pierwszy raz

Rozdział IV. Pierwsza krew

Rozdział V. Odmowa

Rozdział VI. Apostoł Gotów

Rozdział VII. Barbaricum

Rozdział VIII. Furie, zaklinam was!

Rozdział IX. Pokuta

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział X. Bunt Sylwana

Rozdział XI. Tajemnica Juliana

Rozdział XII. Słońce Niezwyciężone

Rozdział XIII. Gniew Boży

Rozdział XIV. Czarna twierdza

Rozdział XV. Na łasce króla królów

Rozdział XVI. Negocjator

Rozdział XVII. Kwestia honoru

Rozdział XVIII. Powrót bogów

Rozdział XIX. Piaski Mezopotamii

Rozdział XX. Śmierć jest zaskoczeniem

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział XXI. Nowy, groźny świat

Rozdział XXII. Mistrz i uczeń

Rozdział XXIII. Intryga Fritigerna  
Rozdział XXIV. Ślepcy  
Rozdział XXV. Adrianopol znaczy śmierć  
Rozdział XXVI. Dar Boga  
Rozdział XXVII. Manichejczyk  
Rozdział XXVIII. Ostatnia olimpiada  
Rozdział XXIX. Bitwa nad rzeką lodu  
Rozdział XXX. Finis historiae

EPILOG

Przypisy

*Już jako dziecko miałem przykazane  
modlić się do kalectwa i brzydoty,  
gdy na cokołach dawnych bogów  
poustawiano malowane kukły,  
figury świętych o twarzach gipsowych  
wykoślawionych męką ujawnioną.  
Czyż miałem tracić moje lata młode  
w mrocznym przedsionku zamkniętej świątyni,  
wyrzec się światła nie mając pewności,  
co nam przyniesie śmierć i byt nieziemski?  
Czy może wybrać niepohamowaną  
żądzę rozkoszy, która smutek budzi?  
Wybrałem los żołnierza. Wasz los. Bowiem  
męska to sprawa walczyć z nieprawością.  
Bronić honoru. Zbrodnia nie nazwana  
jest jak trucizna utajona w winie.  
Któż to ma czelność zwać mnie odszczepieńcem?  
Kto tu jest zdrajcą, kto pozostał wierny?*

*Antoni Słonimski Odszczepieniec*

# PROLOG

## *PONT, GDZIEŚ NAD MORZEM CZARNYM, ZIMA 405 ROKU*

Od Morza Czarnego, które Grecy nazywali Pontos Euxeinos, dmuchał nieprzyjemny wiatr. Starzec, choć okryty ciepłym pledem, drżał jednak z zimna. Był teraz wygnańcem, gdzieś na krańcu wschodniego cesarstwa. Za jego życia wielkie imperium rzymskie rozpadło się na dwie części – które już od dłuższego czasu nie rozumiały się nawzajem. Rzymianie nie uczyli się greckiego, a Grecy łaciny. Dwa światy dryfowały w przeciwne strony. Starzec rozmyślał, że może to nie koniec, tylko coś nowego? Może barbarzyńcy pozwolą żyć jak dawniej? Nie, nie było już złudzeń. Dawny świat pogrążył się w mroku z powodu grzechów pogan, ich rozwiązłości, oddawania kultu demonom: nagim postaciom pełnym lubieżności. Taka była oficjalna wykładnia. Nie można było wątpić. On musiał w to wierzyć. Choć pamiętał ów świat ze swoich młodzieńczych lat – migoczący, kolorowy, pełen intelektualnej pasji w szkołach filozoficznych. Po chwili jednak owo świetliste wspomnienie odeszło. Skarcił się w duchu.

Stary człowiek miał poczucie całkowitej klęski. Przed dwoma laty cesarzowa Eudoksja, żona ograniczonego intelektualnie, miernego i nad wyraz pysznego cesarza Arkadiusza, doprowadziła do wygnania go z Konstantynopola<sup>[1]</sup>. Całe życie oddał Bogu – niepojętej i transcendentnej sile objawionej w Chrystusie. Jemu służył. Jego wiara była jak skała, której niestraszne żadna burza, żaden sztorm, żadna herezja. W oczach

współczesnych uchodził za świętobliwego męża, złotoustego – Chryzostoma<sup>[2]</sup>. Piętnował ludzkie żądze – rozwiązłość, pychę, głupotę, nawet u samego cesarza. Aż upokorzyła go kobieta, ta grzeszna istota, uczyniona z żebra Adamowego. Skazała go na wygnanie. Pierwsze tygodnie pod strażą cesarskich żołnierzy były jak więzienie, ale z czasem starzec zaczął się przyzwyczajać, że nie zobaczy już swego drugiego Rzymu – Konstantynopola. Umrze tutaj, na krańcu świata. Za plecami wznosiły się Góry Pontyjskie, a przed nim majaczyła wielka otchłań morza, o tej porze roku nad wyraz zimnego, pieniającego się ciemną wodą i chłoszczącego kamieniste plaże spienionymi falami.

W tej samotni Jan Chryzostom zaczął robić rachunek sumienia. Gdzie zgrzeszył? Czy wszystkim przebaczył? Czy przyoblekł się już w swego Pana, który nigdy nie dopuścił się grzechu? Czy to odosobnienie, pozbawienie go urzędów, złotych ornatów, darów, czołobitności wiernych stanowi jego małą Golgotę? Czy jest gotów zawisnąć na krzyżu ze swoim Panem? Na tym krańcu świata przed oczyma duszy starego Jana Chryzostoma stanął grzech, którego dopuścił się świadomie i z pełną premedytacją wiele lat wcześniej. Odkąd się przekonał, co zrobił, sumienie paliło go jak rozżarzony do czerwoności pogrzebacz w dłoni. Wiedział, że jego grzech był też grzechem wobec kultury umierającego powoli świata Zachodu. Robiąc ów rachunek sumienia, zdał sobie sprawę, że do najbliższego miasta, czyli Trapezuntu<sup>[3]</sup>, cesarskiej kolonii w Poncie, jest wiele mil przez góry. Nie dam rady dojść do kościoła, żeby się wyspowiadać – pomyślał Jan Chryzostom.

Biskup wygnaniec uklęknął więc nad urwiskiem nad brzegiem morza, które w jego wyobraźni stało się otchłanią, niewypowiedzianym kosmosem, w którym mieszkało Słowo – Logos, Chrystus. I zaczął się spowiadać w stronę bezdennej studni czasu, w której zamieszkiwał Elohim<sup>[4]</sup> – Pan Zastępów.

– Wyznaję, że ja, Jan Chryzostom, biskup Konstantynopola i z woli Boga patriarcha tego miasta, zgrzeszyłem ciężko, wydając wyrok na książkę mojego przyjaciela, mojego nauczyciela, który uczył mnie tego, co piękne



i dobre, Ammiana Marcellinusa. Wyznaję, że z zazdrości i zawiści, wiedząc, że mój przyjaciel jest wciąż upartym, nieczystym poganinem, napisałem do cesarza Teodozjusza, aby specjalna komisja cesarska miłościwie panującego zniszczyła jego książkę, której poświęcił dwadzieścia lat życia.

Zdawało się starcowi, że Bóg mu odpowie. Tyle razy szeptał mu do ucha wszystkie te porywające kazania, szczególnie przeciwko wszetecznym Żydom, którzy wydali i zdradzili Pana. Teraz został sam w swojej pokucie, łamiącej mu serce. Po chwili powiedział do morza, które stało się dla niego obrazem groźnej, nieokiełznanej wieczności, nieskończonej woli Bożej:

– Twoje milczenie jest karą za moją pychę. Tak, lubiłem kazania. Lubiłem potępiać, smagać grzeszników, dawać moralne nauki, ale nade wszystko lubiłem władzę. Lubiłem, gdy słudzy ubierali mnie w ornaty kapiące od złota i gdy księża mnie wielbili.

Zapłakał nad swoim przyjacielem, którego zdradził.

– Gdybyś się ochrzcił, uratowałbym cię! – krzyknął, ale nikt go nie słyszał. – Gdybyś tylko był chrześcijaninem!

Jan Chryzostom, wielki patriarcha Konstantynopola, teraz wygnaniec, schował się do wnętrza swojej przytulnej i ciepłej chaty. Miał kilka kóz, które dawały mu codziennie mleko. Żołnierze z Trapezuntu raz na tydzień przywozili mu chleb. Wodę pił ze strumienia.

Był zmęczony. Na stole stał dzbanek mleka z porannego udoju. Napił się pożywnego płynu. I w tej chwili wyczuł, że w chacie jest jeszcze ktoś. Choć nie było go widać, Jan wiedział, że jego przyjaciel przyszedł do niego.

– Dlaczego się nie ochrzciłeś?!!

Wcale nie spodziewał się odpowiedzi. Ale po chwili cisza chaty zaczęła układać się w jego umyśle w litery, rozpoznawalne kształty mające swoje znaczenie i logikę. Jan Chryzostom wyciągnął czyste zwoje papirusowe, które pozwolono mu zabrać – na wypadek gdyby chciał do kogoś raz na pół roku napisać list. Oczywiście musiałby on przejść przez cesarską cenzurę. Starzec szybko poszukał inkaustu. Znalazł buteleczkę. Pióra też się znalazły.

– Mów, opowiedz mi swoje życie. – Jan Chryzostom wypowiedział te słowa i zamknął oczy.

Gdy je otworzył, zobaczył przed sobą wyraźnie w świetle zachodzącego słońca postać wywołanego jak Tejrezjasz przez Odysa z zaświatów – Ammiana Marcellinusa.

– Tylko nie patrz na mnie tak tryumfująco, nie lubię tego – powiedział do zjawy, a może wytworu jego własnego umysłu, czego nie mógł być pewny.

– Nie patrzę tryumfująco.

– A jak?

– Lituję się nad tobą – rzekła zjawa.

– Lituj się nad sobą! Przypominam, że jesteś nieochrzczony. Trafisz do piekła. Co ja mówię? Ty na pewno jesteś w piekle!

– Gdybym chciał zrobić ci złośliwość, powiedziałbym, że istnieje raj dla dobrych i moralnych pogan, jak nas nazywaliście. I że jest mi bardzo wygodnie, z Homerem, Augustem, Markiem Aureliuszem, Horacym i Arystotelesem. Wszyscy tu jesteśmy w miarę szczęśliwi. Na tyle, na ile pozwala stan bez ciała. Zostały nam tylko przyjemności intelektualne.

– Nie drażnij mnie. Wiesz, że to doprowadza mnie do pasji! Jesteś potępiony, bo kto nie przyjmuje nauki Chrystusa, musi być potępiony na wieki!

– Wybacz – odezwała się zjawa. – Mam ci opowiedzieć moje życie? Takie, jakie było naprawdę? – zapytał duch Ammiana Marcellinusa.

– Tak, proszę.

– Dobrze, oto moja opowieść...

# CZEŚĆ PIERWSZA

## ROZDZIAŁ I

### *Cena purpury*

#### *KONSTANTYNOPOL, MAJ 337 ROKU*

Cesarz Konstantyn, ten, który dał chrześcijanom edykt mediolański, uznający ich religię za dozwoloną – *religio licita*, nigdy nie lubił Rzymu, jego gwaru, ale też wysublimowanej, elitarnej kultury intelektualnej. Umiłował miasto, któremu nadał swoje imię – Konstantynopol. Rozbudował dawną kolonię zwaną Bizancjum do niebotycznych rozmiarów. Wszystko w nowej stolicy miało być większe i potężniejsze – senat, *circus maximus*, kuria i wielkie kościoły zwiastujące Rzymowi i światu nową religię, która jako pierwsza miała być religią miłości, przebaczenia i pokoju. Setnik Aureliusz Marcellinus kończył właśnie w maju tego roku swoją trzydziestoletnią służbę w armii. Gdy zaczynał karierę w wojsku, panował Dioklecjan, Grek, człowiek nad wyraz bezlitosny, ale rozumiejący, że chwała republiki i marzenia o niej dawno przeminęły. Cesarstwo nie przypominało już świata jednoczącego, asymilującego, wielbiącego wzorce greckie i rzymskie, zarówno w sztuce, jak i w kulturze, ale państwo przeniknięte strachem i drżące o to, ile lat życia mu zostało.

Do imperium zakradł się strach. Nie tylko chrześcijanie wyczuwali ten stan rzeczy, przypisując pojawienie się strachu działaniu Złego, czyli

Szatana, którego na krzyżu miał pokonać Chrystus. Strach wpełzał do miast, które zamykały się potężnymi murami, do rzymskich rodzin, których synowie coraz rzadziej chcieli iść do wojska, wpełzał do kościołów, którymi targała nowa interpretacja chrześcijaństwa autorstwa prezbitera z Aleksandrii, Ariusza. Strach, który nie miał jeszcze imienia ani twarzy, ale wyznaczał rytm życia. Ten strach wzmagął obawy przed obcymi – barbarzyńcami, przeważnie germańskiego pochodzenia.

Aureliusz Marcellinus był steranym wojnami żołnierzem, ale wiedział, że w rodzinnej Antiochii czekają na niego żona i syn. Czekał na wydanie przez kancelarię cesarską oficjalnego dokumentu – srebrnej płytki<sup>[5]</sup>, na której wygrawerowane miały być jego imię, miejsce pochodzenia oraz staż w armii cesarskiej. Takich jak on na stare lata przekazywano do nowej stolicy do oddziałów pretoriańskich.

Tego dnia Aureliusz pełnił obowiązki na dziedzińcu pałacu cesarskiego, dokąd wiodła wielotysięczna procesja z ciałem zmarłego cesarza. Konstantyn, zwany przez ulicę i księży chrześcijańskich Wielkim, zmarł 22 maja w swojej wili w Ancyronie niedaleko Nikomedii. Ulica szeptała plotkę, jakoby cesarz, ten, który zwołał sobór nicejski, ustalający na wieki, jak chrześcijanie mają wierzyć i w co mają wierzyć, przyjął chrzest z rąk Euzebiusza z Nikomedii, zaciętego zwolennika Ariusza! Nikt nie wiedział, jaka była prawda.

Prawowierny cesarz umarł zatem jako heretyk. Aureliusz Marcellinus, który był człowiekiem prostym i wychowanym w wierze grecko-rzymskiej, nie obnosił się z tym, że jest wyznawcą dawnych bogów. Widział, jak przed jego oczyma przesuwają się orszak cesarski, jeźdźcy w zbrojach na wspaniałych rumakach, niosący długie włócznie, do których niczym zjawy przyczepione były różnokolorowe smoki uszyte z importowanego z Chin jedwabiu. Dawnym zwyczajem w pochodzie na początku szły płaczki, zamówione ponoć aż z Efezu, które krzykiem oznajmiały wielkiemu miastu, że słońce zgasło. Oficer, stojąc na straży, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że człowiek, który zamordował syna i żonę, już teraz niesiony jest jak święty. I że z pewnością biskupi, których trzymał

pod swoim purpurowym butem, szybko uczynią z niego świętego. Ciało Konstantyna, zabalsamowane niczym ciało egipskiego faraona, niesione było na tarczach przez setkę żołnierzy, którzy poruszali się do przodu – krok za krokiem, w rytm werbli i płaczek.

– Ile złota poszło na tę trumnę? – zapytał Aureliusza stojący obok żołnierz.

Oficer popatrzył na podwładnego.

– Cały nasz żołąd.

– Czyli ile, centurionie?

– Myślę, że sto po sto tysięcy solidów<sup>[6]</sup>.

Z pewnością prosty żołnierz nie umiał sobie wyobrazić tak wielkiej liczby. Przerastała go. Aureliusz przez całe swe życie w wojsku prowadził zapiski – gdzie był, co zobaczył, ale niewątpliwie pogrzeb cesarza przewyższał swym rozmachem wszystkie inne widowiska.

– Ciekawe, czy jego grzechy zniknęły wraz z chrztem – powiedział z trudno maskowanym przekąsem, co nie uszło uwadze młodego żołnierza, chrześcijanina.

– Nie powinniście, setniku, tak drwić z obrzędu świętego – rzekł ów młodzieniec. – Ja marzę, by ochrzcić się jak cesarz. Gdybym dotknął trumny cesarza, na pewno anioły Boże zaniósłoby mi cząstkę łaski, jaką Bóg obdarzy tego świętego męża w niebie.

Cóż miał na to rzec Aureliusz Marcellinus? Co można powiedzieć na tak żarliwą wiarę, bezkrytyczną i naiwną? Chrześcijanie przyjmowali każdą pogłoskę o cudach, nawet jeśli dwieście lat temu owe cuda miała czynić Artemida w Efezie. Teraz przypisywano je świętym chrześcijańskim lub samemu Jezusowi, który w Efezie nigdy przecież nie był.

– Miał się ochrzcić jak Chrystus, w Jordanie – powiedział Aureliusz Marcellinus, który miał świadomość specyfiki nowej religii, choć sam trzymał się starej.

– Ale Bóg potrzebował go u siebie, by dowodził zastępami aniołów – oznajmił bezmyślnie młody żołnierz.

Aureliusz nic na to nie odrzekł. Nie było sensu kontynuować rozmowy. Ten człowiek wierzył. Aureliusz Marcellinus szanował swoich podwładnych, nawet gdy nie podzielał ich wiary.

\*

Nie dostawali żołdu od trzech miesięcy. Budowa nowej stolicy kosztowała fortunę, choć ogrom miasta przyciągał mnóstwo ludzi szukających zatrudnienia z całej Azji Mniejszej, Kapadocji, Pamfilii, Cylicji, Grecji, wybrzeża Morza Czarnego, do którego wiodły ciemne wody Bosforu. Stary żołnierz brał udział w bitwie przy moście Mulwijskim przed wieloma laty, kiedy Rzymianie zabijali Rzymian. Była to bitwa, w której Konstantyn sięgnął po władzę nad Rzymem. Uczestniczył w niezliczonych kampaniach zmarłego cesarza przeciw Alemanom, Sarmatom, Wandalom nad Renem i Dunajem. Wiedział coś, o czym młody chrześcijański rekrut nie miał pojęcia. Gdy imperium podzielił Dioklecjan, postanowiono, że będzie nim rządzić dwóch augustów i dwóch cesarów<sup>[7]</sup>, rezydujących w czterech stronach świata – w Trewirze nad Renem, Rzymie, Nikomedii i Antiochii, ale system tetrarchii się nie sprawdził. Władzę jedyną i ostateczną zdobył syn Konstancjusza Chlorusa, namiestnika Brytanii i potem cesarza, Konstantyn. Ile krwi przy tym przelał, jeden Bóg wie. Lub bogowie. Stary żołnierz wiedział, że zmarły zostawiał imperium w rękach trzech synów, którzy śmiertelnie się nienawidzili. Byli to Konstantyn II, który jeszcze nie wiedział o śmierci ojca, ponieważ przebywał daleko na zachodzie, Konstans, żarliwy chrześcijanin, złamany swoim własnym cierpieniem, i Konstancjusz II, który imię i charakter dostał po dziadku. Aureliusz miał świadomość, że wojna domowa jest pewna, bo żaden z braci nie będzie chciał być mniejszym od pozostałych, żaden nie odpuści, żaden nie poświęci ambicji dla dobra państwa. Z tym większym niepokojem, patrząc na ten pogrzeb, myślał o swoim odejściu z wojska. Żeby tylko zdążył, zanim wezmą się za łby – pomyślał.

Spojrzał w kierunku kościoła Świętych Apostołów<sup>[8]</sup>. Tam miał spocząć Konstantyn Wielki jako trzynasty apostoł – wśród dwunastu porfirowych sarkofagów przeznaczonych na doczesne szczątki dwunastu uczniów Chrystusa. Aureliusz Marcellinus dobrze rozumiał, co znaczyło hasło zmarłego: jedna wiara, jeden cesarz, jedno imperium. Konstantyn miał zastąpić Judasza. Pomyślał, że cesarzowi to się należy, bez względu na to, co uczynił. Imperium było wciąż potęgą, a Chrystus Pantokrator wydawał się spoglądać z fresku w kościele z wyrozumiałością na to pośmiertne wywyższenie swojego sługi.

\*

## *KONSTANTYNOPOL, LATO 337 ROKU*

Miłujący syn cesarza Konstancjusz II przybył nad Bosfor kilkanaście dni później, gdy zabalsamowane ciało zmarłego spoczywało już w złotej trumnie w grobowcu. Podobno to on najbardziej przypominał ojca. Był wysoki, mawiano na dworze, że nad wyraz przystojny, ale owa uroda miała w sobie coś drapieżnego – jak piękny bywa w locie krogulec, zanim nie zatopi szponów w gołębiu. Konstancjusz przybył na dwór z liczną świtą oficerów wschodniej armii, ale stary wiarus Aureliusz podejrzewał, że musi to służyć czemuś innemu. Jego przypuszczenia miały się potwierdzić, gdy nocną wartę objął młody żołnierz, chrześcijanin, który marzył podczas pogrzebu Konstantyna, aby ochrzcić się jak cesarz. Teraz młody człowiek przyniósł jeszcze większe rewelacje.

- Cesarza otruto – rzekł poważnie.
- Co to znów za bzdury?
- To nie są bzdury. Przecież widziałem!
- Co widziałeś?

Młody żołnierz opowiedział zatem o tym, czego stał się świadkiem w kościele Świętych Apostołów. Poszedł tam pomodlić się przy trumnie władcy, spoczywającego jako Apostoł Pański, gdy zauważył, że do kościoła

zaczęli przybywać masowo oficerowie Konstancjusza II. Przybył też on sam, w świetnej kolczudze, srebrzącej się w świetle wielkich świeczników. Żołnierz zauważył, że syn cesarza, nad wyraz skupiony, podszedł do trumny i kazał podnieść wieko, ciężkie jak diabli. Gdy tego dokonano, wyjął ze zmumifikowanej ręki ojca pergamin, który następnie oddał świcie. Podniosły się krzyki oburzenia, gdy odczytano treść.

– Co tam było napisane?

– *To ich dzieło*. Tak było podobno napisane – oznajmił żołnierz. – Tak mówili w kościele!

Aureliusz Marcellinus spostrzegł, że strach przeniknął tego młodego człowieka, którego polubił. Stary wiarus zastanowił się, co się stało w kościele. Doświadczenia długiej służby dla Konstantyna w wielu krainach podpowiadały mu, że ze wszystkich cesarów on utrzymał się przy władzy, bo był najbardziej bezwzględny. Jego synowie byli tacy sami. Byli synami swego ojca.

– Jak masz na imię?

– Marcin.

– Więc słuchaj mnie, Marcinie. Bez względu na to, co się stanie, nie odstępuj mnie.

Faktycznie – w nocy przyszły rozkazy od Konstancjusza, aby żołnierze zajęli przestrzeń wokół pałacu. Aureliusz Marcellinus nie wiedział, jaki jest tego cel, ale był pełen jak najgorszych obaw.

\*

Rodzina cesarska tak rzadko miała okazję być razem. A przecież nie ma to jak rodzina, do tego chrześcijańska i kochająca się. Konstancjusz II nie żałował na tej uczcie niczego. Ani wina – najlepszego, z Syrii – ani doskonale opłaconych muzyków, ani świetnego jedzenia w ilościach, które zawstydzają księży. Podano najlepsze ryby z Propontydy<sup>[9]</sup>, pieczone i nadziewane suszonymi owocami, nie zabrakło ani sosu *garum*<sup>[10]</sup>, który dziś smakował Rzymianom tak jak w czasach Augusta, ani nadziewanych



głuszców z lasów na północ od wielkiego miasta, ani słodkich ciastek z miodem czy świńskich cynaderków nadziewanych grzybami ulubionymi przez Rzymian – muchomorami cesarskimi, *Amanita caesarea*. Konstancjusz II szczególnie przepadał za tym daniem. Świńskie wymię było myte, gotowane w winie z ziołami, a po wystudzeniu faszerowane posiekanymi i podduszonymi z szalotką muchomorami. Jadano je na zimno. Tego wieczoru Konstancjusz II w purpurowej szacie smakował danie na posrebrzonym talerzu.

Byli wszyscy – nareszcie! Brat przyrodni ojca, Dalmacjusz, i jego dwaj synowie Dalmacjusz Młodszy i Hannibalian, młody człowiek skory do śpiewu, radosny i wesoły, choć posępny Konstancjusz II szczególnie nie lubił, że jego imię wywodziło się od Hannibala Barkasa, co było dla niego dowodem wygórowanych ambicji ojca chłopaka, a brata cesarskiego. Po prawej, kłócąc się o coś z kuzynem Nepocjanem, siedział Juliusz Konstancjusz, kolejny brat zmarłego cesarza. Konstancjusz II, przełknąwszy kęs wybornego dania, zauważył, że nie ma synów Juliusza Konstancjusza, Gallusa i Juliana. Pierwszy z nich był głupkiem, który przyprawił niejedną dwórkę o bachora, a drugi syn – gruby, milczący, jak gdyby opóźniony, mrużący wiecznie oczy – głądził coś o filozofii, którą wciąż studiował. Konstancjusz II był ponurym człowiekiem i nie uważał, że studiowanie filozofii może przynieść człowiekowi jakikolwiek pożytek.

– Gdzie twoi synowie? – zapytał wuja.

Musiał powtórzyć, bo gwar uczt i muzyka zagłuszały wszystko.

– Wybacz, dostojny cesarzu. – Juliusz Konstancjusz nie śmiał mówić inaczej do bratanka. – Julian dziś jest wyraźnie niedysponowany. Brat postanowił mu towarzyszyć.

Konstancjusz II zmarszczył brwi.

– To szkoda, straciłem okazję, by go zobaczyć.

– Nic straconego. Gdy syn poczuje się lepiej, złoży ci wizytę, za twoim pozwoleniem.

Jeszcze czego – pomyślał Konstancjusz II – żebym musiał znosić jego błazeńską twarz. Zawsze gdy ktoś zadawał mu pytanie, młodzieniec ów

mrużył oczy i trwało trochę, zanim udzielił odpowiedzi. Jednak nie tylko tym drażnił Konstancjusza II. Cesarz obawiał się, czy jego dzieci, spłodzone w związku z Julią Konstancją, siostrą Juliana i Gallusa, którą musiał poślubić z rozkazu zmarłego ojca, Konstantyna Wielkiego, też okażą się takie jak ten dziwak. Niezależnie od tych rozważań Konstancjusz II już dokonał w swym sercu wyboru. Nie mógł i nie chciał cofnąć się z tej drogi.

Klasnął w dłonie.

– Niespodzianka! – zawołał, choć wszyscy w Konstantynopolu wiedzieli, że nie ma poczucia humoru.

Jednak teraz oczekiwano na to, co przyniosą słudzy. Nagle otwarły się drzwi do komnaty oświetlanej setkami świec umieszczonych na świecznikach. Uczta miała teraz swoje główne danie, jakim była pieczona w całości na rożnie sarna, ułożona na wielkim półmisku. Pieczeń wyglądała tak, jak gdyby sarna na chwilę przysnęła pod krzakiem. Głowę zwierzęcia przyszyto znów do szyi, lecz mięso obłożono pieczonymi gruszkami i jabłkami. Aromat tego dania, swoisty tryumf kucharzy cesarskich, rozniósł się po komnatach pałacu. Kucharz, gruby jak beczka, ostrzył wielkie noże i robił to tak czule, z taką pasją i miłością, że cesarz zapytał:

– Na co tak, mistrzu Cyprianie, ostrzycie te diabelne noże?

– Żeby cięcie sprawiało przyjemność. Nie ma to jak ciąć dla przyjemności samego cięcia.

Taka odpowiedź kucharza wywołała na posępnej twarzy Konstancjusza II grymas, który można było uznać za uśmiech.

– Godne to noże tego dania, jak danie godne jest tych ostrzy – rzekł sentencjonalnie, co miało być dowcipne, ale jakoś dziwnie nikt się nie zaśmiał.

Wzniósł więc złoty puchar pełen doskonałego syryjskiego wina. Rozległy się oklaski i toasty.

– Za rodzinę!

– Za Rzym!

– Za Konstantynopol!

Goście pili chciwie, bo Konstancjusz II miał opinię sknery, liczykropy i mendy, która za nic w świecie nie wydałaby więcej, niż musi. A tutaj taka uczta! Cezar upił wina i nie strząsnął, jak dawniej czynili poganie, oddając cześć bogom olimpijskim, choć nie był też ochrzczony. Jednak po chwili puchar z brzękiem upadł na posadzkę. Był to umówiony sygnał. Mistrz Cyprian, który tak świetnie naostrzył noże, znakomicie też nimi władał. Zamachnął się błyskawicznie i ciął wuja cesarza, Juliusza Konstancjusza, przez szyję. Na szyi mężczyzny pojawiła się pąsowa smuga, która eksplodowała po chwili jak mały gejzer potokiem krwi, wydobywającej się z przeciętej tętnicy w rytm pracy serca. Słudzy obsługujący ucztę dobyli na to noży i rzucili się na domowników cesarza. Rozległy się przekleństwa i krzyki, jednak Konstancjusz II siedział nieporuszony niczym westalka. Patrzył, jak słudzy i strażnicy mordują całą jego rodzinę. Wuja Dalmacjusza, który stawił opór nożem do krojenia mięsa, słudzy Konstancjusza przytrzymali. Odwrócony w stronę cesarza, już wiedział, że rzeź została uzgodniona między trzema synami zmarłego Trzynastego Apostoła, pierwszego chrześcijańskiego cesarza.

– Powiedz, że to nie ty!!! – krzyknął w ostatnim przedśmiertnym pytaniu.

Ale Konstancjusz II nie odpowiedział. Skinął głową, a mistrz Cyprian rozciął brzuch Dalmacjusza, jak gdyby otwierał wielką rybę do patroszenia. Syn Dalmacjusza, o takim samym imieniu, zginął od ciosu toporkiem do rozbijania kości. Narzędzie wbite mu w potylicę z taką siłą, że chłopak pochylił się w stronę talerza i jego twarz unurzała się w sosie *garum*. Kuzyna cesarskiego Hannibaliana zabito szpikulcem do mięsa. Jakiś żołnierz Konstancjusza wbił mu go w oko. Cezar dał znak ręką, żeby jego ludzie szybko poszli do sąsiedniego pałacu i zabili Gallusa i Juliana. Mieli to zrobić szybko. Jednak wrzawa podniosła się już w całym pałacu. Przekupieni klakierzy roznosili wieść, że próbowano na ucztę zamordować cesarza, ale bogoboyny i sprawiedliwy Konstancjusz sam wymierzył zdradzieckiej rodzinie sprawiedliwość. Zbrodni nie można było ukryć, ale

można było odwrócić jej znaczenie. Całej rzezi, starannie zaplanowanej, Konstancjusz II przyglądał się ze spokojem.

– Mistrzu Cyprianie, ukrój mi, proszę, mięsa sarny. Zgłodniałem jakoś po tym winie.

– Ale, cesarze, noże są czerwone od krwi twego wuja.

– Tym bardziej powinieneś ukroić dla mnie pieczeni. W ten sposób zostanie ona uświęcona krwią szlachetnego mojego powinowatego. Wuj nie miałby nic przeciw temu. Jestem tego pewny.

Mistrz Cyprian uciął więc kawałek sarniny, całkiem spory, dobrze wypieczony. I podał ów comber na srebrnym talerzu, po czym pokropił go cytronem. Konstancjusz jadł więc kolację wśród trupów rodziny. Przeżuwał mięso powoli, po czym powiedział do mistrza Cypriana:

– Przepysznie, naprawdę doskonała pieczeń. Skosztuj sam tego dzieła, bo dzieło – tutaj cesarz wskazał ręką po trupach rodziny Konstantyna – jest godne tego wieczoru, a wieczór godzin jest ciebie. Zbierzcie ich do trumien alabastrowych przygotowanych w sali audiencyjnej.

– Czy trzeba ich przebrać do pogrzebu?

– Oczywiście, że nie – odparł Konstancjusz II. – Ubrali się świetnie, napili się i pojedli równie udanie, a teraz czeka ich cudny pogrzeb. Zakosztowali strawy ziemskiej, a teraz niech zakosztują chwały Bożej. Niech księża śpiewają już litanie w kaplicy.

Konstancjusz II wstał od stołu. Starannie sprawdził, czy na jego purpurowej szacie nie ma śladów krwi. Uradowany, umył ręce w podanej mu przez służącego misie z wodą. Westchnął. Ile krwi trzeba przelać dla tej purpury... Byle tylko się ową krwią nie ubrudzić.

– Chrząst gładzi wszystkie grzechy – powiedział do siebie, jak gdyby chcąc się ostatecznie usprawiedliwić, i pomyślał o ojcu, o tym bezlitosnym człowieku, który zamordował mu matkę.

Konstancjusz II kochał w życiu tylko matkę. Jeśli jego serce miało kiedyś jakiegokolwiek uczucia dla ludzi na tym bożym świecie, zanikły one w chwili, kiedy ojciec, cesarz Konstantyn, kazał zamknąć Faustę, matkę swych trzech synów, w łaźni i stopniowo podgrzewać wewnątrz. Jej jęki

słyszeli w pałacu wszyscy i nikt nie pomógł. Konstancjusz pamiętał tylko to, że krzyczał, ale przed chwyceniem za miecz powstrzymali go jego dwaj bracia – Konstantyn II i Konstans. Matka musiała umrzeć, ponieważ oskarżyła fałszywie pierworodnego syna cesarza z pierwszego małżeństwa, Kryspusa, który miał już tytuł cezara. Zasugerowała, że Kryspus ją zmusił do współżycia. Ale ponoć było odwrotnie – to Fausta chciała go uwieść. Jednak Konstancjusz nigdy nie wierzył, że matka mogła być zdolna do czegoś takiego. Najwyraźniej chciała skompromitować pierworodnego, żeby zrobić miejsce dla własnych synów, ale jej oskarżenia przyniosły efekt najgorszy. Konstantyn skazał Kryspusa na śmierć przez ścięcie. Wyrok wykonano. Gdy cesarz zrozumiał, że to wszystko była intryga Fausty, przygotował jej śmierć najgorszą z możliwych. Ugotowała się żywcem w saunie. Po tym zdarzeniu jakiegokolwiek uczucia względem rodzaju ludzkiego zniknęły z serca Konstancjusza. Nigdy już się nie zaśmiał, nigdy nie poszedł do teatru na sprośną sztukę, nigdy nie okazał nikomu żadnego sentymentu. W pewnym sensie wymordowanie rodziny, które odbyło się za cichą zgodą jego braci, było konsekwencją tamtego mordu. Stare grzechy rodzą nowe, równie potworne i złowrogie.

\*

Aureliusz Marcellinus obudził młodego żołnierza, Marcina, nagłym szturchnięciem.

– Wstawaj! – rzekł wzburzony.

– Co się stało?

– W pałacu cesarskim na rozkaz Konstancjusza zamordowano braci, kuzynów cesarskich. Szybko wstawaj, musisz natychmiast poprowadzić Juliana i Gallusa, synów Juliusza Konstancjusza, do biskupa Euzebiusza z Nikomedii, rozumiesz?

– Ten biskup to arianin!

– Szlag mnie trafi z waszymi chrześcijańskimi awanturami! Musisz ocalić braci.

– Tak, oczywiście.

Młody Marcin szybko się ubrał. Spał w spodniach i tunice, na którą szybko można było narzucić kolczugę, związać pasem i iść wykonać zadanie.

Wszyscy w pałacu mówili już o masakrze. Marcin i Aureliusz Marcellinus spieszyli się. Stary żołnierz znał obu braci. Jako bezpośrednio odpowiedzialny za ich ochronę za życia Konstantyna wiedział, że w razie zagrożenia młody Julian chował się w komórcie dla służącej. Chłopak był bardzo zdolny, ale miał opinię dziwaka stroniącego od wesołych zabaw charakterystycznych dla jego wieku. Gdy ktoś na niego krzyczał, zamykał się w sobie i szukał pociechy przed zmartwieniami świata w nasłuchiwanie ptaków lub niewolników grających na cytrze.

Szczęśliwie udało się znaleźć obu braci na drzemce. Faktycznie – Julian nie czuł się tego dnia najlepiej, dlatego ojciec Juliusz Konstancjusz pozwolił mu zostać w zajmowanym przez nich podczas wizyty w stolicy pałacyku. Żołnierze nie pozwolili im zabrać niczego. Aureliusz Marcellinus posłał przodem Marcina, aby ten szybko powiadomił biskupa Euzebiusza z Nikomedii, co się stało w pałacu i co grozi obydwu młodym książętom. Biskup nie wahał się ani przez chwilę i obydwu udzielił natychmiastowego azylu.

Kościół pod wezwaniem Świętych Apostołów był wysokim budynkiem, otoczonym z czterech stron portykami, z dachem pokrytym złotem. Wzorowany na wcześniejszych rzymskich budowlach zwanych bazylikami<sup>[11]</sup>, we wnętrzu miał jedną nawę i kolumny doryckie po obu stronach. U ołtarza zaś umieszczono sarkofag cesarza Konstantyna i symboliczne groby apostołów. Tam obydwaj chłopcy przyklękli, a biskup, przerażony tym, co się działo w Konstantynopolu, nerwowo przechadzał się po nawie głównej. Rzeczywiście – nie trzeba było długo czekać na przybycie siepaczy Konstancjusza. Byli to, jak się okazało, najemni germańscy żołnierze z jednej z auxilii<sup>[12]</sup>. Przewodził nimi jakiś oficer Konstancjusza.

– Do kościoła świętego wchodzicie z mieczami? – zapytał oficera biskup Euzebiusz.

– Mam rozkaz cesarza do wykonania.

Oficer spojrział na obu chłopców, przerażonych i wpatrujących się w biskupa jak w Boga, mogącego przynieść im ocalenie lub zgubę. Wystarczy, że sługa Boży tylko na chwilę złamie swoją wolę, okaże słabość charakteru.

– Tutaj obowiązują rozkazy Boga, nie cesarza – odparł Euzebiusz. – To ja ochrzciłem świętego cesarza Konstantyna. A wy chcecie zbrukać krwią jego krewnych to święte miejsce? Nie pozwalam!!!

Wówczas oficer rzekł Germanom w ich języku kilka ochryple brzmiących zdań. Aureliusz Marcellinus trochę rozumiał język gocki i zorientował się, że oficer wskazał na biskupa jako na czarownika, który ma wielką moc. Germanie, jako ludzie zabobonni i poganie, zlekli się więc, że weszli z mieczami do miejsca spoczynku wielkiego cesarza, który nie raz i nie dwa razy tego łoił im skórę w kampaniach nad Renem i Dunajem. Chłopcy zrozumieli chyba też, że niebezpieczeństwo minęło, jakkolwiek było potężne, choć do obu chyba nie dotarła jeszcze świadomość tego, co się stało. Stary żołnierz pomyślał, że jeśli jest prawdą, że Konstancjusz II sprzyjał arianom, nie odważy się na konflikt z biskupem, który mógłby narobić mu ogromnych kłopotów. Nie na darmo Konstantyn, uznając chrześcijaństwo, oparł się na biskupach, którzy – posłuszni jego woli – stawali się drugą podporą imperium, oprócz armii na limesach<sup>[13]</sup>. Konstantyn, dopuszczając chrześcijaństwo do współrządzenia państwem, zmienił Rzym na zawsze.

\*

Zasada Konstantyna: jedno imperium, jedna wiara i jeden cesarz, została jednak zachwiana przez jego synów, którzy we wrześniu 337 roku spotkali się w Sirmium nad Sawą<sup>[14]</sup>, w wielkim obozie wojskowym. Stary wiarus Aureliusz Marcellinus musiał w tym uczestniczyć, choć miał szczerze dość rodziny panującej, atmosfery wszędobylskiej podejrzliwości oraz ich obrzydliwych zbrodni. Gdy jednak zobaczył po raz pierwszy synów cesarza

razem, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ci trzej, z których najstarszy, najbardziej poważny i najbardziej skryty był Konstancjusz II, ustalili między sobą masakrę rodziny, której był świadkiem. Wstawiennictwo ariańskiego biskupa sprawiło, że ten bezlitosny człowiek cofnął się. Gallus i Julian przeżyli i zostali wysłani przez cesarza do szkoły w Antiochii, z dala od dworu i polityki.

Stary żołnierz zauważył, że Konstantyn II wyglądał zupełnie jak jego ojciec z młodych lat, ale Konstans sprawiał wrażenie zagubionego. Ci trzej szybko podzielili się wpływami w całym imperium. Konstantyn II dostał zachód – Hiszpanię, Galię i Brytanię, Konstans – Afrykę, Italię i prowincje bałkańskie, a Konstancjusz II – wschód. Potem wyprawiono ucztę, na której po raz ostatni byli wobec siebie braćmi. Wszyscy trzej przyznali sobie tytuły augustów.

Po uczcie Aureliusz Marcellinus zebrał się na odwagę i poprosił Konstancjusza o audiencję. Wybrał dobry moment – rozumiał już pewne podstawowe mechanizmy władzy. Trzeba prosić, gdy władca jest w dobrym humorze. Miał już dość tej służby, niebezpieczeństwa, a tam w Antiochii, w domu, czekali żona i syn! Konstancjusz popatrzył na swego żołnierza podejrzliwie, pamiętał bowiem świetnie, kto zaprowadził owych dwu niechcianych członków rodziny pod opiekę biskupa Euzebiusza z Nikomedii.

– Czego chcesz? – burknął, ale stary wiarus nie przejął się tonem władcy, który tak miał w zwyczaju mówić do swoich żołnierzy i sług.

– *Domine*, uprzejmie proszę, abys zwolnił mnie ze służby.

– Na jakiej podstawie?

– Służę nieprzerwanie od dwudziestu pięciu lat. Odsłużyłem swoje, widziałem cesarzy nakładających diadem, a potem tych samych władców, których głowy toczyły się po bruku. Służyłem wiernie twojemu ojcu, niech Bóg łaskawie ma go w swej opiece. A teraz proszę, abys, *domine*, pozwolił mi odejść.

Konstancjusz II znał przebieg służby swojego oficera ze *scholae imperatoris*, elitarniej formacji straży przybocznej.



– Ranisz mnie – rzekł. Wcale nie zamierzał pozwolić swemu słudze odejść.

Aureliusz Marcellinus westchnął i powiedział:

– *Domine*, pozwolę sobie powiedzieć coś, czego nie mówiłem ci, ponieważ nie mam w zwyczaju chełpić się tym, czego dokonałem. Stało się to w roku wojny twojego ojca z uzurpatorem Maksencjuszem. Wszyscy wiedzą, że twój ojciec stoczył wtedy chyba najcięższą bitwę w swoim życiu. Nie tylko dlatego, że wojska z Italii zaciekle broniły Rzymu przed armią Renu, która w oczach mieszkańców miasta uchodziła za w połowie barbarzyńską. Tuż przed mostem Mulwijskim schola pretoriańska twojego ojca została otoczona przez wojska Maksencjusza, które bez przerwy wspomagały swoich, przechodząc przez most. Pod twoim ojcem zabito konia i jeden z italskich żołnierzy zamierzył się na niego włócznią. Byłem szybszy, a tamten padł z odciętą ręką.

– Ojciec nigdy nie wspominał mi o tym – zauważył cesarz.

– Zapewne nigdy też nie powiedział ci, jak blisko był klęski tego dnia. Ja pamiętam mnóstwo ciał zabitych żołnierzy twojego ojca. Uratował nas przypadek. Po prostu drewniany most, przez który tysiące zbrojnych Maksencjusza przedostawało się na pole bitwy, zawalił się pod ich ciężarem. Tylko to nas uratowało od niechybnej klęski tego dnia.

– Przecież ojciec miał przed bitwą widzenie Chrystusa, który mu kazał na tarczach wypisać...

– Tak, znamy to wszyscy. Greckie litery X i P, co można zinterpretować jako inicjały imienia Jezusa Chrystusa. Ale ja pamiętam dobrze ów dzień, *domine*, i wiem, że na tarczach mieliśmy znak Mitry, Słońca Niezwycięzonego, którego twój ojciec był wtedy wiernym czcicielem.

– Milcz!!! – krzyknął Konstancjusz II, jak gdyby zląkł się pamięci starego żołnierza, który dobrze wiedział, że kiedyś święty cesarz Konstantyn nie był gorliwym i wiernym chrześcijaninem, ale wyznawał państwowy kult *Sol Invictus*.

Aureliusz Marcellinus zachował powagę, ale w głębi duszy zrozumiał, że Konstancjusz boi się prawdy o ojcu. Mit wielkiego chrześcijańskiego

cesarza Konstantyna miał ją zastąpić. A on stał się bardzo niewygodnym świadkiem.

– Wynoś się!

– Czy otrzymam przynależny mi dokument potwierdzający służbę i odprawę? Za dwadzieścia pięć lat to będzie dwa tysiące pięćset aureusów.

– Weteran postanowił do końca walczyć o swoje.

– Tak, weź, co swoje, i wynoś się.

Aureliusz skłonił się nisko cesarzowi, bo tego wymagała etykieta. Nie mógł tak po prostu odwrócić się plecami do cesarza. Wycofywał się zatem zwrócony do niego przodem, gdy nagle Konstancjusz go wstrzymał.

– Nie wypełniłeś ostatniego zadania.

Aureliusz rozumiał, co to znaczy. Mógł się tego spodziewać. Człowiek, który morduje swoją rodzinę dla władzy, nie zawaha się przecież, by zgładzić jednego starego żołnierza, który śmiał mu przypomnieć, że święty cesarz Konstantyn nie był za życia tak święty. Jednak ten prosty żołnierz w owej chwili miał odwagę osobistą, jak wtedy, gdy przy moście Mulwijskim uratował życie Konstantynowi.

– Rzeczywiście, *domine*, nie wykonałem. Jestem ci winny wyjaśnienie dlaczego.

– O niczym innym teraz nie marzę.

– To proste. Nie wykonałem rozkazu, bo jestem żołnierzem, a nie rzeźnikiem.

Konstancjusz zachowywał się spokojnie, ale wiarus wiedział, że były to tylko pozory – wewnątrz ten człowiek gotował się z wściekłości.

Szkoda stracić życie tak głupio w ostatnim dniu służby – pomyślał Aureliusz Marcellinus. Jednak okrucieństwo Konstancjusza miało też inne, bardziej złośliwe oblicze. O nim sługa miał zaraz się przekonać.

– Masz syna, prawda? – zapytał cesarz.

– Tak, ma siedem lat, mieszka z matką w Antiochii.

– Gdy dorośnie, oddasz syna na służbę w armii cesarskiej – rzekł Konstancjusz, który już wiedział, jaką mógł zadać największą mękę

swojemu słudze. – To jest warunek twojego odejścia ze służby i wypłacenia odprawy.

– A gdy odmówię?

– Syn nigdy nie zobaczy tatusia – odparł zupełnie już rozluźniony Konstancjusz, któremu przyjemność sprawiało postawienie ludzi w niewygodnej sytuacji.

Aureliusz Marcellinus zacisnął pięści. Ale znał mściwość tej rodziny. Wiedział, że Konstancjusz II mu nie odpuści. Dwaj kuzynowie cesarza, którzy mieli być zgładzeni, dalej żyli. Na samą myśl, że jego syn, młody i nieświadomy niczego Ammian, miałby wieść tak samo straszne życie jak on, płakać mu się chciało z wściekłości. Był jednak realistą. Dziś wschodem władał Konstancjusz, a jutro – może ktoś inny. Diadem cesarski jakoś strasznie stracił na wartości w tych czasach. Może bogowie, bo w nich wciąż stary wiarus wierzył, ponieważ uosabiali stare rzymskie wartości, takie jak honor, wierność słowu i poświęcenie dla swojego kraju, może oni okażą chłopcu trochę łaski? Musiał się zgodzić. Wiedział to.

– W takim razie zgadzam się. Mój syn za trzynaście lat wstąpi do armii, na twoją służbę, *domine*.

– Trzymamy cię za słowo. Teraz możesz odejść, bo jesteśmy bardzo łaskawym władcą – rzekł Konstancjusz, który czasem używał wymyślonej przez Konstancyntyna *pluralis maiestatis*, liczby mnogiej zarezerwowanej wyłącznie dla władców, czyli bogów pośród ludzi, tutaj na ziemi.

## ROZDZIAŁ II

### *W blasku Mitry*

#### *ANTIOCHIA, RZYMSKA PROWINCJA SYRIA, 349 ROK*

Libanios, filozof i retor, skończył wykład. Obawiał się, że jego uczniowie w akademii antiocheńskiej nie rozumieją wywodu o hipostazach<sup>[15]</sup>. Jednak miał wyrobionych i znających dobrze neoplatonizm studentów. Nie tylko bez kłopotu odczytali pisma Amoniusza Sakkasa, założyciela kierunku, ale też rozumieli, że wszystko, co istniało, jest emanacją Jedna. Cały wszechświat z niego wypływa, przeistacza się, aby potem po latach do niego powrócić. Ta grupa była wybitna, chyba najlepsza, jaką miał od wielu lat. Popatrzył na nich, jak dyskutowali o *Fajdroście* Platona, jego uczniowie, chrześcijanie – zwłaszcza Grzegorz z Nazjanzu<sup>[16]</sup>, dociekliwy i nieustępliwy interpretator idei platońskiej, pragnący pogodzić ją z chrześcijaństwem, i Bazyli<sup>[17]</sup>, pochodzący z Kapadocji Grek, którego znajomość Arystotelesa dorównywała znajomości Biblii hebrajskiej.

Libanios nie znosił chrześcijaństwa i napisał przeciw niemu wiele pism polemicznych, ale zachowywał niezwykle etycznie starożytną zasadę zawieszenia poglądów, zwaną po grecku *epoché*, której autorem był Pyrron z Elidy. Nakazywała ona zawiesić wyznawane poglądy na czas nauczania w szkole. Chcąc zgłębić jakąś koncepcję filozoficzną, należy odłożyć na bok własne mniemanie – po to, by zbliżyć się do poznawanego fenomenu. Z tego powodu jego chrześcijańscy uczniowie mogli bez obaw do niego przychodzić, bo nigdy by sobie nie pozwolił na krytykowanie czyichś poglądów na wykładzie poświęconym umiłowanemu mądrości. Nosił się na grecki sposób klasyczny – barwiony na indygo himation z odsłoniętym przedramieniem. Brodę miał starannie przyciętą,

namaszczonej najlepszą oliwą i wonnościami, na które nie skąpił paru solidów rocznie.

Jak każdy chyba nauczyciel miał swojego ukochanego ucznia, a był nim syn żołnierza, Ammian Marcellinus, rodowity antiocheńczyk, charakteru zawziętego i nieprzeciętnego intelektu. Libanios poznał po kilku napisanych przez niego tekstach, że to chłopak o niespotykanym talencie narracyjnym. Z tego też powodu podsuwał mu często coś do czytania – a to *Wojnę peloponeską* Tukidydesa, a to *Anabazę* Ksenofonta – by chłopak odnalazł w grece styl właściwy mistrzom. Z filozofii był bardzo dobry, skłaniał się ku delikatnie mistycznemu stoicyzmowi, do którego chyba ostatecznie przekonały go pamiątki Marka Aureliusza, cesarza piszącego po grecku.

Po skończonym wykładzie mistrz zauważył, że Ammian idzie w jego stronę. Patrzył z przyjemnością na chłopaka, wysokiego i wysportowanego jak na syna żołnierza przystało. Nie stać go było na drogi chiton, płaszcz też nie wyglądał na ostatni krzyk mody – wprawdzie antiocheńczycy mieli opinię strojnych wielbicieli uroków życia, ale na wykładach u Libaniosa wszyscy byli równi.

– Mistrzu, zdecydowałem, że jeśli będę pisał o historii, to po łacinie.

A cóż to za dziwactwo! Libanios, znawca klasycznej literatury, ale bezapelacyjnie wielbiciel języka greckiego – jako doskonalszego od łaciny narzędzia opisywania rzeczywistości, przenikania jej trafnością pojęć filozoficznych, metafor, rzeczowników i czasowników wyrażonych w aż dziewięciu formach czasowych – zmieszał się. Łacina, owa naśladowczyni, mowa Rzymian nie mogła się z nią równać. Miała tylko cztery podstawowe formy czasownika!

– Czy możesz mi powiedzieć dlaczego? Czy język grecki, twój język, nie jest dostatecznie mistrzowski? – zapytał prowokacyjnie Libanios i niespodziewanie nadział się na celną kontrę ucznia.

– Zamierzam używać łaciny w sposób tak wyrafinowany, aby nikt nie zapomniał, że jestem przede wszystkim Grekiem – odparł Ammian Marcellinus.

Po lekturze kilku tekstów Ammiana Libanios nie mógł wątpić w jego talent. Ale po łacinie? To już było doprawdy dziwactwo.

– Mało kto na wschodzie rozumie łacinę – rzekł.

– To podstawowy błąd – sparował natychmiast Ammian. – Czy nie widzisz, mistrzu, że my, Grecy i Rzymianie, znów oddalamy się od siebie, podczas gdy to właśnie teraz winniśmy być jak najbliżej? Jedno jest imperium, które jest światłem, mistrzu. Obyśmy nie dożyli czasu, gdy to światło zgaśnie.

Skąd taka dojrzałość u tego młodzieńca o rudawej czuprynie i piegatyach policzkach? Libanios był wrażliwy na piękno i gdyby nie to, że Ammian był jego uczniem, obdarzyłby go uczuciem jak Sokrates młodego Platona.

– Ja na pewno tego nie dożyję – westchnął. – Obyś ty nie musiał być świadkiem końca naszego świata.

– Dziękuję, mistrzu, za ten rok. Teraz egzaminy przed radą starszych akademii.

– Tak, teraz egzaminy. Losujecie imię filozofa na kawałku potłuczonej wazy i bronicie jego teorii przed pytaniami. Potem geometria, łacina i egzamin z *Iliady* i *Odysei* – powiedział mistrz, jak gdyby chciał przypomnieć młodemu człowiekowi powinności. Ale nie musiał, Ammian świetnie się uczył.

Zauważył, że dwu przyjaciół chrześcijan czeka na Ammiana, chcąc zapewne znów przy winie przekabacić go na religię „jedynie prawdziwą”, jak mówili o niej wyznawcy ukrzyżowanego Jezui z Nazaretu.

– Idź do kolegów. Starzec poradzi sobie sam.

Libanios nosił podręczną torbę tkaną z grubego lnu, w której trzymał zwoje papirusowe przeznaczone na wykład. Gdy Ammian oddalał się do kolegów, starzec patrzył na młodzieńca z tęsknotą, która na zawsze miała pozostać niewypowiedziana.

\*

Bazyli z Kapadocji i Grzegorz z Nazjanzu porwali młodego Ammiana do centrum miasta na wino do tawerny, co do której mieli pewność,

że trunek w niej podawany był lokalny i nierozcieńczany. Antiochia była miastem podźwigniętym ze skutków katastrofalnych trzęsień ziemi, ale pamiętała też rany, jakie niedawno, przed kilkudziesięciu niespełna laty, zadali jej Persowie. Handel, rzemiosło, dobre jedzenie i wino znów wróciły na jej tętniące życiem ulice.

– Chcemy cię wreszcie nawrócić – powiedział Bazyli. – Pozwól nam ci udowodnić, uparty poganinie, że to my mamy rację.

– Mój drogi Bazyli – rzekł Ammian przyjacielsko. – Co do prawdy, nie ma wątpliwości, że chrześcijanie posiadli ją w stopniu najwyższym, jednak ja pozostanę przy mojej wierze. Nie dlatego, że Jezus jest gorszy od Mitry, ale ja po prostu, czytając waszą Ewangelię, odnajduję podstawową sprzeczność.

– Jaką? W Ewangelii nie ma błędów! – odparł Bazyli.

– Podstawowym waszym błędem jest wiara, że Bóg, i tu zgadzamy się co do tego, że istnieje tylko jeden, wciela się w człowieka. Jak Bóg, który jest *bytem* – Ammian użył greckiego imiesłowu od czasownika *istnieć* – jedynym i myślą doskonałą, może być jednocześnie swoim stworzeniem, z definicji niedoskonałym?

Bazyli i Grzegorz popatrzyli po sobie wymownie. Należeli do przodujących uczniów spośród chrześcijan na studiach w Antiochii, ale Ammian był od nich zdecydowanie lepszy w filozofii, która wciąż stanowiła domenę tak zwanych pogan. Zresztą obaj, będąc ludźmi wykształconymi, doskonale wiedzieli, że Ammian nie wierzył w żadną Atenę wyskakującą z głowy Zeusa ani też w inne podobne absurdy godne dzieci lub prostaków. Ammian wierzył w jednego boga, zwanego u neoplatoników Jednem, z którego wywodziło się wszystko, co istniało – kosmos, gwiazdy, ziemia, woda, ogień i krew krążąca w ciałach żywych stworzeń. Bazylemu i Grzegorzowi chodziło jednak o to, by znawca dawnej religii uwierzył w Jezusa – Boga-Człowieka.

– Nie znamy wszystkich myśli Bożych – rzekł, popijając wino, Bazyli. – Ale Bóg, którego ty nazywasz Jednem, wcielił się w Chrystusa.

– Czekaj, czekaj – odparł Ammian, który znał tych dwu młodzieńców i wiedział, na co może sobie pozwolić. – Jak mógł się wcielić? Przecież nawet wy, chrześcijanie, nie uznajecie tej prawdy wszyscy w równym stopniu.

Znów obaj chrześcijańscy młodzieńcy wymienili znaczące spojrzenia.

– A więc ty wiesz już o Ariuszu? – zapytał Grzegorz.

– Oczywiście, że wiem – oznajmił Ammian. – Wyobraź sobie, że my, wykształceni poganie, jak nas nazywacie, interesujemy się pismami chrześcijańskimi. Libanios ma ich pokaźną kolekcję. Interesujemy się waszymi poglądami i nie znajdujemy w nich niczego ciekawego intelektualnie. Wybaczcie szczerą, ale nawracanie mnie nie ma sensu.

– Ariusz to wielki problem – przyznał Grzegorz. – Myślę, że grecka filozofia psuje doktrynę Kościoła.

– Psuje? – zachnął się Ammian. – Jak dobra filozofia może psuć doktrynę? To wasza doktryna jest nielogiczna.

– Masz na myśli wyznanie nicejskie? – zapytał Grzegorz.

– Nie inaczej.

– Cesarz zebrał wszystkich biskupów jak żołnierzy armii i nakazał im dać Kościołowi jedno wyznanie wiary, akceptowane przez wszystkich. Zachód nie ma z tym problemu. Grecy na wschodzie już tak – rzekł smutno Bazyl i pociągnął wina. – Dlatego nie dziw się naszemu brakowi entuzjazmu dla filozofii. Filozofia zabija teologię.

Tego Ammian nie zdzierzył:

– Ale przecież adaptowaliście do chrześcijaństwa jedno z najważniejszych platońskich pojęć, czyli logos! To logos jest sensem, rozumem świata w platońskim ujęciu, podobnie u Plotyna czy stoików. Tworzycie swoją teologię z pojęć filozoficznych świata greckiego i nie chcecie przyznać nawet przed samymi sobą, że tak czynicie.

– No i co z tego? – zapytał z wyrzutem Grzegorz.

– To nieuczciwe – zaproponował Ammian.

– Nie zgadzam się z tobą, mój przyjacielu – rzekł Grzegorz. – My, wyznawcy Chrystusa, doświadczyliśmy z rąk pogan cierpień tak



strasznych, że mało kto mógłby je wytrzymać. Moi rodzice pamiętają prześladowania za Galeriusza<sup>[18]</sup>. Był strach, kiedy żołnierze wchodzili do domów. Tysiące aresztowanych, tysiące ofiar na arenach, palonych żywcem i pożeranych przez dzikie, drapieżne zwierzęta.

– Ja nie neguję waszych cierpień i gdybym miał was ukryć, nie wahałbym się ani chwili – odpowiedział mu Ammian. – Czy jednak cierpienia waszych sióstr i braci nie nauczyły was, że wy i my, czyli wyznawcy bogów, nie możemy żyć razem w pokoju?

Jego dwaj chrześcijańscy przyjaciele milczeli. Po ich minach było widać, że to ważne pytanie. Grzegorz smakował wino, a i Bazyli wziął solidnego łyka. Kupili dwa sextariusy<sup>[19]</sup>. W końcu Grzegorz się odezwał:

– Nie, bo wasi bogowie są fałszywi.

I znów powrót do punktu wyjścia. Tak kończyły się wszystkie dysputy chrześcijan, uczących się filozofii greckiej z wyznawcami dawnego Boga, objawiającego się w logosie lub przemawiającego przez demiurga za pośrednictwem innych bóstw. Ammian za poganina się nie uważał i było to dla niego określenie obraźliwe. Popatrzył na znajdujący się w dole ulicy gnomon, czyli słoneczny zegar – było już późno. Musi wracać do domu, gdzie czekają matka i ojciec. To dobry powód do przerwania dyskusji, która do niczego nie prowadziła. Chrześcijanie mieli swoją pewność, której on nie miał. Ale lubił ich trójkę, razem stanowili paczkę najlepszych kolegów. Libanios też bardzo ich wszystkich lubił, bez względu na wyznanie.

– Pójdę już. Późno jest – rzekł Ammian.

– Dlaczego zawsze uciekasz? – zapytał z wyrzutem Bazyli.

Ammian westchnął.

– Bo lubię was takimi, jakimi jesteście. Ale nie lubię, gdy zabieracie wolność w dyskusji – powiedział im szczerze.

– Dlaczego nie chcesz przyjąć Chrystusa? – W głosie Bazylego brzmiał zawód.

– Czytałem waszą Ewangelię Jana. Najbardziej uderza mnie spokój waszego Chrystusa. Mam wrażenie, że on uszanowałby moją niewiarę

w waszego Boga. Nie róbmy nigdy niczego, co zniweczy naszą przyjaźń.

– Masz nasze słowo – powiedział Grzegorz z Nazjanzu, podnosząc do ust kubek dobrego antiocheńskiego trunku. – Piję za twoje zdrowie.

– Dziękuję – odparł młodzieniec z rudą czupryną.

Ammian zabrał swoje rzeczy i podążył do domu. Nie stać go było na konia ani na to, by zapłacić za podwiezienie. Szedł więc pieszo, a miał do pokonania sześć mil rzymskich do posiadłości na wsi, gdzie czekali na niego rodzice.

\*

Stary wiarus już prawie zapomniał o obietnicy złożonej cesarzowi Konstancjuszowi II, obecnie jednemu panu imperium, trzynastu lat temu pod groźbą miecza. Te lata upłynęły jak sen. Zobaczył, że w portyku, tuż nad brzegiem morza siedzi jego żona i tka wełniane skarpety dla niego. Antiochia jest rajem, ale zimy bywają trudne, zwłaszcza gdy wiatr znad rozszalałego morza chłoszcze wzgórza. Jednak teraz była piękna i niezwykle ciepła jesień. Od trzech dni koloni, czyli syryjscy chłopcy i kobiety, zbierali winogrona – dojrzałe, ciemne, pełne tanin i słodyczy. Z nich wytłoczą moszcz, który następnie syryjskim obyczajem będzie sześć miesięcy fermentować w kamiennych stągwiach. A wino, które fermentuje w kamieniu, jest inne od tego z drewnianej beczki. Aureliusz Marcellinus lubił jego smak. Lubiał też smak prostych dań: pieczonego okrągłego podpłomyka z razowej mąki, najlepszej oliwy, cebuli posypanej morską solą i właśnie głębokiego wina, dającego radość umysłu. Czekał na syna, chciał z nim odbyć poważną rozmowę, która miała zaważyć na jego przyszłości. Zbierał się do niej od kilku miesięcy, gdyż przez ostatnich dwanaście lat żył niejako w zawieszeniu – jak gdyby w Konstantynopolu, czyli nowym Rzymie, nie panował Konstancjusz II, któremu przed laty złożył pewną obietnicę.

Nie dalej jak miesiąc temu specjalny kurier cesarski przywiózł staremu wiarusowi wezwanie. Wiedział, co się w nim znajdowało. Musi przygotować syna, zarówno sprawnościowo, jak i duchowo. Aureliusz

za lata służby otrzymał przez pocztę cesarską posrebrzaną tubę z kości, a w niej papirus z tytułem ekwity<sup>[20]</sup> i przydziałem ziemi, która czyniła z niego bogatego człowieka. Jednak cesarskie wezwanie dla syna stanowiło dla starego człowieka cierpienie.

W końcu, gdy słońce tonęło już w Morzu Śródziemnym, Aureliusz Marcellinus zauważył syna, który nadchodził od strony Antiochii. Przed ich posiadłością trakt się wspinał, a potem łagodnie opadał, więc siedzący przed portykiem swojej wili Aureliusz mógł obserwować syna ubranego w prosty chiton, z przerzuconą przez ramię Inianą torbą z papirusami.

– Witaj, synu!

– Ojcze! – zawołał radośnie młody człowiek.

Uściskali się. Ammian od razu zauważył, że ojca coś trapi, jakiś problem, z tego powodu zapytał:

– Dlaczego się martwisz, ojcze? Znam każdy włos na twojej głowie i wiem, że są już siwe, ale znam też wyraz twoich oczu, które nie potrafią ukryć smutku.

Aureliusz próbował się uśmiechnąć.

– Zjedźmy z matką wieczerzę.

Popołudniowa kolacja, zwana po łacinie *cena*, w domach ekwitów stała się codziennym elementem, spotkaniem rodziny, wymianą myśli. Zapraszano na nią często przyjaciół i sąsiadów. Teraz we troje usiedli do wieczerzy, a królowały na niej owoce morza, sos *garum*, świeży chleb i doskonałe syryjskie wino. Gdy się posilili, ojciec rzekł do syna:

– Wzywa cię cesarz. Nic nie mogę zrobić.

Ammian zdawał się nie zrozumieć od razu wymownego zdania, które właśnie wypowiedział ojciec.

– Co to znaczy?

– Dostałeś imienne wezwanie do armii cesarskiej.

– Na kiedy?

– Tej jesieni.

Matka milczała cały czas, ale ona chyba przeżywała to najbardziej. Ammian był jej jedynym dzieckiem. Aureliusz spodziewał się jakiegoś

histerycznego ataku paniki, wyobrażał sobie, że syn będzie krzyczał, rozpaczał, ale nic takiego się nie stało.

– Zdążę zdać u Libaniosa wszystkie egzaminy. Najprawdopodobniej pomogę wam też przy zbiorze oliwek – odparł spokojnie Ammian.

Aureliusz nie spodziewał się takiej dojrzałości po synu. Przywykł przez tyle lat do obiegowych opinii o męskiej młodzieży w różnych krainach cesarstwa – że woli sobie obciąć rękę, niż iść do cesarskiego wojska. W armii rzymskiej służyła zaledwie połowa obywateli imperium. Począwszy od 212 roku, kiedy Karakalla nadał obywatelstwo wszystkim wolnym mieszkańcom cesarstwa, młodzież nie garnęła się do wojska.

– Jestem zaskoczony. Przyjmujesz to tak spokojnie? Dla mnie to był straszny ciężar, by ci o tym powiedzieć – rzekł Aureliusz Marcellinus.

– Ojcie, żądam przygody w moim życiu. Zdam egzaminy. Mógłbym sam wykładać, ale perspektywa stania się oficerem... To wspaniałe wyzwanie, poznam tyle krain, wielu ludzi.

Ojciec pokręcił głową.

– To nie jest życie dla młodego człowieka – zauważył. – Nie wiesz, co mówisz. To dwadzieścia pięć lat straszego życia w ciągłym zagrożeniu.

– Ojcie, tylko będąc blisko śmierci, możemy tak naprawdę żyć pełnią życia – odparł Ammian.

Ojciec tęgo łyknął wina.

– Zapomniałem, żeś jest filozofem – powiedział. – Od jutra zaczynamy ćwiczenia. Rzut oszczepem, miecz i technika walki, jazda konna. Choćbyś padał, nauczę cię wszystkiego, bo to uratuje ci życie. Ale zrobimy coś jeszcze.

– Co takiego? – zaciekawiał się Ammian.

– Dostąpisz wtajemniczenia w kult naszego boga – odparł ojciec.

– A zatem niech Mitra mi się ukaze – rzekł młodzieniec.

\*

Julian także przebywał w Antiochii. Od czasu masakry jego rodziny, dokonanej za wiedzą i z rozkazu Konstancjusza II, nie poruszał z nikim

tego tematu. Chłopiec zamknął się w sobie, ufając – nie bez podstaw – że jego powierzchowność ochroni go przed zainteresowaniem i ludzie zostawią go w spokoju. Julian, choć był członkiem rodziny cesarskiej słynącej raczej z silnego usposobienia, hartu ducha i okrucieństwa, zachowywał się zgoła inaczej. Był raczej otyły, niezbyt sprawny fizycznie. Nieporadność księcia stawała się przedmiotem żartów, docinków, ukrytych spojrzeń w stylu: *Ale grubas!*

Jednak chłopiec zdawał się nie zauważać tych wszystkich przykrych słów i gestów. Zamknięty w sobie, dużo czytał – przede wszystkim chrześcijańskich klasyków, dużo Tertuliana, Justyna Męczennika czy współczesnego mu Laktancjusza. Te papirusowe zwoje podsuwał mu oczywiście opiekun, biskup Nikomedii Euzebiusz, wymagający od Juliana bezwzględnej i fanatycznej wiary. Księcia widywano zatem często w kościele wybudowanym w Antiochii na miejscu zburzonej i od dawna nieuczęszczanej świątyni małaazjatyckiej bogini Kybele. Zabraną z niej czarny kamień posłużył do budowy ołtarza. W kościele tym, pośród śpiewów mnichów propagujących wśród młodzieży męskiej ideał czystości i wyrzeczenia się miecza w obronie oraz rozkoszy łoża i stołu, widywano często Juliana okadzającego ołtarz lub śpiewającego jakieś greckie podniosłe hymny. Głos miał bowiem rzeczywiście miły i melodyjny. Jednak nie poważano go jako człowieka. Jedyne, o co Julian prosił biskupa, będącego jego jedyną gwarancją życia, to by ten pozwolił mu na uczęszczanie do akademii antiocheńskiej.

– Po co? Chcesz chodzić na wykłady Libaniosa, tego podłego poganina, który lży naszego Pana? – pytał biskup.

Julian w takich przypadkach nie potrafił walczyć o swoje. Jego twarz przybierała wyraz niczym u przestraszonego dzieciaka, błędził spojrzeniem w tę i we w tę stronę, szukał odpowiedniego słowa, czasami gestykulował dłońmi, co wprawiało w irytację ludzi z nim rozmawiających.

– Chcę chodzić na wykłady Libaniosa, bo chcę poznać ludzi w moim wieku – mówił Julian. – Doskwiera mi samotność, gdyż mój brat Gallus

nie rozumie filozofii, interesują go jedynie wyścigi rydwanów i sprośne sztuki teatralne.

– Masz się zaprzyjaźnić z Chrystusem! Ludzie ci niepotrzebni – grzmiał biskup.

W końcu jednak Julian odważył się na bunt.

– Myślę, że Chrystus nie miałby nic przeciwko, żebym pochodził na wykłady z filozofii.

– Dlaczego? Powołaj się na słowa Pana!

Julian przewrócił oczyma, pogładził się po pulchnym policzku.

– Jezus powiedział, że nieczyste jest to, co wychodzi z człowieka, a nie to, co do niego wchodzi. Więc filozofia pogan nie uczyni mnie takim jak oni.

Biskup Euzebiusz z Nikomedii tylko z pozoru był surowy. To była strategia sprawdzania ludzi: jacy są naprawdę. Zgodził się. Jednak we wzroku Juliana kryło się jeszcze coś innego, jakaś przekora, której z pewnością on sam nie umiałby jeszcze nazwać. Człowiek niegdyś prawie zaszczyt żyje w traumie przez lata. Julian nie zapomniał o lecie 337 roku. Skrył owo lato, jego duszny upał i krew bliskich na dnie duszy, gdzie przykryły je sążniste pokłady pamięci. Jego czas nie nadszedł.

\*

Ammian Marcellinus nie tracił ani jednego dnia, odkąd ojciec wyjawiał mu prawdę o tym, że musiał oddać go na służbę cesarzowi. W wieku niespełna dwudziestu lat człowiek myśli zupełnie innymi kategoriami niż w jesieni życia, bo lato zawsze mija szybko. Zamartwiali się więc rodzice, ale ten niepokój jak gdyby nie udzielał się młodzieńcowi, który postanowił nade wszystko zakończyć u Libaniosa naukę, składając wszystkie egzaminy: literaturę grecką i łacińską, filozofię, geometrię i język obcy – wybrał perski. Ammian miał ponadprzeciętny talent do języków obcych, czym wprawiał w zazdrość kolegów i samego Libaniosa, który jak większość intelektualistów epoki był dwujęzyczny, ale na przykład językiem Gotów gardził jako niskim i mało cywilizowanym. Ammian nie

żywił takich uprzedzeń. Z tego też powodu los pchał go do armii rzymskiej jako formy nieokiełznanej przygody, możliwości podróżowania po całym obszarze imperium, które jeszcze sto lat temu nazywano po grecku *oikumene*, czyli całym dostępnym człowiekowi światem. Teraz wiedza o tym, że ten świat jest szerszy, była już znana takim uczonym jak Libanios, którego jeden z uczniów odbył przed wieloma laty podróż do Indii, gdzie rządzą Kuszanowie i wielki ich król Karniszka, wyznający tajemniczą naukę Buddy. Jednak świat barbarzyńców przerażał Rzymian, którzy czuli się bezpieczni tylko za swoim limesem, czyli niekończącym się murem nad Renem i Dunajem.

Któregoś dnia, po egzaminie z filozofii, który zaliczył u Libaniosa najlepiej, jak było można, jego chrześcijańscy przyjaciele Grzegorz z Nazjanzu i Bazyl z Kapadocji poszli na jakiś wykład, obcy Ammianowi, który jednak rozpalał chrześcijan do szaleństwa. On został i zbierał już swoje notatki na tabliczkach, gdy wyczuł, iż ktoś mu się przypatruje. Odwrócił się speszony. Okazało się, że za nim stał grubawy, przysadzisty, ale świetnie odziany człek, o włosach w kolorze ciemnego złota. Widywał go już wcześniej, ale nigdy nie zwracał uwagi na takich pyszałków. Gość przychodził na wykłady w towarzystwie sług odzianych w szare tuniki i także płaszcze. Ammian podejrzewał, że byli to słudzy wszechwładnego biskupa Euzebiusza, ale ponieważ ów jegomość trzymał się z daleka od dyskusji, nie wdawał się z nim w żadne kontakty. Teraz jego nieoczekiwana wizyta go zaskoczyła.

– Słyszałem wiele o tobie – rzekł nieznajomy. – Czy możemy porozmawiać?

– Ja nie słyszałem zbyt wiele o tobie, a teraz, jak widzisz, pakuję się, więc na dyskusję filozoficzną nie będziemy mieć wiele czasu. Spieszę się do domu – odparł Ammian.

Nieznajomy przewracał oczyma, zastanawiając się, co ma odpowiedzieć. To zachowanie było dla wielu ludzi irytujące i takie odniósł też wrażenie Ammian.

– Jednak chciałbym porozmawiać.

Co za natręt – pomyślał młody Marcellinus, wkładając do torby rulon z dialogiem Platona – *Timajosem*.

– Jestem Julian.

– No i co z tego?

– Jestem wychowankiem biskupa Euzebiusza i chodzę na wykłady, na które chodzisz ty. Podoba mi się, jak bronisz w czasie dyskusji swoich poglądów.

– Po to mamy poglądy, by ich bronić. Przyznasz, że bez sensu mieć jakieś poglądy i ich nie ujawniać. Ja przynajmniej nigdy nie chciałbym tak żyć ani być do czegoś takiego zmuszonym – odparł Ammian, patrząc nieznajomemu w twarz.

Nieznajomy znów zaczął wiercić oczyma. Dziwak – pomyślał Ammian – że też taki mnie spotkał i mówić z nim muszę.

– Podziwiam cię. Ja żyję właśnie takim życiem i nie jest to los człowieka wolnego.

– Nie jesteś zatem wolny?

– Nie – odparł gruby Julian.

– A chciałbyś być wolnym?

– O niczym innym nie marzę.

Znów chwila kłopotliwego dla Ammiana milczenia, w którym Julian zbierał się do powiedzenia jeszcze czegoś, w jego mniemaniu ważnego.

– Czy twoim ojcem jest Aureliusz Marcellinus?

– Tak, ale dlaczego mnie o to pytasz? Ja nie pytam cię o twego ojca.

– Chętnie ci powiem. Moim ojcem był Juliusz Konstancjusz, brat cesarza Konstantyna.

Ammian nagle poczuł ciężar historii, która spadła mu po raz pierwszy pod nogi. Było to wyznanie tak nieoczekiwane jak pytanie o ojca. Wówczas Julian rzekł:

– Pytam o twojego ojca, ponieważ uratował mi życie wiele lat temu w Konstantynopolu. Proszę, powiedz o mnie ojcu, że jestem wdzięczny i nigdy nie miałem okazji podziękować. Słudzy biskupa pilnują mnie bez przerwy i dbają o to, bym nie rozmawiał z takimi ludźmi jak ty.



– Z takimi ludźmi jak ja? A co we mnie jest takiego strasznego? – zapytał młodzieniec.

– Wyznajesz dawnych bogów, a to nie jest mile widziane w Konstantynopolu – odparł Julian. – Podziwiam cię i jeśli będziesz kiedyś na dworze, w co nie wątpię, widząc, jak zawstydzasz w nauce najlepszych z chrześcijan, nigdy nie odmówię pomocy. Teraz jednak mam prośbę.

– Tak, słucham.

– Proszę, ofiaruj mi jeden z twoich papirusów z tekstami Platona. Powiedziałem sługom Euzebiusza, że pożyczysz mi jeden z tekstów, dlatego pozwolili mi porozmawiać z tobą. Przepraszam, że się narzucam, ale jesteś pierwszym człowiekiem, z którym mogę porozmawiać otwarcie, nie bojąc się, że ktoś mnie wyda.

Wtedy Ammian zdał sobie sprawę z tego, że ksiązę Julian żyje jak niewolnik – w strachu, który na pewno oswoił, bo był jego codziennością. Żał mu się zrobiło tego człowieka, któremu powierzchowność z pewnością nie przysparzała przyjaciół.

– Weź, proszę, który chcesz.

– Niech to będzie, jak gdybyś mi dawał ten tekst. I niech to nie będzie platońska *Uczta*, bo tekst został uznany przez Euzebiusza za niemoralny.

Ammian miał już parsknąć śmiechem, bo cóż niemoralnego tkwiło w tekście o cielesnej i boskiej miłości, ale pomny na to, w jakim świecie żył Julian, bez wahania wyciągnął z torby zwinięty uprzednio *Timajos*, który traktował o początku świata.

– Bierz i powiedz, żeś rozmawiał ze mną o wyższości chrześcijańskiej wizji początku świata – rzekł Ammian. – Ale mnie nie przekonałeś, ponieważ nie wierzę w powstanie świata. Jestem pewny, że wszechświat nie ma ani początku, ani końca, więc nikt go nie stworzył. A tekst weź, aby wykazywać, jak bardzo Platon się mylił.

– Dziękuję – odparł Julian, chwytając tekst jak coś bardzo cennego. – Dostałem od cesarza Konstancjusza i biskupa pozwolenie na studiowanie w Atenach. Będę mógł chodzić na zajęcia do Akademii Platońskiej.

– Zazdrość – oznajmił szczerze Ammian. – Ale uważaj, na bramie akademii widnieje napis: *Wy, którzy nie znacie się na geometrii, nie macie tu czego szukać.*

– To mi nie grozi. A tekst – Julian wskazał palcem na zwój papirusu – oddam, gdy będzie okazja. Może więc zobaczymy się znów. Może w stolicy, może gdzie indziej.

– Nie musisz go oddawać – rzekł Ammian. – Niech to będzie na pamiątkę naszego spotkania.

– Dziękuję ci bardzo!

Ammian mógł powiedzieć, że rozstali się z Julianem niemalże przyjacielsko, ponieważ pod powierzchniością reagującego z opóźnieniem grubasa tkwił przerażająco samotny i spragniony kontaktu z innymi ludźmi człowiek. Tym spieszniej wrócił do domu i powiedział wszystko ojcu.

\*

– Synu, czy jesteś gotowy na wtajemniczenie? – zapytał któregoś dnia, kilka tygodni przed wyjazdem, Aureliusz Marcellinus.

Obaj byli wyznawcami Mitry, tajemniczego bóstwa, które pojawiło się w imperium półtora, może dwa wieki wcześniej. Nikt nie wiedział dokładnie jak i kiedy. Ale zdobyło szybko wielką popularność, ponieważ utożsamiono je z kultem Słońca Niezwycięzonego – *Sol Invictus*. Jednak klimat dla wyznawców Mitry się zmienił. Jego wyznawcami byli bowiem prześladowcy chrześcijan ledwo czterdzieści lat wcześniej. Cezar samego Dioklecjana, Galeriusz, był szczególnie zajadłym tępicielem chrześcijan, a ofiary liczono w setkach. Teraz sytuacja się odwróciła. To wyznawcy Mitry musieli utajniać swoje obrzędy, których strzegli zazdrośnie.

– Czekam na ten dzień od początku mojego życia – odparł Ammian.

A więc teraz. Miał przeistoczyć się w ofiarnego byka i odrodzić się w jego krwi. Szybko ojciec chce tego wtajemniczenia – pomyślał Ammian i zaraz się przeraził, że będzie żył losem Aleksandra Wielkiego, którego ubóstwiał, gdy był małym chłopcem. Nie chciał żyć krótko i umrzeć

młodo. Modlił się zatem do bóstwa, aby tak się nie stało. Chciał w owej chwili stać się świadkiem czasu, całego może stulecia, i prosił gorąco bóstwo, aby dało mu talent do opowiedzenia świata, który dzięki wstąpieniu do armii miał zobaczyć.

Poszli w nocy do mitreum<sup>[21]</sup>, które znajdowało się w naturalnej jaskini powstałej w grzbiecie góry Silpius, która górowała nad Antiochią. Ammian odczuwał jakąś naturalną radość na widok gór, odkąd matka zabrała go w podróż do doliny Bekaa, najżyźniejszej części Syrii, pomiędzy górami Libanu i Antylibanu. Teraz jednak stawał się w pełni świadomym wyznawcą swojego Boga, którego ludzie ciągle mogli widzieć – było to słońce, bez którego nic żywego nie może istnieć. Ammian wszedł do mitreum z niezwykłym, nigdy wcześniej nieodczuwanym podekscytowaniem. Zauważył, że w głównej sali, spod której stropu widać było przez otwór światło słońca, tworzące coś w rodzaju świetlistego słupa pośrodku zebranych, znajdowało się już sporo przybyłych mitraitów, wśród których zapewne znajdował się jego rodzony ojciec. Jednak to wydarzenie miało się rozegrać między nim a bóstwem, które miało się objawić.

– Czy jesteś czysty przed Bogiem, który wszystko stworzył z siebie samego?

– Tak, jestem czysty – odparł Ammian.

– Czy chcesz teraz przyoblec się w Boga, aby zostać zanurzonym w jego życiu?

– Tak, tego pragnę.

– Stań przed Bogiem, taki, jakim cię stworzył.

Ammian nie był pewny, co powinien zrobić. Jak jednak pojawiaemy się na tym świecie, gdy wychodzimy z łona matki? Nago i we krwi pępowinowej. Było to dla niego przeżycie. Ale ściągnął z siebie ubranie i stanął nagi w świetle spływającym na niego z otworu na górze. Wyznawcy Mitry podjęli pieśń, której naczelnym motywem było bóstwo rodzące samo siebie i wraz z nim świat i życie. Przez wszystkie wcielenia Mitry odradzającego się z krwi byka życie było dalej możliwe. Oni

śpiewali, a Ammian czekał na życie lub śmierć, na moment, który nim wstrząśnie. Nie wiedział, że nad otworem w sklepieniu rzeczywiście życie zmagало się ze śmiercią. Jeden z kapłanów Mitry przyłożył do karku byka ostrą siekierę i uderzył tak, aby krew z tętnicy ciekła bezpośrednio przez otwór na nagiego chłopaka. Gdy pierwsze ciepłe krople spadły na niego, Ammian krzyknął, bo doświadczał swojej nagości po raz pierwszy tak świadomie i do tego przed oczyma innych. A potem krew byka zalewała go strumieniem i pokrywała pagórki jego mięśni, wąwozy pachwin, i ściekała jak ożywczy deszcz. Czuł jej smak w ustach. Była lepka i słodka, mdła i przerażająco prawdziwa. Całe to doświadczenie wstrząsnęło nim tak bardzo, że nie mógł dłużej już stać na nogach, ale jakaś wewnętrzna, nieprzeparta siła kazała mu ułożyć się w pozycji embrionalnej. Chciał poczuć się bezpieczny w tej krwawej macierzy, w owym przedwiecznym i niemającym początku łonie wypełnionym krwią bóstwa zapładniającego swoje stworzenie. W końcu krew przestała na niego spływać. Ammian szlochał i krzyczał, bo owa kąpiel stanowiła dla niego nowy początek i koniec, który stawał się początkiem. Ammian w tej krwi umierał i rodził się na nowo. Stawał się innym człowiekiem.

## ROZDZIAŁ III

### *Ten pierwszy raz*

#### *KONSTANTYNOPOL, 350 ROK*

Podróż morska Ammiana z Antiochii do Konstantynopola trwała dwa tygodnie, z kilkudniową przerwą w Efezie, gdzie młody człowiek mógł zobaczyć ruiny świątyni Artemidy. Poszedł tam bez nadziei na przygodę – trochę po to, by zabić czas i rozprostować kości po wielu dniach spędzonych w małej, dusznej i ciasnej kajucie statku handlowego, który miał wszakże kilka miejsc dla podróżnych. Zaskoczyła go pustka na miejscu świątyni – jeszcze sto lat temu, o czym czytał w akademii Libaniosa, odbywały się tam procesje, nabożeństwa ku czci Miodnej Pani – jak nazywano Artemidę, siostrę świetlistego Apollina. Ammian wiedział, że przed osiemdziesięciu ośmiu laty w Efezie doszło do wielkiego nieszczęścia za cesarza Galena, szczególnie znienawidzonego przez chrześcijan – na imperium spadł pierwszy najazd Gotów, wrogów nigdy wcześniej niewidzianych w takiej liczbie na ziemiach cesarstwa. Przedostali się przez cieśniny i spustoszyli Azję Mniejszą, ziemie ludne i bogate, od czasów Aleksandra Wielkiego nieznające najazdu, mordy i grabieży. Padła wtedy świątynia Artemidy – przewrócono święte ule Miodnej Pani, a świątynia spłonęła. Miejsce po niej opustoszało, porosły je krzaki, bo nieoczekiwanie większość w Efezie zdobyli chrześcijanie, a oni nie byli zainteresowani odbudową. Libanios w szkole w Antiochii pokazywał Ammianowi pisma, w których chrześcijanie cieszyli się, że oto demony zostały przegnane i teraz w Efezie mówiono o innej wielkiej świętości – Marii, matce Jezusa. Miała tutaj umrzeć czy też zostać wzięta do nieba. Ammian zauważył, że na miejscu ogromnych kompleksów świątynnych

chrześcijanie wybudowali prosty kościół i tam się spotykali, ale minął ich bez słowa. Nie przynależał do ich świata.

Gdy doszedł do ruin, oczom jego ukazały się tylko nagie kolumny, wciąż szerniały od potwornego ognia, jaki Goci rozpalili w świątyni, by zniszczyć to wszystko, czego nie mogli zabrać. Zadumał się. Nie mieściło mu się to w głowie. Artemida była tak wielkim bóstwem, a nikt jej już nie czcił w tym miejscu, gdzie ponoć czyniła cuda. Czy pragnienie cudu jest dążeniem człowieka do lepszego świata? Chrześcijanie też mówią o cudach, czy zatem ich cuda były odbiciem tych wcześniejszych – Artemidy? A przed nią cześć oddawano tutaj Kybele. Ponieważ Artemidę nazywano świętą panią, dziewiczą boginią, teraz te same tytuły zaczęły przysługiwać Marii. Dla Ammiana było to oczywiste.

Jednak coś przykuło jego uwagę. Podszedł bliżej do martwego, zdawało mu się, pnia, niegdyś należącego do wielkiego drzewa, które rośło w pobliżu świątyni. Musiało płonąć razem z nią, jednak jego część ocalała i od niego wzbiły się w górę nowe, wijące się ku słońcu, węzowate pędy. Ammian był wrażliwy na takie szczegóły, wobec których zwykli ludzie obojętnie przeszliby dalej. Ale nie on. Zajrzał do pnia i zauważył jakby kłębowisko: rój! Były to pszczoły, które w wypalonym pniu drzewa założyły dziki ul. Pszczoły Artemidy wróciły na swoje miejsce.

\*

Statek zawinął do portu w Konstantynopolu tydzień później. Młodzieniec zabrał swoje rzeczy i przypomniał sobie nauki ojca, który znał dobrze wielkie miasto, wyciągnął nakreślony ręką Aureliusza schemat, jak ma się po nim poruszać, żeby zaoszczędzić sobie czasu i drogi. Jego celem był okazały budynek prefektury, gdzie miał rezydować Ursycyn, oficer armii cesarskiej w stopniu *magister equitum*, czyli pełniący funkcję dowódcy jazdy. Ojciec młodego człowieka służył pod jego rozkazami i uważał go za doskonałego żołnierza i taktyka, który nauczył się, jak wykorzystywać siłę jazdy. Ammian zajrzał do swojej podręcznej torby podróźnej z koziej skóry. Znajdowały się tam dwa listy: pierwszy od ojca do Ursycyna

polecający syna, i drugi – informujący cesarza o tym, że Aureliusz Marcellinus dotrzymał danego słowa. Ammian trochę się bał, gdy patrzyli na niego pełniący wartę żołnierze. Nosili kolczugi, mieli włócznie i okrągłe tarcze z drewna z wymalowanym orłem. W końcu przemógł się i powiedział:

– Jestem Ammian Marcellinus i chcę się widzieć z wodzem Ursycynem. Pragnę wstąpić do legionów.

Obydwaj strażnicy popatrzyli po sobie, jak gdyby zobaczyli ducha lub w najlepszym razie zabawnego błazna. Jeden z nich pokazał dłonią wielkie, dębowe drzwi. Gdy Ammian je przekroczył, usłyszał śmiech. Czy tak postępuje się w stolicy z rekrutami? Poszedł dalej, a napotkani urzędnicy obładowani papirusami wskazali mu drogę.

Ursycyn siedział w atrium, gdzie światła było pod dostatkiem, a pośrodku stała wielka kamienna donica z rosnącym drzewem figowca.

– Chciałbym się przedstawić – rzekł młodzieniec. – Nazywam się Ammian Marcellinus i pragnę wstąpić do armii.

Ursycyn właśnie podnosił do ust kubek z winem rozcieńczonym wodą, ale parsknął, usłyszawszy słowa młodego człowieka.

– Uszom nie daję wiary – oznajmił.

Ammian mu się przyjrzał. Był to mąż postawny, o ciemnych włosach, upstrzonych z lekka siwizną, której nie ukrywał. Twarz pociągła o wyraźnych rysach, elegancko wypielęgnowana broda. Ammian z miejsca zauważył, że spogląda na niego para inteligentnych, ciemnych oczu.

– Skąd jesteś?

– Z Antiochii. Jestem synem Aureliusza Marcellinusa.

Ursycyn wstał, obszedł stół zavalony papirusami i przyjrzał się młodzieńcowi.

– Tak, nie ma pomyłki – stwierdził Ursycyn. – Jesteś synem swego ojca. Był moim najlepszym oficerem, dopóki ku mojej rozpaczy i szkodzie walącego się cesarstwa nie postanowił odejść z wojska.

– Miło mi, że mówisz tak, panie, o moim ojcu. Mam od niego list polecający.

Ammian, mówiąc to, wyciągnął rulon papirusu schowany w tubie z kości. Zainteresowany Ursycyn wziął pismo z dłoni młodzieńca, a Ammian znów dostrzegł szczegół: na palcu serdecznym Ursycyna u jego lewej dłoni znajdował się złoty sygnet. Wódz rozwinął rulon i przeczytał greckie pismo.

– Mówiąc szczerze, jestem bardzo zaskoczony – rzekł Ursycyn. – Pochodzisz z dobrej rodziny wiernej imperium, ojciec pisze, że masz świetne wykształcenie. Znasz łacinę?

– Oczywiście.

– To dziś nieoczywiste. Grecy ze wschodu coraz rzadziej mówią językiem klasycznym, a ludzie z zachodu coraz rzadziej znają grecki. Mamy problem z porozumiewaniem się. Dziś normą dla młodych ludzi jest zabawa, wino, a w ostatecznym rachunku klasztor. Chrześcijanie nie chcą służyć w armii. Oczekują rychłego przyjścia Królestwa Bożego.

Ammian chciał zadać pytanie, czy Ursycyn jest chrześcijaninem. Ale powstrzymał się. Nie znał jeszcze wewnętrznej sytuacji w Konstantynopolu, nie znał jeszcze nikogo naprawdę. Uznał, że niezadawanie pytań może być korzystne.

– Czy to takie dziwne, że zgłosiłem się do wojska, skoro mój ojciec był wojskowym?

Wódz klasnął w dłonie. Podszedł niewolnik z tabliczką zawieszoną na szyi i podał Ammianowi krzesło.

– To nie tylko bardzo dziwne, młody człowieku, ale w ogóle niespotykane. Czy wiesz, ilu ostatnio synów z dobrych rzymskich rodów zaciągnęło się, żeby bronić swojego kraju?

– Nie wiem – odparł Ammian.

– Ani jeden. Jesteś pierwszym kandydatem, do tego szlachetnie urodzonym. Ile znasz języków?

– Grecki jest moim językiem ojczystym, znam biegle łacinę i płynnie mówię po persku, w mniejszym stopniu władam koptyjskim, ale myślę, że porozumielibym się bez kłopotu.



To zrobiło na Ursycynie wrażenie. Od razu stary wiarus wiedział, że takiego nieoszlifowanego bursztynu<sup>[22]</sup> nie można rzucić między wieprze, nawet jeśli nie jest chrześcijaninem. Ursycyn znał i podzielał poglądy Aureliusza. Mogli rozmawiać szczerze.

– Będiesz na razie moim oficerem łącznikowym, specjalistą od tłumaczeń. Mamy kilka perskich tekstów od naszych szpiegów, ale zdziwiłbyś się. Nie ma komu w stolicy tego przetłumaczyć. Ty się tym zajmiesz.

– Zdziwiasz mnie, panie. Od razu oficer?

– A dlaczegoż nie? – rzekł Ursycyn. – Dziś oficer z rzymskiej armii niewiele znaczy. Niewiele umie. Dlatego zgodnie z polityką cesarza Konstantyna szlachetnie urodzeni Rzymianie, synowie ekwitów, jak ty, są od razu mianowani na stopnie oficerskie. Dowodzimy hałastrą, a nie legionami. Nasza armia nie jest już tą armią, o której nazywałeś się w dziełach Cezara. W ogóle jak sobie pomyślę, kim on dowodził i kim my dowodzimy teraz, to włos się na głowie jeży.

– Dlaczego? – zainteresował się Ammian.

– Legiony przeszły do historii. Dioklecjan i Konstantyn chcieli mieć ich więcej, więc zredukowano liczbę żołnierzy do tysiąca. Wyposażenie z czasów Cezara, kwadratowa, wzmocniona stalą tarcza, hełm i zbroja – *lorica segmentata*<sup>[23]</sup>. To wszystko przeszłość. Nasi żołnierze mają liche buty, drewniane, tańsze tarcze okrągłe, dlatego znów walczymy falangą, jak Grecy pod Maratonem. Piechota jest kiepska, Ammianie, sam się przekonasz. Te wojska nazywamy *limitanei*, bo stacjonują na granicach. To ludzie tam mieszkający, biedni i niemający czasu na ćwiczenia wojskowe. Mają od państwa kawałek pola, bo muszą z czegoś żyć. Dobrze, że przynajmniej jazdę mamy na przyzwoitym poziomie. Ja dowodzę korpusem jazdy diecezji<sup>[24]</sup> trackiej w diecezji Achaja. Mamy dobre konie, od mistrzów z Tesalii. Jeździsz konno?

– Bardzo dobrze.

– Wybierzesz sobie zatem sam konia ze stajni cesarskich. Mój niewolnik wskaże ci kwaterę. Zbroję, czyli kolczugę, miecz, całe umundurowanie

pobierzesz we wskazanej *fabricae*<sup>[25]</sup>. I niech mają cię w opiece bogowie rzymscy, bo mam wrażenie, że Rzym już opuścili – oznajmił Ursycyn, nie kryjąc się ze swymi poglądami.

Taki był pierwszy dzień Ammiana w armii. Wszystkie te informacje i świadomość chaosu, który panował w nowej stolicy imperium nad wodami Bosforu, zrobiły na chłopaku wielkie wrażenie. Udał się na kwaterę i tam zasnął snem kamiennym.

\*

Kilka dni później młody oficer, który nie czuł się w ogóle oficerem – wszak patent oficerski otrzymał za zasługi ojca i szlachetne urodzenie – wybrał się do kościoła Świętych Apostołów, gdzie nowi adepci armii składali przysięgę na wierność cesarzowi Konstancjuszowi II. Ammian miał jeszcze jeden powód. Chciał prosić prowadzącego przysięgę biskupa o przekazanie listu ojca do cesarza, gdy ten zjedzie wreszcie ze swojej kampanii przeciwko Persom. Założył zatem kolczugę, choć ciężka była jak sto diabłów, nagolenice, które dostał w prezencie od Ursycyna, i szkarłatny płaszcz. W kościele zauważył ogromny, porfirowy sarkofag cesarza Konstantyna. Dopiero w obliczu sarkofagu władcy Ammian zdał sobie sprawę z tego, jak głębokie zmiany zaszły w imperium od czasu, gdy w armii służył jego ojciec. Był jedynym Rzymianinem składającym przysięgę. W kościele pojawiło się jeszcze ponad dwudziestu młodych oficerów, ale byli to w większości barbarzyńcy, ledwo mówiący po łacinie lub grecku. Konstancjusz II awansował też wybijających się i bezwzględnych żołnierzy wzorem swojego ojca lub samego Dioklecjana, który uzyskawszy cesarski tron, nigdy nie wyparł się tego, że był zwykłym żołnierzem.

W końcu przybył biskup Macedoniusz, który pogratulował żołnierzom wyboru, jakiego dokonali.

– Będziecie walczyć u boku wielkiego i sprawiedliwego cesarza – powiedział. – Kto pozostanie wierny Konstancjuszowi Drugiemu, ten

nigdy nie pożałuje. Jednak kto go zdradzi, niech będzie przeklęty przez Boga.

Biskup nie pytał przybyłych o wyznanie, choć Ammian słusznie podejrzewał, że Germanowie przyjmowani do rzymskiej armii muszą być arianami, tak jak biskup i tak jak cesarz, któremu mają służyć. Potem biskup wyrecytował słowa przysięgi:

– Przysięgam w obliczu wszechmogącego Boga, że dotrzymam wierności cesarzowi Konstancjuszowi Drugiemu oraz jego rodzinie i następcom i że zachowam wierność Rzymowi, jego potędze i tradycji.

Przysięga była krótka, ale Ammian od razu zauważył, że miała kolosalne znaczenie. Przede wszystkim nie skupiała się tylko na wąskim pojęciu lojalności wobec rodziny cesarskiej, ale na samym cesarstwie, które wciąż było potężne i wciąż dominowało w całym świecie. Biskup Macedoniusz, skonfliktowany z poprzednim patriarchą Konstantynopola Pawłem, od razu dostrzegł, że Ammian nie ma barbarzyńskiego pochodzenia, i zwrócił się do niego po uroczystości:

– Jesteś Rzymianinem? Rzadki to doprawdy widok: Rzymianin wstępujący do rzymskiej armii.

– Urodziłem się Grekiem, studiowałem w Antiochii, ale jestem też Rzymianinem – odparł nie bez dumy Ammian Marcellinus.

Ariański biskup spojrzał na młodego oficera jakby nieco serdeczniej.

– Mam sprawę do ekscelencji – rzekł Ammian i wyciągnął rulon z listem do samego cesarza. – Mój ojciec złożył kiedyś cesarzowi obietnicę i teraz jej dotrzymał. Proszę oddać ten list cesarzowi, gdy tylko przybędzie do stolicy.

– Uczynię to. Pod czyją komendą służysz?

– Ursycyna.

Słyszając to imię, dostojnik kościelny nie wydawał się zadowolony. Arianie, którzy zaciekle walczyli z katolikami, taką samą niechęcią darzyli pogan. Ammian był jednak mimo młodego wieku człowiekiem odważnym.

– Czy jesteś chrześcijaninem? – zapytał biskup.

– Nie, ekscelencjo.

Teraz biskup wydał się młodzieńcowi prawie smutny.

– Wielka szkoda. Będę modlił się o twoje nawrócenie.

Ammian poczuł się nieswojo, niekomfortowo.

– Czy moja wartość jako Rzymianina i żołnierza ma być mierzona religią? Przypomnę, ekscelencjo, że to pogański Rzym zbudował imperium, którego mamy bronić. To poganie zbudowali cywilizację, drogi, świątynie, akwedukty. Gdy chrześcijanie będą mieć podobne osiągnięcia, uczynią coś nadzwyczajnego, z radością ich powitam.

Biskup Macedoniusz był wykształconym człowiekiem i rozmowa z innym wykształconym Rzymianinem była dla niego przyjemnością, wymykającą się właściwemu Ammianowi poczuciu sensu. Dla chrześcijan spotkanie myślącego, znającego ich pisma i religię poganina, który mimo to ją odrzucał, stanowiło jakąś niezwykłą intelektualną podniecię lub duchowe pragnienie, by za wszelką cenę przeciągnąć go na stronę Kościoła. Ammian miał odtąd ciągle tego doświadczać.

– Wy, poganie, macie poczucie wielkości cywilizacji – rzekł Macedoniusz.

– Ale dla nas ona istniała tylko po to, aby wypełnić ją logosem i Chrystusem. Mówisz, że nie ma chrześcijan, którzy dokonali czegoś nadzwyczajnego. Ja jednak takiego człowieka znam i napiszę dla ciebie list, abyś mógł go poznać.

– Kto to taki? – zapytał z powątpiewaniem Ammian.

– Człowiek, który dokonał czegoś, czego żaden z pogan nie dokonał. Cywilizuje Gotów, nawracając ich na wiarę Pana naszego, Jezusa Chrystusa.

Ammian musiał przyznać, że to było zdumiewające.

– Któż to taki?

– Biskup Taurydy, Wulfila.

Na dźwięk tego barbarzyńskiego imienia w zestawieniu ze słowem *biskup* Ammian zareagował niedowierzaniem i zaciekawieniem.

– Chętnie się z nim spotkam. Nie mam zbyt wielu znajomości na cesarskim dworze.

Macedoniusz uznał, że w młodego oficera warto zainwestować. Kilka dni później rzeczywiście sługa patriarchy przyniósł napisany po grecku list do człowieka imieniem Wulfila, który w owym czasie miał mieszkać w prowincji Mezja Dolna<sup>[26]</sup>. Ammian nie zdawał sobie sprawy z tego, że spotkanie z tym człowiekiem zaważy na jego życiu.

\*

Ammian poznawał Konstantynopol. Jako oficer garnizonu miejskiego na razie nie miał zbyt wielu wojskowych zadań. Ursycyn zauważył, że młody Grek gardził popularnymi, rozpalającymi motłoch do wściekłości wydarzeniami jak wyścigi rydwanów. Prości żołnierze zakładali się o pieniądze, ale ten oficer wolał iść do jednej z fantastycznie zaopatrzonych bibliotek.

– Mam intelektualistę w armii – powiedział do siebie Ursycyn, któremu żołnierze donieśli, że Ammian po obowiązkowej musztrze, bieganiu i ćwiczeniach konnych idzie do biblioteki czytać pisma Ariusza.

– Czyżbyś chciał nawrócić się na ariańskie chrześcijaństwo? – zażartował podczas wieczerzy.

– Nie, ale zamierzam dokładnie poznać oba odłamy chrześcijaństwa. Jak się wydaje, skoczą sobie do oczu – rzekł młody człowiek.

Jednak Ursycyn nie miał wcale dobrych wiadomości. Przyszedł bowiem list do cesarza, podczas którego nieobecności – Konstancjusz maszerował ze swoimi wojskami od granicy perskiej – na zachodzie wybuchł kolejny bunt, nowa uzurpacja. Tym razem pretendentem do cesarskiego diademu był Magnencjusz.

– Będzie wojna domowa? – zapytał przerażony Ammian.

– Jeśli się nie dogadają – odparł Ursycyn. – Jednak nie to jest najgorsze. Pewną rolę w tej uzurpacji miała odegrać Konstantyna, siostra cesarza. A to już jest poważny kłopot. Jedno jest pewne, chłopcze, czas naszego nieróbstwa dobiegł końca.

## ROZDZIAŁ IV

### *Pierwsza krew*

#### *KONSTANTYNOPOL, 350 ROK*

W końcu do stolicy zjechał cesarz Konstancjusz II, który z upływem czasu stał się jeszcze bardziej posepny, niż był w czasach ojca Ammiana. Przyjechał do Konstantynopola w towarzystwie setek żołnierzy, podczas gdy jego wielka armia zajęła na leżą zimowe ziemie po drugiej stronie Propontydy. Ursycyn zabrał ze sobą na widzenie z cesarzem Ammiana, jedynego młodego arystokratę w korpusie oficerskim w Konstantynopolu w tamtym czasie, by jako sprawny obserwator mógł się przypatrzeć władcy i jego nader osobliwym zachowaniom.

Przed wszystkim Ursycyn przestrzegł młodego człowieka, aby w ogóle nie wspominał innych członków rodziny cesarskiej, chyba że panujący sam o nich powie.

– Dlaczego?

– Bo ta rodzina nienawidzi sama siebie.

– Wiem, o czym mówisz. Lato roku śmierci Konstantyna Wielkiego pociągnęło za sobą tyle zgonów – westchnął młodzieniec.

– Ciszej, na bogów podziemi! – syknął Ursycyn. – O masakrze rodziny cesarskiej nie piśnij nawet. Jeśli natomiast cesarz przypomni sobie, żeś synem człowieka, który uratował z rzezi dwu jego bratanków, możesz być pewny, że wiedziony przez swoją próżną, mściwą i złą naturę wystawi cię na próbę, która może kosztować cię życie.

Konstantynopol był miastem niebezpiecznym. Ammian miał jeszcze tyle pytań, ale nie chciał wystawiać cierpliwości Ursycyna na próbę. Po raz pierwszy poczuł strach, gdy szedł na spotkanie z cesarzem. Doskonale pamiętał o tym, jak należy się zachować. Idąc w stronę cesarza siedzącego

na tronie w sali audiencyjnej pałacu cesarskiego, nie należało patrzeć na niego, tak jak nie spogląda się na słońce, by jego blask nie oślepił tego, kto patrzy. Mówić tylko wtedy, gdy sam o to poprosi, i po zakończonej audiencji nigdy nie odwracać się plecami, lecz wychodzić twarzą do niego i tyłem do drzwi.

Najmłodszy syn Konstantyna Wielkiego przyjął ich, siedząc na tronie. Ammian poczuł niepokój, ponieważ zdał sobie sprawę z tego, że coś nie jest tak, jak powinno być. Konstancjusz II był wysokim, dość potężnie zbudowanym mężem, nad wyraz szczupłym, co przy wysokim wzroście sprawiało wrażenie, jak gdyby postać cesarza była z innego świata. Twarz poważna, skupiona, oczy wyłupiaste, ostro zarysowany rzymski nos, cera blada, włosy obcięte krótko, w stylu wojskowym. Ammian nie poczuł do cesarza ani krzty sympatii. Gdy weszli do sali audiencyjnej, cesarz ubrany był w purpurową ręcznie tkaną szatę, przepasaną pasem inkrustowanym złotem. Ale zupełnie nie zwracał uwagi na przybyłych, którzy nerwowo zerkali na szpaler gwardii przybocznej stojącej na baczność w dwu rzędach prostopadle do tronu. Ammian spojrzał na cesarza, gdy zatrzymali się o dobre dwadzieścia kroków od jego tronu – Konstancjusz II trzymał na kolanach oprawioną w złoto czaszkę!

Ursycyn i młody oficer popatrzyli to na władcę, to na siebie, ale nie pisnęli słowa, gdyż był to widok niespotykany i niesamowity. Konstancjusz II zdawał się coś szeptać do czaszki, ale z powodu odległości nie mogli usłyszeć, co takiego. Ammianowi od razu przypomniały się szaleństwa Kaliguli czy Heliogabala, ale po chwili zrozumiał, że cesarz przybrał taką pozę rządzenia. Czaszka to niesamowitość i groza, tak sobie to w owej chwili młodzieniec tłumaczył. Ursycyn chrząknął, ale Konstancjusz II dopiero po chwili odezwał się z wyraźnie złośliwą nutą w swoim oschłym głosie:

- Czyżbyś zachorował, wodzu Ursycynie?
- Nie, *domine*, jestem najzupełniej zdrowszy.
- Dlaczego więc przeszkadzasz mi w rozmowie z moją umiłowaną małżonką? – zapytał cesarz z pretensją w głowie. – Zawsze gdy zbierają się

ciemne chmury nade mną, ona mi doradza. Jak teraz.

Ammian poczuł dreszcz. Czyżby imperator jednak rozmawiał z czaszką?

– Pokornie proszę, auguście, o wybaczenie – rzekł Ursycyn. – Jednak przyszedłem tutaj w sprawach najwyższej wagi. Dwór już wie o liście szlachetnej siostry waszej i o buncie Magnencjusza. Poczyniłem już pierwsze kroki i pchnąłem umyślonych do garnizonów naddunajskich, aby wojska gotowały się do drogi. Wojska zachodnie pociągną ku nam. Jednak, jeśli mogę zapytać, co stało się z twoim bratem, cesarzem Konstanssem?

Wówczas Konstancjusz chwycił czaszkę i zwrócił ją oczodołami, ziejącym pustką nosem i gładkimi zębami w stronę własnej twarzy, po czym przyłożył ją sobie do ucha.

– Moja ukochana powiedziała mi, co mam zrobić – rzekł po chwili z powagą. – Sytuacja jest jeszcze gorsza, niż myślicie.

– Cóż może być gorszego niż udział twojej siostry w spisku i zdradzie Magnencjusza? – zapytał Ursycyn, który miał większą śmiałość wobec cesarza i jego dziwactwa.

– Moja siostra jest mi wierna. Musiała poprzeć sprawę Magnencjusza tylko z jednego powodu. By nie skończyć jak mój brat!

Ursycyn i Ammian popatrzyli po sobie, przerażeni. Coś musiało stać się z bratem cesarza, a średnim synem Konstancjusz Wielkiego. Ależ groza!

– Mój brat opierał się na arystokracji pogańskiej – mówił ze smutkiem Konstancjusz II, pieszcząc dłońmi czaszkę spoczywającą mu teraz na kolanach. – Wiele razy przed nimi ostrzegałem, także wtedy, gdyśmy się kłócili o Kościół. Bliska mi jest doktryna ariańska, ponieważ oddaje ona porządek filozoficzny Boga, mój brat natomiast ślepo ufał katolikom. Ale to nie oni są winni jego śmierci. Kilka miesięcy temu, jak pisze mi siostra w drugim, tajnym liście, ludzie Magnencjusza dopadli go w małej miejscowości w Pirenejach. Próbował się schronić w kościele i tam dopadli go, przeklęli, i zasiekli mieczami! A moja kochana mnie przed tym ostrzegała. Czy uwierzycie, że wioska, gdzie zarżnęli mego brata, nosiła nazwę Helena, jak imię naszej babki?



Mówiąc to, Konstancjusz II podniósł doskonale zachowaną czaszkę i przyłożył usta do jej zębów – tam, gdzie niegdyś kwitły usta, które całował.

– Czyja to czaszka? – szepnął najciszej, jak mógł, Ammian.

– Jego pierwszej żony Julii Konstancji – odparł równie cicho Ursycyn. – Mieli oboje po naście lat, jak się poznali, i ona umarła kilka lat po masakrze, jakiej w roku śmierci Konstantyna jego synowie dokonali na swojej rodzinie. Podobno była to wielka miłość i od tej pory Konstancjusz zawsze tę czaszkę trzyma przy sobie.

Ammian i Ursycyn mieli podstawy, aby obawiać się o cesarza. Wszystkie te ciosy, śmierć obu braci – Konstantyn II zginął w wojnie z Konstanssem, którą sam wywołał, a teraz śmierć kolejnego brata, bunt na zachodzie, świadomość masakry, jakiej dopuścił się na rodzinie latem 337 roku – wszystko to musiało oddziaływać silnie na jego psychikę. Ammian zdał sobie sprawę z tego, że albo Konstancjusz II zmierza w kierunku obłądzenia, albo była to wyrafinowana poza, na którą mógł sobie pozwolić z prostej przyczyny – ponieważ nikt inny nie mógł sobie na nią pozwolić.

Po chwili, złożywszy pocałunek, cesarz zapytał Ursycyna:

– O, kogóż to Bóg mi zesłał wraz z tobą?

Ammian poczuł się dużo gorzej niż wezwany nagle przez nauczyciela filozofii do omówienia jakiejś kwestii na wrywki. Patrzył na niego pan życia i śmierci wielu ludzi. Ursycyn skinął na młodzieńca, by się przedstawił.

– Zwę się Ammian Marcellinus.

– To nazwisko wydaje mi się znajome – rzekł Konstancjusz II.

– W istocie, mój ojciec ci służył, *domine* – odparł młody człowiek.

– Szepce mi ukochana, że to syn człowieka, który przed laty nie wykonał mojego rozkazu – powiedział cesarz. – Dobrze pamiętam. Jesteś więc synem Aureliusza Marcellinusa. Dobry to był żołnierz, muszę przyznać. Czy teraz chcesz mi służyć?

– Tak, *domine*. Mój ojciec napisał ci list. Ja jestem teraz za niego.

– To wspaniały młody człowiek. Zna języki obce, w tym perski – wtrącił Ursycyn.

– W takim razie masz zadanie, młody człowieku. Wróciłem z nad perskiej granicy i mam jeńca znakomitego rodu. Przesłuchasz go i zdecydujesz, czy mamy go puścić wolno za dużym okupem, czy też go stracić. Niech to będzie twoja pierwsza krew, młody człowieku! – rzekł Konstancjusz II.

Po czym nagle wstał i pokazał Ursycynowi, że zaraz spotkają się z ministrami dworu cesarskiego, gdyż tajny list Konstancyi zawierał jeszcze gorsze rzeczy niż tylko wiadomość o rebelii Magnencjusza. Ale na to spotkanie młody człowiek nie miał już wstępu. Wrażenie, jakie zyskał po spotkaniu z cesarzem, było wstrząsające: Konstancjusz II był ich panem, ale zarazem człowiekiem nieradzącym sobie ze swoimi demonami.

\*

Jak się potem okazało, rzeczywiście sprawy polityczne zagmatwały się strasznie. Otóż wódz naddunajskich sił rzymskich, Warynian, wykorzystując zamieszanie powstałe po rebelii Magnencjusza w prowincjach zachodnich oraz po śmierci ich prawowitego pana, cesarza Konstansa, został przez tamtejsze wojska sam ogłoszony cesarzem. A zatem już dwu uzurpatorów! Konstancjusz II mógł mu nawet uwierzyć, że stało się to wbrew niemu. Zdziałał tutaj prosty mechanizm. W czym armia zachodu ma być lepsza od nas, armii naddunajskiej? Przytomność umysłu zachowała podróżująca z Mediolanu do Konstantynopola siostra cesarza, Konstancya, która zrobiła sobie odpoczynek w Sirmium nad Sawą, dużym miastem powstałym jako gród wokół wielkiego rzymskiego obozu wojskowego za cesarza Trajana, a więc przed dwustu laty. Zdała sobie sprawę z tego, że rebelii prowincji zachodnich jej brat nie powstrzyma, jeśli utraci armię Dunaju. Powiadomiony tajnym listem przez siostrę, Konstancjusz szybko uznał Wiktoryna za współwładcę, dając mu równoprawny tytuł augusta. Przynajmniej chwilowo alarm na granicy dunajskiej został powstrzymany. Ale na jak długo? Przecież zaraz za wielką rzeką, granicząc z prowincjami Mezja Dolna i Mezja Górna, mieszkali Goci

– lud, który już wiek wcześniej wstrząsnął światem rzymsko-greckim, zdobywając Ateny, niszcząc Akropol i pałac Efez z jego cudowną świątynią Artemidy.

Gotów nie należało drażnić. Konstancjusz zaś musiał ich kupić, dać im coś wymiernego, aby tysiące ich wojowników nie obróciły się przeciwko cesarstwu. To właśnie omawiał z Ursycynem. Armia wschodnia, licząca trzydzieści legionów (każdy po tysiąc ludzi) i dwadzieścia sześć tysięcy ciężkozbrojnych jeźdźców, stanowiących cały wschodni korpus *comitatenses*, czyli wojsk posiłkowych, stacjonowała na leżach zimowych po drugiej stronie Propontydy. Mennice cesarskie ogołociły ze złota skarbiec, bijąc monetę celem opłacenia tych wojsk. Żołnierz dobrze opłacony to jeszcze za mało. Ludzie Konstancjusza powstrzymali latem tego roku pod Nisbis wielką armię perską króla królów Szapura II, okrutnego i przebiegłego władcy z dynastii Sasanidów. Król perski płakał ponoć, zostawiając na polu bitwy ponad dwadzieścia tysięcy ciał swoich żołnierzy, choć Persowie jako zaratusztrianie oddawali ciała swoich bliskich na pożarcie ptakom i dzikim zwierzętom. I tak Konstancjusz mógł powiedzieć z dumą, że powstrzymał wielkiego wroga Rzymu. Tak więc wojska były okrutnie zmęczone i nie byłoby rzeczą rozsądną zmuszać je do ponadludzkiego wysiłku. Kolejna kampania, tym razem przeciwko uzurpatorom, musiała poczekać. W opinii cesarza król perski miał na wiosnę nie zaatakować, bo sam lizał rany. Ursycyn był tego samego zdania. I takie były okoliczności, w których młody oficer miał po raz pierwszy zostać pionkiem na szachownicy, obserwatorem historii, którą uwielbiał i której w przyszłości chciał poświęcić życie jako historyk Rzymu.

Ammian, otrzymawszy zadanie do wykonania od cesarza, poszedł do stajni, gdzie w klatce, ale z wygodnym pościeleniem i kubłem na potrzeby fizjologiczne, siedział jeniec cesarza. Kim jest, nie chciał wyjawic niżej urodzonym. Persowie gardzili Rzymianami i uważali cesarstwo za źródło wielkiej zarazy, która nawiedziła monarchię perską. Szapur II był strasznym prześladowcą chrześcijan – zabił ponoć tysiące wyznawców

Chrystusa, a prześladowania były ponoć okrutniejsze niż te, których chrześcijanie doświadczyli za czasów Dioklecjana i Galeriusza, czyli ledwo przed trzydziestu laty. Ammian czuł się podekscytowany rozkazem. Sam ma ocenić, kim jest jeńiec i czy może się przydać. Jeśli nie, będzie mógł go zabić. Ammian nigdy wcześniej nie zabił człowieka i nie wiedział, co to znaczy odebrać komuś innemu życie. Nie chciał tego czynić. Pociągała go inność jeńca, świadomość tego, że pochodzi on z innego, równie wielkiego świata, co *Imperium Romanum*.

Podszedł więc do jeńca, który podniósł się z żołnierskiego materaca przykrytego końską derką. Wokół śmierdziało końmi i potem. Pers miał na sobie znoszone i brudne, ale niegdyś świetne szaty. Ammian poznał, że twarz tego człowieka nie należała do pospolitych. Był śniady, jak to Persowie, nosił starannie wypielęgnowaną brodę, splecioną na końcu.

– Nazywam się Ammian Marcellinus – rzekł po persku, czym sprawił jeńca w zdumienie. – Jestem cesarskim oficerem i zostałem przydzielony do twojej sprawy. Cesarz mnie powierzył przesłuchanie cię.

Jeniec zmieszał się. Nie spodziewał się, że po stronie rzymskiej są ludzie mówiący w ich języku.

– Skąd znasz farsi?

Tak nazywał się język Achemenidów i teraz Sasanidów, język poezji miłosnej, filozofii, sztuki i polityki.

– Lubię języki i inne kultury – odparł Ammian. – Pragnę kiedyś zostać historykiem i chcę z tobą porozmawiać.

– Czy jesteś szlachetnie urodzony?

– Jestem synem ekwity, co można porównać do waszego rycerza.

Słyszając perskie słowo na określenie człowieka wysokiego urodzenia, Pers postanowił się otworzyć. Nic nie miał do stracenia.

– To dla mnie niezrozumiałe, że wasz cesarz przysyła tak późno kogoś równego mi urodzeniem – zaczął – no, prawie równego, żeby ze mną porozmawiać.

– Cesarz jest zajęty.

– Ja się nie dziwię. Wyobraź sobie, że mój pradziadek, król królów Szapur Pierwszy, syn światłości, wsiadał na konia po karku waszego cesarza Waleriana Augusta. A teraz chcę się wykąpać, chcę dostać czyste ubranie i potem chcę jeść.

– Jedz teraz – rzekł Ammian, widząc, że owsianka w misce jest nietknięta od rana, a poza tym nie dowierzał jeńcowi, który się jeszcze nie przedstawił.

– To jedzenie dla świń. To nas właśnie różnicuje, Rzymianinie. Ja jestem czysty i jem jedzenie dla ludzi, a nie dla świń.

Ammian jeszcze bardziej się zaciekał. To naprawdę musi być ktoś znaczny – pomyślał. – Jednak cesarz przekazał jeńca mnie. Postanowił zaryzykować i potraktować jeńca godnie, z szacunkiem, jakiego się dopominał. Wyprowadził zatem perskiego wielmożę z celi, zaprowadził go do łaźni cesarskiej, z której ten długo i intensywnie korzystał. Następnie kazał dać mu nowe rzeczy, może nazbyt w rzymskim stylu, ale przynajmniej czyste i schludne, a brudne szaty oddać niewolnikom do pralni. Potem zaprowadził jeńca na swoją kwaterę, gdzie kazał służącym Ursycyna podać mu zupę z gotowanej czarnej soczewicy, z czosnkiem, posiekaną kapustą i rzepą oraz świeże sardele z Propontydy usmażone na oliwie. Do tego już z własnych pieniędzy zamówił sextariusz wina z cesarskich winnic trackich. Nie miało ono wyrafinowania win syryjskich czy sycylijskich, ale w Konstantynopolu coraz rzadziej spotykano towary z zachodniej części imperium.

Pers nie gardził jedzeniem. Zupę zjadł z dokładką, a pachnące i fantastycznie chrupiące sardele jadł z Ammianem z jednego półmiska, rozkoszując się każdym kęsem. Dopiero gdy zakosztowali wina, perski młodzieniec (gęsta broda dodawała mu wieku) rzekł spokojnie, ale z powagą, ważąc każde zdanie:

– Nazywam się Sardaszir i jestem najmłodszym synem króla Szapura Drugiego, *szachinszach eran ud aneran*<sup>[27]</sup>, syna Ormuzda, niech jego panowanie będzie wieczne.

– Równie dobrze ja mógłbym powiedzieć, że jestem synem cesarza. Dlaczego miałbym ci wierzyć? – zapytał Ammian.

– Ponieważ potraktowałeś mnie jak człowieka i jestem ci wdzięczny. Nie zniżyłbym się, by rozmawiać z kimś niższego urodzenia, a już na pewno nie z jakimś prostackim Rzymianinem, bez urazy.

Teraz Ammian zaczął się zastanawiać, dlaczego cesarz nie wie, że ma syna króla perskiego.

– Jestem pod wrażeniem – powiedział, nie kłamiąc, Ammian. – Nie przypuszczałem, że masz tak wielką godność. Powiadomię cesarza, że jesteś na jego dworze.

Młody Pers zatrwożył się.

– Proszę, nie czyni tego – rzekł. – Wasz cesarz nienawidzi, z wzajemnością, mego ojca i gdybyś to uczynił, z pewnością nie wyszedłbym żywy z Konstantynopola. Z tego powodu milczałem o tym, kim jestem, kiedy mnie wzięliście do niewoli. Dwie są ziemie, których ojciec wam zazdrości. Syrii, którą uważamy za swoją, i Konstantynopola. Ale Persja, choćby zebrała wszystkich wojowników od ruin Babilonu do gór Hindukuszu, nie zdobyłaby tego miasta. Konstantyn był geniuszem, robiąc z Bizancjum stolicę.

Faktycznie – nie minęło jeszcze lat pięćdziesiąt, a Konstantynopol już przewyższał stary Rzym pod względem rozległości ulic, parków, pałaców, dzielnic mieszkalnych. Wybudowano stadion, hipodrom, imponujące budynki senatu i kurii rzymskiej. Zatoka Złotego Rogu, przez którą przeciągnięto gigantyczny łańcuch, zabezpieczała miasto od strony morza.

– Miło mi, że tak mówisz, książę. Wzięcie za ciebie okupu przysporzyłoby mi chwały u cesarza.

– To człowiek mściwy i okrutny – oznajmił książę Sardaszir. – Czy widziałeś, z jaką atencją pieści czaszkę? To człowiek niespełna rozumu.

– To pierwsza żona cesarza, Julia Konstancja. Była jego wielką miłością i cesarz nie jest w stanie się z nią rozstać nawet po jej śmierci – wyjaśnił Ammian, który już wszystkiego dowiedział się z plotek i codziennego

chodzenia do biblioteki. – Był najmłodszym synem Konstantyna i nikt nie brał jego sukcesji na poważnie. Nie obrażaj, proszę, cesarza.

Pers pojął, że pozwolił sobie za dużo. Chciał wynagrodzić tę mimowolną zniewagę Rzymianinowi mówiącemu po persku – jego umiejętność naprawdę go zaskoczyła.

– Opowiedz mi o swoim ojcu i początkach dynastii Sasanidów – rzekł Ammian.

I Sardaszir opowiedział, a była to opowieść niezwykła. Reprezentant królewskiego rodu doskonale znał tradycję ustną swojego kraju. Opowiedział zatem historię Ardaszira, który przejął stolicę Partów, Ktezyfon, miasto wielkie i ludne, które w Mezopotamii zastąpiło Babilon, i zajął tron, dopuszczając elitę perską do władzy. Sardaszir przekazał Ammianowi perską wersję kampanii sprzed stu lat, kiedy cesarz Walerian bez ciężkiej jazdy ruszył z dziesięcioma sześciotysięcznymi legionami na kampanię do Syrii. Szapur I, dziadek obecnego władcy, zaskoczył Rzymian na równinie pod Edessą. Szczegółowo opisał bitwę, która zgodnie z rozkazami następnego cesarza miała zostać na zawsze wykreślona ze wszystkich rzymskich annałów i kronik. Ammian wiedział o niej od ojca, ale choć szukał kiedyś w Antiochii w bibliotece informacji na ten temat, nie znalazł nic. Niewolnik miłujący książki rzekł mu, że w sprawie rzezi pod Edessą obowiązuje cenzura. I okazało się to prawdą. Rzymianie nie chcieli się przyznać do tej klęski ani do tego, że boski cesarz został wzięty do niewoli.

– Co się stało z Walerianem?

Wówczas Pers złowrogo się uśmiechnął.

– Nie chcesz tego wiedzieć – powiedział całkiem rozsądnie.

– Przeciwnie, chcę wiedzieć wszystko do końca.

– Jużem ci to rzekł, że dziadek, król królów Szapur Pierwszy, używał Waleriana jako podnóżka, gdy na koń siadał. Ale to nie wszystko. Woził go w klatce, zamkniętego jak dzikie zwierzę, pokazywane publicznie ku uciechu motłochu. To wszystko jeszcze cesarz znosił, wierząc zapewne, że jego syn... Jak on się nazywał?

– To był cesarz Galien – odparł Ammian zgodnie ze swoją wiedzą.

– No więc jego syn, wasz cesarz Galien, jednak nie wykupił ojca z niewoli. Potem dziadek wpadł jeszcze na kilka pomysłów. Cesarz zmywał naczynia, wynosił królewski nocnik, ale dziadkowi było mało. Chciał się nasycić klęską swego wroga. Wiem, co myślisz. Żeśmy są okrutni.

Ammian nic na to nie odrzekł. Po chwili Pers powiedział z uśmiechem:

– Rzeczywiście, jesteście tacy. Nie ma sensu się oszukiwać, że jest inaczej. Walerian załamał się. Nie chciał jeść. Więc dziadek kazał go karmić nagiego, szczonego przez psy. Jednak strażnicy nie upilnowali go kiedyś nocą i Walerian powiesił się. Nagi, pokryty moczem, gdyż sikały na niego psy. Jednak i po śmierci Szapur Pierwszy nie oddał mu honoru ani sprawiedliwości. Kazał odciąć głowę i wygotować ją w garnku.

Ammian z trudem znosił tę opowieść grozy.

– Co było dalej?

– Z czaszki cesarza Waleriana kazał zrobić puchar, oprawiony w srebro i inkrustowany lapis-lazuli. Ten puchar należy teraz do mojego ojca. Mój ojciec uwielbia pić z niego wino. Tylko z tego pucharu mu smakuje. Nie masz mi za złe tej opowieści? Być może ubarwiłem ją, by wy badać, jakim jesteś człowiekiem...

– Nie mogę tego wykluczyć, ale chcę zająć się historią Rzymu tak, jak nikt tego przede mną nie dokonał. Muszę mieć różne źródła. Ty jesteś bezcennym źródłem, bo perskim. Pozwolisz, że spiszę opowieść na papirusie. A od teraz będziesz mieszkał, książę, ze mną na mojej kwaterze.

Ammian potrzebował kilku dni, by zorganizować sobie w kwaterze wojsk cesarskich małą pracownię. Kupił papirusy, pióra gęsie, inkaust i zaczął spisywać opowieści perskie. Uznał, że są ciekawe, anegdotyczne, ale to tylko surowy materiał na dzieło historyczne. Na pisanie prawdziwej historii nie był jeszcze gotowy. Za mało wiedział i za mało widział, za mało przecierpiał.

– Co ze mną będzie? – zapytał pewnego dnia Sardaszir.



– Muszę sfingować twoją śmierć – odparł Ammian, który już prawie zaczął lubić księcia.

\*

Ammian nie musiał się jednak trudzić. Z kancelarii cesarskiej przyszedł rozkaz zgładzenia jeńca. Konstancjusz II być może wcześniej zamierzał go wymienić albo zyskać za niego wysoką cenę, ale jego uwagę przyciągnęły bunty na zachodzie oraz w prowincjach naddunajskich. Na Persję nikt nie zwracał już uwagi. Ścięcie jeńca wydawało się najprostszym rozwiązaniem w tej sytuacji, ale jednak byłoby błędem, może nawet o kolosalnych skutkach. Jednak ta sprawa przerastała skromnego, młodego oficera jazdy. Musiał porozmawiać poważnie z jedynym człowiekiem w Konstantynopolu, z którym mógł w zaufaniu tę kwestię omówić. Tym człowiekiem był Ursycyn. Ammian udał się do niego i wypalił krótko:

– Ten jeńiec to Sardaszir, najmłodszy syn Szapura Drugiego, króla perskiego. Nie możemy go ściąć.

Ursycyn zrozumiał w mig, na czym polega bezsensowność i głupota rozkazu. Z Persją mieli tylko rozejm. Być może cesarz podpisał rozkaz, bo jakiś gorliwy wyzwolenciel chciał się popisać i wiedząc o nienawiści, jaką szczerze i bezinteresownie cesarz darzył Persów, nakłonił skupionego już tylko na rebeliach Konstancjusza do podpisania wyroku?

– Możemy iść do cesarza, by odwołał rozkaz – zauważył Ammian.

– Jesteś młody – odrzekł Ursycyn. – To zarazem wada i zaleta. Konstancjusz Drugi odziedziczył po ojcu najgorsze cechy. Jest człowiekiem usposobionym złośliwie wobec innych ludzi. Gdy zauważy, że na czymś ci zależy, zrobi wszystko, żeby ci tego nie dać. Dla samej złośliwości. Poza tym cesarza nie ma już w stolicy. Wyjechał na negocjacje z Warynianem do Serdyki<sup>[28]</sup>, a one potrwają długo, bo to jedyna szansa na uniknięcie wojny domowej.

– Więc jesteśmy w tarapatkach. Wykonać rozkaz, to narazić cesarstwo na kolejny krwawy konflikt z Persją, bo Szapur Drugi nam tego nie daruje

– mówił przejęty Ammian. – Jeśli nie wykonamy rozkazu, to narazimy się na gniew Konstancjusza Drugiego, być może uwięzienie. Nie mam na to ochoty.

– Ani ja, młody człowieku – przyznał otwarcie wódz Ursycyn, lecz po chwili zastanowienia dodał: – Jest też trzecie wyjście.

– Jakie?

– Wykonać rozkaz i nie wykonać go jednocześnie.

– Nie rozumiem – rzekł zdezorientowany Ammian.

– Pomyśl, młodzieńcze.

Dopiero po chwili młody oficer zrozumiał intencje dowódcy. Poszedł więc sprawdzić rejestr aresztowanych ostatnio przestępców. Wytypował trzech mężczyzn, którzy mogli być podobni do Sardaszira, ten zaś, przeczuwając kłopoty, ukrywał się na kwaterze Ammiana Marcellinusa. Ostatecznie wybrał jednego z nich, Gimnasa, mordercę i złodzieja, który i tak czekał w więzieniu w porcie na wykonanie wyroku za zabójstwo marynarza cesarskiej floty. Ammian udał się z małą gratyfikacją finansową do naczelnika więzienia, aby wszelki ślad po Gimnasia został wymazany w dokumentacji. I tak się stało. Przestępca zniknął, jak gdyby nigdy nie istniał.

Przy okazji młody oficer miał się przekonać, że mechanizmy korupcyjne są wszechpotężne i nie da się ich wyplenić. A winny temu był fiskalizm cesarski. Ammian, dokonując małego szachrajstwa w imię wyższego celu, mógł zobaczyć, że ogromna armia, jaką trzeba było utrzymać, oznaczała dla zwykłych ludzi gigantyczne podatki, nakładane co roku i ściągane bez litości. Po raz pierwszy zdał sobie sprawę z tego, że słowa ojca o tym, że Rzym będzie istniał, póki będą pieniądze na wojsko, mają podwójne znaczenie. Podatki duszą imperium od środka. Cesarstwo Augusta i Hadriana opierało się na przywództwie lokalnych elit, które były lojalne wobec Rzymu i egzekwowały prawo. Teraz te lokalne elity same wybierały swoich cesarzy, ponieważ ośrodek centralny już nie sterował, tylko ściągał podatki na kolejne wojny po drugiej stronie Morza Śródziemnego. Niewesołe były te przemyślenia młodego człowieka.

W nocy przetransportowali przestępcę sami, nikogo nie wtajemniczając – ani sług, ani żołnierzy. Gimnas niczego jeszcze nie podejrzewał, bo myślał, że wyjdzie cało z tej awantury. Być może wynajmą go znów do brudnej roboty? Ammian podał mu wino ze środkiem usypiającym. We dwóch z Ursycynem związali go, a następnie odstawili do celi perskiego księcia i przebrali w jego wyprane ubranie. Nad ranem Gimnas obudził się w celi w koszarach i zrozumiał, że zadrwiono sobie z niego okrutnie. O świcie przeprowadzono egzekucję. Ursycyn odczytał wyrok na perskiego jeńca. A tymczasem prawdziwy Sardaszir mógł widzieć swoją egzekucję z wychodzącego na plac apelowy okna kwatery Ammiana. Pers zadbał o zmianę wyglądu. Ogolił się i w chitonie, z płaszczem przerzuconym przez ramię wyglądał na zwykłego mieszkańca Konstantynopola.

Jednak egzekucja nie do końca przebiegła planowo. Ursycyn miał też w tym swój ukryty zamiar. Ammian został oficerem nie z powodu zasług, ale koneksji w armii i swego urodzenia. Dobry oficer i żołnierz musi czasem zabijać. A ten młody mężczyzna nigdy jeszcze nikogo nie zabił. Gdy przyprowadzono skazańca ubranego w perskie szaty, którego następnie dwaj żołnierze przywiązali za ręce do dwóch palików wbitych w ziemię, Ursycyn chwycił długi rzymski miecz – spathę, po czym wezwał Ammiana, zupełnie zaskoczonego tą sytuacją.

– To jest rozkaz. Z twojej ręki.

Ammian zadrżał na samą myśl o odebraniu komuś życia. Zabiciu nie świni, nie owcy, ale człowieka, który choć był śmieciem i przestępcą, to jednak człowiekiem takim samym jak ten, który wykonywał egzekucję. Jednak sięgnął po klingę. Jeden z żołnierzy oblał ostrze delikatnym strumieniem wody z bukłaka, aby dać cięciu spathy poślizg, dzięki któremu ostrze miało nie zatrzymać się na kręgosłupie, ale przeciąć go jak nóż tnący masło. W owej chwili Ammian poczuł, że ogarnia go smutna wściekłość. Pomyślał jednak zaraz, że jest być może pionkiem w grze sił większych niż on sam, niż cesarz Konstancjusz, niż chwała Rzymu. Zamknął oczy. Przypomniawszy sobie byka, w którego krwi odrodził się do życia. Był mitraitą świadomie, z wyboru. Odbieranie życia odbywało

się poza kategoriami dobra lub zła. Czasami było koniecznością. Jak w tym przypadku.

Podszedł do skazańca. Gimnas wiedział, co się stanie, ale odważnie spojrzął w oczy śmierci. Podobno odbija się ona w blasku miecza lub topora przykładanego na pniu katowskim do karku skazańca. Jednak tutaj nie było pnia, a skazaniec klęczał i widział swojego oprawcę.

– Spokojnie, chłopcze, dobrze przyłóż – rzekł Gimnas do drżącego Ammiana.

Ammian był mu w jakiś sposób wdzięczny. Należało ciąć spod siebie, mocno, bez wahania, aby głowa odpadła od karku za pierwszym razem. Przestępca w ostatniej chwili okazał się odważnym człowiekiem.

Mitro, Panie światła, dodaj mi sił – pomyślał Ammian. I wykonał cięcie. Krótkie i straszne. Jak piorun. Bluznęła krew z tętnic, obryzgała Ammianowi ręce. Była ciepła, lepka i pachnąca. Głowa Gimnasa odpadła.

To była jego pierwsza krew.

\*

Ścięcie Gimnasa zamiast perskiego księcia miało pozostać już na zawsze tajemnicą Ursycyna i Ammiana Marcellinusa. Kilka dni po ścięciu przestępcy Ammian odprowadził perskiego księcia przebranego za Greka do portu na statek do Antiochii. Dalej Sardaszir musiał radzić sobie sam. Uścisnęli sobie ręce w porcie.

– Nie spotkamy się już, książę – rzekł Ammian.

– Nie byłbym tego taki pewny. Jestem ci wdzięczny za uratowanie mojego życia. Niech Ormuzd, ojciec wszelkiej światłości, prowadzi cię. Twoja sława, Ammianie Marcellinusi, dotrze do twoich wrogów przed tobą, bo Persja jest wrogiem Rzymu, pamiętaj o tym.

– Pamiętam. Zatem do następnego spotkania, przyjacielu.

Pers wsiadł na statek, ale Ammian miał wrażenie, że w tym wszystkim, co się stało, nie było przypadku. Książę został uratowany w jakimś celu. On sam nie wiedział jeszcze, w jakim – Mitra miał mu to pokazać w przyszłości. Jednak ta pierwsza śmierć, jaką zadał, tkwiła w jego

wnętrzu. Była jak cierń, sprawiała cierpienie. Ammian nikomu tego nie powiedział, ale przepłakał całą noc po egzekucji, a cień Gimnasa, który widział w pokoju w tamtą ciemną noc, nie miał do niego pretensji. Nic też mu nie rzekł. Tak się Ammianowi wydawało, choć wypił tego wieczoru cztery sextariusy wina trackiego, żeby zagłuszyć sumienie.

## ROZDZIAŁ V

### *Odmowa*

#### *KONSTANTYNOPOL, ZIMA NA PRZEŁOMIE LAT 350/351*

Ursycyn nie miał dobrych wiadomości dla Ammiana. Zbliżał się czas, kiedy młody oficer miał otrzymać pierwsze bardzo poważne zadanie.

– Cesarz utknął w Serdyce na resztę zimy. Negocjacje z Wetraniem są podobno bardzo trudne. Nie chce tak łatwo ustąpić, drań jeden. Kilka tygodni temu zanosilo się, że sprzymierzy się z Magnencjuszem na zachodzie, co postawiłoby Konstancjusza w fatalnej sytuacji, ale...

Ammian zaczynał rozumieć grę Ursycyna.

– Ale Wetraniem jest twoim przyjacielem – dokończył młody człowiek.

– W istocie, razem walczyliśmy pod Konstantynem Wielkim – rzekł Ursycyn. – Przekonałem go, by przeszedł na stronę Konstancjusza, który uznał jego współwładztwo. Teraz toczą się negocjacje o warunki rezygnacji. Jest przecież oczywiste, że Wetraniem nie chce być cesarzem.

– Chce wynegocjować sobie lepsze warunki – domyślał się Ammian.

– Być może. Jednak w rozkazach, jakie przesłał Konstancjusz, są też polecenia dla ciebie. Masz pojechać do Mezji Dolnej, a więc przez Serdykę, gdzie zapewne zobaczysz się z cesarzem i jego siostrą. Udasz się do mieszkającego w samotni w górach mnicha i biskupa.

– Nie darzę sympatią biskupów, jak już wiesz – rzekł Ammian.

– Słońce Niezwyciężone prowadzi cię niełatwymi drogami – oznajmił nieco z przekąsem Ursycyn. – Masz pojechać do mieszkającego tam Wulfili, to pół Got, pół Grek, który nawrócił na arianizm Gotów mieszkających za Dunajem. Podobno sto tysięcy mężów, nie licząc kobiet i dzieci. Odbierzesz listy do starszyzny gockiej i pojedziesz do nich

z poselstwem. Wulfila jest protegowanym Konstancjusza i być może będzie ci towarzyszył. Po zakończonej misji wrócisz do Konstantynopola – dodał.

\*

Ammian był bardzo zadowolony z rozkazu. Uważał, że to dla niego szansa na zdobycie nowego doświadczenia. Historyk musi poznawać różne interpretacje, umieć odróżniać niuanse (dla niewtajemniczonych zawsze mętne) i przede wszystkim poznawać drugiego człowieka – swoje źródło. Obszerne notatki, jakie zrobił podczas pobytu perskiego jeńca, stanowiły już jedno niezwykle źródło. Musiał nad tym jeszcze popracować, zadać sobie pytania – kiedy Sardaszir mówił prawdę, kiedy koloryzował, jakie miał intencje, by powiedzieć to, co powiedział. Ammian wszedł na drogę pracy historyka, z której nie istniała droga odwrotu. Rzeczywistość mocno trzymała go w szponach – tu i teraz. Jako badacz przeszłości nie dostrzegał jeszcze niuansów, nie widział, że setki minionych dni składały się na jedną decyzję podejmowaną teraz. A ona z kolei miała mieć konsekwencje dla setek ludzi. Ammian chciał oddać głos nie decydentom, ale tym, którzy mieli ponieść konsekwencje ich decyzji. Wciąż jednak był młody. Wciąż nie doświadczył goryczy życia, nieodzownego warunku dojrzałości, a przecież tylko jako osoby dojrzałe możemy tworzyć. Cierpienie jest częścią procesu tworzenia, a twórca zawsze pozostaje sam wobec swego dzieła i geniuszu. Na razie było niewielu, którzy poznali się na młodym Greku.

Przyjął zadanie, spakował rzeczy. Jako posłowi przysługiwał mu drugi, juczny koń, na którego załadował zapas suszonych owoców, mięsa i chleba. Ze skarbca cesarskiego pobrał dużą sumę – dziesięć tysięcy sestercji w złotych asach i srebrnych denarach, z których na podróż i swoje wydatki miał wydać mniej niż dwa procent. Ruszył, kiedy śniegi zalegały jeszcze na górskich przejściach w Rodopach. Serdyka, pierwszy cel jego podróży, znajdowała się w górskiej kotlinie. Z tego powodu wybrał dobrą drogę przez Adrianopol i Filippolis.

Nie spiesząc się, dotarł na miejsce w dwa tygodnie i zameldował się w rozległym *palatio* otoczonym murem. Zauważył, że mnóstwo wojska stacjonowało wokół miasta. Po godłach i znakach legionowych poznał, że była to część wschodniej armii, którą Konstancjusz musiał przerzucić na europejski brzeg, żeby wzmocnić swoją pozycję negocjacyjną z uzurpatorem Wetraniem.

Ammian zaanonsował się na dworze cesarskim, który czasowo przeniósł się do Serdyki. Powiadomiono cesarza o jego przybyciu, jednak ten nie znalazł czasu, aby się z nim spotkać. Młody oficer otrzymał dość dobrą kwaterę z łóżkiem, ale pod wieczór wezwano go do prywatnej części komnat zajmowanych przez cesarza oraz jego siostrę Konstantynę. Ammian słyszał już o tej kobiecie w Konstantynopolu plotki straszne i obelżywe. I choć starał się nie wierzyć oszczercom, instynkt sprawiał, że nie bez obaw szedł na to spotkanie. Spodziewał się straży, ale nie napotkał nikogo. Wszedł do obszernej komnaty, urządzonej pysznie, z freskami sprzed kilkuset lat na ścianach. Panowała przyjemna atmosfera, a lampy oliwne paliły się jasnym płomieniem.

– Twoja sława cię wyprzedza, młody człowieku – usłyszał z głębi komnaty głos kobiety.

– Nie wiem, kim jesteś, *domina* – rzekł przezornie Ammian. – Ale z pewnością nie mam niczego, co mogłoby mnie uczynić sławnym.

– A jednak – odparła kobieta, wychodząc z cienia z nieoświetlonej lampkami oliwnymi części komnaty. – Przybycie kogoś oryginalnego na dwór ojca, a teraz brata, kogoś, kto zna języki obce, filozofię, kto nie boi się rozmawiać z biskupem Macedoniuszem bez uniżoności...

– Tak powiedział o mnie? – zapytał Ammian.

– A dziwisz się temu, młody człowieku? Biskupi lubią pokorę. Lubią też, by ktoś ucałował nabożnie ich dłoń.

– Ale ja do takich ludzi nie należę.

– A więc jesteś typem bezczelnym, a ja lubię bezczelnych młodzieńców.

Kobieta stanęła w świetle pochodni. Ammian zauważył, że jej podbródek jest rzeczywiście podobny do podbródka posągu Konstantyna



Wielkiego. Wszystkie zmysły Ammiana podpowiadały mu, że ta kobieta zawsze lub prawie zawsze dostaje to, czego chce.

– W takim razie składam ukłon, *domina* – rzekł ceremonialnie Ammian.

– Usiądźmy – zaproponowała. – Chciałabym zjeść z tobą wieczerzę.

Klasnęła w dłonie. Nagle zza drzwi weszły dwie służki, ubrane skromnie, w szare żeńskie chitony z narzuconą chustą w takim samym kolorze. Podały pieczone przepiórki, chleb w postaci dużego placka z ciemnej mąki oraz srebrne puchary. Na stole stanęło też wino z Mezji o owocowym bukicie.

– Potrafisz nalać kobiecie wino?

Ammian uczynił to z wzrastającą obawą co do tego, jak skończy się ta niespodziewana wieczerza.

– Nie chcę być posądzony o poufałość wobec siostry cesarza.

– Gdy będę chciała poufałości, poproszę cię o nią – powiedziała Konstantyna. – Teraz zjedzmy.

Spożywając wyborne przepiórki i przepijając winem, Ammian nie miał wątpliwości, jaki jest ostateczny cel Konstantyny. Jednak on nie miał zamiaru stawać się w jej rękach igraszką, tyleż płochą, co ulotną. W jego świecie kobieta wielkiego rodu i znaczenia stała wyżej od niego. Jednak postanowił podjąć tę zabawę. Chciał wiedzieć więcej o rodzinie Konstantyna oraz o jego synach.

– Moi bracia są głupcami – mówiła Konstantyna, wypijając trzeci puchar wina trackiego, które szybko wchodziło do głowy. – Żaden z nich nie odziedziczył talentu politycznego ojca, żaden nie posiadał jego zdolności do zjednywania sobie ludzi, żaden wreszcie nie ma zmysłu taktycznego na polu bitwy. Chyba wszystkie te cechy po ojcu odziedziczyłam ja.

To ostatnie zdanie powiedziała, jak gdyby kpiła z losu, ale Ammian dostrzegł w tym także trochę prawdy. To ona stała za woltą Wetranoniana – ona i Ursycyn przekonali uzurpatora do przejścia na stronę prawowitego cesarza. Miała zdolności polityczne. Biorąc pod uwagę jej ogromne ambicje, Konstantynę można było uznać za kobietę niebezpieczną.

– To dość ostra ocena twoich braci, *domina* – rzekł Ammian.

– Ale za to prawdziwa – odparła natychmiast rozochociona winem córka cesarza. – Konstantyn Drugi wywołał trzy lata po traktacie z braćmi wojnę domową, w której zginął. Średni brat Konstans nie nadawał się na cesarza z kilku powodów. Był słabego zdrowia, co jednak nie jest najgorsze. Cesarz, i do tego chrześcijanin, nie może grzeszyć jawnie w sposób przeciwny naturze, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

A więc plotki o Konstansie to prawda – pomyślał Ammian.

– Ciągłe uganianie się za młodymi Germanami było dla jego żołnierzy, administratorów, legatów, urzędników żenujące. Godne pogańskich obrzydliwych bożków – ciągnęła Konstantyna, nie bacząc na to, co myśli jej rozmówca. – Ale nie syna chrześcijańskiego cesarza Rzymu.

– Został jeszcze jeden brat – zauważył Ammian.

Konstantyna była zbyt pijana, aby zważać na niuanse, choć Konstancjusz II, najmłodszy z braci, był wciąż panującym cesarzem.

– Konstancjusz Drugi nie ma rozumu politycznego – powiedziała, dopijając trzeci puchar wina. – Nie pojmuje polityki. To człowiek nieszczęśliwy i samotny. Beztalencie, ale jest moim bratem, jedynym żyjącym bliskim członkiem rodziny.

– Zapominasz, pani, że twój pierwszy mąż też był waszym kuzynem.

Złośliwy błysk pojawił się na chwilę w oczach Konstantyny.

– Hannibalian był pomyłką, którą moi bracia raz dobrze rozwiązali.

Ammian nigdy nie miał wątpliwości co do masakry rodziny, której dokonał Konstancjusz latem po śmierci Konstantyna Wielkiego. Po chwili jednak zrozumiał: to ona stała za tym pomysłem. To ona podsunęła go nierozgarniętemu i cierpiącemu po strasznej śmierci matki Konstancjuszowi II. Była śmiertelnie niebezpieczna jako przeciwnik. Ammian nie chciał jednak oddać się takiej kobiecie, choćby była siostrą i córką cesarza. Rzeczywiście zrobiło się bardziej intymnie. Konstantyna przesunęła się bliżej. Poczul zapach jej perfum zrobionych na bazie olejku z drzewa różanego. Była starsza od niego, ale przecież nie takie układy towarzyskie znał już Rzym. Jednak mimo młodego wieku Ammian

rozumiał, że legnięcie w łóżu z siostrą cesarza może oznaczać dla niego w przyszłości wyrok śmierci.

Położyła mu dłoń na udzie i przesuwała ją powoli w górę. Wtedy zareagował, uprzejmie, ale stanowczo.

– *Domina*, troszczę się o twoją duszę – rzekł.

– A ja o twoje ciało. Pocałuj mnie, miły – mówiła Konstantyna.

– *Domina*, ja jestem poganinem – oznajmił poważnie Ammian. – Zadając się ze mną, narażasz swoją duszę na karę od Boga.

Konstantyna cofnęła rękę.

– Grzeszyłabym, zadając się z innym chrześcijaninem – powiedziała z przekonaniem. – Stosunki z poganami nie są grzechem.

– Doprawdy, zadziwiasz mnie, *domina*. – Ammian udał szczerze zaskoczonego. – O jakich to grzechach mówił Laktancjusz, autor dzieła o żywocie twojego ojca, cesarza Konstantyna Wielkiego? Przed jakimi grzechami ostrzegał wiernych Tertulian? Powinnaś się ich wystrzegać ze względu na swoją rodzinę i pozycję. Ja jestem poganinem. Pomyśl, *domina*, co by się stało, gdyby taka skandaliczna wiadomość przedostała się do wrogów twojego brata, i to teraz, gdy walczy on z uzurpatorami?

Konstantyna zrozumiała, że popełniła błąd. Ammian nie był głodnym wrażeń, ambitnym człowiekiem bez żadnych zasad moralnych. Zrozumiała też, że upokorzyła się przed nim, odkrywając swoje zamiary.

– Dobrze, niech tak będzie. Wynoś się! – powiedziała urażona.

Ammian też uznał, że dalsza kurtuazja nie ma sensu.

– O niczym innym nie marzę, *domina*.

– Precz! Zapłacisz mi za to!

Groźby takiej kobiety rzeczywiście mógł się obawiać. Ale postanowił zaryzykować.

– Cóż zrobisz, pani? Oskarżysz mnie jak wasza matka Fausta twojego brata Kryspusa, że ją siłą wziął, gdy ona się opierała? Pójdiesz z tym do cesarza? Nie przeczę, twoje słowa ważą więcej niż moje. Spadnie moja głowa, ale czy sądzisz, że twoja się ostatecznie, jeśli twój brat, pani, wymordował całą waszą rodzinę na ucztach? Czy nie obawiasz się,

że w nocy wywloką cię stąd jego Germanowie ze straży i zamkną w gorącej łaźni?

Konstantyna drżała ze strachu przed bratem, który może nie miał talentów politycznych jak ona, ale nauczył się okrucieństwa w stopniu znacznie większym. Drżała z bezsilnego upokorzenia. Poza tym zdała sobie sprawę z tego, że Ammian znał już najgłębsze tajemnice jej rodziny.

– Zemszczę się, przysięgam – odparła cicho. – Nie dostrzeżesz nawet, kiedy cię ugodzę prosto w serce.

– Twój wybór, *domina* – odparł Ammian, wychodząc z komnaty.

\*

## ATENY, 351 ROK

Ateny swoją świetność miały dawno za sobą. Przywrócona grodowi bogini łaska cesarza Hadriana starczyła na ledwo sto lat rozwoju, któremu kres ostatecznie położył straszliwy najazd Gotów z czasów panowania Decjusza. Goci przepłynęli wówczas na okrętach Morze Czarne, splądrowali Bizancjum i – kierując się na Morze Egejskie – spustoszyli Tesalonikę<sup>[29]</sup>, potem wyspę Eubeę i na końcu Attykę. Ateny płonęły przez trzy dni. Cios był tym straszliwszy, że Grecy nie doświadczyli wojny od trzystu lat – ostatnie, jakie toczyły się na ich ziemiach, były rzymskie wojny domowe z czasów Cezara. Ale było to tak dawno temu, że nie zostawiły w świadomości ludzkiej żadnego śladu. Najazd przed osiemdziesięciu laty spowodował katastrofę. Ateny były w owym czasie miastem biednym i prowincjonalnym, ale żyjącym z przybywających tutaj na studia miłośników filozofii i retoryki z całego imperium. Akademia Platońska mimo trudnych czasów nie zaprzestała swojej pracy. Wciąż przyjmowano nowych adeptów po zdaniu obowiązkowego egzaminu z geometrii i matematyki. Wśród studentów dominowali wyznawcy dawnych bogów, z rzadka spotykano chrześcijan. Na tych drugich zgadzano się z powodów politycznych, aby nikt nie mógł zamknąć akademii, ale – choć takie

pomysły nie śniły się w niczyjej głowie – role się odwróciły. Teraz za chrześcijanami stały władze rzymskie. Kwitła retoryka, bo filozofia to przede wszystkim neoplatonicy. Szkoła ateńska tego kierunku dorównywała syryjskiej czy aleksandryjskiej.

Wśród studentów za zezwoleniem władz kościelnych przebywali Bazyli z Kapadocji oraz Grzegorz z Nazjanzu, przyjaciele Ammiana z czasów antiocheńskich. Zezwolono im iść do jaskini lwa, jak nazywano w kręgach Kościoła Akademię Platońską, pełną nieprzejednanych wrogów chrześcijaństwa. Jednak ci dwaj byli wybitni i zapowiadali się jako wyjątkowo dobrze rozumiejący zagadnienia filozoficzne młodzi ludzie, którzy być może zostaną przyjęci do grona kapłanów Kościoła. Co więcej – wyznawali poglądy antyariańskie, co też miało znaczenie. Arianie dzięki poparciu rodziny cesarskiej byli teraz aktywniejszą stroną. Katolicy musieli walczyć o wpływ.

Bazyli i Grzegorz szli właśnie w stronę agory po zakończonych zajęciach z geometrii euklidesowej, gdy przy Portyku Malowanym – Stoa Poikile, jednym z najbardziej charakterystycznych miejsc w Atenach, zauważyli człowieka niedbale siedzącego na ziemi. Obok jego nogi stała skórzana torba z papirusami, zapewne niezbędnymi podczas omawiania ważnych kwestii filozoficznych. Zdawało się im, że go znają.

– To chyba ten dziwny człowiek imieniem Julian – powiedział Grzegorz.

– Tak, pamiętam go ze szkoły. Wydawał się dość gorliwym chrześcijaninem – zauważył Bazyli. – Chodźmy do niego. Nie ma nas zbyt wielu w gaju Akademososa. – Mówiąc to, młodzieniec miał na myśli innych chrześcijan.

Razem do niego podeszli.

– Witaj, Julianie!

Tymczasem Julian był krótkowidzem i gdy patrzył pod słońce, a właśnie tak stanęli obaj przyjaciele, mrużył oczy. Jego twarz wciąż charakteryzowała się młodzieńczą krągłością, choć przebywając w Atenach nie zaniedbywał też obowiązkowych ćwiczeń w gimnazjone, co wytykali mu inni chrześcijańscy studenci. Mężczyźni ćwiczyli tam nago, a obnażanie

się przed innymi było dla chrześcijan nie do przyjęcia. Z tego też powodu krytykowali termy, bo jak w takich termach Dioklecjana zachować cnotliwy umysł, gdy wokół znajduje się czterdzieści tysięcy ludzi nagich, jak ich Pan Bóg stworzył?

– Wybaczcie, że nie rozpoznałem godności. Słaby wzrok mam – powiedział Julian.

– I zapewne pogarsza ci się od nocnego czytania rękopisów przy blasku świecy – zauważył przytomnie Grzegorz.

Bazyli podał dłoń Julianowi i pomógł mu wstać.

– Lubię to miejsce – rzekł Julian.

– Miejsce jak każde w Atenach – odparł Bazyli.

– Właśnie, że inne od wszystkich. Popatrzcie na te freski – mówił Julian.

– Oto Grecy pokonują pod Maratonem perskich wodzów Datysa i Artaferna. Zupełnie jak my dziś walczymy z Persją, choć minęło od tamtych wydarzeń osiemset lat. Wzrusza mnie i zachwyca ten fresk, mówię wam. To były czasy bohaterów.

Obaj chrześcijańscy prymusi popatrzyli po sobie z lekkim niedowierzaniem. Uważali Juliana za tępaka, milczka, który nigdy z nikim nie wchodził w jakiegokolwiek relacje. Nie wiedzieli nic o jego traumie rzezi rodziny i o tym, że Julian przez wszystkie te lata żył w strachu.

– Bohaterskie być może były, ale ci ludzie nie znali prawdziwego logosu, czyli Chrystusa – powiedział Bazyli z Kapadocji.

Julian znów zmrużył oczy. Robił to też, aby zakryć tik lewej powieki, będący objawem zdenerwowania lub efektacji.

– Może i nie znali, ale urodzili się przed nim. Więc to nie ich wina – odparł logicznie.

– Masz rację. Chcieliśmy porozmawiać, bo chrześcijanie powinni trzymać się razem ze względu na pogańskie sztuczki – powiedział Grzegorz.

Julian zabrał torbę z rękopisami, po czym zarzucił ją na ramię. Obaj chrześcijanie spostrzegli, że z dawnego grubaska zrobił się dość potężny chłop. Bary miał silne, bicepsy wypracowane ciężkimi treningami w gimnazjonie. Bazyli pomyślał, że go nie docenił.

– Sądzę – zaczął poważnie Julian – że chrześcijanie, jeśli naprawdę wierzą, nie powinni się niczego obawiać z nauk Greków oraz ich filozofii. Możemy się od nich wiele nauczyć.

– Co masz na myśli? – zapytał Grzegorz, żywo się interesujący tymi zagadnieniami.

– Przede wszystkim dostrzegam konieczność oparcia filozofii chrześcijańskiej na systemie filozoficznym. Teologia rodzi się i wciąż poszukuje uzasadnienia, a to do Zwiastowania, a to do Bożego Narodzenia. Zauważcie, że w nauce i filozofii greckiej istnieją dwa, a właściwie trzy systemy. Pierwszy Platona, który wykładają nam w akademii, drugi zapomnianego dziś Arystotelesa.

– Tego od fizyki? – zapytał Bazyli.

– Tego samego, ale ważniejsze wydają się mi pisma ogólne Stagiryty, które są w bibliotece po fizyce. I wreszcie trzeci system, który powinien nas czegoś nauczyć, to system Plotyna – oświadczył Julian.

– A ja myślę, że sama wiara w Chrystusa powinna wystarczyć – rzekł Grzegorz.

– A jak wytłumaczysz, jak powstał świat, gwiazdy nad nami oraz wszystko, co istnieje? – zadał pytanie Julian.

– To proste. Bóg to stworzył – odparł Bazyli.

– Jak? O ile się nie mylę, czytając *Septuagintę*, dowiedziałem się, że Bóg stworzył wszystko w sześć dni, a w siódmym odpoczął. Tymczasem przeczą temu fakty. Ogrom świata, jego sprzeczności, obieg materii martwej i żywej... Nie mogą być wynikiem działania tak szybkiego! To trwało bardzo długo. Tłumaczy to właśnie *Timajos* Platona. Chłopcy, czy wy naprawdę studiujecie?

Bazyli i Grzegorz popatrzyli po sobie. Postanowili odpowiedzieć szczerze, widząc, że Julian ma wielką wiedzę filozoficzną.

– Skupiamy się na retoryce, bo umiejętność przemawiania jest ważna dla kapłanów. Prawdę mówiąc, obawiamy się czytać głęboko teksty Platona.

– Dlaczego?

– Ponieważ boimy się utracić wiarę – powiedział otwarcie Bazyli. – Dlatego dziwimy się, że ty czytasz.

Julian uśmiechnął się.

– Zapewniam, że z moją wiarą jest wszystko w porządku. Jestem chrześcijaninem jak wy – rzekł.

– Nie wątpimy w to – powiedział Grzegorz. – Jesteśmy zdumieni twoją wiedzą.

Julianowi sprawiło to przyjemność. Nie był człowiekiem chełpliwym, ale po raz pierwszy mógł porozmawiać z kimś, o kim wiedział, że nie został nasłany przez dwór z Konstantynopola. Pożegnał się – mieszkał kilka stadiów od Drogi Świętej, w domu z ogrodem, gdyż jako członek rodziny cesarskiej miał też prawo do służących. Gdy się oddalał, obu chrześcijańskich młodzieńców nurtowało pytanie: kim będzie Julian? Mógłby zostać na przykład bardzo uczonym biskupem. W takiej roli go ujrzeni – jako tego, który pojąwszy mądrość pogan, używa jej przeciwko nim samym.



## ROZDZIAŁ VI

# *Apostoł Gotów*

### *MEZJA DOLNA, 351 ROK*

Ammian szybko opuścił Serdykę, nie czekając na to, co zrobi urażona siostra cesarza. Z kancelarii cesarskiej pobrał listy do króla Gotów – Filimera. Czym prędzej zabrał swojego jucznego konia i ruszył przez ośnieżone góry. Gnała go naprzód przygoda, pragnienie przekroczenia granic, którego nigdy wcześniej nie doświadczył. W jakiś sposób czuł się powołany do tej podróży i do służby, która miała go zawieść poza granice cywilizowanego świata. Chciał poznać Gotów – dowiedzieć się, kim są, jak żyją. I przede wszystkim po raz pierwszy pomyślał, że mógłby nauczyć się języka gockiego lub poznać inne języki barbarzyńców.

Ale najpierw musiał pokonać Rodopy zimą. Nie było to proste nawet latem – z powodu wąskich dróg prowadzących przez górskie przełęcze. Trzy razy napotkał patrole wojsk cesarskich, którymi Konstancjusz i jego rywal Wetranon obsadzili przełęcze górskie. Ludzie Wetraniona, widząc człowieka w służbie cesarskiej, nie robili mu problemów, bo trwały negocjacje. Przejście przez Rodopy, ich surowy klimat i samotność, jakiej doświadczył, sprawiły, że dotarcie do stolicy Mezji Górnej – Naissus<sup>[30]</sup>, zajęło mu dwa tygodnie. Było to kilkunastotysięczne miasto, z rosnącymi przed nim winnicami. Ammian widział je przygotowane na zimę. Mieszkańcy wskazali mu skit<sup>[31]</sup>, w którym mieszkał Wulfila. To go zdziwiło, bo oznaczało, że biskup ariański i apostoł Gotów mieszkał

w odosobnieniu, z dala od przywilejów, na jakie mógł liczyć – wszak cesarze dynastii konstantyńskiej sprzyjali arianom.

W kalendy<sup>[32]</sup> marcowe 351 roku, gdy jego przyjaciele ze studiów w Antiochii oddawali się przyjemności studiowania w słonecznych Atenach, Ammian przybył do skitu Wulfili. Zsiadł z konia i przywiązał zwierzęta do paśnika, w którym ktoś wyłożył nieco siana i owsa. Jego wierzchowiec i roboczy wałach miały się czym zająć. On postanowił się rozejrzeć. Skit wybudowano z wielkich bali z białego, twardego drewna, być może dębu, które połączono w całość bez użycia gwoździ. Ammian pomyślał, że to nie jest rzymski sposób budowania. Zrozumiał, że znalazł się na progu innego świata: tak budowali większe budynki Goci.

Obszedł skit, ale wokół niego nie znalazł żywej duszy. Zauważył w pewnej odległości budynku gospodarcze, a przy nich jakiś ruch. Po chwili rozpoznał ludzką postać, ubraną w jednoczęściowy, szary, wełniany strój, jaki nosili anachoreci w Konstantynopolu. Ale ten człowiek miał na wierzch narzucone futro z żubra, przepasane pośrodku pasem żołnierskim. Nie nosił jednak broni. Dało się zauważyć, że osobnik ten również dostrzegł Ammiana. Ktoś obcy musiał dlań stanowić wyzwanie, zagadkę, bo najwyraźniej nieczęsto miewał gości. Ruszył w stronę Ammiana, który się zastanawiał, czy osoba ta, wyglądem przypominająca barbarzyńcę, faktycznie jest owym słynnym Wulfilą, o którym tyle słyszał. Wkrótce dostrzegł go wyraźnie: ów mąż był dobrze i proporcjonalnie zbudowany, nosił brodę, ale jego głowa była gładko wygolona – na wzór anachoretów. Teraz przystanął na chwilę. W lewej dłoni dzierżył drewniane wiaderko pełne mleka. Może właśnie wydoił kozę i to mleko miało stanowić jego śniadanie.

– Posprzątaj dziedziniec – oznajmił, po czym ruszył w stronę skitu.

Ammian nigdy wcześniej się z czymś takim nie spotkał. Był posłem cesarza do Gotów, a tutaj taka historia! Nie wiedział, co ma zrobić. Przed wejściem do skitu człowiek odwrócił się i rzekł do osłupiałego Ammiana:

– Nie ociągaj się, mój panie, bo nie dostaniesz śniadania.

Zdumiony, a wręcz dość mocno skonfundowany Ammian rozejrzał się, czy ktoś tego nie widzi. Bał się bowiem, by ktoś nie był świadkiem jego hańby. Lecz gdy już ze wstrętem chwycił miotłę, przeszło mu przez myśl, że tutaj chodzi o coś zupełnie innego. O co? Tego jeszcze nie pojmował, bo chrześcijanie jawili się mu jako naśladowcy kultu Adonisa, Mitry, Serapisa i wszystkich innych zbawczych religii. Czy to zamiatanie było wstępem do czegoś innego? Do drogi poznania? Żadne z tych wytłumaczeń nie wydawało się bezsensowne. Młodzieniec uczynił to, czego chciał ów dziwny mąż, i poszedł do skitu.

Wewnątrz panował półmrok. Jedno duże pomieszczenie było oddzielone od reszty, a w ścianie znajdowało się duże okno z rozpostartą w otworze zwierzęcą błoną – na tyle duże, by dawać za dnia dużo światła w zimowe dni. Stał tam duży stół, na którym piętrzyły się rulony papirusów. Gospodarz odezwał się z drugiego pomieszczenia:

– Jestem zaskoczony, że to zrobiłeś. Zasłużyłeś na swoje mleko i owsiankę.

Wskazał miejsce na rzeźbionej drewnianej ławie, po czym nalał mleka do drewnianego kubka i podał Rzymianinowi. Po chwili postawił przed nim także miskę z owsianką.

– U mnie nie ma żadnych wygod, jak zauważyłeś.

– Dlaczego upokorzyłeś mnie na początku? Jestem posłem od cesarza.

– Tak przypuszczałem – rzekł gospodarz. – Jednak moim celem nie było upokorzenie cię. Chciałem sprawdzić, z jakim typem człowieka mam do czynienia. Uczyniłeś zadość mojej prośbie. To świadczy o tobie bardzo dobrze. Okazałeś pokorę.

Ammian przełknął kilka łyżek owsianki i napił się ciepłego jeszcze koziego mleka.

– Czy nie interesuje cię, jak się nazywam i z czym przychodzę? – zapytał Ammian.

– Interesuje mnie. Jestem barbarzyńcą, jak widzisz. Jadam jak barbarzyńca i zachowuję się jak barbarzyńca – odparł mężczyzna poprawną łaciną, z wyczuwalną ironią w głosie. – A nazywam się Wulfila, jak zresztą

przypuszczasz. Jestem tytularnym biskupem Taurydy i nazywają mnie apostołem Gotów, choć nigdy nie pochwalałem takiego użycia tej nazwy, bo dostrzegam w niej pychę upodobnienia się do Chrystusa, który jako człowiek nie życzyłby sobie takiego wywyższenia.

– Cesarz Konstantyn nazywał siebie trzynastym apostołem.

Wulfila gorzko się uśmiechnął.

– Całe szczęście, że nie muszę mieszkać w Konstantynopolu – powiedział.

– Nie znalazłbyś tam wielu przyjaciół. – Ammian zdobył się na szczerść.

– Doprawdy? Jestem przecież biskupem Kościoła.

– Jesteś Gotem – rzekł Ammian, nie mogąc nadziwić się biegłości łaciny barbarzyńskiego bądź co bądź biskupa. – A twoi rodacy nie wywołują w Konstantynopolu ani nigdzie w imperium żadnych ciepłych uczuć. Są obcy, straszni, dzicy, nieokrzescani, dla nas nadają się tylko za najemnych żołnierzy. A po poza tym... jesteś arianinem.

Wulfila odebrał miskę po owsiance z rąk Ammiana i odłożył ją na bok.

– No tak – stwierdził znów z przekąsem. – Doskonale znam wszystkie te rzymskie obawy i lęki. Przerabiam je od lat. Moja mama była Greczynką i dzięki niej poznałem zarówno *Iliadę* i *Odyseję*, jak i znaczenie pewnych słów, właśnie takich jak *barbarzyńca*.

– Ja jestem Grekiem i żołnierzem – powiedział Ammian.

Wulfila siorbnął znów mleka.

– Więc mamy coś wspólnego – rzekł, przechodząc z dużą łatwością na język grecki, który był także naturalny dla Ammiana. – Być może w trakcie konwersacji, jakie będziemy mieli okazję przeprowadzić, okaże się, czy mamy jeszcze coś wspólnego.

– A rozkazy cesarza? Mam korespondencję w moich rzeczach na koniu.

– Na to przyjdzie czas – odparł Wulfila. – U mnie czas biegnie inaczej. Rozkazy cesarza poczekają. Odpocznij. Możesz spać na skórach. Przykryj się kocem, bo w nocy zimno. Ja idę teraz do mojej pracy.

Jaką on ma pracę? – pomyślał Ammian i spojrzał w kierunku największego pomieszczenia, w którym wkrótce Wulfila za pomocą krzemieni skrzesał ogień i zapalił świece. Te były nad wyraz drogie, ale

Ammian doszedł do wniosku, że skoro Got jest arianinem tak jak cesarz Konstancjusz, to z tego powodu jest przez niego chroniony, a także zaopatrywany przez administrację cesarską. Wulfila musi zatem pracować nad czymś dużym... Ammian miał wiele pytań, ale musiał przyjąć zasady swego gospodarza. Musiał nauczyć się czekać.

\*

Minał tydzień. Ammian zaobserwował pewną regularność życia ascety. Któregoś dnia Wulfila przyniósł zabitą i sprawioną kurę, którą wrzucił do kociołka z wodą, razem z warzywami. Zaprosił swego gościa na wieczerzę, gdy tylko rosół się ugotuje. Amfora wina też się znalazła.

– Skąd masz te wszystkie rzeczy?

– Od waszego cesarza. Odkąd przyjął konfesję ariańską, sprzyja mi i uważa mnie za ważną osobę, choć nie jestem ważny. Istotne jest dzieło, które dokonuje się za moim skromnym udziałem – odparł Wulfila.

Na ugotowanie kury musieli poczekać. Po południu, kiedy przyjemny aromat rozszedł się po izbie, Wulfila zawołał Ammiana na wieczerzę. Gość dostał łyżkę i miskę. Zjedli gorącą potrawę i oficer poczuł się znacznie lepiej. Zima w Rodopach była surowa, a on nie przywykł wcześniej do takiego życia.

– Czego chce ode mnie cesarz? – zapytał w końcu Wulfila.

– Żebyś wyruszył ze mną do Gotów po drugiej stronie Dunaju. Mam zawieźć list przesłanie od cesarza do króla Filimera. Sytuacja się skomplikowała. Cesarz walczył z Persami, ale zaskoczyły go bunty w zachodniej części cesarstwa. Chce mieć gwarancję, że Goci nie będą sprawiać kłopotów – rzekł młody człowiek.

Wulfila głęboko westchnął.

– W Konstantynopolu nie rozumieją tego, co się dzieje na granicach imperium, wzdłuż Dunaju. Nad Renem, wśród tamtejszych Germanów, nie byłem, ale wszystkie ludy graniczące z Gotami od nich przyjmują wiarę w jedyne Boga i jego posłannika Jezusa Chrystusa. Próbowałem to tłumaczyć. Ale wy, Rzymianie, jesteście tak bardzo zaabsorbowani samymi

sobą, swoim światem, nie ukrywam: cudownym i fascynującym, że nie jesteście w stanie zobaczyć tego, co się dzieje.

– A co się dzieje? – zapytał Ammian, który nic z tego nie rozumiał. – Wytłumacz mi.

– Przez dwadzieścia lat głosiłem Słowo Boże wśród mojego ludu i wierzy mi, że wielu przyjęło chrzest w imię Pańskie, ale wielu wciąż wyznaje dawnych bogów. Jednak wraz z nową religią, która przysłała od Rzymian, a którą, jak wiesz, zaakceptował i zaczął wyznawać Konstantyn Wielki, w moim ludzie ścierają się dwie polityczne wizje. Pierwsza to stare łupienie jakiejś ziemi i próba jej opanowania, żeby Goci mogli uprawiać ziemię. Jesteśmy narodem rolników. Nauczyliśmy się dużo od Wandalów, którzy mają na przykład metalurgię, garncarstwo i rolnictwo na wysokim poziomie. Oni nauczyli się tego od Celtów. Ale nasze ludy zawsze żyły za imperialną granicą, byliśmy dla was *oceanum barbaricum*, jak powiedziano mi o moim pochodzeniu w cesarstwie, gdy wyznałem wiarę w jedyne Boga. Wraz z Kościołem wśród Gotów pojawiła się inna idea, którą popieram z całego serca. Imperium rzymskie mogłoby przekształcić się w imperium chrześcijańskie, w którym obok Rzymian, Greków, Egipcjan i innych wielkich narodów waszego świata znalazłoby się miejsce dla nas: Gotów, Wandalów, Alemanów, Franków, Rugiów i wielu jeszcze. To wielkie imperium byłoby chrześcijańskie i uniwersalne.

Wulfila umilkł. Ammian poczuł do niego ogromny respekt, zaczął bowiem rozumieć, że tylko zewnętrzne oznaki – wygolona głowa, broda i narzucone futro czynią z Wulfila w jego własnych oczach barbarzyńcą, podczas gdy ariański biskup wcale nim nie jest. Był intelektualistą w pełnym tego słowa znaczeniu, w niczym nie ustępował profesorom retoryki i filozofii.

– Mówisz o zupełnie nowym świecie – zauważył Ammian. – Moi rodacy nie są na to gotowi. Dla Rzymu rzeczywiście możecie być *foederati*<sup>[33]</sup>, możemy was zaciągnąć do auxiliów, ale żaden z Rzymian, ani wykształcony chrześcijanin, jakich wielu poznałem w Antiochii, ani wyznający starą religię, jak ja, nie uzna was za równych.

– Dlaczego? – zdziwił się Wulfila. – Tego właśnie nie mogę zrozumieć. Przecież w przymierzu z nowymi ludami ten nowy świat, którego Rzym może być środkiem, centrum świata, będzie niezwyciężony!

– Nie zaprzeczam wielkości twojej wizji, Wulfilo – rzekł Ammian. – Ale mówię ci tak, jak czuję. Znam mój świat. Rzymianie was nie przyjmą jako równych.

Wulfila pociągnął tego wina.

– Chodź. Pokażę ci coś.

Poszli razem do owego pokoju, oświetlonego i widnego, w którym Got trzymał swoje manuskrypty. Na pierwszy rzut oka Ammian ocenił, że mógł mieć ich tam ponad setkę i dobrze orientował się w ich tematyce, ponieważ na białej korze brzozy przybitej do ściany sporządził prosty skorowidz i wykaz skrótów. W swojej pustelni ów Got, którego do dziś Ammian miał za barbarzyńcę, trzymał teksty platońskie, w tym *Timajosa*, *Fajdrosa*, dzieło Heraklita o przemijaniu, pisma Cyserona, stoickich klasyków – na przykład Marka Aureliusza, oraz wielu pisarzy chrześcijańskich, w tym Orygenes, Tertuliana, Laktancjusza, Justyna Męczennika i wielu innych.

– Masz imponującą kolekcję tekstów – powiedział szczerze Rzymianin. – Postudiowałbym z tobą, gdyby nie rozkazy cesarskie.

– Rozkazy cesarskie muszą trzymać się logiki. Do Filimera możemy ruszyć, jak zejda śniegi z górskich przełęczy, a to potrwa jeszcze parę tygodni. Możesz mi pomóc tutaj – rzekł Wulfila. – Popatrz, nad czym pracuję.

Got zapalił świece. Po sposobie, w jaki oświetlał wieczorami miejsce pracy – a było to imponujące, srebrne i wyszlifowane na błysk lustro, które odbijało pod pewnym kątem światło kilku świec zebranych na drewnianym świeczniku – dawało się poznać profesjonalnego, obytego ze swoim rzemiosłem kopistę.

Na stole znalazły się dwa papirusy, jeden z tekstem Ewangelii św. Jana, a drugi, nad którym pracował Wulfila, był rozpostarty na specjalnej podpórce utrzymującej sztywność papirusowego zwoju. Klamry podpórki

umożliwiały zwinięcie zapisanej części i rozwinięcie nowej, jeszcze dziewiczej przestrzeni, której ciszy i bieli nie zmaćcała żadna litera. Ammian podszedł bliżej, gdy Wulfila zapalił wszystkie pięć świec. Ich blask odbity w lustrze oświecił roboczy tekst. Ammian pomyślał wówczas o platońskiej metaforze lustra, w którym odbijają się nowe idee. Miał dziwne i niewytłumaczalne wrażenie, że jest świadkiem powstawania idei, tak głęboko zarysowanej przez Wulfilę, mianowicie – narodzin nowego świata wolnych barbarzyńskich ludów pod przywództwem Rzymu. Ta idea załśniła swoim blaskiem, Ammian ujrzał to, nad czym Got pracował. Bez wątplenia tekst ten miał swoją logikę, a litery łacińskie były wyraźne na papirusie. Wulfila używał pisma majuskułowego<sup>[34]</sup>, ale Ammian nie potrafił zrozumieć sensu żadnego ze zdań. Nie rozumiał języka, w którym powstał ów zapis.

– To moje dzieło życia, *opus magnum*, jak wy, Rzymianie, mawiacie – oznajmił nie bez dumy Wulfila. – Tłumaczę już ostatnią Ewangelię z czterech kanonicznych, jakie Kościół uznał za święte i natchnione.

– Czy wy, arianie, nie macie innych pism? – zapytał Ammian.

– Nie, skądże – odparł Wulfila. – Ewangelie pozostają bez zmian. Nas i katolików różni to, jak podchodzimy do sprawy Chrystusa. Ja uważam, że był nad wyraz szlachetnym człowiekiem, który został wybrany przez Boga, narodzony z dziewicy, aby ponieść śmierć za świat. Bóg nie może bowiem cierpieć, jak wy, poganie, uczycie w swoich szkołach filozoficznych. U Platona istnieje demiurg, który nie jest Bogiem, a mimo to odpowiada za całe stworzenie. Chrystus jest według nauki Ariusza, w dużym uproszczeniu oczywiście, logosem, a więc przedwieczną siłą wcieloną w ciało człowieka, ale tylko jako człowiek Chrystus mógł cierpieć i umrzeć. Natomiast nie mógłby cierpieć jako Bóg, ponieważ Bóg jest doskonały.

– Jest myślą, która myśli samą siebie i nie ma w niej nic oprócz niej samej – dodał Ammian, świetnie znający platońskie nauki o początku świata.



– Dokładnie. Taka jest nasza wiara. Wierzę w Jezusa podporządkowanego Bogu, co widać w scenie w ogrodzie Getsemani. Natomiast katolicy karkołomnie próbują wykazać, że Chrystus był jednocześnie Bogiem i człowiekiem.

Ammian zastanowił się. Czyżby arianizm był próbą pogodzenia dogmatów chrześcijańskich z logiką greckiej filozofii, wyznającą istnienie Boga jako *nieporuszonego poruszyciela*, przyczynę pierwszą wszystkiego, co istnieje?

– Nie chciałbym się zagłębiać w podziały między chrześcijanami, choć i tak pewnie ciebie, poganina, niewiele to interesuje – rzekł Wulfila.

– Przeciwnie, bardzo mnie interesuje – odparł Ammian.

– Zdumiewasz mnie, Rzymianinie – powiedział Wulfila. – Jesteś pierwszym, który interesuje się tym, co jest poza Rzymem. Prawdę powiedziawszy, mam do ciebie prośbę. Chodzi o konsultacje przy tłumaczeniu. Pewne greckie terminy zastosowane przez Jana i jego uczniów z Patmos mają różne znaczenia. Chcę, żebyś mi pomógł.

Ammian wyraził zgodę. I tak poganin i arianin zaczęli wspólną intelektualną pracę nad Ewangelią Janową będącą traktatem teologicznym. Jako poganin Ammian miał okazję po raz pierwszy spojrzeć na jeden z najważniejszych tekstów chrześcijan, których wiary przyjąć nie chciał. Tego był pewien, ale czytając tekst z Wulfilą, zaczynał się zastanawiać, w jakim kierunku to wszystko pójdzie. Szczególne wrażenie wywarła na nim modlitwa arcykapłańska<sup>[35]</sup>. Dlaczego? Ponieważ było jasne na płaszczyźnie tekstu, który przeczytali i który Wulfila przełożył za pomocą wymyślonego przez siebie alfabetu gockiego (powstałego na bazie pisma łacińskiego), że Chrystus nie mówi tam o Żydach ani nawet o tych, którzy są jego, lecz o wszystkich ludziach. Ammian zaczynał rozumieć, że chrześcijaństwa nie da się już zatrzymać, nie da się go zawrócić i sprawić, by stało się znów religią niedozwoloną. Po chwili jednak i on zechciał wyrazić swoje pragnienie:

– Czy ja również mógłbym cię prosić o przysługę?

– Zależy jaką – odrzekł Wulfila.

- Chcę, abyś nauczył mnie gockiej mowy.
- Nauka nie może spowolnić tłumaczenia. Chcę zawieźć Ewangelię Jana do moich braci, kiedy pojedę z tobą do Gotów.
- Nie spowolni. Mam duży dar do języków obcych.

Wulfila zgodził się nazywać wszystkie przedmioty w gockim języku, wskazał mu także opracowany przez siebie słownik łacińsko-gocki i gocko-łaciński, zapisany na dwóch papirusach. Zawierały one około tysiąca słów, a tyle wystarczy, wraz ze znajomością odmiany koniugacyjnej czasowników i deklinacyjnej rzeczowników, by mówić. Ammian pochłaniał zatem gockie słowa i pomagał w tłumaczeniu Ewangelii. Był pewien, że gdy pojedą do Gotów, będą już przyjaciółmi, a on będzie miał okazję do poćwiczenia gockiego w praktyce.

## ROZDZIAŁ VII

### *Barbaricum*

#### *ZA DUNAJEM, W KRAJU GOTÓW, WIOSNA 351 ROKU*

Nastała wiosna – szalona kwitnącą dziką jabłonią. Poruszali się w trzy konie – oprócz wierzchowców mieli jeszcze jucznego, który należał do Ammiana. Minęli miasto Abrittus<sup>[36]</sup> w Mezji, gdzie przed stu laty zginął cesarz Decjusz w starciu z Gotami, i skierowali się do miasta Novae<sup>[37]</sup> na granicy, nad wielką rzeką Dunaj, za którą rozciągało się nieokrzesane, niepohamowane *barbaricum*<sup>[38]</sup>. Na punkcie granicznym i zarazem przeprawie Ammian pokazał oficerowi cesarskie pieczęcie na pismach, jakie wiozł do króla Filimera.

– Jesteś Rzymianinem i chcesz jechać do Gotów z własnej woli? To tak jak z własnej woli pójść do piekła – rzekł oficer rzymskich wojsk *limitanenses*, czyli tych, które pilnowały przepraw, muru, twierdz i terenów nadgranicznych.

Ammian poznał, że to prawdopodobnie chrześcijanin. Wyznawca bogów nie użyłby słowa *infernum*, czyli piekło. Jednak teraz wiedział już wiele o Gotach dzięki Wulfili, który nie przywiązywał wagi do zewnętrznych oznak godności biskupa Taurydy, wskazując więc oficerowi na niego, spytał:

– Czy widzisz tego człowieka?

– Na własne oczy widzę, panie.

– A czy wiesz, że to najprawdziwszy chrześcijański biskup? Z rodu Gotów, imieniem Wulfila. Wyświęcił go na biskupa świątobliwy Euzebiusz z Nikomedii, ten sam, który ochrzcił świętego cesarza Konstantyna.

Odpowiedź oficera zaskoczyła Ammiana.

– Wiedz, mój panie, że Euzebiusz z Nikomedii był heretykiem i arianinem. – Mówiąc to, oficer splunął pod nogi. – A arianie kłamią o prawdziwej naturze Chrystusa.

Zdumiony Ammian, który po trzech miesiącach intensywnej nauki mówił już dość dobrze, rzekł po gocku do Wulfili:

– Zaiste, Wulfilo, dzieją się rzeczy niesłychane. Oto oficerowie dyskutują o naturze Chrystusa, zamiast bronić granicy.

Jednak Got tylko zaśmiał się szczerze. Ammian zwrócił się teraz do oficera po łacinie:

– Jak się nazywasz i od kiedy służysz w armii?

– Nazywam się Marcin i pochodzę z miasta Caesardunum<sup>[39]</sup> w Galii. Jestem chrześcijaninem – rzekł żołnierz. – Mówię to z dumą, bo nas, chrześcijan, w armii nie mogą już spotkać prześladowania.

– Nikt nie chce cię prześladować, człowieku – powiedział Ammian. – Wykonuję misję dla cesarza Konstancjusza, a ty nie powinienesz na służbie wypowiadać swoich religijnych poglądów.

– Jestem chrześcijaninem także jako żołnierz rzymski – odparł Marcin. – A o heretykach mówię prawdę.

I spojrzawszy nieufnie na Wulfilę – brak stroju biskupiego, wielu sług i czołobitności względem niego sprawił, że z oczu żołnierza biła wielka niechęć.

– Skoro nim jesteś, wiedz, że zwę się Ammian Marcellinus i rozkazuję ci pomóc nam w przeprawie na tamten brzeg. Widzę, że macie tratwy do przekraczania rzeki.

System był dość prosty. Tratwa przypominająca dużą łódź poruszała się w poprzek wód Dunaju wzdłuż łańcucha, który zwisał nad wodą, zapięty po drugiej stronie rzeki. Tam również była rzymska stacja, ze zmieniającą się co tydzień załogą.

Słyszawszy imię Ammiana, żołnierz się zawstydział.

– Czy waszym ojcem jest, panie, Aureliusz Marcellinus, komes wojsk cesarskich i oficer *scholae palatinae*<sup>[40]</sup>?

– W rzeczy samej – odparł zdumiony Ammian, słysząc imię ojca.

– Wybacz zatem, że nie rozpoznałem godności – tłumaczył się Marcin. – Byłem podwładnym twego ojca czternaście lat temu, gdy umierał cesarz Konstantyn.

To zmieniało perspektywę. Ammian postanowił puścić nieprzyjemną scenę w niepamięć. Pogawędził z Marcinem o ojcu i starych latach. Ludzie Marcina, prości chłopcy z okolicznych wsi, przygotowali tratwę. Założyli ich trzem koniom zasłony na oczy, aby zwierzęta nie wpadły w panikę na środku wielkiej rzeki, gdzie nurt był bardzo silny. Wkrótce bezpiecznie się przeprawili, a Marcin towarzyszył im na tratwie.

– Przepraszam ekscelencję – rzekł do Wulfili.

– Ja się ćwiczę w pokorze – odparł Got, poklepując go po ramieniu.

A potem Marcin życzył im dobrej drogi i aby wrócili żywi, gdyż niewielu Rzymian, którzy wybierali się na drugi, barbarzyński brzeg rzeki, wracało. Ammian nie mógł nadziwić się kaprysom historii. Że też musiałem spotkać człowieka ojca akurat dziś – pomyślał. I postanowił napisać do rodziców do Antiochii, bo nie wiedział, kiedy znów ich zobaczy w dobrym zdrowiu.

\*

## *SIRMIUM NAD SAWĄ, MARZEC 351 ROKU*

W czasie, gdy Ammian Marcellinus oraz biskup Wulfila wędrowali na ziemie Gotów, w cesarstwie doszło wreszcie do pewnego przesilenia politycznego. W dzień Słońca Niezwycięzonego (chrześcijanie nie czcili jeszcze Bożego Narodzenia w ów dzień) po długich negocjacjach Wetranton ukorzył się przed Konstancjuszem II i złożył diadem oraz płaszcz purpurowy. Pozwolono mu odejść z wojska z dużymi pieniędzmi, ale zanim to się stało, przezorny cesarz zaprzysiągł raz jeszcze armię dunajską – trzecią najważniejszą armię rzymską w całym imperium po armii Renu i wojskach wschodnich. To oznaczało, że armia wschodnia

mogła z powrotem pomaszerować do Syrii, gdzie czaili się za progiem Persowie.

Jednakże Konstancjusz II, człowiek nad wyraz bezwzględny, zrozumiał, że pozbywając się rodziny, popełnił błąd. Dotarło do niego, że ponieważ nie ma syna, powinien postawić na dwóch żyjących członków rodziny – Gallusa i Juliana. Zastanawiał się długo, komu zawierzyć. Wszak od tej decyzji zależał los imperium. Po naradach z ministrami oraz coraz częściej pokazującymi się na dworze cesarskim biskupami ariańskimi – cesarz nie lubił katolików – uznał, że starszy z braci, Gallus, dostanie rękę siostry cesarza, a więc poślubi kuzynkę!

W idy marcowe tego roku ogłoszono decyzję cesarza tysiącom żołnierzy w obozie Sirmium, gdzie zgromadziła się armia Dunaju. Kilka miesięcy wcześniej popierała wszak Wetranoniona i należało ją kupić. Konstancjusz ogłosił zatem zrzekowiny siostry oraz Gallusa i wypłacił wojsku ogromne pieniądze. Żeby spłacić armię, огоłocono domy prywatne i wille we wszystkich prowincjach naddunajskich. Tego dnia Konstancjusz II ogłosił:

– Oznajmiamy, że Flawiusz Klaudiusz Konstancjusz Gallus jest od tej chwili naszym cezarem i umiłowanym następcą tronu. Wierzymy, że będzie służył wiernie imperium i razem z naszą siostrą przedłużą dynastię!

Ludzie cesarza przywieźli Gallusa z Aten, gdzie studiował retorykę i filozofię ze swoim bratem Julianem. Choć faktycznie i realnie studiował ten drugi, bo Gallus raczej zwiedzał ateńskie szynki, tawerny w Pireusie, zaliczył też podobno wszystkie burdele w Atenach – był przystojnym chłopcem i mógł się podobać, więc korzystał z życia. Przerązonego Gallusa i nie mniej przerażonego Juliana żołnierze cesarza zapakowali do eleganckiego wozu, przystosowanego do długiego podróżowania, i wywieźli ich ponad tysiąc mil do Sirmium. Obaj bracia już żegnali się z życiem, pamiętając, co Konstancjusz II zrobił z ich rodziną przed wieloma laty, lecz zdumieli się, gdy cesarz, wysoki, posępny i zgarbiony, oświadczył:

– Gratuluję, Gallusie. Jesteś cezarem. Odziedziczysz po mnie tron. Nie wiem, jak to się stało, że taki tępy łeb zostanie władcą Rzymu. Moja siostra ci pomoże.

– Nie wiem, co powiedzieć – parsknął Gallus.

Był to chłopiec dobrze zbudowany i przystojny. Jego dłuższe włosy w kolorze blond opadały mu na szyję, choć golił się dokładnie i mył lawendową wodą.

– Może byś powiedział *dziękuję*, durniu! – szturchnął go Julian wściekły, gdyż odciągnięto go od studiów filozoficznych, które go pasjonowały.

– Tak, dziękuję, *domine* – powiedział Gallus, kłaniając się cesarzowi.

Konstancjusz wiedział o jego wyczynach w Atenach, o jego bojach tawernianych i przygodach z heterami i wybrał go właśnie dlatego, że uważał Gallusa za idiotę bez specjalnych ambicji politycznych. A jego siostra, Konstantyna, była znudzona i pragnęła ładnego, młodszego od siebie chłopaka. Poskarżyła się cesarzowi, że wzgardził nią Ammian Marcellinus, oficer wysłany do Gotów. Wtedy właśnie Konstancjusz wpadł na pomysł, by ożenić siostrę, kobietę z temperamentem, z Gallusem. On jej dogodzi, a ona nad nim zapanuje – snuł plany cesarz.

– To świetnie, że mamy to za sobą – rzekł Konstancjusz II.

Spojrzał przy tym na Juliana. Jakiż to potężny facet, choć nadal idiotycznie mruży oczy – pomyślał. Julian był doskonałym adeptem filozofii i pochłaniał książki w tempie, które już dawno przerosło szpiegów cesarza. Był mądry. Cesarz to wiedział. Bał się takich jak on – mądrych ludzi.

Konstancjusz II dokonał wyboru i imperium miało za to zapłacić.

\*

Ammian Marcellinus oraz Wulfila wysiedli z przeprawy przez Dunaj już na ziemiach barbarzyńców. Rzymianie z fortu pokazali im, co myślą o tej wycieczce. Jeden z nich zażartował, mówiąc: *do zobaczenia w zaświatach*, ale Ammian był pewien, że dzięki obecności Wulfili, wiozącego swoim ziomkom Ewangelię Jana w ich własnym języku, nic złego mu się nie

stanie. Ich podróż przez kraj barbarzyńców wiodła najpierw rzymskim traktem, który wybudowano chyba za Trajana. Ale potem ta droga się skończyła i ruszyli taką, na której nie było już żadnych rzymskich oznaczeń – ile mil do Rzymu, a ile do Antiochii. Znaleźli się na polnym szlaku, pełnym błota i kałuż po roztopach. Dotarli do wielkiego obozowiska Gotów, pełnego drewnianych chat (około dwóch setek). Ammian widział takie domy po raz pierwszy w życiu. Były podłużne, a pośrodku dachu każdego z nich znajdował się otwór, przez który wydostawał się dym z paleniska. Zbudowano je z całych bali drewnianych, połączonych bez użycia gwoździ, podobnie jak skit Wulfili.

Wulfila był tutaj postacią znaną i od razu otoczyli go ludzie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety. Mężczyźni nosili wełniane spodnie, tuniki, pasy nabijane zdobnymi elementami żelaznymi, a na ramiona mieli zarzucone skóry z dzika lub tura. Kobiety miały długie włosy, splecione w warkocze. Ammian od razu zauważył, że Goci byli wyżsi od Rzymian prawie o głowę. Był to zatem lud czerstwy, zdrowy i płodny – Wulfilę obskoczyło także bardzo wiele dzieci.

Dopiero po chwili Goci zauważyli obecność Rzymianina. Ammian tego dnia nałożył kolczugę i brązowy płaszcz, żeby nie było wątpliwości, z kim mają do czynienia.

– Patrzcie, Rzymianin – powiedział ktoś po gocku.

Ammian czuł, że serce bije mu szybko. Nagle stał się obiektem zainteresowania wszystkich tych ludzi. Niektórzy przypatrywali się mu z zainteresowaniem, inni z obojętną miną, ale kilka twarzy było wyraźnie wrogich.

– To mój przyjaciel – oznajmił Wulfila w swoim języku do rodaków. – To Rzymianin inny niż wszyscy. Interesuje się naszym ludem i z pewnością was mile zaskoczy.

Ammian spojrział na ariańskiego biskupa, który tymczasem zsiadł z konia. W jego oczach wyczytał zachętę: *tak, jesteście gotowi*. Młodzieniec westchnął i rzekł:



– Mówię trochę w waszym języku. Jeśli popełnię błąd, poprawcie mnie. Chcę mówić po gocku.

Popatrzył po nich. Kilkanaście osób się uśmiechnęło. Dzieci zaczęły klaskać, a mężczyźni, nieprzystępni na pierwszy rzut oka i groźni, zdziwili się. Pierwszy raz widzieli Rzymianina, który chce mówić w ich języku. Nagle wszyscy jak gdyby się otworzyli, pierwsze uprzedzenia minęły.

– Jak masz na imię? – zapytał go wojownik o złotych włosach i takiej brodzie zaplecionej na końcu.

– Ammian.

– Witaj zatem na mojej ziemi. Jestem Filimer z rodu Amalów, król Gotów zachodnich.

\*

Ammian zdziwił się bardzo, widząc króla chodzącego tak jak inni mężczyźni, ubranego jak oni, bez żadnych dystynktywnych cech swojej władzy czy godności. Goci wskazali przybyszowi kwaterę. Był to mniejszy dom z dwiema izbami, drewnianą podłogą i miejscem do spania na skórah niedźwiedzich. W drugiej izbie przygotowali saunę – znajdowało się tam palenisko z kamiennym piecem i wiaderko do polewania wodą gorących kamieni. Ammian postanowił zrobić sobie ową barbarzyńską kąpiel, gdy tylko nadarzy się okazja. Zniknął mu gdzieś Wulfila, ale nie martwił się, bo władca zachodnich Gotów ogłosił, że wyprawi ucztę na powitanie gości. Rzymianin miał wrażenie, że bardziej ku czci Wulfili niż jego, ale nie szkodzi – miał tyle pytań, tyle chciał zobaczyć tutaj i poznać. Ubrał się inaczej – zdjął kolczugę, włożył rzymskie długie buty skórzane, spodnie, tunikę i ciepły wełniany płaszcz ze srebrną zapinką w kształcie orła legionowego.

Bez trudu trafił do budynku, gdzie odbywała się uczta. Była to podłużna budowla z drewna, mająca dwa skrzydła oraz przedłużenie – z góry wyglądała jak grecka litera *tau*. Wewnątrz płonęły drwa bukowe, dające duży, przyjemny i jasny ogień. Na wielkim rożnie piekła się owca, polewana gockim piwem, grała też muzyka, której Ammian był ciekawy.

Proste instrumenty: piszczałki, bębny oraz coś, co przypominało grecką syryngę, a muzyka też inna, niewątpliwie ludyczna. Dopiero teraz dostrzegł Wulfilę, miał na sobie długą, białą szatę prezbitera, z kościanym krzyżem z wygrawerowanym obrysem ukrzyżowanego mężczyzny na piersi. Wulfila siedział po prawej stronie króla Filimera, który wskazał Rzymianinowi miejsce po swojej lewej stronie. Ammian uznał to za zaszczyt.

Do picia podano gockie piwo, które Rzymianie znali, ale którego nie pijali, uznając je za napój prostacki. Jednak Ammian miał okazję po raz pierwszy skosztować luksusowego napitku, jakim był miód pitny. Był to trunek wyborny, ale mocniejszy od wina. Goci pili go w rogach z kości. Jadło na uczcie było obfite, ale inne od rzymskiego. Podano mięswo pieczone i gotowane, ale też sporo kaszy z jęczmienia. Z tego zboża Goci warzyli też piwo. Warzyw było mało, bo chyba nie były zbyt znane: razem z mięsiwem upieczono liście kapusty i cebulę. Po wielu tygodniach w siodle smakowało to jak uczta na Kapitolu.

– Znasz nasz język – rzekł Filimer do rzymskiego gościa. – Wulfila chwali cię. A z jego ust to naprawdę coś znaczy.

Ammian zrozumiał słowa króla i podziękował.

– Dopiero uczę się waszego języka – dodał.

– Oddam ci moich niewolników, by z tobą rozmawiali.

– Czy u was istnieje niewolnictwo?

– Tak jak w Rzymie – odparł Filimer. – I u nas są Goci, którzy urodzili się niewolni. Istnieje tu hierarchia; są król, naczelnicy rodów, szlachetnie urodzeni, ale też zwykli ludzie uprawiający ziemię i niewolni, którzy służą bardziej znacznym.

– Mam wiele pytań. Przede wszystkim jednak chcę nauczyć się waszego języka.

– W jakim celu? – zapytał król. – Muszę ci rzec, że to dość osobliwe, widzieć Rzymianina, który chce mówić w naszym języku i poznać nasze obyczaje.

Filimer spojrzał badawczo na Ammiana, próbując doszukać się prawdziwej motywacji.

– Jestem też historykiem i przygotowuję się do napisania historii naszych czasów, a wy jesteście jej częścią. Chcę zdobyć jak najwięcej źródeł, spotkać ludzi znających różne historie.

– Kto to jest historyk? – dociekał król. – U nas tylko Wulfila potrafi pisać. I jeszcze księża przez niego już wyświęceni.

Ammian teraz zaczynał rozumieć, że chrześcijaństwo w wersji ariańskiej stawało się dla Gotów wyznaniem jednoczącym ich wszystkich wokół wspólnego kultu. To miało bardzo duże znaczenie.

– Historyk to ktoś, kto zapisuje dzieje swojego ludu, opisuje, jak było i jak jest teraz. Historyk to świadek czasu.

Nie potrafił tego inaczej opisać, bo nie władał jeszcze gockim biegle. Zresztą słownik łacińsko-gocki przygotowany przez Wulfilę zawierał jedynie około tysiąca słów. Był to język ciekawy, miał cztery przypadki – od mianownika do biernika. Ammian, mając zdolność do języków, musiał oceniać w jednej chwili, w którym przypadku powinno być dane słowo. Sporo trudności sprawiała mu wymowa, istniały bowiem w języku gockim dźwięki, na przykład dyftongi, których łacina czy klasyczny grecki nie posiadały. Ale – co było zadziwiające dla niego samego – radził sobie coraz lepiej.

Rozmowę z królem przerwała mu dziewczyna, która przechodziła obok. Była to na pewno niewolna, ponieważ na szyi miała łańcuch z tabliczką, na której wygrawerowano symbol zwierzęcia. Być może oznaczało ono właściciela. Spojrzał na nią. Miała około dwudziestu lat, była smukła, ale nie chuda. Długie włosy zaplecione podobnie jak u innych gockich kobiet. Pachniała rumiankiem i ziołami łąki.

– Czy nalać ci miodu, Rzymianinie?

– Tak, poproszę.

Patrzyła na niego i nie było wątpliwości, że Ammian mógł się jej podobać. Jako młody człowiek stronił od rozpusty, której w Antiochii było sporo. Wyznawcy Mitry słynęli raczej z wstrzemięźliwości seksualnej. Ale

teraz spojrział na nią inaczej, niż patrzył na inne kobiety. Może była to kwestia miodu, który wypił, a może chwili rozluźnienia po długim przeżyciu, jakim była podróż na ziemie Gotów. Jednakże niewolna też zerknęła na niego na tej uczcie cały czas. Przyglądała mu się ukradkiem od chwili, gdy wszedł, pod różnym kątem. A teraz, gdy przez moment patrzyli sobie w oczy, oboje wiedzieli, że byłoby im razem dobrze.

Dziewczyna zagapiła się i nalała więcej miodu, niż róg Ammiana mógł pomieścić. Napój pociekł mu na dłoń i na rękę.

– Przepraszam! – przestraszyła się.

– Nie przepraszaj. Słodki jest twój miód, Gotko – odparł Ammian.

– Nie jestem Gotką, tylko Wandalką. Wzięto mnie jako jeńca, kiedy byłam dziewczynką, ale teraz Goci to mój lud.

Ammian zdumiał się.

– Jak masz na imię?

– Niewolne nie mają imienia.

– Dlaczego?

– Bo należą do pana. On tylko może dać imię.

– A kto jest twoim panem?

– Sam król Filimer.

– Piękna jesteś.

Na dziewczynę ktoś krzyknął, żeby pospieszyła się z miodem. Byli bowiem jeszcze inni amatorzy tego trunku podczas tej uczty. Ammian nie mógł się powstrzymać i patrzył na jej linię, kiedy odwróciła się i zajęła swoimi obowiązkami jako służka. Ale rozmowa nie uszła uwadze króla Filimera.

– Widzę, Rzymianinie, że spodobała ci się moja niewolna Wandalka.

Ammian był trochę pijany i nie miał zamiaru udawać, że jest inaczej. Goci tworzyli coś na kształt plemiennej demokracji, choć mieli króla. Ale wszystkie role zarezerwowane były dla mężczyzn.

– Skłamałbym, mówiąc, że mi się nie podoba – odparł, tego popijając miodu.

– Ona jest moją własnością – rzekł król. – Radzę ci zatem, Rzymianinie, uważaj.

– Dziękuję ci, królu, za radę – odpowiedział Ammian.

Goci potrafiały ucztować i tej nocy miał się o tym przekonać. Smakowało mięsiwo, miód szedł do głowy. A noc była ciemna, na przednówku, i długa.

\*

Ammian obudził się następnego dnia w swojej, oddanej mu przez króla, chacie z wielkim bólem głowy. Zauważył, że leży pod skórą bez ubrania, całkowicie nago. Ktoś go tutaj przyniósł, rozebrał, ułożył jego rzeczy oraz – co najciekawsze – przygotował dwa wiadra lodowatej wody w drugiej izbie i napalił w piecu. Ammian nie miał pojęcia, kto to mógł uczynić, ale podejrzewał, że zrobili to ludzie króla albo sam Wulfila, który też jednak za kołnierza podczas uczy nie wylewał. Napił się tej czystej wody, a resztę wylał na siebie. Szok wywołany zimnem ocucił go, jednak musiał się ogrzać, więc wskoczył znów pod futra.

Koło południa przyszedł Wulfila, już na powrót w swoim szarym stroju ze skitu.

– Widzę, Ammianie Marcellinusie, że gocki miód pokonał cię zeszłej nocy.

– Nie naśmiewaj się z mojej hańby. Taki wstyd. Schlać się pierwszego dnia u króla Gotów.

– To wcale nie jest wstyd. Goci inaczej pojmują obyczaje niż Rzymianie. Filimer cię ugościł. Wypadało posmakować miodu. Należało jeść ze smakiem, mlaskać i dokładać sobie jedzenia. To jest u nas w dobrym tonie. Twój wkład w ucztę został doceniony. Przeszedłem ci powiedzieć, że za kilka dni król przyjmie cię jako gościa cesarza na oficjalnej audyencji wśród starszyny Terwingów.

Ta nazwa oznaczała Gotów zachodnich, w odróżnieniu od wschodnich, czyli Greutungów.

– Będą naczelnicy rodów?

- Tak, wszyscy chcą zobaczyć wysłannika cesarza. To dla nich ważne.
  - Wiesz, że nie mogę niczego obiecywać. Mam dla Filimera tylko złoto.
  - Złoto jest zawsze piękne. Proszę, wysłuchaj tego, co oni będą mieli do powiedzenia. Teraz muszę kończyć. Chcę spotkać się z moimi księżmi. Jest też wielu nowych adeptów nauki Jezusa wśród tego ludu. Za kilka dni będę ich święcił na księży.
  - Wiesz, że nie rozumiem waszych ceremonii.
  - Wiem, ale chciałem ci rzec, że masz tutaj dobrego ducha wśród Gotów.
  - Kogo?
  - Wandalka cię zabrała z uczy, gdy już wszyscy się popili, pomogła ci tutaj dojść, ułożyła cię spać i przyniosła ci wody. Ona się w tobie zadurzyła. Nie skrzywdź dziewczyny – powiedział Wulfila. – Zwłaszcza że ona jest własnością króla Filimera, który chyba sam ma ochotę wziąć ją do swego łoża.
  - Jest owieczką chrześcijańską? – zapytał prowokacyjnie Ammian.
  - Ona? Nie, skądże. Jest poganką jak ty.
- Wulfila poszedł do swoich księży, a Ammian trzeźwiało.

\*

Przez wiele następnych dni mógł swobodnie poruszać się po okolicy, ale Wandalka gdzieś się ukryła. Szukał jej wzrokiem, jednak dziewczyna jak gdyby zapadła się pod ziemię. Czas mijał – lub raczej biegł dla Ammiana, który w świecie *barbaricum* odczuwał całym sobą, że jest bardzo inny. Goci uśmiechali się, mówili mu o swoim życiu, problemach. Kowal pokazał, jak kuje broń, i Ammian musiał przyznać, że miecze Gotów są znakomite, a przede wszystkim – dłuższe od rzymskich.

W końcu Wulfila przyszedł do rzymskiego posła ze swoimi księżmi. Było ich trzech – Wamba, Erwig i Adlon. Najprawdziwsi Goci, łaciny nie znali, ale jako pierwsi wyświęceni przez niego przed laty księży czytali biegle pismo gockie i byli, jak się zdaje, przedstawicielami nowej, wykształconej elity tego ludu. Ammian mógł z nimi przyjemnie porozmawiać. Interesowało go, jak szybko nowi adepci Kościoła

ariańskiego pojmwali alfabet stworzony przez Wulfilę. Szczegółowo mu o tym opowiedzieli, więc był zadowolony. W czasie pogawędki okazało się, że zbliża się czas audiencji u króla. Toteż Ammian szybko ubrał się w najlepsze szaty, jakie miał, zabrał list z kancelarii cesarskiej oraz mały kuferek złota dla władcy Terwingów i razem ruszyli do króla.

Wszyscy znaczniejsi Goci czekali już w budynku, gdzie uprzednio odbywała się uczta. Teraz król Filimer siedział pośrodku na dużym rzeźbionym drewnianym krześle, a otaczała go starszyzna, która czekała na to, co powie rzymski poseł. Wulfila siedział z boku ze swoimi księżmi. Ammian zdawał sobie sprawę z tego, że wspólne wyznanie ariańskie łączy cesarza Konstancjusza II i Terwingów, czyli zachodnich Gotów. Była to rozmowa oficjalna, dlatego obie strony starały się zachować pewne ramy. Poseł rzymski miał mówić po łacinie, a za tłumacza służył osobiście Wulfila, który stanowił gwarancję dokładności przekładu.

– Cesarz Konstancjusz Drugi przesyła ci pozdrowienia, królu Terwingów, i w dowód swojej życzliwości dla ciebie i twojego ludu przesyła ci ten oto kuferek złota – rzekł poseł.

Ammian podał dar jednemu ze strażników stojących obok Filimera.

– Jesteś zatem dla cesarza sprzymierzeńcem i oczekuje on, że Goci żyjący pod twoją władzą utrzymają obecną granicę między wami i rzymskim imperium. Cesarz pragnie także w dowód swojej wdzięczności dla waszego ludu zaciągnąć do armii rzymskiej jako żołnierzy pomocniczych tysiąc jeźdźców.

Na to odezwał się Filimer, którego słowa z gockiego na łacinę przełożył ariański biskup:

– U nas konie dobre. Nie dziwię się, że cesarz chce naszych jeźdźców u siebie – rzekł Filimer. – Jestem wdzięczny cesarzowi za dar. Nasz lud dochowa granicy.

Ammian słusznie podejrzewał, że dar cesarza, a było to pięćset złotych aureusów bitych z najlepszego kruszcu, powędruje jako forma łapówki do tych gockich wielmożów. Słusznie też podejrzewał, że Filimer będzie też chciał porozmawiać z nim sam na sam, bez obecności świadków.

I tak się stało. Przywódcy rodów otrzymali wkrótce swoje sakiewki – największa została dla samego króla, a Ammian został poproszony na rozmowę do prywatnych komnat Filimera.

– Co naprawdę dzieje się po rzymskiej stronie granicy? – zapytał król.

Ammian nie mógł wszystkiego powiedzieć do końca.

– Trwają przetasowania władzy.

– Czy to prawda, że armia Dunaju wypowiedziała posłuszeństwo Konstancjuszowi? Dlatego przysłał cię ze złotem? – dopytywał Filimer.

Był to człowiek sprytny i inteligentny. Musiał znaleźć złoty środek między interesami wielkich rodów gockich i utrzymywać je w karności. Ammian też nie mógł sobie pozwolić na zlekceważenie Gotów. Nie było sensu kłamać.

– Nie, armia Dunaju jest wierna Konstancjuszowi, ponieważ wódz Wetranion złożył purpurę, jaką otrzymał od żołnierzy. Natomiast na zachodzie, w Galii, Brytanii i Hiszpanii, jest rzeczywiście uzurpacja. Cesarz musi pomaszerować naprzeciwko wroga i twoi jeźdźcy nam się bardzo przydadzą.

– Rozumiem – rzekł Filimer. – Cesarz dostanie tych jeźdźców. Wyruszą z tobą za miesiąc. Tyle potrzebuję czasu, by znaleźć ochotników, a nasze terytorium jest duże. Na południu zatrzymuje nas wielka rzeka, ale nasi ludzie – jak piasek na brzegu morza. Nie zliczysz. Choć inne ludy też liczne. Do tego nasi kuzyni, zwani przez was Gotami wschodnimi.

– Ostrogoci – powiedział Ammian, a Wulfila potwierdził skinieniem głowy.

– Tak, do nich też poszły nasze misje, które wykształcił i wyekspediował ten tutaj siedzący Got. – Filimer wskazał na Wulfilę, który gładził brodę. – Ich też nie zliczysz. Dobrze robi Rzym, że się z nami nie spiera, nie prowadzi wojen jak wcześniej z Alemanami, Makromanami i Kwadami. My jesteśmy potęgą.

– Wiem i dlatego cieszę się, że mogę was poznać – odparł po gocku Ammian.



– Jesteś pierwszym Rzymianinem, który przyjechał do nas, nie potraktował nas jak głupców i do tego mówi w naszym języku. Zайдiesz daleko, Ammianie Marcellinusie, obyś jednak u swoich znalazł ludzi, a nie kurwy, które wbiją ci nóż w plecy, kiedy się odwrócisz – rzekł Filimer, zadowolony ze złota.

I tak gadali jeszcze długo o obyczajach, wojnie, mieczach, chrześcijaństwie i o tym, dlaczego Rzym jest tak wielki. Wciąż znacznie większy od Gotów wschodnich i zachodnich razem wziętych.

\*

Jeźdźcy gocy zbierali się coraz liczniej z każdym tygodniem, który upłynął po rozmowach Ammiana z Filimerem, królem Terwingów. Zbliżał się czas wyjazdu, kolejnego wejrzenia młodego żołnierza i historyka do świata *barbaricum*, którego przed wyjazdem nie rozumiał i w jakiś sposób się brzydził. Jednak teraz inaczej patrzył na Gotów. Dojrzywał w nim pogląd, że trzeba mieć ich za sprzymierzeńców tylko po tej stronie Dunaju, po której mieszkają, ale można pozwolić im się tam osiedlać bez kontroli. Goci są silni, skonsolidowani, płodni – mają wiele dzieci i wielki apetyt na ziemię. Ich rolnictwo jest dobre i dużo umieją w zakresie płodozmianu, hodowli zwierząt.

Jakaś wielka tęsknota powodowała, że Ammian na kogoś czekał. Od czasu uczt widział ją raz tylko na targu, gdzie zamienił z nią ledwo kilka słów. Musnął lekko dłońią jej włosy, ale ona tego nie dostrzegła. Zdał sobie sprawę z tego, że pragnie jej jak nigdy wcześniej nikogo na świecie. Na trzy dni przed wyjazdem zwyczajem gockim zrobił sobie saunę w swoim drewnianym domu. Przygotowywał się potem do snu, ułożył się już nagi na skórkach, bo w całym pomieszczeniu było jeszcze sporo pary i temperatura była znacznie wyższa niż na zewnątrz. Wiosną noce bywają chłodne.

I wtedy przyszła ona. Sama z siebie cicho wymknęła się z posłania dla niewolników i Ammian wiedział, że przyszła tylko dla niego.

– Nie spodziewałem się ciebie tutaj ujrzeć – rzekł. – Choć, nie ukrywam, bardzo tego pragnąłem.

– I ja tego chciałam – odparła dziewczyna.

Drżała z zimna, dlatego Ammian pozwolił jej się ogrzać. Była przykryta jakimś kocem. Usiadła na skraju zajmowanego przez niego łoża z wyłożonymi skórami. Rzymianin był nagi, ale nie wstydził się swojego ciała, a wewnątrz drewnianego domu panował półmrok.

– Mam na imię Ammian.

– Ja jestem Gudrum – odparła dziewczyna. – Teraz już mam imię, ponieważ mój pan, król Filimer, dał mi to imię.

– Jak sądzisz, dlaczego król akurat teraz dał ci takie imię?

– Wydaje mi się, że mnie pragnie. Tak jak pragniesz mnie ty.

– A kogo wolisz? Jego czy mnie?

– Oczywiście, że ciebie.

– I dlatego do mnie przysłaś?

– Chcę się z tobą pożegnać – powiedziała Gudrum.

Zauważył, że ona pod tym kocem też nie ma żadnego ubrania. W pewnej chwili zrzuciła okrycie i przyłgnęła do niego z tak wielką czułością, że Ammian się temu poddał. Poczuł zapach jej skóry i włosów, delikatny, ziołowy. Całował ją długo i namiętnie. Pod palcami wyczuł jej stwardniałe sutki. Wziął do ust jeden z nich. Cicho jęknęła. Ułożył ją wygodnie na skórkach i delikatnie w nią wszedł. Mieli całą noc, żeby nauczyć się swoich ciał na pamięć.

## ROZDZIAŁ VIII

### *Furie, zaklinam was!*

Ammian nie przypuszczał, że będzie mu tak ciężko wyjechać. Nigdy by siebie o to nie podejrzewał, ale czuł, jak bardzo złamane ma serce. Dla niego i dla niej to był pierwszy raz. I wiedział, że to miłość. A pierwsza miłość i jej smak zostają w człowieku na zawsze. Gdy odjeżdżali, odwrócił się na koniu, a Gudrum stała na skraju wielkiej osady Gotów i patrzyła za nim. Wulfila też to zauważył i wstrzymał jeźdźców.

Rzymianin spiął konia i podjechał do niej.

– Nie mogę cię zabrać ze sobą.

Milczała. Kochał ją i ona kochała jego, może miłością szczeniacką, a może jedyną w życiu. Zdjął z ręki swój złoty sygnet, zszedł z konia i włożył go do jej dłoni.

– To ode mnie, żebyś mnie pamiętała.

– Będę cię pamiętała zawsze.

– W takim razie nie mówię ci *żegnaj*, Gudrum. Może bogowie sprawią, że się jeszcze spotkamy.

Odjechał z ciężkim sercem, a ona wpatrywała się długo w linię horyzontu, nawet gdy zniknął za nim ostatni jeździec z tych, których król Terwingów wypożyczył na wojnę Rzymianom. Zanim odjechał, starała się zapamiętać każdy szczegół jego twarzy i wyglądu.

Wkrótce potem została zaproszona przez króla Filimera na noc. I już nie mogła mieć pewności, czy dziecko, które poczęła, należało do króla czy też do Rzymianina, który ją opuścił.

Ammian zawitał do Sirmium nad Sawą latem 352 roku – przywiódł tysiąc jeźdźców gockich na potrzeby wojska rzymskiego. Dopiero tam dowiedział się o tym, że w czerwcu, gdy bawił jeszcze z ważną misją wśród Gotów, doszło do nieoczekiwanego rozstrzygnięcia w wojnie domowej. Wojska zachodniego uzurpatora ruszyły niepostrzeżenie przez Alpy i weszły niespodziewanie na terytorium podległe Konstancjuszowi. Były to nieprzeliczone zastępy piechoty i ciężkiej jazdy, a to oznaczało, że zachodnie prowincje zostały ogołoczone z wojska. Magnencjusz szedł po władzę, zabiwszy w Rzymie kuzyna Konstancjusza – Nepocjana, który też próbował sięgnąć po purpurę. Jego głowa, wbita na włócznię, ozdabiała później rzymskie forum przez długie tygodnie, dopóki ktoś się nad nią nie zlitował i – cuchnącą – pochował z godnością.

– Cieszę się, żeś wrócił – rzekł mu na powitanie Ursycyn, wódz cesarski.

– Przywiódłeś tylu jeźdźców! Jestem pod wrażeniem.

– Szkoda, że ominęła mnie cała zabawa – odparł Ammian, ale naraził się na ostre słowa starego dowódcy.

– Nie wiesz, co mówisz, gówniarzu! Wojna domowa to wielkie nieszczęście, nieporównywalne z niczym innym.

– Wybacz, nie chciałem użyć tego słowa.

– Ale użyłeś.

– Przepraszam – zmitygował się Ammian.

Jednak poczuł znów zew swojej prawdziwej natury, czyli historyka. Był pewny, że Ursycyn wszystko to widział na własne oczy.

– Opowiedz mi.

Siedli gdzieś na boku.

– Wojska Magnencjusza szły jednym traktem, rozciągnięte na wiele mil. Miał może ze sto tysięcy ludzi, większość armii zachodniej. Do starcia z naszymi wojskami doszło pod Mursą nad rzeką Drawą. Nigdy wcześniej nie widziałem takiej rzeźni, choć próbowaliśmy z cesarzem Konstancjuszem wszystkiego: przekupstwa, negocjacji, nawet pośrednictwa biskupów chrześcijańskich, aby wynegocjować poddanie się tamtych. Na nic wszystko.

– Nie chcieli się poddać?

– Skądże. Siły były wyrównane, armia zachodu naprzeciwko armii Dunaju, ponieważ nie wszystkie oddziały ze wschodu zdążyły przybyć. Mieliśmy mniejsze siły, więc cesarz skrócił front. Byliśmy na lepszej pozycji, bo las po boku i rzeka, a oni falami szli naprzeciw nam, szturm trwał cały dzień i nikt nie chciał brać jeńców. Następnego dnia cesarz Konstancjusz i ja pojechaliśmy na pobojowisko. Leżało tam tyle ciał, że nikt by nie zliczył. Są tam do dziś, choć minęły dwa miesiące. Kupcy mówią, że widzieli pobojowisko, a właściwie wyczuwali je na wiele mil, tak podobno cuchnie. Zleciały się tam ptaszyska z całej prowincji i mówią, że ponoć wilki się zjawiły.

Ammian próbował sobie to wyobrazić i przejmowała go groza.

– Straszne to, co mówisz – rzekł, nie wiedząc, co ma innego powiedzieć.

– Dwa razy w życiu widziałem płaczącego Konstancjusza. Raz przy grobie ojca, cesarza Konstantyna, a drugi na pobojowisku pod Mursą – westchnął Ursycyn.

– Gdzie jest cesarz teraz?

– W drodze do Mediolanu, pewnie tam już dotarł. Musi wyczyścić te prowincje ze stronników Magnencjusza.

– Co się z nim stało?

– Uciekł z pola bitwy i popełnił samobójstwo. Jego rebelia ma dla zachodu katastrofalne skutki. Runęła zapora na Renie i Alemanowie wdzierają się aż do Doliny Rodanu. Dlatego cesarz pośpieszył na ratunek zachodowi. My mamy inne zadanie.

– Jakie? – zapytał podekscytowany Ammian.

– Mamy jechać na wschód z inspekcją armii pod Nisbis, tam, gdzie cesarz powstrzymał ostatnio Persów. Przy okazji mamy sprawdzić, jak realizuje jego politykę nowy cesarz wschodu: Gallus.

Ammian westchnął. Ten człowiek żył tylko dzięki jego ojcu, który postanowił ocalić jego oraz przyrodniego brata Juliana z masakry latem 337 roku. Teraz był mężem Konstantyny, rodzonej córki pierwszego chrześcijańskiego cesarza; kobiety, która miała osobisty powód, by go

nienawidzić. Szybko jednak odrzucił niepokój, bo myślą znalazł się przy rodzicach mieszkających pod Antiochią. Może będzie miał okazję wyrwać się z wojska i ich odwiedzić?

\*

Stary Aureliusz Marcellinus przez ostatnie dwa lata dostał tylko dwa zdawkowe listy od syna, którego miłował nad życie. Jednak pocieszał jego matkę, mówiąc jej, że gdy sam był w wojsku, przez pierwsze lata nie miał na nic czasu, a już na pewno nie na pisanie do bliskich. Mimo wszystko cieszył się, że syn zdobywa doświadczenia i widzi inne kraje. Może nawet zetknął się po raz pierwszy z barbarzyńcami? Uwagę i troskę Aureliusza Marcellinusa, starego żołnierza, budziło co innego.

Odkąd na wschód przybyli nowi rządzący w imieniu Konstancjusza – cesarz Gallus i Konstantyna, rodzona córka świętego dla chrześcijan cesarza i siostra obecnego – zaczęły się dzieć w Antiochii, najludniejszym mieście wschodu, rzeczy dziwne i straszne. Gallus zmienił się pod wpływem władzy. Doświadczony kiedyś przez okoliczności, przez lata żył w strachu, ale w przeciwieństwie do swojego przyrodniego brata Juliana nie oddawał się ani filozofii, ani żadnej innej pasji poza błazeńskimi zabawami, upijaniem się nierozcieńczonym winem i odwiedzaniem domów publicznych, których stał się stałym klientem. Dodało mu splendoru małżeństwo z Konstancją, kobietą zmysłową, próżną i żądną nade wszystko władzy. To sprawiło, że jako cesarz strach okazywał jedynie przed Konstancjuszem II, ale ten z racji wojny domowej był daleko, bo na zachodzie. Wschodnie prowincje, ludne, bogate i nietknięte najezdami – choć Persowie stawali się coraz bardziej dokuczliwi – miały stać się obiektem żądzy władzy i pychy tych dwojga. Zamieszkali w Antiochii, dostatecznie daleko od dworu cesarskiego, by się nim nie przejmować.

Aureliusz Marcellinus był świadkiem sceny polowania, jaką Gallus i Konstantyna – jako królowa dzikich – urządzili w pałacu. Strzelali z łuku do niewolników przebranych za bawoły, jelenie czy dziki. Każdy

z niewolników miał intrygujące przebranie i doczepione do głowy poroże. Konstantyna, upojona winem, upolowała trzy takie stworzenia, a Gallus pół tuzina. Pijany, chciał je jeszcze piec na rożnie i oprawiać ze skóry, ale żona z uwagi na obecność ariańskiego biskupa Antiochii wyperswadowała mu to.

Pławili się w luksusie i szalonym zbytku. Codziennie gospodarze wokół Antiochii mieli dostarczać do pałacu cezara świeże mleko ośle i kozie, w którym Konstantyna się kąpała. Następnie wzbogacone w ten sposób mleko kazała spożywać wszystkim na dworze. Jednak nie dość szaleństw – Gallus zainteresował się bardzo religią, a konkretnie skrajną postacią arianizmu, którą głosił w Antiochii diakon ówczesnego antiocheńskiego Kościoła Aecjusz. Jezus miał zostać stworzony przez Ojca w łonie Maryi, ale jako całkowicie mu podległy doskonały człowiek. Te poglądy oczywiście Gallus uznał za własne i polecił, by głosić je publicznie we wszystkich kościołach, co wywołało opór katolików i umiarkowanych arian. Cezar, chcąc przypodobać się jednemu i drugiemu, postanowił zrobić coś spektakularnego.

W miejscowości Dafne pod Antiochią znajdowała się świątynia Apollina, jednak nie tak znana i sławna jak wyrocznia w Delfach, która podupadła po tym, jak w roku 260 zniszczyli i zrabowali ją Goci. Kult solarnego bóstwa był wciąż wśród Greków bardzo popularny. Gallus postanowił wybudować w tym miejscu kościół, co wywołało oburzenie tych obywateli Antiochii, którzy wciąż wierzyli w dawnych bogów. Aureliusz Marcellinus postanowił zareagować. Wysłał pismo na papirusie, w którym przedstawił rzeczowe argumenty, listy cudów, jakie miały się dokonać za sprawą Apolla, a także zażądał od Gallusa rekompensaty dla tamtejszych kapłanów za utracenie miejsca kultu. Konstantyna rozpoznała nazwisko Aureliusza Marcellinusa – od razu przypomniała sobie o afrontie, jakiego doznała od jego syna.

– Mój mężu, moja radości i mój władco – rzekła do Gallusa, który lubił tanie pochlebstwa, choć w ich małżeństwie było dokładnie odwrotnie

i wszyscy na dworze o tym wiedzieli. – Czy pomścisz krzywdę uczynioną mi przez pewnego podstępного człowieka?

Gallus był jeszcze dość trzeźwy tego dnia, by zainteresować się, co takiego spotkało jego żonę i przyszłą cesarzową Rzymian.

– Kto śmiał ci uczynić coś złego?

– Proszę cię, mój mężu – westchnęła Konstantyna, patrząc na niego swoimi wielkimi, smutnymi oczyma. – Nie wpadaj w gniew. Skojarzyłam imię i nazwisko tego poganina, który do ciebie napisał, z imieniem oficera cesarza, który próbował napastować mnie w Serdyce, kiedy toczyły się rozmowy z uzurpatorem Wetraniem.

Gallus wypił jednym haustem wino, po czym podszedł do żony i ucałował ją namiętnie i mocno w obecności sług pałacowych. Dla Konstantyny pocałunek pijaka nie mógł być przyjemny, ale jej intryga miała wkalkulowaną cenę, którą miała zapłacić.

– Uległaś mu? Czy pozostałaś mi wierna?

– Wtedy, mój mężu, nie byłam jeszcze twoja i nie znałam cię zbyt dobrze.

– Odpowiedz na pytanie. Czy on cię skrzywdził? Czy cię napastował?

– Pragnął tego. Ale ja się mu oparłam. Wyrzuciłam go precz za drzwi mej komnaty.

– Kim był ten nędznik? – zapytał wściekle Gallus.

– To syn niegodziwego poganina, który pisał do ciebie w sprawie świątyni. Nazywał się Ammian Marcellinus. Jednak, mój mężu, przestrzegam cię, abyś nie wyrządził mu bezpośrednio krzywdy.

– Co zamierzasz?

Wówczas Konstantyna popatrzyła mężowi głęboko w oczy, aż on dostrzegł w jej wzroku ciemność bez dna.

– Ja zadam mu gorszą mękę – wyszeptała córka cesarza.

Okazja nadarzyła się wkrótce. Konstantyna z radością podyktowała wyrok śmierci za *grzeszne nieposłuszeństwo*, który cesarz Gallus podpisał. Wydała szybko dyspozycję i kilku żołnierzy ze *scholae palatinae*, mających ochraniać Gallusa i jego żonę, pojechało galopem pod Antiochię,



gdzie w willi nad morzem mieszkał Aureliusz Marcellinus. Był zadowolony, że przybywają od cezara posłowie, zapewne w sprawie jego pisma. Poznał ich, bo sam niegdyś służył w tej elitarnej formacji.

– Jaką cesarz ma odpowiedź na moje pismo?

– Taką – odparł oficer, wyciągnął miecz i wbił go mocno pod żebra starego człowieka. Ten zdołał jeszcze zawołać, ale już tracił przytomność. Zabójca wyciągnął miecz i wytarł go o szatę zabitego.

Martwy Aureliusz Marcellinus osunął się na ziemię. Wszystko to stało się na oczach jego żony, która krzyknęła i podbiegła do męża.

– Dobij ją – powiedział do zabójcy jeden z ludzi Gallusa.

– Był rozkaz tylko wobec niego.

Zostawili więc zabitego weterana i wiernego Rzymowi żołnierza w ramionach żony.

Aureliusz Marcellinus zginął z rozkazu człowieka, którego w 337 roku uratował przed śmiercią.

\*

Po wielu tygodniach Ammian Marcellinus oraz Ursycyn wraz z doborowym oddziałem jazdy gockiej przybyli w okolice Antiochii. Mieli się zatrzymać w wielkim mieście, pożywić, odpocząć i nabrać sił przed dalszą drogą na wschód do twierdzy Nisbis, gdzie przed trzema laty Konstancjusz II zatrzymał ze swoją armią ogromne siły perskie. Ammian zaprosił Ursycyna w wolny dzień do domu swoich rodziców. Był pewny, że jego ojciec z radością przyjmie starego druha z wielu wojen.

Jechali kłusem, a młody człowiek słuchał opowieści o cesarzu Konstantynie i w czasie postojów skrzętnie notował na tabliczkach to, co powinien zapamiętać. Ammian wciąż był na etapie zbierania materiałów do wielkiej historii, której jeszcze nie zaczął pisać. Wzruszył się też ogromnie, gdy okolice zaczęły mu przypominać dzieciństwo i wszystkie te szczęśliwe chwile, których zaznał pod Antiochią.

Dojechali do miejsca, skąd można było już zobaczyć rodzinny dom, ale nikt nie wyszedł im na spotkanie. Gdy wyjeżdżał, ojcu w gospodarstwie

pomagała rodzina osadzonego tutaj kolona z Pamfilii, jednak i jego nie zauważył. Ammian i Ursycyn zsiadli z koni. Rozejrzeli się. Ammian wszedł do środka, ale nie zastał nikogo. Pozostający na zewnątrz Ursycyn krzyknął na niego, a młody człowiek wyszedł, nie bardzo rozumiejąc, co ma o tym wszystkim myśleć.

Ursycyn pokazał mu dogasający stos pogrzebowy. Wciąż się dymiło, ale ogień już przygasał – pochłonał i uświęcił wszystko, co mu złożono w ofierze. Ammian jeszcze nie rozumiał, ale stary wiarus Ursycyn pojął grozę chwili nadzwyczaj dobrze. W tym momencie sługa Aureliusza poznał jego syna i przypadł mu do nóg.

– Nie zdążyłem odwieść pani od tego czynu. Chciała odejść z twoim ojcem – rzekł zapłakany sługa.

Dopiero teraz Ammian zrozumiał. Wpatrywał się jeszcze w dogasające pogorzelnisko. Nie ma czasu na próżną rozpacz. Obmycie we krwi ofiarnego byka uzmysłowiło mu przed laty, że śmierć jest i musi być częścią życia.

– Przynieś urnę – zwrócił się do sługi.

Chwytał grabie i rozgrabił to, co pozostało na pogorzelnisku. Tliły się jeszcze węgle. Biel szerniałych, nadpalonych kości nie przerażała go. Na oczach Ursycyna zebrał to, co zostało, do urny, a w drzwiach kazał słudze zatknąć gałązkę świerkową na znak żałoby.

\*

Ammian opłakał rodziców w pustym domu. Wszystkie przedmioty były bezużyteczne, ponieważ nie istnieli już ci, którzy ich używali. To nie było już jego miejsce, choć dom pozostawał jego domem. Doświadczenia ostatnich dwu lat odmieniły go. Młodość zaczęła się w nim zasklepić i zabliznić, bo gorycz zabiera człowiekowi każdą radosną chwilę. Ursycyn postanowił zostawić przyjaciela samego na kilka dni i pojechał do Antiochii, żeby dowiedzieć się, co zaszło. Jako wysoki rangą oficer nie musiał się obawiać cezara i jego żony. Zgodnie z rozkazami Konstancjusza miał im podlegać, ale też doradzać.

Po kilku dniach wrócił z ciężkim sercem. Dowiedział się wszystkiego. Powiedział Ammianowi prawdę o piśmie ojca w sprawie świętyni Apollina w Dafne oraz o tym, że wyrok śmierci wydał Gallus na podstawie podszeptów żony Konstantyny.

– To wygląda mi na samowolę, wyrok na zlecenie – rzekł Ursycyn do załamane go Ammiana. – Czym mogłeś zająć za skórę Konstantynie?

– Nie wiem – odpowiedział Ammian. – Poczekaj...

Przypomniał sobie o scenie w Serdyce, przed wyruszeniem na wyprawę do kraju Gotów. Opowiedział Ursycynowi o tym, co się stało.

– To w jej stylu – stwierdził stary oficer. – Naraziłeś się tej mściwej i złej kobiecie. Ona jako siostra cesarza jest poza twoim zasięgiem, gdybyś chciał się zemścić.

– Pragnę zemsty.

– Musiałbym cię powstrzymać. Wiesz przecież. Musisz poczekać, aż Gallus i Konstantyna sobie wystarczająco nagrabią. Muszę wykonywać ich rozkazy, ale napiszę o tym, co się dzieje, do cesarza.

– Furie dokonają zemsty za mnie – rzekł Ammian.

Ursycynowi zrobiło się go żal. Cierpiał, ale stary żołnierz dostrzegł jakiś przełom. Ammian zaprosił go, żeby wziął udział w jego ofierze. Przeprowadził młodą kozę i zaciągnął beczące zwierzę, podejrzewające, że stanie się coś złego, na wypalone miejsce po stosie pogrzebowym. Naznosił drewno na nowy, mniejszy tym razem stos ofiarny. Przygotował też dwie tabliczki powleczone woskiem i wypisanymi imionami Gallusa i Konstantyny. Wziął ostry nóż i poprosił, aby Ursycyn stał się jego świadkiem przed bogami. Chwytną trzymaną przez sługę kozę i pogłodził zwierzę po pysku.

– Przepraszam, że muszę ci odebrać życie.

Po czym ciął szybko przez gardło zwierzęcia. Bluznęła krew z przeciętej tętnicy, zwierzę zanurzyło się w śmierci. Ammian miał ręce we krwi. Krew ściekała do misy, a potem już martwe zwierzę w całości Ammian ułożył na stosie ofiarnym.

– Wzywam was tą ofiarą, trzy siostry! Alekto, ty, która jesteś niestrudzona i nigdy nie zaprzestajesz ścigać zbrodniarzy, dopóki ich nie zagnasz w otchłań Hadesu! Ciebie, Tyzyfone, abyś zakosztowała mojej ofiary i spojrzała na moją miłość do bogów! Magajro, trzecia z sióstr boginek, błagam cię, wysłuchaj mnie!

Ursycyn i stojący obok sługa nigdy czegoś takiego nie widzieli na oczy. Ammian przyzywał trzy straszne boginki zemsty w sposób przejmujący, z wielką pasją w głosie. Przez jego ciało przebiegał spazm. Nie mogli mieć wątpliwości, że zostanie wysłuchany.

– Ofiarowuję wam krew tego stworzenia i moją krew – rzekł, przelewając krew kozy do misy, którą postawił w miejscu, gdzie wcześniej stał stos. Wyciągnął nóż i zranił się w lewą dłoń. Jego krew pomieszała się z krwią ofiary i zaczęła skapywać na tabliczkę z imieniem cezara Gallusa.

– Trzy siostry, pomścijcie mnie! Ofiarowuję wam twarz tego człowieka, jego głowę, jego wnętrzności, jego lędźwie, jego wątrobę, jego oczy! Niech szesznią wraz z nim, niech zalegnie się w jego żołądku robactwo, niech kęszą go dzikie zwierzęta. Błagam, wysłuchajcie mnie i przyjmijcie tę ofiarę!

Po czym złożył zroszoną własną krwią tabliczkę obok ofiary. Chwytał drugą i znów naciął sobie nożem lewą dłoń, aby jego krew skapywała na drugą tabliczkę z wypisanym greckimi literami imieniem Konstantyny.

– Boginki, trzy straszliwe siostry, nie uciekajcie ode mnie i mojej ofiary. Ofiarowuję wam ciało tej kobiety, niech kopulują z nią psy; oczy tej kobiety, jej język, jej piersi, jej łono, jej włosy, jej wątrobę, niech zgniją! Niech nigdzie nie zazna spokoju! Niech jej ciało stanie się pośmiewiskiem dla motłochu, o to was proszę i składam wam tę ofiarę.

Powiedziawszy to, złożył drugą tabliczkę pobrudzoną swą krwią. Ursycyn nie był w stanie wykrzesać z siebie słowa. Sługa zaś, chrześcijanin, wzywał wszystkich świętych, by ulżyli młodemu panu Marcellinusowi, który wzywał najgorsze demony świata pogańskiego na ten świat.

Milczący już Ammian, ubrudzony krwią, wyglądał jak uosobienie furii. Skrzesał ognia i podpalił stos. Płomienie wystrzeliły w górę, jak gdyby poruszone jakąś niewidzialną siłą – po części z powodu suchości drewna, ale też dlatego, że szybko zajęła się sierść zwierzęcia. Buchnął cuchnący dym, ale płomień nie słabł, przeciwnie – wzrastał się, a dym z ofiary szedł wysoko ku niebu...

\*

Ursycyn został wkrótce przewodniczącym sądu powołanego przez Gallusa. Rzeczy bowiem miały się bardzo źle. Wojsko, przygotowując się do nieuchronnej nowej wojny z Persją, rekwirowało zboże, którego cena poszła drastycznie w górę. Wybuchła awantura, a wściekły i głodny lud rozszarpał namiestnika, zresztą chrześcijanina, dobrego człowieka imieniem Teofil. Gallus skazał też na śmierć dwóch innych urzędników – kwestora prowincji Moncjusza i kanclerza Domicjana. Był to dla niego zły omen, bo drugi z nich nosił imię mściwego cesarza. Zginęli w męczarniach. Tymczasem Konstancyjna szalała. Gdy spotykała klejnot, rzadki wyrób jubilerski jak naszyjnik z lapis-lazuli, nakazywała go sobie dać bez zapłaty. Gdy kupiec odmawiał, nasyłała swoich zbirów, ci zabijali go, a klejnot trafiał do jej rąk. Tych dwoje szalało w pałacu pełnym fanatycznych mnichów, donosicieli, szpicli i nieudaczników, którzy płacili za to, by dostać stanowisko prefekta miasta czy jego edyla. Po co? Bo dzięki temu mogli więcej kraść, a w odpowiednim momencie przepaść jak kamień wrzucony do morza.

Mijały tygodnie, a Ursycyn w tajemnicy przed Gallusem słał do Konstancjusza listy z rejestrem jego zbrodni. Zawiadomił cesarza również o śmierci rodziców Ammiana. Ale najbardziej bulwersująca była sprawa wielkiego bogacza i hodowcy koni – Klemancjusza, w którym zakochała się jego własna teściowa. Nie mogąc go zdobyć, kupiła pożądany przez Konstancynę naszyjnik i wręczyła jej go z prośbą, aby ta zabiła młodzieńca. Konstancyjna zrobiła to. Zamordowanie Klemancjusza przelało czarę goryczy. W końcu Ursycyn doczekał się odpowiedzi cesarza

Konstancjusza II z Mediolanu – przysłała zaskakująco szybko, bo już po dwóch miesiącach. Stary wiarus postanowił powiedzieć o tym cesarowi Gallusowi i jego żonie Konstantynie podczas wieczerzy.

– Cesarz Konstancjusz wzywa was oboje przed swoje oblicze do Mediolanu.

Konstantyna upuściła kielich z winem, gdy to posłyszała.

– Polecenie ma rygor natychmiastowej wykonalności – dodał generał.

## ROZDZIAŁ IX

### *Pokuta*

#### *BITYNIA, 354 ROK*

– Cesarz lubi, by rozkazy najwyższej wagi państwowej były wykonywane szybko i bez rozgłosu – rzekł Ursycyn, który otrzymał od Konstancjusza II jasne i precyzyjne instrukcje, co zrobić z cezarem Gallusem i jego żoną, siostrą cesarza.

Mówiąc to, dał je Ammianowi Marcellinusowi. Młody oficer przeczytał, że małżonkowie powinni zostać rozdzieleni. Gallus ma w sposób niezmacony przez nikogo kontynuować podróż na zachód. Dopiero w Sirmium ma się mu odebrać insygnia władzy, w tym purpurowy płaszcz, i przesadzić do pocztowej karocy. Ma podróżować od Sirmium jako więzień stanu. Siostra Konstancjusza II z racji pokrewieństwa mogła liczyć na odrobinę lepszy los. I właśnie to było zadanie dla Ammiana, bezpośrednio wskazanego w liście cesarza jako organizatora i wykonawcy jej procesu.

– Gdzie to ma się odbyć?

– Tutaj, w Bitynii. Tu się pożegnamy, bo ja muszę eskortować Gallusa na zachód. Odpowiadam za niego głową i muszę mieć ją na karku, podczas gdy on niekoniecznie. Ty natomiast, Ammianie, musisz się zaprzyjaźnić z biskupem Nikomedii Auksencjuszem, który odegrał dużą rolę podczas ostatniego synodu biskupów w Sirmium.

– Arianie zyskali tam przewagę?

– Tak mi się wydaje, choć nie rozumiem w pełni, o co chrześcijanie się kłócą. Ja i ty jesteśmy wierni dawnym bogom. I mamy okazję pozbyć się kobiety, przez którą upadła świątynia Apollina w Dafne – oznajmił Ursycyn.

– W takim razie udam się do biskupa Auksencjusza – zdecydował Ammian.

– Od tego, jak to rozegrasz, może wiele zależeć. Formalnie ty sprawujesz nadzór na Konstancyntyną i liczę, że nie spróbujesz... – powiedział Ursycyn z obawą w głosie, ale Ammian go zapewnił:

– Tego dokonają Erynie – powiedział. – Ja tej kobiety nie tknę. Nie zamienię z nią słowa. Życzę ci pomyślnej drogi na zachód. Byłoby dobrze, gdyby Konstancjusz jeszcze bardziej się na Gallusa zezłościł. Formalnie wciąż jest cezarem, więc musisz wykonywać jego polecenia. Gdyby chciał na dłużej zatrzymać się w Konstancyntynopolu, nie oponuj. Napisz raport do cesarza, jak to Gallus bawi się w stolicy.

Ursycyn podchwycił tę myśl.

– Zaiste, to Erynie szepczą ci do ucha – rzucił stary żołnierz, odchodząc.

\*

Nikomedia była wspaniałym miastem nad Propontydą, od Konstancyntynopola oddalonym zaledwie o kilka dni drogi. Bliskość wielkiej stolicy imperium nie przeszkadzała w jej rozwoju – szczyła się pięknym portem i kompleksem pałacowym zbudowanym tutaj przez Konstancyntynę Wielką. W tym mieście cesarz przeszedł do wieczności.

Konstancyntyna pod ścisłą strażą znalazła się więc w pałacu ojca. W jakiś sposób samo polecenie brata Konstancjusza, by stawiała się przed nim, stanowiło dla tej dumnej i pysznej kobiety karę. Teraz, odizolowana w pałacu, czekała na rozwój wypadków. Nikt z miasta nie miał prawa z nią rozmawiać, pozbawiono ją także powiernic z Antiochii, jej niewolnic i służek. Zamiast nich pojawiły się sprowadzone przez Ammiana z klasztoru pod miastem mniszki – chrześcijanie bowiem, pragnąc wyzwolić się z więzów świata i oddać się miłosiernemu Bogu, tworzyli już odizolowane wspólnoty za zezwoleniem miejscowego biskupa – podobnie było w Nikomedii. Kobiety te, w liczbie sześciu, nie odzywały się do Konstancyntyny, ale usługiwały jej – podawały jedzenie, wino i wodę, pilnowały, by wychodziła jedynie do ogrodu. Cesarzowa nie nawykła,



by ktoś inny, do tego jeszcze niżej od niej urodzony, czegoś jej zakazywał lub coś nakazywał. Wreszcie więc zareagowała z wściekłością:

– Ty zdiro! – krzyknęła do jednej z mniszek. – Nie będziesz mi niczego zakazywać! Będę chodziła tam, gdzie chcę, i będę robiła to, co chcę!

Mniszki milczały. Gdy jednak odepchnęła jedną, dwie następne zagradzały jej drogę. Pałac drżał w posadach od krzyków Konstantyny i najbardziej niewybrednych przekleństw, których nie sposób było pomyśleć, a co dopiero słyszeć je z ust tak szlachetnie urodzonej osoby jak córka cesarza. Nikt w pałacu nie śmiał stanąć po jej stronie. W końcu mniszki ją opanowały. A jedna z nich, najsilniejsza fizycznie – zapewne chłopka spod Nikomedii, z całej siły uderzyła cesarską siostrę w twarz, że wszyscy widzący tę scenę aż oniemieli.

– Zła jesteś i próżna – rzekła jej mniszka. – Przez ciebie złamałam święty ślub milczenia i zgłoszę się do czcigodnego biskupa po odpuszczenie grzechu i pokutę. Jednak będę stała na straży twojej duszy, Konstantyno. Nie wyjdiesz już z celi, którą dla ciebie przygotowaliśmy w pałacu, dopóki sama nie stawisz czoła swojej pokucie. Będziemy się modlić o łaskę Bożą dla ciebie.

Konstantyna, wściekła, krzycząca i przeklinająca, została zaprowadzona do komnaty i w niej zamknięta. Codziennie dostarczano tam podpłomyk, porcję oliwy, wodę, czasem dzbanek mleka. O czystość musiała już dbać sama. Otrzymała szmatkę do higieny osobistej i wiadro na załatwianie potrzeb fizjologicznych, które codziennie było wymieniane przez dwie mniszki. Nie zamieniały one z Konstantyną ani słowa. Przez pierwsze dni nazywała je kurwami, ale potem zaczęła szlochać i błagać, by ją wypuściły.

Jednak żadna z nich nie złamała już zasady świętego milczenia.

\*

Ammian Marcellinus przybył na rozmowę z Auksencjuszem. Biskup przyjął oficera cesarskiego w ogrodach, z których słynęła Nikomedia. Ciągnęły się na kilka mil na bulwarach nad morzem – publicznie dostępne,

pełne róż, krzewów oleandrów o kwiatach cudnych, ale trujących, a także równie cudownych, choć jadowitych złotokapów, które nazywano drzewami Świętego Łazarza, a także bardziej pospolitych drzew cytronu, jabłoni i śliw.

– Komesie Ammianie, czy przejdziemy się? Wszystko kwitnie – spytał biskup po łacinie.

Ammian wraz z nowym zadaniem dostał awans. *Comes speculatorum* – dowódca zwiadowców armii wschodniej to była już ranga wysoka i z dobrymi poborami.

– Księżę biskupie – przywitał się Ammian. – Dowiedziałem się, że ekscelencja pochodzi z Durostorum<sup>[41]</sup>, a to jest w Mezji. Czy mógłbym wiedzieć, co łacinnik robi na wschodzie? To w naszych czasach dość niespotykane.

– Równie rzadko w naszych ciężkich czasach można spotkać Greka, który mówi po łacinie jak ty, Ammianie Marcellinusie. Twoja sława dociera, zanim się pojawisz.

– Książę biskup mnie przecenia.

– Ależ skąd. Mamy wspólnego znajomego, który wiele mi o tobie opowiadał.

– Niech zgadnę – rzekł Ammian. – Biskup Wulfila?

– W rzeczy samej.

Ammian mógł czuć się godnie. Reprezentował armię, więc na lekką kolczugę narzucił szkarłatny płaszcz. Wdział też dobre skórzane, kawaleryjskie buty, a miecz *spatha* przypasany u boku dodawał mu respektu. Biskup Aukscencjusz nosił się nader skromnie – miał szatę z niebarwionego szarego lnu. Tak jak Wulfila.

– Przybywam, jak zapewne przypuszczasz, w delikatnej sprawie, która jednak spocznie na tobie – oznajmił Ammian.

– A tak – odparł biskup. – Siostra cesarza. O jej wyczynach w pałacu dowiedziałem się już od mniszki, która ma się nią opiekować. Konstantyna przyczyniła się swym zachowaniem do złamania przez nią ślubu milczenia. Nakazałem mniszce pokutę. Konstantyna zaś musi uznać

swoje grzechy. Na tym polega jej kara nałożona przez cesarza. Gdy zrozumie ogrom swoich grzechów, wówczas będzie oczyszczona.

Ammian nie bardzo potrafił się odnaleźć w specyficznym języku chrześcijan. Jednak biskup miał władzę scedowaną przez cesarza.

– Co zamierzasz uczynić?

– Proces nie byłby na rękę cesarzowi, bo to wszak jego siostra, jednak zatwardziałość tej grzesznicy budzi moje przerażenie. My tutaj słyszeliśmy o szaleństwach jej i jej męża w Antiochii, o dziesiątkach ludzi, zarówno chrześcijan, jak i pogan, których zgubiły jej żądza władzy, chciwość i okrucieństwo. Musi odpowiedzieć za te grzechy. Odbędzie zatem rodzaj publicznej pokuty, Kościół bowiem wzywa grzeszników, by okazali skruchę publicznie, w świętym kościele, w obecności wszystkich wiernych, którzy dzięki łasce Bożej pomogą grzesznicy wejść na drogę światłości.

– Jak to się odbędzie?

– Zaufaj Bogu, mój synu. Wulfila mówił mi, żeś pomógł mu w tłumaczeniu Ewangelii Janowej.

– Tak było w istocie, choć na mnie niezwykle wrażenie zrobiło to, że Wulfila przetłumaczył Ewangelię na gocki. Ja tylko wyjaśniłem część greckich terminów filozoficznych. Jednak musisz wiedzieć, ekscelencjo, że ja nie jestem waszej wiary.

– Wiem o tym – odparł Auksencjusz. – Ale Wulfila ma o tobie dobre zdanie. Mówił mi, że jest w tobie światło Pana, choć ty nie chcesz go dostrzec. Wszystko ma swój czas, Ammianie Marcellinusi. Jest czas niewiary i czas wiary. Twój jeszcze nie nadszedł.

Ammian uśmiechnął się. Jakże różni są chrześcijanie – pomyślał. Korzystając z okazji, młody oficer postanowił zasięgnąć u źródła wiedzy na temat niezgodności pomiędzy katolikami i arianami.

– Ekscelencjo, przygotowuję się do napisania historii naszych czasów. Jednym z najważniejszych zagadnień i sporów jest kwestia Ariusza. Czy mógłbyś mi naświetlić, o co chodzi w tym sporze? Zaznaczam, że mam dość dobre wykształcenie filozoficzne.

– U kogo studiowałeś?

– U Libaniosa w Antiochii – odparł oficer.

– To wielka sława. Ja studiowałem w Atenach, na Akademii Platońskiej, która jest otwarta także dla chrześcijan, o czym zapewne wiesz. Jesteś zatem obeznany dobrze z doktryną filozoficzną Plotyna?

– Myślę, że dobrze.

– Ariusz wyjaśniał to prosto, powołując się na dowody w samej Ewangelii – oznajmił biskup. – Ale ty nie jesteś naszej wiary, więc wydaje mi się, że wyjaśnienie ci tego przez kontekst filozoficzny będzie łatwiejsze. U Plotyna jest tylko jedna substancja istniejąca: Jedno.

– Zgadza się – rzekł Ammian. – A z Jedna przez hipostazy wyłania się umysł, czyli po grecku *noús*<sup>[42]</sup>, który można interpretować jako Boga lub logos. Z niego wyłania się umysł podwojony, jako że akt tworzenia musi odbywać się na zasadzie poznania siebie jako tego, kto poznaje, tego, kogo poznaje. Dopiero potem wyłania się dusza, w której odbijają się wszystkie znane nam rzeczy.

– Jestem pod wrażeniem – odparł biskup. – Ariusz pilnie studiował filozofię, gdyż nie sposób zaprzeczyć mądrości, jaka wyrosła u Greków przez stulecia.

Słuchając tego, Ammian odczuwał swoistą, zrozumiałą tylko dla Greków przyjemność i dumę.

– Otóż Ariusz czytał dokładnie wielu myślicieli, m.in. Orygenesesa i Plotyna, i w tym duchu interpretował zapisy biblijne. Mamy bowiem problem z Trójcą Świętą.

– Przepraszam, z czym? – zapytał Ammian, który nie w pełni pojmował chrześcijańską koncepcję Boga w trzech osobach.

– Sam więc widzisz Ammianie, że to spory problem. W Nicei cesarz Konstantyn, przeczuwając w swoim politycznym geniuszu, że problem podziału Kościoła wstrząśnie też imperium, skoro chrześcijaństwo ma być religią, która zastąpi tę dawną, narzucił wszystkim biskupom bez wyjątku nicejskie *credo*. Ariusz też to podpisał, podobnie jak Euzebiusz z Nikomedii i wielu innych świątłych ludzi.

– Ale co to ma wspólnego z bytem u Plotyna? – zadał pytanie Ammian.

Mówili po łacinie, odnosząc się do języka greckiego.

– Otóż musimy utożsamić pojęcie Boga z Biblii z pojęciem Jedna. Tylko w ten sposób mogę ci to wytłumaczyć. Nicejskie *credo* mówi, że wierzymy w jednego Boga, Ojca wszystkich i wszystkiego, i w jego jednorodzonego Syna, Jezusa Chrystusa, który pochodzi z istoty Ojca, czyli po grecku *toutéstin ek tís ousías tou Patrós*<sup>[43]</sup>, który jest Bogiem prawdziwym z Boga prawdziwego, światłością ze światłości, zrodzonego przed wszystkimi wiekami, a nie stworzonego, o istocie wspólnej z Ojcem.

– Jak to będzie po grecku? – zapytał Ammian.

– Dosłownie wyrażono to w takim zdaniu: *gennithénta ou poiithénta, omooúsiôn tó Patrí, di' ou tá pánta egéneto, tá te en tó ouranó kai tá en tí gi*<sup>[44]</sup> – rzekł biskup Auksencjusz. – I dopiero tutaj pojawiają się problemy. Bogiem w sensie filozoficznym można nazwać taki byt, który nie jest zrodzony, a tylko Ojciec jest niezrodzony przed czasem, a Syn jest tej samej substancji co Ojciec: *ousía*<sup>[45]</sup>, ale nie jest Ojcu równy, nie jest takim samym Bogiem jak Ojciec, bo tylko On jest przedwieczny, z niego wyłonił się Syn. Jak umysł, logos wyłonił się na zasadzie hipostazy z Jedna plotynowego.

– Czyli wy, arianie, nie uznajecie Jezusa za Boga? – zapytał Ammian.

– Jesteśmy wewnętrznie podzieleni co do tego. Skrajni arianie, a takich też znajdziesz, nie uznają Jezusa za Boga, ale za ów doskonały logos, sens, który stał się człowiekiem, poniósł śmierć i zmartwychwstał. W całym posłannictwie Jezusa jest jednak jego podporządkowanie woli Ojca. On wypełnia wolę Ojca i jest jej całkowicie posłuszny. To dowód, wprawdzie pośredni, ale jednak dowód, że Jezus nie był takim samym Bogiem jak Ojciec, ponieważ mu podlegał.

– A wasi przeciwnicy?

– Cóż, teraz są w mniejszości. To przede wszystkim biskup Aleksandrii Atanazjusz oraz biskup Rzymu, gdzie nasze wpływy są małe, a także większość biskupów zachodu.

Ammian zrozumiał, że chrześcijaństwo pękło na pół według podziału geograficznego cesarstwa. Wschód był i jest grecki, poszukujący swojej

drogi, fantastycznie ludny i bogaty, a nade wszystko traktujący filozofię i jej konsekwencje poważnie. Zachód jest łaciński, na chrześcijaństwo przeszedł połowicznie. W samym Rzymie górą wciąż byli ci, którzy wyznawali dawnych bogów. Ammian ze zgrozą pomyślał o tych wszystkich rebeliach, których ostatnio doświadczał tak boleśnie – to wszystko w jakiś przedziwny sposób pokazywało, że zachód imperium, który znał tak słabo, był zupełnie odmienny kulturowo i religijnie. Ludzie tam mieszkający wybierali Magnencjusów, Wetrantonów, Neposów lub kogokolwiek zdolnego do tego, by nałożyć purpurę, byle tylko zrzucić z siebie władzę Greków, czyli cesarzy z Konstantynopola. W owej chwili, w tej rozmowie z biskupem, Ammian, prosty żołnierz, ale i intelektualista kochający Rzym, zrozumiał, że rozpad imperium jest już nieuchronny. To się wydarzy za mojego życia – pomyślał gorzko, co nie uszło uwadze biskupa.

– Trapi cię coś?

– Martwię się o imperium.

Auksencjusz w jakiś sposób to rozumiał i podzielał jako Rzymianin pogląd, że zachód i wschód przestały się już rozumieć. Nie dostrzegał w tym jednak roli chrześcijaństwa.

– A, byłbym zapomniał – rzekł Ammian. – Konstantyna jest katoliczką.

Tym razem biskup przybrał zatroskany wyraz twarzy. Wiedział, że będzie to miało swoje konsekwencje.

\*

Minęło kilkanaście tygodni, jednak dumna Konstantyna uparcie odmawiała uznania swoich grzechów, w tym zlecenia kilkunastu morderstw, przywłaszczania sobie mienia, rozwiązłości, znęcania się nad niewolnikami, grzechów nieczystości popełnianych z nimi i z mężem jednocześnie w pełnych wyuzdania orgiach. Zgłosiło się wielu świadków z Antiochii, gotowych wystąpić w imię troski i wezwać ją publicznie do uczynienia pokuty przez wzgląd na zbawienie jej duszy.

Wysłuchawszy wszystkich tych oskarżeń, ogłoszonych w obecności zebranych setek ludzi w kościele w Nikomedii, Konstancyzna odparła:

– Jestem cesarzową i nie macie prawa mnie sądzić.

– Nikt cię nie sądzi – rzekł biskup. – Wzywamy cię, abyś wyznała swoje grzechy! Wyznaj je!

– Nie mam grzechów. Jako córka świętego cesarza i siostra panującego cesarza będę domagała się, aby przyniesiono mi twoją głowę, biskupie Auksencjuszu.

Na te twarde słowa szmer zaskoczenia przebiegł przez zebranych w kościele. Mniszki, które się opiekowały Konstancyzną, skryły twarze w dłoniach.

– Wiedz, pani, że to z rozkazu twojego brata Konstancjusza Drugiego Augusta masz wyznać publicznie swoje grzechy. Wówczas otrzymasz jego wybaczenie – oznajmił biskup, spoglądając na Ammiana, który choć nie był chrześcijaninem, uczestniczył w tej ceremonii jako przedstawiciel cesarza. Był z kolczudze i szkarłatnym płaszczu. Wyglądał władczo i imponująco.

– W pełni potwierdzam twoje słowa, księżo biskupie – powiedział oficer.

Jego wzrok spotkał się teraz ze wzrokiem upokorzonej, ale wciąż niezłamanej Konstancyzny. Ależ ona go nienawidziła! Gdyby spojrzenie mogło zabijać, Ammian padłby martwy.

Biskup wstał z ozdobnego krzesła.

– Pani, czy wypełnisz wolę swego brata, cesarza? Czy wyznasz publicznie swoje grzechy?

Konstancyzna wiedziała, że na nic zda się jej aktorstwo. Zrozumiała, że jest osobą znienawidzoną. Ale przyznanie się do grzechów, tych wszystkich orgii, morderstw i zdzierstw, jak zamordowanie Klemancjusza w Antiochii, zniszczy jej wizerunek. A ona miłowała swój wizerunek bardziej niż wszystko inne!

– Nigdy!!! – krzyknęła, aby wszyscy ją słyszeli.

– W takim razie oznajmiamy ci wolę cesarza Konstancjusza, oby panował nad nami długo i w zdrowiu – rzekł podniesionym głosem

biskup. – Z uwagi na wielką i pyszną zatwardziałość w grzechach zostaniesz zamknięta do końca swoich dni w klasztorze mniszek pod Nikomedią. Znajduje się on około mili za murami miasta, nad morzem. Pójdiesz tam teraz, tak jak cię Bóg stworzył, ponieważ wszystkimi grzechami obrażałaś świątynię Pana, czyli swoje ciało. Wierni będą cię wzywać na tej drodze pokuty do tego, byś wyznała swoje grzechy w obliczu Boga i ludzi.

Biskup dał znak ręką. Utworzył się szpaler ludzi po jednej i drugiej stronie. Mniszki z Nikomedii wyprowadziły Konstantynę przed kościół i obnażyły ją przed wszystkimi. Ammian patrzył na to jak zahipnotyzowany. Ludzie odwracali wzrok.

– Czyń pokutę, Ewo! – krzyknął biskup w nawiązaniu do tej, która zwiódła Adama w raju.

Oto teraz wierni w Nikomedii mieli zobaczyć Ewę – wygnaną z raju, upokorzoną, nagą. Ammian zrozumiał, że ten straszny spektakl był także adresowany do ludu. Ci prości chrześcijanie namawiali więc grzesznicę:

- Przyznaj się!
- Opamiętaj się!
- Nawróć się!

Ale Konstantyna była córką swojego ojca. Skoro on został świętym, mimo że zabił własnego syna i żonę, ona też może zostać świętą jako zabójczyni i krzywoprzysiężczyni. Niewzruszona, harda, niewybaczająca, pełna dumy Konstantyna szła ulicami Nikomedii, mając po obu bokach mniszki jako ochronę i straż. Nikt nie śmiał jej dotknąć. Ludzie powtarzali:

- Wyznaj grzechy!
- Wstydz się!

Ale były też inne głosy:

- Dziwka!
- Ladacznic!

Ammian myślał, że kobieta się załamie, ale tak się nie stało. Szła majestatycznie, dumna, owładnięta pogardą dla ludu Nikomedii, milcząca i pełna nienawiści zimnej jak kamień.



\*

Doszła do żeńskiego skitu i tam zatrzasnęły się za nią drzwi. Jednak to nie był koniec. Następnego ranka mniszki znalazły ją – wiszącą na sznurze z szaty, którą dostała jako odzienie. Biskup był przerażony. Jednak Ammian zachował zimną krew. Z każdej sytuacji istniało jakieś wyjście.

– Kto wie o jej śmierci?

– Mniszki ze skitu, ja i ty – odparł Auksencjusz.

Dobra informacja. Można to przeciągnąć w czasie – pomyślał Ammian.

– Jak zostaje się świętą lub świętym w Kościele? – zapytał po chwili oficer.

– Nie ma takiej procedury. Uznaje się za świętego kogoś, kto taki był za życia. Tak uznano cesarza Konstantyna.

– Ale ty jako biskup możesz to ogłosić? – dopytał Ammian.

– Mogę.

– Śmierci nie da się ukryć zbyt długo – ocenił Ammian. – Napiżemy pismo do Konstancjusza, że jego siostra przyjęła pokutną drogę Ewy. Wyzbywszy się wszystkiego, co ziemskie, pragnęła w ten sposób przebłagać Boga. Napiżemy o cudownych nawróceniach, które zdarzyły się tego dnia. Nawrócenie jej samej opiszemy jako wstrząsające. Te mniszki ze skitu musisz zwolnić ze ślubów milczenia, aby opowiedziały ludowi o tym, jak poznały jej świętość.

Biskup teraz zrozumiał, o co toczyła się gra.

– Cesarz zetnie nam głowy, jeśli opowieści mniszek nie będą przekonujące – odrzekł.

Ammian zgodził się z tym.

– To musi być wstrząsająca opowieść – oznajmił. – Siostra cesarza nabawiła się gorączki i ofiarowała Bogu własne życie za życie swojego brata cesarza, błagając go o wybaczenie. Ty wezwiesz z Konstantynopola wszystkich znajomych ci biskupów ariańskich i razem w kościele w Nikomedii ogłosicie ludowi, że Konstantyna ujrzała chwałę Bożą, przekazała cały swój majątek Kościołowi i ubogim i że mocą Kościoła

uznajecie ją za osobę, która dostąpiła chwały Bożej jak jej ojciec, cesarz Konstantyn.

– W ten sposób nie zadeklarujemy świętej, ale biskup Rzymu ogłosi to za jakiś czas. Gdy będą mocne przekazy o jej świętości – dodał biskup, w pełni rozumiejący, jak zdolnym człowiekiem okazał się Ammian.

– Potajemnie wezwij balsamiarzy do skitu – dodał Ammian.

Faktycznie – Konstantynopol był o kilka dni drogi, a morzem jeszcze szybciej. Wkrótce pojawiły się informacje o cudach i nawróceniach, jakie wydarzyły się w Nikomedii. Zebrali się biskupi ariańscy, zaalarmowani przez Auksencjusza. Wkrótce zgromadził się wielki tłum, a biskup wygłosił wspaniałe kazanie, mowę znakomitą retorycznie, w której Ammian oddał cały kunszt zdobyty podczas studiów u Libaniosa. Tłum rzeczywiście się wzruszył, a opowieść o ciernistej koronie, którą w dniu śmierci miała ubrać Konstantyna, żeby jeszcze bardziej upodobnić się do Chrystusa, była czymś tak niezwykłym, jak niezwykły był widok nagiej grzesznicy kroczącej drogą pokuty po ulicach Nikomedii. Wszystkim wydało się bardzo prawdopodobne, że Bóg rzeczywiście upokorzył ją, by potem podnieść do chwały świętej.

Gdy zatem wniesiono porfirowy sarkofag z delikatnie zabalsamowanym ciałem świętej grzesznicy (sowicie wynagrodzeni balsamiarze wykonali swoją pracę bezbłędnie), tłum zawył z rozpaczy. Każdy chciał dotknąć jej ciała. Szczególnie płakali ci, którzy złorzeczyli Konstantynie na drodze Ewy. Ammian, widząc te sceny, wiedział, że wygrał najbardziej przegraną partię w życiu.

Jednak w głębi serca czuł, że trzy siostry – boginki Erynie, wysłuchały go w sposób przewrotny, niesamowity i nieskończony. I że Bóg chrześcijan im na to pozwolił.

# CZEŚĆ DRUGA

## ROZDZIAŁ X

### *Bunt Sylwana*

#### *MEDIOLAN, MARZEC 355 ROKU*

Ammian Marcellinus przybył do Mediolanu po długiej i wyczerpującej podróży, jaką odbył częściowo morzem, a częściowo lądem – przez Adrianopol, Serdykę i Naissus, Sirmium i Windobonę, i dotarł wczesną wiosną 355 roku do Mediolanu. Po raz pierwszy zawędrował na zachód tak daleko. W Mediolanie, prawdziwym klejnocie północnej Italii, czekał na niego przyjaciel, a zarazem dowódca – Ursycyn. Razem odegrali ogromną rolę w upadku Gallusa i Konstantyny. Przebywał tam również wówczas jako więzień stanu, zatrzymany przez podejrzliwego i wężącego wszędzie spisek Konstancjusza, przyrodni brat Gallusa, Julian. Pamiętał on Ammiana ze studiów w Antiochii.

Mediolan, rezydencja cesarska od kilkadziesiąt lat – wprost zachwycał. Miasto miało szerokie ulice, a pałace, wille, bazyliki, forum pełne były gwaru i ludzi. Ammian zauważył też, że mało kto w ogóle rozumiał język grecki. Ale nie miał żadnego problemu, aby przejść na łacinę.

W *palatio* będącym siedzibą władz wojskowych spotkał się z Ursycynem.

– Dochodzą nas słuchy, co stało się z Konstantyną.

Ammian westchnął.

– Cóż, przekażę raport cesarzowi.

– Myślę, że tego będzie oczekiwał. A w ogóle... Cesarz Konstancjusz się ożenił.

– Z tą czaszką? – zapytał Ammian nie bez złośliwości.

– No wiesz, jak możesz tak pomyśleć? Jego żoną została Euzebia, kobieta łagodna, pochodząca z rodu patrycjuszowskiego. Podobno ma na niego dobry wpływ, a to już znaczy dużo, bo przyznaję, że cesarz nie jest łatwym człowiekiem. Podobno po ślubie nie chce wydawać wyroków śmierci.

W pretorium, gdzie krzątało się wielu intendentów armii – to załatwiających zboże, to opłacających żołnierzy – było też trochę wolnego miejsca. Usiedli tam. Ursycyn sięgnął po antałek wina.

– Znasz wina z Toskanii?

– Nie, nigdy wcześniej nie byłem w Italii.

– O, młody człowieku! – rzekł Ursycyn. – Italia zaczyna się dopiero za Rubikonem.

Ammian uśmiechnął się.

– *Alea iacta est*<sup>[46]</sup> – odparł sentencjonalnie.

– A żebyś wiedział, że tak – odparł Ursycyn. – Jednak nie mogę pojąć, jak to się stało, że Konstantyna tak szybko opuściła nas i cesarza...

Ammian wiedział, do czego zmierza przyjaciel, ale nie mógł przecież powiedzieć tego, co sam ustalił z biskupem Auksencjuszem.

– Choroba przytrafiła się jej nagle. Niestety, odeszła – stwierdził tonem najbardziej naturalnym, na jaki się zdobył.

– Czy to prawda, że zaprzeczała oskarżeniom, jakie postawił jej Konstancjusz?

– Tak, i sądzę, że wstrząs, jakiego doznała podczas drogi, gdy stało się już jasne, że nie odzyska miłości swego brata cesarza, miał swoje konsekwencje w postaci choroby i jej śmierci.

Ursycyn przypatrywał się twarzy Ammiana. Młody oficer wyczuwał, że dowódca mu nie wierzy. W pewnej chwili sam zadał pytanie:

– A Gallus?

– O, to historia upadku wielkiej pychy małego człowieka.

– Opowiedz mi, proszę! – Ammian nie umiał powstrzymać ciekawości.

Ursycyn napił się wina.

– Powiem to, co sam widziałem, lecz jestem pewny, przyjacielu, żeś mi nie powiedział całej prawdy o tym, co stało się z Konstantyną.

Ammian także upił mały łyk wina.

– Prawdą jest to, co usłyszysz cesarz. Kościół już rozgłasza, że Konstantyna doświadczyła chwały Bożej. A to, co jest prawdą (gdyż istnieje także postprawda, gdy trzeba wykreślić czyjeś imię z rejestrów), powiem, kiedy będziemy sami, Ursycynie. Ja wiem i ty wiesz, że w posiadłości cesarskiej ściany mają uszy.

Mówiąc to, Ammian wykonał gest w stronę rozmówcy, co potwierdzało jego przypuszczenia, ale też odsuwało dalsze pytania. Ursycyn zbyt dobrze znał Konstancjusza i mechanizmy władzy, by mieć jakiegokolwiek złudzenia. Młody oficer nie był już żółtodziobem. Uspokojony Ursycyn odparł:

– Gallus został przewieziony z wielkiego obozu-miasta wojskowego Sirmium na wysepkę na Adriatyku, niedaleko miasta Pola, w Istrii, gdzie przed wieloma laty rozegrała się tragedia Kryspusa, skazanego na śmierć syna cesarza Konstantyna Wielkiego. Stał przed sędziami cesarskimi, a z dawnego pyszałka pozostał tchórz i człowiek żałosny, bez godności. Płatał się w zeznaniach, miotał, to płakał, to wybuchał wściekłością, groził sędziom, a potem długo szlochał w celi, błagając Konstancjusza o przebaczenie. Sędziowie go intensywnie przepytывali na wszystkie okoliczności przestępstw popełnianych w imieniu cesarza w Antiochii.

– Jaką dawał im odpowiedź?

– Że to wszystko, te zbrodnie, w tym zamordowanie twojego ojca, uczynił z rozkazu żony.

Ammian parsknął.

– Zasłonił się kobietą. Cezar Rzymu!

– Wiem, że to jest żałosne i tak też to zostało odebrane i przez sędziów, i przez cesarza. Dostało się także mnie. Po przybyciu na zachód zostałem aresztowany.

– Ty?

– Skrupulatność Konstancjusza. Chciał wiedzieć na pewno, czy nie byłem zaangażowany w jakieś zdzierstwa. Jakbyś go nie znał. Jego ulubione hasło to: wierzyć i sprawdzać.

– Postawiono ci zarzuty?

– Nie, choć sędziowie mnie przepytawali dość ostro. Nie wiem, skąd wziął tych ludzi, podobno dwu kwestorów biegłych rewidentów cesarskich i jakiś duchowny katolicki. Dość nieprzyjemni, ale zwolnili mnie i dostałem status świadka.

– Obciążylesz Gallusa?

– Tak, należało mu się za twojego ojca. Został stracony w tym samym miejscu, co Kryspus – powiedział Ursycyn. – Dasz wiarę, że to straszne miejsce na wyspie Pula znów zaczerwieniło się od krwi tej rodziny?

– Dlaczego mnie to już nie dziwi? – westchnął Ammian Marcellinus.

\*

Nie musieli długo czekać, aż wezwie ich znów obydwu Konstancjusz II. Przyjął ich w letniej rezydencji, w towarzystwie żony Euzebii. Ammian musiał przyznać przed samym sobą, że była to pani łaskawa, o ujmującej powierzchowności i pełna dobroci – rzeczywiście mogła mieć wpływ na osobowość Konstancjusza II. Nie zauważył czaszki pierwszej żony, córki zamordowanego z rozkazu cesarza jego wuja Juliusza Konstancjusza. Czy cesarz ją pochował? Czy też puste ślepie patrzą na niego dalej w blasku świecy wieczorem? Na te pytania nie znał odpowiedzi.

Konstancjusz poznał go natychmiast i skierował na niego swój wzrok. Wraz z wiekiem – cesarz dobijał czterdziestki – wylupiastość oczu wobec całej twarzy jak gdyby się pogłębiła. Był ubrany w przepyszną szatę koloru purpurowego, jak gdyby togę, ale dopasowaną do jego dużego wzrostu i chudości oblicza. Ammian widział po raz pierwszy diadem z cienkiego złota, spoczywający na łysiejącej od tyłu głowie cesarza. Włosy miał zaczesane tak, żeby to zamaskować. Konstancjusz II nie był już młodzieńcem.

Młody oficer wiedział, od czego ma zacząć.

– *Domine*, przede wszystkim pragnę złożyć ci moje najszczerze kondolencje z powodu śmierci twojej siostry.

– Właśnie – burknął Konstancjusz. – Co wy jej zrobiliście, że biedaczka wyzionęła ducha?

Ammian skłonił się cesarowi.

– *Domine*, rozchorowała się nagle po przesłuchaniach w obecności biskupa Auksencjusza i przedstawicieli Kościoła. Rzeczywiście, wszystko wydarzyło się tak nagle. Ale myślę...

– Co myślisz, Ammianie Marcellinusi, naprawdę? – zapytał otwarcie cesarz, mniemając słusznie, że stoi przed nim świadek tych wydarzeń.

– Myślę, że była to febra – odparł Ammian.

Ursycyn przez krótką chwilę popatrzył na niego wymownie. Konstancjusz, znany z podejrzliwości i niedowiarstwa we wszystko to, co inni mu mówią (może właśnie dlatego tak długo utrzymywał całe imperium), zastanowił się głęboko. Dochodziły go słuchy z kręgów Kościoła, że Konstancyzna mimo grzeszności życia śmierć miała głęboką, wstrząsającą, która spowodowała wiele autentycznych nawróceń w Nikomedii.

– Czy sądzisz, że stało się to z nakazu Boga? – zadał pytanie cesarz.

Ammian od razu zdał sobie sprawę z pułapki zawartej w tym pytaniu. Jeśli z nakazu Boga, to co może o tym wiedzieć człowiek uparcie odmawiający chrztu, którym był Ammian? A jeśli nie z Jego woli, to zatem z ludzkiej. Oj, niebezpiecznie. Nie tacy jak on tracili już głowy na dworze Konstancjusza. Nawet bycie kuzynem cesarza nie oddalało ryzyka nagłej i strasznej śmierci.

– *Domine* – powiedział Ammian. – Jesteś cesarzem, a więc namiestnikiem Boga na ziemi. Ty sam jeden możesz rozsądzić, czy śmierć twojej siostry miała jakiś wyższy cel. Jednak myślę, że nie ma przypadku, że córka świętego cesarza miała też świętą śmierć.

Reakcja Konstancjusza zaskoczyła Ammiana i Ursycyna.

– Tak też myślę, Ammianie Marcellinusi – rzekł cesarz. – Twoje słowa, choć mówi je poganin, potwierdzają wolę Bożą. Chciałem to usłyszeć

od kogoś, kto jest poza Kościołem, żeby utwierdzić się w przekonaniu o świętości życia mojej siostry.

– Mówiłam ci, mężu, że masz orędowniczkę w niebie – powiedziała cesarzowa Euzebia.

Ammian domyślił się, że Konstancjusz nakaze kanonizację siostry. Był to znamieny akt polityczny, który pogłębi uzależnienie Kościoła od władzy cesarza i co więcej – narzuci nową świętą zwaśnionym katolikom i arianom. A Konstancjusz, nie zajmując żadnego stanowiska, wzmocni się politycznie na tej śmierci. W ten sposób Konstancjusz przyda mu się także po swym nieświętym zgonie.

Nagle cesarz podniósł się z siedzenia.

– Przejdźmy się po ogrodach Licyniusza<sup>[47]</sup> – zaproponował.

Obywaj oficerowie zrozumieli, że teraz powie im, po co ich naprawdę wezwał. Bez świadków. Tak robi się brudną politykę. Cesarzowa nie została sama – przybyły zaraz jej damy, wyćwiczone w sztuce haftowania i konwersacji. Gdy znaleźli się na osobności, cesarz rzekł:

– Moja siostra mnie zdradziła. Wiem to, ale zostanie świętą. Jednak wezwałem was, bo wiem także, że w najtrudniejszych sprawach mogę na was polegać, panowie.

– Dziękujemy za twoją łaskę, *domine*. – Ursycyn skinął głową.

– Mam nowy kłopot – rzekł Konstancjusz. – Wysłałem do Galii, która tak mnie zawiodła wielką rebelią Magnencjusza i jego brata Decencjusza, mojego człowieka Sylwana, Franka z pochodzenia. Był to bardzo dobry oficer. Spisał się w bitwie pod Mursą. Jednak teraz piszą do mnie komesi wojsk konnych, że oto zdradził mnie i w Trewirze ogłosił się cesarzem, a zamiast cesarskiego przywdział jakiś lepszy żołnierski płaszcz.

Nowa rebelia – pomyśleli dwaj oficerowie. Jeszcze tego brakowało!

– Ktoś musi szybko pojechać tam i go unieszkodliwić, zanim dawni stronnicy Magnencjusza podniosą głowy. A wszystkich ich nie mogę powiesić, bo kto tam będzie ściągał podatki? Mam wielki kłopot, panowie, i was wybrałem do tego, abyście stawili mu czoła.

– Kiedy mamy ruszać? – zapytał Ursycyn.



– Natychmiast – odparł Konstancjusz. – Konie na was czekają. Macie prawo zabierać konie poczty cesarskiej. Weźcie najlepszych ludzi, ale tylko takich, którym wierzycie.

– Tak się stanie – rzekł Ursycyn.

– Jednak trapi mnie pytanie – ciągnął cesarz – skąd tyle rebelii na zachodzie? Przecież mój dziad Konstancjusz Chlorus był zarządcą Brytanii. W Galii rządził mój ojciec. Nie rozumiem tego.

Ammian znał odpowiedź na to pytanie. Od dłuższego czasu je sobie zadawał jako baczny obserwator swojej epoki. Postanowił błysnąć przed cesarzem.

– Jeśli mi wolno podzielić się z tobą, *domine*, moją teorią na ten temat... – zagaił.

– Twoją teorią?

– Tak, moją. Przygotowuję się do napisania historii Rzymu. Myślę, że imperium pęka od wewnątrz. Tego procesu nie da się zatrzymać. Wschód jest grecki i ariański, ja sam jestem greckiej mowy z domu, ale mówię płynnie po łacinie, która jest twoim pierwszym językiem, *domine*. Jednak to nie jest już powszechne. Zachód natomiast jest łaciński i w większości katolicki, to znaczy wyznający wiarę zapisaną podczas soboru w Nicei, który zwołał twój ojciec. Tego pęknięcia nie da się już nadrobić, jak uczynił to Hadrian przed dwustu laty, dopuszczając Greków do urzędów. Dziś wszyscy wolni mieszkańcy imperium są obywatelami, a wyznacznikiem obcości jest niebycie obywatelem, czyli na przykład bycie Gotem lub Frankiem.

– Czy dlatego Sylwan zbuntował się przeciw mnie? – zapytał cesarz.

– Myślę, że w tych wszystkich buntach jest jedno wspólne pragnienie. Trzeba przybliżyć władzę ludziom, żeby jej zaufali. Konstantynopol jest za daleko, aby rządzić zachodem. Musisz mieć kogoś, *domine*, kto zdobędzie zaufanie zachodu dla ciebie.

– Skąd to wiesz? – Konstancjusz II słuchał z uwagą wypowiedzi Ammiana.

– Z książek. Mój umysł potrzebuje ich jak ciało jedzenia – odparł bezpretensjonalnie młody oficer.

Ursycyn spojrział na przyjaciela z podziwem. Ammian skłonił się raz jeszcze przed cesarzem, który nic nie rzekł, nie skarcił go za wygłaszanie tak śmiałych opinii. Konstancjusz nie odezwał się, ale wziął sobie te słowa bardzo do serca. Wkrótce miało to mieć swoje konsekwencje.

\*

Tej nocy Ursycyn, który otrzymał uprzednio na papirusie pismo z kancelarii cesarskiej obiecujące amnestię wszystkim uczestnikom rebelii Sylwana, wyjechał na rozstawionych koniach w towarzystwie kilkunastu oficerów i najlepszych jeźdźców do Trewiru. Wśród nich był Ammian. Była to najszybsza i najbardziej wyczerpująca podróż w jego życiu. Dwa tygodnie na koniach, z krótkimi, zaledwie czterogodzinnymi przerwami na odespanie. Szkoła życia dla żołnierza w sytuacji granicznej. Gdy dojechali na miejsce, okazało się, że uzurpator już nosił purpurowy płaszcz i uznawano go za cesarza. Ursycyn jako żołnierz wybitny został przyjęty dobrze, ale Ammian dostrzegł, że wokół Sylwana kręciło się mnóstwo wojskowych, mieszkańców Galii i prowincji nadreńskich, zarówno Rzymian, jak i osiadłych zromanizowanych Germanów, którzy szukali oparcia we władzy blisko nich. Natychmiast poinformował o tym Ursycyna.

– Ci ludzie nie zdradzili Konstancjusza, bo go nienawidzą, tylko dlatego, że mają wrażenie, że cesarza nie obchodzi ich życie.

– Potwierdza się to, co powiedziałaś – odparł Ursycyn. – Ale swoją drogą... Szczere gratulacje, młody człowieku, żeś miał w ogóle odwagę mówić tak do Konstancjusza.

– Czyli jak?

– Nikt tak do niego nigdy nie mówił, odkąd pamiętam. I on cię posłucha. Takie mam wrażenie.

– Co nam z tego, jeśli nie znajdziemy sposobu, żeby odsunąć Sylwana od władzy. Wtedy my stracimy nasze głowy – skwitował Ammian.

Umówili się, że Ursycyn, jako równy stopniem wojskowym, będzie prowadzić z Sylwanem negocjacje, natomiast Ammian zbada nastroje żołnierzy, ludności cywilnej, kupców, miejscowych elit. Mieli mało czasu, niebawem mogła się zacząć następna wojna domowa. Właściwie byli na straconej pozycji. Wyjazd na teren objęty rebelią był jak bilet w jedną stronę. Konstancjusz musiał sobie z tego zdawać sprawę.

Jednak Ammian, mając zadanie dużo trudniejsze, wyszedł z niego mistrzowsko. Właściwie żołnierze Sylwana sami go zaczepili i wciągnęli w rozmowę.

– Dlaczego Rzym nas zostawił, gdy Germanie niszczyli, palili i grabili wszystko? Odpowiedz nam, panie oficerze.

– Co konkretnie spalili? – spytał Ammian.

– Gdzie ty żyjesz? – zarechotali w odpowiedzi.

– Ja jestem ze wschodu.

– Grek? – zapytali zdumieni żołnierze.

– Czy to dziwne? Przecież imperium jest jedno. Wszyscy jesteśmy Rzymianami, a potem dopiero Grekami, mieszkańcami Galii czy Hiszpanami.

Umilkli. Nigdy wcześniej nie spotkali Greka mówiącego po łacinie. Z miejsca się dowiedział, że od trzech miesięcy nie dostali żołdu – a byli to żołnierze legionów strzegących granicy Renu, *limitanenses*. Stanowiło to dla Ursycyna szansę. Szybko ustalił, ile pieniędzy mogą wyłożyć kupcy, aby potem cesarz mógł ich rzetelnie spłacić. Ursycyn dał zgodę i tego dnia Ammian, wzięwszy pożyczkę w srebrze u kupców, wypłacił legionistom żołd za trzy zaległe miesiące.

To było kluczowe. Sylwan nie wiedział jeszcze, że jego wojska potajemnie przeszły na stronę Konstancjusza. Ursycyn mógł zakończyć negocjacje, podbijając stawkę. Tak też zrobił. Uzurpator niczego nie dostrzegł, ale kiedy wyszedł do żołnierzy, został przez nich zasieczony mieczami w drodze na mszę. Sylwan był bowiem chrześcijaninem. Ursycyn odetchnął. Rebelia została zduszona w zarodku. Z uwagi na napiętą sytuację w Trewirze i Kolonii musiał tam pozostać, a Ammian

miał odbyć drugą najszybszą w życiu podróż konną do Mediolanu – do oczekującego odpowiedzi Konstancjusza II.

Cesarz przyjął go natychmiast.

– Wybacz mi, dostojny auguście – rzekł zmęczony, brudny i pachnący potem i końską derką Ammian do cesarza. – Ale przynoszę dobre wieści. Sylwan nie żyje.

– Kto zabił buntownika?

– Jego żołnierze, którym nie wypłacił żołdu. Musieliśmy ich spłacić w twoim imieniu.

Teraz Konstancjusz się wyraźnie przejął.

– Ile?

– Milion sestercji w srebrze. To dwadzieścia cztery legiony nadgraniczne, *limitanenses*. Stany osobowe niepełne.

W ich czasach legiony liczyły przy pełnym składzie po tysiąc żołnierzy. Konstancjusz westchnął.

– Puśćcie mnie z torbami. Mieszkam w tym Mediolanie jak nomada – narzekał. – Ale jestem pod wrażeniem, jak to załatwiliście. Prawie bezkrwawo.

Tym samym zaakceptował decyzję oficerów. Zaufał im. Byli jego najlepszymi ludźmi. Ammian dostał odpowiednią sumę w srebrze, wypłaconą w kwesturze Mediolanu. Były to podatki z Italii i częściowo z prowincji północnoafrykańskich – spichlerza Rzymu, ziem ludnych, bogatych i nietkniętych przez wojnę. Po miesiącu Ammian przywiózł do Trewiru pieniądze w dziesięciu wozach, które musiały przejechać przez trudne alpejskie przełęcze. Wiódł też tysiąc ludzi cesarza, jego *scholae palatinae* – mieli wymierzać zdrajcom kary. Ursycyn i Ammian wytłumaczyli jednak żołnierzom gwardii, że o żadnych karach nie może być mowy. Rebelia zdławiona, imperium uratowane, a skarbiec pusty.

## ROZDZIAŁ XI

### *Tajemnica Juliana*

Lato 355 roku Ammian spędził nad Renem, poznając te prowincje i ludzi, ale uspokoiwszy sytuację na granicy, na jesień zjechał z Ursycynem znów do Mediolanu. A tam czekał na niego Julian, dawny znajomy z Antiochii. Ów dziwak okazał się księciem, o którym zaczęto teraz mówić bardzo pozytywnie. Ammian odczuwał pewien dyskomfort natury moralnej – wszak był to brat Gallusa odpowiedzialnego za śmierć rodziców. Dostrzegał też, że Konstancjusz, mimo wzięcia sobie drugiej żony, wciąż nie ma syna. Komu zatem zostawi cesarską purpurę?

Julian zaskoczył go jednak prostotą i bezpretensjonalnością. Przyszedł sam, bez świty, bez broni do koszar, gdzie zatrzymał się Ammian – oficerowie posiadali tu wcale nie najgorsze lokum. Był odziany skromnie, nosił czarny płaszcz z cienkiej wełny, ze starannie wszytą srebrną nicią. Skromnie, ale godnie.

– Czy pamiętasz mnie, Ammianie Marcellinusię?

– Jakże mógłbym zapomnieć – rzekł Ammian – studenta, który pilnie chodził na wszystkie wykłady.

Nie potrafił w owej chwili strząsnąć z siebie żalu do Gallusa. A i Julian okazywał się kimś innym, niż to sobie wyobrażał Ammian Marcellinus. Ale dawny znajomy wiedział już o wszystkim. Zbliżenie polityczne między nim i Konstancjuszem zaowocowało wtajemniczeniem Juliana we wszystkie sprawy dynastyczne i państwowe. Wyczuł przyczynę chłodu oficera.

– Ja nie jestem Gallusem. Mój brat zapłacił za swoje błędy – oznajmił łagodnie.

– Wiem. I doceniam to, że przyszedłeś, książę – odparł oficer.

– Przejdźmy się. Ostatnio lepiej myślę, kiedy chodzę – powiedział Julian.  
– Co oczywiście cesarz uważa za kolejne z moich dziwactw, ale nie dbam o to. Jestem sobą.

Ammian nie miał nic przeciw temu. Szli ulicami Mediolanu, mijali eleganckie wille, pełne szyku obiekty publiczne, biblioteki, pałace oraz kamienice czynszowe, w których mieszkali proletariusze. Julian poprowadził ich do kościoła Świętego Nazara. Ammian był przekonany, że usłyszy zaraz mowę, w której książę zacznie go namawiać do chrześcijaństwa. Wszedł jednak do środka przez uprzejmość. Tam Julian go zaskoczył, gdy stanęli pośrodku i nie było możliwości, by ktokolwiek ich podsłuchał.

– Nie jestem chrześcijaninem – rzekł Julian prosto i bez emfazy.

Ammian nie spodziewał się czegoś takiego. Pamiętał Juliana jako gorliwego, choć bez nadmiernej afektacji lektora w Kościele antiocheńskim. Jako chrześcijanina!

– Chcę ci to powiedzieć tutaj, Ammianie Marcellinusie, bo wydaje mi się, że tylko ty możesz mnie zrozumieć. Sam nie jesteś chrześcijaninem i nie znam innego oficera w armii cesarza, który śmiałby o tym mówić z taką wolnością. Właśnie tak: wolność, jaką masz w sobie, była przedmiotem mojej wielkiej zazdrości, już wówczas, gdy byłeś najlepszym studentem Libaniosa w Antiochii.

Ammian nie wiedział, co powiedzieć.

– Jestem całkowicie zaskoczony.

– Ja też jestem zaskoczony, że komuś to wreszcie wyznałem. Teraz moje życie – oznajmił Julian swoim przyjemnym miękkim głosem – jest w twoich rękach. Ucieszyliby się bardzo oponenti cesarza, gdyby wyszło, że opuścił Chrystusa.

– Czy to nagła decyzja? – zapytał, wciąż nie wierząc w to, co słyszy, Ammian Marcellinus.

– Zmagam się z tym od wielu lat, od czasów antiocheńskich. Przestałem wierzyć po śmierci mojej rodziny zamordowanej z rozkazu Konstancjusza. Ty tego nie pamiętasz, ale to twój ojciec uratował mi wtedy życie,

bo żołnierze cesarza już szli, żeby zasieć mieczami mnie i Gallusa. Cóż, mój brat spotkał na swojej drodze Erynie, które pozbawiły go życia.

Ammian też miał tajemnicę. Ale chciał ją zabrać ze sobą na drugi brzeg. Erynie przyjęły jego ofiary.

– Dlaczego mi to mówisz?

– Bo chcę takiego Rzymu, jakiego chcesz ty. Chcę powrotu jego chwały i chwały naszych wielkich i nieśmiertelnych bogów. Dzieło to jest tym większe, że pragnę, aby odbyło się bezkrwawo. Nie chcę zabijać chrześcijan, bo to ich tylko wzmacnia. Trzeba pokonać Kościół jego własną bronią, ale nie z nienawiści do niego, tylko broniąc tego, co prawdziwie rzymskie.

Ammian poczuł nagły przypływ energii, gdy tego słuchał. Nie spotkał jeszcze nikogo, kto by tak mówił.

– Czy Konstancjusz podejrzewa cię o to?

– Nie sądzę. Jestem na każdej mszy, na której jest i on – odparł Julian. – Nie oceniaj mnie, proszę, jako hipokryty. Miłując filozofię, zdałem sobie sprawę z tego, że mam prawo chronić siebie. Jak już powiedziałem, moje życie jest w twoich rękach. Chcę w tobie mieć sprzymierzeńca, bo kto wie, co nas czeka.

Ammiana zadziwiła ta postać. Zrozumiał, że Julian, chcąc przetrwać, skrył się za powierzchownością człowieka, który zatracił siebie w książkach filozoficznych, dziwnych i niezrozumiałych dla otoczenia pozach, takich jak zatrzymywanie się i gestykulowanie rękoma, jak gdyby chciał coś wyrazić. Miał opinię niegroźnego dziwaka – to była jego strategia przetrwania.

\*

## *MEDIOLAN, LISTOPAD 355 ROKU*

Przed frontem setek żołnierzy zebranych w cesarskim pałacu w Mediolanie, przed frontem najstarszego kościoła w tym mieście, który powstał na pamiątkę edyktu dającego chrześcijanom wolność wyznania,

przy licznie zaproszonych na tę uroczystość gościach z Rzymu i duchowieństwie, jedyny żyjący syn wielkiego Konstantyna – Konstancjusz II – został podniesiony przez żołnierzy na tarczy i przemówił:

– Przyjaciele! Obywatele!

Ammian słuchał z zapartym tchem, bo nie pamiętał, żeby Konstancjusz II nazwał kogokolwiek przyjacielem. Oznaczało to, że władca znalazł się w sytuacji bez dobrego wyjścia i musiał zaakceptować Juliana.

– Ogłaszam wam, że od dziś Flawiusz Klaudiusz Julian, który jest mi bliski jak rodzony syn, którego Bóg mi nie dał, ma być rozpoznawany i uznawany zgodnie z moją wolą jako cesarz. Niech ten tytuł stanie się nowym początkiem dla niego oraz czasem pomyślności dla całego imperium.

Zebrani żołnierze (wcześniej opłaceni żołdem) krzyknęli:

– Julian Cezar! Julian Cezar!

Zatwierdzenie tytułu Juliana przez senat rzymski, który karnie stawiał się na wezwanie Konstancjusza, było jedynie formalnością, wielowiekową tradycją. Najważniejsza była wola armii. Dla wszystkich rzymskich możnych panów, oficerów armii, księży, dam dworu, a nawet zwykłych mediolańczyków było ogromnym zaskoczeniem, że to jednak Julian. Miał opinię dziwaka, nierozstającego się z papirusami filozoficznymi, które – o zgrozo! – sam dźwigał w podręcznej torbie. To była ekstrawagancja, na którą władza nie mogła sobie pozwalać. Uważano więc go za człowieka dziwnego i przez to niebezpiecznego. Na ucztach ku swojej czci jadł powściągliwie i pił jeszcze mniej. Za to wydawało się, że jest w dobrych relacjach z ostatnią siostrą Konstancjusza, Heleną.

Julian stał się zatem współrządcą Konstancjusza, choć ten przed niespełną rokiem skazał jego brata na śmierć za nadużywanie władzy. Ammian postanowił, że nie zdradzi nikomu sekretu Juliana, wiedząc, w jak bardzo trudnym położeniu mógłby go postawić, gdyby na dworze rozeszły się plotki, do kogo się nowy cesarz modli. Wkrótce też pożegnał młodego władcę, który na rozkaz cesarza musiał wyruszyć do Galii.



Oczekiwano tam gospodarza, który przywróci zaufanie i zwiąże prowincje galijskie z imperium.

\*

## *MEDIOLAN, LUTY 356 ROKU*

Gdy spadły śniegi, przyszedł do Ammiana sam Ursycyn, przynosząc nie najlepsze wieści.

- Słyszałeś o najnowszym dekrete cesarza?
- Nie, a powinienem? – zapytał oficer.
- W rzeczy samej.
- Czytaj zatem.

Ursycyn podał mu odpis cesarskiego dekretu, odczytywanego już w mieście, które w 313 roku zasłynęło edyktem tolerancyjnym podpisanym przez samego Konstantyna i Licyniusza. Uznano wówczas chrześcijaństwo za religię równouprawnioną, zakończono trwające wiele lat okrutne prześladowania ludzi, których winą w oczach rzymskich władz było tylko to, że wyznają Chrystusa.

Ammian wziął z ręki swojego dowódcy papirus i zaczął czytać. Ursycyn obserwował reakcje podwładnego i przyjaciela.

– Konstancjusz pod karą śmierci zabrania składać ofiary dawnym bogom na ołtarzach, ale dalej toleruje kult prywatny – wycedził młody oficer po dłuższej chwili.

Ammian odczytywał dekret Konstancjusza jako dalsze podkopywanie fundamentów Rzymu, jego kultury i tożsamości opartej na wierze w bogów. Był niezadowolony i Ursycyn natychmiast to wychwytał.

– Bądź rozsądny, proszę – rzekł Ursycyn. – Przyszedłem się pożegnać. Cesarz wysyła mnie do Syrii. Odwiedzę znów Antiochię i złożę ofiarę za twojego ojca. Ty masz zostać przy cesarzu. Zrobiłeś ostatnio na Konstancjuszu dobre wrażenie, ale uważaj, bo jest on kapryśny i nieobliczalny.

Padli sobie w objęcia, bo nie wiedzieli, kiedy znów się spotkają. Ammian widział, że Ursycyn też bardzo źle odebrał dekret cesarski. Uznał, że historia, która rozgrywała się na jego oczach, była w dwójnasób skomplikowana. To prawda, że chrześcijan poddawano prześladowaniom, ale nie z powodu nienawiści do nich. Choć i tutaj były wyjątki – Dioklecjan czy Galeriusz rzeczywiście nienawidzili chrześcijaństwa, ale przede wszystkim dlatego, że jego wyznawcy kwestionowali fundament państwa, jakim była religia rzymska mająca charakter państwowy. Teraz, gdy doszli do władzy, sytuacja się odwróciła – to chrześcijanie zaczęli prześladować wyznawców dawnych bogów. Szybkość, z jaką zachodziły zmiany, zaskakiwała nieustannie młodego oficera. Miał tu, w Mediolanie, dużo czasu. Posiłkując się obszernymi notatkami, wyselekcjonowanymi źródłami, relacjami świadków zapisanymi na tabliczkach i papiirusach, zaczął pisać historię panowania Konstantyna i jego synów – historię Rzymu.

\*

Lato 356 roku było zatem dla Ammiana czasem odpoczynku, zatrzymania się w jednym miejscu. Potem miał towarzyszyć cesarzowi w wyprawie do Rzymu. Konstancjusz urodził się i wychował w Konstantynopolu, a w samym Rzymie nigdy wcześniej nie był. Ammian, będąc w orszaku cesarskim, mógł po raz pierwszy przejść Italię, która go szybko zauroczyła. Wciąż była niedoścignioną doskonałością, choć przecież od czasów *Constitutio Antoniniana*, czyli specjalnego edyktu Karakalli z 212 roku, wszyscy wolni mieszkańcy imperium zyskali rzymskie obywatelstwo, skutkiem czego poczucie przynależności do Rzymu rozszerzyło się znacznie poza Italię. Sam półwysep pozostawał jednak kolebką *romanitas*, krajem najlepszej ziemi, wspaniałych starych etruskich miast i dawnej stolicy.

28 kwietnia 357 roku ogromny orszak Konstancjusza II dotarł pod bramy Rzymu. Cesarz zatrzymał się na mszę przy moście Mulwijskim, gdzie ariańscy kapelani, którymi się otaczał, odprawili specjalną liturgię. Uczcili w ten sposób zwycięstwo, które w tym miejscu w 312 roku odwróciło bieg

historii. Ammian, obserwując te chrześcijańskie uroczystości, zdał sobie sprawę z tego, że rzeczywiście to zwycięstwo Konstantyna nad Maksencjuszem, którego przebieg – wcale nie tak oczywisty – znał z opisu ojca, zmieniło sens dziejów Rzymu. Do tamtej chwili chrześcijaństwo lizało rany po ciosach, jakie zadali mu Dioklecjan i Galeriusz. Ammian wiedział, że im bardziej chrześcijanie są prześladowani, tym stają się potężniejsi. Rozmyślał nad przemijaniem historii, gdy tymczasem coś nowego – nieskończenie nowego – miało się dopiero wydarzyć.

Jeśli są w życiu chwile, które decydują o tym, czy ludzie interesujący się historią staną się historykami, to dla Ammiana Marcellinusa właśnie ta była decydująca. Uświadomił sobie bowiem, że chrześcijaństwo z jego prostotą – niekiedy zastępującą rozum krytyczny prostą obietnicą zbawczą – stało się po czterdziestu latach od tamtej bitwy nie do zatrzymania. Choć Ammian był wciąż młody, zrozumiał, że jego świat przemija, jego bogowie umrą razem z nim. Oczywiście mógł zachować się koniunkturalnie, manifestacyjnie się ochrzcić, wygłaszać farmazony o zbawieniu, odpuszczeniu grzechów albo o widzeniu świętych, które mu się przytrafiło. Może dostałby od cesarza dobre stanowisko w armii. Cechą tego czasu stało się jednak to, że ludzie z armii nie mogli piastować stanowisk senatorskich, a senatorowie nie mogli dowodzić armią. Rzymski senat zachował wielkie znaczenie moralne, daleko bardziej wykraczające poza działalność symboliczną. To właśnie senat Rzymu i senat Konstantynopola miały w uroczystych uchwałach zatwierdzać cesarzy, których narzucała armia, przelewająca krew w obronie cesarstwa. Ale i w armii widać było wpływy chrześcijaństwa, tu również znajdowali się skłócenie katolicy i arianie.

Ammian nie wiedział, dokąd to wszystko go zaprowadzi, ale przysięgł sobie pod mostem Mulwijskim, że bez względu na to, co miała przynieść burza historii, on pozostanie wierny sobie, Rzymowi, jaki kochał, i swoim bogom – choćby miał z tego powodu zostać najbardziej samotnym człowiekiem na ziemi.

\*

Kilka tysięcy mil rzymskich na północ od Dunaju rozegrał się inny dramat, którego nie odnotował żaden historyk. Kobieta, którą Ammian zdołał pokochać z wzajemnością i lekkością wiosennego kwiatu, dziewięć miesięcy po jego wyjeździe powiła syna, któremu nadała imię Fritigern. Gudrum była wandalskiego pochodzenia, ale król Filimer wykazywał się niezwykle zazdrością o młodszą partnerkę. Dwa dni po wyjeździe Rzymianina wziął brankę do swego łóża i brał ją tyle razy, ile zapragnął. Ona natomiast nie mogła mu odmówić. Cechą ludzi niewolnych jest to, że nie mają władzy nawet nad swoim ciałem.

Gudrum po urodzeniu dziecka z łatwością tłumaczyła królowi:

– Oczywiście, mój panie, że Fritigern jest twój.

– A nie tego Rzymianina? – dopytywał Filimer.

– Gardzę nim tak jak innymi Rzymianami. Proszę, policz miesiące. Fritigern urodził się dziewięć miesięcy po tym, kiedy mnie posiadłeś, mój panie.

Jednak Gudrum nie mogła mieć pewności, czy dziecko nie było w istocie efektem namiętnej nocy z Rzymianinem. Tej, o której nie mogła mówić. Jej milczenie było gwarancją życia. Nie powiedziała więc królowi prawdy, ponieważ miłość do tego Rzymianina, tak różnego od wszystkich innych Rzymian, była najgłębiej skrywaną prawdą jej serca. A serce kobiety jest głębsze niż morze.

Gudrum zamierzała po wyjeździe Ammiana, który złamał jej serce, w jakiś sposób go odnaleźć i powiedzieć mu, że mają syna. Fritigern rósł szybko i początkowo niczym nie różnił się od innych gockich dzieci. Jednak Gudrum, dając syna królowi Filimerowi, zyskała w społeczności Gotów uznanie. Nie patrzono już na nią jak na niewolnicę od wszystkiego. Nikt nie wydawał jej już upokarzających poleceń. Była matką królewskiego syna, choć wciąż niewolną. Czekwała na odmianę losu.

Stało się to w roku, kiedy Gundabad, władca jednego z dwu plemion wandalskich Silingów, przybył do króla Gotów Filimera, by zawrzeć

przymierze. Germanowie poszukiwali jakiejś nowej politycznej perspektywy. Jednak Filimer bał się przekroczyć Dunaj. W czasie ucztu Gudrum, wzięta wiele lat temu jako niewolnica podczas jednej z bezsensownych krótkich wojen między plemionami, dała się poznać Gundabadowi.

Była jego siostrą.

Była to nie lada sensacja – wśród Gotów mówiono tylko o tym. Gudrum okazała się nie tylko piękną o rudych włosach, o której marzył każdy mężczyzna, ale kobietą mądrą i zapobiegliwą. Wystąpiła do brata z prośbą, aby Wandalowie przyjęli ariańskich księży niosących Słowo Boże od Wulfili. Brat, przejęty, że oto po tylu latach odnalazł siostrę zakładniczkę, postanowił jej posłuchać.

– To nowa wiara Rzymian. Jeśli będziesz tej samej wiary co Rzymianie, będziesz miał szansę, by zdobyć sobie ich uznanie – mówiła Gudrum.

– Czy ty ją przyjęłaś?

– Ja nie chcę drażnić ani naszych bogów, ani rzymskich, ani żadnych innych – odparła Gudrum. – Mówię o tym, co jest korzystne dla ciebie, mój bracie.

A było to naprawdę korzystne, bo Wandalowie zdecydowali się także zwrócić jeńców gockich, których mieli u siebie. Filimer widział rolę Gudrum w przymierzu między Gotami i Wandalami, którzy często toczyli ze sobą wojny w tak zwanym *barbaricum* o ziemię i dogodne pastwiska. Postanowił wziąć ją za żonę i wyzwolić. I tak Gudrum dopięła swego. Stała się królową Gotów i miała syna, który rósł, ćwiczył walkę na drewniane miecze, a w strzelaniu z łuku nie miał wśród rówieśników równych sobie. Patrzyła, jak dorasta, i w każdym z jego rysów widziała jego ojca.

## ROZDZIAŁ XII

### *Słońce Niezwyciężone*

#### *GDZIEŚ W GALII, PÓŹNE LATO 356 ROKU*

– Słońce Niezwyciężone, źródło boskiej mądrości, Ty, który jesteś Jednym w Wielości i Wielością w Jedności, niech Twoje promienie staną się łaskami niewyczerpanymi, a Twój blask niech przyćmi wszystko inne. Jestem Twoim pokornym sługą i pragnę, abyś oświecił moją drogę, tak jak oświeciłeś drogę Cezara, Augusta, Aleksandra, Achillesa i wszystkich innych bohaterów. Nosisz imię wielu bogów, lecz ja miłuję w Tobie Apollina, pana światła, który na swojej harfie daje nam codziennie Twój blask lub zachmurzenie; miłuję w nim Ciebie, który jesteś Jedynym, z którego wszystko pochodzi i do którego wszystko powróci. Bez Ciebie nic nie mogę uczynić, ale z Tobą i w Tobie mogę wszystko.

Mówiąc to, Julian złożył na małym polowym ołtarzu ofiarę miodną. Gdyby mógł i gdyby pozwalały mu na to okoliczności, złożyłby w ofierze młodego tryka. Czuł jednak, że w armii jest cały czas bacznie pilnowany i każdy jego ruch, każdy gest jest opisywany, a szpiegzy Konstancjusza potajemnie ślą raporty swemu panu. Julian brzydził się donosicielstwem i gdyby mógł, zakazałby go pod groźbą śmierci. Uważał, że donoszenie jest sprzeczne z duchem czasu i cywilizacji, którą stworzył Rzym. Męczyło go coraz bardziej, że musi się ukrywać ze swoją wiarą oraz z tym, co naprawdę myśli, jak ocenia rzeczywistość i kto według niego jest prawdziwym wrogiem Rzymu i jego kultury opartej na dualizmie świata rzymsko-greckiego.

Teraz był rzeczywiście zdany sam na siebie. Mimo otaczających go szpiegów dowodził sporym wojskiem i miał wiele do zrobienia w prowincjach galijskich, bezlitośnie łupionych, palonych miastach

i koloniach. Zwolnił najbiedniejszych z podatków na okres dwu lat – do czasu odbudowania gospodarstw. Poparł go w tym także galijski Kościół, który nie wiedział nic, rzecz jasna, o prawdziwych poglądach religijnych nowego cezara. Julian energicznie zabrał się do pracy. Dzięki logice filozoficznej oparł swoją kancelarię na prostym i skutecznym podziale obowiązków. Zakazał czytania anonimów zawierających oskarżenia pod adresem różnych osób publicznych. Podchodził do obowiązków z pokorą – czasem musiał spotykać się z ludźmi, których nie chciałby widzieć na swej drodze, gdyby dano mu wybór.

Tego dnia jego sekretarz, zaufany wyzwoleniec imieniem Asklepios (jeszcze z czasów studiów w Atenach), zaanonsował oficera armii w randze komesa wojsk granicznych – Marcina. Julian całą wiosnę walczył z Germanami przekraczającymi Ren, a teraz należało pomóc kolonom w żniwach. Cała Galia czekała na te żniwa – aby wreszcie było wystarczająco mąki i aby ceny chleba spadły. Młody cesarz przykładał do tego wagę równą jak do wycinania całych germańskich band grasujących po okolicy. Mimo wielu obowiązków postanowił przyjąć oficera w namiocie, po żołniersku.

Julian siedział na prostym wojskowym krześle za małym stołem, na którym leżały podpisane już rozkazy – papirusy i tuby, do których miały być włożone. W niczym już nie przypominał postaci, za którą kiedyś uchodził – grubawego, niezbyt rozgarniętego wielbiciela filozofii. Ogorzał. Poznał ludzkie charaktery. Odczytanie dało mu ogromną wiedzę ogólną, a właśnie ta według Arystotelesa ma znaczenie decydujące.

– Zatem masz na imię Marcin – rzekł do oficera. – Skąd pochodzisz?

– Z Panonii.

– Jak długo jesteś w wojsku?

– Zaczynałem za waszego wuja, świętego cesarza Konstantyna – odparł Marcin. – I przeszedłem wszystkie szczeble kariery. Od zwykłego żołnierza do oficera. Służę w Galii od kilku lat, wcześniej stacjonowałem nad Dunajem.

– To imponujące. Cieszę się, że mam takich oficerów w armii. Z czym przychodzisz?

– Z prośbą.

Julian nie zwykł odmawiać żołnierzom, którzy w jakiś sposób byli zasłużeni dla imperium. Jednak dysponował rzadką umiejętnością – wyczuwał niestandardowe problemy.

– Jaką? Powiedz, proszę. Czy dotyczy to może żołdu? Rzeczywiście, nie wszyscy otrzymali dodatek z racji objęcia przeze mnie urzędu cezara...

– Nie, to nie o to chodzi. Ja chciałbym zamienić te pieniądze na coś innego.

– Na cóż? – zapytał Julian.

– Chciałbym cię prosić, cesarze, o zwolnienie z wojska – powiedział Marcin oficjalnie.

Julian od razu wyczuł, że ten oficer jest inny niż wszyscy. Nikt nie ośmieliłby się prosić o coś takiego w chwili, kiedy granice imperium były zagrożone najazdem, i nie w sytuacji, gdy Germanowie ledwo co spalili i spustoszyli mnóstwo miast po rzymskiej stronie Renu. To było coś tak niezwykłego, że aż niemożliwego. Julian poczuł, że wewnątrz jego duszy coś drgnęło, jakaś niespotykana nigdy wcześniej wściekłość. Ale zapanował nad nią. Stoicy nauczyli go panować nad emocjami.

– Z jakiego powodu?

– Jestem chrześcijaninem i nie chcę już zabijać. To grzech.

Mógł się tego spodziewać. Ale zbyt ostra reakcja byłaby błędem. Prawie nikt nie wiedział o jego prawdziwych poglądach religijnych – nade wszystko był on lojalnym sługą imperium, tak pojmował bycie cezarem.

– Walczymy z barbarzyńcami, którzy niszczą nasz kraj. To także twój kraj, panie oficerze – rzekł Julian dostojnie i z wyczuwalną rezerwą.

– Ja żyję już dla Chrystusa, a moja ojczyzna jest w niebiosach.

Dziwnie zabrzmiało to słowo łacińskie w jego ustach – Marcin użył go w liczbie mnogiej, *caela*, co Julian zrozumiał jako *niebiosy*, czyli stan lub miejsce, dokąd udał się Jezus po zmartwychwstaniu. Julian dobrze znał



chrześcijaństwo i jego nowo powstałą teologię. Z nich wyrósł – uczeni biskupi wkładali mu tę wiedzę do głowy.

– W niebiosach? Nazbyt to górnolotne, Marcinie. Odmawiam.

– Ależ, cesarze... Ja proszę!

– Odmawiam – powtórzył Julian. – Jest teraz zbyt niebezpiecznie i potrzebujemy każdego żołnierza. Ciebie też. Wrócimy do rozmowy za kilka miesięcy.

Marcin zacisnął pięści z wściekłości. On też przeżywał tę rozmowę i nie spodziewał się, że cesarz powie *nie*, nie odnosząc się do wiary, choć wieść niosła, że obracał się w kręgu uczonych arian i biskupów wschodnich. Tym razem żołnierz odpuścił. Ale zamiaru odejścia z wojska nie poniechał. Postanowił czekać na okazję.

\*

## *RZYM, 356 ROK*

Ammian korzystał w pełni ze swojego pierwszego pobytu w Rzymie. Postanowił spożytkować nagrodę pieniężną w wysokości tysiąca dwustu solidów, przyznaną mu przez skąpego Konstancjusza II, ceniącego sobie jego rady i sposób załatwienia sprawy śmierci siostry Konstantyny, która już niedługo miała cieszyć się chwałą wyniesienia na ołtarze. W owym czasie była to znaczna suma – odpowiednia na zakup domu. Ammian miał małe potrzeby. Z nikim nie był związany. Póki był w armii, trzymał się z dala od nierządnic, które roznosiły trypra, a wspomnienie zadurzenia, a może nawet pierwszej miłości, jaką przeżył u Gotów, napawało go wciąż słodyczą. Zresztą mógł sobie kupić niewolnicę i sypiać z nią, co czyniło wielu ludzi. Poradziwszy się kilku dostojników dworskich, znalazł wreszcie to, czego szukał – kilkupokojowy dom w dzielnicy Awentyn, otoczony murem, z małym atrium i przyjemnym ogrodem, gdzie rosły brzoskwinie i drzewo cytronu. Było stare, zwisały z niego żółte owoce o nieregularnych kształtach. Dom należał wcześniej do niezbyt bogatego człowieka. Po jego

śmierci – był to, zdaje się, nauczyciel retoryki – sprzedano posiadłość na licytacji. Za długi, więc taniej. Nie było wielu chętnych, bo dzielnica licha, blisko Tybru. Ammian zapłacił tysiąc sto solidów, czyli prawie całą swoją premię.

– Rzeczywiście – rzekł Ammian, gdy stanął przed budynkiem. – Małe to coś. Ale przynajmniej moje.

Ammian miał oczywiście majątek w Syrii, pod Antiochią, ale nie było do tej pory okazji, by się nim zająć lub go spieniężyć. Poza tym po strasznej śmierci ojca nie chciał tam wracać. Zbyt dużo bólu, zbyt dużo wspomnień. Był pewny jednego – chciał osiąść w Rzymie, gdy będzie mógł odejść z armii.

Jak się okazało, kupił ów dom z kilkoma niewolnikami, którzy u poprzedniego właściciela stanowili rodzinę<sup>[48]</sup>. Byli to: kucharka, odźwierny – stary Grek, ślepy na jedno oko, głupkowaty podrostek służący za sprzątacza i nosiwodę oraz – co było największym zaskoczeniem dla Ammiana Marcellinusa – Syryjczyk imieniem Sylas, który służył swemu poprzedniemu panu jako kopista, tłumacz i powiernik. Ludzie ci upadli przed Ammianem na twarze, gdy wszedł jako gospodarz do swojego nowego domu.

– Chciałbym ci podziękować, panie, za to, że nas nie sprzedałeś. Bo bardzo się baliśmy, że tak uczyni nowy właściciel – powiedział w imieniu pozostałych Syryjczyk.

– Dlaczego wasz poprzedni pan popadł w długi?

– Lucjusz Serwiusz Peretus był nałogowym graczem w kości. Retorem średnim, nauczycielem marnym, więc miał mało uczniów. Tyle razy poprawiałem mu teksty, ale mnie nie słuchał – mówił odważnie Sylas.

– To ciekawe, co mówisz – rzekł Ammian, przedstawiając się swojej rodzinie. – Nie lubię niewolnictwa. Jeśli przekonam się do was, gdy wrócę, by tutaj osiąść, za kilka lat, otrzymacie wolność. Jednak teraz nie zabawię długo.

– Czy możemy zapytać cię, *domine*, kim jesteś? – zapytał Sylas.

Kucharka popatrywała na niego z zaciekawieniem, myśląc, czy temu niezwykle przystojnemu człowiekowi o powierzchowności wschodniego szlachcica będą smakowały jej potrawy. Podrostek wpatrywał się w płaszcz i kolczugę Ammiana bezmyślnie, a stary odźwierny podejrzewał, że żołnierze mają twardą rękę i lubią zabawy do późna z kobietami lekkich obyczajów.

– Jestem Grekiem i żołnierzem. Urodziłem się w Antiochii.

– Jesteś więc, panie, moim rodakiem – rzekł Sylas.

– To rad jestem – odpowiedział Ammian, ściągając płaszcz i kolczugę, a następnie podał je podrostkowi.

Przyjemnie było usiąść we własnym atrium, choćby nawet bardzo małym.

– Będę tutaj pisał moją historię Rzymu, bo jestem historykiem, a przynajmniej chciałbym nim zostać. Ty, Sylasie, mi pomożesz. Mam dla ciebie zadanie na kilka najbliższych lat. Przeszukasz dla mnie wszystkie biblioteki Rzymu w poszukiwaniu źródeł, listów, opowiadań, opowieści. Wiesz, ile tego jest.

Sylasa całkowicie to zaskoczyło. O takiej pracy marzył! Był lingwistą, świetnym tłumaczem. Uradował się więc. Ammian zostawił mu dwadzieścia solidów na wydatki. Resztę przekazał kucharce, by robiła zapasy i nadzorowała dom, którego koszty utrzymania – jak się dowiedział – nie były duże.

– Ufam wam – powiedział Ammian. – Chcę być tutaj szczęśliwy, gdy wrócę.

Póki Konstancjusz II był w Rzymie, Ammian wił sobie gniazdko. Gdy jego niewolnicy doprowadzili dom do czystości, spędził w nim kilka tygodni. Kucharka gotowała rzeczy proste, ale smaczne dla wszystkich: głównie zupy. Poza tym piekła dobry chleb, potrafiła przyrządzić całkiem znośną pieczeń wieprzową lub gołąbki pieczone w miodzie. Stary odźwierny wkrótce umarł, ale Ammian kazał go pochować jako wolnego człowieka. W domu zostało troje stanowiących jego rodzinę. Nowy pan i Sylas odwiedzili kilka bibliotek i w ciągu tych kilku tygodni powstała

pierwsza redakcja *Dziejów rzymskich od Augusta do Nerwy*, pisana z pasją i werwą intelektualną. Jednak dla Ammiana była to tylko rozgrzewka – były to dzieje już znane i opisywane, więc w jakiś sposób stanowiło ono kompilację.

Wiedział, że prawdziwa historia to będzie opis jego współczesności. Chciał w niej zawrzeć swoją wizję tego, czym Rzym się stał i co utracił. Jednak na tę prawdziwą historię nie był jeszcze gotowy. Nie przecierpiał, nie kochał i nie zobaczył jeszcze dość szaleństw, śmierci i wojen swojego czasu.

\*

## *GALIA, LATO 357 ROKU*

Żniwa w tym roku były inne niż w pozostałych latach w Galii – były śmiertelnie niebezpieczne, ponieważ towarzyszył im najazd wojowniczego związku plemion germańskich zwanych Alemanami<sup>[49]</sup>. Przybyły kontyngenty wojowników dzikich Semnonów, Hermundurów i Markomanów, mieszkających kilkadziesiąt lat wcześniej nad Łabą, ale wraz z parciem Franków na zachód, w rejony nadgraniczne, Alemanowie coraz częściej przedostawali się za limes reński, widząc tereny ludne, bogate, doskonałą ziemię, na której – jak im się wydawało – plony rosły same. Tego lata Ren przebyło około dwudziestu pięciu tysięcy wojowników na koniach i pieszo. Patrole rzymskie doniosły o tym Julianowi, który postanowił sprawić barbarzyńcom przykrą niespodziankę. Od kiedy przybył do oddziałów galijskich, tchnął w tych ludzi nowego ducha. Piechota rzymska, wyposażona już w okrągłe, drewniane tarcze, walczyła falangą ciasno stojących obok siebie wojowników, tworzących mur z tarcz – w praktyce nie do przebicia. Jednak młody cesarz miał jeszcze jedną niespodziankę w postaci pięciu tysięcy żołnierzy ciężkiej rzymskiej jazdy – wyposażonych w długie miecze i drewniane kopie skierowane do bezpośredniego uderzenia, i opancerzonych ludzi na koniach.

Kilka lat wcześniej, gdy Konstancjusz II toczył wojnę domową z uzurpatorem Magnencjuszem, miał sprzymierzyć się z Alemanami, którzy od tamtego momentu poczynali sobie wyjątkowo bezczelnie. Wysłali nawet posłów, by wymusić na Julianie ustępstwa. Ale cesarz z nimi nie rozmawiał, kazał ich natomiast uwięzić, aby nie zdradzili swemu wodzowi Chnodomarowi rzymskich przygotowań. Wódz był roslym, potężnym jak tur chłopem, o dłoniach tak grubych jak pień młodej osiki. Wiedział od rzymskich dezertersów, że Julian tylko czyta książki i jest słaby. Taka była bowiem obiegująca opinia o cesarzu, na którą on się zgadzał – miał przecież do ukrycia sekret. Chnodomar rozbił zatem wielki obóz namiotowy dla swoich dwudziestu pięciu tysięcy wojowników koło miasta Argentorate i niespecjalnie się nawet z tym krył. Alemanowie drwili z Rzymian, gdyż Julian miał mieć nie więcej niż piętnaście tysięcy piechoty złożonej z wojsk *limitanenses*, a więc nadgranicznych. Germanie wiedzieli, że są to oddziały źle dowodzone i źle wyposażone. Młody cesarz nie zwlekał, a że duch bojowy w jego ludziach był silny, tysiące Rzymian w wielkiej kolumnie szło raźnie w stronę ruin miasta, spalonego kilka lat temu i do tej pory nieodbudowanego. Julian miał naturę refleksyjną, toteż na widok niekończących się łąnów zboża, których nie miał kto żąć, ponieważ kolonowie żyli w strachu przed hordami germańskimi, myślał, że zamiast ścinać zboże, zmuszony jest do wycinania ludzi. Tak dotarł do rozległych wzgórz nad Renem, z których widać było pole bitwy.

Germanie też zauważyli kolumnę Rzymian, w porządku wyłaniającą się zza wzgórz, i z pewnością widok karnie maszerujących rzędów żołnierzy wzbudził w nich respekt. Jednak bardziej zdziwił ich widok ciężkiej jazdy na rzymskim prawym skrzydle, która kłusem zajeżdżała ich z boku. Naprzeciw niej Chnodomar rzucił jazdę germańską, ale lżej uzbrojoną. I właśnie tam zaczęło się starcie, bo jazda rzymska pochyliła do przodu włócznie i przeszła w stępa, a potem w galop. Rzymskie centrum i mnóstwo Germanów naprzeciw niego widzieli, jak jazda rzymska tratuje przeciwników, kłując ich włóczniami, tnąc mieczami. Tego nie można było

zdzierżyć, toteż cała chmara wojowników alemańskich z obnażonymi mieczami i toporami runęła na linię Juliana.

On sam był wśród swoich ludzi. Jego obecność działała na nich pozytywnie. Przed bitwą zawierzył się Słońcu Niezwyciężonemu, chciał mieć pewność, że jeśli padnie, to w dobrej sprawie. Jednak falanga wytrzymała natarcie, a szczęk oręża niósł się wiele mil rzymskich wokół. Germanie atakowali wściekle, tarcza uderzała o tarczę. Rzymianie byli jednak wyćwiczeni w takich starciach i rzymska linia nie ustępowała, a oficerowie pilnowali, by dalsze szeregi luzowały tych z przodu na dźwięk gwizdka. Przesuwanie się szeregów przebiegało sprawnie i pod kontrolą. Lewe skrzydło Alemanów nie wytrzymało naporu rzymskiej jazdy, która w pewnej chwili wyszła im na tyły. W całej bitwie padło trzystu pięćdziesięciu Rzymian, a Alemanów tysiące, gdyż po załamaniu ich skrzydła wojownicy wpadli w panikę, a żołnierze cezara zabijali ich podczas ucieczki. Część potopiła się w Renie. Julian mógł czuć się zwycięzcą – jak Miltiades pod Maratonem, gdzie straty Ateńczyków do strat perskich były porównywalne.

\*

## *RZYM, W TYM SAMYM CZASIE*

Późnym latem 357 roku Konstancjusz II był już dawno poza Rzymem – w Akwilei, skąd miał pociągnąć nad Dunaj – kiedy doszły wiadomości z Galii, tym razem przyniesione przez kurierów nadzwyczaj szybko i sprawnie. Julian przysłał wodza Alemanów Chnodomara jako jeńca cesarzowi. Wybuchła powszechna radość, ponieważ takiego tryumfu oręża rzymskiego nie było od co najmniej pięćdziesięciu lat, gdy ojciec cesarza, Konstantyn, gromił Germanów nad Renem, a igrzyska w Rzymie zapełniły się znów aktorami jednego śmiertelnego występu. Konstancjusz był tym prezentem zachwycony i pokazywał jeńca publicznie w wielu miastach Italii – w Akwilei, Mediolanie i Rzymie. Tam właśnie zobaczył go Ammian

i szczególnie wielkie wrażenie zrobiła na nim siła Chnodomara, który swoimi wielkimi łapskami wyginał podkowy. Czy podobało się to germańskiemu wodzowi, historyk nie miał okazji spytać.

Pewnego dnia w Rzymie Ammian został wezwany przed oblicze cesarza. Młody oficer i historyk był niezmiernie ciekawy tego, co Konstancjusz II będzie miał do powiedzenia.

Spotkanie odbywało się bez świadków w ogrodach cesarskich na Palatynie.

– Wezwałem cię, Ammianie Marcellinusi, bo dałeś się poznać jako człek przewidujący – rzekł cesarz.

– To dla mnie zaszczyt – odparł Ammian. – *Domine*, czy podoba ci się Rzym?

– Będę szczery – powiedział Konstancjusz. – To dla mnie zbyt wyrafinowane miasto. Poza tym jestem w trudnej sytuacji.

– Dlaczego, *domine*? – zapytał zaskoczony Ammian. – Julian odniósł właśnie w Galii zwycięstwo.

Wtedy Konstancjusz spojrział wymownie. Tolerował nazbyt śmiało wyrażanie poglądów u młodego oficera, pozwalał na to. Ten zaś zrozumiał to, co pozostało niewypowiedziane. Zwycięstwo Juliana stanowiło dla starego cesarza problem. Mianując go, był przekonany, że Julian będzie potulnym idiotą na rozkaz, który zawsze wypełni to, co cesarz zechce uczynić, i nigdy nie podejmie samodzielnych decyzji. Bitwa pod Argentorate pokazała, jak bardzo Konstancjusz II się pomylił. Julian był kapitalnie odczytanym intelektualistą, który doskonale rozumiał tajniki władzy i wszedł do gry na własnych warunkach – uchodził za głupca, ale ta maska dała mu przewagę.

– Tak, Julian odniósł zwycięstwo – rzekł cesarz. – Nie przypuszczałem, że będzie aż tak samodzielny.

– Zrobił, co mu kazano.

– Aż za dobrze – kontynuował Konstancjusz. – Znam Galię. Tam są silne tendencje separatystyczne. Miałeś rację, oficerze, że imperium pęka. Widzę to, czuję i nic nie mogę zrobić. Nie mogę wątpić w szczerść Juliana, który

chce być dobrym cezarem dla tamtych ludzi. Ale on nie widzi tego, co ja widzę. Za chwilę może ogłoszą go cesarzem, pełnoprawnym augustem. Kraj znów pęknie na pół. Rozumiesz?

Ammian zbladł. Konstancjusz nie chciał się dzielić władzą najwyższą. Nie chciał zaakceptować samodzielności Juliana. Ale nierozważne działanie mogło znów wywołać wojnę domową.

– *Domine*, najbardziej palącą kwestią jest lojalność Juliana. Czy masz jakiś dowód, poszlakę, że działa on na własną rękę? – zapytał Ammian.

Cesarz pogładził się po gładko wygolonym policzku. Cesarze chrześcijańscy zarzucili styl noszenia brody, jaką zapoczątkował Hadrian dwieście lat temu.

– Nie.

– Myślę, że nie ma takiego dowodu, bo Julian jest wobec ciebie lojalny. Wysłałeś go do Galii, żeby zrobił tam porządek, i uczynił to. Znam go jeszcze ze szkoły, do której razem chodziliśmy w Antiochii, *domine*, i zapewniam cię, że on kocha Rzym.

Konstancjusz II odparł:

– I to właśnie mnie najbardziej martwi. Jest jednak człowiekiem pobożnym, a w wierze chrześcijańskiej zdrada jest grzechem.

Na te słowa Ammian nic nie mógł powiedzieć. Postanowił działać na rzecz Juliana.

– W istocie, ja nie jestem chrześcijaninem – rzekł. – Ale zapewniam o szczerości jego przekonań. Kim jestem, by dawać ci rady, *domine*! Ale mam nadzieję, że dasz mu szansę.

Jednak Konstancjusz szybko przywdział swoją nieodgadnioną maskę. Osoba Juliana miała stanowić odtąd jego obsesję – obsesję człowieka uwikłanego w pułapkę władzy.

– Pora, abym wyjawiał ci powód, dla którego cię wezwałem, oficerze. Przy okazji: wiem o tym, żeś kupił dom w Rzymie.

– Tak, na Awentynie.

– Nie znam Rzymu zbyt dobrze, ale biorąc pod uwagę liczbę pogan, jaka w nim mieszka, z pewnością było ci tu dobrze. Niestety, zmuszony jestem



przerwać twój wypoczynek. Dostałem przed kilkoma dniami informację, że źle się dzieje na wschodzie. Według wodza Ursycyna grozi nam kolejny najazd perski. Wysyłam najlepszych ludzi na wschód i ciebie również to czeka.

– Jakie twe rozkazy, *domine*?

– Opuszczamy Rzym. Za dwa miesiące chcę być w Sirmium nad Sawą. Tam, wśród moich żołnierzy, czuję się znacznie lepiej.

Na te słowa skłonił się Ammian cesarzowi. Konstancjusz II opuszczał Rzym i miał już tego miasta nie ujrzeć ponownie.

\*

Kilka tygodni po bitwie pod Argentorate oficer Marcin znów poprosił o widzenie u młodego cezara Juliana. Ten, zmęczony, ale i szczęśliwy po zwycięskiej kampanii, postanowił zrobić dłuższy wypoczynek w mieście Lutetia Parisiorum [50]. Tam zastał go Marcin i przypomniał się bez wahania.

– Czy teraz, po zwycięskiej kampanii, zwolnisz mnie?

Julian natychmiast przypomniał sobie, że minionego lata przyszedł do niego impertynent. Cóż miał teraz zrobić? Czy odrzucić, wykpić szczere przekonania religijne, co mogło zwrócić uwagę na własne praktyki cezara, który z rzadka widywany był na mszy świętej?

– Czy dalej uważasz, że zabijanie wrogów jest grzeszne?

– Tak, wszelkie zabijanie jest grzechem.

– A zabijanie arian?

– To heretycy, ale ich życie jest życiem chrześcijańskim, więc zabijanie ich jest grzechem.

– A zabijanie pogan?

– Tych, którzy nie wierzą w Chrystusa?

– Tak, właśnie tych.

Marcin spojrzał głęboko w oczy Juliana.

– To są ludzie, których trzeba ewangelizować, żeby wyprowadzić ich z mroków wiary w bożków.

Takiej odpowiedzi spodziewał się Julian. Czegóż chceć od chrześcijanina, który zapewne jeśli nie dostanie zwolnienia z wojska, ucieknie i zaszyje się w pustelni. O takich pustelnikach, żyjących w jaskiniach lub pieczarach, Julian słyszał już na wschodzie. O szczerości przekonań Marcina nie mógł wątpić. Wiedział też, że gdyby dane mu było odwrócić sytuację, w jakiej się znaleźli, gdyby to on sam był petentem i prosił o możliwość wiary w rzymskich i greckich bogów, dostałby zawsze odpowiedź odmowną, cechującą fanatyków religijnych.

– Idź – rzekł Julian. – I niech, człowieku, nie widzę cię nigdy więcej.

## ROZDZIAŁ XIII

### *Gniew Boży*

#### *SIRMIUM NAD SAWĄ, MARZEC 358 ROKU*

– Ja, Szapur Drugi, władca gwiazd i wszelkiego stworzenia na niebie i ziemi, brat Księżyca i Słońca, król królów, pan panów, władający najstarszym królestwem świata, boską i niezwyciężoną Persją! Wzywam cię, rzymski cesarze, daj mi to, co twoi przodkowie odebrali moim przodkom!

Te słowa perskiego posta rozległy się w pretorium w Sirmium nad Sawą, mieście-garnizonie, głównym ośrodkiem administracyjnym i wojskowym prowincji naddunajskich. Ammian skrzętnie zanotował na podręcznym zwoju papirusowym, na którym robił notatki do książki o historii swych czasów, że perski król z dynastii Sasanidów powołał się na niegdysiejsze zdobycze Achemenidów i stwierdził, że mógłby domagać się zwrotu wszystkich ziem – aż do Hellespontu, czyli cieśniny Dardanele. Jednak słowa posta nie robiły już na nikim wrażenia. Król królów domagał się tylko Armenii i Mezopotamii i była to pilna sprawa, która miała być załatwiona w czasie niepozwalającym na zwłokę, gdyż w przeciwnym razie król nie będzie w stanie powstrzymać gniewu swoich niezliczonych żołnierzy, których ma być tyle, ile jest ziaren piasku nad brzegiem morza. Na te słowa, pełne przesady, ale i jakże perskiej słownej ekwilibrystyki, Ammian Marcellinus uśmiechnął się, choć zdawał sobie sprawę z tego, że być może czekają go na wschodzie rzeczy straszne i gorzkie.

Zapłacił niedawno brodę, ale delikatną, starannie przycinaną przez służącego. Na pytanie sługi, po co, gdy znów jest moda na golenie się, odparł:

– A ja będę nosił brodę. Powiedzą, że jest filozof, a filozofowie to poganie.

Sługa był bowiem chrześcijaninem przekonany o rychłym końcu świata.

Rzeczywiście w owym czasie noszenie brody było w pewnym sensie przyznaniem się do własnego światopoglądu. Chrześcijańscy mężczyźni dokładnie się golili, a przedstawiany na freskach Chrystus miał twarz młodzieńca, bez zarostu. Gdy ktoś zapuszczał brodę, nawiązywał do Hadriana, cesarza filozofa – i poganina. Ammian właśnie tak postanowił zaakcentować swoje poglądy.

Wkrótce też Konstancjusz zarządził, że na wschód, do Ktezyfonu, wielkiej stolicy Persów, pojedzie rzymskie poselstwo złożone z dostojników dworskich komesa Prospera i administratora cesarskich dóbr notariusza Spektatusa. Towarzyszyć im miał filozof Eustatiusz, niegdyś uczeń Libaniosa. Ammian miał z nimi jechać do Antiochii, gdzie rezydował przygotowujący armię wschodu Ursycyn. Tam zaplanował spotkanie ze swoim dowódcą i przyjacielem. Przy okazji chciał zobaczyć znów dom rodzinny, choć stał pusty, i wystawić go na sprzedaż. Zamierzał bowiem osiąść w Rzymie, gdy spadną na niego stare lata.

\*

Ruszyli w stronę Konstantynopola wiosną, gdy zeszły śniegi, a widok drugiej wielkiej stolicy imperium zrobił na Ammianie bardzo przyjemne wrażenie. Nie widział miasta lat kilka, a jednak gdy do niego wkroczył, miał wrażenie, że jest ono jeszcze większe i wspanialsze, niż je zapamiętał. Gdy znalazł się przy hipodromie, musiał uznać, że to miejsce wspanialsze i większe od rzymskiego. Zresztą wielką pasją mieszkańców okazały się wyścigi konne i całe miasto w dzień zawodów dzieliło się na cztery kolory zgodnie z kolorami stajni: czerwony, biały, zielony i niebieski. Ammian, mając przed sobą kilkanaście dni pobytu w stolicy, mógł sobie pozwolić na wejście na dobrą trybunę. Wojskowi dostawali zniżki, poza tym pewna część dobrych miejsc była dla nich zarezerwowana. Potem sam się sobie

dziwił, że zakosztował tak prostackiej rozrywki, jednak elity Konstantynopola to uwielbiały. A przedstawienie było przednie. Łatwo było o katastrofalną kraksę – prawdziwym mistrzostwem było przejechać cały hipodrom jako pierwszy, ale bez stłuczki.

Po wyścigach wyszedł stamtąd i postanowił, że pójdzie jeszcze do biblioteki cesarskiej na Blachernach<sup>[51]</sup>. Brakowało mu trochę źródeł do czasów Dioklecjana i ówczesnej polityki wewnętrznej, w tym dotyczących prześladowań. Gdy zlecił znalezienie zwojów bibliotekarzowi, ktoś go zaczepił i wezwał po imieniu.

– Ammian Marcellinus, Bóg mi świadkiem!

Oficer odwrócił głowę. Początkowo go nie rozpoznał, bo człowiek ten okazał się roslym i postawnym mężczyzną, ale po chwili jego rysy wydały się znajome...

– Grzegorz!

– W rzeczy samej!

– Co porabiasz w Konstantynopolu?

– Studiujemy z Bazylim teologię.

– On też tutaj jest?

– Oczywiście, ale dziś nie mógł przyjść do biblioteki. Jest na czuwaniu modlitewnym w kościele Świętych Apostołów w intencji pokonania raz na zawsze herezji arian.

Na Ammianie zrobiło to wrażenie. Nie mógł pojąć, z jakiego powodu chrześcijanie są tak zajadli w dążeniu do określenia prawowierności. Skąd ta obsesja czystego, prawego myślenia? Znał przecież dobrze jednego biskupa ariańskiego, który był geniuszem wykraczającym poza ramy pojmowania świata po rzymsku.

– Napij się ze mną wina, póki jeszcze nie jesteś mnichem – rzekł Ammian, ciągnąc dawnego przyjaciela z czasów studenckich na wino do dzielnicy wokół hipodromu.

Było tam mnóstwo lokali, w których nie tylko pijano wino, ale też oddawano się innym, bardziej grzesznym uciechom. Jednak Grzegorz z chęcią poszedł. Udali się do egipskiej tawerny, gdzie w powietrzu

unosila się woń egipskiego kadzidła, a ze ścian spoglądali na gości swoim groźnym wzrokiem egipscy bogowie spośród papirusów i egzotycznych drzew. Jak widać, jakiś Egipcjanin postanowił zainwestować w nową stolicę i dorobić się tutaj pieniędzy. Zasiadli w wygodnym miejscu – za stołem, na krzesłach z poduszkami. Knajpa luksusowa. Po chwili podszedł do nich człowiek w białej szacie wzorowanej na szatach kapłanów egipskich z dawnych wieków. Był to właściciel lokalu – Szenute.

– W imię Izydy, zawsze świętej, witam was w moim lokalu.

Ammian postanowił zażartować.

– Uważaj, Szenute, bo zaraz stracisz klienta. On – wskazał ręką na Grzegorza – jest gorliwym chrześcijaninem.

Szenute wznosił do góry ręce, jak czynią pobożni Egipcjanie.

– Przysięgam na wszystkich bogów kraju Kem, że nie doleję wody do wina!

I Grzegorz z Nazjanzu, gorliwy chrześcijanin, znający i miłujący dziedzictwo greckie, zaśmiał się.

– Poczytam ci to za zasługę w królestwie Bożym!

Gdy wysoki Szenute poszedł po wino i przekąski, przyjaciele mogli wreszcie porozmawiać.

– Ile to lat? – zadał pytanie Ammian.

– Osiem. Długo, zbyt długo, by spotkać ciebie przypadkiem.

– Dla was, chrześcijan, przypadki nie istnieją.

– To prawda – rzekł Grzegorz. – Uczę się pilnie od wielu lat, żyję skromnie i staram się ostatnio dobrze opanować łacinę, mając za wzór ciebie, Greka, wyznawcę starej religii, który mówi po łacinie jak ludzie z zachodu. Jeśli chodzi o znajomość języków, zawsze byłeś dla mnie wzorem, Ammianie.

– Dziękuję. Ja straciłem rodziców, jak być może wiesz.

Grzegorz posmutniał.

– Przykro mi. Niezbadane są wyroki Boże.

– Nie winię Boga o ich śmierć. Winna została już ukarana.

Grzegorz zdumiał się.

– Kto to uczynił? Jak można zrobić coś takiego?

– Można. Mój ojciec zginął w Antiochii z rozkazu Konstantyny i Gallusa.

Grzegorz posmutniał jeszcze bardziej.

– Ona jest przecież wzorem dla kobiet. Ma być ogłoszona świętą – odparł zdumiony.

Ammian zastanowił się wówczas, jak wielkiego i mistrzowskiego dopuścił się kłamstwa w dobrej wierze. Biskup Auksencjusz z Durostorum wypełnił aż za dobrze swoją część umowy. Jednak Ammian miał Grzegorza za przyjaciela. A przyjaciele mogą sobie powiedzieć różne, nawet bolesne rzeczy.

– Nie, Grzegorzu. Konstantyna była okrutną i zepsutą do szpiku kości istotą, złą nie dlatego, że chciała taka być, tylko dlatego, że pochodziła z podłej rodziny. Jej ojciec zamordował własnego syna i kazał ugotować żywcem swoją żonę.

Grzegorz zakrył uszy. Rozumiał nazbyt dobrze, że Kościół był już bezwzględnie wprzęgnięty w politykę religijną cesarstwa.

– Czy winisz o to, co się stało, chrześcijan? – zapytał.

W tym momencie Egipcjanin przyniósł dzban wina, półmisek koziego sera, bardzo ostrego i słonego, oraz usmażone na świeżej oliwie małe rybki, ośmiorniczki i kraby z Propontydy.

– Nie, winię o to siostrę cesarza. Zresztą... Ona odebrała już karę, tutaj, na ziemi.

Przedstawił prawdziwą historię o sędzie nad nią w Nikomedii. Była to opowieść pełna grozy. Grzegorz wysłuchał jej ze spokojem.

– Natura ludzka jest grzeszna wskutek grzechu pierworodnego.

– Proszę cię, Grzegorzu, daruj mi te chrześcijańskie nonsensy.

– To nie są nonsensy. To prawda.

– Twoja prawda.

– Nie tylko jest moja, lecz także jedyna. Studiowałem dość pilnie przez ostatnie lata pisma filozoficzne, w tym Orygenes, Plotyna, Libaniosa, naszego nauczyciela, interesowałem się waszym pogańskim widzeniem

świata. Jest w tym pewna pasja intelektualna, nie zaprzeczę. Ale wy, poganie, nie potraficie wytłumaczyć zła.

– Bo to brak dobra – rzekł Ammian, połykając usmażoną rybkę i tego popijając winem. – O ile potrafimy zdefiniować dobro jako coś, co może istnieć we wspólnym zbiorze pojęć różnych szkół: platoników, uczniów Arystotelesa, cyników, perypatetyków, sceptyków i platoników wszelkiej maści.

– To nie może być jedynie brak dobra. Zastanawia mnie to bardzo. Ale my, chrześcijanie, szybko się od was uczymy. Teologia już nie błądzi po omacku jak jeszcze kilka lat temu.

– Myślę, że wasza teologia bardzo błądzi.

– Masz na myśli Ariusza? Rzeczywiście narobił mnóstwo zamieszania. Lata nam zajmie wytępienie jego herezji.

Tego właśnie Ammian nie rozumiał. Dla niego arianizm miał twarz Wulfili. I to był jedyny do tej pory chrześcijanin, który zrobił na nim tak wielkie wrażenie, że mógł pomyśleć teoretycznie o sobie jako o człowieku wątpiącym, ale zbliżającym się do chrześcijaństwa. Wszystkie bowiem zbrodnie, jakie popełniali chrześcijanie, nie obciążały ich religii, tak jak szaleństwa i zbrodnie Nerona czy obłąkanego perwersyjnego Heliogabala (zresztą rodem z Syrii, ojczyzny Ammiana) nie obciążały religii grecko-rzymskiej. Religia jest zawsze czymś więcej, jest ponad światem materii i władzy.

– Dlaczego chcecie wytępić arianizm? Nie pojmuję tego.

– Bo wiemy, przyjacielu, co jest prawowierne, a co nie jest. Ariusz stworzył niebezpieczną herezję, która w cesarstwie nie może być uznana.

Wtedy Ammian rzekł:

– Pozwól, że coś ci powiem.

I opowiedział mu o tym, jak mistrzowsko ariański biskup przetłumaczył Ewangelię Janową na język gocki, co sam widział i słyszał, bo konsultował znaczenie greckich terminów filozoficznych zaczerpniętych przez chrześcijan, którzy nadali im w swoim świecie inne znaczenie.



– Brałeś udział w tłumaczeniu Biblii? – zapytał z niedowierzeniem Grzegorz.

– Tak.

– Nie masz pojęcia, jak wielką łaskę Bożą masz w zasięgu ręki. Jakże ja ci zazdroszczę!

Teraz Ammian zdziwił się niepomierne. Jednak dostrzegł coś więcej w tym wspólnym zadziwieniu, przez filozofię traktowanemu jako doświadczenie pierwsze, dzięki któremu możliwa jest refleksja krytyczna nad światem, a z niej przecież zrodziła się sama filozofia. W pojęcie Boga Ammian nigdy nie wątpił, był też prawie pewien, że istnieje tylko Jeden, zwany przez platoników i arystotelików *nieporuszonym poruszycielem* – pierwszą przyczyną, jedynym sensem. Jednak nie wierzył w chrześcijańskie dogmaty.

– A wiesz, że spotkaliśmy z Bazylim w Atenach Juliana? – zapytał w końcu Grzegorz. – Rozmawialiśmy z nim długo przy malowanym portyku.

– Jakie to jest piękne, że ty jako chrześcijanin chodzisz do takich miejsc – rzekł Ammian, popijając wina.

– Bo przyznaję, że poganie mieli mądrość.

– Mamy ją dalej.

– Tylko was jak gdyby mniej – odparł Grzegorz.

Obaj mogli sobie pozwolić na drobne złośliwości. Ale Ammian zawsze umiał znaleźć odpowiedni żart, równie lekki i precyzyjnie trafiający w cel.

– Mój drogi, nie chodzi nam o ilość, tylko o jakość. Julian was zaskoczy wkrótce – oznajmił, trochę już podchmielony, ale szybko ugryzł się w język.

– Co masz na myśli?

– Pokaże swoje możliwości, gdy zostanie kiedyś cesarzem – powiedział po cichu Ammian, aby nikt nie usłyszał. Mówienie o nowym cesarzu, gdy panował stary, było zdradą.

– To mądry człowiek – rzekł Grzegorz. – Był dziwakiem w Antiochii u Libaniosa, ale teraz wydał się mi inny. Ateny zrobiły mu nadzwyczaj

dobrze intelektualnie. Jest bezpośredni, mówi precyzyjnie. Ale dostrzegam w nim coś takiego, czego nie umiem określić. Gdyśmy razem z Bazylim widywali go na liturgii rankiem w dniu Pańskim... Nie będę ukrywać, że go nie lubię. Wydawało mi się... Zresztą nieważne.

– Powiedz, proszę.

– Wydawało mi się, że on oczywiście dobrze śpiewa liturgię, głos ma ładny, i dobrze też czyta z Listów Apostolskich i Ewangelii, ale jest w nim coś takiego... Jak gdyby był daleko sercem od tych świętych obrzędów. Nie wiem, czy jesteś w stanie to zrozumieć. Ja kocham Kościół i Chrystusa, który na krzyżu dał za nas życie, i moja miłość do Kościoła umożliwia mi wyczuwanie nieszczerości. On zewnętrznie wykonywał wszystkie czynności chrześcijanina, ale nie miłował, rozumiesz mnie, Ammianie?

Jak ja cię doskonale rozumiem – pomyślał Ammian. Ale tajemnica miała pozostać tajemnicą.

– Wiesz, Julian jest oczywiście dziwny. Ja też się z nim spotkałem w Mediolanie – odrzekł. – To było przed jego wyprawą do Galii, gdzie bez przerwy trwa wojna. Wydaje mi się, że jest chrześcijaninem. Tak myślę. – Ammianowi zrobiło się przykro, że musi okłamać przyjaciela.

– Może masz rację. Późno się zrobiło – odparł Grzegorz.

– Zjedz do końca. Wy, chrześcijanie, w ogóle powinniście jadać tylko ryby, skoro ryba to wasz znak rozpoznawczy.

Po grecku ryba to *ICHTYS*, a litery te układały się w akronim oznaczający Jezusa Chrystusa, syna Boga, Zbawiciela. Grzegorz dał się przekonać i zjadł posiłek do końca.

– Ja płacę – rzekł Ammian. – Cesarz daje mi złote solidy, a ty jesteś wciąż biednym studentem.

– Będę się za ciebie modlił – odparł Grzegorz, który miał już trochę w czubie. – Masz łaskę Bożą i jej nie rozpoznajesz.

– Bo jestem ślepym poganinem.

– Jesteś, ale wciąż cię lubię. Jednak to wy, poganie, sprowadzicie gniew Boży na cesarstwo.

– Z wzajemnością.

Oficerowie armii cesarskiej mają tęższe głowy od studentów filozofii i teologii. Ammian odprowadził więc Grzegorza do bursy, za którą płacił patriarcha Konstantynopola. Pożegnali się serdecznie, ponieważ nie wiedzieli, kiedy znowu się spotkają.

\*

Tego dnia Ammian kończył właśnie jakieś sprawy związane z aprowizacją dla orszaku cesarskiego, który miał wkrótce ruszać do Persji, gdy w Konstantynopolu zatrzęśła się ziemia. W stolicy imperium wstrząsy nie trwały długo, ale wywołały na ulicach sporą panikę. Gorzej, że port zalała potem dwumetrowa fala, która przyszła od strony Propontydy. I wtedy sobie zdano sprawę, że sto, może dwieście mil dalej, w rejonie Nikomedii stało się coś znacznie gorszego.

Gdy Ammian wyszedł do ogrodów cesarskich nad morzem, ujrzał wielką, ciemną jak noc chmurę. Pojawiła się na niebie, daleko na horyzoncie od strony Nikomedii. Nikt nie wiedział, co to było. Nikt nie przypuszczał, że w letni pogodny dzień ziemia zadrży, a wielkie budynki, pałace, kościoły, amfiteatry pełne ludzi i szczebioczących dzieci obrócą się w perzynę. Trzęsienie ziemi trwało nie dłużej niż kilka minut, ale dla Nikomedii, która do niedawna była miastem cesarskim, ulubionym miejscem życia i działania Konstantyna Wielkiego, oznaczało koniec świata. Gdy chmura pyłu ustąpiła pod łagodną bryzą znad Propontydy, miasto leżało w gruzach, pełne krzyków przerażenia i jęków umierających ludzi i zwierząt.

Z miasta nie zostało nic.

\*

Zagłada Nikomedii była dla wszystkich wielkim szokiem, czymś tak strasznym i tak niezrozumiałym, że nic i nikt nie potrafił tego wytłumaczyć. Ammian mógł to sobie wyjaśnić w taki oto sposób, że Bóg, w którego wierzył – neoplatońskie Jedno lub, idąc tropem Platona –

*nieporuszony poruszyciel* – był myślą doskonałą, istniejącą dla siebie i poprzez siebie, i co najważniejsze – myślącą tylko o samej sobie. Jako byt doskonały, Bóg kryjący się pod mnogością bóstw grecko-rzymskich (czy też bliskowschodnich, gdyż Ammian czuł się przede wszystkim wyznawcą Mitry) był paradoksalnie zbyt doskonały, aby zajmować się światem. Demiurg lub wszechobecny logos, matematyczny umysł świata, nie był doskonały i popełniał błędy, a stworzone przez niego siły przyrody były ślepe. Trzęsienie ziemi, które unicestwiło Nikomedię i zabiło ponad sto tysięcy ludzi, grzebiąc to kwitnące miasto w morzu ruin, cierpienia i śmierci, nie było niczym innym jak ślepą, a więc przypadkową siłą natury. Ale Ammian poczuł się odosobniony w wytłumaczeniu tej tragedii. Zagadką pozostawało cierpienie.

Dla chrześcijan był to dowód, że Bóg przeklął pogan oraz wyznawane przez nich demony. Ammian odsunął się instynktownie od takich wytłumaczeń i czym prędzej, jadąc z poselstwem na wschód, udał się późnym latem do Antiochii. Tutaj też dyskutowano tylko o tym, ale mieszkańcy mieli już za sobą takie nieszczęście. Dwieście lat wcześniej miasto zostało zniszczone w podobnym kataklizmie, ale odbudowali je Trajan i Hadrian.

Ammian postanowił odwiedzić swojego nauczyciela Libaniosa. Okazało się jednak, że szkoła nie prowadzi zajęć – Libanios nie był w stanie pracować, osiwiął z rozpacz. W Nikomedii zginęło wielu jego uczniów i przyjaciół, tamtejsza biblioteka, należąca do najlepszych w całej wschodniej części imperium, została starta na proch i nie było szans, by ją odtworzyć. Studenci żyli legendą Ammiana, którego Libanios nazywał najzdolniejszym językowo studentem, jaki się mu trafił od lat.

– Pociesz mistrza – powiedzieli mu. – Porozmawiaj z nim!

Ammian poszedł i zastał nie tego człowieka, którego znał. Libanios osiwiął z rozpacz, miotał się i co chwilę płakał. Oficerowi armii cesarskiej zdawało się, że nauczyciel go nie poznaje. Dopiero po dłuższej chwili mistrz, drżący i zrozpaczony, bez słowa go przytulił.

– Zwątpiłem w bogów – rzekł. – Rację ma Epikur, że nie ma nad nami niczego, żadnej siły, żadnego świata duchowego.

– Mylisz się, mistrzu – odparł Ammian. – Twoje słowa świadczą o straszliwej rozpacz. Jest nadzieja i przyjdzie ona z kierunku, z jakiego się jej nie spodziewasz. Ale musisz mi przysiąc na wszystkich bogów, na Mitrę, na Izydę i Heliosa, zawsze zwycięskiego, że na razie nikomu nie wyjawisz tej nadziei. Chcę ją objawić tobie, aby podnieść cię z rozpacz.

– Przysięgam, ale zaskakujesz mnie.

– Zaskoczy cię wkrótce twój najwybitniejszy student.

– Zaskakujesz mnie jeszcze bardziej. Ty nim byłeś!

Ammian gwałtownie zaprzeczył ruchem głowy.

– Użycz ucha moim słowom – rzekł i wyszeptał mu prawdę o tym, który pragnie przywrócić wiarę w bogów w całym imperium.

Słyszając to, Libanios niesłychanie się podekscytował:

– On?!

– Tak, on – odparł spokojnie Ammian. – I zrobi to bez rozlewu krwi, którym się brzydzi. Musimy przygotować się do wielkiej pracy intelektualnej, która nas czeka.

Julian mógł spać spokojnie, bo Libanios miał zostać jednym z jego największych zwolenników na całym wschodzie cesarstwa. Omówili z Ammianem wszystko. Nauczyciel się uspokoił. Oficer zostawił go w zdecydowanie lepszym zdrowiu. Ruszał naprzeciw innej chmurze, która czyhała na wschodzie.

## ROZDZIAŁ XIV

### *Czarna twierdza*

#### *ANTIOCHIA, KWATERA URSYCYN, WIOSNA 359 ROKU*

Ammian Marcellinus i Ursycyn znów mogli się zobaczyć po tym, jak musieli służyć cesarzowi w dwu różnych częściach imperium.

– Cieszę się, że przybyłeś wreszcie – rzekł Ursycyn. – Nie mam tutaj zbyt wielu dobrych oficerów, a tych najlepszych musiałem wysłać do Amidy<sup>[52]</sup>, naszej najważniejszej twierdzy na skraju Mezopotamii. Jednak mamy pewien problem. Otóż kilka tygodni temu zniknął bardzo wpływowy prokurator armii wschodu Antonin, który był moim rachmistrzem. Przez niego przechodziły sprawy finansowe wojska tutaj na wschodzie i nie mała liczba informacji niejawnych.

– Co się stało?

– Zarządziłem natychmiast wewnętrzne dochodzenie w sprawie jego zniknięcia. Okazało się, że narobił długów, wplątał się w jakieś nieczyste interesy z podejrzanymi ludźmi, przemytnikami, bogowie sami wiedzą z kim. I znalazłem dowody, że przegrywał duże pieniądze w kości, na ustawione wielkie stawki. Ammianie, chodzi o ludzi podstawionych przez Persów, którzy kręcą się po naszej stronie granicy.

– Co się z nim stało? Zabili go?

– O, to byłoby dobre wyjście. Stało się jednak coś stokroć gorszego.

– Zdradził – dopowiedział Ammian.

– Trafiłeś w sedno. Antonin skontaktował się, drań jeden, z satrapą przygranicznej prowincji. Persowie podstawili łódź na Eufracie i tyle go widziano. Zabrał też swoją rodzinę, abyśmy nie mogli go zaszantażować ich losem.

– Sprytny gość.

Ursycyn potwierdził skinieniem głowy.

– Teraz sypie jak z rękawa opowieściami o nas, o zapasach, o aprowizacji, mówi Szapurowi Drugiemu o naszych drogach przerzutu zaopatrzenia do nadgranicznych twierdz. Krótko mówiąc: mamy bałagan. I ty musisz się do tego zabrać.

– Ja? – zapytał zaskoczony Ammian.

– Nie, Juliusz Cezar. – Ursycyn rzucił małą złośliwością. – Chciałbym, żebyś ruszył ze mną z posiłkami do Amidy.

I pokazał mu wspaniałą, ręcznie wyrysowaną mapę Bliskiego Wschodu. Z Antiochii droga wiodła przez kręte i niebezpieczne, coraz bardziej wysuszone bezdroża Syrii i Mezopotamii, przez miasto Hierapolis, gdzie stał rzymski garnizon, potem należało przeprowić się przez Eufrat w jego środkowym biegu i kierować się na Edesę, niegdyś wielki ośrodek kultu boga słońca Elagabala, którego w Rzymie skompromitował wyuzdany, perwersyjny Heliogabal – człowiek, który nigdy nie powinien był zostać cesarzem. A potem jeszcze najtrudniejszy odcinek z Edessy do Amidy, wielkiej rzymskiej twierdzy położonej nad górnym Tygrysem, w kraju zwanym przez miejscowych Korduene<sup>[53]</sup>.

– Amida ma gigantyczne mury zbudowane z czarnego bazaltu – opowiadał Ursycyn. – Cesarz Konstancjusz kazał je odnowić dziesięć lat temu. Zwiemy ją czarną twierdzą. Jeśli nam się uda, wzmocnimy obronę.

– Ilu mamy tam ludzi?

– Dziewięć legionów.

– Czyli niecałe dziesięć tysięcy. – Ammian już instynktownie układał plan. Jeden legion to teraz tysiąc ludzi.

– Dwa legiony były relokowane aż z Galii. Walczyły za Maksencjusza – dodał Ursycyn.

– Byli rebelianci? – Ammian chciał się upewnić.

Ursycyn potwierdził.

– Są sami. Od trzech miesięcy nie mam od nich wiadomości – rzekł poważnym tonem. – Musisz tam pojechać, zorientować się w sytuacji, doradzić komesowi Elianowi, który tam dowodzi, i wrócić, aby spisać

raport dla cesarza. Ty piszesz najlepiej w armii. Pojedziesz pierwszy ze zwiadem. Dam ci moich najlepszych zwiadowców. Ja ruszę z dużym oddziałem jazdy i taborem z zaopatrzeniem do Amidy.

Ammian zgodził się wykonać zadanie. I tak nie miał innego wyjścia, ale nazwa *czarna twierdza* mimowolnie napawała go grozą.

\*

Kraj zwany Korduene był nieokiełznany, step Syrii bezkresny, ale z uwagi na podjazdy perskie podróżowali głównie nocą. Ammian miał serce pełne obaw, co zobaczy u kresu podróży. Droga do Hierapolis była bezpieczna. Po dwóch dniach odpoczynku Ammian razem ze swoimi konnymi ruszył w stronę Eufratu. Jadąc konno, wiele rozmyślał o tym, że teraz on sam jest trzcina na wietrze historii. Przez te ziemie przechodził Aleksander, a przed nim Babilończycy, Asyryjczycy.

Gdy dotarli nad Eufrat, zaniemówił – rzeka była niemal tak ogromna jak Ren, który widział w Trewirze. Dobrze, że na brzegu spotkali ludzi czekających na przypłynięcie tratwy.

– Będziecie nas bronić? – zapytał jedyny człowiek wyglądający na Rzymianina. Mówił po grecku z mocnym łacińskim akcentem.

– Po to tu jesteśmy – odparł Ammian.

– Persowie palą i mordują od granicy aż po Edesę.

– Skąd to wiesz? Może to plotki rozsiewane przez wroga?

– Oficerze, miałem pałac pod Edesą i już go nie mam. Miałem rodzinę i już jej nie mam. Miałem tysiąc miliarów<sup>[54]</sup> ziemi i też już ich nie mam. Jestem nędzarzem. A ten wóz i para osłów to wszystko, co mi zostało.

Ammian nie umiał sobie radzić w takich sytuacjach – nagłych konfrontacjach z nieszczęściem ludzi.

– Przykro mi – odparł szczerze.

Stary człowiek westchnął.

– Persowie przybijają naszych do krzyży. Wystawili ich już setki – powiedział z troską. – Jedziecie na pewną śmierć.



– Każda śmierć jest pewna.

– Tego nas uczy Epikur – rzekł starzec. – Mnie została tylko pamięć. Postaram się pamiętać, kiedy byłem szczęśliwy.

Nie było czasu na dalszą wymianę zdań, ale takie nagłe, nieoczekiwane spotkania mówiły Ammianowi, że nadchodząca wojna nie będzie pustoszeniem barbarzyńskich osad. Szła przeciw nim straszna potęga królestwa Persji. Przypłynęła tratwa, znów z dziesiątkami uciekinierów, ludzi przerażonych, upodlonych wojną, nędzą i głodem. Dwaj ludzie nią kierujący zdziwili się, widząc konny oddział rzymski.

– Wy naprawdę w tę stronę? Ludzie głównie uciekają.

Musieli zejść z koni i obwiązać zwierzętom oczy, aby nie przstraszyły się rozległości i nurtu rzeki. Ammian przypomniał sobie swoją przeprawę przez Dunaj, ale tym razem było inaczej. Wyczuwało się w powietrzu strach i wojnę, która była tuż obok. Myśli miał posępne i złowrogie. Po raz pierwszy odnosił wrażenie, że może nie wrócić już z czarnej twierdzy, jak zwano Amidę. Modlił się w duchu: *Mitro, Panie światła, oświetlaj mą drogę, niech Twoje światło rozproszy ciemności, których się lękam.* Po przeprawie jechali dalej, odpoczywając przez kilka godzin w dzień i kontynuując podróż w nocy. Nie jechali prosto, ale kluczyli ze względu na sięgające daleko podjazdy wroga.

Piątego dnia, nad ranem, gdy z obliczeń Ammiana wynikało, że do Amidy zostało im dwa, może półtora dnia drogi, młody oficer obudził się, bo zdrętwiały mu nogi. Postanowił je rozprostować. Owinął się pledem. Zwiadowca trzymający wartę nie spał i pokazał mu gestami, aby razem z nim wszedł na szczyt nagiego wzgórza, pod którym obozowali. Czemu nie? – pomyślał Ammian. Brzask rozjaśniał noc od wschodu. Ze szczytu mogli zobaczyć wstęgę Tygrysu, po którego wodzie ślizgało się już światło brzasku – jakby Helios dotykał rzeki. Jednak zwiadowca wskazał na kształty wyraźnie rysujące się przed nimi, widoczność była bowiem doskonała. W miarę jak łuna światła podnosiła się znad wschodu, Ammian widział coraz wyraźniej ciemną smugę na lewym brzegu wielkiej rzeki, ale nie była to jej odnoga. Wpatrywał się

do bólu w przestrzeń przed sobą. Nagle zrozumiał. To była główna kolumna perskiej armii, podążającej także nocą. Po dłuższej chwili zauważył tysiące małych punktów, czyli pochodni. Przeraził się. Nieprzyjaciel maszerował w niespotykanej dotąd liczbie i szedł północnym, lewym brzegiem Tygrysu. Ammian pojął, jak mało mają czasu.

– Wyruszamy natychmiast – powiedział do zwiadowcy. – Budź wszystkich.

\*

Ursycyn nie miał tyle szczęścia co Ammian. Po przekroczeniu Eufratu zyskał pewność, że jego najlepszy oficer razem ze swoimi ludźmi przedostał się dalej, bo powiedzieli mu o tym dwaj mężczyźni obsługujący tratwę. Ursycyn wiódł jednak do Amidy dużo mniej ludzi, niż się spodziewał. Przybyły tylko dwa szwadrony jazdy z Galii. Po podróży liczącej kilka tysięcy mil żołnierze nie byli w najlepszej formie, a kraj był dla nich obcy i nienawistny. Przed Edessą jednak na horyzoncie błysnęła stal odbijająca słońce. Ursycyn się zatrzymał. Wpatrywał się w horyzont. Po chwili nie miał wątpliwości, że smuga, którą zauważył, zaczęła się przybliżać. Była to perska konnica, która odkrywszy podjazd rzymski, ruszyła mu naprzeciw i teraz szarżowała. Ursycyn miał tylko około siedmiuset ludzi, a tamtych było na oko kilka tysięcy. Nie miał wyjścia. Do Edessy za daleko. Mógł tylko zaatakować i spróbować przeżyć.

Na jego rozkaz Rzymianie ruszyli. Dobył miecza – dobra spatha, która towarzyszyła mu przez wiele lat, znów miała unurzać się we krwi. Włócznia przy włócznie, koń przy koniu. Na rzymskich proporcach widniały smoki i symbole Słońca Niezwycięzonego. Najpierw kłus.

– Trzymać szyk! – wrzasnął Ursycyn, któremu krople potu spływały spod hełmu.

Następnie stęp. Jechali równo, niespiesznie, ważne było, aby cała ława rzymskich jeźdźców utrzymała szyk, by rozerwać tamtych włóczyniami. Trwało to dłuższą chwilę. Potem przeszli w tętent. Powietrze świstało

Ursycynowi koło ucha. Stary wiarus miał wrażenie, że tym razem przyjdzie mu dać głowę.

– A niech to szlag!

Tamci stali się wyraźni. Atakowali już w galopie. Jednak Rzymianie mimo pędu koni, okrzyków wroga i huku powietrza nie złamali szyku i przeszli w galop, kierując włócznie na wroga – rzymska włócznia była zaprojektowana tak, żeby nadziać na nią jak na rożen konia lub jeźdźca. Gnali jak burza, nieustannie do przodu. W końcu dwie linie jeźdźców zderzyły się ze sobą, ale dopiero z bliska Ursycyn mógł się przekonać, że natarli na perskich katafraktów, czyli ciężką jazdę. I to oni gnietli i masakrowali przeciwników ciężkimi końmi i zbrojami. Rzymskie włócznie zostały strzaskane, ale nie przebiły Persów, którzy dzięki przewadze liczebnej szybko otoczyli Rzymian.

Cięci mieczami, sieczeni włóczniami ludzie Ursycyna ginęli, ale z wściekłością na ustach. Nikt nie błagał o litość. Ursycyn ciął jednego z perskich jeźdźców. Udało mu się z kilkoma Rzymianami odskoczyć na bok i wyrwać z okrążenia. Wódz uciekał szybko w stronę Edessy, po drodze łapiąc samotnego, oszalałego konia, który stracił jeźdźca.

\*

Ammian nie wiedział o porażce Ursycyna i na próżno czekał na jego przybycie. On i jego ludzie, przerażeni, że główne siły perskie znajdują się tak blisko, w niecały dzień dotarli do Amidy, której bazaltowe, czarne mury wznosiły się na wiele metrów w górę. Ammian po raz pierwszy mógł się przekonać, że w istocie była to potężna twierdza – jedna z większych, jakie widział. Murów nie powstydziliby się sam Konstantynopol. Na wąskich ulicach miasta przytulonego do twierdzy kłębił się tłum uchodźców, którzy zdołali zbiec z terenów zagrożonych bezpośrednio przez perską armię. Nie był to wesoły widok. Przerażone twarze, szukające pocieszenia, jakiejś nikłej choćby nadziei. Nie mógł powiedzieć tym ludziom, jak straszna burza nadciąga.

Oficer zauważył, że w twierdzy znajdowało się pełno wojska. Napotkani żołnierze natychmiast wskazali mu kwaterę, gdzie przebywał dowódca czarnej twierdzy – komes Elian. Ammian nigdy wcześniej go nie spotkał. Elian był człowiekiem koło czterdziestki, dobrze zbudowanym i postawnym, rozumiejącym chyba swój żołnierski fach i bardzo realistycznie do niego podchodzącym.

– Nazywam się Ammian Marcellinus, jestem trybunem z cesarskiego sztabu. Przesłał mnie tutaj Ursycyn.

– Ciebie przysłał mi Ursycyn? Ilu masz ludzi? – zapytał dowódca Amidy.

– Dziesięciu. To zwiadowcy.

– To po prostu kpina rzucona mi w twarz! – rzekł wściekle, klnąc od najgorszych Elian. – Nie mam nic przeciw tobie. Ale jestem odcięty. To miejsce to najdalsza część imperium, to zadupie, a ja nie wiem, co mnie tutaj czeka.

– Ale ja wiem. Niecałe dwa dni drogi stąd, nad Tygrysem, stojąc na wzgórzu, widziałem idącą w twoją stronę całą perską armię. Dziesiątki tysięcy ludzi.

Na Elianie nie zrobiło to wrażenia. Spodziewał się tego.

– Myślałem, i mówię to szczerze, że Ursycyn przybędzie z zapasami, zaopatrzeniem.

– Wyruszył po mnie, ale jeśli ja też mam być szczerzy, nie miał zbyt wielu sił. Chciał przede wszystkim podnieść morale.

– Morale? – parsknął Elian. – Przyjrzałeś się ludziom na ulicy? Są przerażeni. Podobnie jak moi ludzie.

– Masz ponoć osiem legionów.

– Czy wy w cesarskim sztabie macie jakąś obsesję na punkcie legionów? To słowo już nic nie znaczy. To zaledwie tysiąc ludzi. W teorii. Ja rzeczywiście mam tutaj osiem legionów, ale tylko dwa mają pełne składy i przybyły niedawno z Galii. Walczyły po stronie Magnencjusza, tego uzurpatora. Mają przynajmniej jakieś doświadczenie. Pozostałe są pokiereszowane po ostatniej wojnie z Szapurem Drugim.

– Nie dostałeś uzupełnień? – zapytał zdziwiony Ammian.

– Nie, skądże. Cesarz trzyma większość sił blisko Konstantynopola, na wypadek następnej wojny domowej. Nie znasz Konstancjusza?

– Znam. I to jest prawdopodobne. Ilu masz ludzi?

– Około siedem i pół tysiąca. Jedyne, czego nam nie zabraknie, to maszyny oblężnicze. Mamy czym odpowiedzieć Persom.

W tej jednej chwili Ammian poczuł, że powinien zaufać swojemu instynktowi przetrwania. Umrę, ale jeszcze nie teraz – pomyślał.

– Jeżeli mam podnieść na duchu twoich ludzi, to pozwól, komesie, że wezmę się od razu do ustawiania katapult.

\*

Ammian zrobił to, co zapowiedział. Rzeczywiście – cesarz Konstancjusz wyposażył twierdzę w bardzo zróżnicowany asortyment machin, w tym balist, onagerów i katapult, które potrafiły wyrzucać wielkie kamienie oraz zbiorniki z wrzącą oliwą. Ludność stanowiła dla obrońców kłopot, ponieważ zapasy żywności mogły wystarczyć jedynie na miesiąc walki. Ammian nie chciał myśleć o możliwej zaradzie, choć twierdza miała jedną bardzo głęboką studnię, która obficie dostarczała wojny pitnej.

Pierwszej nocy spał nierówno i nerwowo. Zbudzili go jego ludzie, by zobaczyć widowisko za murami czarnej twierdzy. Natychmiast się ubrał, narzucił kolczugę, pas z mieczem i poszedł na mury. Rozciągał się stamtąd widok na armię perską. Ludzkie mrowie aż po horyzont – piechota w kolczugach i spiczastych hełmach połyskujących w porannym słońcu. Ammian zauważył też maszyny oblężnicze ciągnięte przez woły, ciężką jazdę medyjską, która wprawdzie nie przyda się w oblężeniu, ale z pewnością spustoszy całą okolicę, ogołacając ją z żywności. Dostrzegł również orszak króla królów – władca jechał na koniu przyozdobionym ozdobną kapą wyszywaną złotem. Na głowie miał pozłacany hełm w kształcie baraniej głowy z rogami. Król na chwilę się zatrzymał i – lekceważąc Rzymian – podjechał pod mury, najwidoczniej po to, by ocenić stan twierdzy. Widząc to, Ammian nie wahał się ani przez chwilę.

– Łucznicy, szybko!

Podbiegło kilku wprawnych ludzi z legionu galijskiego z łukami i kołczanami pełnymi strzał. Schowali się za wyłomem muru.

– Czy potraficie go zabić z tej odległości?

Jeden z nich, pochodzący znanad Renu żołnierz, wychylił się nieco i zmierzył kąt strzału. Po chwili pewnie i zdecydowanie powiedział:

– Spróbuję. Ale wolałbym, żeby to była salwa kilku naszych. Może któraś strzała go dosięgnie.

Ammian skinął głową. Żołnierze się przygotowali. Gdy byli gotowi, dał rozkaz:

– Szyć!

Łucznicy rzymscy błyskawicznie złożyli się do strzału i kilka strzał poleciało w kierunku Szapura II i jego świty. Ammian zdążył zauważyć, że jedna z nich uderzyła w hełm króla i się od niego odbiła. Kolejna utkwiała w jego udzie, a dwie inne zabiły dworzan. Persowie podnieśli straszny krzyk, ale satrapowie towarzyszący władcy zasłonili go własnym ciałem. Czterech z nich zginęło. Król zdołał się wycofać, ale zabito mu dworzan, co musiało wzbudzić wielki gniew.

Błyskawicznie wieść o tej krwawej potyczce rozeszła się po Amidzie i zapewne po obozie perskim. Komes Elian podsumował to krótko:

– Właściwie powinienem mieć do ciebie pretensje, bo uniemożliwiłeś mi prowadzenie negocjacji. Ale dobrze się stało. Szapur Drugi i cała jego armia nie pójdą na Edesę ani na Antiochię. Jego zraniona dziś ambicja boli go bardziej od nogi. To dobrze dla cesarstwa, ale źle dla nas. Właściwie nas już nie ma, Ammianie Marcellinusie. Jesteśmy martwi.

– W takim razie, skoro jesteśmy martwi, zabierzmy ze sobą do Hadesu kilka tysięcy Persów – rzekł Ammian, który w takich chwilach nigdy się nie wahał.

Wiedział, że przeszarżował. Nie powinien był podejmować takiej decyzji tak nagle, ale chciał skorzystać z nadarzającej się okazji. Zabicie perskiego króla byłoby z pewnością wielkim ciosem dla jego armii. Jednak musiał się zgodzić, że ich los jest przypieczętowany. Nie wiedział, że w obozie perskim tego dnia wywiązała się zacięta dyskusja, albowiem satrapowie

błagali króla, by pozostawił pod Amidą siły zdolne do oblegania miasta, a główna część wielkiej armii miałaby podążyć dalej i zaskoczyć rzymską Syrię, zniszczyć ją mieczem, ogniem, uprowadzić niewolników. Jednak rana króla rzeczywiście podrażniła jego ambicję, miłość własną, toteż odtrącił rady swoich satrapów, generałów, książąt i zaprzyjaźnionych królów plemion znad Hindukuszu i Oceanu Hyrkańskiego<sup>[55]</sup>.

Bezczelność Rzymian, którzy pierwszego dnia przerwali królowi obchód, sprawiła, że jeden z dostojników irańskiego plemienia Chionitów zaczął następnego ranka wygrażać Rzymianom. Łucznicy rzymscy zabili go, a potem wybuchła chaotyczna walka o jego ciało, gdyż okazał się on synem władcy Chionitów, wasala Szapura II. Była to masakra, jakiej Ammian nie widział jeszcze w życiu – wojownicy chionicy podchodzili falami pod twierdzę, a tam byli koszeni salwami z łuków. Tego dnia armia króla królów straciła ponad dwustu ludzi. Ale on nie liczył się z ludźmi. Zdobycie Amidy stało się dla Persów sprawą honoru.

\*

Ranny Szapur II kazał sobie wystawić łożo, na którym leżał i patrzył, jak nieprzeliczone rzesze jego wojowników idą na twierdzę. Persowie uparcie posuwali się naprzód, mimo że rzymskie maszyny oblężnicze, onagery, katapulty i łuki masakrowały ich bez litości. Wysokość murów uniemożliwiała atak na twierdzę od strony rzeki, toteż cały impet atakujących poszedł w stronę bramy do miasta, do której droga wiodła po wzniesieniu. Tam działy się rzeczy straszne, a maszyny Rzymian siały spustoszenie. Po czterech dniach walk wokół było już tyle perskich trupów, że zaczęło śmierdzieć, bo zrobiło się naprawdę gorąco. obrońcy miasta również ponosili straty, ale Elian kazał zwłoki palić lub zrzucić do Tygrysu z murów, aby Persowie nie mogli pić wody z rzeki. Na szczęście studnia w twierdzy funkcjonowała należycie i można było ugasić pragnienie.

Po kilku dniach Persom przeszła ochota na szturmy. Każdy kolejny przynosił im ciężkie straty, a czarne bazaltowe mury twierdzy i tak pozostawały niezdojbyte. Rzymianie po tygodniu walk stracili około stu ludzi, ale straty Persów szły w tysiące. To spowodowało zmianę taktyki. Wróg zaczął ostrzeliwać miasto ze swoich wież oblężniczych, pokrytych świeżymi skórami ze zwierząt, aby zabezpieczyć je przed spalaniem. Straty rosły, szczególnie wśród ludności cywilnej. Ammian udał się do komesa Eliana.

– Pozwól mi i jednemu legionowi galijskiemu zrobić wypad dziś w nocy. Żołnierze są zmęczeni zamknięciem w twierdzy. Chcą się zabawić. Persowie się czegoś takiego nie spodziewają.

– Zginie wielu ludzi – odparł Elian.

– Wszyscy umrzemy – odparł Ammian. – Od nas samych tylko zależy, jak to się stanie.

Obaj mieli świadomość, że twierdzy nie sposób obronić przy przewadze Persów, można jednak uczynić ich koniec wart zapamiętania, aby Amida stała się lekcją pogładową, jak należy bronić imperium. W zachowaniu Ammiana zaszła dziwna zmiana. Nie przestało mu zależeć na życiu, ale zjadłość tej bitwy go zmieniła. Na murach zabił kilku Persów, ale znaczyło to dla niego teraz tylko tyle, ile znaczy zabicie świni.

Żołnierze w ciągu dnia przygotowywali się do ataku. W odpowiednim momencie przeszli pod mury w stronę głównej bramy i wyszli na zewnątrz. Wykorzystali, że księżyc był w nowiu. Pod osłoną nocy legion Rzymian z mieczami i toporami bojowymi podszedł pod perski obóz, wyrznuwszy po drodze strażę. Nagły ryk tysiąca gardeł wyrwał wszystkich ze snu. Impet atakujących był ogromny – Persów zabijano w namiotach, zarówno prostych żołnierzy, jak i książąt czy wodzów plemion. Podniosła się wielka wrzawa, która postawiła całą armię perską na nogi. obrońcy Amidy, w tym komes Elian, wyszli na mury, by zobaczyć to widowisko. Linia pożarów wyznaczała linie frontu. Jednak Persowie mieli pod Amidą dziesiątki tysięcy żołnierzy, stąd legion galijski, który siekł, miażdżył i mordował bez litości i miłosierdzia, musiał się



w końcu zatrzymać. Aby Persowie nie zdołali ich otoczyć, tysiąc ludzi zwarło się przy sobie, jeden obok drugiego, w ciasnej linii. Rzymianie zaczęli się cofać w stronę Amidy, a rzymskie katapulty wyrzucały głazy w stronę perskich skrzydeł, aby nieprzyjaciel nie zaszedł bohaterskiego legionu z boku. Przesuwali się w porządku powoli do tyłu, cały czas kontrolując walkę. Ich linia była dla Persów nie do przejścia, bo z racji ciemności Szapur II nie mógł wysłać na Galijczyków ciężkiej jazdy – katafraktów. W końcu odskoczyli od wroga i już biegiem wycofywali się w stronę bramy. Była to najtrudniejsza część wypadu. Niestety, pociągnęła za sobą ofiary. Wielu żołnierzy wówczas zginęło.

Do tych, którym udało się wrócić do twierdzy, podszedł Elian.

– To, co zrobiliście dziś, jest dla mnie czynem bohaterskim.

Jak się okazało, poległo osiemdziesięciu sześciu żołnierzy. Część rannych wpadła w ręce perskie, ale i tak cena za sukces nie była zbyt wygórowana – wróg znów stracił kilka tysięcy ludzi. Elian w końcu odnalazł Ammiana Marcellinusa, strasznie zmęczonego, brudnego i umazanego krwią, ale żywego. Jedyne, czego pragnął on po tej walce, to napić się wody. Na szczęście mogli ugasić pragnienie zimną wodą ze studni. Młody oficer czuł się zupełnie wyczerpany, ale szczęśliwy, bo jego miecz był aż lepki od krwi.

Skalę zniszczeń Rzymianie zobaczyli rano z murów. Znów kilkanaście uroczystych pogrzebów – stosów książąt i naczelników. Jednak ujrzeli coś jeszcze. Po tym wypadzie armia perska cofnęła swoją linię o pół rzymskiej mili, tworząc w ten sposób pas ziemi niczyjej. Odległość, którą musiały pokonać strzały obrońców, była teraz znacznie większa. Na rozkaz Szapura II Persowie wzniesli krzyże, na których powiesili wszystkich wziętych do niewoli rannych Rzymian. Ich towarzysze z twierdzy musieli na to patrzeć. Jednak ukrzyżowani ranni żołnierze legionu galijskiego krzyczeli:

– Nie żałujcie nas! Było warto!

Dopiero gdy słońce się podniosło i żar znów lał się nieprzerwanie z nieba, wielu krzyknęło:

– Zmiłujcie się nad nami! Zabijcie nas! Nie pozwólcie, byśmy umierali na krzyżach w męce!

I po raz pierwszy w czasie tej bitwy rzymscy łucznicy z murów Amidy przeklinali w duchu, że ich strzały niechybnie dosięgały celu. Był to akt miłosierdzia.

\*

Amida wytrzymała siedemdziesiąt trzy dni – z których każdy następny był straszliwszy. obrońcy nie wiedzieli – nawet nie mogli o tym wiedzieć, bo nie dotarły do nich żadne wiadomości – że cesarz Konstancjusz przeprowił się z armią przez cieśniny, ruszył do Cylicji i w niecałe dwa miesiące obsadził wojskiem Syrię, zabezpieczając w ten sposób resztę prowincji wschodnich przed niszczycielskim najazdem Szapura II.

Te dni, przepełnione bólem, walką i głodem, stały się dla obrońców w krótkim czasie nie do zniesienia. Zakosztowawszy rzymskiego miecza, Szapur II wstrzymał szturm. Postanowił wziąć obrońców głodem i ostrzeliwaniem z balist. Ponieważ Rzymianie nie pozostawali mu dłużni, król kazał zbudować olbrzymią wieżę, która na szczycie miała skorpion – katapultę miotającą płonące strzały wielkości trzech dorosłych ludzi. Na ten ostrzał obrońcy nie mogli odpowiedzieć, gdyż król kazał ustawić wieżę poza zasięgiem rzymskich machin. Warunki higieniczne w twierdzy stały się katastrofalne. Wreszcie, czego nie zdołała zbadać powołana przez Eliana komisja, ktoś z załogi lub z wyczerpanych do ostateczności cywilów wrzucił do studni, jedyne źródło wody, martwe szczury. Wtedy komes wiedział już, że to koniec. Bez wody czekała ich śmierć.

Dwa dni później ogromne siły perskie ruszyły pod główną bramę z wielkim taranem, zbudowanym w ciągu tygodni oblężenia. Ów taran miał wielką, odlaną z brązu głowę barana. Wróg podchodził coraz bliżej, a wycieńczeni, spragnieni do niemożliwości Rzymianie znów posyłali celne strzały. Perscy żołnierze padali, wierzgali nogami, zastygając w objęciach śmierci, ale kolejne zastępy parły dalej. W końcu – mimo że lała się na nich z murów wrząca oliwa, leciały kamienie i strzały –

dopadli do bramy. Gigantyczny taran zrobił swoje. Mimo wsparcia skoblami od środka wrota pękły i wojsko wroga wdarło się do środka. Wiedząc, że tak się stanie, Elian ustawił swoich ludzi pośrodku rynku w wielką falangę, najeżoną włóczniami i spojona w oczekiwaniu śmierci. Gdy Ammian z mieczem wszedł do tej falangi, spostrzegł go Elian i nakazał:

– Jestem twoim dowódcą. Poznałem cię i wiem, że jesteś honorowym człowiekiem. Masz wykonać mój ostatni rozkaz.

– Słucham, panie – odparł Ammian Marcellinus.

– Rozkazuję ci przeżyć za wszelką cenę. Dowiedziałem się od twoich ludzi, żeś jest historykiem i przyjacielem cesarza Konstancjusza. Masz mi opowiedzieć, co tu widziałeś.

Ammian wiedział, że zostało im niewiele czasu. Objął Eliana jak brata.

– Chrześcijanie też dobrze potrafią walczyć – rzekł mu na pożegnanie.

Był wolny, ale przeżycie granoczyło z cudem. Jedyłą opcją, jaką dostrzegał ten wyczerpany żołnierz, było skoczyć z murów do nurtów Tygrysu. Ale po chwili odrzucił ją jako niemożliwą. Nurt był zbyt silny, on – wyczerpany. Poza tym mógł nie trafić w miejsce, gdzie woda była głęboka, ale roztrzaskać się na kamieniach.

Nagle podniosła się ogromna wrzawa – Persowie wdarli się do centrum twierdzy i napotkali falangę Rzymian, którzy przeżyli. Wybuchła zaciepła walka. Ammian skrył się w jednej z dzielnic, wśród opustoszałych domów biedoty. Tam postanowił zaczekać do zmroku i pod osłoną nocy spróbować wydostać się z miasta. W jednym z domostw znalazł trochę ziaren prosa. Żuł je surowe. To było jego jedyne pożywienie.

\*

Wyszedł po zmroku. Starał się unikać perskich patroli przeczesujących miasto. Napotykał natomiast trupy, ludzkie i zwierzęce, które szybko spuchły w skwarze dnia. Szedł w stronę bramy, gdzie – jak się spodziewał – znajdowali się perscy żołnierze. Przez kilka godzin obserwował ich z daleka i zauważył, że ładowali trupy na wozy, a następnie wywozili je

przez bramę za miasto, by pogrzebać w fosie. Ammian uznał to za szansę dla siebie. Tak bardzo chciał żyć! Liczyło się tylko to: zgodnie z rozkazem przeżyć za wszelką cenę i opowiedzieć światu to, co widział i czego doświadczył w Amidzie. Cały czas towarzyszył mu strach, ale odwaga jest przecież cnotą dlatego, że człowiek robi rzeczy, które wywołują jego strach. Podczołgał się do wozu pełnego trupów i korzystając z nieuwagi strażników, wspiął się na niego i ułożył między ciałami. Cuchnęły. Ale nie było wyjścia. Po chwili strażnicy potraktowali zaprzężonego wołu batem i wóz powoli ruszył. Po pewnym czasie, który wydawał się dla Ammiana wiecznością, zatrzymali się nad fosą. Strażnicy zaczęli chwytając trupy za ręce i wrzucać je do wypełnionej już prawie do pełna ciałami fosy, w której nie było wody (to jedna z przyczyn udanego ostatniego szturm). Ammian wiedział, że musi teraz zagrać trupa. Poczł, że jakieś bardzo silne ręce chwytają go za nogi i ciągną. Nie wydał żadnego odgłosu. Starał się zredukować do minimum oddech. Inne dłonie chwyciły go za nadgarstki. I nagle runął z wysokości na trupy. Spadł na plecy, ale zderzenie z innymi ciałami zabolalo. Musiał to znieść bez słowa. Ciało zrzucano już tyle, że wyjście po nich na brzeg fosy nie powinno być trudnością. Czekał tak do rana.

Gdy pojawił się pierwszy blask nowego dnia, Ammian ruszył się z miejsca. Sprawdził obolałe nogi, siedząc na trupach, po czym zaczął pełznąć po martwych ciałach w kierunku brzegu fosy. Znowu odczekał – jak ostrożne zwierzę, które pragnie uciec przed pogonią. Gdy uznał, że jest dość bezpiecznie, wyskoczył na brzeg i pobiegł w stronę zarośli nad Tygrysem. Tam miał okazję chwilę odpocząć.

W szuwarach nad rzeką natknął się także na innych Rzymian, którzy podobnie jak on chcieli uciec. Jak widać, Persowie nie zdołali zabić wszystkich. Nagle, gdy już pojawiła się nadzieja, Ammian usłyszał świst strzały. Ledwo zdążył uchylić głowę. Strzała trafiła drugiego uciekiniera. Za sobą usłyszał perskie głosy. Uznał, że wszystko stracone. Chociaż... Miał przecież jeszcze jeden atut w zanadrzu.

Wstał, podniósł ręce do góry i powiedział w swoim świetnym perskim do zdumionych żołnierzy:

– Jestem oficerem rzymskim. Chcę rozmawiać z kimś równym mi stopniem i godnością.

## ROZDZIAŁ XV

### *Na łasce króla królów*

#### *AMIDA, LATO 359 ROKU*

Perscy żołnierze nie uwierzyli Ammianowi, ale zaskoczyło ich, że Rzymianin, czyli wróg ich króla, mówi tak dobrze po persku. Poprowadzili go zatem do swojego dowódcy mającego stopień oficerski. Jeniec nie wyglądał na swoją pozycję – był przeraźliwie brudny, przesiąknięty wonią trupów. Z tego też powodu perski oficer, słysząc, że pojmany zna doskonale ich mowę, skwitował to krótko:

– To szpieg. Zabić go nad fosą razem z innymi.

Ammian nie chciał wierzyć, że znajomość języków obcych może przyprawić go o śmierć. To byłaby istna ironia losu! Jednak strażnicy znów poprowadzili go nad ów dół wypełniony trupami. Okoliczną ludność zagoniono do pracy – do zasypania tego wielkiego grobu, nad którym dokonywano egzekucji pozostałych przy życiu Rzymian. Ścinano ich mieczem. Ammian słyszał dźwięk miecza wyciąganego z pochwy i ten drugi – straszny i krótki odgłos trzaskającego pod cięciem miecza kręgosłupa. Za chwilę jego ciało i głowa miały spaść do tego dołu i nikt nigdy miał się nie dowiedzieć, jak zginął.

– Stać! – powiedział ktoś do strażników.

Ammian nie wiedział, czy w jego sprawie, ale strażnicy kazali mu wstać. Chwiejąc się, stanął nad dołem.

– Mówiłem ci, Ammianie Marcellinusie, że twoja sława dotrze do twoich wrogów, zanim ty przyjdiesz do nich.

Słowa te wypowiedział w języku perskim wytworny mąż – w spodniach, butach z koziej skóry, z narzuconą na muskularną postać kolczugą. Miał również spiczasty hełm perski, a w dłoni trzymał szpicrutę.

Ammian zauważył jednak, że hełm ów był powleczone prawdziwą złotą blachą, a żołnierze perscy wpatrywali się w mężczyznę z nabożnym szacunkiem.

Był to książę Sardaszir, najmłodszy syn króla królów, szachinszacha Szapura II, władcy Persji. Ten sam, którego Ammian wraz z Ursycynem uratowali od śmierci w Konstantynopolu. To dzięki nim Konstancjusz II nigdy nie dowiedział się, jakiego miał jeńca. Być może zmieniłoby to bieg wydarzeń – oto teraz książę żył, a Ammian miał umrzeć.

– Powiedz mi prawdę – rzekł Ammian Marcellinus, który nie wiedział jeszcze, jak to się dla niego skończy, ale w ostatnich chwilach chciał zachować klasę. – Jak to było z czaszką cesarza Waleriana? Naprawdę zrobiono z niej kielich?

Sardaszir zaśmiał się, budząc zdumienie swoich ludzi, których zbiegło się całkiem sporo. Syn króla rozmawiał z Rzymianinem mówiącym po persku!

– To ubarwiłem. Ale jest prawdą, że ten nieszczęsny człek odebrał sobie życie.

– Wiedziałem – odparł Ammian. – Co będzie ze mną?

Sardaszir podszedł do jeńca.

– Zawdzięczam ci życie, Ammianie Marcellinusie! Zjesz ze mną wieczerzę, ale zanim to nastąpi, musisz – na Arymana i Ormuzda!, na ich święty ogień! – się wykąpać. Bo śmierdzisz strasznie!

\*

Do kąpieli w wodach Tygrysu Ammian dostał szczotkę, mydło i oliwę do nasmarowania ciała. Oliwa pachniała lawendą, jakaż to rozkosz! Co za odmiana losu – znad grobu pełnego gnijących trupów trafił na wspólny posiłek z synem króla Persji! Ammian nie wierzył w przypadki. Przypadkami kierowali bogowie.

– Mitro, ojciec światłości, który jesteś we mnie i we wszystkim, co żyje, niech będzie błogosławione Twoje imię poprzez wody tej rzeki, poprzez moje ciało i Twoje nieskończone światło.

Rzekłszy słowa modlitwy, Ammian oddał cześć Słońcu Niezwyciężonemu. Był człowiekiem religijnym, ale inaczej niż chrześcijanie. Teraz stał na krawędzi tajemnicy innego świata, zupełnie nieznanego, którym władali Aryman i Ormuzd, ojcowie ciemności i światłości, walczący ze sobą, obecni w postaci świętego ognia, który nigdy nie mógł zgasnąć w świątyniach zaratusztriańskich.

Ammian wyszedł z wody nagi. Czuł się odmieniony, jak gdyby ktoś wrócił mu życie, które już z niego wyciekało w stronę otchłani. Ta kąpiel i to okrucieństwo, którego doświadczył choćby wczoraj, sprawiły, że przewartościował swoje życie. Na brzegu czekał na niego sługa Sardaszira z ręcznikiem, bielizną i długą, ręcznie tkaną szatą perską. Ammian nasmarował ciało oliwą i ubrał się. Sługa poprowadził go przez gęstwinę perskich namiotów.

Sardaszir już czekał na niego z wieczerzą. Podano jagnię na zimno z sosem miętowym, świeże figi i wino. Jak się okazało, Persowie robili znakomite trunki – moda na nie przysłała do Persji wraz z panowaniem Partów, częściowo zhellenizowanych.

– Nie wiedziałem, że robicie tak dobre wino.

– To już teraz wiesz – rzekł Sardaszir.

Ammian zaspokoił głód, ale miał cały czas świadomość, że jego królewski przyjaciel nie może się dowiedzieć, kto zranił króla pierwszego dnia bitwy.

– Co wyście narobili w tej czarnej twierdzy? – westchnął Sardaszir. – Ojciec liże ranę, nie żyje piętnaście tysięcy jego żołnierzy, drugie tyle umrze. Ależ twarde z was dranie!

– Przez kurtuazję powiem, że to dla mnie komplement. Co teraz?

– Teraz wracamy do Persji. Tutaj nie ma warunków, żeby zająć się nogą ojca.

– Słyszałem o tym, że nasi łucznicy go ranili.

– I dlatego wszyscy zostali ścięci. Ojciec takich rzeczy nie wybacza. Jednak przez was plany kampanii się zmieniły. Idzie jesień, zaczną się słoty. Ponieśliśmy straty. Wracamy do Persji.



– A co ze mną?

Sardaszir uśmiechnął się.

– Zobaczysz.

\*

Wieści o mówiącym po persku Rzymianinie szybko rozniosły się po perskim obozie i wkrótce Ammian Marcellinus miał gości chcących z nim porozmawiać i przekonać się, czy rzeczywiście plotki o nim są prawdziwe. Jednak nie tylko o to chodziło. Ammian starał się być grzeczny, ale nie odpowiadał na żadne pytania dotyczące rzymskiej armii i jej możliwości. Teraz, kiedy armia perska zawracała, wiedział już, że tragedia Amidy uratowała wschodnie prowincje, może nawet jego rodziną, ukochaną Antiochię. Ale też był pełen nadziei i doceniał życie – może właśnie dlatego, że tak strasznie blisko śmierci się znalazł.

Po trzech tygodniach i przejściu przełęczy gór Zagros Ammian po raz pierwszy wszedł do właściwej Persji.

– Zabieram cię na mały wyjazd – rzekł książę Sardaszir. – Mój ojciec wie o tobie i spotkasz go w Ktezyfonie. Za kilka miesięcy. Czy jesteś na to gotowy?

– Jak nigdy.

Sardaszir oddzielił się od głównego orszaku królewskiego i wraz z wozami, na których były pomieszczenia do wypoczynku, oraz z eskortą ruszyli w stronę ruin Persepolis. Dotarli tam po tygodniu.

– Popatrz, co wy, ludzie z zachodu, nam uczyniliście – powiedział książę.

Ammian Marcellinus mógł zobaczyć ruiny imponującego miasta, które sześć wieków wcześniej było jednym z najwspanialszych na świecie. Zbyt dobrze znał historię, by zaprzeczyć, że Aleksander zdobył to miasto i być może podpalono je za jego wiedzą. W każdym razie zrobiła to jedna z pańienek lekkich obyczajów, które ciągnęły za armią – tak oficjalnie pisali historycy.

– Dlaczego mi to pokazujesz?

– Bo chcę, żebyś zrozumiał, że dla nas ten kraj jest środkiem świata. Jest cywilizacją sam dla siebie, a z zachodu nigdy nie przyszło nic dobrego. Jednak doceniam was, ludzi zachodu – rzekł Sardaszir. – Doszliście do Indii i zarówno tam, jak i tutaj w Persji Grecy rządzą aż trzysta lat po Aleksandrze.

To była zupełnie nowa wiedza dla Ammiana Marcellinusa. Nigdy o tym nie słyszał. Pragnął tej nowej wiedzy, pożądał jej. Wydawało się mu nieprawdopodobieństwem, aby Grecy żyli w Indiach.

– I pozostali tam Grekami?

– W pewnym sensie. W Indiach panuje wielka religia, która, z całym szacunkiem, jest głębsza niż nasza wiara w Arymana i Ormuzda, a wasi filozofowie mogliby się tam wiele nauczyć.

Ammian wyteżył pamięć. Pamiętał, że na zajęciach u Libaniosa w Antiochii czytali Diogenesa Laertiosa<sup>[56]</sup>. W części poświęconej Pyrrynowi z Elidy rzeczywiście było napisane, że spędził w Indiach dwadzieścia lat. Ale nie interesował się tym wówczas. Teraz ta wiedza wróciła, a Ammian przekonał się, jak wielką głębię filozoficzną ominął w czasie swoich studiów.

– Kto ją stworzył?

– Indyjski książę, który zwał się Przebudzonym. Jego filozofia jest trudna, ponieważ wymaga zrezygnowania z wielu złudzeń, jakimi sami siebie karmimy. Popatrz, ile tego jest. Jesteśmy przecież wrogami. Gdybyśmy spotkali się na polu bitwy, ja zabiłbym ciebie, a ty mnie, ponieważ nie mielibyśmy innego wyjścia. Nienawidzimy naszych wrogów, pożądamy ciała i bogactwa, ziemi i zaszczytów, lecz czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, po co to wszystko? – zadał pytanie Sardaszir.

Ammian musiał przyznać, że perski książę miał słuszość. Z tą różnicą, że on pożądał wiedzy, czyli czegoś niewymiernego.

– Przeprowadziłem cię tutaj, ponieważ z całego mojego życia ty jeden, Rzymianinie, choć jesteś moim wrogiem, możesz zrozumieć decyzję, jaką podjąłem.

– Cóż to za decyzja?

– W Ktezyfonie, przy tronie mojego ojca, króla królów, przebywa teraz poselstwo króla Indii, nowego wielkiego imperium, imieniem Samudragupta, który pokonał Kuszanów. Indie są potężne i mają wielką sztukę, kulturę, matematykę... Używają zupełnie nowych cyfr do zapisywania operacji matematycznych. My również pożyczylimy je od nich. Mój ojciec już się z tym pogodził, choć długo nie chciał dać mi swojej zgody. Zmagalem się kiedyś z tym wszystkim sam, nie chcę bowiem żyć na dworze po to, by po śmierci ojca walczyć z moimi braćmi lub obserwować, jak jeden zabija drugiego. Mam dość. Odchodzę. Pragnę, Rzymianinie, zedrzeć z siebie wszystkie moje złudzenia. W Indiach nałożę na siebie szaty mnicha. Zamierzam spędzić tam resztę życia. Chcę cię namówić do tego samego.

– Jestem zdumiony – odparł Ammian.

– Bądź zdumiony. To najlepsza propozycja, jaka spotka cię w życiu. To luksus: zostawić wszystkie troski, kłopoty, namiętności i iść w stronę wielkiej ciszy, do której wszyscy i tak trafimy.

– Muszę przyznać, że jesteś bardzo przekonujący, Sardaszirze, synu Szapura, króla Persów.

– Zastanów się więc, czy nie lepiej oddać wszystko i nie mając nic, osiągnąć wszystko. Ostateczne zrozumienie wszystkich najważniejszych pytań, które sobie zadawałeś, może być na wyciągnięcie ręki.

Zaskoczeniem było też to, że perski książę miał takie upodobania ascetyczne. Jednak Ammian nie wiedział nic o Indiach. Przez uprzejmość, a także przez wzgląd, że ten perski książę uratował mu życie w ostatnim momencie, musiał udzielić odpowiedzi.

\*

*KTEZYFON, POCZĄTEK 360 ROKU*

Po kilku miesiącach poznawania Persji Ammian zawitał do stolicy – królewskiego Ktezyfonu, pełnego wspaniałych świątyń i pałaców bogatych ludzi. Mógł zobaczyć to miasto jako jeden z niewielu obcych i kiedy wkraczał do niego południową bramą, dokładnie obejrzał od środka magazyny broni, wieże obronne i odległości między nimi. Gdyby przyszło kiedyś Rzymianom zdobywać to miasto – Ammian nie widział słabych punktów. Mury cyklopie i położenie nad rzeką dawały doskonałą ochronę. Oficer przyjrzał się załodze i ocenił ją na kilka tysięcy ludzi, gdyż miasto spełniało funkcję centralnego ośrodka pałacowego i było raczej stolicą królewską. Persowie mieli się czym pochwalić.

Ammian zamieszkał w komnatach Sardaszira, który ciągle nalegał na to, by Rzymianin odpowiedział mu w sprawie wspólnej wyprawy do Indii. On jednak zwlekał. W końcu nadszedł dzień, w którym miał spotkać króla Szapura II, szachinszacha, króla królów, brata Słońca i Księżyca, pana ziemi i wszystkiego, co na niej żyje.

Król siedział na wielkim pozłocanym tronie, u stóp miał niewolnika, który służył mu jako oparcie. Miał wspaniałe szaty z chińskiego jedwabiu, przetykane złotą nicią układającą się w kształt skrzydlatego anioła, którego Ammian zinterpretował jako symbol zaratusztriański. Zanim wszedł do sali tronowej, dokładnie go poinstruowano, jak ma się zachowywać – nie mówić do króla, chyba że on sam zada pytanie, iść zgiętym i paść na twarz przed majestatem. Ammian znajdował się w niewoli, zatem nie miał poczucia bezpieczeństwa. Nie było jednak świadków tego spotkania, bo wszyscy więci uprzednio do niewoli Rzymianie zostali straceni z rozkazu króla, który musiał dokonać na nich srogiej zemsty.

– Czy jesteś tym, który w Konstantynopolu uratował od śmierci naszego najmłodszego syna?

– Jestem tym, któremu bogowie pozwoli to uczynić – odparł Ammian, a jego odpowiedź w płynnym języku perskim natychmiast została skomentowana przez dostojników, satrapów i eunuchów przypatrujących się temu spotkaniu.

– A bogowie kazali ci walczyć przeciw nam w Amidzie?

– Jestem Rzymianinem i nie muszę się wstydzić tego, że walczyłem za mojego cesarza i mój kraj. Gdybym urodził się Persem, z pewnością walczyłbym dla ciebie, królu ponad wszystkich innych królów.

To była dumna odpowiedź.

– Możesz na nas spojrzeć – rzekł Szapur II.

Ammian podniósł wzrok na władcę. W pierwszej chwili nie umiał zdecydować, co widzi na tej twarzy, na której mieszały się powaga, majestat, przebiegłość, wyrafinowanie i okrucieństwo. Nie był już żółtodziobem, a przeżycia sprawiły, że potrafił odczytywać różne niuanse na ludzkich twarzach. Skupił się i dostrzegł też zaciekawienie. To była jego szansa.

– Patrzę, królu.

– I co widzisz? Czy jesteśmy inni od twojego cesarza, mniej odważni, mniej męscy, mniej potężni? Powiedz szczerze – zażądał z czarującym uśmiechem Szapur II.

– Kim jestem, by oceniać władców? – Ammian Marcellinus wzruszył ramionami. – Tylko wam bogowie dali tę możliwość.

Szapur II wstał z tronu. Był to postawny mężczyzna. Powoli schodził ze stopni i kierował się w stronę rzymskiego oficera. Obserwujący tę scenę dostojnicy dziwili się, dlaczego król królów chce mówić z czymś takim jak Rzymianin.

Gdy podszedł, Ammian złożył mu ukłon.

– Gdzie tak nauczyłeś się naszej mowy?

– W szkole w Antiochii. Brakowało nam tłumaczeń tekstów perskich, a ja zawsze miałem talent do języków obcych.

– To dość niezwykle – rzekł król. – Nie poznaliśmy żadnego Rzymianina, który mówiłby w naszym języku. Rzymianie gardzą Persją, uważają nas za dzicz, za barbarzyńców. Czy podzielasz ten pogląd?

– Zdecydowanie nie – odparł Ammian ze szczerością. – Twój syn, boski, wziął mnie na wycieczkę do ruin Persepolis. Zrobiło to na mnie wielkie wrażenie. Aleksander popełnił wielki błąd, pozwalając na zagładę miasta.

Ta odpowiedź spodobała się Szapuruwi II.

– Jesteś więc dziś naszym gościem na uczenie – oznajmił król.

Odwrócił się od Ammiana i skierował do szerokiego korytarza, gdzie stały wielkie kadzielnice, w których na żarzących się węglach spalały się mirra i kadzidło. Za nim podążyli dostojnicy perscy, wielmożowie, dowódcy armii, eunuchowie pełniący ważne obowiązki na dworze oraz – na samym końcu – księżę Sardaszir. Ten uśmiechnął się na widok swego jeńca. Podeszedł do niego.

– Moi bracia chcieli cię stracić – powiedział.

– Dlaczego?

– Bo Rzymianin mówiący po persku i widzący Ktezyfon jest dla nas śmiertelnie niebezpieczny. Ja dodam od siebie jeszcze, że jeśli ów Rzymianin odmówi mojej propozycji.

– No tak – powiedział Ammian. – Powiedziałem, że dam ci odpowiedź. Przykro mi, ale nie mogę. Podróż do Indii byłaby moim marzeniem, gdybym rzeczywiście był wolny i mógł decydować o sobie.

– A nie decydujesz?

Ammian pokręcił głową.

– Kto za ciebie decyduje?

– Ślepy los. Demiurg. Bogowie. Nazwij tę siłę, jak chcesz.

Sardaszirowi podobała się ta odpowiedź.

– Więc idź swoją drogą, Ammianie Marcellinusie – rzekł księżę. – Po uczenie jesteś wolny. Dostaniesz konia, zapas jedzenia na drogę i dwadzieścia sztuk złota.

– A ty?

– Ja podążę moją drogą. Moja i twoja droga rozdziela się teraz, przyjacielu, ale kiedyś zjedną się znów w wielkiej ciszy.

Rzymianin poszedł więc na uczenie perskiego króla i nie zawiódł się. Podano najlepsze baranie szaszłyki, owoce, sery oraz doskonałe wino. Ammian mógł cieszyć się perską poezją, zapalić zioło, od którego miał lekkie halucynacje. Noc minęła jak dzień, a nad ranem obudził się w objęciach dwóch nie całkiem ubranych młodych dziewczyn, które

po tym wszystkim jeszcze go rozweseliły. Niedawno tak bliski śmierci, teraz poczuł, że żyje naprawdę.

Opuścił Ktezyfon, stolicę Persów, wiosną 360 roku. Nawet nie przypuszczał, że wraca do innego świata.

## ROZDZIAŁ XVI

### *Negocjator*

#### *LUTETIA PARISIORUM, LUTY 360 ROKU*

W czasie gdy Ammian Marcellinus przebywał w perskiej niewoli, w imperium zaszły niespodziewane dla wszystkich aktorów na scenie wypadki, które zmąciły z trudem osiągnięty pokój po tak długim i nieszczęsnym okresie wojen domowych. Cezar Julian w ciągu roku sprawowania swego urzędu ogorzał, okrzepł politycznie, a przede wszystkim po błyskotliwym zwycięstwie nad Alemanami pod Argentorate kilka razy wyprawił się ze swoją armią z Galii za Ren, gdzie jego ludzie wzięli srogi rewanż za ostatnie najazdy. Ziemia Germanów spłynęła krwią. Na rzymską stronę Julian pognął niewolników, bydło, wyposażenie domów załadowane na wozy – wszystko po to, by ulżyć rzymsko-galijskiej ludności cierpiącej głód i niedostatki. Dbał o biednych, o prekariuszy oraz o kolonów, którzy nie byli w stanie płacić większych podatków. Cesarskiego doradcę, który chciał je podnieść, przegnał, co stało się przyczyną niesnasek z Konstancjuszem. Jednak Julian cały czas był lojalny. Słał raporty z tego, co robi, a szpiedzy Konstancjusza II zapewne także nieustannie donosili cesarzowi, co porabia w Galii młody cesarz.

Gdyby zapytać Juliana, jak do tego doszło, zapewne z prostej i wrodzonej mu przyzwoitości nie umiałby udzielić odpowiedzi. Czy była to nieuchronna część procesu, o którym Ammian Marcellinus opowiadał kiedyś w rozmowie z cesarzem i Ursycynem? Imperium było zbyt rozległe, odległe od siebie prowincje miały własne życie i marzenia, których nie sposób było już koordynować. A Julian starał się rządzić dobrze,



sprawiedliwie, nie kradnąc i nie pozwalając urzędnikom cesarskim na wyzysk. Zaskarbiał sobie ludzi, choć w dalszym ciągu ukrywał swoje prawdziwe poglądy religijne.

W roku 360 przysłyły jednak alarmujące wieści z Brytanii, gdzie tysiące Piktów przeszły mur Hadriana, pustosząc tamtejsze prowincje. Julian natychmiast wysłał tam wojsko i przywrócił porządek. Właśnie wtedy przybyli do kwatery Juliana w mieście Lutetia Parisiorum, położonego na wyspie u rozwidlenia rzeki Sekwany, wysłannicy cesarza z kategorycznym rozkazem, aby Julian oddał połowę swoich wojsk, które miały być relokowane na wschód, do Syrii. Celem była dalsza walka z Persami. Wojska te w większości należały do kategorii *limitanenses*. Żołnierze mieszkali w Galii i uważali ją za swoją ojczyznę, większość z nich nigdy nie była za Alpami w Rzymie, o Konstantynopolu już nawet nie mówiąc. Byli wściekli i czuli się oszukani. Relokacja oznaczała rozłączenie z rodziną na długie lata, być może na zawsze. Opowiadano sobie o losie dwóch legionów z Galii, przeniesionych karnie do Syrii, które zginęły w obronie Amidy.

– Nie możemy do tego dopuścić – powiadali sobie oficerowie wojsk w Galii.

Uknuli spisek, który rozszedł się wśród wzburzonych żołnierzy z szybkością błyskawicy. Mieli jedno wyjście: obwołać Juliana cesarzem. Tylko to dawało im szansę, że nie zostaną wysłani na wschód. W końcu plotki o spisku dotarły do cesarza. Julian był przerażony – nigdy tak się nie bał jak tamtej nocy. Oznaczało to tylko jedno: wojnę domową. Na tyle znał Konstancjusza II, by wiedzieć, że cesarz zareaguje z wrodzoną mu bezwzględnością. Odrzuci wszelkie próby kompromisu. Znow popłynie rzeka rzymskiej krwi, zbyt cennej, by ją przelewać w wojnie między Rzymianami.

Był luty 360 roku. Tego dnia setki żołnierzy zebrały się wokół *castellum*. Głośno krzyczeli, żeby cesarz do nich wyszedł, czego Julian, świadomy, że wywoła to wojnę domową, nie chciał uczynić.

– Wyjdź ku nam! Przemów! – podniosły się krzyki.

Nie mógł. Czuł, że nie jest w stanie, głos mu się łamał. W końcu jednak, przymuszony sytuacją, wyszedł do żołnierzy, a ci nałożyli mu diadem na głowę i podnieśli na tarczy. Na ten widok podniósł się potężny krzyk, którego polityczne echa miano szybko usłyszeć w Konstantynopolu.

\*

## *ANTIOCHIA, JESIEŃ 360 ROKU*

Wędrowiec przybył do miasta, którego nie mógł już nazwać swoim, ale wciąż miłował je szczerze. Antiochia wydawała się jeszcze wspanialsza niż kiedyś – powstawały nowe pałace, nowe ogrody. Wędrowiec zdawał się nie poznawać miasta. Skierował się od razu do dzielnicy rządowej. Tam zatrzymali go strażnicy, którym musiał długo i cierpliwie tłumaczyć, kim jest i skąd przybywa. W końcu zaprowadzono go do nowego naczelnika jazdy, *comes equitatorum*. Ten przyjął natręta – co dzień tacy się zjawiali. Wędrowiec był zaskoczony, że w tym miejscu, w budynku, który znał tak dobrze, nie ma Ursycyna. Zapytał o niego.

– Wódz Ursycyn został zdymisjonowany przez cesarza Konstancjusza Drugiego.

– Z jakiego powodu, jeśli można wiedzieć? – zapytał wędrowiec, jak gdyby powód odwołania tamtego miał dla niego jakieś znaczenie, co jeszcze bardziej zdziwiło dowódcę.

– Z powodu klęski pod Amidą w zeszłym roku – odrzekł. – Ja nazywam się Jowian i jestem jego zastępcą. A teraz, jeśli można wiedzieć, jak ty się nazywasz?

Komes otaksował wędrowca. Płaszcz miał dobry, choć znoszony, buty w stylu perskim. I mówił świetną greką.

– Nazywam się Ammian Marcellinus, oficer cesarza wysłany na wschód. Byłem w Amidzie i chcę zdać raport cesarzowi.

Na te słowa Jowian wstrzymał oddech. W tamtym czasie Ammian Marcellinus był już znany – nie jako historyk, którym się dopiero miał

stać, ale jako doskonały oficer, poliglota i doradca cesarski, który zaginął pod Amidą rok wcześniej i od czasu tej straszliwej bitwy nie dawał znaku życia. Jowian musiał jednak uzyskać pewność. Z natury był sceptykiem. Zdziwiło go, że być może wędrowiec nie jest jakimś tam przybłędą, ale rzeczywiście tym, za kogo się podaje. Przywołał więc kilku ludzi, którzy znali prawdziwego Ammiana Marcellinusa, a oni bardzo się ucieszyli na jego widok.

– W takim razie powiadomię cesarza. Witam z powrotem na dworze.

Wieść o przybyciu oficera z Amidy żywego wywołała spore poruszenie w pałacu cesarskim w Antiochii. Nikt nie spodziewał się kogoś takiego ujrzeć, i to w dodatku takiej rangi. Konstancjusz II, żyjący tym, co działo się od kilku miesięcy na zachodzie, przyjął Ammiana niezwłocznie.

Jakże się zdziwił oficer, gdy ujrzał cesarza! Konstancjusz II był zawsze wysokim i postawnym mężczyzną, a teraz owa wysokość jak gdyby skurczyła się pod wpływem trosk, jakich doznawał niemało. Włosy mu posiwiały, mimo że dopiero ukończył czterdziesty trzeci rok życia. Oczy podkrążone, cera blada i ziemista. Cesarzowi jak gdyby zaczęło ubywać sił.

– A więc żyjesz? – zapytał.

– Tak, *domine*.

– Słyszeliśmy tutaj, że wszyscy obrońcy Amidy zginęli.

– Oprócz jednego – odparł smutno Ammian.

– Jak do tego doszło?

Ammian opowiedział więc cesarzowi z wielką epicką pasją to wszystko, co wydarzyło się w Amidzie i czego stał się świadkiem. Można przecież uczynić z bohaterstwa nieznośny patos, można je ośmieszyć, ale Ammian był dokładny, precyzyjny, przytaczał fakty. Cesarz słuchał bez słowa o tym, jak osiem tysięcy jego żołnierzy wstrzymało na całe lato, na siedemdziesiąt trzy dni, stu pięćdziesiąt tysięcy armię perską Szapura II. Gdy umilkł, Konstancjusz westchnął.

– Zginęli za mnie, a ja nie mogłem wam pomóc.

– Nie czekaliśmy na pomoc. Wiedzieliśmy, że sił masz mało.

– Wasza ofiara uratowała Antiochię i prowincje, być może aż po Pergamon – rzekł cesarz. – Czy sądzisz, że w tym roku Persowie ruszą?

– Myślę, że nie. Widziałem, że ponieśli ogromne straty pod czarną twierdzą.

– Jak się uratowałeś? – zaciekawiał się nagle Konstancjusz II.

Ammian wiedział, że nie może pisać pary na temat tego, że Sardaszir był jeńcem cesarskim i został przez niego i Ursycyna wypuszczony. To byłoby zbyt niebezpieczne dla przyjaciela, bo Ammian zamierzał się o wodza upomnieć w stosownej chwili.

– Jak wiesz, *domine*, jestem specjalistą od języków. Mówię po persku biegle, i to uratowało mi życie. Persowie powiedzieli, że widzieli w życiu wiele dziwów, ale Rzymianina mówiącego w ich języku tak jak oni sami jeszcze nie

Na te słowa Konstancjusz II ożywił się. Klasnął w dłonie i kazał przynieść amforę najlepszego syryjskiego wina. Ammian był trochę zmieszany, ale od razu rzuciło mu się w oczy, że imperator nie wypuszczał właściwie kielicha z dłoni. Pił wino nalewane bezpośrednio z amfory, nie rozcieńczając go wodą.

– Pij, to rozkaz.

Ammian nie gardził takim trunkiem, ale zauważył, że cesarz wypił duszkiem cały puchar. Niedobrze. Tak nie da się skutecznie rządzić.

– Wiesz, dlaczego piję? – Konstancjusz zapytał trzeźwo, choć ów kielich nie był najpewniej pierwszym tego dnia.

– Nie śmiem pytać.

– Bo wszyscy mnie zdradzili. Wszyscy! Ursycyn mnie zdradził, nie odbijając Amidy. Zdradzają mnie moi żołnierze. I wyobraź sobie, że zdradził mnie ten, któremu chciałeś, żebym zaufał.

Ammian nie nadażał.

– Zdradził mnie Julian! Ty nic nie wiesz?

– Skąd miałbym wiedzieć? Dopiero co wróciłem z niewoli.

Cesarz usiadł na schodach dużego portyku pałacu w Antiochii, z widokiem na góry. O tej porze roku szare od deszczu.

– To się stało kilka miesięcy temu, w jakiejś dziurze zapomnianej przez Boga w Galii. Nie pamiętam nazwy nawet. Pisze mi w listach, że nie chciał tego, że żołnierze go przymusili, bo nie chcą, żeby nimi rządził jakiś starzec ze wschodu. Początkowo nie wierzyłem, kazałem przynieść mapy, żeby w ogóle znaleźć to miejsce, gdzie to się stało. Julian pisze, żebym zgodził się na jego tytuł augusta.

Konstancjusz II nigdy nie wyzbył się wrodzonej podejrzliwości. Spojrzał na Ammiana, oczekując, że ten powie coś w rodzaju *to dobry pomysł*. I Ammian z pewnością tak by doradził, gdyby wiedział, że ma zaufanie cesarza. Ale nie miał, ponieważ wrócił żywy ze świata martwych, dokonując w ten sposób rzeczy nadzwyczajnej, która nikomu się dotąd nie udała. Konstancjusz nigdy nie lubił ludzi wystających jakimś talentem ponad niego samego i nie ufał im. Ammian wyczuł intencje władcy.

– Cóż mógłbym doradzić?

– Nikt cię nie pytał o radę. Nie będzie negocjacji.

– Dlaczego? – Ammian zdobył się na odwagę. – Można uniknąć wojny domowej, rozlewu krwi. Wrogowie imperium czyhają, żeby nas zniszczyć. Trzeba zrobić wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby uniknąć wojny domowej!

Ostatnie zdanie powiedział z hardością, o jaką nie podejrzewałby się jeszcze tego ranka.

– Za takie słowa już tutaj wielu dało głowę – rzekł Konstancjusz.

Ammian spojrzał podpitemu, ale jeszcze nie pijanemu w sztok cesarzowi w oczy.

– Po zdobyciu Amidy zostałem zaprowadzony nad fosę, gdzie ścinano naszych. Jednego po drugim. Słyszałem z boku przybliżający się do mnie dźwięk miecza przecinającego kręgosłup i odgłos upadającego ciała i głowy. Nie boję się śmierci, *domine*. Już nie.

Te słowa zrobiły wrażenie na cesarzu.

– Co proponujesz?

– Skoro Julian pisze listy, to znaczy, że też chce uniknąć wojny. To was zbliża. Trzeba użyć polityki.

– Mam dość polityki. Chcę miecza! – odparł buńczucznie Konstancjusz.

– Na to przyjdzie czas, *domine*. Nakaż kancelarii, by odpowiedziała w twoim imieniu. Nakreśl warunki brzegowe, których spełnienie sprawi, że zaczniecie darzyć się minimalnym zaufaniem. To trudne, ale nie niemożliwe. I potrzebujesz negocjatora, kogoś komu zaufa i on, i ty, *domine*.

– Znasz kogoś takiego? – zapytał kpiąco cesarz.

– Tak. To ja.

Imperator popatrzył teraz całkiem trzeźwo. Pojawiła się szansa.

– Dobrze. Jutro dostaniesz z kancelarii wszelkie pełnomocnictwa. Pojedziesz do tego drania do Galii. Masz potem tutaj wrócić. I jeśli będzie trzeba, raz jeszcze pojechać. Zrobisz to?

– Tak, dla Rzymu – odparł Ammian.

Był jednym z ostatnich ludzi, którzy mogliby w tym czasie to powiedzieć. Imperium przypominało skład wszelkich dóbr, z którego każdy brał, co chciał. Ammian znów był użyteczny.

\*

Świadomość zbliżającej się nowej wojny domowej, która znów wstrząśnie podstawami imperium i jeszcze bardziej oddali od siebie cesarstwo wschodnie i zachodnie, sprawiała, że dla Ammiana, człowieka miłującego porządek, kulturę i cywilizację grecko-rzymską, nie było żadnej pilniejszej sprawy niż zapobieżenie jej. Zapobieganie wojnom jest znacznie tańsze niż zwyciężanie w nich. Ammian odpoczął kilka dni. Dostał z kancelarii dokumenty, upoważnienie i glejt cesarski na papiirusie. Z magazynu pobrał ubrania, wybrał kilka koni oraz obstawę kilku wojowników gockich z oddziałów pomocniczych.

Ruszył do portu. Goci narzekali w swoim języku na konieczność płynięcia po morzu, którego się bali, ale Ammian nie zdradził się zbyt wcześnie, że posługuje się ich językiem. Na razie mówił z ich dowódcą,

imieniem Gunnerud, po łacinie, którą tamten dość sprawnie się posługiwał. Z Antiochii czekała ich dwutygodniowa podróż do Konstantynopola. Tam Ammian zaopatrzył się w więcej suszonej żywności. Nie chciał informować pałacu i oficjalistów rządowych, żeby nie wzbudzać zainteresowania. Z Konstantynopola ruszył znanym sobie traktem przez miasta Hadrianopolis<sup>[57]</sup> i Phillipolis<sup>[58]</sup> do położonej w górach Serdyki. Chciał tam dotrzeć, zanim nadejdą jesienne słyty i przełęcz górska staną się nieprzejezdne. Na miejscu z uwagi na swoich ludzi zarządził tydzień odpoczynku.

Potem ruszyli przez góry. Jadąc przez nie, wspominał inny czas – kiedy zmierzał w stronę samotni ariańskiego biskupa Wulfila. Jego Goci upolowali w górach sarnę, którą jeden z nich, imieniem Gunimund, szybko oprowił. Piekli ją powoli na rożnie, polewając tym barbarzyńskim piwem, którego Ammian się brzydził. Wolał wino. Jednak mięso było wyborne. W pewnej chwili, gdy jedli, zapytał ich w języku gockim:

– Co porabia biskup Wulfila?

Goci popatrzyli po sobie, zdziwieni, ale nie do końca.

– W wielkim mieście Konstantyna ostrzegano mnie przed tobą – rzekł Gunnerud. – Mówisz podobno w wielu językach i jesteś mądrym człowiekiem.

Słyszając to, Ammian roześmiał się.

– A kto mówi o mnie takie rzeczy?

– Ludzie w wojsku i na dworze. Byłeś w czarnej twierdzy i przeżyłeś. Szacunek. A biskup Wulfila ma się dobrze. To wielki człowiek, może największy, jaki wyszedł z naszego ludu. Posiadał mądrość, umie czytać wasze księgi. Ja nie umiem – powiedział szczerze Gunnerud. – Skąd go znasz?

Ammian opowiedział o swojej przygodzie z Wulfilą. I dodał:

– Mam podobne jak wy zdanie o biskupie. To wielki człowiek.

Tym wyznaniem zaskarbił sobie ich sympatię. Zaciekawiał się odczuciami i celami gockich wojowników, którzy chętnie przychodzili na służbę Rzymu w wojskach *auxiliares*.

– Czego tak naprawdę chcą od Rzymu Goci?

Gunnerud popił ichniejszego piwa warzonego na prosie.

– Chcemy ziemi i możliwości osiedlenia się w granicach cesarstwa.

– Dlaczego? Przecież ziemie, które zajmujecie, były kiedyś rzymską prowincją Dacją, i są to ziemie żyzne.

– Ale nie jesteśmy obywatelami.

Ammian zrozumiał. Bycie obywatelem Rzymu miało swoje przywileje. Przede wszystkim – możliwość swobodnego podróżowania i osiedlania się w całym imperium. A w skrytości serca zastanawiał się, do czego doprowadzi ta polityka, w której już jedną czwartą armii stanowili Goci, Gepidowie, Herulowie, Rugiowie, Batawowie i inni barbarzyńcy.

\*

Wjechali do Mezji Górnej i po tygodniu dotarli do miasta Naissus, gdzie kilkadziesiąt lat wcześniej Klaudiusz II rozbił Gotów podczas ich wielkiego najazdu na prowincje bałkańskie imperium. Stamtąd droga była prostsza. W ciągu kolejnych dwóch tygodni Ammian dotarł do Sirmium nad Sawą, najważniejszego ośrodka administracyjnego prowincji iliryjskiej, stolicy prefektury. Tam rozmawiał z prefektem Lucjanem, pozostającym w lojalności wobec cesarza Konstancjusza. Zacerpnął informacji, że siły Juliana nie przekroczyły jeszcze przełęczy alpejskich. Pomyślał wówczas, że wciąż jest szansa na pokój.

Musieli odpocząć po trudach podróży. W Sirmium Goci mogli zmienić konie, bo te, na których przyjechali, nie nadawały się do dalszej drogi. Przez tydzień nabrali sił i ruszyli w stronę miasta Segestica<sup>[59]</sup>, do którego dotarli po kolejnych dwóch tygodniach. Kraj wokół był żyzny i piękny, co zrobiło na Gotach niesłychane wrażenie. Ammian chciał koniecznie przekroczyć Alpy przed zimą. Ale z uwagi na deszcze dopiero po kolejnych trzech tygodniach dotarli do Virunum<sup>[60]</sup> na wyżynie przedalpejskiej, stolicy małej prowincji Noricum Mediterraneum. Tam Ammian musiał podjąć decyzję, czy iść dalej, czy zatrzymać się na zimę. Wiedział bowiem,



że przekraczanie Alp w czasie śnieżyc jest niebezpieczne. Jednak waga jego misji nie pozwoliła mu na zbyt długie odpoczywanie. W Noricum białe wino udaje się wybornie, a on musiał dbać, żeby Goci nie schlali się zupełnie. Z ciężkim sercem ruszył w stronę Alp.

Pogoda dopisała. Wspaniałość gór, które przekraczali rzymskim szlakiem wiodącym w stronę miasta Iuvavum<sup>[61]</sup>, zrobiła na Ammianie wrażenie. Wędrowali kolejne dwa tygodnie i w Iuvavum nad rzeką postanowili odpocząć kilka dni. Potem droga była prosta. Po następnych dwóch tygodniach, kiedy nastąpiła już słota i padał śnieg z deszczem, Ammian ze swoimi ludźmi przybył do miasta Augusta Vendlicum<sup>[62]</sup>. Znajdowało się ono już pod kontrolą administracji Juliana i Ammian musiał wytłumaczyć, że jest posłem cesarza. Przyjęto go z dystansem, ale i z szacunkiem. Potem skierował się w stronę Renu. Przekraczając go, już wiedział, że dotrze na czas. W Lutetia Parisiorum, mieście, którego nazwy nie mógł zapamiętać Konstancjusz, Ammian zameldował się na początku grudnia 360 roku – w trzy miesiące przemierzył szmat drogi wiodącej przez wiele krain imperium.

\*

Z niedowierzaniem przyjęto Ammiana w kwaterze Juliana nad Sekwaną. Miesiące bezradnego oczekiwania na odpowiedź cesarza musiały być frustrujące. Ammian starał się zrozumieć tych ludzi. Chcieli mieć cesarza *stąd*, czyli z ich własnej ziemi, a nie z dalekiego Konstantynopola, który dla ludzi zachodu był czymś tak egzotycznym jak nieistniejący już Babilon czy Egipt. Ammian był zaintrygowany przed spotkaniem z Julianem, którego przecież dobrze znał. Nie widział przyjaciela szmat czasu i nie mógł być pewny jego obecnego stanu umysłu. Dobrze wiedział, że władza korumpuje.

Gdy tylko Julian dowiedział się, kto przyjechał, sam wyszedł, by go przywitać.

– Byłem pewny, żeś już w zaświatach, bracie, przyjacielu! – rzekł Julian, który wobec przyjaciół potrafił być wylewny.

– Tak, byłem tak blisko Styksu, że mogłem poczuć w nozdrzach zapach jego wód.

– Amida?

– Koszmarne oblężenie. Wszyscy zginęli. Oprócz mnie.

– Jak to się stało?

Ammian westchnął. Czuł się wyczerpany. Julian osobiście nalał mu wina i podał puchar. Wypił chciwie.

– Powierzyłeś mi, Julianie, największą tajemnicę swego życia. Jadąc tutaj przez wszystkie krainy imperium, nie słyszałem, abys to rozgłosił publicznie. Ja też ci powiem tajemnicę, która uratowała mi życie.

Opowiedział, jak przed laty razem z Ursycynem uratowali perskiego księcia. A potem nie pozwolili zabić jeńca.

– Oto jestem. Kiedyś nie wykonałem idiotycznego rozkazu cesarza, który, zgadza się, nie jest prostym człowiekiem, ale reprezentuje legalną władzę. Tytuł cezara otrzymałeś od niego.

Julian pokręcił głową i przerwał mu:

– Konstancjusz zamordował całą moją rodzinę. Stanowi zaprzeczenie chrześcijaństwa, którym kieruje jak chłop cepem. Wiesz, co uczynił w Mediolanie na synodzie biskupów? Wszedł na niego z mieczem w dłoni i wymógł decyzje sprzyjające arianom. Co ja mówię, bogowie! – uniósł się Julian. – Pokazuję ci, przyjacielu, komu służysz.

Ammian odpowiedział zdecydowanie:

– Wiem, komu służę. Konstancjusz jest podejrzliwy, okrutny, mściwy, nigdy nie wybacza, ale jest człowiekiem myślącym. On wie, że wojna domowa będzie początkiem zguby dla niego i dla ciebie. Przybywam z misją, by wspólnie wypracować rozwiązanie.

Julian też to rozumiał.

– Jestem więźniem moich ludzi, nie mogę się wycofać, bo oni nie akceptują już Konstancjusza – rzekł Julian. – Nie miałem wyboru. Przerazała mnie perspektywa buntu, ale imperator w ogóle nie chciał mnie

słuchać. Jedyną polityką, jaką uznawał, to ogołocenie mieszkańców Galii i Brytanii z resztek godności i pieniędzy.

– Prowadzi wojnę z Persją – zauważył Ammian.

– Tak, prowadzi ją. Ale niech nie odbywa się to kosztem zachodu. Ci ludzie, Ammianie, wycierpieli się strasznie podczas najazdów germańskich. Czarę goryczy przelał rozkaz o relokowaniu części mojej armii na wschód. A ludzie już wiedzieli, co stało się w Amidzie, gdzie zginęły dwa legiony galijskie.

– Wiem, widziałem. Wspaniali żołnierze.

– Musisz to wytłumaczyć cesarowi. Nie wątpię, że to zrobisz, ale czy on cię wysłucha, to już zupełnie inny problem – powiedział Julian. – Daj mi teraz czas, abym napisał dla cezara odpowiedź.

\*

Ammian został w Lutetia Parisiorum kilka dni. Zorientował się, że mieszkańcy i żołnierze traktowali Juliana jako swojego władcę, natomiast źle wyrażali się o Konstancjuszu. Zastanawiał się, czy rzeczywiście uda się powstrzymać wojnę domową, w co mimo wszystko wierzył.

Po kilku dniach wezwał go Julian.

– Czy znasz treść listu cesarza?

– Nie.

– Konstancjusz pisze mi, że warunkiem *sine qua non*<sup>[63]</sup> ułożenia relacji między nami jest złożenie przeze mnie tytułu augusta. Mówiłem ci już, że nie ja tego chciałem, ale moi żołnierze i ludność. Nie mogę ich teraz zawieść. Nie mogę złożyć godności augusta, która została mi dana przez aklamację ludu i żołnierzy w tym mieście.

Julian umilkł. Widać było po tym człowieku, jak wiele kosztuje go władza, której nie pragnął. Ammian go rozumiał, ale zaczął już dostrzegać imposybilizm swojej misji. Konstancjusz liczył, że jemu – zaufanemu obydwu cesarzy – uda się nakłonić Juliana do zmiany stanowiska,

ustąpienia, ale Ammian już wiedział, że negocjacje nic nie dadzą, bo obydwaj cesarze są zakładnikami światów, z których się wywodzą, i pozycji, jaką posiadają.

– Przygotowałem dla cesarza moją odpowiedź, w której tłumaczę raz jeszcze, bardzo obszernie, jak do tego doszło. Moja propozycja kompromisu jest następująca: cesarz uzna mój tytuł augusta w Galii, Brytanii i w Hiszpanii. Mogę zwać się w oficjalnej tytulaturze Augustem Herkulijskim lub Apollińskim, a on tym jedynym panem, Augustem Jowijskim, zawsze zwycięskim. Będę płacił cesarzowi trybut z zachodu w postaci trzystu tysięcy kwadrantalów<sup>[64]</sup> zboża w naturze, ale wtedy, gdy zostaną zaspokojone potrzeby ludności. Pod moimi rządami nikt nie może chodzić głodny. Biorę na siebie obronę zachodu, zarówno Brytanii przed Piktami z północy, jak i Galii przed Germanami. Wyślę też żołnierzy na pomoc w wojnie z Persją. Ale podstawą naszego układu jest uznanie mnie za współrządcę imperium, nie zaś moja rezygnacja.

– Rozumiem – odparł Ammian. – Dostanę to na piśmie?

– Tak, moja kancelaria już przygotowuje pismo w odpowiednim formacie.

Ammian westchnął.

– Cesarz się postarzał wewnątrz. Nie masz pojęcia, Julianie, jak straszna jest wojna z Persją, której poświęca całą uwagę. Walka z tobą...

Julian jednak przerwał Ammianowi:

– Nie będzie jej, jeśli przystanie na moją propozycję. Jest szczerą. Na nic więcej nie mogę sobie pozwolić. Każdy inny uzurpator będzie dążył tylko do swoich celów dynastycznych. Ja tego nie chcę.

Ammian zrozumiał, że kryła się pod tym rozpacz. Gdy tylko otrzymał pismo, ruszył ze swoimi Gotami w drogę powrotną, nie zważając na zimę. Chciał jechać tym samym szlakiem, ale powódź w górnym biegu Renu wstrzymała go na miesiąc. Dopiero w marcu 361 roku przeszedł bezpiecznie Alpy i skierował się z powrotem do prowincji iliryjskich. W Sirmium nad Sawą musiał zrobić odpoczynek. Komes Lucjan mówił mu, że pierwsze oddziały cesarza przekroczyły cieśniny i idą w stronę

Serdyki, ale nie jest to całość sił, tylko około piętnastu tysięcy ludzi. Wojska znad Dunaju dadzą mu kolejne dwadzieścia tysięcy. Ammian zrozumiał, że Konstancjusz postanowił jednak przygotować się do wojny domowej. Po kilku dniach odpoczynku ruszył do Konstantynopola, gdzie zawitał w połowie kwietnia 361 roku. Tam okazało się, że cesarz wciąż jest na wschodzie, w Antiochii. Zatem Konstancjusz czekał na jego przybycie. Ammian z ciężkim sercem wsiadł na statek płynący do największego rzymskiego miasta w Syrii.

\*

### *ANTIOCHIA, POCZĄTEK MAJA 361 ROKU*

Konstancjusz z wściekłością rzucił papirusem Juliana o podłogę w pałacu cesarskim.

– Niech to szlag! Niech go trafią wszystkie demony! – krzyknął. – On śmie mi stawiać warunki. On! Powinienem był go stracić wraz z Gallusem, gdy była okazja!

Ale Ammian wiedział, że taka będzie pierwsza reakcja cesarza.

– Co teraz, *domine*?

– Wojna domowa! Dobra wojna, Ammianie Marcellinusie – wrzeszczał cesarz. – Wojna brata przeciw bratu, sąsiada przeciw sąsiadowi, taka, w której znamy tego, kogo zabijamy!

Tyle z negocjacji.

Jednak przez całe lato nic się nie działo. Cesarz bardziej niż Julianem martwił się Persami, którzy znów ruszyli na wschodzie, ale tym razem z mniejszymi siłami. Zatrzymali się pod twierdzą Nisbis. Zresztą król Armenii wystąpił przeciwko Persom i w pewien sposób odciążył umęczonych Rzymian. Pod koniec lata przyszła jednak tragiczna wiadomość z zachodu – Julian, nie mogąc doczekać się odpowiedzi, przekroczył przełęcz i zajął pod koniec sierpnia 361 roku Sirmium nad

Sawą. I do tego bez walki – nagle, z zaskoczenia przyplłynął na statkach Dunajem i skręcił na Sawę. Nowa wojna domowa stała się faktem.

Ammian w międzyczasie dostał awans i został dowódcą zwiadowców armii wschodu. Był więc zaufanym i poważanym oficerem. Obserwował Konstancjusza II, który ruszał na wojnę domową z wielkim trudem – wydawał się słaby, rozkojarzony, jak gdyby nie do końca był sobą. W mieście Tars, znanym ze związków z największym z apostołów chrześcijańskich – Pawłem, cesarz miał atak febry. Lekarze i oficerowie doradzili mu odpoczynek i rzeczywiście Konstancjusz II położył się do łóżka na tydzień. Gorączka opadła dzięki ciepłym okładom i inhalacjom. Wtedy cesarz ruszył dalej. Drugi atak choroby, dużo cięższy, nastąpił w mieście Mobsukrene w Cylicji, kilka dni drogi od Tarsu. Ammian był świadkiem, jak jadący na koniu cesarz po prostu nagle się z niego zsunął. Krzyki strażników wstrzymały kolumnę. Konstancjusza zaniesiono do pobliskiego pałacu miejscowego winiarza. Tam przez trzy doby gorączkował. Kolejnego dnia jednak odzyskał świadomość, ale był zbyt słaby, aby wstać z łóżka. Przywołał ministrów i kazał też przyjść Ammianowi.

– Nie będzie wojny domowej – wyszeptał cesarz. – Po mojej śmierci waszym imperatorem zostanie Julian. Modliłem się do Boga, aby nie było wojny domowej. I jak widać, zostałem wysłuchany.

Ostatnie słowa wypowiedział z uśmiechem na ustach, choć wszyscy widzieli jego przeraźliwą bladość i wycieńczenie chorobą. Skinął dłonią na Ammiana. Oficer podszedł do umierającego cesarza na oczach wszystkich. Konstancjusz ściągnął z dłoni złoty sygnet, z greckimi literami P i X. Po chwili żołnierz-historyk poznał, że był to sygnet Konstantyna Wielkiego.

– Dasz to osobiście Julianowi – wyszeptał cesarz.

– Rozkaz, *domine*.

– A teraz przywołajcie biskupa Euozjosa.

Był to ariański biskup Antiochii. Cesarz przyjął z jego rąk chrzest – tak jak ojciec, na łożu śmierci. Uspokoił się. Bardzo chciało mu się pić, więc

napojono go rozcieńczonym winem. Potem spokojnie zmarł. Od tej chwili jedynym panem imperium miał być Julian.

Ammian nie czekał na pogrzeb cesarza, tylko z kilkudziesięcioma żołnierzami ruszył na zachód z wiadomością najwyższej wagi.

## ROZDZIAŁ XVII

### *Kwestia honoru*

#### *SIRMIUM NAD SAWĄ, PÓŻNA JESIEŃ 361 ROKU*

Julian ruszył z wojskami zachodnimi wcześniej, aby jeszcze przed zimą przejść Rodopy i zaatakować Konstantynopol, zanim Konstancjusz II sprowadzi całą armię ze wschodu. Korpus piechoty szedł wciąż wzdłuż Dunaju, ale Julian zajął miasto wcześniej, płynąc okrętami w dół rzeki z częścią wojsk. Nie wiedział o niczym, co wydarzyło się na wschodzie. Po zdobyciu miasta zatrzymał się w pałacu cesarskim w Sirmium wybudowanym jeszcze przez Dioklecjana przed ponad sześćdziesięciu laty. Od tamtej pory cesarze rezydowali tutaj, gdy obowiązki zmuszały ich do pilnowania granicy naddunajskiej. Pod wieczór, gdy zaczynał znów śnieg z deszczem – wszak był koniec listopada – doniesiono mu, że ze wschodu od Konstancjusza przybył oficer Ammian Marcellinus.

Julian jadł właśnie wieczerzę, złożoną z kaszy i gotowanych warzyw, w towarzystwie swojego lekarza i przyjaciela Orybazjusza. Przerwał posiłek, rozumiejąc, że Ammian wiezie wiadomość od Konstancjusza, na którą tak czekał. Kazał wprowadzić posłańca. Ujrzał Ammiana zmęczonego ponad miarę, gdyż ostatni rok ten niez mordowany człek spędził w podróży, ubłoconego, zmarzniętego i trzymającego w dużej, szczelnie zamkniętej tubie z kości jakąś ważną korespondencję.

– Ammianie, na wszystkich bogów! – Julian podszedł i uściskał go jak przyjaciela, po czym spojrzał mu w oczy. – Co się stało?

– Witaj, najdostojniejszy auguście. Jesteś panem całego imperium – rzekł Ammian po łacinie. Dla podkreślenia doniosłości tego zdania uklęknął. I podał przyjacielowi tubę.



Julian stał przez chwilę jak zamurowany. Orybazjusz wstał od stołu, a w międzyczasie weszło wielu oficerów z legii galijskich. Ludzie wciskali się z korytarza do środka, bo byli tak ciekawi wieści ze wschodu. Znali Ammiana jako oficera i posłańca Konstancjusza. Drżącą ręką Julian wyjął z tuby złoty sygnet Konstancjusza i przygotowany przez kancelarię cesarską dokument.

– Powiedz mi, przyjacielu, co to znaczy?! – krzyknął. Jego umysł pojmował, co się wydarzyło, ale serce jeszcze odrzucało tę oczywistość.

Gdy izba się zapełniła, Ammian wstał z kolan i rzekł:

– Cesarz Konstancjusz Drugi zmarł śmiercią naturalną na febrę miesiąc temu koło Tarsu. Jego ciało najprawdopodobniej zostało już przewiezione na statku do Konstantynopola. Ostatnią wolą cesarza, wyrażoną przy mnie oraz przy dostojnikach dworu, było, abyś przejął po nim najwyższą władzę. Jesteś cesarzem, Julianie, całkowicie legalnie, i twoja władza jest niepodważalna. Nie będzie żadnej wojny domowej.

Izbą wstrząsnął ryk oficerów. Ludzie rzucali się sobie w objęcia, ponieważ wojna domowa była dla rzymskich żołnierzy czymś zdecydowanie innym niż wojny z wrogiem zewnętrznym, jak Persowie czy germańscy barbarzyńcy. Orybazjusz usiadł i zapłakał ze szczęścia. Tylko Julian stał, wpatrując się z niedowierzaniem w sygnet należący niegdyś do Konstantyna Wielkiego. Znów odezwał się nawyk z dzieciństwa – i teraz, w chwili najwyższego zdenerwowania, mrużył oczy. Jednak nikt tego nie widział. On był panem wszystkich i powierzono mu najwyższe dziedzictwo, sięgające korzeniami aż do Oktawiana Augusta.

– Biorę wszystkich bogów na świadków, żem nie chciał tej śmierci – oznajmił. – Ale niech ich wola się stanie.

\*

Wieść o śmierci Konstancjusza II szybko się rozchodziła. W mieście Naissus, stolicy Mezji Górnej, przywitano Juliana i jego wojska, maszerujące na wschód, serdecznie i wylewnie mimo srogiej zimy. Właśnie w tym mieście postanowił dokonać niezwykłego gestu. Ammian

dowiedział się o tym dość przypadkowo. Wszyscy zapamiętali, że na wiosnę 361 roku cesarz Julian wziął udział w liturgii ku czci zmartwychwstałego Chrystusa. Ammian – jako posłaniec, który przyniósł najszcześniejszą wiadomość ze wszystkich – zyskał szczególną pozycję na nowo formującym się dworze. W Naissus zagadnął go przyjaciel cesarza, lekarz Orybazjusz. Był to człowiek światły, który zwiedził kawał świata i – co najważniejsze – był lekarzem o znaczącym dorobku naukowym.

– Wiem od cesarza, żeś jest z nami. – Orybazjusz zaczepił Ammiana, przechodzącego z prefektury na kwaterę wyznaczoną przez cesarza.

– Cóż to znaczy *z nami*, mój panie? Nie znamy się, nigdy się wcześniej nie spotkaliśmy, a ja nie zwykłem wywnętrzać się ludziom, których nie znam.

– Spokojnie – rzekł lekarz cesarza. – Nie mam zamiaru wciągać cię w nic niestosownego. Przyjaźnię się z Julianem od czasu jego studiów w Atenach. Uczyłem w Akademii Platońskiej anatomii i podstaw medycyny jako przedmiotu ogólnego. Pozwól, że zaproszę cię na wino.

– W Naissus nie ma dobrego wina. A jeśli chcesz rozmawiać o cesarzu, nie godzi mi się tego słuchać.

Orybazjusz uśmiechnął się. Musiał pokonać nieufność Ammiana, która ze względu na ostatnie wypadki polityczne nie była wcale na wyrost.

– Nie mam złych zamiarów. Jeśli nie chcesz iść do gospody, przejdźmy się nad brzeg Sawy. Mam ci coś ważnego do przekazania. Cesarz chce wiedzieć, co o tym sądzisz. On ma dobre zdanie o tobie, a najbardziej za to, że będąc po stronie Konstancjusza, niech bogowie karmią go miodem, nigdy nie zdradziłeś jego sekretu.

Ammian stał przez moment jak skamieniały. Ale zgodził się pójść nad rzekę. Przynajmniej tam była szansa, że nie zostaną podsłuchani.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał zaskoczony.

– Bo to ja podsunąłem mu tę myśl – odparł Orybazjusz. – Chcieliśmy cię sprawdzić. Nie miej nam tego za złe. Julian wiedział, że wyznajesz bogów, tak jak ja i tak jak cesarz.

– Chwileczkę, ja jestem mitraitą – rzekł Ammian. – Taka była wiara mojego ojca i taka jest moja.

– Ale to bardzo pięknie! – powiedział Orybazjusz. – Mitra jest utożsamiony ze Słońcem Niezwyciężonym. A to bóstwo jest ukochanym Apollinem cesarza. Jesteśmy po tej samej stronie. Pozwól, że powiem ci coś ważnego. Staniesz się świadkiem, tutaj, w Naissus, tauroktonii<sup>[65]</sup> ku czci Konstancjusza. Cesarz Julian zamierza złożyć bogom prawdziwą ofiarę, jak czynili nasi przodkowie, gdy Rzym zwyciężał.

Ammian na chwilę zaniemówił z wrażenia, ale potem zaczął dopytywać:

– Czy naprawdę chcecie to zrobić? Przecież to będzie szok dla chrześcijan, którzy przyzwyczaili się już do tego, że to oni rządzą.

– To przestaną.

Ammian pokręcił głową.

– Jestem całym sercem za uczczeniem bogów, ale ostrożnie! Kiedyś spotkałem na granicy dunajskiej człowieka imieniem Marcin. Był oficerem armii i śmiał na granicy źle wyrażać się o ariańskim biskupie Wulfili, z którym jechałem na misję do Gotów. Chrześcijanie są obecni w armii i na wszystkich stanowiskach państwowych.

– Ale nie w senacie w Rzymie. Tam my jesteśmy górą.

– Senat nic nie znaczy. Od dawna serce Rzymu nie bije w rzymskiej kurii, tylko na granicach – tam, gdzie jest wojsko i polityka czyniona przez wojsko. Julian nie jest tutaj wyjątkiem. On też został cesarzem dzięki wojsku!

– Zapewniam cię, że w armii zachodu jest więcej nas niż chrześcijan. To dlatego rządy Konstancjusza nie cieszyły się tam żadną miłością ani oddaniem. I jak oni nas zabawnie nazywają! Jesteśmy dla nich *poganami*, od pastuchów na pastwiskach, cóż za absurd! My, którzyśmy zostali wierni rzymskiej tradycji jak nikt inny. Cesarz cię jeszcze zaskoczy – wyznał Orybazjusz. – W Konstantynopolu ma zamiar zwołać spotkanie biskupów i oświadczyć im to.

– Tak po prostu? Że wracają bogowie?

– Tak po prostu – rzekł lekarz. – To sprawa honoru. Julian nie ma zamiaru się dłużej ukrywać ze swoją miłością do bogów i rzymskiej tradycji. Chrześcijaństwo to rak, który od środka niszczy państwo, wciągając je w spory religijne, jakich nie mieliśmy, gdyśmy oddawali cześć bogom. Trzeba je wyrwać z korzeniami!

– Dioklecjan próbował to zrobić! – zachnął się Ammian, który chrześcijaninem nie był, ale sprzeciwiał się prześladowaniom. – I Galeriusz! I Decjusz przed nimi! Nie dali rady. Im bardziej będziecie prześladować chrześcijan, tym będą silniejsi.

Orybazjusz pogłodził się po swojej brodzie, po której wszak można poznać filozofa. Ammian teraz skojarzył, że Julian też nosił brodę – w przeciwieństwie do poprzednich cesarzy, którzy gładko się golili. To też był zewnętrzny znak tego, że na tronie zasiadł filozof. I to prawdopodobnie dobry, choć Ammian nie miał tego jak sprawdzić.

– Nie będzie żadnych prześladowań, tylko miękkie działania. Chcemy przede wszystkim wzmocnić wiarę w bogów przez dokonanie głębokich reform. Cesarz chce cię zaprosić do gremium, w którym będziemy omawiali powrót naszych wielkich bogów i ich kultu.

– To dla mnie zaszczyt.

Lekarz cesarza, pełniący zarazem funkcję jego doradcy, skłonił się oficerowi. Dostał to, czego chciał. Ammian spoglądał na wody rzeki Sawy i myślał o tym, że wkrótce z nurtem tej rzeki i wielu innych w imperium znów popłyną trupy.

Nazajutrz, wobec zebranych żołnierzy i mieszkańców miasta, na specjalnie wzniesionym ołtarzu Julian po raz pierwszy wystąpił w białej szacie arcykapłana, którym oficjalnie był. Nosił tytuł *pontifex maximus* – wraz z przyjęciem tytułu augusta stał się najwyższym kapłanem rzymskiej religii. Wszyscy patrzyli na ofiarę, lecz Ammian podejrzewał, że wśród zgromadzonych byli też chrześcijanie, którzy nie wiedzieli, co się święci. Zwierzę było piękne i czyste – czteroletni byk, specjalnie wybrany przez Orybazjusza. Lekarz naostrzył nóż ofiarny

i wyjaśnił cesarzowi, jak należy ciąć, aby nie sprawić zwierzęciu niepotrzebnego cierpienia.

To była chwila. Krew byka bluznęła na Juliana i zabarwiła jego białą szatę. Zakrwawiony cesarz krzyknął do zebranych:

– Ofiarę tę składam ku czci i pamięci zmarłego imperatora Konstancjusza Drugiego, oby bogowie karmili go miodem!

Poganie zebrani na placu krzyknęli: *Niech tak się stanie!*, ale chrześcijańscy mieszkańcy zaczęli się wycofywać, jak gdyby raził ich piorun. Julian publicznie wyznał swoją największą tajemnicę. Był wychowany jako chrześcijanin, ale oto teraz wyrzekał się tej wiary. Ta wiadomość miała roznieść się po cesarstwie z szybkością błyskawicy.

\*

## *KONSTANTYNOPOL, ŚWIĘTO EPIFANII – STYCZEŃ 362 ROKU*

Julian wszedł do stolicy w towarzystwie nielicznych wojsk, aby senat w Nowym Rzymie nie czuł się urażony. Był to nic nieznaczący gest, bo większość sił stacjonowała dwa, może trzy dni drogi od miasta. Ammian niezmiernie się interesował tym, w jaki sposób mieszkańcy stolicy – w większości chrześcijanie – przyjmą wieść o tym, że w Naissus Julian złożył krwawą ofiarę z byka za zmarłego Konstancjusza. Zaskoczyło go, że w stolicy nie dawano temu wiary. Zbyt żywa była tutaj pamięć o Julianie jako o pobożnym uczestniku liturgii w kościołach Konstantynopola. Pamiętano, jak śpiewał psalmy i że był na każdej ważnej mszy, i że modlił się do Boga przy trumnie świętego cesarza Konstantyna, założyciela miasta. Mógł ich jednak zmylić pierwszy ruch nowego cesarza w stolicy – w mieście ogłoszono tydzień żałoby, odwołano wszystkie wesołe zabawy, a księża zarządzili surowy post. Julian przybrał czarne żałobne szaty i oddał cześć zmarłemu Konstancjuszowi w kościele Świętych Apostołów, gdzie cesarz syn spoczął obok cesarza ojca. Panował

samodzielnie przez dwadzieścia trzy lata, a to przecież epoka. Julian wziął też udział w mszy żałobnej za zmarłego.

Jednak kilka dni później, gdy skończyła się żałoba, cesarz zwołał wszystkich okolicznych biskupów na spotkanie do pałacu cesarskiego. Dostojników Kościoła przyjęto z godnością. Julian przyszedł lekko spóźniony, po czym przemówił do zebranych.

– *Gdy byłem dzieckiem, mówiłem jak dziecko, czułem jak dziecko, myślałem jak dziecko. Kiedy zaś stałem się mężem, wyzbyłem się tego, co dziecięce*<sup>[66]</sup>. Tak wasz apostoł Paweł pisał w hymnie do miłości i myślę, szanowni ojcowie, że miał rację. Każdy człowiek, gdy dorośnie i stanie się mężem, musi dokonać wyboru.

Biskupi popatrzyli po sobie. To nie zapowiadało się na mowę pobożnego ucznia.

– Znam was dobrze, znam waszą doktrynę i waszego Boga, którego wzięliście od ludu Izraela, choć teraz wypieracie się jakichkolwiek związków z Żydami. Jezus był Żydem i wierzę, że na pewno był dobrym człowiekiem. Nie wątpię, że żył między nami przed trzystu laty. Powtarzam: uznaję go za dobrego człowieka, lecz Jezus Chrystus nie jest moim bogiem.

Szmer przeszedł po zebranych. Nie mogli uwierzyć w to, co właśnie słyszały ich uszy.

– Winien wam jestem prawdę. Przez wiele lat nosiłem w sobie ranę, która nie została zaleczona. Byłem wtedy dzieckiem, w roku śmierci cesarza Konstantyna, oby bogowie karmili go miodem, gdy tym miastem wstrząsnęła zbrodnia. Dziś wiem nazbyt dobrze, że z woli Konstancjusza, waszego cesarza, z którym się spieraliście, ale który był waszej wiary, oraz woli jego braci wymordowano całą rodzinę Konstantyna. Mojego ojca, moją matkę, moje siostry i kuzynów. Mnie ocalił rzymski oficer i ówczesny ariański biskup Euzebiusz z Nikomedii, tak jak i mojego brata. Zmuszono mnie do życia, którego nie chciałem. Byłem zewnątrz z wami, usta moje śpiewały wasze psalmy, ale serce należało do wielkich bogów Rzymu i Grecji.

Nagle przerwał mu patriarcha Konstantynopola Eudoksjusz, który znał Juliana, ponieważ przedtem przez wiele lat był biskupem Antiochii.

– Czy jesteś chrześcijaninem? Powiedz nam! Czy wierzysz w Jezusa Chrystusa, Syna Bożego Jednorodzonego, który jest z Ojca i Ducha Świętego?

Na to odezwał się ariański biskup Auksencjusz, znajomy Ammiana:

– Tylko nie z Ojca, Eudoksjuszu. Jezus był Synem, ale nie jednorodnym, lecz stworzonym przez Ojca!

– Ariański kłamca!!! – krzyknęli księża przybyli z Eudoksjuszem.

– Łajdak, pijak i rozpustnik! – Arianie nie pozostawali dłużni.

Zaraz też biskupi ariańscy i katoliccy zaczęli obrzucać się wyzwiskami, parować poglądy przeciwników. Kłócili się o pisma natchnione, dowodząc, że Jezus miał pneumę albo jej nie miał; że był stworzony lub też stworzony niejednoznacznie jednorodnie. Czy Duch Święty jest tchnieniem Ojca i Syna, czy tylko Ojca? I czy w ogóle jest, bo według arian zrobiło się trzech bogów, a dla formy powinien być jeden, niepodzielny i wieczny Bóg Ojciec, który upodobał sobie Syna w człowieku doskonałym Jezusie Chrystusie i wybrał go do poniesienia ofiary zbawczej za wszystkich ludzi. Na to katolicy rzekli, że Jezus jako logos od zawsze był w Ojcu i z niego się wyłonił w postaci ludzkiej, wchodząc do łona najświętszej dziewicy Marii. Słowo przeciw słowu, pięść wobec wyciągniętej pięści! Jednak rozpałała biskupów kwestia Ducha Świętego, bo arianie w ogóle zaprzeczali, by pochodził od Ojca i Syna, lecz ich zdaniem był istotą doradczą, duchem zesłanym przez Boga, by pomóc biednym, umęczonym ludziom. Katolicy twardo stali przy swoim – Duch Święty pochodzi od Ojca i Syna i przyszedł w dzień Pięćdziesiątnicy. Arianie zarzucili im kłamstwo i powstał taki tumult, że nikt już nie słyszał, co kto mówił lub wołał.

Ammian początkowo czuł się zniesmaczony zachowaniem biskupów i księży, lecz teraz zrozumiał, że arcybiskup i pasterze Kościoła Bożego ukradli Julianowi przedstawienie. To on miał być tutaj najważniejszy. Spojrzał na przyjaciela, który usiadł na krześle i cierpliwie patrzył na tę

żenującą awanturę. Po kwadransie biskupom skończyły się argumenty, wylali już na swoich przeciwników w wierze cały jad, groźby i kpiny. Ucichli. Dopiero wtedy zrozumieli, że Julian wszystkiego wysłuchał. Nie przerwał im, nie łajał, nie bił, nie użył miecza, choć mógł to zrobić.

– Skończyliście, ojcowie? – zapytał Julian. – Bo gdyby Jezus was słyszał, zapłakałby nad wami. Pytaliście, w co wierzę. Czy jestem chrześcijaninem. Czy chcecie to wiedzieć?

– Tak, *domine*, chcemy – powiedział arcybiskup Konstantynopola Eudoksjusz.

– Proszę bardzo. Nie, nie jestem chrześcijaninem – odparł spokojnie Julian. – Jestem wam bardzo wdzięczny, czcigodni ojcowie, za naukę, jaką dziś mi daliście. W co wierzę? Wierzę w wielkich i potężnych niegdyś bogów, którzy doprowadzili republikę, a potem Cesarstwo Rzymskie na sam szczyt chwały. Chcę, aby Rzym, ten stary nad Tybrem i ten nowy tutaj, nad Bosforem, stały się światłością i potęgą, która przyciągnie inne ludy. Będę publicznie wielbił bogów, którzy stworzyli Rzym i cywilizację, którą wy gardzicie.

To zabrzmiało jak nadciągająca burza. Biskupi to zrozumieli.

– Jak chcesz to osiągnąć? – zapytał drwiąco arcybiskup Konstantynopola.

– Ja wiem, jak to zrobić – odparł Julian. – Po tym, co dziś tutaj wyczynialiście, wiem, że mam rację. Ale nie bójcie się. Nie będzie prześladowań. Nie będzie krwi, bo w męczeństwie nikt wam nie dorówna.

– Zamierzasz pokonać Kościół Boży? – zapytał jeden z księży.

– Ja? Jestem za słaby – rzekł Julian. – Wy sami się unieważnicie. Ja wam tylko trochę w tym pomogę, moi mili.

I wyszedł, pozostawiając osłupiałych z wrażenia biskupów chrześcijańskich. Przywykli do Konstancjusza, który im groził i kłócił się z nimi, ale był swój. Wychowali się na opowieściach o prześladowaniach i męczeństwie. Byli gotowi oddać życie za Kościół. A tutaj takie *dictum!* Julian ich wyśmiał. Taka miała być jego taktyka – pokazać wszystkim mieszkańcom imperium, jak śmieszni są biskupi i jakie naprawdę jest chrześcijaństwo.



Ammian wyszedł tuż za nim. Podszedł do cesarza, a ten uściskał go jak brata. Naturalnie, bez wyższości i czołobitności.

– Byłem pewien obaw, jak to powiesz tym ludziom.

– I co myślisz?

– Poradziłeś sobie znakomicie. Jak jednak chcesz ich unieważnić? Kościół jest już potężny. Obrósł w tłuszcz.

Julian się uśmiechnął.

– To wielce niezdrowe. Na początek muszą schudnąć.

\*

Wkrótce ukazał się dekret cesarski o otwarciu zamkniętych przez arcybiskupa Macedoniusza term w Konstantynopolu. Julian nakłaniał do hartu ciała i dbania o nie. Chrześcijanie zabraniali tam chodzić swojej młodzieży, ponieważ w termach obowiązywała nagość, a nagie ciało było grzeszne, należało się go wstydzic i szczelnie je zasłaniać. Julian uważał to za kolejny przejaw niezdrowych praktyk.

– Czy oni chcą, by nasze ciała śmierdziały? Nagie ciało jest naturalne jak woda, kamień lub drewno. Czy zasłaniamy kamień, bo jest nagi? Czy mamy zasłaniać rzeźby mistrzów greckich i dorabiać greckim posągom młodzieńców i nagich boginek listek figowy? – mówił Julian do dworzan, wydając dekret o termach. Te miejsca higieny miały zostać przywrócone i obywatele mieli obowiązek dbać o czystość ciała.

Kazał więc ustawić naprzeciw kościoła Świętych Apostołów kopie znakomitych posągów, które cesarz Hadrian trzymał w swoim pałacu w Tiburze, a Konstantyn zabrał je stamtąd, by przyozdobić Nowy Rzym nad Bosforem. Z rozkazu Juliana piękny nagi Antinous stanął naprzeciw świętego przybytku, wywołując zgorszenie dziewic, które pragnęły zostać mniszkami. Jakież męki musiały przeżywać, widząc codziennie marmurowe pośladki młodzieńca!

Julian rozstrzygnął też szybko, że w dzielnicy portowej mogą stanąć lupanary, bo marynarze i żołnierze i tak chodzili do nich nielegalnie. Biskup Macedoniusz kilka lat wcześniej grzmiał przeciwko kurwom

uprawiającym swój proceder pod niebem stolicy i przybytki rozkoszy zamknięto jako siedlisko grzechu.

– Ja też tego nie pochwalam – rzekł Julian. – Nigdy bym się sam tam nie wybrał, ale ludzie muszą mieć wolność. Jeśli pragną trochę radości za swoje pieniądze, to ja na to pozwolę. Pod warunkiem, że lupanary będą płacić podatek. Dochody z tego przeniesiemy do szkół dla biedaków, żeby biedne dziewczyny i chłopcy nie musieli tam zarabiać na życie. Jak zlikwidujemy popyt, to zniknie podaż na te usługi.

I robił to, co zapowiedział.

\*

W końcu Ammian – który odżył i odpoczął w stolicy jak nigdy przedtem, codziennie bowiem chodził do otwartych term, pływał, odbywał masaże – poczuł, że wraca do niego życie. Postanowił wybrać się do dwóch swoich przyjaciół, księży słynących już w Konstantynopolu z niezwyklej pobożności – Bazylego z Kapadocji oraz Grzegorza z Nazjanzu. Zastał ich pakujących się.

– To ty, Ammianie Marcellinusi?

– We własnej osobie.

– Wybacz nam – powiedział Grzegorz. – Nie pójdziemy z tobą na wino jak za dawnych lat.

– A ja właśnie miałem nadzieję, że sobie wypijemy i powspominamy...

Podszedł do niego Bazyli. Nosił teraz czarny mnisi ubiór. Miał już wygoloną głowę – jak asceta albo dawny kapłan egipski.

– Czy nie widzisz, co się dzieje, Ammianie Marcellinusi?

– A co ma się dziać?

– Szaleniec rządzi cesarstwem – rzekł przejęty Grzegorz.

– Gdybym cię nie znał, Grzegorzu, powiedziałbym, że kłamiesz – odparł Ammian. – Ale cię znam i wiem, że ty wiesz, że z Julianem wszystko w porządku.

– Spotkaliśmy go podczas studiów w Atenach – oznajmił Bazyli. – Już wtedy zdradzał szaleństwo, przychodząc codziennie pod malowany

portyk. Jednak wtedy tego nie skojarzyłem.

Dwaj chrześcijanie pakowali swoje rzeczy do worków. Nie mieli zbyt wiele. Trochę rękopisów, bieliznę na drogę.

– Chodził tam, ponieważ pod Stoa Poikile powstała szkoła stoicka. On uwielbia klastyczną kulturę Greków i Rzymian – wyjaśniał Ammian.

– To się nazywa pogaństwo. Jest ono grzeszne i niegodziwe – odparł Grzegorz, bardzo zasmucony, że Julian, ich niegdysiejszy przyjaciel, okazał się zdrajcą.

Teraz Ammian nie rozumiał.

– Uczyliście się w Atenach, czy nie tak? – zapytał swoich chrześcijańskich przyjaciół.

– Tak było – przyznał Bazyli.

Obaj skończyli się już pakować.

– Chodziliście na zajęcia do Akademii Platońskiej oraz do Liceum Arystotelesa?

– Tak – powtórzyli.

– Kto tam wykłada? Poganie, tacy jak ja i Julian, czy chrześcijanie? Czy mądrość tamta jest pogańska, chrześcijańska czy po prostu ludzka?

Obydwaj mnisi popatrzyli po sobie.

– Były tam rzeczy bardzo dobre, choć całość tych szkół jest pogańska, a przez to są one złe.

Ammian ich nie poznawał. Przed kilku laty spotkał tutaj w stolicy Grzegorza i był on wtedy wciąż normalnym człowiekiem.

– Odkąd staliście się impregnowani na naukę?

– Wybacz nam, ale spieszymy na statek do Nikomedii, a stamtąd chcemy pojechać do pustelni, żeby modlić się do Boga o zatrzymanie tego szaleńca. I o twoje nawrócenie, bo wciąż mimo zatwardziałego pogaństwa jesteś naszym przyjacielem – odparł Grzegorz.

Wyszli z kwater przy pałacu biskupa. Zostawili go. Ammian nie mógł się nadziwić, jak to się stało, że jego dwaj przyjaciele, ludzie uczeni, chrześcijanie umiejący czytać i pisać ze zrozumieniem po łacinie i grecku,

zwolnili się z myślenia? Kiedy to się stało? Jak to się stało? I nie potrafił znaleźć na te pytania odpowiedzi.

## ROZDZIAŁ XVIII

### *Powrót bogów*

#### *ANTIOCHIA, LATO 362 ROKU*

Miło jest wrócić do domu, nawet gdy świat się zmienił. Bo Ammian uważał Antiochię za swój dom. I po raz pierwszy od lat miał nadzieję, że imperium zmierza w dobrym kierunku. Julian też zawitał do najpiękniejszego i najbardziej intelektualnego miasta rzymskiego wschodu i prowadził zacięte debaty filozoficzne z Orybazjuszem i Libaniosem, dawnym nauczycielem, czyli z pogańską śmietanką. Tematem tych rozmów była dalsza egzystencja religii grecko-rzymskiej i wyzwanie, jakie miała rzucić scentralizowanemu, choć podzielonemu doktrynalnie chrześcijaństwu. Ammian został mianowany jednym z dowódców *scholae palatinae* – jej oddziałów konnych. Stał się nieodłącznym towarzyszem wypraw Juliana po Syrii.

Tego dnia w prefekturze miasta, gdzie rezydował tymczasowo przeniesiony ze stolicy dwór Juliana i Ammian jako dowódca konnej straży przy cesarzu, pojawił się od dawna niewidziany gość. Zgłosił się na spotkanie z Ammianem. Młody oficer i historyk nie mógł uwierzyć, że go widzi. To był Ursycyn we własnej osobie.

– Przyjacielu, tak bardzo cieszę się, że cię widzę!

– Ja nie mogę wyjść z podziwu, że żyjesz. Słyszałem o tym, że wydostałeś się z Amidy.

Padli sobie w objęcia. Jednak Ammian zauważył, że Ursycyn przyszedł z jakimś problemem, który go zżerał i nie dawał mu spokoju.

– Jak wiesz, Konstancjusz mnie usunął – rzekł Ursycyn. – Obwinili mnie za klęskę pod Amidą. Kogoś musieli.

– Wiem i mówiłem o tym Konstancjuszowi, ale on jest już przeszłością. Mamy nowego cesarza.

– Proszę cię, żebyś się za mną wstawił. Wprawdzie żona i syn są moją radością, ale kiepski ze mnie rolnik. Dostałem majątek koło Tarsu, piękna ziemia, oliwki, winorośl, ale moje serce chce czegoś innego.

– Oczywiście, porozmawiam z Julianem. To człowiek wspaniałomyślny, a armii brakuje solidnie wykształconych i mających doświadczenie oficerów. Czy masz się gdzie zatrzymać w Antiochii?

– Nie.

– Pojedź, proszę, do mojego majątku. Zamierzałem go sprzedać przed kilku laty, ale ostatecznie nie miałem do tego głowy. Wiesz, gdzie to jest, pomogłeś mi pochować rodziców.

Nadzieja wstąpiła na twarz starego wiarusa, zrezygnowanego i przybitego przedwczesną emeryturą. Ammian miał wieczorem spotkać się z cesarzem. Po wyjściu Ursycyna zjawił się oficer straży przybocznej, przynosząc niepokojące wieści.

– Panie, spłonęła świątynia Apollina w Dafne!

Ammian chwycił meldunek napisany na tabliczce. Zaledwie kilka zdań po grecku, ale wiadomość była doniosła, ponieważ Julian zamierzał odwiedzić Apollina w Dafne latem.

– Dziękuję za informację – odrzekł i z ciężkim sercem poszedł do cesarza.

\*

Ammian wiedział, gdzie znaleźć przyjaciela. Julian codziennie udawał się do szkoły Libaniosa, bezpretensjonalnie chodził po mieście bez splendoru, bez specjalnej lektyki, tylko w towarzystwie bezwzględnie wiernych żołnierzy ze *scholae palatinae*, których Ammian dobrał, kierując się kryterium religii. Chciał wykluczyć możliwość, że jakiś sfrustrowany chrześcijanin będzie miał dostęp do cesarza, choć sam Julian nie przejmował się plotkami. Jednak problem religii stawał się kluczową sprawą rozpoczynającego się panowania.

Gdy Ammian dotarł na spotkanie, w nienagannej kolczudze i czerwonym płaszczu, Libanios uniósł do góry ręce i najserdeczniej przywitał się ze swoim byłym uczniem. Julian i Orybazjusz siedzieli na krzesłach. Wyglądali jak przyjaciele, którzy spierali się o jakąś ważną sprawę. Wyglądali na zadowolonych z konkluzji lub decyzji, które podjęli.

– Po nieszczęściu, jakiego doznałem, gdy zginęło tylu przyjaciół w trzęsieniu ziemi w Nikomedii, nigdy nie przypuszczałbym, że mnie spotka takie szczęście. Oto widzę moich uczniów. Jeden z nich jest rzymskim cesarzem, a drugi dowódcą jego straży. I co najważniejsze, wiecie, że oddałem bogom całe życie i pozostałem wierny, gdy wszyscy wokół dali się zwieść chrześcijaństwu.

– Ale my też pozostaliśmy wierni – zauważył Julian.

– Bogowie podarowali nam tę chwilę – dodał Ammian.

– Ustaliliśmy, że nasze działania wobec chrześcijan muszą kierować się zasadą legalności – rzekł Julian. – Nie może być mowy o oficjalnym powrocie do prześladowań, które przynosiły efekt odwrotny od zamierzonego.

Ammian się z tym zgadzał. Nikomu nie była potrzebna religijna wojna domowa.

– Zamiast walki z chrześcijaństwem zamierzamy wzmocnić kult bogów, świątyń, składanych ofiar i zgodziliśmy się, że musimy powołać do życia organizację polityczną skupiającą wszystkich kapłanów, począwszy od bogów rzymskich i greckich, a skończywszy na Serapisie, Izydzie, Mitrze. Co o tym sądzisz, Ammianie Marcellinusi?

– To znakomity pomysł – odparł oficer. – Ale uważam, że trzeba chronić świątynie, bo to jest nasze wspólne dziedzictwo.

– Oprócz tego ogłoszę równouprawnienie wszystkich wyznań chrześcijańskich. Arianie muszą mieć pełną wolność.

– To ich osłabi – dodał Orybazjusz. – Popatrzcie, co stało się w Aleksandrii przed niespełna kilkoma miesiącami. Motłoch porwał mianowanego jeszcze przez Konstancjusza biskupa Jerzego, po czym zmasakrował go, a szczątki wrzucił do kanału.

Julian wzdygnął się na samą myśl o tak strasznej zbrodni. Przypominała ona jako żywo zbrodnię Konstancjusza na jego własnej rodzinie.

– Musiałem pozwolić biskupowi Atanazjuszowi wrócić do Aleksandrii – oznajmił. – Inaczej chrześcijanie oskarżyliby mnie, że ich prześladowuję.

Julian przestał się uśmiechać. Umiał wyczytywać z postawy ludzi lub z ich emocji pewne niedostrzegalne dla maluczkich niuanse. Dokładnie jak w tej chwili. Ammian nie był w stanie po prostu powiedzieć mu o podpaleniu świątyni w Dafne.

– Co się stało? – rzekł cesarz, wstając.

– Nie umiem ci tego powiedzieć, *domine*.

– Jednak musisz spróbować.

– Świątynia Apollina w Dafne została spalona.

Na wieść o tym Orybazjusz i Libanios zerwali się. Stary filozof miał rozpacz w oczach. Ale Julian przyjął to spokojnie.

– Wypadek?

– Celowo ktoś podpalił. Ogień pojawił się w kilku miejscach, jak wynika z raportu, który przywieziono mi po południu.

– Panowie, czas na nas!

Julian postanowił wyruszyć do Dafne natychmiast. Kazał podstawić konie.

\*

Świątynia, która w ostatnich latach dość mocno podupadła, spłonęła doszczętnie. Ogień nie oszczędził też samego posągu Apollina wykonanego w technice chryzelefantyny, którą ongiś Fidiasz wykonał święty posąg Ateny Dziewicy w mieście pod Akropolem. Środek posągu był drewniany – i dlatego wszystko spłonęło. Julian szybko nakazał wszczęcie śledztwa. Okazało się, że przed laty jego własny brat Gallus, ówczesny cesarz Konstancjusza i mąż Konstantyny, właśnie pod Dafne przeniósł szczątki niejakiego Babilasa i młodzieńców chrześcijańskich, których zabito podczas wielkiego prześladowania za czasów Decjusza. Urzędnicy Juliana,



wykonując polecenia cesarskie, ekshumowali męczenników i przenieśli ich ciała w inne miejsce. Pożar w świątyni nastąpił kilka dni po tym zajściu.

– To chrześcijanie – rzekł cesarz do Ammiana. – Jestem tego pewny. To była zemsta za przeniesienie szczątków Babilasa i męczenników.

– Nie ma dowodów.

– Ale logika nakazuje powołać się na regułę *qui bonum*<sup>[67]</sup>, a ona wiedzie nas do chrześcijan. Bogowie mi świadkami, że nie chciałem religijnej wojny, ale chrześcijanie przyzwyczaili się za bardzo do władzy i korzyści z niej płynących. To wbrew duchowi pokory, którą tak mi wkładał do głowy biskup Euzebiusz z Nikomedii.

– Co postanowiłeś, *domine*?

Julian uśmiechnął się. Był zdecydowany zatrzymać chrześcijaństwo.

– Będę konsekwentny. Tyle mogę ci powiedzieć, Ammianie. Nasza walka z chrześcijanami musi być mądra, a nie okrutna. Potrzebujemy pięćdziesięciu lat, żeby ją wygrać. Musimy zmienić przyzwyczajenia, zadbać o miejsca kultu, stworzyć kadry dla bogów, tak jak oni uczynili przed laty. Na to wszystko trzeba czasu.

– Jesteś bardzo młody, *domine* – odparł Ammian.

– Dziękuję – odparł Julian, uśmiechając się. – I czuję w sobie siłę, jakiej udzielają mi bogowie. Jestem pewien, że klęski Rzymu są wynikiem tego, że porzuciliśmy dobrego i opiekuńczego demiurga oraz jego emanację, czyli bogów Rzymu i Grecji.

Julian potrafił w każdej chwili wytłumaczyć rzecz krótko i filozoficznie, bo właśnie przez pryzmat wykształcenia patrzył na świat. Miał jeszcze jedną zadziwiającą cechę – w tym czasie, gdy władcy kłamali pod pozorem zachowania praworządności i dokonywali morderstw, usprawiedliwiając to troską o dobro obywateli, Julian po prostu robił to, o czym mówił publicznie.

W drugiej połowie roku przedstawił dekret o nauczycielach, nakazujący im rzetelnie uczyć spuścizny kulturowej Rzymu i Grecji. Myślący chrześcijanie już rozumieli, że zostali wykluczeni z nauczania w imperium.

Jednak cesarz postanowił bezkruwawo uderzyć tam, gdzie chrześcijan zaboli najbardziej.

– Skoro Jezus, do którego jako człowieka mam wielki szacunek, nie miał niczego na własność, to dlaczego Kościół gromadzi skarby, które nie są mu do niczego potrzebne?

Uchwalono specjalny podatek w postaci połowy dochodów – odtąd Kościół musiał łożyć na sieroty, biedaków, bezdomnych, ofiary powodzi, trzęsień ziemi (na przykład w Nikomedii). Nie wolno już było mu natomiast przyjmować drogich podarunków ani ziemi. Ale to nie było wszystko. Julian piętnował również fanatyczny kult relikwii, trupów czczonych jak bóstwa w kościołach, starych kości – były to dla antyku grecko-rzymskiego praktyki szokujące i niesmaczne. Dlatego wkrótce przedstawił kolejny edykt, w którym zakazał zakłócania spoczynku wiecznego zmarłych i wydobywania ciał z grobów, co było częstą praktyką chrześcijan. Jednocześnie jednak zniósł najbardziej znieawidzoną służbę cesarza Konstancjusza – *agentes in rebus* – ludzi do brudnej roboty, którzy pobierali podatki, wymierzali kary, zaszczuwali opozycjonistów, wysługiwali się cesarzowi przez donosy. Wielu ludzi straciło przez nich życie i majątki. Jednym zdaniem – szły nowe czasy i bardzo wielu chrześcijan już przywykłych do apanaży płynących z władzy nie mogło się pogodzić, że znów są mniejszością.

## ROZDZIAŁ XIX

### *Piaski Mezopotamii*

#### *SYRIA, STYCZEŃ 363 ROKU*

Polityka religijna cesarza musiała doprowadzić do starcia między nim i starymi bogami a chrześcijaństwem, które już zadomowiło się w Konstantynopolu i pałacu cesarskim. W styczniu po szybkim i tajnym procesie stracono dwu oficerów *scholae palatinae*, będących chrześcijanami, którzy próbowali organizować spisek na życie Juliana. Ammian zdemaskował ich i ściął. W rezultacie usunięto wszystkich chrześcijan z bezpośredniego otoczenia Juliana, w tym ze straży, a także spośród służących i administracji cesarskiej. Julian musiał znaleźć jakieś nowe otwarcie, zwrócić uwagę na zewnętrzne zagrożenia, które mogłyby zjednoczyć wszystkich wokół cesarskiego diademu. Dlatego postanowił się zwrócić przeciwko Persji.

Na spotkaniu w Antiochii cesarz oznajmił swoim doradcom, że latem wyruszy na Persję i że celem prowadzonej z rozmachem ofensywy będzie Ktezyfon. Do Ammiana, gdy tylko to usłyszał, zaraz wróciły wszystkie wspomnienia z kilkumiesięcznego pobytu w Persji.

Julian wezwał swego oficera któregoś dnia wczesną wiosną.

– Wybacz, Ammianie, że nie mam dla ciebie tyle czasu, co wcześniej – rzekł cesarz. – Ale kierowanie państwem pochłania mnie całkowicie.

– Ja sobie bardzo cenię, że mimo tego, jaką sprawujesz funkcję, nie zerwałeś więzów z przyjaciółmi.

– To przecież naturalne – odparł Julian. – Libanios kocha mnie nie dlatego, że mam wielkie pieniądze i władam imperium, ale dla mnie samego. Orybazjusz tak samo. I ty. Mam przyjaciół i nie jestem sam, a więc nie jestem na drodze do tyranii.

To była autoironia, konieczny dystans poznawczy, który Julian utrzymywał do siebie samego.

– To wielkie dla mnie wyróżnienie, cesarze, że nazywasz mnie swoim przyjacielem. Myślę, że nim jestem. Jako przyjaciel zawsze miałem umiejętność mówienia prawdy i jestem pewien, że nakłonisz ucha ku moim słowom.

– Jak zawsze. Usiądź, proszę, przy mnie – rzekł Julian.

Gdy Ammian zajął miejsce, oznajmił:

– Pozwól, że coś ci przypomnę, *domine*. Opowiadałem już kiedyś, jak kilka lat temu w Konstantynopolu przebywał jeniec perski, Sardaszir, który omyłkowo został wzięty za dowódcę, podczas gdy był to najmłodszy syn króla Persów, Szapura Drugiego. Konstancjusz chciał go wówczas stracić, nie wiedząc, kim jest. Poradziłem się wówczas komesa Ursycyna i razem doszliśmy do przekonania, że tak się książąt nie zabija.

– Tak, pamiętam. I wypuściliście go?

Ammian zdawał sobie sprawę, że teraz, jako cesarza, może to Juliana gniewać.

– Tak, *domine*.

– Może nie powinniście byli tego robić?

– Może powinienem kiedyś chodzić do innego niż Libanios nauczyciela. Julian zastanowił się.

– Masz rację – odparł po chwili. – Libanios nie pochwaliłby kolejnego morderstwa Konstancjusza. Zabił wystarczająco wielu. Nie chcieliście popełnić mordu.

– Nie, zamiast Sardaszira zginął przestępca Gimnas. Chciałem ci przypomnieć, *domine*, że książę Sardaszir znalazł się pod Amidą i tuż przed egzekucją ocalił mi życie. Gdyby nie on, już byśmy dziś nie rozmawiali. Zostałem jego jeńcem, ale nie potraktował mnie jak wroga. Mogłem dzięki niemu przez kilka miesięcy przemieszczać się po imperium perskim, widzieć biedę i bogactwo, siłę i słabość, aż wreszcie mogłem zobaczyć od środka Ktezyfon, ich stolicę.

Julian wstał. Słowa Ammiana zrobiły na nim wrażenie. Cesarz nerwowo zaczął się przechadzać po dziedzińcu pałacu w Antiochii. Po chwili zapytał:

– Czy widziałeś wewnętrzny mur i zabezpieczenia?

– Tak, *domine*, myślę, że mógłbym go narysować z dużą dokładnością – odparł Ammian.

– Cenne rzeczy mówisz, Ammianie. Byłeś w opiece boga słońca, Mitry, którego kult wywodzi się stamtąd, ocalałeś zatem z jego woli. Tak interpretuję to, co ci się przydarzyło. W tym, co uczyniliście z Ursycynem, nie było przypadku. I dzięki temu, co zobaczyłeś, być może będziemy mieć szansę.

Ammian zrozumiał, że jego opowieść przyniosła efekt odwrotny od zamierzonego. Nie chciał popychać Juliana w stronę wojny, a wręcz przeciwnie – pragnął namówić go do rezygnacji z ataku na Persję. Próbował coś jeszcze powiedzieć, ale Julian uniósł dłoń i zakończył rozmowę. Chciał zostać sam ze swoimi myślami i bogiem słońca, który miał odbijać światło Jedynego Bytu.

\*

Z początkiem marca Julian wyruszył z Antiochii, pokłóciwszy się przed wyjazdem z tamtejszymi chrześcijanami. Ammian od czasu swojego wyznania nie rozmawiał z cesarzem. Wyruszył na kampanię, która miała pomścić wszystkie krzywdy, jakich Rzymianie doznawali od Persów w ostatnich latach. Wiódł ze sobą tysiące żołnierzy, a garnizony rozsiane po Syrii dołączały do niego. Wojsko było dobrze zaopatrzone w jedzenie i broń. Ursycyn dostał rozkaz zajęcia się taborem, ale nie został włączony do kręgu dowódczego. Czuł się już stary i nie miał o to pretensji. Ammian miał natomiast strzec cesarza wraz ze *scholae palatinae*, elitarną formacją, która powstała po likwidacji pretorianów po bitwie koło mostu Mulwijskiego z roku 312. Julian szedł na czele pochodu – był optymistą w każdym calu. Dochował wszystkich pradawnych obrzędów religijnych. Z wątroby ofiar haruspikowie<sup>[68]</sup> mieli odczytywać wolę bogów, ale

wynik ich dociekań był niejednoznaczny, co tylko jeszcze bardziej przekonywało Juliana.

Cesarz mógł czuć się pewnie, wiódł ze sobą na wojnę przeciwko wielkiemu wrogowi ponad sześćdziesiąt tysięcy ludzi – piechoty, jazdy, taborów i poskładanych na wozach machin oblężniczych. Szedł przez Syrię i wkroczył do prowincji Mezopotamia, zatrzymując się na kilka dni w Hierapolisie. Ammian cały czas miał niesłychanie ciężkie myśli. Już raz wyrwał się ze szponów śmierci, teraz zastanawiał się, czy ta wyprawa nie przyniesie nieszczęścia. Jednak Julian zaskoczył wszystkich w tym mieście. Na rzece Eufkrat pojawiła się rzymska flota, którą kazał zbudować rok wcześniej. Widząc to, Ammian się rozchmurzył. Już wiedział, że właśnie w taki sposób Julian miał zamiar bezpiecznie, zaopatrywany z okrętów o niższej niż morska wyporność i przez to o mniejszym zanurzeniu, dotrzeć z armią do Ktezyfonu, stolicy Szapura II i oblegać miasto aż do ostatecznego zwycięstwa.

W kwietniu Julian wkroczył do dawnej Asyrii, której ziemia była żyzna. Pustoszone to, czego nie można było zjeść lub zabrać ze sobą. Julian pozwolił żołnierzom pomścić Amidę i wszystkie okrucieństwa Persów poczynione na rzymskiej ziemi w ostatnich latach. Nie oszczędzono ani kobiet, ani dzieci. A Julian, owładnięty gorączką sukcesu, szedł głębiej w Persję, niepomny trudów, nieczuły na krzyki umierających i błagania rannych, by ktoś skrócił ich męki. Czy jak Aleksander dojdzie do krańca świata? Ammian obawiał się czegoś innego. Szli już od ponad miesiąca, a wojsk perskich nie było wcale widać. Nieprzyjaciel wciągał ich do środka olbrzymiego kraju.

\*

Armia rzymska uparcie szła naprzód i pewnego dnia zamajaczyły nad Tygrysem potężne mury Ktezyfonu. Był czerwiec, a słońce stało wysoko. Dopiero teraz dostrzeżono Persów: dwie linie wynurzyły się z morza wyschniętej trawy jak jakieś wielkie prehistoryczne zwierzę. Była to ciężka jazda perskich katafraktów, która nabierała pędu na równym i suchym

terenie. Julian, otoczony przez doborowy oddział jazdy, nakazał szybko ustawić się piechocie.

– Przygotować się na atak jazdy! – krzyczał, jadąc na koniu w stronę długiej kolumny piechoty idącej wzdłuż rzeki.

Julian dostrzegł, że Persowie przezornie wybrali miejsce ataku – wojska rzymskie, zmierzające wzdłuż rzeki i zaopatrywane przez okręty, mogły być łatwym łupem. Przygwożdżeni przez ciężką jazdę Rzymianie nie mieliby się gdzie cofnąć. Julian wiedział, że muszą odeprzeć ten atak. Jazda towarzysząca Rzymianom ruszyła naprzeciw wroga i piechurzy, odwróciwszy się plecami do rzeki, zwarli się razem tarczami, wystawili do przodu włócznie. Julian, podniecony bitwą, krzyczał do żołnierzy, aby wytrwali i pomścili Amidę i wszystkie porażki. Krzyknęli na jego cześć, bo byli to ludzie z Galii, uwielbiający go. Im zawdzięczał tron.

Jazda rzymska, owe tysiąc pięciuset dzielnych ludzi z przedniej straży, wbiła się w Persów klinem i zwarła się z nimi, tak jak Aryman walczy z Ormuzdem. Włócznie uderzały o tarcze, konie rżały przeraźliwie, a jeźdźcy w kolczugach po strzaskaniu włócznie sięgnęli po miecze. Rozgorzała walka zacięta i krwawa. Rzymianie z przedniej straży wiedzieli, że ich walka umożliwia Julianowi ustawienie armii naprzeciw atakujących Persów, toteż nacierali z pasją, kłując, tnąc, miażdżąc perską jazdę bez litości. Dowodzący oddziałem komes Sebastian miał pełną świadomość, że ten atak wobec liczebnej przewagi perskiej kawalerii będzie tylko pierwszym starciem, ale jego wojska nie pozwoliły się zepchnąć ani otoczyć.

Część perskiej jazdy przebiła się i ruszyła wprost na rzymską piechotę liczącą kilka tysięcy ludzi. Jednak katafrakci stracili pierwotny impet i atak załamał się na rzymskich włócznieach. Julian krzyknął do swoich:

– Nie dajcie się zepchnąć do rzeki! Naprzód, trzymać szyk!

Rzymianie ruszyli do przodu – w szyku, najeżeni włócznieami, a po obu skrzydłach pędziły oddziały rzymskiej jazdy Sebastiana, która po odparciu perskiej kawalerii stała się znów oczyma i tarczą piechoty legionowej. Szli naprzeciw perskiej piechocie i łucznikom. Nagle Julian kazał się zatrzymać.

– Przygotować się na ostrzał

Rzeczywiście perskie krótkie łuki miały straszną siłę rażenia, ale Julianowi, gdy popatrzył w niebo białe od upału, zdało się nagle, że pociemniało, jak gdyby czarna chmura wyłoniła się nie wiadomo skąd. Były to strzały. Jednak Persowie się przeliczyli, bo niewiele z nich doleciało do rzymskich szeregów. Armia cesarza parła naprzód i zderzyła się z perską piechotą. Wyćwiczeni legionieści walczyli w szyku i kryli się w szyku. Piechota wroga nie dała rady i pękła jak tama wyzwalająca wodę, a ludzie cesarza siekli ich po karkach jak wojowników Chnodomara pod Argentorate. Julian miał wreszcie swoje pierwsze upragnione zwycięstwo nad Persami.

\*

Tego samego dnia pod wieczór, gdy policzono poległych – stu trzynastu – i rannych – ponad trzystu ludzi z całej sześćdziesięciotysięcznej armii, odbyła się narada wojenna, w której wzięli udział wszyscy najważniejsi oficerowie armii pod przywództwem Juliana.

– Odnieśliśmy tutaj przekonujące zwycięstwo – rzekł Julian. – Chcę rozbić armię perską całkowicie, aby nie zadała nam już żadnego niespodziewanego ciosu. Jak widzicie, jesteśmy pod ich stolicą i pokusa, żeby zacząć oblężenie, jest silna. Jestem bliski, by jej ulec.

– Jesteśmy z tobą, boski auguście – oznajmił komes Sebastian.

Ammian jako dowódca straży cesarskiej stał z boku i notował, na co miał pozwolenie Juliana, bo przecież miało się mu to przydać przy pisaniu historii tej wielkiej i zwycięskiej kampanii. Zauważył, że w Julianie przez dwa miesiące zaszła zmiana – minimalizował ryzyko. W czasie bitwy był wystawiony na strzały z łuków i znajdował się niebezpiecznie blisko linii bitwy. Ammian czuł, że powinien był go ostrzec, ale rozumiał, że Julian go nie usłucha, ponieważ uwierzył, że ta wojna jest darem bogów dla niego. Oficer nie podzielał tego złudzenia. Jako jedyny z Rzymian w sztabie Juliana poznał perskie imperium i wiedział, że jeśli chodzi o stolicę, Persowie nie odpuszczają.



– Ale ja nie ulegnę jej – ciągnął Julian. – Uważam, że to nie Ktezyfon jest naszym celem, ale armia perska. Bez niej król Szapur Drugi będzie musiał poprosić o pokój.

Teraz odezwał się komes Wiktoryn, dowodzący jazdą.

– To doskonały pomysł, auguście.

Ammian zastanowił się, dlaczego Julian otacza się ludźmi, którzy grają rolę klakierów. I zauważył, że z Konstancjuszem było podobnie.

– Tak też uczynimy. Pod wodzą komesa Sebastiana zostawimy pod Ktezyfonem trzydzieści tysięcy naszych ludzi, w tym flotę, która zablokuje miasto od strony rzeki. Macie ich nękać ostrzałem z katapult, przeciąć wszystkie drogi dowozu żywności. Ja natomiast ruszę naprzeciwko perskiej armii z jazdą Wiktoryna, moją gwardią i moimi legionami galijskimi, które dziś pokazały, ile są warte na polu bitwy.

Ammian zanotował słowa cesarza na tabliczce. Mógł się odezwać, powiedzieć coś mądrego, zachęcić do spustoszenia okolicy, znalezienia bogatych łupów, ale wiedział, że to Juliana nie interesuje. Cesarz chciał sławy wielkiego zwycięzcy Persów. Musiał podążyć drogą ku przeznaczeniu, którą obrali dla niego bogowie. Julian w to wierzył. A wiara czyni cuda.

Wojska odpoczęły dwa dni. Flota wpłynęła też na dopływ Tygrysu, żeby odciąć stolicę od pomocy z zewnątrz. Persowie próbowali z murów ostrzeliwać okręty, ale te odpowiadały katapultami na pokładzie i onagerami wyrzucającymi ogromne płonące strzały. Widać było wyraźnie, że w tej kampanii to Rzymianie mają cały czas przewagę. Czyżby Szapur II poniósł w ostatnich kampaniach wielkie straty? Ammian pamiętał zwały perskich trupów pod Amidą. Twardość Rzymian w obronie tej twierdzy teraz procentowała.

Po dwóch dniach Julian wyszedł z obozu z jazdą, podczas gdy piechurzy galijscy szli za nimi w porządku, z czujkami po bokach, aby nikt nie zaskoczył ich w drodze. Szukał wielkiej perskiej armii, by móc ją zniszczyć. Nie musiał czekać długo.

\*

Julian jechał konno wzdłuż przesuających się kolumn rzymskiej piechoty w stronę miasta Samarra, a towarzyszyli mu Ammian i komes Wiktoryn, dowódca całej jazdy. Kawaleria ochraniała piechotę. Julian był spokojny, mimo że słońce im bardzo doskwierało. Żołnierze, maszerując, pozdrawiali cesarza. Ammian i Wiktoryn zbliżyli się do cesarza.

– *Domine*, napij się wody – zaproponował Ammian.

Julian wziął bukłak i wypił sporo. Nie oszczędzał się. Żył jak zwykły żołnierz – spał na ziemi, przykrywał się jakąś derką.

– Dziś będziemy mieli dobry dzień – powiedział cesarz.

– Wojsko ma wysokie morale – rzekł Wiktoryn, mąż w wieku czterdziestu lat, ze szramą na policzku po jakiejś bitwie przed wieloma laty.

Ammianowi zdało się, że zza linii horyzontu, z płaskiej równiny Mezopotamii dobiega go jakiś dźwięk. Nie umiał określić, czym on był. Wsłuchał się, podczas gdy Julian i Wiktoryn wymieniali żarty. Ammian czuł, że coś jest nie tak – ów dźwięk przypominał mu szum szarańczy płynącej w powietrzu.

– Słuchajcie uważnie – zwrócił się do towarzyszących mu cesarza i dowódcy.

– Ale co mamy słyszeć? – zapytał Julian, którego być może mylił chrzęst tysięcy stóp jego żołnierzy.

– To szum, jak gdyby szła na nas burza – odparł Ammian.

Ledwo wypowiedział to zdanie, nad linią horyzontu ukazała się fala pyłu, który wzbijał się w górę mimo upału i braku wiatru. Ammian, Julian i Wiktoryn wpatrywali się w przestrzeń, siedząc na koniach.

– Czy to burza piaskowa? – zapytał Wiktoryn.

– To szum, słyszę wyraźnie – rzekł Ammian.

Julian zmrużył oczy.

– To nie burza – odparł cesarz.

Teraz słyszeli coraz wyraźniejszy tętent tysięcy jeźdźców i tupot tysięcy stóp. To, co wyglądało na burzę, było pyłem z wyschniętej ziemi,

wzbijanym w powietrze przez armię perską, która chciała zaskoczyć Rzymian. Na reakcję mieli już mało czasu. Julian spiął konia. Ryknął na żołnierzy:

– Szyk, macie się ustawić w szyku!!!

Jego słowa podawano dalej, oficerowie żołnierzom, żołnierze swoim towarzyszom. Kolumna rzymskiej piechoty była rozciągnięta na wiele mil, co niestety nie było zbyt dobrą wiadomością, bo Persowie mogli rozdzielić wojska i wyciąć je do nogi. Ammian rzucił się za władcą, którego osoba i nietykalność były święte dla Rzymian, ale Julian jeździł konno lepiej i ustawiał żołnierzy, krzyczał, nawoływał do honoru i wskazywał wroga, który w niespotykanej liczbie zbliżał się ze wschodu. Na szczęście były to doborowe oddziały, więc legionieści ustawili ścianę tarcz i skierowali włócznie naprzeciw zagrożeniu. W całym tym rozgardiaszu Ammian zgubił Juliana.

Tymczasem Persowie się zbliżali – to była ich ciężka jazda, więc rzymska jazda ruszyła naprzeciw nim i wkrótce rozgorzała straszna bitwa kawaleryjska. Komes Wiktoryn zachował się profesjonalnie i manewrując oddziałami, uchronił rzymską piechotę i samego Juliana od straszego uderzenia perskich katafraktów. Ammian jak zahipnotyzowany obserwował kłębowisko koni i ludzi, z którego co chwilę jakiś rozszalały rumak próbował znaleźć wyjście. Straszny szcęk tłuczonych zbroi, kości, ciosów mieczów wymierzonych w twarz, złamanych włócznie niósł się dookoła na wiele mil. Było jasne, że rzymska jazda zatrzymała katafraktów i zaczęła ich z mazołem spychać do tyłu, choć straszliwe straty były po obu stronach.

Persowie w niczym nie ustępowali Rzymianom. Mieli długie miecze podobne do rzymskich kawaleryjskich spath. Wielu mężów po obu stronach upadało w otchłań śmierci, z której nie ma przecież powrotu. Poświęcenie jazdy uratowało bitwę dla Juliana – rzymskie oddziały, rozdzielone przez cesarza na dwa skrzydła, ruszyły naprzód, otaczając jazdę perską. Wojska perskie, zarówno ciężka jazda, tocząca walkę na śmierć i życie z Rzymianami, jak i piechota, zostały zakleszczone w okrążeniu

przez siły Juliana, który skopiował swój manewr spod Argentorate. Tam też Alemanowie mieli przewagę liczebną, ale na nic się to im nie przydało. Teraz było podobnie – rzymscy piechurzy stanęli jeden obok drugiego bardzo ciasno, przyciskając okrągłe tarcze i czyniąc z nich nieprzebyty mur dla perskich żołnierzy. Na komendy dowódców stworzyli z pochylnych włóczni żelazny, śmiercionośny płot.

– Ruszać!

Pierwszy szereg wystartował do przodu, a Persowie, chcąc drogo sprzedać życie, musieli się przebić, więc nadziewali się jak na rożen, krwawo zwierając się z rzymską piechotą w walce. Julian po raz kolejny okazywał się świetnym wodzem, a jego talent militarny był dla Ammiana zagadką. Jak mąż zaczytujący się w filozofii może dowodzić na polu bitwy z takim sukcesem? Ammian w tej fazie bitwy także unurzał swój miecz w perskiej krwi, ale widział, że taktyka Juliana przynosiła krwawe żniwo.

Właśnie w owej chwili, która miała już na zawsze w historii pozostać tajemnicą nie do rozstrzygnięcia, Ammian odwrócił się na koniu i ujrzał Juliana w odległości nie mniejszej od jednego stadionu. Cesarz na koniu pokazywał następnym szeregom swojej galijskiej piechoty, gdzie jest wróg. Julian zwycięski – takim go ujrzał i takim miał go zapamiętać. Ammian zobaczył też, jak włócznia nie wiadomo skąd rzucona wbiła się w bok cesarza, który – zaskoczony – dopiero po chwili dostrzegł, że jest ciężko ranny. Próbował ją wyjąć, ale nie potrafił, ponieważ ostrze utkwilo głęboko, jak się później okazało – w wątrobie. Dowódca straży wydał okrzyk grozy i ruszył galopem w kierunku cesarza, któremu już prości żołnierze udzielali pomocy. Ściągnęli go z konia. Dla Juliana bitwa, choć zwycięska, była skończona.

\*

Atmosfera w armii gęstniała. Tej bezksiężycowej nocy pod niebem Mezopotamii namiot cesarza był najpilniej strzeżonym miejscem. Wokół zbierali się żołnierze. Ale choć armia perska została rozbita, nikt nie cieszył się z bogatych łupów, zdartych z zabitych perskich wielmożów

kosztowności. Wszyscy oczekiwali jakiegoś komunikatu o losie cesarza. Żołnierzom nie powiedziano prawdy, a oni jej wyraźnie oczekiwali. Ammian przyprowadził Orybazjusza, który przebywał na tyłach, przy wozach. Lekarz wszedł do środka, Ammian za nim, po czym gwardia cesarska zasłoniła wejście.

Żołnierze czekali w milczeniu, niektórzy płakali. Wyczuwali, że wydarzyło się coś bardzo złego. Ammian nie w pełni pojmował, co się stało. Widział przecież dokładnie scenę ranienia cesarza. Włócznia nadleciała z boku, nie wiadomo skąd – *incertum unde*<sup>[69]</sup> – ale przecież Julian znajdował się w głębi rzymskich szeregów. Musiał się odwrócić, żeby na niego spojrzeć. Do oficera zaczęła docierać straszna prawda. To nie była perska włócznia.

Orybazjusz podszedł do Juliana, który cały czas był w pełni świadomy. Położono go na kocu, ale Ammian już wiedział, że wszelkie działania lekarza będą daremne. To była lekka włócznia. Musiała utkwic głęboko w wątrobie, a wszelkie próby wyciągnięcia jej przyprawiłyby cierpiącego Juliana o dodatkowy, straszliwy ból. Spod jego ciała ciągle wypływała ciemna wątrobowa krew, tworząc coraz bardziej powiększającą się plamę na kocu. Cesarz oddychał ciężko.

– Nade mną taka noc ciemna... Gwiazdy nigdy nie były tak piękne i tak złowrogie jak dzisiaj. Chciałem podnieść Rzym, w jego chwale i świetności...

Orybazjusz chwycił go za dłoń. Nie mógł nic dla niego zrobić. Julian oddychał szybciej.

– Dajcie pić... Proszę!

Lekarz skinął na służących, którzy podali mu dzbanek wina, do którego dolał wywaru makowego przechowywanego w małej buteleczce w podręcznej torbie z maściami i narzędziami chirurgicznymi. Dwóch oficerów podłożyło pod głowę cesarza poduszki, aby ranny mógł zaspokoić pragnienie. Ammian zrozumiał, że koniec jest blisko i poczuł ogromne wzruszenie. Marzenie Juliana skończy się dziś i tutaj, a on po raz kolejny w swoim życiu będzie świadkiem historii.

– Nie płaczcie nade mną – rzekł spokojnie Julian. Wiedział, że wraz z winem wypija środek, który pomoże mu znieść ból i zapaść w wieczny sen. – Ja byłem żołnierzem tak jak wy. Doszliśmy tak daleko i wróg poczuł znów, co znaczy rzymski miecz. Nieście go dalej, aby moja śmierć nie poszła na marne.

– Nigdy! Persowie poczują go jeszcze głębiej! – odezwały się głosy oficerów.

Julian chciał to od nich usłyszeć. Chciał wiedzieć, że odchodzi jak zwycięzca.

– Gdym studiował w Atenach filozofię, spieraliśmy się o śmierć Sokratesa, o ostatnie jego chwile, gdy umierał otoczony przyjaciółmi... Ja teraz tak odchodzę i choć krótko byłem z wami, chciałem Rzymu wielkiego.

– Odchodzisz jak zwycięzca – oznajmił Orybazjusz, trzymając Juliana za zakrwawioną dłoń, którą ten próbował wyciągnąć włócznię.

Ammian stał jak skamieniały. Wewnątrz czuł, jak wzmaga się w nim rozpacz. Cesarza nie można już było uratować. Julian to wiedział, ale nie lamentował nad sobą, nad tym, że jego życie przedwcześnie się skończy.

– Nie martwcie się, dziś idę do gwiazd – mówił cicho. – Ale wiecie, co o mnie mówią chrześcijanie? Żem odstępcą, żem zdradził ich Chrystusa. Jak gdyby oni go nie zdradzali codziennie za władzę, mamonę i wpływy...

– Nie przejmuj się nimi – rzekł Orybazjusz.

– Przejmuję się Rzymem, co z nim uczynię... Wiecie, to zabawne, podobno człowiek przed śmiercią widzi całe swoje życie, ale ja nie widzę wuja Konstancjusza ani jego braci, widzę tylko moją rodzinę zamordowaną, która już na mnie czeka w zaświatach. Dziwicie się, dlaczego wychowany w wierze chrześcijańskiej porzuciłem ją, widząc tylko żądę władzy, kłamstwo przedstawicieli Kościoła? Kiedy patrzyłem na posągi naszych bogów, wyrąbywane z cokołu i zastępowane kukłami czczonych przez nich trupów, czyli świętych? Kiedy słyszałem pogardę, gdy mówili, że Biblia ma zastąpić cały dorobek nasz i Greków?

– Jesteś i zawsze byłeś wierny naszym bogom – rzekł Orybazjusz, trzymając cały czas Juliana za słabnącą dłoń.

Cesarz uśmiechnął się. Pogodził się z tym, że odchodzi. Ammian skrył twarz w dłoniach. Płakał. Nigdy sobie już nie wybaczy, że nie uchronił umiłowanego cesarza. Gdyby mógł, wzięłby na siebie tę zdradziecką włóczęgę.

– To chrześcijanie są zdrajcami naszej kultury – powiedział cicho Orybazjusz.

Julian słabł. Zdołał jeszcze powiedzieć:

– Daj mi, proszę, jeszcze tego wina. Mniej boli...

Oznaczało to, że opium stężone w dużej ilości zaczęło działać. Orybazjusz traktował tę substancję tylko jako ostateczność, jako lek kojący przed bólem fizycznym tak strasznym, że nie da się go dłużej znieść. Teraz nie żałował go swojemu przyjacielowi. Julian spokojnie wypił i szepnął, że odczuwa wielką ulgę, ponieważ nie czuje już bólu. Ammian spojrzął na niego po raz ostatni. Jego cesarz leżał na kocu czarnym od krwi, a rana zaczęła się otwierać, co stanowiło straszliwy kontrast do słów o tym, że nie czuje już bólu. Sok makowy działał.

Julian zamknął oczy. Zdawało się Ammianowi, że Orybazjusz mówi mu coś do ucha, ale chyba już go nie słyszał.

Zmarł spokojnie kilka chwil potem.

## ROZDZIAŁ XX

# *Śmierć jest zaskoczeniem*

### *MEZOPOTAMIA, KONIEC CZERWCA 363 ROKU*

Julian nie żył. Gdy zmarł, Orybazjusz wyciągnął haniebną włócznię z jego boku. Ammian przekonał go, że to była rzymska włócznia – wskazywał na to grot. Obaj kochali Juliana i Rzym, ale ogłoszenie wiadomości, że jakiś rzymski żołnierz przez pomyłkę zabił cesarza w takim momencie i miejscu, w jakim znalazła się armia, byłoby narażeniem kolejnych setek ludzi na śmierć. Dlaczego? Wybuchłyby zamieszki w obliczu wroga. Orybazjusz, na tyle, na ile pozwalały środki, zabalsamował zwłoki Juliana, aby nie uległy zepsuciu. Zużył cały zapas miodu, mirry, aloesu, jaki udało się sługom cesarza znaleźć w okolicy. Ciało z zaszytą już przez lekarza paskudną raną zawinięto w całun i zamknięto w dwóch trumnach z drewna. Jednak postanowiono pochować go w pierwszym możliwym i godnym miejscu na rzymskiej ziemi.

Zebrały się tysiące żołnierzy, do których dotarła wiadomość o śmierci cesarza ranionego w bitwie. Wojska domagały się głośno wyboru nowego władcy. Ammian zaproponował, aby się wstrzymać, uszanować wolę zmarłego władcy i dokończyć kampanię przeciwko Persom. Jednak podniosły się krzyki, że wówczas wielka armia wschodu, która już wycierpiała tyle trudów, zrzeknie się prawa do wyboru nowego władcy.

– Znów wybiorą kogoś z zachodu. Albo jakiegoś durnia z Konstantynopola – przekonywali oficerowie w opozycji do Ammiana, wśród nich Wiktoryn i Sebastian.

Ammian zastanowił się przez chwilę, czy nie mają siebie samych na myśli. Julian był bowiem ostatnim z dynastii Konstantyna Wielkiego. Jednak kim mógł być mąż, który weźmie na siebie ciężar tak straszny,



że trudno sobie wyobrazić? Sama lista problemów, z którą musiałby się zmierzyć nowy władca, przyprawiała o ból głowy: konflikt z Persją, wydostanie armii z głębi nieprzyjacielskiego kraju, walka między chrześcijaństwem i starą religią, podział między chrześcijanami, partykularyzmy poszczególnych prowincji i regionów. O głos poprosił komes Sebastian. Wszedł na plac i stanął na podstawionej skrzyni.

– Żołnierze! Cesarz został zabity przez wroga w walce i zginął jak jeden z was. Lecz między nami jest skromny i pobożny mąż, który jest w stanie przy pomocy Bożej stać się godnym następcą zmarłego Juliana!

Szmer niedowierzania przeszedł przez szeregi. Ammian zdał sobie sprawę z tego, że on oraz Orybazjusz, a także ludzie Juliana zostali zmarginalizowani i już nie będą się liczyć w walce o władzę. Komes Sebastian był chrześcijaninem, ale wydawał się dotąd lojalny wobec zmarłego cesarza. Czyżby oni to uknuli? – zapytywał w myślach Ammian samego siebie. Julian zlekceważył niebezpieczeństwo, które tkwiło w armii, nie dostrzegał go. Chrześcijanie się go bali, ponieważ cesarz jako chrześcijanin, który porzucił Chrystusa dla bogów, był skrajnie niebezpieczny.

– Kim jest ten mąż?! Chcemy go poznać! – krzyčeli żołnierze w odpowiedzi na słowa komesa Sebastiana.

– Jest wśród was! Jest żołnierzem takim jak wy!

– Gdzie on jest? Powiedzcie, abyśmy mogli unieść go na tarczy!

Sebastian wskazał ręką męża stojącego w drugim szeregu. Ammian spojrzał na niego i wydawało mu się, że zna tę twarz, ale nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie ją widział ostatnio. Po chwili zrozumiał. To był Jowian, który zastąpił na stanowisku w armii zdymisjonowanego Ursycyna.

Jowian wszedł z szeregu żołnierzy, a kilku z nich podniosło go na tarczy na znak, że oto armia wschodu uznaje go za kolejnego augusta imperium – Flawiusza Jowianusa. Był on człowiekiem naturalnym, z pewnością nie można było mu odmówić dobrych intencji, gdy przemówił do żołnierzy:

– Rzymianie, bracia, rodacy! Staję przed wami bez broni i gotowy poświęcić wszystko dla was i dla Rzymu.

Ammian zrozumiał, jakie to wszystko było zreżne. Musieli to ułożyć, gdy Julian umierał w nocy. Jowian właśnie w tym momencie obiecał żołnierzom po sto solidów w złocie po powrocie z wyprawy, a jako zaliczkę kazał wypłacić całe złoto Juliana. Wojskiem wstrząsnął krzyk:

– Jowian August! Jowian August!

I tak dokonał się kolejny akt narzucenia cesarza przez armię. Ciało Juliana było wciąż świeże. Okrutnie obeszyli się Mojry władające losem z tym, który chciał przywrócić dawne zwyczaje i dawnych bogów.

\*

Ammian Marcellinus nie miał nic do powiedzenia w kwestii wyboru cesarza. Jednak Jowian pamiętał go z rozmowy w Konstantynopolu po jego powrocie z niewoli perskiej i spotkał się z nim tak jak z każdym oficerem sztabu. Ammian stanął przed nowym cesarzem, ale miał wciąż w sercu rycerskiego Juliana. Jednak Jowian potrafił się zachować.

– Wiem, że byłeś związany z cesarzem. Kochałeś go. Mam nadzieję, że ja też sobie zasłużę na twój szacunek, wierność i oddanie.

– Dziękuję, *domine* – odparł Ammian Marcellinus. – Teraz najważniejsze to ocalić armię.

– Tak. I dlatego proszę cię, abys przyjął funkcję *primicerius domesticorum*.

Ammian zdał sobie sprawę z tego, że na czas wojny z Persami cesarz przesuwając go na stanowisko przełożonego młodszych oficerów w wojsku. Miejsce dowódcy straży zajmie ktoś inny. Domyślił się też, że w dłuższej perspektywie zostanie odsunięty. Ktoś musiał ponieść odpowiedzialność za śmierć Juliana.

Przystał na to. Trumna Juliana miała być ochraniana przez żołnierzy straży cesarskiej, a nowy cesarz dał rozkaz odwrotu. Rzymianie mieli przecież kampanię wygraną po dwóch bitwach, w których Julian pokieroszował siły perskie. Jednak teraz ten manewr był trudny, ponieważ

wieść o śmierci cesarza rozniosła się po okolicy i z pewnością dotarła już do wroga. Po kilku dniach względnego spokoju, gdy rzymskie wojska sformowały kolumny marszowe i zaczął się zorganizowany odwrót, pojawili się Persowie. Na niekończących się płaskich równinach jak gdyby znikąd znów pojawili się konni żołnierze króla królów. Zmieniła się też ich taktyka – zbliżali się na odległość strzału, puszczali cięciwę i odjeżdżali.

Straty rosły. Zaczęło brakować wody, ponieważ Jowian wybrał krótszą drogę, która wiodła w stronę Eufratu, a nie dłuższą, przez ziemie dawnej Asyrii, którą obrał Julian. Jednak ta trasa, w teorii łatwiejsza i krótsza, okazała się koszmarem. Armia Szapura II zastąpiła drogę umęczonym Rzymianom na wysokości brodu na Eufracie. Gdyby żył Julian, z mieczem w ręku obchodziłby każdy legion, zachęcając do walki. Jednak Jowian tego nie uczynił. Nikt go nie widział przed bitwą. Stało się jasne, że Rzymianie, chcąc zachować życie, muszą się przebić przez piechotę, ciężką jazdę i – co budziło największe przerażenie – oddział wykorzystujący kilkanaście słoni bojowych z wieżyczkami pełnymi oszczepników.

Wojsko natarło z pasją, bo wszyscy wiedzieli, że walczą nie o honor cesarza ani o pomszczenie poprzednich klęsk, ale o swoje życie. Uderzenie Rzymian było błyskawiczne i straszne, choć biegnąc z tarczami naprzeciw perskiej linii, narażali się na straszny ostrzał łuczników. Jednak potem nastąpiło zwarcie, straszne i zaciekle. Mąż raził mieczem męża, kłuły włócznie, topory cięły i miażdżyły czaszki, przewracały się konie wraz z jeźdźcami... A Rzymianie nieustraszenie, powoli, ale skutecznie parli naprzód, spychając Persów na boki. Największym problemem były słonie tratujące szeregi na swej drodze. Dopiero za pomocą długich włóczni udało się zranić zwierzęta na tyle ciężko, że – oszalałe z bólu – zaczęły deptać perskich piechurów.

Ammian nigdy nie przeżył jeszcze tak ciężkiej bitwy. Zdał sobie sprawę, gdzie się znajduje dopiero wtedy, kiedy trafił na drugi brzeg, z mieczem czerwonym od krwi, ze strasznym bólem w płucach. Długo musiał szukać swoich ludzi. Gdy ich znalazł, upewnił się, że większość armii zdołała się przebić i jest bezpieczna. Rzymianie ponieśli jednak ogromne straty –

zginęło wielu oficerów, kilkuset żołnierzy. Dalsza droga pełna była zasadzek, ataków perskich konnych łuczników. Codziennie ktoś ginął. Zwycięska wyprawa okazywała się kolejną przegraną.

\*

Po kilku dniach rozeszła się wiadomość, że cesarz Jowian podpisał z Persją traktat pokojowy na lat trzydzieści.

– Jakie są warunki? – zapytał Ammian komesa Sebastiana, który rozmawiał właśnie z dwoma negocjatorami – oficerem Salcucjuszem i komesem Arynteuszem.

Ammiana nie wybrano do zespołu negocjacyjnego, bo choć znał biegle język perski, kojarzono go z ludźmi zmarłego cesarza, a to po prostu nie zjednywało mu przyjaciół. Poza tym był wyznawcą bogów, a Jowian anulował już wszystkie edykty Juliana przeciwko chrześcijanom, w tym te najdotkliwsze, które zabraniały im nauczania w szkołach i na uczelniach. Wszystko zaczęło wracać na swoje miejsce.

Komes Sebastian, który cenił sobie Ammiana za profesjonalizm i umiejętności dyplomatyczne, rzekł smutno:

– Oddaliśmy wszystkie ziemie położone za Tygrysem oraz Mezopotamię wraz z Nisibis, Amidą i Singarą. Nie będziemy już wspierali Armenii.

– Ależ to skandal! – krzyknął wzburzony Ammian. – Godziłoby się walczyć jeszcze lat dziesięć we krwi i znoju, niż oddać choćby jedną twierdzę.

– Wiem, ale nie mieliśmy wyboru. Cesarz nie chce tej wojny.

– A czego chce?

– Pokoju. Chce zająć się zranionym Kościołem i umocnić swoją władzę.

– Kościołem? – Ammian nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. – Cesarz Jowian może umocnić swoją władzę i dynastię, jeśli zwycięży Persów. Przecież Szapur Drugi, którego tak pokiereszowaliśmy, nie odpuści wam niczego, gdy tylko jego armia zaleczy rany. Ten traktat to zaproszenie, żeby Persowie zabrali Syrię!

Ammian nie mógł się z tym pogodzić i zaczął się zastanawiać, czy nie odejść z armii, zaszyć się gdzieś i przeczekać.

– Nie będę przed tobą ukrywał, że noszę się z zamiarem odejścia z armii.

Komes Sebastian tchórzem nie był, ale nic na to nie odpowiedział. Robił dobrą minę do złej gry. Jednak Ammian był pewny, że jego słowa zostaną przekazane dalej.

\*

We wrześniu 363 roku armia cesarza Jowiana i on sam dowlekli się do Edessy, gdzie zgromadzono żywność i zaopatrzenie. Tam też Ammian spotkał Ursycyna, który przez cały czas kampanii to wszystko organizował. Nie musieli nic mówić. Dla Ursycyna przebieg kampanii perskiej poskutkowało ostatecznym zakończeniem jakichkolwiek kontaktów z armią. Jako poganina zwolniono go w trybie natychmiastowym.

– Dziwne, że mnie jeszcze nie zwolnili. – Ammian się zamyślił.

– Może masz talenty, które przydadzą się nowemu cesarzowi. Znasz perski. Jednak chcę, żebyś mi powiedział, jak to było z Julianem.

Ammian westchnął boleśnie. Opowiedział o włóczni i o tym, że rzucono ją nie wiadomo skąd, podczas gdy Julian znajdował się w dużej odległości od perskich żołnierzy. To prawda, że król Szapur II nie ufundował nikomu nagrody za zabicie rzymskiego cesarza, a i żaden z Persów nie odważył się przypisać sobie tego czynu. Wniosek był jeden, ale żaden z nich nie chciał tego otwarcie przyznać.

– Wiesz, co mówią chrześcijanie? – zapytał Ursycyn. – Że ta włócznia to był dopust Boży.

– Z woli Boga miało się wydarzyć już tak wiele! Jego wolą mają być trzęsienia ziemi, jak w Nikomedii, co dowodzi, że nie jest miłosierny. Albo tego, że chrześcijanie wierzą w bóstwo, którego nie ma.

– Twoje wnioski, Ammianie Marcellinusie, są jak zwykle logiczne, ale tutaj nie chodzi o to, które z bóstw są bardziej logiczne, ich czy nasze. Zmienia się Rzym, zmienia się świat, zmieniają się wartości – mówił Ursycyn. – To nie jest już mój świat. Dlatego odsuwam się w cień. Chcę

widzieć, jak dorasta mój syn. Ma na imię Potencjusz. Wracam do rodziny koło Tarsu. Będę w jakimś stopniu blisko Juliana, który ma tam zostać pochowany.

– Odwiedzę to miejsce i ciebie, przyjacielu.

Pożegnali się serdecznie. Nie mieli bowiem pewności, czy kiedyś jeszcze się zobaczą.

\*

Rzeczywiście odejście z armii nie było tak proste, jak by się mogło Ammianowi wydawać. Cesarz Jowian przebywał w Antiochii, w rodzinnym mieście oficera, i wezwał go na rozmowę.

– Dochodzą mnie słuchy, że i ty, tak znakomity oficer, chcesz mnie opuścić.

Ammian postanowił, że najgorsze, co można zrobić, stojąc przed władcą, który i tak zna prawdę, to zataić ją. Nie chciał tego uczynić.

– Tak, *domine*. Nie widzę sensu, by dalej być w armii. Mój czas minął. Jak wiesz, jestem wyznawcą dawnych bogów i nie ukrywam tego, że byłem bardzo zaangażowany w panowanie Juliana. Teraz może to wielu razić na twoim dworze.

Jowian wysłuchał go ze spokojem.

– Wiem, że śmierć Juliana dotknęła cię bardzo. Jednak życie toczy się dalej. Potrzebuję cię dalej jako oficera łącznikowego z Persami. Jesteś jedną z niewielu osób, które posiadły ich język w stopniu doskonałym. Chcę, abyś został.

Ammian zawahał się. Spodziewał się, że chrześcijański cesarz szybko i chętnie pozbędzie się poganina. Ale wnikliwy obserwator, którym wszak Ammian był, zauważył, że w osobowości Jowiana zaszła jakaś zmiana. Przed wyborem dokonany przez armię wydawał się człowiekiem spokojnym i zrównoważonym. Teraz Ammian dostrzegł w nim jakąś nerwowość, wahanie, miotanie się wewnętrzne.

– To dla mnie zaszczyt, że władca prosi, a nie rozkazuje.

– Tak, proszę o to, ponieważ jestem otoczony wrogami i spiskowcami, którzy nie chcą mojej sukcesji. Potrzebuję ludzi, którym mógłbym zaufać.

– Czy ja, poganin, jestem takim człowiekiem? – zapytał zdziwiony Ammian.

Cesarz wstał. Źle się czuł w pałacu Juliana. Popatrzył na oficera z góry.

– Właśnie dlatego to musisz być ty. Potrzebuję kogoś, kto stanie się moim osobistym kurierem do zwaśnionych biskupów. Nie lękaj się. Właśnie dlatego, żeś jest starej wiary, nie będą cię podejrzewać o podstęp. Odczuwam ogromną presję skłóconych biskupów, naciskają na mnie.

– W jakim celu, *domine*?

– Domagają się, abym zabronił wszystkich kultów poza chrześcijańskim, ale jednocześnie miałbym również wygnać tych chrześcijan, którzy trzymają stronę Ariusza. Lub przynajmniej zabronić im głosić swoje poglądy. Ja jednak nie chcę tego zrobić. Pragnę po powrocie do Konstantynopola przygotować edykt tolerancji dla wszystkich wyznań i religii w całym imperium. Będzie to doniosły akt, który dorówna temu, który przed pięćdziesięciu laty opublikował Konstantyn Wielki. Chcę przejść do historii, zapisać się jako władca, który dał ludziom wolność religijną. Ów edykt nazwę *Constitutio Ioviana*.

Ammian zaniemówił na chwilę. Uważał Jowiana za człowieka spokojnego, słabego, który nie odważy się podważyć statusu Kościoła, ponieważ utrzymanie polityki tolerancji mogło oznaczać szansę dla wszystkich na pokój religijny, jakiego imperium nie doświadczało od czasów edyktu Konstantyna. Poczuł, że nie może odmówić władcy.

– Dobrze, zostanę.

– Cieszę się. Nie odstępуй mnie – rzekł Jowian.

– Chciałbym prosić, abyśmy w trakcie pochodu do Konstantynopola zatrzymali się w Tarsie. Tam jest grób Juliana. Chciałbym go odwiedzić.

– Oczywiście.

Niedaleko miasta Tars, które jak na ironię było przecież miastem apostoła chrześcijan, pochowany został cesarz Julian. Ammian miał szansę być sam przy jego grobie. Dotknął dłonią ściany.

– Wraz z tobą odeszło wszystko, co najlepsze w naszym świecie. Nie mam prawie nadziei, że świat naszych wartości przetrwa, że przeżyje fale barbarzyńców, którzy są między nami, i tych, którzy dopiero nadejdą. Żałuję, że nie mogłem cię ochronić.

Zapłakał. Przyniosło mu to ulgę.

– Nasz świat umiera, Julianie, a ty miałeś piękne marzenie, by go zatrzymać, zawrócić z drogi do upadku, zniszczenia wszystkiego, co znamy i kochaliśmy. Stoa Poikile w Atenach, gdzie się uczyłeś filozofii, i forum w Rzymie, świątynia Westy, kuria juliańska... Znikną, strawi je ogień barbarzyńców, którzy nadchodzą.

To dziwne, ale Ammian miał wrażenie, że ktoś go słyszy. Czuł to wyraźnie w swojej duszy, udręczonej wojnami, nieszczęściem i Rzymem, który podcinał swoje własne korzenie.

– Jedyne, co mogę ci obiecać, przyjacielu, to to, że przetrwasz na kartach historii, którą spiszę. Napiszę prawdę, żeś był mężem szlachetnym i odważnym. Tyle mogę dla ciebie zrobić.

Odpowiedziała mu cisza. Nie wiedział, że nadejdzie czas, gdy po grobowcu Juliana koło Tarsu nie zostanie nawet ślad, że zmiecie go warkocz czasu. Ale nie wiedział też, że Julian nadal będzie żył w ludzkiej pamięci – dzięki jego księdze.

\*

Minęły cztery miesiące. Nadzwyczaj trudne dla Ammiana. Jednak starał się bardzo, pozostając na służbie, dobrze służyć nowemu cesarzowi. Jowian powoli przekonywał go do siebie. Był to człowiek z natury skromny i pobożny. I te cechy zachował jako cesarz. Jego orszak przemieszczał się wolno ze wschodu, bo chciał on przede wszystkim poznawać kraj, ludzi i ich problemy. W Azji Mniejszej dochodziły go słuchy, że biskupi katoliccy i ariańscy kłócą się, co jeszcze bardziej go przygnębiło. W Galii



doszło do próby przewrotu, ale uzurpatora zabił znakomity oficer Walentynian, którego – co ciekawe – Julian zwolnił niegdyś z armii jako wyznawcę Chrystusa. Walentynian zapanował nad prowincją, dokonując koniecznych egzekucji. Stawił się przed Jowianem i zapewnił go o swojej wierności. Ammian miał o nim dobre zdanie. Był to wzorowy żołnierz, energiczny, choć nieco narwany, a w sprawach religijnych – niezwykle gorliwy. Dość dobrze wykształcony, choć nie znał języka greckiego. Miał też brata, Walensa, człowieka bez talentów, podejrzliwego i raczej ograniczonego – jednak zawsze bezwzględnie wiernego. Ammian spotkał obu braci w Mediolanie jeszcze za panowania Konstancjusza II. Do Walentyniana zachował szacunek i sympatię, do Walensa – nie.

\*

Ten ranek nie zapowiadał się inaczej niż zwykle. Ammian wyspał się dobrze, zjadł śniadanie i obmył się w misce z wodą. Ubrał się w swój strój oficera. Przebywali w miejscowości Dadastana na granicy Cylicji i Bitynii. Był to tylko przystanek na drodze do Konstantynopola. Zdziwiło go dopiero, gdy zobaczył, że wokół budynku, w którym cesarz Jowian zatrzymał się na wypoczynek nocny, słudzy i żołnierze biegali we wszystkich kierunkach.

– Czy oni zwariowali?

Ammian ruszył w tamtą stronę. Zauważył, że nie wyglądało to na gorączkowe przygotowania do cesarskiego śniadania. Zatrzymał jednego ze służących, jakiegoś greckiego chłopaka.

– Cesarz nie żyje!

Dopiero wtedy Ammian dostrzegł przerażenie na twarzy chłopaka. W pierwszej chwili pomyślał, że to niemożliwe, ale ruszył w stronę willi, którą jakiś bogacz wybudował sobie w tej miejscowości. Wszedł do środka. Pokój był świeżo wybielony, ale uwagę Ammiana przykuło coś innego – w palenisku wciąż znajdowały się węgle. Cesarz Jowian leżał na łóżku, wyglądał, jak gdyby spał. Ammian zauważył silnie różowe

zabarwienie jego skóry na twarzy. Mimo wszystko była to jednak twarz martwego człowieka. Śmierć musiała zaskoczyć go podczas snu.

\*

Ammian czuł się strasznie, jak gdyby ziemia umykała mu spod nóg. Co za rozpacz! Śmierć Jowiana zmieniała wszystko. Nikt miał się już nigdy nie dowiedzieć, co się stało. Czy cesarz zatrzał się czadem? Czy może ktoś go otrzał? Śledztwo w tej sprawie natychmiast przejął Walentynian, który go przecież nie odstępował. Jako dowódca elitarniej formacji tarczowników kontrolował teraz wszystko. Do Konstantynopola już rankiem wyjechali gońcy z informacją o zgonie nowego władcy. Ammian miał dość. Ostatnie miesiące wyczerpały go fizycznie i psychicznie.

Wrócił do siebie i się spakował. Dożytku miał niewiele. Załadował wszystko na konia jucznego. Zabrał też swojego. Wobec całkowitego chaosu, jaki zapanował, Ammian uznał, że się poddaje. Odchodzi ze służby. Wsiadł na konia i ruszył przed siebie.

Właśnie zaczął padać deszcz.

# CZEŚĆ TRZECIA

## ROZDZIAŁ XXI

### *Nowy, groźny świat*

#### *ZIEMIE GOTÓW, NA PÓŁNOC OD DUNAJU, 375 ROK*

Od wielu dni padał deszcz. Gudrum, którą ongiś na krótko pokochał Ammian Marcellinus, była teraz królową Gotów. Jednak po śmierci Filimera nie potrafiła sama zjednoczyć wszystkich odłamów wielkiego plemienia. Król spoczął w kurhanie razem ze swoim ulubionym wyposażeniem, bronią, ozdobami. Gudrum zadbała o to, by jej syn Fritigern objął rządy nad jak największą ilością klanów Gotów. Nie wszyscy przyjmowali jego władzę, ale nikt nie kwestionował pochodzenia. Filimer uznał go przed dwudziestu laty za swojego syna, a jego matkę wziął za żonę. Wypominano mu jednak, że urodził się z niewolnej, co miało mieć znaczenie – byli przecież kuzyni króla, jego dalsza rodzina, a tam synowie niewolnic mieli mniej do powiedzenia od synów wolnych kobiet.

Wśród Gotów zaczęła się walka o władzę – kilka lat chaosu, niepewności i waśni wewnętrznych. Jednak chłopak rósł. Matka nieustannie szeptała mu do ucha o jego pochodzeniu i potrafiła zjednać sobie dawnych stronników króla, by go chronić. Młody książę ćwiczył się w sztuce wojennej i nabierał umiejętności potrzebnych wojownikowi. Jednak Gudrum nie mogła przekonać wiecu, podstawowej władzy wszystkich

Gotów, do tego, by wybrali jej syna Fritigerna na swego króla. To musiała być decyzja wojowników, a nie kobiet.

Okazja nadarzyła się kilka miesięcy wcześniej. Do Gotów zachodnich, czyli Wizygotów, doszły alarmujące wiadomości od bratnich społeczności – posługujących się tym samym językiem, ale wciąż nieochrzczonych Gotów wschodnich, czyli Ostrogotów – o jakimś nieznanym wcześniej przeciwniku. Trudno było w tych plotkach dostrzec jakieś źdźbło prawdy. Opowieści były bowiem nad wyraz niesamowite – o zastępach ciągnących bez końca zza wielkiego stepu, który ponoć istniał na wschodzie kontynentu. Rzecz jasna u Wizygotów nad Dunajem nie dawano temu wiary, raczej skłaniano się ku tezie o wyolbrzymianiu niebezpieczeństwa. Wówczas Fritigern powiedział matce:

– To dla mnie szansa. Chcę sprawdzić się jako wojownik i zwiadowca.

Cóż Gudrum mogła powiedzieć? Syn był dorosły i zdecydował. Musiała się zgodzić, ponieważ nawet gdyby się nie zgodziła, i tak by pojechał. Jego milczenie przez kilka miesięcy sprawiło jednak, że zaczęła się niepokoić. Zwłaszcza że coraz liczniej pojawiali się uchodźcy. Plotki się wzmacniały.

Któregoś dnia w mieście Gotów w dawnej rzymskiej prowincji Dacji pojawili się konni wojownicy. Na sam ich żałosny widok wielu mężczyzn i kobiet przerwało codzienne czynności. Przybyli wprost wlekli się na koniach. Jeden z nich był ranny, głowę miał obwiązaną jakąś szmatą. Ktoś z Gotów krzyknął:

– To przecież nasi!

Faktycznie, był to Fritigern i jego ludzie. Trudno było go poznać. Jednak gdy tylko zaciekawieni mieszkańcy ich otoczyli, zakrzyknął:

– Zwołajcie wiec!

Oddał konia jakiemuś stajennemu i poszedł w stronę dużego drewnianego domostwa pokrytego strzechą, gdzie mieszkała jego matka. Padli sobie w objęcia.

– Nie masz pojęcia, matko, co nas czeka.

– Nie strasz mnie – odparła Gudrum.

– Nigdy nie widziałem, by ktoś tak walczył. Są ich tysiące, nie zliczysz. Idą od strony stepu, ze wschodu. Nasi bracia Wizygoci nie mogą ich zatrzymać.

– Co ty opowiadasz, synu? Mówisz jak obłąkany!

Gudrum nie chciała urazić syna, którego duma nie pozwalała mu znieść żadnych słów krytyki. Stanowiło to z jednej strony jego zaletę, ale z drugiej – mogło przerodzić się w wadę. Znała go. Ale teraz był jak obcy. Miał w oczach śmierć.

– Widziałem ich. Zabiłem jednego w bitwie, którą Ostrogoci im wydali. Walczyliśmy i polegliśmy. Potrafisz policzyć, matko, gwiazdy na niebie?

– Nie, jest ich zbyt wiele – odrzekła Gudrum.

– Tyłu ich jest. To dzicy ludzie, którzy walczą na koniach, a wszystko, co im jest potrzebne do życia, ciągną na wozach. Są z nimi ich kobiety i dzieci. Nazywają się Hunami.

Gudrum przeraziła się słowami syna.

– Czego chcą?

– Chcą wszystko zniszczyć, chcą zabrać naszą ziemię, nasze życie.

Fritigern wyruszył na tę bitwę młodzieńcem, a wrócił mężem. Dopiero teraz Gudrum to zobaczyła. Nigdy wcześniej nie widziała syna tak bardzo zmotywowanego do działania.

– Musimy ocalić nasz lud.

– Jak chcesz tego dokonać? – zapytała z obawą.

– Poprosimy o pomoc Rzym. To przecież potęga. Wiele razy zapewniali nas, że jesteśmy na tym brzegu rzeki ich sojusznikami, więc niech to udowodnią.

Tymczasem zwoływano wiec.

Zjawiły się setki mężczyzn. Fritigern wyszedł na środek. Podstawiono mu drewnianą ławę, żeby wszyscy go lepiej widzieli.

– Ludzie, proszę, wysłuchajcie mnie – zaczął. – Byłem świadkiem inwazji na naszych braci ze wschodu. W życiu nie widziałem czegoś tak przerażającego. Najeźdźcy posługują się konnymi oddziałami, są uzbrojeni w łuki i przerażająco celnie z nich strzelają.

– Kim są? Skąd są? – odezwały się głosy mężów gockich.

– Idą z głębi łądu. Ostrogotów pokonali bez trudu i nasi kuzyni cofają się w naszą stronę. Inne ludy też się ruszą, Wandalowie, Gepidowie, Frankowie, Rugiowie i wiele innych. Uważam, że powinniśmy powiadomić Rzymian, aby nam pomogli.

Fritigern zdawał sobie sprawę z tego, że to może być bardzo trudne, ale nie miał wyboru. Był tylko synem starego króla, a nie ich władcą. Wiedział, że wybiorą go dopiero, kiedy na to zasłuży. Dwaj cesarze, bracia Walentynian I oraz Walens, nie byli wcale usposobieni pozytywnie do Gotów. W 369 roku Walens przeprowadził na ziemie Wizygotów najazd, zniszczył wiele osiedli, zabił wielu wojowników i uprowadził moc kobiet i dzieci, aby osiedlić je na ziemiach Mezji Górnej jako kolonistów. Potem zawarto rozejm. Jednak teraz Fritigern, widząc nowych najeźdźców, zdawał sobie sprawę, że Wizygoci nie przetrwają, jeśli pozostaną tam, gdzie byli.

– Ludzie, musimy prosić Rzymian, by pozwolili nam osiąść w Mezji. Jestem gotów pojechać do Konstantynopola.

Jego propozycja spotkała się ze zrozumieniem. Ustalono, że Goci wyślą do Nowego Rzymu nad Bosforem poselstwo.

\*

## *NAISSUS, RZYMSKA PROWINCJA MEZJA, KILKA TYGODNI PÓŹNIEJ*

Biskup Wulfila był już w zbyt sędziwym wieku, by wieść jak przed laty samotne życie w skicie wśród gór w Mezji. Przeniósł się do Naissus, dużego miasta, i zamieszkał przy tamtejszym kościele ariańskim. Cieszył się powszechnym szacunkiem i uznaniem zarówno Rzymian, Greków, jak i barbarzyńców. Ludzie przychodzili do niego po radę. Spowiadali się u niego. Był dobry, łagodny i działał na rzecz porozumienia między Rzymianami i swoimi pobratymcami. Jego marzeniem było, by Rzym,

wchłaniający i asymilujący wszystkie narody z całego imperium, stał się chrześcijański i jako taki wchłonał także Gotów i inne ludy, nad którymi nawróceniem sędziwy biskup z oddaniem pracował przez długie lata, tłumacząc Pismo Święte na język gocki za pomocą stworzonego przez siebie alfabetu. Czy nadzieje Wulfili były płonne? Kościół chrześcijański był przecież stworzony do przekraczania granic innych kultur nie na podstawie ich *ethnosu* czy polityki, ale wiary w Chrystusa.

– Czcigodny biskupie, przybyli do ciebie goście z ludu Gotów – rzekł po łacinie młody ksiądz ariański.

Wulfila był pogrążony w medytacji. Czuł swoje lata i spodziewał się, że już niedługo stanie przed Panem. Nie bał się tego spotkania. Bałby się, gdyby nie miał w dłoniach nic, a on miał wiele. W jego umyśle zabrzmiały ostatnie słowa – *ex natione Gothorum*. Ocknął się z medytacji.

– Któż mógłby chcieć ze mną rozmawiać?

– Jakiś księżę gocki z matką i liczni jeźdźcy.

Wulfila wstał z kolan i udał się na spotkanie przybywających. Oczywiście nie pamiętał ani Gudrum, ani tym bardziej Fritigerna. Jednak księżę, wychowany wśród panteonu gockich bogów przez Gudrum, która na chrześcijaństwo nie przeszła, wiedział, z kim ma do czynienia.

– Czcigodny ojcze, przybyłem do ciebie, aby przyjąć chrzest w twoim Kościele – oznajmił Fritigern.

– Kto się chrzci za życia, dostępuje chwały Bożej – odparł Wulfila. – Moje oczy są już stare i mnie zawodzą. Przybliź się, abym mógł poznać, kim jesteś.

– Nazywam się Fritigern i jestem synem króla Filimera, którego miałeś zaszczyt znać.

– W istocie, pamiętam go. Pomagał mi rozwijać prawdziwą wiarę wśród Gotów.

– Jeśli zatem pamiętasz mojego ojca, chciałbym cię prosić o radę – rzekł Fritigern.

Stary kapłan zaprowadził gościa do atrium budynku przynależącego do wspólnoty ariańskiej w Naissus. Tam usiedli przy fontannie. Fritigern

opowiedział o swojej kampanii przeciwko Hunom. Nakreślił przerażający obraz najeźdźców – bezlitosnych pogan, interesujących się jedynie rabunkiem, żyjących w symbiozie z końmi, na których się załatwiają, uprawiają miłość, jedzą, śpią i walczą. Według gockiego księcia było ich tylu, ile gwiazd na niebie, a choć książę nie miał pojęcia, jaka to liczba, była z pewnością bardzo duża. Zwierzył się ze swoich obaw. Lud jest podzielony, nie wszyscy wiedzą o zagrożeniu, ale szybko się przekonają, bo uciekający przed Hunami kuzyni Ostrogoci wypchną przecież Wizygotów z ich siedzib nad Dunajem.

– Co mam robić? – zapytał książę.

– Nie jesteś królem naszego ludu?

Fritigern zaprzeczył.

– Posłuchaj mnie. Władzy królewskiej nie zdobywa się morderstwem, ale przekonaniem swoich, że tytuł ci się należy. Nie tylko na podstawie urodzenia, ale także na podstawie waleczności, sprytu i tego, co ja nazywam zdolnością do polityki – rzekł Wulfila. – Ja nauczyłem się żyć w świecie Rzymian. Znają mnie oni i ja znam ich. Rzymscy arianie mnie szanują, a wśród katolików też mam znajomych.

– Jaki z tego wniosek dla mnie?

– Musisz zrobić coś dla swego ludu – odparł Wulfila. – Jeśli jest tak, jak mówisz, i Hunowie stanowią tak wielkie zagrożenie, w co nie mam prawa wątpić, trzeba dotrzeć do rzymskich kręgów decyzyjnych.

– Do cesarza?

– Tak, do niego. Na szczęście panuje w Konstantynopolu Walens, a on jest arianinem jak ja. I rzeczywiście mogę się z nim skontaktować. Nie odmówi mi audiencji.

– Czy mógłbyś to zrobić dla naszego ludu?

– To zależy, jaki jest twój pomysł.

– Chciałbym bardzo, aby nasi ludzie mogli się osiedlić w Mezji, która jest wyniszczona przez wojny, jako sprzymierzeńcy Rzymu. Będziemy płacić trybut i rocznie dostarczać dla wojska cesarskiego mężczyzn.



Wulfila ożywił się. Ten pomysł oznaczał, że ziszcza się jego wizja, której zawsze pragnął całym sercem. Goci staną się braćmi Rzymian. Oba ludy łączy wiara chrześcijańska, a dzięki cesarzowi Walensowi arianizm może zatryumfować nad katolicką wizją trzech bogów w jednym Bogu, która jakoś specjalnie nigdy Wulfili nie pociągała.

Uzgodnili więc, że stary apostoł Gotów wybierze się do Konstantynopola razem z poselstwem Gotów.

\*

Konstantynopol zrobił na Fritigernie, który nigdy wcześniej nie widział rzymskiej stolicy, wstrząsające wrażenie. Takiego bogactwa, przepychu, wielkich budowli, luksusowych pałaców jeszcze nie oglądał. Poczł się w sercu kimś gorszym i zaczął rozumieć, dlaczego Rzymianie uważają go za mniej znaczącego człowieka, ulepionego z innej materii. Poczł respekt przed imperium. Mając taką stolicę, państwo jest niezmierzone w swej potędze – pomyślał germański książę. Polegał we wszystkim na radach Wulfili. Po przybyciu do miasta udali się do siedziby patriarchy Konstantynopola Demofila, który sprawował urząd od 370 roku i był arianinem o wielkim poważaniu dla Wulfili.

Patriarcha przyjął ich gościnnie i z wyraźnym zainteresowaniem wypytywał Gotów o różne aspekty ich chrześcijańskiego życia, a ci chętnie odpowiadali. Wulfila serdecznie się z nim przywitał.

– Chciałbym, bracie, zobaczyć się z cesarzem w sprawie niecierpiącej zwłoki – rzekł do Demofila.

– Czy mógłbym wiedzieć, czego dotyczy ta sprawa? Będzie mi łatwiej użyć moich kontaktów na dworze cesarskim.

Wulfila wiedział, że Demofil jest piekielnie ciekawy. Nie miał zamiaru ukrywać przed nim prawdy.

– Muszę zobaczyć się z cesarzem w sprawie bezpieczeństwa granicy. Wydaje się nam, a właściwie jesteśmy już pewni, że nadciąga nowy nieprzyjaciel, dziki, okrutny i bezwzględny. To Hunowie. Proszę, abyś zaaranżował spotkanie z cesarzem najszybciej, jak to jest możliwe.

Patriarcha zgodził się pośredniczyć w uzyskaniu audiencji. Jednak okazało się, że cesarz Walens wyjechał do odbudowywanej z mozołem Nikomedii i w związku z tym spodziewano się jego powrotu dopiero za kilka dni. Goci musieli więc poczekać.

Wówczas Gudrum zdecydowała się rozmówić z apostołem jej ludu.

– Czy będziesz rozmawiał z kobietą? – zapytała otwarcie w jednym z ogrodów patriarchy.

Wulfila uśmiechnął się. Całe szczęście, że te sprawy już za mną – pomyślał.

– Wiesz, co to za kwiaty? – zapytał ją.

– Nie. Co to ma wspólnego z moim pytaniem, święty człowieku? – zdziwiła się Gudrum, która nie wiedziała, jak się zwracać do biskupa.

– To róże damasceńskie – rzekł starzec. – Są piękne, ale mają kłujące kolce. Widzisz, to jest powód, dla którego mężczyźni tacy jak ja boją się kobiet takich jak ty.

– A więc się mnie boisz?

– Oczywiście – odparł bez namysłu Wulfila.

– Ale wysłuchasz mnie?

– Przecież to czynię – odpowiedział apostoł Gotów.

– Czy jest jakiś Rzymianin, który przemówiłby ich cesarzowi do rozumu, jeśli twoja kościelna dyplomacja zawiedzie?

Pytanie, jakie zadała niewiasta, nie okazało się ani głupie, ani pozbawione sensu. Było rozsądne. Wulfila o tym wcześniej nie pomyślał. Teraz zaczął się nad tym zastanawiać. I nagle Gudrum powiedziała coś, co sprawiło, że zaczął dziękować Panu za to, że stworzył też kobietę.

– Czy pamiętasz, jak przed dwudziestu laty, kiedy byłam jeszcze niewolnicą, przyjechałeś do nas z Rzymianinem?

– Tak, kobieto. Nazywał się Ammian Marcellinus i był jedynym spośród nich, który mnie rozumiał. Pomógł mi w tłumaczeniu z greckiego świętych tekstów.

– Czy on mógłby pośredniczyć między Rzymianami i Gotami? Mój syn potrzebuje kogoś takiego.

– To nie jest zła myśl – rzekł po namyśle Wulfila. – Niech będzie błogosławiony Pan, że podsunęłaś mi tę myśl. Jednak i ty masz do odegrania swoją rolę.

Gudrum zdziwiła się.

– Co takiego miałabym uczynić?

Wulfila popatrzył na nią badawczo. Był pewny, że ona go wysłucha. Z miłości do syna.

– Musicie się ochrzcić. Ty i twój syn. Cesarz Walens nie będzie rozmawiał z poganami. To warunek *sine qua non* waszego powodzenia w Konstantynopolu.

Gudrum musiała uznać słuszność tej argumentacji.

– Porozmawiam z synem.

– Ja was ochrzczę. Musicie zostać katechumenami. To będzie mądre. Proszę, uwierz mi. Cesarz Walens będzie inaczej rozmawiał z ludźmi, którzy przyjęli jego wiarę ariańską, niż z poganami, których ma w pogardzie.

\*

Trzy dni później w baptysterium kościoła Świętych Apostołów w Konstantynopolu, pozostającego pod kontrolą arian, odbyła się uroczystość przyjęcia jako katechumenów Fritigerna, księcia Gotów, oraz jego matki Gudrum. Oboje mieli świadków, którzy zobowiązali się wziąć na siebie obowiązek pomagania im we wzrastaniu i utrzymywaniu świętej wiary. Chrzest nie był automatyczną czynnością – należało się do niego bardzo długo przygotowywać. Katechumen był już prawie chrześcijaninem.

Kilka dni później do Konstantynopola przybył cesarz Walens. Wulfila dotrzymał słowa i korzystając ze swoich wpływów na ariańskim dworze, umożliwił audiencję. Tego dnia po pałacu rozniosła się wieść, że przybył znaczny książę od Wizygotów, gotowy złożyć hołd cesarzowi i prosić Rzym o protekcję. *Jakie to miłe*, mówiono w krużgankach, *a tak niedawno Wizygoci toczyli z cesarzem wojnę nad Dunajem*. Oczekiwano

upokarzającego przedstawienia, jednak Fritigern zaskoczył Konstantynopol.

– Mów – powiedział do księcia cesarz Walens, siedzący na tronie Konstancjusza II, a wcześniej Konstantyna Wielkiego.

Obok cesarza stali urzędnicy, ministrowie, wszyscy z ciężkimi złotymi łańcuchami. Wokół nich w kolczugach, z lśniącą bronią – wspaniała *scholae palatinae*.

– Przybywam tutaj jako cenny sprzymierzeniec imperium – rzekł Fritigern, nie okazując wcale strachu przed potęgą Rzymu. – I chciałbym jako lojalny sprzymierzeniec ostrzec was wszystkich i ciebie przede wszystkim, wielki auguście, że zbliża się ze wschodnich wielkich przestrzeni kontynentu przeciwnik, jakiego żaden z was nie widział, a z którym walczyłem na ziemiach naszych kuzynów, Ostrogotów, to jest na ziemiach położonych na północ od morza, które wy, Rzymianie, nazywacie *Pontus Euxinus*<sup>[70]</sup>.

Szmer niedowierzania poniósł się wśród urzędników cesarskich. Po chwili Walens flegmatycznie i jak gdyby od niechcenia powiedział:

– Chłopcze, imperium i jego zasoby są niezmierzone.

Fritigern zaczerpnął powietrza i zrobił wydech. Emocje dawały o sobie znać.

– Wiem. I dlatego zwracam się do ciebie, wielki auguście, abyś pomógł nam w walce przeciwko wspólnemu wrogowi. To dzikusy, ludzie nieokrzesani, niemający żadnej kultury, okrutni poganie przepętnieni żądzą mordy i zniszczenia. Oni przyjdą na ziemie cesarstwa.

– Hunowie – rzekł Walens.

To zaskoczyło Fritigerna. Wymienił spojrzenie ze stojącym przy nim biskupem Wulfilą. Obaj nie docenili Rzymian. Stary Wulfila pomyślał o miejscach swojej młodości, o grecko-rzymskim Królestwie Bosporańskim na Krymie. Tam Rzymianie mieli przecież swoje oczy i uszy, tam udawali się uciekinierzy od Ostrogotów. Rzymianie o tym wiedzieli, ale nic z tym nie zrobili.

– Tak, *domine*, to Hunowie. Nasi wspólni wrogowie.

Cesarz Walens podniósł rękę. Nie należało dalej mówić. Teraz on miał coś ważnego do powiedzenia.

– Wiemy już o Hunach, ale w naszym przekonaniu nie zagrażą oni imperium przez kilkanaście następnych lat. Zajmą ziemie na północ do Dunaju, a nasza granica na wielkiej rzece jest bezpieczna. Jaka zatem jest twoja oferta, książe?

Wizygoci się tego nie spodziewali. Ich informacja nie była żadną nowością dla dworu konstantynopolitańskiego i samego cesarza Walensa. Cóż mieli do zaoferowania? Tak wielkie imperium i lud germański, który sobie chciał uwić gniazdo w jego siedzibie...

Fritigern wiedział, mimo młodego wieku, o jaką stawkę gra.

– *Domine* – odparł i zbliżył się nieco do cesarza, po czym skłonił się nisko. – Mogę obiecać trzy tysiące wojowników rocznie do obrony rzymskich granic, pod warunkiem że nasi ludzie będą mogli się osiedlić w Mezji Górnej. Będziemy stanowić naturalną ochronę przed wszystkimi wrogami.

– Muszę to rozważyć, chłopcze – powiedział cesarz. – Odpowiemy we właściwym czasie.

Walens wstał i udał się w towarzystwie ministrów do innej części pałacu. Fritigern czuł wściekłość, ponieważ Walens potraktował go jak uczniaka.

\*

Goci byli zawiedzeni. Fritigern cierpiał bardzo z powodu urażonej dumy, ponieważ cesarz nie potraktował go do końca poważnie. Nie wiedział, co ma czynić dalej. Jednak tego samego dnia przyszedł do niego Wulfila i rzekł mu:

– Walentynian Pierwszy zmarł na zachodzie. To właśnie ta wiadomość odciągnęła cesarza od rozmowy z tobą. To bardzo ważne.

Fritigern prychnął, dając wyraz swemu niezadowoleniu.

– Wyjeżdżamy – odparł gniewnie, ale Wulfila, widząc jego zachowanie, strofował go:

– Czy nie rozumiesz, że to wszystko zmienia? Walentynian Pierwszy był starszym bratem Walensa, jego prawą ręką, wszystkim. Teraz żyją młodociani synowie tamtego, Gracjan i Walentynian Drugi. To jeszcze dzieci, więc Walens będzie rządził całym imperium. I to jest dla ciebie, głupcze, szansa.

– Szansa?

– Tak, bo cesarz będzie potrzebował za wszelką cenę uspokojenia sytuacji nad Dunajem! Będzie musiał skupić się też na zachodzie. Dobrze to rozegraj. Za kilka tygodni Rzymianie zgłoszą się do ciebie. Możesz wyjechać z miasta najwyżej do Serdyki, a ja uruchomię człowieka, który przemówi Walensowi do rozumu!

– Kto to taki? – zdziwił się germański wódz.

– Wielki historyk i żołnierz, człowiek mądry i nietuzinkowy. Ale do tego celu muszę użyć twojej matki.

– Co moja matka ma z tym wspólnego?

Wulfila uśmiechnął się dobrotliwie.

– Otóż, wyobraź sobie, że ma bardzo wiele wspólnego.

## ROZDZIAŁ XXII

### *Mistrz i uczeń*

#### *ANTIOCHIA, PRZEŁOM LAT 375/376*

Ammian Marcellinus w ciągu ostatnich dwunastu lat zmienił się nie do poznania. Podróżował po imperium, ale nie potrafił na zawsze opuścić Antiochii. Kochał to miasto, w nim się urodził i uważał – może nazbyt naiwnie – że jest najwspanialsze na świecie. Mieszkał tam, pisał, sprowadzał rękopisy z różnych stron świata. Ale raz na dwa, trzy lata udawał się w podróż do Rzymu, gdzie też miał dom. Na pytanie, dlaczego nie walczy już w armii, odpowiadał: *Niech inni walczą teraz za mnie*. Gdy przyjaciele go pytali, dlaczego uparcie tkwi w błędach pogaństwa, mówił: *Barbarzyńcy zagrażają naszemu światu. Liczę na to, że chrześcijanie wezmą się do obrony cesarstwa, zamiast tracić czas na nadstawianie drugiego policzka*.

Jednak mimo licznych polemik zachował relacje z chrześcijanami. Podróżując po imperium, mógł wreszcie, jak niegdyś Hadrian, zobaczyć świat piękny i bardzo różny. Zwiedził w ciągu tych lat Egipt, Grecję, w tym wszystkie umiłowane miejsca Juliana, a w Atenach mimo swego wieku pochodził nawet na wykłady filozoficzne do Akademii Platońskiej. Odwiedził potem ruiny Kartaginy, Hiszpanię i Galię, by na dwa lata powrócić do Rzymu, do swego domu kupionego ongiś za czasów Konstancjusza II. Podróże nie służyły tylko rozrywce. Ammian nie był typem człowieka poszukującego zabawy. Zbierał materiały do swojego największego zamierzenia, jakim było napisanie historii Rzymu od początku okresu, który Rzymianie nazywali złotym wiekiem. Otwierało go panowanie Nerwy, i to był dla Ammiana punkt wyjścia. Zawitawszy

do Rzymu w roku 371, zastał tam jednego z najbardziej wpływowych ludzi Kościoła katolickiego, swego dawnego przyjaciela – Grzegorza z Nazjanzu.

Któregoś dnia, gdy pracował razem ze swoim wyzwolencem, który robił mu kwerendy w bibliotekach Rzymu, do jego domu zawitał ów niezwykle gość.

– Przybył do ciebie, panie, biskup Grzegorz z Nazjanzu – oświadczył służący.

Zdziwiło go to bardzo, ponieważ panowanie i śmierć Juliana poróżniły ich bardzo. Ammian nie chciał utrzymywać relacji z ludźmi manifestującymi radość na wieść o końcu tego wspaniałego cesarza, który jako jedyny próbował zatrzymać tryumfalny pochód chrześcijaństwa niszczącej symbolikę, wierzenia i chwałę Rzymu.

Nie lubił, gdy mu przerywano. W swoim pisaniu historii Rzymu doszedł już do czasów Dioklecjana, a zatem powstało pierwszych kilkanaście ksiąg. W owych czasach, gdy już powstał oryginał, autor zanosił go do większego zakładu, gdzie pracowali kopiści. Płacił właścicielowi warsztatu odpowiednią sumę i zamawiał liczbę kopii na papierusie – wedle uznania. Ammian zamówił ich sto, ponieważ na razie na tyle było go stać, a nie mógł mieć pewności, że jego styl spodoba się czytelnikom. Rozesłał te kopie do rzymskich intelektualistów, bibliotek, towarzystw historycznych. Odzew był niesamowity – chwalono autora za znakomity styl, ale zarazem wskazywano mu, że nie pisze łatwo, oj nie!

Teraz musiał przerwać pracę. Grzegorz z Nazjanzu zadał sobie dużo trudu, żeby odnaleźć go w Rzymie, starej stolicy, która słusznie uchodziła za jaskinię pogan. Był przecież jednym z kandydatów na stolicę w Konstantynopolu, ale nie miał szans jej objąć, dopóki wschodem rządził Walens, arianin. Grzegorz przybył więc na zachód szukać sprzymierzeńców przeciwko heretykom ariańskim.

– Widocznie ma jakiś cel – westchnął do siebie Ammian, który nie był wcale rad, że widzi dawnego przyjaciela.

– Nie zaprosisz mnie do środka? – rzekł Grzegorz z Nazjanzu, który przybył w towarzystwie małej świty, dwóch służebnych księży



w czarnych habitach.

Ammian nie chciał uchybiać starej rzymskiej cnotcie gościnności.

– Skoro przyjechałeś, wejdź, proszę.

Biskup rozejrzał się po willi. Spodobało mu się widoczne w głębi przestronne atrium, do którego wpadało światło słoneczne.

– Nieźle się urządziłeś – rzekł.

– Należy mi się po tylu latach służby państwu – odparł Ammian.

– Słyszałem, że piszesz teraz historię Rzymu. Wszyscy o niej mówią w mieście, nawet na Lateranie.

Tam znajdowała się siedziba biskupa Rzymu – papieża.

– To na Lateranie czytają pogańskich autorów? Ja się z moimi poglądami nie kryję – oznajmił Ammian.

– Czytają i komentują. Twoja historia Rzymu to bez wątpienia wydarzenie. Zwięzłość tekstu, dygresje w normie. Ale styl porównywany do Salustiusza i Cyncerona.

Ammian westchnął. Zbyt wiele ich dzieliło, by teraz powrócić do przyjaźni – wszystko to, co wydarzyło się po śmierci Juliana.

– Jak zacznę pisać o czasach nam bliższych, to przestanie wam się podobać. Widzę, że trudziłeś się w jakimś celu. Proszę, przejdźmy do atrium.

Tam usiedli. Służący Ammiana podał wino.

– Żeby było jasne, nie wybaczyłem ci tego, co haniebnie napisałeś o śmierci Juliana.

– Jesteś stronniczy – rzekł Grzegorz.

– *Zaiste, błogosławiona to była włócznia.* – Ammian zacytował z pism Grzegorza. – Obrzydliwe. Jakże nienawidziliście tego człowieka, który nie uczynił wam żadnej krzywdy! Nie było żadnych prześladowań, a czym jest wygnanie kilku biskupów, jeśli to samo i rzeczy jeszcze gorsze czynią cesarze chrześcijańscy. Ja zamierzam oddać Julianowi sprawiedliwość.

Grzegorz nie wiedział, co powiedzieć. Gdyby to był ktoś inny, mniej znany, bez większych sukcesów pisarskich i intelektualnych, z pewnością zrobiłby takiej osobie kazanie o wielkiej sile oddziaływania. Ale tutaj był

bezradny. O Ammianie zrobiło się głośno nie tylko z powodu jego pism historycznych, ale przede wszystkim z uwagi na poglądy. Jeśli chrześcijanie nie zdołali okiełznać i przekonać do siebie takiego intelektualisty, to znaczyło, że jeszcze nie wszystko dla starego świata wielkich bogów Rzymu było stracone.

– Nie mówmy o Julianie.

– Dlaczego?

– Wiesz, że to nas poróżni. Stałeś się bardziej konfrontacyjny.

– Nie, Grzegorzu – odparł Ammian. – Ty stałeś się bardziej nietoleracyjny.

Zapadła chwila kłopotliwej ciszy.

– Z czym przybywasz? – zapytał po chwili gospodarz.

– Mam do ciebie prośbę. Otóż pokazał się nam w Konstantynopolu świetny człek, bardzo utalentowany. Orygenes przeczytał w kilka dni, a to przecież świetna literatura teologiczna.

– Wybacz, Grzegorzu, będę szczery. Ja nie czytam waszych pism. Nie mam czasu, by czytać coś, w co nie wierzę. Znam Ewangelię, tłumaczyłem nawet Wulfili listy Świętego Pawła i pomagałem mu przełożyć je na gocki. Ale Orygenes nie będę czytał. Wolę Platona, Plotyna i dziesiątki naszych mistrzów.

Grzegorz wydawał się coraz bardziej zakłopotany.

– W jakiś sposób liczę na to – powiedział gość. – Nasz człowiek ma na imię Jan. Jest nad wyraz skromny i pobożny. Ale chcemy mu znaleźć wielkiego nauczyciela, który przekaże mu całą wiedzę Greków, oczywiście tę filozoficzną. Za jego lekcje filozofii u ciebie będzie płacić złotem biskup Rzymu.

– To spowolni pisanie mojej historii.

– To prawda, ale on może ci pomóc gratis. Nasi ludzie też mogą ci przepisywać kopie i nie musiałbyś za to płacić. Co ty na to?

Propozycja była kusząca.

– Ale nie będziecie mi narzucać, czego mam uczyć, a czego nie.

Grzegorz się uśmiechnął.

– Dobrze. Zobaczymy, czy zdołasz go przekabacić na swoje idole.

– Dla ciebie to wciąż kwestia przekonania kogoś do zmiany postrzegania świata. O ile znam Ewangelie, waszemu Jezusowi chodziło o coś innego niż wam teraz.

– A więc zgadzasz się? – zapytał Grzegorz, nie podejmując polemiki.

– Tak – odparł Ammian. – Będę uczył waszego najlepszego kleryka.

Tak zakończyła się ta dziwna wizyta. Ammian miał wrażenie, że zaczyna się w jego życiu jakaś nowa ścieżka i sam nie wiedział, dokąd go poprowadzi.

\*

Następnego dnia Ammian pracował ze swoimi kopistami od rana, aby wykorzystać dobre światło. Ów człowiek pojawił się niespodziewanie. Ammian zauważył go dopiero po pewnym czasie i zdziwił się, że gość nie powiedział nic, nie przerwał mu pracy, nie zaanonsował swojego przybycia. Był ubrany bardzo skromnie. Dobre sandały, tunika, spodnie, pas jak u mnicha. Ammian spojrzał także na jego podróżną torbę, z której wystawały rękopisy i tuby z papirusami. Młody człowiek, mający może ze dwadzieścia lat, delikatny zarost na twarzy. W jednej chwili historyk zdał sobie sprawę z tego, że ten człowiek przypomina mu Juliana z czasów, kiedy późniejszy cesarz przychodził na wykłady do Libaniosa w Antiochii.

– Jak masz na imię?

– Jan.

– Gdzie się urodziłeś?

– W Antiochii. Jestem twoim krajanem.

Te słowa jakoś stopiły serce Ammiana, który dziwił się sobie, że zgodził się ot tak, by uczyć człowieka, który zewnętrznie przypominał mu zmarłego i uwielbianego przyjaciela.

– Jak przypuszczam, przysłał cię do mnie biskup Grzegorz z Nazjanzu? – Historyk wolał się dopytać.

– W istocie. Opowiadał mi o tobie, panie, wiele bardzo dobrych rzeczy. Ammian się uśmiechnął.

– A mówił ci, że wyznają dawnych bogów?

– Mówił mi o tym w sposób zasmucający. Ja również smucę się z tego powodu.

– Dlaczego się smucisz?

– Bo odrzucasz jedyne światło tego świata, Chrystusa.

Ammian nic nie odrzekł. Nie mógł nic poradzić na to, że nie wierzył w światło swego ucznia. Ale polubił jego bezpośredniość. Jan nie wahał się pokazać swojej wiary, co samo w sobie było w porządku.

– Ja pokażę ci zatem inne światło.

Wyszli, zostawiając kopistów samych. Właśnie ukończył kolejną księgę swojej historii Rzymu. Postanowił od razu zabrać swego nowego ucznia do biblioteki w Antiochii, może nie tak wspaniałej jak ta w Serapejonie w Aleksandrii, ale zawierającej ogrom literatury greckiej i rzymskiej. Zaprowadził swego nowego ucznia do działu filozoficznego i wskazał mu półki pełne rękopisów.

– Ile widzisz książek?

– Nie umiem powiedzieć.

– Dlaczego?

– Jest tutaj tyle ksiąg, że nie umiem stwierdzić, ile ich jest.

– Kto je napisał?

– Grecy.

– I Rzymianie – dodał Ammian. – Nie zapominaj, że w dzisiejszym imperium Grecy i Rzymianie to jedno. Widzisz, Janie, to jest spuścizna naszego świata, grecko-rzymskiego. Skłamałbym, mówiąc, że przeczytałem wszystkie te książki. I wątpię, by był w Antiochii czynny filozof, który by znał całą tę spuściznę. To jest pamięć naszego świata.

– Te wszystkie księgi?

– Tak, mądrość świata stworzonego przez nas, Greków i Rzymian. A teraz wybac mi szczere pytanie.

– Możesz pytać. Jestem twoim uczniem.

– Ile jest Ewangelii?

– Cztery i te, które nie weszły do kanonu.

– Skąd zatem wiesz, że te cztery księgi natchnione dla chrześcijan zawierają mądrość większą od tej, którą stworzyło tysiąc lat naszej kultury?

Jan, który po latach miał zyskać przydomek Złotoustego, teraz nie umiał na to odpowiedzieć. Patrzył, bezradny, na swego nauczyciela z przekonaniem, że chrześcijanie nie mogą lekceważyć pogan. Muszą się od nich wciąż uczyć.

\*

Mijały kolejne tygodnie, a uczeń poznawał mistrza i odwrotnie. Uczyli się siebie nawzajem. To ważny proces, bo tylko w ten sposób można zdobyć czyjeś zaufanie, które jest podstawą relacji między uczniem i nauczycielem. Tak było, jest i będzie. Jan był bardzo pojętny. Z uwagą czytał wszystkie podsuwane mu przez mistrza dialogi Platona, choć spierali się zażarcie o *Timajosa*, o początek świata. Według Ammiana nie mogło być żadnego początku, bo kosmos i świat są wieczne i od zawsze istniały.

- Nieprawda. Świat i kosmos stworzył Bóg.
- A z czego je stworzył?
- Z niczego.

Ammian Marcellinus lubił szczególnie tę okoliczność, którą chrześcijanie podawali jako wytłumaczenie początku wszystkiego. Zwrócił uwagę Jana na ten fragment *Timajosa*, w którym Platon pisze o tym, że demiurg postanowił wydobyć świat z chaosu i w tym celu stworzył siłę rozumną – matematyczny rozum świata, czyli logos. Chrześcijanie potem z łatwością zaadaptowali go do swojego Słowa – Chrystusa, przez którego wszystko miało zostać stworzone.

– Tak więc kosmos istniał zawsze – mówił Ammian. – Popatrz w niebo. Te miriady gwiazd nad nami nie mogą być stworzone w tym samym czasie, co świat, w którym żyjemy, bo są nieskończenie daleko od nas.

Uczeń znów nie potrafił wykazać sprzeczności. Gdy czytali klasyczne teksty, Jan komentował, kłócił się, ale powoli zaczęła tworzyć się między

nimi więź. I ona miała zostać wystawiona wiele lat potem na próbę ostateczną.

\*

Któregoś dnia wiosną 376 roku, która w Syrii była niesamowitym okresem kwitnięcia wszystkiego, co rośnie, do domu Ammiana Marcellinusa zawitał kolejny nieoczekiwany gość. Jego nagłe przybycie zupełnie wyprowadziło gospodarza zajętego pisaniem historii Rzymu z równowagi. Ammian nie chciał uwierzyć, gdy sługa rzekł mu, że na placu przed willą czekają dzicy barbarzyńcy.

– Ile dziś wypiełeś? – zapytał służącego.

– Przysięgam na Izydę i Serapisa, że dziś ani kropli wina! – bronił się sługa.

Ammian przerwał pracę z kopistami i poszedł sprawdzić, kto przyjechał. Nie mógł uwierzyć, gdy sam ujrzał orszak wojowników gockich na koniach. To wyglądało jak nagła rajza gockich barbarzyńców, ale po chwili uświadomił sobie, że jeden z tych wojowników jest kobietą. Można to było poznać po rudych włosach, upiętych rzemykami w kok z tyłu głowy. Historyk uświadomił sobie, że znał kiedyś kobietę o tak wspaniałych długich włosach. Wojowniczką zsiadła z konia. To niemożliwe – pomyślał Ammian – minęło tyle lat!

– Czy to tak straszne znów mnie widzieć? – zapytała po gocku, wiedząc, że on ten język zna.

– Nie spodziewałem się ciebie ujrzeć – odrzekł zaskoczony.

– Nie będę ukrywać, że tutaj zabłądziłam. Długo zajęło nam ustalenie, gdzie możesz się znajdować.

– Nam?

– Ach, byłabym zapomniała. Masz serdeczne pozdrowienia od Wulfili, który przysyła ci ten list.

Gudrum wyjęła zza pazuchy złożony na czworo i przewiązany rzemykiem pergamin. Wręczyła go Grekowi.

– I wiesz, jestem jakoś strasznie zmęczona po tak długiej podróży.

– Udzielam ci gościny – odparł Ammian.

\*

Ammian rozwinął pergamin od Wulfili i zobaczył na wyprawionej i specjalnie przygotowanej do pisania skórze zwierzęcej tekst – w języku gockim – w alfabecie, który genialny misjonarz Gotów sam stworzył. Pamiętał te chwile w skicie przed laty w Mezji – dzięki Wulfili rozumiał arian. Teraz znów widział uczynione tą samą ręką pismo.

RZYMIANINIE, WYSYŁAM DO CIEBIE GUDRUM Z WAŻNĄ MISJĄ. CHODZI O PRZETRWANIE MOJEGO LUDU. DO KOGÓŻ INNEGO MIAŁBYM SIĘ ZWRÓCIĆ, JEŚLI NIE DO CIEBIE, JEDYNEGO Z WAŻNYCH RZYMIAN ZNAJĄCEGO NASZ JĘZYK. Z PÓŁNOCY IDZIE NA NASZE ŚWIATY ZAGŁADA. TO HORDY LUDZI TAK DZIKICH, JAKICH NIE WIDZIELIŚCIE NA OCZY. WYSŁUCHAJ GUDRUM I SPOTKAJ SIĘ ZE MNĄ W KONSTANTYNOPOLU LUB NAISSUS.

\*

W jednej chwili cały świat Ammiana Marcellinusa, oparty na filozofii, sztuce i historii oraz rozpamiętywaniu dawnych dni, w tym szczególnie panowania Juliana, przestał istnieć. Goci wprowadzili się do willi historyka, a że byli głośni i hałaśliwi, musiał on przerwać pisanie i kopiowanie swego dzieła. Poza tym Gudrum zażądała dla siebie kąpieli, a że nabrała zwyczaju kąpania się nago w atriach rzymskich willi, całkowicie wyprowadziła znanego rzymskiego intelektualistę z równowagi.

Ammian musiał wystawić wieczorem przyjęcie dla gości. Ucztowano rzymskim zwyczajem na rozstawionych łożach, a jedzenie spoczywało na misach. Kucharz musiał się postarać w krótkim czasie, a więc podano to,

co na wybrzeżu było najlepsze – owoce morza i ryby, w tym tuńczyka o jędrnym czerwonym mięsie. Gudrum była w doskonałym humorze.

– Nie spodziewałeś się mnie więcej ujrzeć?

– Nie. – Ammian przeżuwał tuńczyka, cały czas patrząc na kobietę, z którą tak krótko i jak gdyby od niechcienia był szczęśliwy.

– Ale cieszysz się, że jestem teraz z tobą?

– Tak, ale jestem też realistą. Czy Wulfila cię do mnie przysłał? Z jego listu to wynika.

– Jestem tutaj, żeby prosić cię o udział w delikatnej misji. Mój syn, Fritigern...

– Masz syna? – zdziwił się Ammian Marcellinus.

– Tak, urodziłam go Filimerowi, którego być może pamiętasz sprzed lat.

Ich spojrzenia się spotkały. Ammian pamiętał przecież, że spędzili ze sobą upojną noc.

– Naturalnie – odparł, smakując wino z własnej winnicy.

Jednak świadomość, że ona ma syna, zastanowiła go. Ammian potrafił liczyć i wyszło mu, że ich noc miała miejsce ponad dwadzieścia lat temu. Chłopak musiałby więc mieć ponad dwadzieścia lat, więc Ammian z drżeniem serca pomyślał, że być może... Gudrum wciąż była piękną kobietą. Popatrzyła na niego tak przenikliwie, jak tylko kobieta potrafi. Potrafiła też świetnie kłamać – co do tego nie miał wątpliwości.

– Nie wiem, Ammianie Marcellinusie. Może być twój albo Filimera. Król wziął mnie do łóża trzy dni po twoim wyjeździe.

– Mam nadzieję, że rozumiesz, ile to dla mnie znaczy – odparł mężczyzna.

– Ależ rozumiem, mój drogi – rzekła Gudrum.

Ammian tak bardzo chciał, żeby to była prawda. Każdy mężczyzna na jego miejscu by tego chciał. Gotka dała mu więc nadzieję i choćby to sprawiło, że nie mógł jej odmówić.

– Na czym polega twoja misja, o której pisze mi Wulfila?

– On cię bardzo poważa. Goci są w tragicznej sytuacji. Mój syn wziął udział kilka miesięcy temu w kampanii wojennej poniekąd naszych



rywali, ale też zaprzyjaźnionego szczepu, Ostrogotów, mieszkających daleko na północny wschód od wielkiej rzeki, Dunaju. Pojawili się tam nowi najeźdźcy w liczbie tak wielkiej, że mój syn przyrównuje ją do liczby gwiazd na niebie. Są to przeciwnicy okrutni i tak bezwzględni jak żaden inny lud na ziemi. Oni chcą podbić świat, mówi mi mój syn, a ja mu wierzę. Goci nie mają szansy w walce, choć przecież wiesz, że nasz lud jest bitny i potężny. Pragniemy prosić Rzym, aby pozwolił naszym kolonistom, rodzinom zamieszkać w Mezji. Pragniemy, abyś poparł nas u cesarza Walensa.

Ammian Marcellinus zastanowił się głęboko. To w istocie byłby akt polityczny wielkiej wagi – pozwolić wielkiemu ludowi germańskiemu osiąść jako sprzymierzeńcom w granicach imperium. Ale wyjątków było już tyle... Całe ludy Rzym przemieszczał i osadzał w innym miejscu. A Goci w jakiś sposób stali się Ammianowi bliscy. To przez jego pragnienie przekraczania coraz to nowych granic. Nie bez powodu nauczył się ich języka, choć dziś musiałby sobie przypomnieć wiele słówek i zwrotów. Pomoże mu w tym Gudrum, która była – teraz był tego pewny – jedyną kobietą, którą naprawdę obdarzył uczuciem.

– Wulfila miał kiedyś marzenie, aby Goci stali się braćmi dla Rzymian – rzekł.

– To wciąż jego marzenie. Ale też marzenie mojego syna i moje. Tak bardzo chciałabym – mówiła Gudrum, kładąc dłoń na jego dłoni – aby stało się także twoim.

– Ono jest moim – odparł Ammian, uśmiechając się.

Jej dotyk sprawił mu przyjemność. Uczta trwała. Goście gocy już się zdążyli upić, ponieważ nie mieli w zwyczaju rozcieńczania wina wodą, jak czynią to kulturalni Rzymianie i Grecy. Kopiści Ammiana i jego służący wdali się z wojownikami w zabawę polegającą na nazywaniu słów w swoich językach. Bądź co bądź – zatrudniał ludzi pióra.

– Chciałbym spędzić z tobą noc – powiedział do Gudrum.

Ona uśmiechnęła się tylko z lekka.

– To pragnienie jest też moim pragnieniem – odparła po cichu.

Ich usta poszukały się nawzajem i odnalazły. A potem przez długą noc  
uczyli się od nowa swoich ciał.

## ROZDZIAŁ XXIII

### *Intryga Fritigerna*

#### *PÓŻNA WIOSNA 376 ROKU*

To były naprawdę szczęśliwe chwile w życiu Ammiana. Obecność gockiej wojowniczkii w domu historyka wywołała spore zainteresowanie jego znajomych i przyjaciół w Antiochii. A on sam czuł się szczeniacko zakochany. Wszystko wydawało się piękniejsze, żywsze, kolory głębsze. A może jeszcze bardziej wspaniałe, niż było. Ammian zdołał namówić Gudrum, by została u niego kilka tygodni, i razem cieszyli się sobą jak nigdy wcześniej. Zaniemógł dla niej pisanie dzieła – zatrzymał się na początku panowania Konstantyna Wielkiego. Jednak Gudrum nalegała, by odbył podróż do Konstantynopola, i w końcu zakochany mężczyzna dał się namówić. Na dworze cesarskim miał jednak utrudnione zadanie, ponieważ minęło trochę czasu, odkąd opuścił armię – nie chciał służyć ani Walentynianowi I, ani jego bratu Walensowi. Teraz jednak, gdy Walentynian stał już przed Bogiem, a jego brat był panem imperium na czas małoletności Walentyniana II i Gracjana, Ammian musiał znaleźć jakieś dojście na dwór cesarski. Jedyłą nadzieją był Grzegorz z Nazjanzu, który niedawno odwiedził go w Antiochii. Teraz postanowił sam złożyć mu wizytę.

Grzegorz byłby najpoważniejszym kandydatem do objęcia stolicy patriarchy w Konstantynopolu, gdyby tylko katolicy zdołali wyrzucić stamtąd arian. Jednak cesarz Walens był zaciekłym arianinem, więc nieprędko miało to nastąpić. Ammian przybył i zaanonsował się:

– Jestem ostatnim upartym poganinem. Tak proszę mnie zaanonsować. Chcę się zobaczyć z Grzegorzem z Nazjanzu.

Młody kleryk w klasztorze, który nie znał Ammiana Marcellinusa, odparł:

– Grzegorz z Nazjanzu to święty człowiek. Nie wiem, czy zechce się spotkać z takim poganinem.

– Ze mną zechce.

Jednak kleryk był uparty.

– Zdziwiasz mnie. Nie godzi się, by święty człowiek spotykał się z takim grzesznikiem i poganinem jak ty.

Ammian uśmiechnął się. Chrześcijanie uważają się przecież za sól ziemi i światło świata. A są tak bardzo niekonsekwentni nawet wobec własnych postulatów i postaw. Jak oni chcą zawojować nasz świat? – pomyślał historyk.

– A Jezus spotykał się z grzesznikami? – zapytał.

Młody chrześcijanin nie potrafił odpowiedzieć. Tak dzieje się zawsze, gdy miłość, która ma być podstawą religii chrześcijańskiej, zostaje zastąpiona przez fanatyzm idei.

– Spotykał się przede wszystkim z nimi – przyznał po chwili kleryk.

– W takim razie przekaz, że czekam. To ważne.

Kleryk zniknął we wnęce bramy, a Ammian Marcellinus rozglądał się wokoło. Nie poznawał Konstantynopola – tyle powstało kościołów ze złotymi kopułami. Po dłuższej chwili kleryk przybiegł i przeprosił za swoje zachowanie. Okazało się, że Grzegorz z Nazjanzu postanowił przyjąć poganina natychmiast, jednocześnie przeniósł na wieczór modlitwy, którym miał teraz przewodniczyć.

– Jestem zaskoczony, ale szczęśliwy, że cię widzę – rzekł Grzegorz, gdy się spotkali.

Obydwaj byli zbyt mądrzy, by wracać do sporu dotyczącego śmierci Juliana.

– Rzeczywiście, jestem zdesperowany, że przychodzę do ciebie.

– Czy to ma związek z Janem?

– Och, nie – odparł Ammian. – On świetnie sobie radzi. Pożarł teksty Platona i teraz czyta intensywnie Epikura i kilku innych filozofów, którzy

muszą zmusić do myślenia. Wszyscy to poganie.

– Domyślam się. Co cię sprowadza?

Ammian wyjaśnił swój problem podczas przechadzki po krużgankach klasztoru w Konstantynopolu. Grzegorz wysłuchał go bardzo uważnie. Potem zastanowił się i odparł:

– Zatem chcesz widzenia z cesarzem. Wiesz, że jestem w opozycji katolickiej?

– Wiem.

– Postaram się porozmawiać z patriarchą Demofilem, choć nasze relacje z powodu jego ariańskiej herezji są trudne. Jednak w sprawach najważniejszych, a bezpieczeństwo państwa jest takim zagadnieniem, obowiązuje rozejm. Myślisz, że Goci są szczerzy? Powiedz mi, proszę. Masz tak wielki analityczny umysł.

Ammian wstydził się wyznać prawdę o romansie z Gudrum. Na szczęście udało mu się jej wyperswadować wspólny wyjazd. Została w jego domu w Antiochii i miała nauczyć się choć w stopniu komunikatywnym łaciny. Było mu z nią dobrze w łóżku, ale nie umiał tego powiedzieć swemu przyjacielowi – bądź co bądź pobożnemu człekowi.

– Muszę przyznać, że nie rozmawiałem jeszcze z Fritigernem. Muszę chyba też rozmówić się ze starym Wulfilą – odparł.

– Zrób to, proszę. Musimy znać ich intencje. Na ile stary Wulfila jest marzycielem?

– Całkowitym. Ale jego marzenie o unii Gotów i Rzymian jest piękne.

– Znam barbarzyńców trochę lepiej niż ty. Goci toczyli z nami dwie wojny w ostatnich ośmiu latach i były to ciężkie walki, uwierz mi. Nie wydaje mi się, żeby zmiękli tak po prostu pod wpływem nauk ich apostoła, w którego szczerą wiary nie mogę nie wierzyć, choć to heretyk.

Ammian pominął milczeniem niechęć Grzegorza do arian, ale też nie do końca go ona dziwiła.

– Proszę, zbadaj to, bo to jest po prostu zbyt piękne, zbyt platońskie, by było prawdziwe – powiedział na koniec Grzegorz.

Tak się też umówili. Historyk miał pojechać na rozmowy i wybadanie Gotów, a potem wrócić do Konstantynopola i wówczas, gdy Grzegorz znajdzie odpowiedni sposób dotarcia do cesarza Walensa, Ammian miał mu przedstawić sytuację.

Gdy historyk wyszedł ze spotkania ze świątobliwym mężem, na rogatkach miasta heroldowie czytali edykt o zawarciu przymierza między Gotami i cesarstwem – miała nastąpić era pokoju i przyjaźni. Wtedy Ammian Marcellinus zaczął się naprawdę zastanawiać, po co Goci chcieli jego jako tego, który miał ostatecznie przekonać cesarza do unii? Przecież przymierze było jej pierwszym etapem. Doszedł do wniosku, że ta sprawa musi mieć jakieś drugie dno.

\*

Ammian odkrył w sobie młodzieńca, gdy trakt z Konstantynopola przez Serdykę do Naissus w Mezji pokonał w pięć dni. W Naissus mieszkał stary Wulfila, który gdy tylko zobaczył swego jedynego przyjaciela pośród Rzymian, bardzo się wzruszył.

– Dziękuję ci za list. Nie spodziewałem się go – rzekł, podchodząc do starego człowieka.

Nie widzieli się dwadzieścia pięć lat. Apostoł Gotów zgarbił się, a jego włosy pokryły się już bielą, a nie szronem później dorosłości. Było widać, że przebyte lata i ascetyczna droga odcisnęły swoje piętno na tym człowieku, który przez tak długi czas w sposób nieustraszony głosił Ewangelię i zarazem naukę Ariusza pośród Gotów. Ammian chciał bardzo wierzyć, że marzenie Wulfili o braterstwie Gotów i Rzymian było prawdziwe. Uklęknął, bo stary człowiek siedział na ławce, znużony światem, który zaczął się im wszystkim wymykać spod kontroli.

– Miałem marzenie – zaczął starszerek – by Goci i Rzymianie jednym byli w Chrystusie. Ty mnie rozumiesz, choć nie wierzysz w to, w co ja wierzę. Właśnie dlatego tylko ty, Ammianie Marcellinusie, możesz stać się apostołem tego marzenia.

– Dlaczego ja? – zapytał zdziwiony Rzymianin.

– Po pierwsze, jesteś Grekiem uważającym się za Rzymianina, a po drugie, jesteś poganinem, jakby na przekór duchowi czasu. Można powiedzieć: podwójnie obcy wobec mojego świata. Mimo to nie zawahałeś się ani chwili i pomogłeś mi w tłumaczeniach. Masz w sobie ciekawość świata i ludzi. Tylko ty możesz przekonać cesarza Walensa, by pozwolił urzeczywistnić się temu marzeniu.

– Spróbuję, ale przekonanie go nie zależy ode mnie – odparł Ammian.

– Proszę, zrób to dla mnie. Będę umierać, wiedząc, że cuda są nawet dziś realne.

– Ja nie wierzę w cuda.

– Właśnie dlatego to musisz być ty, przyjacielu.

Ammian wiedział już, że list od dożywającego swoich lat Wulfili był szczerzy i prawdziwy. Nie mógł w to wątpić. Stary apostoł Gotów żył swoim wielkim marzeniem i Ammian zaczął rozumieć, że to właśnie on jako pierwszy chrześcijanin przekroczył barierę kultury. Dla Rzymian wszyscy Germanowie, choćby nie wiadomo jak wierni i lojalni, zawsze byli tylko dzikimi barbarzyńcami. Ammian nie miał złudzeń co do intencji Wulfili, ale nie mógł też ich mieć wobec władcy z Konstantynopola. Walens nie zgodzi się na zrównanie Rzymian i Gotów, choćby jedni i drudzy byli arianami. Pozostawało pytanie o Fritigerna – czy on też był takim marzycielem? Czy może pojmował politykę i świat bardziej pragmatycznie i okrutnie...

– Co myślisz o tym Fritigern? Znasz go dobrze? – zapytał Ammian, dla którego gocki książę był zagadką, którą musiał zgłębić.

– Pewnie, że znam – odparł Wulfila. – To najmądrzejszy pośród gockich książąt. Myślisz jak wy, Ammianie Marcellinusie, aż się sobie dziwię, że jest w swym działaniu i myśleniu tak podobny do Rzymian. Ale wydaje mi się...

– Co takiego?

– Wydaje mi się, że wy go takim nie widzicie. – Starzec się uśmiechnął. – Dla was to tylko Got, dzikus, barbarzyńca.

Zaintrygowało to Ammiana jeszcze bardziej. Musiał się zobaczyć z tym gockim księciem. Długo jeszcze rozmawiał z Wulfilą. Spędził z nim dwa dni. Jednak potem pełen niepokoju ruszył do Mezji, gdzie wedle edyktu cesarskiego miało się osiedlić jedynie pięć tysięcy mężczyzn z kobietami i dziećmi.

Gdy wjechał do Mezji Dolnej, poczuł narastający niepokój, który przerodził się w pewność nieuchronnego konfliktu. Zauważył o wiele więcej Gotów niż owe pięć tysięcy mężów z kobietami i dziećmi, którym cesarz pozwolił się osiedlić w prowincji. Na twarzach napotykanym ludzi z miast Nicopolis nad Istrem oraz nadbrzeżnego Odessos<sup>[71]</sup> nad brzegiem Morza Czarnego Ammian dostrzegł gniew i przerażenie. Goci zajmowali bowiem najlepsze ziemie, wyrzucali rzymskich kolonistów, zachowywali się butnie, a przede wszystkim było ich tak wielu, że Rzymianie nie mieli się jak obronić – dziesiątki tysięcy. I wciąż przybywali przez Dunaj nowi. Jak się dowiedział Ammian, ich główny obóz znajdował się niedaleko miasta Abrittus. Jakże to symboliczne dla historyka! Pod tym miastem przeszło sto lat temu zginął w bitwie z Gotami pierwszy cesarz rzymski Decjusz i jego syn Herreniusz. Ammian odniósł wrażenie, że Fritigern, syn Gudrum, wybrał tę lokalizację nieprzypadkowo. Dlatego bez wahania ruszył właśnie tam.

\*

Istotnie – Gotów przybyło znacznie więcej niż Fritigern deklарował w Konstantynopolu. Abrittus nie było już rzymskim, ale gockim miastem. Byli dobrze uzbrojeni, mieli ciężką jazdę – prawie tak dobrą jak rzymska. Ammian zauważył mnóstwo kobiet, dzieci i podrostków, co oznaczało, że główna część wielkiego ludu zza Dunaju już oficjalnie znajdowała się po rzymskiej stronie rzeki.

Chyba tu na niego czekali – Ammian nie musiał nawet pytać, gdzie może znaleźć Fritigerna. Księżę wybrał sobie willę, w której wprawdzie



mieszkała kiedyś rzymska rodzina, ale wyjechała na południe, uciekając przed niepewnością, wojną i niebezpieczeństwem.

– Jestem Ammian Marcellinus od biskupa Wulfili – rzekł Rzymianin po gocku do strażników stojących przed ową willą, obecnie kwaterą Fritigerna.

Nie byli zaskoczeni. Widocznie dzięki Wulfili krążyły wśród Gotów opowieści o Rzymianinie, który nauczył się gockiego. Ammian Marcellinus mógł się zatem wprowadzić do willi, opuszczonej przez właścicieli i zajętej przez gockiego wodza. Powiedziano mu także, że musi na Fritigerna poczekać, ponieważ wódz miał osobiście nadzorować przeprawę przez Dunaj kolejnej grupy uciekających przed Hunami Gotów. Korzystając z okazji, Ammian dopytał o zwyczaje Hunów, kim są i jak walczą. Opowieści gockich wielmożów, których spotkał w willi, zaskoczyły go.

Hunowie mieli być przede wszystkim całkowicie niecywilizowani, dzicy i przerażający.

– Nacinają oni chłopcom policzki żelazem, aby blizny na twarzy zatrzymały zarost – rzekł jeden z Gotów.

– Starzeją się bez brody?

– W istocie. Wyglądają jak wasi lub perscy eunuchowie. Karki grube, koślawe nożyska. Nie krzeszą ognia ani nie potrafią go używać w innym celu niż zniszczenie i śmierć.

– To jednak znają jego zastosowanie – powiedział w języku gockim Ammian.

Rozmówca się zaśmiał.

– Żywią się korzeniami roślin i surowym mięsem. Noszą czapy skórzane. Na co dzień okrywają się szatami lnianymi, lecz gdy jest zimno, zarzucają na siebie skóry zwierzęce, by było cieplej. Do wszystkiego używają koni. Całe ich życie upływa na koniu, stąd są oni prawdziwymi mistrzami w ich wykorzystaniu bojowym. Używają też krępującej pętli. Zarzucają ją obcym żołnierzom na szyję i w ten sposób biorą ich do niewoli.

Ammian, wysłuchawszy tych opowieści, nabrał obaw. Hunowie musieli być skrajnie dzicy. Z takimi dzikusami Rzym się jeszcze nie mierzył.

\*

Zmęczony Ammian poszedł się zdrzemnąć w swojej komnacie. W nocy dojechał Fritigern. Poinformowano go o przybyciu Rzymianina, ale pozwolił mu spać. Postanowił się z nim rozmówić za dnia. To spotkanie miało być brzemienne dla Ammiana i w jakiś sposób dla całej historii Rzymu.

Wódz Gotów przyjął swego gościa z szacunkiem. Wiedział o nim od Wulfili, że zna język gocki.

– Miło mi poznać tak znakomitego Rzymianina.

Ammian był odporny na takie czcze uprzejmości, nic nieznaczące, a łechtające jedynie próżność. Jednak uderzył go widok twarzy Fritigerna – wydawała mu się skądś dziwnie znajoma. Wiedział przecież, że to syn Gudrum. W tej jednej chwili pomyślał, że świat wali mu się na głowę, bo nigdy w życiu by nie przypuszczał, że w taki sposób pozna swojego syna. A jednak była to prawda. Nie miał wątpliwości i chyba Fritigern też ich nie miał. Widząc go, zdał sobie sprawę z tego, że Fritigern był do niego za bardzo podobny z twarzy, ruchów ciała. W tej jednej chwili Ammian zrozumiał, że tu nie chodzi o pomoc Rzymu dla Gotów. To była jedynie polityczna, nieunikniona konsekwencja tej chwili. Fritigern chciał znać Ammiana osobiście. Chciał poznać ojca, o którym musiał wiedzieć od Gudrum.

– Mnie również jest nadzwyczaj przyjemnie poznać tak słynnego wodza Gotów.

To rozchmurzyło Fritigerna, jeśli miał wątpliwości co do spotkania z Rzymianinem.

– Proszę, abys przekazał cesarzowi, że jesteśmy bardzo zadowoleni z tej krainy.

– Masz na myśli Mezę Dolną?

– Tak się nazywa ta kraina? Jest wspaniała. Tereny są wyludnione, nie ma zbyt wielu Rzymian, którzy tu mieszkają. Skolonizujemy ją i będziemy

płacić trybut cesarzowi. Możesz zapewnić cesarza o naszej przyjaźni i lojalności.

– Nie śmiem w to wątpić.

Ammian nauczył się przywdziewać maskę. Uratowało mu to życie w Persji i teraz miało być podobnie. Goci nie mogli się dowiedzieć, co naprawdę myśli rzymski wysłannik. Ammian wewnątrz krzyczał w rozpacz, ponieważ nie miał złudzeń – tym razem metody, jakich Rzym używał przeciwko barbarzyńcom, zostały użyte przeciwko niemu. Fritigern był świadomym politycznym graczem i to, że miał ojca Rzymianina, nic dla niego nie znaczyło.

– Czy przeprowadziście wszystkich?

– W większości – przyznał Fritigern.

– Opowiedz mi, proszę, o Hunach – poprosił Ammian.

Fritigern przedstawił mu wiele ciekawych faktów, między innymi o znakomitym opanowaniu jazdy konnej przez Hunów oraz o tym, że są w stanie podczas galopu trafić z łuku lecącego ptaka. Jednak ich broń była zrobiona inaczej niż rzymska, wykorzystywana w ostrzałach przez piechotę. Hunowie z Azji posługiwali się łukiem refleksyjnym o specjalnie przygotowanym łączyisku złożonym z kilku warstw drewna i rogu. Wewnętrzna część łączyiska powstawała z giętkiego rogu, co umożliwiało zginanie broni. Ciężka była krótka – to umożliwiało używanie łuku przez jeźdźca nawet w najbardziej ekwilibrystycznych pozycjach. Hunowie mieli być bardzo groźni przez swój sposób walki.

Ta rozmowa z Fritigernem była dla Ammiana dużym wstrząsem. Zapytał go potem o jego plany. Odpowiedź była krótka i rzeczowa:

– A czy ty, Ammianie Marcellinusie, zatrzymałbyś się na moim miejscu?

Obaj wiedzieli o sobie więcej, niż chcieli powiedzieć. Paradoksalnie już się znali, mimo że prawie wcale się nie znali. Dla Ammiana było zaskoczeniem widzieć człowieka podobnego zewnętrznie do siebie i jednocześnie tak bardzo odległego, nieprzystępnego. Nic mnie z nim nie łączy – pomyślał historyk. Wiedział też, że Goci wciągnęli Walensa w pułapkę. Cesarz, pozwalając się osiedlić Gotom na ziemiach, co prawda

zniszczonych przez wojnę toczoną z barbarzyńcami i z tego powodu częściowo wyludnionych, popełnił katastrofalny błąd. Fałszywa chrześcijańska litość wobec ludu wrogo nastawionego do Rzymian okazana przez ariańskiego cesarza ariańskim Gotom stawiała też w złym świetle Wulfilę. A może po prostu starzec, żyjąc już bardziej tamtym światem niż tym realnym, uległ intrydze Fritigerna?

Wyjeżdżając, Ammian wiedział już, że jego syn musi zginąć, żeby Rzym mógł przetrwać. Skierował się do Konstantynopola.

## ROZDZIAŁ XXIV

### *Ślepcy*

#### *W DRODZE DO KONSTANTYNOPOLA, JESIEŃ 376 ROKU*

Ammian spieszył się. Nie miał dojścia do Walensa, ale miał wciąż przyjaciela w Grzegorzcu z Nazjanzu. Zresztą poruszyłby niebo i ziemię, byle dotrzeć do ludzi decyzyjnych i ostrzec ich, nakłonić do wydania wojny Gotom, póki to było możliwe. A oni wciąż przeprawiali się przez wielką rzekę i gdyby tylko cesarz z odpowiednią liczbą najlepszych wojsk zniszczył przeprawę... Ammian nie chciał robić sobie zbyt dużych nadziei. Znał układy w Konstantynopolu i ogólną niechęć do podejmowania szybkich decyzji. Ostatnim zdolnym do działania człowiekiem na rzymskim tronie był Julian. Ammian wspominał swojego nieżyjącego przyjaciela i cesarza. Dziś Julian, a nawet i Konstancjusz II jawili mu się niczym giganci polityki.

Jadąc do stolicy, nie mógł nie złożyć wizyty Wulfili. Starzec ucieszył się bardzo na jego widok i znów zaczął mówić o wielkim planie Bożym, o wizji współistnienia Gotów i Rzymian. Jednak Ammian nie dał się zwieść. Czy Wulfila pogrążał się w świecie swoich marzeń, czy też był sterowany przez Fritigerna – nie miało to już znaczenia.

– Wulfilo, chcę znać prawdę – rzekł Rzymianin.

W jednej chwili wróciły na twarz starca dawny wigor, trzeźwość spojrzenia i inteligencja czająca się w piwnych oczach biskupa.

– Zawsze ją znałeś, Ammianie Marcellinusi, ale nie chciałeś jej przyjąć.

– Co to znaczy?

– To znaczy, że ja nie służę Rzymowi ani jego skorumpowanym elitom, tylko mojemu ludowi. Całe życie jemu służyłem i Bogu. Wszystkie moje

wysiłki i praca ewangelizacyjna miały na celu jedynie dobro Gotów, nie Rzymu. Nie inaczej jest teraz.

Ammian gorzko się uśmiechnął.

– A Gudrum?

– Ona kiedyś cię kochała, ale zostawiłeś ją przecież.

– Nie mogłem zostać.

– Mogłeś i nie mogłeś – powiedział zagadkowo Wulfila.

– Jesteś dwulicowy, biskupie Wulfilo.

Teraz Wulfila gorzko się uśmiechnął.

– Dlaczego czynisz mi zarzut? Że chcę dobra mojego ludu? Razem z Fritigernem postanowiliśmy użyć metody, której wy używaliście od wielu wieków wobec ludów, które podbiliście. Popatrz na Brytów, którzy zduszeni i upokorzeni przez wasze legiony stali się wykonawcami waszej woli. Popatrz, Ammianie Marcellinusie, na Kartaginę. Na jej trupie wystawiliście swoją rzymską Kartaginę. Ujarmiliście Żydów i złamaliście każde ich powstanie. Czyż Julian, którego uwielbiałeś, nie ruszył na Persję, by ją także ujarmić? Jednak Persja jest silniejsza od was. Dlaczego zatem stawiasz mi zarzut dwulicowości? Zostaniecie pokonani podstępem, jakiego używaliście przez tyle lat.

Ammian nie wierzył w to, co słyszał. Starzec miał może sporo racji w argumentach historycznych, ale nie zmieniało to faktu, że o intrydze Fritigerna wiedział doskonale. Ammian teraz też to wiedział – nie chodziło o ewakuację zagrożonego wojną i zniszczeniem ludu wycofującego się przed Hunami, którzy znajdowali się jeszcze daleko od granic imperium. Chodziło o najazd. Ale inny niż zwykle. Wulfila i Fritigern nakłonili cesarza Walensa, by wpuścił ich jako sprzymierzeńców, podczas gdy oni nigdy nie mieli zamiaru się sprzymierzać. Dla nich wejście w granice imperium z całym ludem liczącym dwieście tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci oznaczało założenie własnego państwa w obrębie imperium. Teraz Ammian rozumiał to tak dobrze jak nigdy wcześniej. Z tego też powodu ów najazd był najgroźniejszy ze wszystkich, ponieważ wewnątrz Imperium

Romanum, niczym rak w żywym i zdrowym ciele, rozwijało się inne państwo!

– Wy, barbarzyńcy, jesteście jak rak toczący żywe ciało – odparł Wulfili Ammian Marcellinus. – Dziękuję ci, ojcze, że oświeciłeś mnie w waszych zamiarach. Zapewniam cię, że zrobię wszystko, co w mojej mocy, by wyciąć tego raka z ciała imperium. Rzym ma jeszcze dość siły, by to zrobić.

Uśmiech zniknął z twarzy Ammiana, tak jak zniknął z twarzy apostoła Gotów. Stali się w jednej chwili wrogami. Rzymianin odwrócił się i odszedł. Mieli już nigdy więcej się nie spotkać.

\*

W końcu Ammian dotarł do stolicy, ale cesarza Walensa tam nie zastał. Imperator znów udał się na wschód, by zabezpieczyć granicę z Persją. Jednak Ammian wiedział, że czas się kończy. W Konstantynopolu natychmiast poszedł na spotkanie z Grzegorzem z Nazjanzu. Ten przyjął go bez zwłoki, choć obowiązki w kościele pochłaniały go codziennie bez reszty.

– Nie mamy czasu do stracenia. Trzeba uderzyć, póki Goci nie mają jeszcze ostatecznej przewagi – mówił Ammian jak natchniony. – To, co wygląda na pokojowe przybycie osadników, sprzymierzeńców Rzymu, w istocie jest brutalną inwazją.

– Skąd to wiesz? – zapytał zaskoczony i trochę przerażony Grzegorz.

– Widziałem to na własne oczy – odparł Ammian.

Opowiedział mu o Fritigernie oraz o udziale Wulfili w intrydze, która przekonała cesarza Walensa do wpuszczenia uciekających rzekomo przed wojną i Hunami Gotów. Było prawdą, że Hunowie nadciągali, ale zanim dotrą do granic Rzymu na Dunaju i Renie, minie jeszcze kilka lat.

– Fritigern to przeciwnik, z jakim nie walczyliśmy od dawna – przekonywał z pasją Ammian, choć wiedział, że mówi o swoim synu, i miała to być jego największa tajemnica. – Przenosi do Mezji cały lud Gotów. Samych mężczyzn będzie sto tysięcy, a to olbrzymia armia.

Niedługo odkryją, że oprócz Mezji jest też do wzięcia cała Tracja. To bogate i rozwinięte ziemie. Goci je przejmą i stworzą na nich własne państwo.

To było przerażające. Grzegorz z Nazjanzu miał trochę znajomych w kręgach kościelnych, ale nie pośród arian, którzy szeptali do ucha Walensowi.

– Jesteś gotów uratować Rzym?

– Jakże możesz w to wątpić?!

– Powinieneś się ochrzcić – powiedział całkiem serio Grzegorz.

Ammian parsknął.

– Posłuchajże do końca. Jedynym ratunkiem jest wywarcie nacisku na cesarza Walensa. Ani ja, ani katolicy w Konstantynopolu nie możemy tego zrobić, bo cesarz sprzyja heretykom i nas nie posłucha. Nie posłucha też ciebie, choćbyś mówił najszczerzą prawdę. A wiesz dlaczego? Bo jesteś, Ammianie Marcellinusie, reliktem dawnego świata, upartym poganinem, który z zasady nie jest wiarygodny dla chrześcijan.

Ammian to rozumiał, ale nie był więźniem swojego świata wierzeń. Dla niego wiara w bogów Rzymu była po prostu wyborem kultury wyższej nad niższą, która przejmowała i adaptowała do swoich potrzeb całe słowniki filozoficzne, koncepcje, interpretacje. Krótko mówiąc – to, co w filozofii stworzyli poganie, teraz miało służyć chrześcijaństwu i chrześcijaństwo opiewać. Ammian nie mógł się na to zgodzić.

– Grzegorzu, wiesz dobrze, że nie zdradzę mojej kultury i moich bogów.

Grzegorz westchnął głęboko.

– Wiem. I martwi mnie to, że stawiasz się poza zbawieniem.

Ammian Marcellinus podszedł do biskupa Grzegorza i położył mu dłoń na ramieniu.

– Zostawmy moje zbawienie. Ja i ty musimy uczynić wszystko, żeby ocalić Rzym. Jaki masz pomysł? Jak możemy wpłynąć na tego cymbała Walensa?

Grzegorz zastanowił się głęboko.

– Musisz pojechać na zachód i przekonać cesarza Gracjana<sup>[72]</sup>. On jest katolikiem jak ja. Jednak żeby do niego trafić, musisz rozmówić się



i przekonać niezwykle wykształconego w tekstach klasycznych biskupa Mediolanu, Ambrożego. Wprawdzie nigdy się z nim bezpośrednio nie spotkałem, ale on zna moje pisma teologiczne i filozoficzne. Napiszę do niego list i przedstawię cię.

– On też będzie chciał mnie ochrzcić?

Grzegorz popatrzył na swego przyjaciela wymownie.

– Nie sądzę. On jest ode mnie lepszym chrześcijaninem. Jestem przekonany, że cię zaskoczy.

Aby nie tracić czasu, Grzegorz poszedł do kancelarii swego kościoła, aby w spokoju napisać na papirusie list do biskupa Mediolanu. Ammian miał krótki czas na odpoczynek i – jak za dawnych lat – jeszcze tego samego dnia ruszył doskonale znanym traktem z Konstantynopola do Sirmium nad Sawą, a stamtąd łukiem Alp do Mediolanu. Czekala go miesięczna mordercza droga. Był w dobrej formie, ale jednak lata już nie te... Strzykało go w krzyżu.

\*

Droga na zachód była tym razem dla Ammiana, odzwyczajonego już od wojskowego życia, naprawdę ciężkim przeżyciem. Sytuacja w Mezji dodawała mu przekonania i determinowała go do podjętego zobowiązania. Spieszył się i nie odpoczywał, choć rozsądek nakazywał przerwę. Korzystał z rozstawionych koni poczty cesarskiej. Miewał chwile takiego zmęczenia i wyczerpania, że zasypiał na koniu, ale uparcie jechał dalej do Mediolanu.

W końcu dotarł, ale po tylu tygodniach w siodle przypominał raczej Huna. Miał wprawdzie listy od Grzegorza z Nazjanzu, ale zarazem żadnego kontaktu w służbie cesarskiej. Posiadał też przekaz pieniężny na tabliczce, wystawiony w Antiochii przez tamtejszy dom bankierski. Tę tabliczkę wymienił na złoto, wynajął kwaterę u jednego z mediolańskich mieszczan, a następnie skierował się do łaźni publicznej. Przed budynkiem napotkał fanatyków chrześcijańskich, krzyczących, że to niegodziwe pokazywać

publicznie w łaźni swoje nagie ciało, które jest przecież świątynią Ducha Świętego.

– Mam być zatem śmierdzący? – zapytał ich Ammian, nie mogąc powstrzymać swojego polemicznego nastawienia.

– Dla Boga nawet taki jesteś bezcenny – odparł tamten.

– To wspaniale, ale ja nie chcę śmierdzieć. A teraz przepraszam. – Minąwszy ich, Ammian wszedł do term mediolańskich, które oczywiście nie były tak wielkie i imponujące jak termy Dioklecjana w Rzymie, ale spełniały dobrze swoją funkcję.

Skorzystał z gorącej kąpieli, potem zimnej, a następnie z biczów pokrzywami dla usprawnienia krążenia w obolałych plecach. Dopiero gdy dopełnił całej przepisanej rzymską tradycją ablucji, udał się na spotkanie do arcybiskupa Mediolanu – Ambrożego. Ammiana jako poganina niezmiernie interesował ów mąż Boży – czy rzeczywiście jest takim bezpośrednim i otwartym człowiekiem, jak mówił Grzegorz z Nazjanzu?

Okazało się, że siedziba biskupa znajdowała się obok wielkiego mediolańskiego kościoła, który Ambroży wciąż budował. Otaczał ją wspaniały dziedziniec i Ammian z zadowoleniem przyjął kształt kolumn, oryginalnie nawiązujących do najlepszych wzorców greckich. Sam dziedziniec kościoła był jednak zdecydowanie chrześcijański.

Ubrany w dobrą, ale niezbyt nowobogacką w stylu togę, którą kupił w Mediolanie, Ammian postanowił zaanonsować się na spotkanie z biskupem.

– Nie musisz się zapisywać, bracie. Darmo dostaliśmy i darmo dajemy – odparł zapytany ksiądz, młody jeszcze chłopak.

Jakież to inne wrażenie od czołobitności i wschodniej pychy Konstantynopola! Każdy z ulicy mógł przyjść do Ambrożego i porozmawiać z nim. Biskup był dla wszystkich mieszkańców – dla wierzących chrześcijan, dla ariańskich polemistów, dla pogan szukających prawdy. Ammiana to zaskoczyło. Nie spodziewał się tego. Poszedł więc na spotkanie, które było jak spotkanie w ciemności – szukanie kształtu i choćby maleńkiego strumienia światła. Ambroży był postawnym,

wysokim mężczyzną, z brodą, ale po manierach od razu można było poznać człowieka dobrze urodzonego. Nie było to powodem do pychy, ale świadectwem tego, że Ambroży z Mediolanu był już urodzonym chrześcijaninem, znakomicie wychowanym na klasycznych łacińskich tekstach Cycerona, Salustiusza, Cezara, Tytusa Liwiusza, ale też Orygenesesa, Tertuliana i innych piszących po łacinie mistrzów. Był to człowiek zachodu, który greckiego świata prawie nie znał.

– Nazywam się Ammian Marcellinus – rzekł Rzymianin. – Przebyłem bardzo długą drogę z Konstantynopola. Przybywam z listem od Grzegorza z Nazjanzu.

Na dźwięk tych słów, wypowiedzianych w mistrzowskiej łacinie, Ambroży podniósł znad zwoju papirusowego swoją inteligentną i miłą twarz i utkwiał wzrok w przybyszu ze wschodu, którego na pewno nigdy dotąd nie widział.

– Nazywasz się Ammian Marcellinus?

– Tak, w istocie, to moje imię – odparł przybysz.

– Znam twoje nazwisko – rzekł Ambroży. – Czy to przypadkiem nie ty jesteś autorem najnowszej historii Rzymu od Nerwy? O tym tekście mówili ostatnio w Rzymie, gdy tam był w zeszłym roku. Dostali tylko kilka kopii pierwszych trzech ksiąg, ale jeśli to ty jesteś autorem, chwalili cię za niezwykłą składnię.

– Tak, to ja – oznajmił Ammian.

– Czy rzeczywiście jesteś Grekiem? Bo mówisz po łacinie czysto, z rzymskim akcentem. Wybacz, ale nieczęsto spotykamy na zachodzie przybyszów ze wschodu.

Ammian pomyślał, że jego proroctwo, które ongiś wypowiedział przy cesarzu Konstancjuszu, właśnie się spełnia.

– Jestem Rzymianinem, choć urodziłem się Grekiem. Mamy wspólnego przyjaciela, który przesyła ci list, biskupie.

Mówiąc to, Ammian wyciągnął schowany w pomysłowej tubie z rogu list napisany na papirusie ręką Grzegorza z Nazjanzu. Napisał go po łacinie, jako że Ambroży słabo znał grecki lub nawet wcale w nim nie

czytał. Ambroży podziękował i wyciągnąwszy list z tuby, przeczytał go od razu.

– Nigdy jeszcze nikt nie zwracał się do mnie o pomoc w takiej sprawie – rzekł po chwili.

Ammian wyczuł wahanie. Biskupi, postawieni od czasów Konstantyna Wielkiego w roli na poły państwowych urzędników, nauczyli się już bezbłędnie wyczuwać niebezpieczeństwo wynikające z delikatnego układu władzy w imperium. Było ono wciąż jednością, ale zawsze panowało kilku cesarzy i byli oni zwykle inaczej zorientowani politycznie. Ambroży nie wyczuwał jeszcze grozy sytuacji. Dlatego Ammian postanowił go przekonać:

– Biskupie Ambroży, wybacz nazbyt idącą z mej strony śmiałość, ale nie jestem twojej wiary. Wyznaję bogów, a więc pozostałem wierny tradycji i kulturze Rzymu. Wiem, że jesteś wykształconym człowiekiem, i wiem, że jesteś w stanie dostrzec to, co ja widzę. Goci zostali wpuszczeni nierozważnie przez cesarza Walensa do wnętrza imperium. To jest najazd, a nie pomoc dla zagrożonego w swym istnieniu ludu. Goci zajmą Mezję, potem Trację, może pokuszą się o Konstantynopol. Według mojego rozeznania jest ich dwieście tysięcy. To szarańcza, która zaleje świat, który obaj kochamy. Bo ty kochasz Rzym, biskupie.

Ambroży zastanowił się. Jego podejście do ludzi nie było nacechowane lękiem, ale ufnością. Ten poganin mówił bardzo odważnie i należał do elity państwa, do której zaliczał się też on sam. A to państwo miało być zagrożone w bezprecedensowy sposób, jak jeszcze nigdy wcześniej. Owszem, zdarzały się najazdy barbarzyńców, kilku lub kilkunastu tysięcy ludzi, palących i niszczących wszystko w obrębie wielu mil rzymskich, ale nigdy jeszcze żaden lud nie osiedlił się w całości na ziemiach cesarstwa, chcąc założyć własne państwo. Dla Ambrożego nie bez znaczenia pozostawało też to, że Goci byli arianami.

– Teraz widzimy, jak wielkie są zatrute owoce starego Wulfili. Jego herezja pomogła w wytworzeniu świadomości Gotów. Arianizm stał się

częścią ich tożsamości, jak dla nas Wergiliusz i Horacy, choć nie wyznajemy tej samej wiary – rzekł biskup.

Ammian poczuł, że ten człowiek, nieznanemu mu wcześniej, jest tak jak on Rzymianinem z krwi i kości, rozumiejącym interes państwa i nieprzedkładającym ponad niego religii i własnej korzyści. To był pierwszy Rzymianin i chrześcijanin z przekonania, który myślał w taki sposób.

– Czy napiszesz list do cesarza?

– Nie tylko napiszę. Przekonam go. Gracjan był moim uczniem i posłucha mnie – odparł Ambroży. – Jaka jest twoja determinacja? Cesarz Gracjan znajduje się w Trewirze.

– Wyruszę natychmiast, jak tylko dostanę list. Z każdym miesiącem Goci w Mezji są silniejsi.

– Niech więc tak będzie. Przyjdź jutro. Przekażę ci list. A teraz odpocznij, proszę, bracie.

Żaden chrześcijanin tak z nim nie rozmawiał jak Ambroży. W obrazie chrześcijan, jaki sobie Ammian wytworzył, dominowała włość, która zabiła Juliana. Ammian wierzył, że to z chrześcijańskiej ręki ją wyrzucono, by zabiła cesarza i wraz z nim bogów Rzymu. Jeśli ten chrześcijanin Ambroży uratuje teraz Rzym, przekonując Gracjana do interwencji wbrew Walensowi, to Ammian gotów był przemyśleć wszystko raz jeszcze.

Następnego dnia znów przyszedł do Ambrożego. Potężny list na dwóch papirusach przygotowano dla niego w ozdobnej tubie. Ambroży streścił mu jego treść. Odwoływał się w nim do poczucia wielkości Rzymu i jego kultury, a także do lojalności, do której wychowywał młodego cesarza biskup. Nie pouczał i nie łajał, bo tego młody człowiek by nie zniósł. Pisał po ojcowsku, czule, ze zrozumieniem bezprecedensowego kryzysu, w jakim znalazło się imperium z winy arian rozsadzających Kościół na wschodzie, zafałszowujących naukę Chrystusa i wspomagających Gotów, którzy chcieli wyrwać Rzymowi jego terytoria.

Uzbrojony w tę broń Ammian ruszył na dwór cesarza Gracjana na północ, za Alpy. Żegnając go, biskup Ambroży powiedział:

– Zamieszkać kiedyś u nas na zachodzie. Potrzebujemy kogoś, kto doskonale zna dwa języki, grecki i łacinę, a takich ludzi już u nas mało. Przymkniemy oko na twoje uporczywe, dumne pogaństwo. Trzeba tłumaczyć greckie księgi.

Ammian nie mógł na tego człowieka patrzeć inaczej niż przyjaźnie. Nie mógł wiedzieć, że zostanie on jedną z największych indywidualności całego zachodu, nie tylko Kościoła.

– Bardzo bym tego chciał.

Gdy odjeżdżał, wiodąc ze sobą jeszcze jednego wierzchowca jucznego, Ambroży uczynił nad nim znak krzyża. Bo on wierzył, że krzyż może Rzymian łączyć, a nie dzielić.

\*

Droga przez Alpy była dla Ammiana trudniejsza z powodu nagłych zmian pogody. Gdy wyjeżdżał z Mediolanu, była pełnia lata, ale przełęcz górskie są zdradliwe. Poza tym Ammian, wyruszając w tę morderczą podróż, nie doceniał tego, że przybyło mu lat. Był sprawny, ale szybciej męczył się w siodle. Na przełęczach alpejskich złapały go deszcze i przemoczyły do suchej nitki. Jednak parł do przodu, wierząc, że jego misja może uratować Rzym. Przybył do krainy za Alpami już chory, ale chciał za wszelką cenę dotrzeć do Trewiru, żeby spotkać się z cesarzem Gracjanem. Jednak choroba go powaliła – w dużym obozie wojskowym, przez który wiodł trakt z Mediolanu. Miasto to nazywało się Vindonissa<sup>[73]</sup>. Ammian już od pewnego czasu chwiał się na koniu i wreszcie zsunął się z niego po przekroczeniu bramy. Zabrano go do lekarza garnizonowego. Po sprawdzeniu jego pocztę okazało się, że to poseł do cesarza Gracjana, więc troskliwie się nim zaopiekowano.

– Muszę jechać – powtarzał Ammian, usiłując wstać z łoża.

– Człowieku, musisz poczekać, bo cesarz jest za Renem. Grzmoci tam Germanów. Wróci, a ty wydobrzejesz. Nazywam się Wegecjusz i jestem lekarzem w tym garnizonie.

Ammian opadł na łożo. Ciężko oddychał, przy wdechu gwałtownie zakłuło go w płucach.

– Masz zapalenie płuc. Poleżysz co najmniej miesiąc. Zalecam picie naparu z kory brzozy i wierzby. Inhalacje rumiankiem i ziołami. Musisz też dobrze jeść. Byłeś może wojskowym?

– Przez dziesięć lat – odparł Ammian Marcellinus.

– Tak też myślałem. Nosisz sandały wojskowe i znaleźliśmy też w twoich rzeczach świetnie zakonserwowaną spathę.

– A zatem wiecie o mnie wszystko. Muszę zdążyć zawiadomić cesarza Gracjana, że Konstantynopolowi grozi wielkie niebezpieczeństwo.

– Jakże? Co ty mówisz? – zapytał Wegecjusz.

Ammian opowiedział zatem o wtargnięciu wielkich sił Gotów do Mezji Górnej i Dolnej oraz o tym, jak dał się podejść cesarz Walens, który zawierzył arianom, swoim współwyznawcom.

– Goci w imperium jako sprzymierzeńcy? – Wegecjusz z wrażenia aż przysiadł. – To szaleństwo!

Jak widać, każdy rozsądny Rzymianin miał takie zdanie – oprócz ślepców w Konstantynopolu. Ammian, leżąc na łożu, poczuł, jak strasznie jest zmęczony. Pocił się, ale lekarz uznał to za dobry znak.

– Przekonam komendanta, aby dał ci kilku ludzi w asyście do cesarza. Przy okazji weźmiesz nasze żądanie wypłacenia żołdu, którego nie dostaliśmy od trzech miesięcy – rzekł. – Ktoś potem przyjdzie i da ci jeść.

Ammian musiał odpuścić. Faktycznie kuchcik przyniósł dymiący garnek z gotowanym gołębiem i jakąś zupą, całkiem znośną. Historyk i były oficer pomyślał, że musi wypocząć. Miał szczęście – trafił na dobrych żołnierzy, którzy mieli szacunek do cesarskich insygniów i pośła.

Do Trewiru Ammian zawitał dopiero jesienią, ponieważ po przebytych zapaleniu płuc, z którego wyprowadził go wojskowy lekarz, dochodził do siebie dłużej, niż założył. Ale teraz czuł się całkiem dobrze. Pomagało mu ziołowe wino, którego kilka bukłaków dostał od Wegecjusza. Gdy był już na miejscu, problemem okazało się dotarcie do dworu, jednak pomysł, aby podróżować w asyście wojskowej, był rzeczywiście skuteczny.

W garnizonie wojskowym w Trewirze, mieście, które szalenie zaimponowało Ammianowi (poprzednim razem był tutaj wiele lat wcześniej), poradzono mu, do kogo ma się zwrócić na dworze młodego cesarza Gracjana. Ammian potrafił zagrać też odpowiednio ważnego posła. Gdy przedstawił listy od biskupa Ambrozego z Mediolanu, którego w Trewirze – w większości katolickim – bardzo poważano, nikt nie robił już trudności w dotarciu do cesarza.

\*

### *TREWIR, JESIEŃ 377 ROKU*

Cesarz Gracjan okazał się osiemnastoletnim, miłym i ciekawym świata człowiekiem, który choć był chrześcijaninem z przekonania, został wychowany w kulturze klasycznej i miał dla niej wiele zrozumienia. Z radością powitał człowieka, o którym zaczynało być głośno w środowiskach intelektualnych. Czytano pierwsze tomy jego historii Rzymu i oceniano je wysoko, zarówno pod względem merytorycznym, jak i retorycznym. Gracjan był również żonaty z pogrobową córką Konstancjusza II, Konstancją, wnuczką Konstantyna Wielkiego, co dawało mu większe jeszcze prawo do tronu niż jakimkolwiek wodzowi rzymskiemu, nie wyłączając samego Walensa. Ammian widział już kilku cesarzy w życiu, dwóm blisko doradzał, ale takiego młodzieńca w purpurze jeszcze nie spotkał.

Gracjan był bardzo bezpośredni. Powiadomiony przez wojskowych doradców, pragnął poznać człowieka, podobno świetnego historyka i byłego żołnierza, który przywiózł jakieś niepokojące informacje o tym, co dzieło się na wschodzie.

– Żyjemy tutaj, Ammianie Marcellinusie – zaczął mówić – w poczuciu zagrożenia znad Renu. Ileż razy już Germanowie nas najeżdżali! Jestem przekonany, że wschód sobie poradzi.



– Gdyby tak było, jak mówisz, *domine* – odparł Ammian – z pewnością nie miałbym powodu cię kłopotać. Jednak to, co dzieje się na wschodzie, przekracza definicję najazdu.

Opowiedział cesarzowi, co uczynili Goci. Młody władca się zasmucił.

– Wuj ma złych doradców – rzekł po dłuższym zastanowieniu Gracjan. – Wokół niego są sami radykalni arianie, przekłęci heretycy. Jakiego ty jesteś wyznania?

To nagłe pytanie uświadomiło Ammianowi, jak bardzo zmieniły się czasy.

– Jestem wierny starej religii.

– To niesamowite! – zawołał Gracjan, wstając z tronu. – Nigdy nie spotkałem wyznawcy starej religii.

Nosił purpurową szatę, a na jego głowie lśnił złoty diadem. Lubił przepych, zresztą – nie ma się czemu dziwić, jak w wieku osiemnastu lat jest się już cesarzem Rzymu.

– *Domine*, jesteś chrześcijaninem i twoi doradcy dbają o to, byś nie spotykał nas zbyt często. Jednak istniejemy i mamy się dobrze. – Ammian pozwolił sobie na to odważne zdanie.

– Nazbyt śmiało mówisz. Jesteś pośłem wuja?

– Nie, cesarz nie wie o mojej wizycie. Proszę, *domine*, dla Rzymu i dla siebie samego przeczytaj listy od czcigodnego biskupa Ambrożego.

Powiedziawszy to, Ammian wyjął z toby papirusy z listem od biskupa Mediolanu.

– Daj mi chwilę – rzekł cesarz, idąc w stronę obszernego okna z widokiem na Trewir.

Czytał dość długo, bez przerwy przewracając strony. W końcu powrócił do swego rozmówcy. Ammian przez cały ten czas zaklinał Mitrę, swego boga, który objawił się ludziom w Słońcu Niezwyciężonym, by odwrócił niekorzystne dla Rzymu okoliczności i aby młody władca dał się przekonać w liście swemu chrześcijańskiemu wychowawcy.

– Biskup Ambroży to święty mąż – powiedział Gracjan. – I pisze mi, żebym ci ufał, bo jesteś ostatnim może prawdziwym Rzymianinem starego

świata.

– O, miło mi to słyszeć.

– Niepokoi mnie bardzo to, co się stało. Na ile oceniasz siły Gotów?

– Gdy sam widziałem – zaczął Ammian – przed kilkoma miesiącami było to już kilkadziesiąt tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci. Cały lud na pewno już przeprowił się przez Dunaj. To może być nawet dwieście, a nawet trzysta tysięcy ludzi, bo być może jakieś inne grupy, na przykład Rugiów i Gepidów, które graniczyły z Wizygotami, dołączą do nich.

– To co najmniej sto tysięcy mężczyzn zdolnych do noszenia broni – powiedział cesarz.

– Jeśli odliczymy starców i młodzików, co najmniej siedemdziesiąt tysięcy dobrych wojowników – rzekł Ammian. – Widziałem ich, mają świetną ciężką jazdę. Mówię też w ich języku.

– Szkoda, że nie mam ciebie na mojej służbie – odparł Gracjan. – Zrobiłbym cię doradcą.

– Napisz proszę, *domine*, do cesarza Walensa, aby sam nie atakował Gotów. Konieczne jest, aby wojska z zachodu pomogły pod Konstantynopolem. To zajmie miesiące, więc rozkazy musiałybyś wydać już teraz. Wyznacz, proszę, dobrego dowódcę, a ja będę mu doradzał.

Gracjan uspokoił się. Ammian mówił jasno i z wyraźną wiarą w głosie, że można i trzeba zatrzymać barbarzyńców.

– Tak też zrobię. A ty, proszę, zostań tutaj, w Trewirze, bo musiałybyś wracać sam, bez wojska, którego przygotowanie zajmie mi kilka miesięcy, choć postaram się zrobić to w jak najkrótszym czasie. Doradzisz mi.

Ammian westchnął. Nie prosił losu o taką eskapadę po całym imperium, gdy zaczynał pisać swoją historię. I oto musiał po latach spokoju zostawić ukochany dom w Antiochii...

– Dobrze, ale skróćmy przygotowanie wojska do trzech miesięcy.

– Niech tak będzie – rzekł cesarz Gracjan.

Miał ochotę pomóc, ale i pomieścić Walensowi szyki, a wracając ze zwycięstwem nad Gotami, zamierzał ukrócić wpływy ariańskie, które sięgały za daleko i nie przynosiły Rzymowi nic dobrego.

\*

Trzy miesiące później Ammian ruszył w drogę powrotną. Wiódł przeszło osiem tysięcy kawalerzystów, wybornych wojsk – *comitatenses*. Przekazanie ich przez stacjonującego na zachodzie cesarza Gracjana dowodziło wysokiej skuteczności poselstwa Ammiana, ale też miękkiej siły biskupów Kościoła, którzy się za nim wstawili. Nie myślał teraz o konsekwencjach. Nie myślał o tym, jak bardzo cesarstwo się zmieniało. Kochał Rzym, a raczej jego wspomnienie – on już wiedział, że imperium się rozpada, pęka na dwie części, zachodnią łacińską i wschodnią grecką. Ogromne różnice kulturowe, obyczajowe i językowe dla zwykłych ludzi żyjących w obu tych światach stawały się niemożliwe do pokonania.

## ROZDZIAŁ XXV

# *Adrianopol znaczy śmierć*

### *KONSTANTYNOPOL, WIOSNA 378 ROKU*

Ammian od trzech miesięcy prosił cesarza Walensa o posłuchanie. Na próżno tłumaczył, że pojechał z trudną i niebezpieczną misją, że o mały włos nie postradał życia i zdrowia. Urzędnicy cesarscy powiedzieli, że nie będzie audiencji, ponieważ cesarz przebywa na wschodzie.

Walens walczył na wschodzie o swój majestat. A ten majestat nie potrzebował żadnego wsparcia z zachodu. Osiem tysięcy ludzi czekało w prowincjach iliryjskich, ponieważ Goci władający Mezją nie zgodzili się na ich przemarsz do Konstantynopola. Mezja Górna i Dolna, dwie prowincje, znajdowały się już poza kontrolą administracji cesarskiej. Goci Fritigerna robili tam, co chcieli, zamieniając rzymskie prowincje w swoje państwo. Ammian dziwił się sobie samemu i był na siebie zły, że nie przejrzał na oczy wcześniej. W Konstantynopolu mógł zatrzymać się w klasztorze Grzegorza z Nazjanzu, który nie tracił nadziei, że przyjaciel w końcu przyjmie chrześcijaństwo. W oczekiwaniu na imperatora Walensa zdarzyły się dwie rzeczy.

Po pierwsze – przybyło poselstwo Gotów. Jakiś ariański ksiądz przywiózł list Fritigerna, napisany oczywiście po gocku – wódz stawiał na własny język, dając Rzymianom do zrozumienia, że jest praktycznie niezależny. Na dworze nikt tego nie potrafił przetłumaczyć, więc rozpoczęto poszukiwanie kogoś, kto przełoży list gockiego wodza dla administracji cesarskiej na język grecki. Ammian miał dobrą opinię, był postacią znaną, więc go o to poproszono. Zrobił to chętnie. Przełożył ów list z dosłownością, która zrobiła na urzędnikach cesarskich odpowiednie wrażenie. Fritigern prosił, by cesarz pogodził się z tym, że w Mezji rządzą

Goci, i nadał im status sprzymierzeńców – *foederati*, co miało się Gotom po prostu należeć za lata walki i powstrzymywania wrogów Rzymu przed atakowaniem granicy na Dunaju. Wódz zapewniał, że Goci nie chcą walczyć z Rzymem, ale jeśli cesarz ich napadnie, to będą się bronić. W Konstantynopolu uznano ten list za groźbę. Postanowiono na niego nie odpowiadać, co i tak podczas nieobecności cesarza uznano za niemożliwe. Wraz z tym poselstwem odżyły w Ammianie złudzenia – co stało się z Gudrum? Nie mógł zaprzeczyć, że spędził u jej boku miłe chwile. Czułby się szczęśliwy, żyjąc złudzeniem, że w miłości można znaleźć ukojenie. Jednak dla takich jak Ammian świadków historii nie ma złudzeń. Nie ma ukojenia.

\*

Dopiero 30 maja do Konstantynopola przybył cesarz Walens. Jego wojska przepłynęły się przez cieśninę Bosfor i nie weszły do miasta – Konstantynopol jako Nowy Rzym skopiował też obyczaje sięgające aż czasów republiki, zakazujące zwycięskiemu wodzowi wchodzić z armią do stolicy. Walens uszanował to, ale gdy rozeszła się wieść, że wrócił do stolicy, tysiące ludzi wyszły na ulice, domagając się reakcji cesarza i rządu na grasujących tak niedaleko Gotów. Niektóre ich podjazdy paliły w Tracji rzymskie miasteczka i zabijały ich mieszkańców, toteż stolica pełna była uchodźców przynoszących pełne grozy opowieści o dzikich barbarzyńcach kradnących wszystko, co złote i srebrne, dokonujących mordów, gwałtów i innych okrucieństw. Cesarza to niemile zdziwiło.

– Gdzie ten lud ma wdzięczność dla swojego władcy!? – Walens miał się tak wypowiedzieć do ministrów po przybyciu do pałacu.

Poinformowano go również o poselstwie Gotów, co rozgniewało go jeszcze bardziej.

– Co oni sobie myślą? Już wkrótce przemówię do nich żelazem!

Wyglądało na to, że ruszy ze swoją armią, ale żołnierze maszerowali od wielu tygodni przez bezdroża Azji Mniejszej i mieli prawo być wykończeni. Z powodów operacyjnych Walens musiał poczekać. Armia

rzeczywiście musiała wypocząć. Ammian oczywiście to rozumiał, ale nie widział uzasadnienia dla prawie dwuletniej opieszałości. Grzegorz z Nazjanzu, z którym często się widywał, rzekł mu któregoś dnia:

– Słyszałeś? Mają odbyć się igrzyska na hipodromie.

Ammian uznał, że to jakiś żart, straszny i bardzo niestosowny.

– Żartujesz, Grzegorzu.

– Ani trochę. Cesarz zarządził wyścigi rydwanów i walki z dzikimi bestiami na swoje przybycie.

Ammian z trudem hamował złość.

– Muszę się natychmiast zobaczyć z cesarzem.

– Będiesz miał szansę, jak mniemam. Wyświadczyłeś dworowi przysługę, tłumacząc ów list od Gotów, więc oni również są ci winni przysługę – odparł Grzegorz, który też miał naprawdę dość i Gotów, i arian.

W powszechnym mniemaniu mieszkańców Konstantynopola to arianie ponosili odpowiedzialność za ów najazd. Mówiono o krótkowzrocznej głupocie – jak można było wrogów rzymskiej kultury wpuścić na teren imperium jako uchodźców! Ludzie powtarzali, że przodkami Walensa musieli być Goci, co jeszcze bardziej go rozwścieczyło. Ammian postanowił pójść na igrzyska, uzyskał jednak wcześniej pewność, że będzie mógł porozmawiać z cesarzem w jego łoży. Jego dłużnicy na dworze byli mu to winni.

\*

Kilkanaście dni później cesarz Walens wydał igrzyska na wielkim hipodromie w stolicy. Ściagały się cztery największe stronnictwa cyrkowe, które wystawiły najlepsze zaprzęgi i woźniców, ale ów niebezpieczny sport, tak bardzo fascynujący ulice Konstantynopola, tego dnia zszedł na drugi plan. Lud za każdym razem, gdy heroldowie wymieniali imię Walensa, wył, buczał i okazywał niezadowolenie na wszelkie możliwe sposoby. Cesarz patrzył bezsilny, jak stolica okazuje mu jawne nieposłuszeństwo. Gdyby mógł, wypuściłby swoich najemnych arabskich

łuczników na tłum, ale nie mógł tego uczynić, gdy Goci znajdowali się tak blisko wielkiego miasta. Koło południa ogłoszono przerwę, by ludzie mogli wyjść i zakupić żywność – prażony bób, orzechy w miodzie czy tanie trackie wino.

Cesarz za swoją lożą na hipodromie miał do dyspozycji kilka bankietowych komnat. Wykorzystywano je do spotkań politycznych, wyuzdanych przedstawień dla wtajemniczonych lub podczas przerwy w oglądaniu zmagania na hipodromie. Podawano tam zakąski i inne wyborne jadalno, a także wina z najodleglejszych zakątków imperium. Tam Ammian Marcellinus miał mieć audiencję. Walens nie przystał na nią otwarcie. Powody były znane – nie darzył bratanków atencją. Ani Gracjana, który zaczął samodzielne rządy w zachodniej części cesarstwa, ani małoletniego Walentyniana II.

Ammian ubrał się tego dnia w najlepszą togę, kupioną podczas podróży w Tunisie. Nie nosił pretensjonalnej złotej biżuterii, tylko sygnet rodowy. Od tej rozmowy, jak przypuszczał, mogło wiele zależeć.

– *Domine* – rzekł, kłaniając się przed Walensem. – Dziękuję ci za możliwość audiencji.

Walens napełniał usta gotowanymi małżami. Wsysał ich zawartość i wyrzucał skorupki na podłogę. Dał znak dłonią, by Ammian Marcellinus mówił, co ma powiedzieć. Nie przerwał mlaskania ani jedzenia.

– Jestem posłem cesarza Gracjana i przywiozłem ci list od niego. Zaklina cię na Boga, abyś przyjął jego pomoc w walce z Gotami. List przekazałem twojej, *domine*, administracji.

Ammian spodziewał się wybuchu wściekłości, ale nic takiego nie nastąpiło. Cesarz wpatrywał się w niego obojętnie, jak gdyby nie zależało mu na pomocy, jak gdyby problem Gotów wpuszczonych w granice imperium nie istniał albo stanowił błażostkę. Walens napił się wina po zjedzeniu tuzina ostryg.

– No i co z tego? – zapytał nagle.

– Nie rozumiem pytania, *domine*.

– No i co z tego, że przywiozłeś list? Ja nie prosiłem tego chłystka Gracjana o pomoc. Sam poradzę sobie z Gotami, kiedy będzie trzeba. Moja armia jest niepokonana.

Ammian odbył wiele kampanii i wiedział jedno: niepokonane armie nie istnieją. Ale nie miał odwagi, by powiedzieć to Walensowi.

– Proszę, *domine*, jako żołnierz, ale też jako ten, który zna podstępność nieprzyjaciela. Nie zwlekaj z przyjęciem pomocy Gracjana. Osiem tysięcy znakomitej jazdy czeka w Sirmium. W kilkanaście dni będą pod Konstantynopolem, dadzą ci przewagę w jeździe, ponieważ Goci głównie na niej opierają swoją siłę przełamującą.

– Byłeś żołnierzem?

– Oczywiście.

– Pod kim służyłeś? – zapytał Walens.

– Pod Konstancjuszem Drugim, pod Julianem, pod Jowianem i pod generałem Ursycynem.

Walens znów wypił wina, zjadł od niechcienia ostrygę i rzucił skorupkę na podłogę, po czym wytarł usta rękawem. Ammian pierwszy raz widział takie maniery u cesarza, choć przecież widział w życiu niejedno i nieraz patrzył śmierci w twarz. Teraz mógł się rzeczywiście przekonać, że Walens nie bez przyczyny miał opinię prostaka. Jakaż to dramatyczna różnica w stylu! Jaką klasę miał Julian! – pomyślał gorzko. Niech bogowie karmią go miodem...

– Przydasz mi się. W kwatermistrzostwie mamy wakaty.

Ammian poczuł się idiotycznie. Nie mógł odmówić.

Cesarz dał dłonią znać, że audiencja skończona. Ammian cofnął się trzy kroki tyłem, po czym ukłonił się i odszedł na bok. Miał wrażenie bezsilności. Czuł wściekłą niemoc. Cóż bowiem innego mógł uczynić, niż raz jeszcze stanąć do walki o Rzym, o wartości, które kochał? Choć nie musiał tego czynić. Ale nie był tchórzem. Tak było godnie, choć zdawał sobie sprawę z tego, że perspektywa utraty głowy tym razem jest wyraźniejsza niż pod Amidą.



Cesarz Walens wrócił na hipodrom, ale ludzie go wygwizdali. Nie chcieli oglądać walki z bestiami. Zaczęli krzyczeć:

– Daj nam broń! Obronimy się sami, skoro spieszno ci do igrzysk, a nie do obrony kraju!

Walens słuchał tego, z trudem hamując wściekłość. W końcu nie wytrzymał drwin, szyderstw i wyzywania go od tchórzy. Był żołnierzem, znał się na rzemiośle. Wstał wściekły i wrzasnął do swoich dworzan:

– Jutro wyruszamy! Nie zostanę w tym przeklętym mieście!

To było straszne. Tak nie wyrusza się na zwycięską kampanię – zmuszonym przez szyderstwa tłumu. Julianie, jakże ci zazdroszczę – wyznał Ammian w myślach – bo ty walczyłeś za lepszą sprawę, w lepszych czasach!

\*

Nadszedł znów dla Ammiana czas bycia żołnierzem. Miał przecież znakomite doświadczenie i wiedział, jak należy się zachować. W kwatermistrzostwie przekonał się, że z wojskiem rzymskim nie jest dobrze. Dawne zbroje płytowe, *lorica segmentata*, stały się zbyt drogie i zrezygnowano z nich. W piechocie używano kolczug – *lorica hamata*. Znakomita czworokątna tarcza rzymska, zwana *scutum*, została zastąpiona okrągłą. Jednak kształt nie był tak bardzo ważny, jeśli żołnierzy odpowiednio przeszkolono do taktyki falangi. Ammian wiedział, że największą siłą rzymskiej armii była piechota. Jej odpowiednie wykorzystanie dzięki znajomości topografii miejsca bitwy mogło przynieść sukces. Tymczasem Goci nie mieli dobrej piechoty i z pewnością w otwartej walce ulegliby. Dlatego ich piechota ustawiała się za taborem, czyli wozami powiązanymi łańcuchami. Były one przeszkodą nie do przejścia. Siłą Gotów była jazda – ciężka, okryta kolczugami, wyposażona w długie włócznie.

Ammian miał mnóstwo pracy, ale tego dnia musiał ją nagle przerwać, gdy poprosił o widzenie pewien człowiek, który dopiero co wstąpił do armii.

- Czy mógłbym prosić o chwilę rozmowy? – zapytał młody oficer.
- Oczywiście, w czym mogę pomóc?
- Nazywam się Potencjusz i jestem synem Ursycyna.

Nosił krótko ostrzyżone włosy. Dopiero gdy Ammian przyjrzał się tej twarzy, dostrzegł podobieństwo. Podszedł do młodego człowieka i położył mu rękę na ramieniu.

– Twój ojciec był moim mistrzem! Jak on był mi przyjacielem, tak ja będę tobie.

– Cieszę się bardzo! – odparł Potencjusz. – Liczyłem na dobre słowo. W armii jest... ciężko.

Ammian przypomniał sobie czas, gdy on jako żółtodziób przybył do armii przed dwudziestu laty i wówczas Ursycyn przyjął go jak syna przyjaciela. Ale to była jednak inna epoka. Teraz było straszniej, groźniej, a Rzym miał właśnie walczyć na śmierć i życie.

– Potencjuszu – rzekł Ammian. – Proszę, abyś na siebie bardzo uważał. Nie pchaj się tam, gdzie będzie niebezpiecznie.

– Mówią żołnierze, że pogonimy Gotów za Dunaj.

Ammian musiał zdusić ten szczeniacki optymizm.

– Goci są śmiertelnie groźnym przeciwnikiem. To urodzeni wojownicy. Proszę, nie pchaj się do pierwszego szeregu.

– A skąd! – odezwał się Potencjusz. – Dostałem się do *scholae palatinae*.

– Będziesz blisko cesarza?

– Oczywiście. To będzie najbezpieczniejsze miejsce na polu bitwy. Nasza armia jest potężna.

– To też prawda – odparł Ammian, bo cóż innego mógł powiedzieć.

Musiał już wracać do pracy. Było tyle kolczug do wydania, tyle mieczy *spatha*. Armia musiała jeść. Ammian musiał jeszcze przeliczyć kwadrantale zboża. Słupki, tabelki i nudne liczby. Oto był jego świat po powrocie do armii.

## *ADRIANOPOL, SIERPIEŃ 378 ROKU*

Rzymskie czołówki pod Adrianopolem, pierwszym dużym miastem na północ od Konstantynopola, rozbiły podjazd Gotów. Zginęło dwustu Germanów – wciągnięto ich w zasadzkę i wycięto do nogi. Komes Sebastian, którego Ammian poznał podczas odwrotu armii rzymskiej po nieszczęśliwej kampanii Juliana, zadbał, by ten mały sukces urósł do rangi wielkiego zwycięstwa.

– Rozbiłeś tylko podjazd – powiedział mu Ammian w kwatermistrzowie, gdy Sebastian osobiście przyszedł, aby jego ludzie dostali dodatkowy przydział wina i kaszy za zwycięstwo.

– Może i tylko podjazd, ale widzieliśmy główne siły Gotów, jak rabowały trackie miasteczka. Nie było ich więcej niż dziesięć, może dwadzieścia tysięcy.

– Postępujesz nierozważnie, Sebastianie. – Ammian był przejęty sytuacją.

– Według mojej wiedzy siły Gotów to co najmniej sto tysięcy wojowników.

Jednak dawny znajomy zmienił się. Nie odszedł z wojska i zrobił karierę, jakiej pragnął. Był arianinem, bo Walens był arianinem, ale chętnie zmieniłby poglądy, gdyby cesarz tego wymagał. Nie musiał się tłumaczyć.

– Jeśli będę potrzebował rady kwatermistrza – rzekł – to wówczas cię wezwę. A teraz idę zameldować cesarzowi o zwycięstwie. Zrozumiałeś?

– Tak, oczywiście – odparł spokojnie Ammian, który miał wrażenie takie samo jak na pustyni w Mezopotamii latem 363 roku, kiedy zginął Julian. Była w atmosferze tej kampanii jakaś przytłaczająca wiara we własne siły i lekceważenie siły i determinacji przeciwnika. To łączyło ją z aurą tamtego pamiętnego czerwca.

Pod Adrianopolem zjawił się także komes Rychomeres, który dowodził owymi ośmioma tysiącami jazdy Gracjana, które czekały w Sirmium. Był wprawdzie Germaninem z pochodzenia (rodzice byli Frankami), ale jego wizyta obudziła w Ammianie nadzieję, że może jednak cesarz Walens

wysłucha bratanka. Gracjan wysłał Walensowi ostry list, w którym prosił, by ten nie zaczynał bitwy, dopóki na miejsce nie dotrą wojska z zachodu. Osiem tysięcy konnych przeszło już Rodopy i wkraczało do Serdyki – znajdowali się między armią Gotów i Walensem. Atak z dwóch stron mógłby mieć znaczenie decydujące. Jednak komes Sebastian, który już chciał chodzić w butach zwycięzcy (może nawet purpurowych), przekonał Walensa, że siła armia wschodnia ma dość.

– Mamy pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Widziałem główne siły Wizygotów. Nie mają więcej niż dziesięć, może piętnaście tysięcy. Szybka bitwa, szybkie zwycięstwo.

To zdecydowało. Walens nie chciał korzystać z pomocy Gracjana, bo to wzmocniłoby bratanka. Być może młody cesarz zdołałby wybić się na pełną samodzielność i – zamiast pytać wuja o radę – sam zacząłby dawać mu rady. Walens chciał odnieść zwycięstwo i utrzyć nosa Konstantynopolowi, który zdrwił z niego tak okrutnie. Jeśli pokona Fritigerna i Wizygotów, odbędzie triumf. Valens Gothicus<sup>[74]</sup> – bardzo ładnie wyglądałby taki przydomek wybitny na złotej monecie.

\*

Rankiem 9 sierpnia Walens zdecydował, że cały tabor armii – *impedimenta* – zostaje w Adrianopolu. Ammian miał nie wziąć udziału w bitwie. Cesarz kazał zabrać wodę i jedzenie tylko na jeden dzień drogi. Armia miała się szybko przemieszczać. Ammian oceniał, że z obozu wyszło czterdzieści tysięcy ludzi, w większości piechoty. Walens był sprawnym żołnierzem i prawdę powiedziawszy, tylko taką nadzieję miał w sercu Ammian: że zadecyduje doświadczenie z wcześniejszych kampanii, gdy u boku brata Walentyniana I walczył przeciw Germanom, Alanom i Sarmatom. To były doborowe wojska, zaprawione w walkach, zgrane i zżyte ze sobą. Kwiat armii wschodniej szedł w rytm piszczałek i bębnow nadających rytm marszu, a spod tysięcy stóp wzbijał się pył. Na końcu wyszedł z miasta sam cesarz chroniony przez *scholae palatinae*. Ammian

widział wówczas młodego Potencjusza po raz ostatni. Nie mógł pozbyć się uczucia głębokiego i nieokiełznanego niepokoju – Walens nie doceniał Wizygotów.

Wojska ruszyły za miasto, na teren pofałdowany i upstrzony wzgórzami porośniętymi niewysokimi krzewami, które jednak sprzyjały obronie, a nie atakowi. Jednak armia rzymska radziła sobie przecież z Persami w nie takich okolicznościach, niemniej teren utrudniał walkę piechocie, ponieważ falanga traciła swoją spoistość. Rzymianie zaś od setek lat słynęli z żelaznego szyku piechoty, którego nikt i nic nie mogło złamać. Widok dziesiątek tysięcy żołnierzy wychodzących z gościńca na ten pofałdowany teren musiał zrobić na Wizygotach wrażenie.

Fritigern był jednak na to przygotowany. Główna część jego piechoty, liczącej do dziesięciu tysięcy ludzi, kryła się za linią połączonych łańcuchami wozów. Ciągnęła się ona na ponad dwie mile rzymskie i Rzymianie musieli ją świetnie widzieć. Fritigernowi właśnie o to chodziło. Ta pozycja nie mogła zostać oddana za żadną cenę. Powiedział to zresztą swoim żołnierzom – że muszą wytrzymać, choćby spadł na nich grad strzał i uderzyła rzymska falanga. Właśnie tę gocką piechotę z wozami widzieli ludzie komesa Sebastiana i uznali ją za główne siły Wizygotów.

Prawda była inna, dużo straszniejsza. Siła Fritigerna to jazda uzbrojona w długie włócznie, a każdy z jeźdźców w kolczudze na wzór celtycki. Miecze Gotów były równie długie, co rzymskie. Rzymska piechota także otrzymała dawny długi miecz kawaleryjski spatha – ale do walki w szyku bardziej nadawał się krótki miecz. Jazda wizygocka, wspomagana już jawnie przez Ostrogotów, liczyła ponad trzydzieści tysięcy koni. Była to siła straszna, którą Fritigern kazał ustawić na dwu skrzydłach, lewym i prawym. Walens ze swojej pozycji nie widział całości – wojska Gotów kryły się w parowach.

Fritigern kazał przeprowadzić pozorowany atak dwóch tysięcy kawalerzystów, którzy ruszyli naprzeciw połyskujących w sierpniowym słońcu niezliczonych rzymskich szeregów. Nie dostali się nawet w okolice

piechoty, a już kosili ich rzymscy łucznicy. Widząc, że trup gocki ścieli się gęsto, Walens nakazał rzymskiej kawalerii zepchnąć ich na wozy. Ruszyła kontrszarża i rzymscy łucznicy przerwali ostrzał, aby nie razić własnej jazdy. Wizygoci ochłonęli i zaczęła się straszna bitwa kawaleryjska, gdyż tamci nie mieli zamiaru ustępować Rzymianom o krok. Wszczął się tumult, żelazo zgrzytało o żelazo, a kopyta końskie wzbiły tumany kurzu w górę (pole bitwy było suche i spalone słońcem, gdyż deszcze nie padały od kilku tygodni). W tej dzikiej kipieli pojedynczy koń gocki, czasem rzymski, oszalały galopował przed siebie, byle tylko wyrwać się z tego chaosu śmierci.

Rzymianie, co było do przewidzenia, złamali w końcu wizygocką konnicę, ponieważ mieli osiem tysięcy ludzi przeciw dwóm tysiącom. Ale żaden z rzymskich dowódców – ani Walens, ani komes Sebastian, ani komes jazdy Wiktoryn – nie wiedział, że dokładnie wypełniają plan bitwy, który narodził się w głowie Fritigerna. Złamani Wizygoci, odważni harcownicy, ciężko zapłacili za wywabienie rzymskiej jazdy. Stracili kilkuset swoich i rzucili się do ucieczki, a Rzymianie ruszyli za nimi. Walens, widząc to, kazał piechocie, owemu ogromnemu czworobokowi legionistów, ruszyć do przodu, jednak bez osłony na skrzydłach, którą mogła zapewnić jazda Gracjana – te oddziały stały jednak o kilka dni drogi pod Serdyką. Gońcy przekazali rozkaz.

– Zgnieść ich do reszty! Wytępić jak psy! – rzekł Walens do komesa Sebastiana, który dowodził piechotą.

– Osobiście poprowadzę atak – odparł tamten.

Rzeczywiście ruszyli ławą do przodu. Wizygoci patrzyli na to widowisko z mieszaniną wściekłości, podziwu i grozy. Legioniści, choć nie wyglądali jak armia Cezara przed czterystu laty, bili się w szyku równie dobrze. Szereg za szeregiem, w doskwierającym upale, pod osłoną tarcz, Rzymianie parli naprzód. Gdzieś przed nimi wzmagająca się bitwa, albowiem rzymska jazda, siekąc po karkach uciekających przeciwników, wpadła w nierówny teren, zwolniła, przeformowała się i wtedy uderzyła na nią masa wizygockiej konnicy. Zdało się Rzymianom, że Wizygoci wyrastają jak

gdyby spod ziemi, że są jakimiś prehistorycznymi gigantami na wielkich, umięśnionych koniach, z wielkimi mieczami. Jazda Wiktoryna skupiła się, wytrzymała atak, ale wojowników germańskich było tylu, że poczęła się z wolna wycofywać, krwawo oddając każdy metr ziemi, zrytej niemiłosiernie przez końskie kopyta. Cięcia mieczów były tak szybkie, że niektórym jeźdźcom omdlewały już ręce. Wiktoryn był dowódcą jeszcze ze szkoły Ursycyna i dopiero teraz zdał sobie sprawę z tego, w jaką wpadł pułapkę. Od oporu jazdy zależał los piechoty – Wiktoryn odwrócił się w siodle i dostrzegł legionistów idących po prawej w kierunku umocnień Wizygotów. Właśnie wtedy dosięgło go ostrze wizygockiego miecza. Przecięło mu głowę z hełmem aż po zęby. Nie zauważył nawet, kiedy zginął.

Tymczasem ani piechota, ani dowodzący nią komes Sebastian nie wiedzieli, jaki dramat zaczynał się po prawej, gdzie walczyła jazda. Piechota rzymska nieświadomie wchodziła w pułapkę. Szyk był tak gęsty, że dalsze szeregi nie mogły się już wycofać, nawet gdyby chciały. Piechota Wizygotów rozpoczęła straszny ostrzał z łuków i katapult na wozach skonstruowanych w ostatnich tygodniach, a legioniści musieli wziąć na siebie ów ostrzał. Sebastian kazał więc atakować na wprost, aby siłą szyku i ciężarem tarcz złamać ostatecznie linię Wizygotów. W kilku miejscach to się udało i wojownicy wizygocy musieli zatykać wyrwy własnymi ciałami. Tam trup słał się gęsto. Linia trzeszczała, pękała w jednym miejscu i łatano ją natychmiast rezerwami. To był najbardziej krytyczny moment bitwy. Fritigern to przewidział. Piechota musiała wytrzymać napór Rzymian i wykrwawić się, jeśli będzie trzeba, nawet polec, ale Rzymianie nie mogli się zorientować, że są w pułapce, dopóki nie będzie z niej ucieczki. Linia wozów była zawiasem, na którym opierał się pomysł Fritigerna na pułapkę na Rzymian.

Tymczasem napór wizygockiej konnicy na prawym skrzydle wypierał Rzymian – łamał ich, choć bronili się zaciekle – w stronę wielkiego czworoboku piechoty. Walens też musiał to widzieć i – chcąc temu przeciwdziałać – kazał przesunąć się swojej kilkutysięcznej gwardii

na prawo, tym samym pozbywając się rezerw. Obawiał się, że zepchnięta jazda stratuje własną, niemiłosiernie ściśniętą piechotę. Dał rozkaz i czworobok gwardii zaczął z wolna przesuwać się w prawo. Tymczasem jazda Wizygotów przełamała Rzymian i ogromna masa zaczęła zachodzić z prawej głębokim manewrem okrążającym zbite wojska rzymskie. To samo działo się na lewym skrzydle. Gdy Walens i jego ludzie parli naprzód, na ich tyłach pokazały się zbrojne konne zastępy. Komes Sebastian, który zdołał wycofać się do cesarza, powiadomił go o tym. Zdumiony Walens poznał, że to Wizygoci, a nie zbawienna jazda Gracjana, która mogłaby ich wszystkich uratować jedną szarżą. Młody Potencjusz również to dostrzegł. Znaleźli się w potrzasku. Nie było ucieczki. Żołnierze byli ściśnięci tak bardzo, że nie mogli się ruszyć. Opierali się kawalerii, ale długie włócznie oraz cięcia mieczów robiły coraz większe wyrwy. Umierali na stojąco, podtrzymywani przez jeszcze żyjących.

A Fritigern, który dowodził z wielką przenikliwością, posyłał swoje konne rezerwy, żeby nawet mysz z tego zamkniętego kręgu śmierci nie uszła. Rzymianie – ciosani, kąsani mieczami, cięci bez miłosierdzia, rąbani, kłuci – marli jeden obok drugiego. Nie wiadomo, kiedy i jak zginął młody Potencjusz, syn Ursycyna. Jego ciała nie odnaleziono. Walens w ostatnich chwilach życia wmieszał się w tłum swoich ludzi. Chwytał jakąś tarczę, a miecz w dłoń. Walczył jak prosty żołnierz, otoczony gwardzistami, których wizygocka konnica wycięła do nogi.

Z bitwy mało kto uszedł żywy.

\*

Ammian, który przeczuwał coś strasznego, po południu nie wytrzymał i zebrał kilkudziesięciu konnych, przeważnie oficerów i weteranów osiadłych w Adrianopolu. Ruszył na pole bitwy, wierząc, że może nie jest aż tak źle. Ale na trakcie, którym przed kilkoma godzinami szły czterdziestotysięczne wojska Walensa, teraz spotykał tylko dezertersów, żołnierzy zlanych potem i krwią, z rozbitymi hełmami, boso. Było ich niewielu, kilkudziesięciu zaledwie, przejętych żałością tak wielką, że nawet



nie było mowy o tym, by ich karać za to, że uciekli z pola bitwy. Ammian zatrzymał jednego i zagadał:

– Gdzie cesarz?

– Nie wiem, panie. Wszędzie śmierć. Konnica nas wyrzyna.

Ruszyli pędem, ale natknęli się na oddział wizygocki polujący na uciekinierów rzymskich z pola bitwy. Ci, widząc ich, ruszyli w ich stronę, ale Ammian czuł, że nie umrze tego dnia pod Adrianopolem. Wyciągnął miecz – długą, solidną spathę, która była przy nim, kiedy ginął Julian. Pojął, że tamta śmierć tutaj nabiera innego znaczenia. Pod Adrianopolem umierał Rzym. Ammian wiedział już, że po tej bitwie nic nie będzie takie samo.

## ROZDZIAŁ XXVI

### *Dar Boga*

#### *KONSTANTYNOPOL, JESIEŃ 378 ROKU*

Ammian nie pamiętał już, w jakich okolicznościach dowlókł się do stolicy razem z kilkudziesięciu uciekinierami z bitwy. To oni zanieśli miastu wieść straszną i złowrogą. Zrazu nikt nie chciał uwierzyć, jak to bywa w takich wypadkach. Pojawiły się też głosy, że to wszystko jest dziełem jakiegoś spisku, ponieważ najlepsza w imperium armia prefektury wschodu nie mogła tak po prostu zostać wycięta przez barbarzyńców. To było zbyt nierealne, aby mogło stać się prawdziwe.

Jednak przybywający uciekinierzy mówili prawdę. Przerażony rozmiarami klęski Grzegorz z Nazjanzu szybko odnalazł w bramie do miasta utrudzonego, znużonego ponad miarę, ale żywego Ammiana. Nie musiał pytać. Klęska była wypisana w oczach historyka i oficera. Pozostawało pytanie o jej rozmiar.

– Walens? Gdzie jest cesarz?

Ammian westchnął.

– Jego trupa zjedzą dzikie psy – odparł. – Nikt nie jest w stanie wydobyć go spod zwał zwłok. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

I opowiedział duchownemu o swojej wycieczce i wycięciu małego oddziału gockiego. A potem o wizycie na pobojuwisku, gdzie leżały dziesiątki tysięcy zabitych rzymskich żołnierzy.

– Co zamierzasz? – zadał na koniec pytanie.

Grzegorz zdał sobie sprawę z tego, że śmierć Walensa zmieniła wszystko. Trzeba natychmiast odsunąć arian od wpływów i władzy. Nie ma czasu na rozpacz.

– Zamierzam napisać list do cesarza Gracjana, który jest w Mediolanie, aby niezwłocznie wyznaczył patriarchę w Konstantynopolu i dobrał sobie cesarza.

Ammian rozumiał, że wciąż toczyła się gra o władzę. Dzięki temu katolicy zdobędą wpływy nad Bosforem.

– Dlaczego?

– Bo lepiej, żeby zrobił to sam, a nie żeby dobrała mu go jakaś armia. Rzymu nie stać na kolejnego durnia z wielkim mniemaniem o sobie i ani jedną przeczytaną książką. To musi być świątły człowiek.

– I masz już takiego?

– Oczywiście. To prefekt Teodozjusz, który rządził Brytanią. Pełnił przecież funkcje w armii za Konstancjusza.

Ammian miał pamięć do ludzi.

– Julian go wyrzucił za chrześcijaństwo.

– W istocie. A to dobry żołnierz – rzekł Grzegorz. – I do tego katolik. Pobożny.

– Wiesz, że boję się ludzi pobożnych.

– Dlaczego?

– Bo ich pobożność usprawiedliwia wszystko, w tym ich zbrodnie.

Tym razem Grzegorz westchnął.

– Ty się nigdy nie nawrócisz.

\*

Ammian został w Konstantynopolu, by zorganizować na nowo garnizon miasta. Większość żołnierzy *scholae palatinae* zginęła wraz z cesarzem pod Adrianopolem. Ammian zorganizował nabór, ale rzuciło mu się w oczy prawie natychmiast, że nie było wśród kandydatów ani jednego człowieka, który mówiłby po łacinie. Wszyscy byli Grekami. Imperium nie poznawało już samo siebie. Ammian nie zdecydował jeszcze, w której jego części będzie żył. Zamieszkał w domu rządcy *scholae palatinae*. Mieszkanie było puste, a on był najstarszym rangą oficerem, który

uratował się z Adrianopola, więc nikt nie robił mu o nic pretensji. Jego dni byłyby puste, gdyby nie to, że ktoś zapragnął nawiązać z nim kontakt.

Ten dzień miał nie różnić się od innych dni po klęsce. Jednak gdy Ammian powrócił do swojej kwatery, zastał tam gości. Okazało się, że stary Wulfila przesłał znów listy do wszystkich ważnych postaci w Konstantynopolu. Chciał mieć wpływ na wybór patriarchy. Przybyło dwóch księży, którzy byli Rzymianami i arianami, ze zgromadzenia Wulfili. Nie odnoszono się do nich dobrze, ale ponieważ nie wiedziano, co z nimi zrobić, wysłano ich do Ammiana. Jednego może kiedyś widział u Wulfili, ale ten drugi, z twarzą skrytą pod kapturem, nie wydawał się mu znany.

– Zostawcie listy i jutro macie się wynieść. Nie chcę z wami rozmawiać – rzekł im.

– Popełniasz błąd, Ammianie Marcellinusie. Dajesz się ponieść emocjom, a tymczasem ja przychodzę od samego Fritigerna. – Ksiądz ściągnął kaptur, który do tej chwili trzymał nasunięty na twarz.

Ammian cofnął się, zaskoczony, bo zobaczył twarz, której nie chciał widzieć i która stanowiła dla niego symbol kłamstwa.

To była Gudrum, tylko z obciętymi włosami i przebrana za mężczyznę.

– Co tutaj robisz? – zapytał z podejrzliwością.

– Czy to naprawdę tak straszne mnie widzieć? – odpowiedziała Gudrum.

– To gorsze niż wszystko, czego doświadczyłem w życiu.

– Zdumiewa mnie twój stosunek do mnie – odparła Gudrum. – A pamiętam taki czas, gdy było dokładnie odwrotnie. Chciałabym, aby wróciły stare czasy.

– To niemożliwe.

– Przybyłam do Konstantynopola z listem od Fritigerna. Mój syn proponuje Rzymowi sojusz i przymierze.

Tego było za wiele. Ale Ammian musiał przyznać sam przed sobą, że poziom bezczelności Fritigerna i jego matki był niezwykle.

– To oddaj go w administracji cesarskiej.

– Wolę oddać go tobie – odpowiedziała. – Wiemy z pewnych źródeł, że miałeś dostęp do cesarza Gracjana, który grozi naszym ludziom. Nie

podoba się nam to i dlatego wolimy mieć w Rzymianach z Konstantynopola sojusznika.

– Nie ma żadnych Rzymian z Konstantynopola i Rzymian z Rzymu. To jedno państwo, jedno imperium.

– Jakoś ostatnio ubyło wam chyba cesarza – rzekła prowokacyjnie Gudrum.

Ammian poczuł w sercu wielką złość. Adrianopol i ci, którzy tam zginęli, stanowili zbyt świeżą i zbyt wielką ranę, by z tego drwić. Czuł się zdradzony i wykorzystany w intrydze Fritigerna, a to, że wódz germański był prawdopodobnie jego synem, nic nie znaczyło. Po męsku, przez chwilę, Ammian był dumny, że ma takiego syna. Ale skala rzezi pod Adrianopolem zniweczyła te uczucia. Fritigern i jego matka byli wrogami. Postanowił zamilczeć zniewagę i rozstrzygnąć to po rzymsku.

– Nie możecie tutaj zostać długo. List doręczę – odparł uspokajająco.

Gudrum była przekonana, że dawny kochanek ma słaby charakter, tak jak Rzymianie, których armia jej syna zmasakrowała niedawno. Ammian poszedł po bukłak wina. Nie pomylił się – goście byli spragnieni. Chciał, aby wypili jak najwięcej, bo wino stępią umysł. Wiedział, że Gudrum przyjdzie do niego w nocy. Po prostu znał jej próżność, choć nie odgadł jeszcze przyczyny nagłego pojawienia się w Konstantynopolu. Być może Fritigern obawiał się nowego cesarza.

W nocy okazało się, że istotnie – miał rację. Przyszła do niego, licząc być może na to, że rozkosz ciała stępi jego umysł. Czekał na nią, leżąc na łożku. Położyła się obok w nadziei na namiętność, jaka połączyła ich po latach w Antiochii.

– Tęskniłam za tobą – powiedziała.

– A ja nie – odparł Ammian.

Szybkim ruchem nałożył jej na szyję mocny jedwabny sznur. Zaczęli się zmagać ze sobą na śmierć i życie. Gudrum wierzgała i kopała go z całej siły, ale Ammian nie puszczał sznura zaciśniętego na jej szyi. Nie miał zamiaru darować oszukania go, wciągnięcia w intrygę, która zawiodła go do Adrianopola. Nienawidził jej za to, co się tam stało, tak jak nienawidził

Fritigerna. I nie miało znaczenia, że był jego ojcem. Kobieta wiała się, próbowała łapać powietrze – w całym życiu Ammian nie musiał tak ciężko walczyć. Wiedział, że zabija kobietę swojego życia, ale musi to zrobić, żeby pomścić tych, którzy zginęli pod Adrianopolem. Spróbowała wbić paznokcie w jego twarz. Udało się jej to. Ammian starał się jak mógł, aby nie krzyczeć, by ta śmierć pozostała w ciszy tajemnicą. W końcu jej uchwyt osłabł, ręce zwiotczały i Gudrum przestała oddychać.

Ammian leżał obok niej, już zastygłej i uspokojonej przez śmierć. Kiedyś ją kochał. Teraz to nie miało żadnego znaczenia. Wiedział, że straszne, przeczące jego charakterowi dzieło musi zostać dokończony. Nie mógł iść do tego ariańskiego księdza, śpiącego w drugiej izbie, ze sznurem. Tam udał się z nożem. Nie czuł nic. Zarznął go we śnie. Następnie wyniósł ciało Gudrum na rękach i wrzucił je do śmietnika. Podobnie uczynił z ciałem ariańskiego księdza. Kilka dni później, gdy już cuchnęło, służby miejskie wyrzuciły trupy do morza. Ammian zdał sobie sprawę, że stało się z nim coś nieodwracalnego. Kiedyś ryzykował życie, by ocalić jeńca perskiego, a teraz udusił własnymi rękoma kobietę swojego życia.

\*

We wszystkich zakątkach imperium na wschodzie dowódcy wojsk pomocniczych organizowali rzezie własnych żołnierzy pochodzenia wizygockiego. Ammian udzielał na to milczącego przyzwolenia. Byli wrogami i nie mogło być mowy o litości. Goci służący w rzymskiej armii musieli umrzeć.

Antyk poznał smak nienawiści narodowościowej, czego nigdy wcześniej nie było. Rzym zniszczył przecież Kartaginę, a cztery wieki potem cesarzem został Septymiusz Sewer, urodzony w Letpis Magna potomek Punijczyków. Teraz jednak mordowano, bo ktoś urodził się z takiej matki i takiego ojca. Ammian z coraz większym obrzydzeniem, także do siebie samego, przyznawał, że Rzym nie przypomina już świata, z jakiego pochodził i o jaki chciałby walczyć. Mijały miesiące, ale historyk nie

potrafił odejść, choć wiedział przecież, że to już nie jego Rzym ani czas. W końcu nadarzyła się okazja.

W roku 380 w Sirmium nad Sawą spotkali się cesarz Gracjan i nowo wybrany przez niego Teodozjusz. Ammian słyszał nieco o tym zdolnym żołnierzu. Pochodził z Hiszpanii, jak Trajan, ale był gorliwym, żeby nie powiedzieć – fanatycznym chrześcijaninem. Gracjan posłuchał podpowiedzi swego mentora Grzegorza z Nazjanzu. Nowy cesarz z szacunkiem odnosił się do Gracjana, który ożenił się z pogrobową córką Konstancjusza II, Konstancją Flawią – obydwie dynastie miały wciąż nić łączącą z rodem Konstantyna Wielkiego. Ammian jako wybitny analityk polityczny zdawał sobie sprawę z tego, że to będzie przełomowe panowanie. Wkrótce potem wydarzyło się coś, co potwierdziło te przypuszczenia.

W Tesalonice cesarz Gracjan oraz nowy cesarz Teodozjusz wydali dekret zabraniający odtąd jakichkolwiek ofiar składanych bogom Rzymu i sankcją za to była kara śmierci. Pogan to bardzo dotknęło, ponieważ jądrem ich religii była ofiara. Mówiono, że bogowie odwrócili się od imperium, skoro Rzym ponosił klęski jak ta pod Adrianopolem. W Konstantynopolu nie wywołało to oburzenia. Przeciwnie – miasto to było budowane przez Konstantyna w zamiśle jako chrześcijańskie. Ammian, wyznawca Mitry, czuł się w wielkiej metropolii nad Bosforem zupełnie wyobcowany. Uznał, że jego czas minął. Znalazł bardzo prosty sposób na to, by bez konsekwencji odejść z wojskowej administracji.

– Jestem wyznawcą Mitry i w myśl nowego prawa nie mogę być urzędnikiem ani oficerem armii.

Dowódca garnizonu Konstantynopola zdziwił się bardzo.

– No... w sumie tak, ale jesteś wybitnym oficerem.

– Ale poganinem – podkreślił Ammian, który chciał jak najszybciej wyjechać.

– To prawda.

– Czy chciałbyś powiedzieć nowemu cesarzowi, że jeden z oficerów wyznaje Mitrę, podczas gdy cesarz wyznaje szczerze Chrystusa i jego

Kościół?

– No tak, musiałbym zameldować – przyznał dowódca z niechęcią.

– To rozwiąże twój problem – rzekł Ammian, podając mu na tabliczce swoje wypowiedzenie.

Napisał w nim, że został wbrew swojej woli zmuszony do ponownej służby w wojsku przez Walensa i że z jego śmiercią ustał wszelki obowiązek. Dowódca nie śmiał go zatrzymać. Poganie stawali się kłopotem, gdziekolwiek się pojawiali. Należało się ich pozbyć. Rzym miał odtąd być chrześcijański.

\*

Ammian przygotowywał się do wyjazdu z Konstantynopola już na zawsze. Jako znana postać uznany historyk mógł liczyć na poparcie tych, którzy wciąż myśleli, czuli i wierzyli tak jak on. Przyszedł list od prefekta Rzymu, Symmachusa, postaci znanej i szanowanej w starej stolicy, słynnego profesora retoryki i filozofa ze szkoły neoplatonickiej. Symmachus zapraszał Ammiana do Rzymu. W tym samym czasie cesarz Teodozjusz pokazał swój prawdziwy stosunek do wszelkich mniejszości religijnych. Postanowił skończyć z arianami, których obwiniono – słusznie – o klęskę pod Adrianopolem. Wygnano ich wszystkich z Konstantynopola. Cesarz Teodozjusz ustanowił nowego patriarchę – został nim zgodnie z przewidywaniami Grzegorz z Nazjanzu, który wcześniej nakłonił Gracjana do wyboru Teodozjusza na współwładcę. Dług musiał zostać spłacony.

Właśnie wtedy przyszło zaproszenie na rozmowę do siedziby patriarchy. Ammian wiedział, że Grzegorz spróbuje znów wszystkich swoich intelektualnych sztuczek, nakłonień, ukrytych gróźb i zaklęć, byle tylko porzucił pogaństwo. Strasznie go irytowało to określenie – jak gdyby cztery tysiące lat religii grecko-rzymskiej było w istocie rytuałem dla prostaków, oddawaniem czci prostym totemom. Chrześcijanie prezentowali zaskakującą pogardę dla wierzeń innych i starszych niż swoje własne. Nie



chciał iść na to spotkanie, ale musiał. Grzegorz był jego ostatnim przyjacielem wśród chrześcijan.

Ich przywitanie było jak zawsze przyjacielskie, prawie rodzinne, ale Ammian zauważył inną posepną postać, która dziwnym zbiegiem okoliczności pojawiła się akurat w tym samym czasie nad Bosforem. Był to jego były uczeń – Jan Chryzostom, teraz patriarcha Antiochii.

– Ammianie Marcellinusie, doprawdy boleję nad tym, co tutaj słyszę – rzekł Jan. – Tak wybitny, swoją drogą, człowiek jak ty i tak oporny wobec zbawczej mocy Chrystusa.

– To niestosowne mówić tak do starego nauczyciela – odparł Ammian, który wiedział, że nie będzie miłego spotkania po latach.

Biskup Jan Chryzostom słynął ze swoich płomiennych kazań przeciw Żydom, których obwiniał za wielkie zło, przede wszystkim zaś za ukrzyżowanie Chrystusa, prześladowania Jego Matki i Apostołów. Nazywał ich *plemieniem żmijowym i nieczystym*. Po jego słowach w Antiochii spłonęły wszystkie synagogi, a wielu Żydów przymusowo ochrzczono. Jan zdawał sobie sprawę z tego, że nie był przyjemny dla swojego byłego nauczyciela, ale nie miał zamiaru ukrywać swojego stylu duszpasterstwa.

– Nie będę prosił o wybaczenie – oznajmił. – Tkwiąc w pogaństwie, tkwisz w szponach diabła. Powinieneś być mi wdzięczny za napomnienie.

– *Ρακ!* – rzekł Grzegorz z Nazjanzu, który nie był zadowolony z tego, że Jan napadł słownie na Ammiana Marcellinusa. – Zapominasz się, Janie. Obydwaj jesteście moimi gośćmi.

– Dziękuję – odparł Ammian. – Zadziwiająco są obyczaje twoich gości.

– Jan nie miał niczego złego na myśli. Sam widzisz, że nadeszła pełnia czasu, aby porzucić błędne schematy myślenia i pójść w stronę światła Boga.

– Którego?

– Nie drażnij się z nami – rzucił Grzegorz. – Chcemy, żebyś wyparł się bogów i stał się jednym z nas.

Ammian jak gdyby na to czekał.

– Mam wyprzeć się bogów? Ale jakich? Czy jako mój przyjaciel kiedykolwiek zdawałeś sobie sprawę z tego, w co ja wierzę?

– No... w bogów, jesteś poganinem – odparł Grzegorz, który tracił pewność.

Nie lubił tego, że zawsze ją tracił w rozmowach tylko z nim, jedynym człowiekiem, który intelektualnie dorównywał lub przewyższał uczonych chrześcijan.

– Nie wierzyłem nigdy w żadnych wielu bogów. Wyznaję jedynego Boga – rzekł Ammian, rozbudzając nadzieję obydwu ważnych członków Kościoła na jego nieuchronne nawrócenie.

– Naprawdę? – zapytał podejrzliwie Jan Chryzostom.

– Naprawdę. Wierzę w jedynego Boga, objawiającego się w Słońcu Niezwyciężonym, świetlistym i wiekuistym Mitrze, który z chaosu wydobył wszechświat i nadał mu sens. To jest mój Bóg, nie jest on ani lepszy, ani gorszy od waszego.

Na te słowa oburzył się patriarcha Jan:

– Kpisz sobie, Ammianie Marcellinusi! Kpisz sobie z nas w żywe oczy! Wy, poganie, wierzycie w demony, obrzydliwe nagie posągi, lubieżne i sycące się ciałami swoich wyznawców.

Ammian nie wytrzymał.

– Coś mi się zdaje, biskupie, że opisując demony, raczej opisujesz twoje skrywane pragnienia.

Na te słowa Jan Chryzostom, piewca czystości seksualnej, orędownik dziewic, świątobliwych i niemyjących się nigdy mężów żyjących na słupach lub w pieczarach, po prostu umilkł. Ale nie było to milczenie pokorne, lecz cisza przed burzą, bo gdyby mógł chwycić za miecz, z pewnością Ammian padłby z rozplatanym gardłem.

– Jak śmiesz!! Poganinie! Szatanie!

– Przestań krzyczeć – rzekł Ammian. – Epikur nakłaniał do korzystania z przyjemności życia z umiarem i szacunkiem dla innych. To zdrowe, normalne i naturalne. Ty zaś nie jesteś ani normalny, ani zdrowy, ani naturalny.

– Poganie są z grzechu!

– Poganie stworzyli to imperium, które wy niszcycie. Poganie, jak ich nazywasz, stworzyli filozofię, sztukę i kulturę, z której czerpicie to, co jest wam przydatne, ale niszcycie wszystko inne. Ja jestem wierny mojej kulturze. Nie potrafiłbym czytać Platona, wierząc w ukrzyżowanego Ciesłę. Nie żebym miał coś przeciwko Jezusowi. To z pewnością był bardzo przyzwoity człowiek. Ale nie mam zamiaru stać się taką głupią pizdą jak ty, biskupie Janie Złotousty.

Ammian wyszedł wzburzony.

Dwaj patriarchowie zostali sami. To był koniec. Grzegorz z Nazjanzu załamał ręce. Nie sposób było dłużej rozmawiać. Ammian odchodził od nich jako wróg ich wiary.

– Widzisz, że on jest niebezpieczny – rzekł Jan Chryzostom.

– Tak jak Żydzi w twoich kazaniach? – Grzegorz nie mógł sobie odmówić tej małej złośliwości, ostrej jak drzazga pod paznokciem.

Jednak Jan tego nie pojął.

– Przeciwnie. Żydzi są wrogiem, którego istnienie zależy tylko od nas. On natomiast jest gorszy od Nerona i Dioklecjana. Oni mordowali naszych braci, ale on nas wyśmiewa!

Śmiech jest bronią wobec fanatyków. Fanatycy to wiedzą, dlatego nie pozwalają się śmiać z siebie. Grzegorz z Nazjanzu miłował swego przyjaciela, ale nie chciał przyznać, że imperium jest wystarczająco wielkie, by zmieścić ich wszystkich.

## ROZDZIAŁ XXVII

### *Manichejczyk*

#### *RZYM, SIERPIEŃ 383 ROKU*

Od wyjazdu Ammiana z nowej stolicy imperium nad Bosforem minęły trzy lata. Był to znakomity czas dla historyka. Prefekt Rzymu, Symmachus, sam będąc wyznawcą bogów, zaprosił go do Wiecznego Miasta, aby wzmocnić intelektualne środowisko starej stolicy. Ammian znów poczuł, że jest u siebie. Za radą i z pomocą Symmachusa rozbudował kupiony przed laty dom na Awentynie. Mógł znowu pisać.

Dzieło o współczesnej historii Rzymu powstawało w niezwykłym tempie, a kopiści nie nadążali z przepisywaniem. Ammian z niezwykłą starannością oddał najważniejsze lata historii imperium, których był świadkiem: od czasów śmierci Konstantyna przez rządy jego synów. Szczególnie dużo miejsca poświęcił Julianowi i kryzysowi, jaki przyszedł na imperium po jego śmierci. Napisał o tym, że *nie wiadomo skąd rzucona włócznia* zakończyła życie cesarza. Nie mógł otwarcie opowiadać o swoich przypuszczeniach co do tego, kto zabił Juliana, ale i tak zostało to zauważone przez licznych czytających. W istocie Ammian ubarwił opisy politycznych zmaganiań własną historią, którą przeżył, i przy okazji przedstawił, jak wyglądało imperium na godzinę przed katastrofą. Zdecydował, że zakończy swe dzieło na bitwie pod Adrianopolem.

Całość – od czasów Konstantyna do Adrianopola – powstała między 380 i 382 rokiem w Rzymie, w willi, w której mieszkał. Sporządzono ponad dwieście kopii pierwszego wydania i na prośbę Ammiana Symmachus powysyłał je w różne części imperium, w tym na Bliski Wschód –

do Aleksandrii powędrowało dziesięć kopii, podobnie do Konstantynopola i wszystkich bibliotek w ważniejszych miastach, stolicach diecezji.

Tego dnia akurat Ammian, skończywszy dzieło życia, oczekiwał przybycia ważnych gości – Symmachusa oraz dwóch jego przyjaciół, wysoko postawionych przedstawicieli rzymskiej arystokracji, braci Woluzjana i Cejoniusza Albinusa. Reprezentowali oni wzajemnie się ochraniający krąg osób wyznających dawnych bogów i składających potajemnie ofiary, gdyż nie można było tego robić publicznie. Ammian miał zamiar włączyć się w te obrzędy. W Rzymie mieszkało, jak się okazało, sporo wyznawców Mitry i potrzebne było mitreum. Chciał żyć jak dawniej, choć była za to jasno określona cena w edykcje z Tesaloniki.

Kazał podać do atrium najlepsze wina w dzbanach i zimne zakąski. Choć nie miał zbyt wielkiej służby, to jednak żył dostatnio, nie troszcząc się o byt powszedni. Dziwił się, że goście się spóźniają, ale być może coś im wypadło. Uspokoił się dopiero, gdy tragarze przynieśli dwie lektyki, z których wysiadło na ulicy przed jego domem, skrytym za rosnącą sykomorą i rzeźbionym murem, trzech mężów – ubranych po rzymsku, w togach, bez żadnych elementów orientalnych. Wszyscy mieli też brody ku czci Hadriana – pierwszego spośród cesarów, którzy nosili brodę na znak przynależności do swoistej sekty filozofów. Ammian wyszedł ich powitać w imieniu Westy, pani domowego ogniska.

– Witajcie w moich skromnych progach.

– Powinniśmy prosić cię o wybaczenie – rzekł prefekt Rzymu Symmachus. – Spóźniliśmy się, ale był ku temu ważny powód.

– Nie chciałybym być wścibskim gospodarzem.

– Nie żyje cesarz Gracjan – powiedział Cejoniusz Albinus.

Ammian zbladł i poprosił gości na wyznaczone im miejsca. Zamierzali odbyć dyskusję o stworzeniu mitreum w dawnych chrześcijańskich katakumbach, teraz już opuszczonych przez wyznawców Chrystusa, którzy mieli już swój główny kościół Świętego Jana na Lateranie. Słudzy nalali gościom przedniego wina.

Gospodarz musiał się solidnie napić. Był taki młody – pomyślał.

– Jak to się stało?

– Niewiele wiemy. Wybuchł wiosną bunt w Brytanii pod wodzą Maximusa i tamtejsze oddziały przepравиły się do Galii. Do bitwy miało dojść w okolicach Lutetii... – rzekł Woluzjan.

Tam, gdzie zaczął Julian – znów pomyślał Ammian.

– Jednak ludzie Gracjana zdradzili go i ratował się ucieczką. Dopadli go pod Lugdunum<sup>[75]</sup> i tam zabili – dodał Cejoniusz Albinus. – A stało się to przed dwoma tygodniami.

– To zmienia wszystko – rzekł Symmachus.

– To prawda – odparł Ammian, z gorzką świadomością, że bunt w Brytanii i ewakuacja tamtejszych wojsk, by walczyć z legalnym cesarzem, osłabiają bardzo rzymskie wpływy na wyspie.

– A Walentynian Drugi? – zadał pospiesznie pytanie.

Żył przecież i formalnie panował na zachodzie syn Walentyniana I, jego imiennik, chłopiec jeszcze, ale teraz zagrożony przez uzurpatora cesarz.

– Z tego, co wiemy, uciekł do Tesaloniki pod protekcję Teodozjusza – oznajmił Cejoniusz Albinus.

– Tyle dobrego. Jednak nie rozwiązuje to naszego problemu, panowie – rzekł Symmachus. – Nowy władca z pewnością kogoś tutaj przyśle.

– Co o nim wiemy?

– To fanatyczny katolik. Podobno spalił jakiegoś biskupa chrześcijańskiego w Hiszpanii, skąd zresztą pochodzi, za ciągoty manichejskie i ariańskie – dodał Woluzjan.

– Tak się teraz rozprawia z przeciwnikami? Pałac ich żywcem? – zapytał Ammian. – Do czego doszliśmy, panowie...

– Chciałeś powiedzieć: do czego doszli chrześcijanie – poprawił go Symmachus, smakując wina.

– Tak, właśnie to chciałem powiedzieć. Musimy znaleźć miejsce na mitreum, ale w tej sytuacji będzie to jeszcze trudniejsze. Nieodmiennie chciałbym wam powiedzieć, że przybycie tego zgubnego nowego pana Rzymu nie zmieniło mojej determinacji, by składać ofiary. Mitra znów chce być wielbiony.

Mężczyźni przytaknęli. Ich zgoda stanowiła tabu, o którym nie mogli wiedzieć niewtajemniczeni.

\*

Ammian, zdobywszy sławę jako historyk, zachował dobre relacje z Ambrożym, biskupem Mediolanu, coraz bardziej wpływowym człowiekiem, o którego poparcie polityczne zabiegali różni cesarze. Ambroży był niezwykle osobowością – świetnie odczytany w tekstach antycznych był dla pogan niezwykle trudnym przeciwnikiem, tylko że Ammian nigdy go za takowego nie uważał. Rozumieli się intelektualnie na wielu poziomach, unikając tego, co ich dzieli. Ambroży był jednym z niewielu znanych mu chrześcijan, którzy nie postrzegali swojej wiary fanatycznie. Był człowiekiem pobożnym, ale otwartym. Rzym odwiedzał rzadko, głównie po to, by pomagać w odbudowie autorytetu biskupa Rzymu Damazego, który objął Stolicę Piotrową w atmosferze strasznego skandalu – regularnej bitwy między zwolennikami Damazego i Ursyna. Damazy chronił katakumby, czcił dziewice i zachęcał młodych ludzi do wyrzekania się życia małżeńskiego na rzecz życia w umartwieniu, brudzie i pogardzie dla ciała. Ammian nie rozumiał obsesji chrześcijan na punkcie term w Rzymie. Największe oddano do użytku za Dioklecjana i z tych korzystał codziennie. Jednak dla chrześcijan były siedliskiem grzechu, przybytkiem nagich demonów, co budziło zdumienie Ammiana. Jeśli dobrze rozumiał doktrynę chrześcijańską, demony były jakąś formą bytu duchowego, więc co miała do nich nagość, która jest przymiotem fizycznego ciała?

Uprzedzony o przybyciu Ambrożego, z którym papież Damazy musiał się liczyć, Ammian wyruszył w lektyce użyczonej mu przez Symmachusa (nie było go stać na własną) na spotkanie. Odbędzie się w ogrodach bazyliki na Lateranie, która jako pierwszy i najważniejszy kościół katolicki w imperium miała status sakralny. Jednak nikomu nie zabraniano do niej wchodzić.

Ambroży był w doskonałym nastroju. Edykt trzech cesarzy w Tesalonice czynił chrześcijaństwo religią państwową. Ale co najważniejsze – w wersji katolickiej. Tym samym wyeliminowano rywalizujące wyznanie ariańskie, które wskutek atmosfery podejrzliwości i wrogości wobec Germanów po Adrianopolu uważano za wyznanie barbarzyńców. Marzenie Wulfili o pokojowym życiu Gotów i Rzymian umarło w tym samym czasie.

– Witaj, Ammianie Marcellinusie. Minęło trochę czasu od naszego ostatniego spotkania.

– To prawda. *Tempus fugit*<sup>[76]</sup>. Ale to chrześcijańska maksyma.

– Mam dla ciebie wieści z Mezji.

Ammian poczuł się źle na myśl o tych wszystkich wspomnieniach. Chciał umrzeć na polach pod Adrianopolem, ale Mitra mu nie pozwolił. Ktoś musiał stać się świadkiem upadku wielkiego cesarstwa.

– Mówże, Ambroży!

Byli ze sobą na ty. Co świadczy nie tylko o bezpośredniości wielkiego chrześcijańskiego przywódcy, ale też o zwykłej ludzkiej przyjaźni tych dwóch – poganina i wyznawcy Chrystusa w świecie, w którym należeli do przeciwnych obozów. A to sztuka, różnić się tak bardzo w sprawach zasadniczych i jednocześnie przyjaźnić.

– Wulfila zmarł przed kilkoma miesiącami. Goci pochowali go pod Naissus.

Ammian westchnął. Kiedyś nie potrafił ukryć swojej fascynacji poglądami i dziełem starego apostoła Gotów. Jednak arianizm i zaszalenie tą wersją chrześcijaństwa przez kilku kolejnych cesarzy przyniosło opłakane, katastrofalne skutki. Jeśli było jakieś ewangeliczne sformułowanie, pod którym Ammian mógłby się podpisać, to chyba takie, że *poznacie ich po owocach*<sup>[77]</sup>. Wulfila zakończył życie, ale jego wersja chrześcijaństwa – wyznanie Germanów – stawała się niebezpieczna. Obaj mieli tego świadomość.

– Pomagałem mu tłumaczyć na gocki Ewangelię Janową – zdobył się na wyznanie Ammian.

Ambroży popatrzył na niego z podziwem. Teraz on westchnął.



– Byłbyś wielkim świętym, gdybyś tylko przystał do nas – rzekł biskup Mediolanu.

Ammian uśmiechnął się. To miał być komplement.

– Takie nawrócenia nie zdarzają się teraz – odparł z przekonaniem.

Tym razem Ambroży się uśmiechnął.

– Nie masz racji, Ammianie Marcellinusie. Opowiem ci o kimś. Jego nazwisko robi się coraz głośniejsze. Człowiek ten jest żywym dowodem na to, że można dojść do prawdy, będąc zwolennikiem dawnych wierzeń. Jak ty. Nazywa się Aureliusz Augustyn, choć to nazwisko może niewiele ci mówić. Przez lata żyłeś na wschodzie.

– Jestem wszak Grekiem.

– To prawda, ale twoja znajomość łaciny, genialna i mistrzowska, pozwala ci żyć między nami. On nie zna greki, ja też czytam po grecku z trudem. Niestety, nie mieliśmy takich nauczycieli jak ty. Pozwól, że ci opowiem o jego drodze. Pochodzi z rodziny patrycjuszowskiej z Tegasty, to w Afryce Północnej. Kształcił się na prawnika i był ponoć dobry. Takie opinie krążyły o nim w sądach i wśród rzymskiej palestry. Prowadził sprawy w Kartaginie i w Rzymie, a to, jak wiesz, z racji częstych podróży nie jest ani łatwe, ani przyjemne. Spotkał kobietę, miał z nią syna. Wyznawał dawnych bogów jak ty.

– Widzę podobieństwo – rzekł Ammian. I zdobył się na osobiste wyznanie: – Ja moją zabiłem.

Ambroży zamarł. Ile on już wysłuchał historii ludzi, którzy uciekali przed jego chrześcijańskim Bogiem, a których on próbował dla nich złapać w sieć, jak Piotr – Skąta przed trzystu pięćdziesięciu laty. Ammian opowiedział ze szczegółami o swoim związku z Gudrum.

– Uwierzysz, że zabiłem ją własnymi rękoma?

Spojrzał na swoje ręce: zdolne do pisania historii Rzymu i do uduszenia kobiety.

– Mogę się tylko za ciebie modlić. To nic nie zmienia między nami. Poza tym ona była naszym wrogiem – powiedział Ambroży.

– To prawda, ale była też moim najgorszym wrogiem.

O domniemanym synu nie wspomniał.

– Opowiedz, proszę, historię owego Aureliusza Augustyna – poprosił.

– Na wiele lat połączył się z manichejczykami, studiował ich pisma i oraz proponowaną przez nich drogę. Macie wspólnego przyjaciela.

– Doprawdy? Kogo?

– Symmachusa, u którego Augustyn studiował retorykę i neoplatonizm. Przez waszą pogańską mądrość, której nie zaprzeczam, zwrócił się do mnie. Prowadzę z nim ciekawe spory teologiczne i filozoficzne. Proszę, odwiedź mnie w Mediolanie. Wówczas ci go przedstawię. To ciekawy człowiek, choć jeszcze nie chrześcijanin. Jest na kursie poszukiwania głębi intelektualnej. Jak ty.

Ammian pragnął intelektualnych kontaktów z ludźmi na poziomie, którzy rozumieli meandry współczesnego im świata. Ów Aureliusz Augustyn zapowiadał się jako ciekawy człowiek.

– Teraz, wybacz, czeka mnie rozmowa z papieżem Damazym, który nie lubi was, pogan, i gani mnie za kontakty z tobą – rzekł Ambroży. – O których, zapewniam cię, donieśli mu już księża, którzy nas widzieli podczas tej rozmowy.

Ammian pokręcił głową.

– Nie uważasz, że donosicielstwo stało się u was, chrześcijan, cnotą?

Mógł sobie pozwolić na szczerość w relacji z Ambrożym. Był to człowiek zbyt wielkiej osobistej klasy, by obrażać się o trudne pytania.

– Niestety, tak. Kościół jest święty, ale też grzeszny.

– Ja nie chcę żyć w waszej świętości lub grzechu. Chcę, żebyście uznali nasze prawo do posiadania własnej mistyki, która nie ma nic wspólnego z waszymi pismami.

– Ja daję ci takie prawo – odparł Ambroży. – Ale proszę też, byś wziął pod uwagę dekret z Tesaloniki i nie zrobił czegoś głupiego.

– Czynię wszystko w zgodzie z samym sobą.

– Taka wolność już nie istnieje. Nie było jej, kiedy Dioklecjan zmuszał nas do składania ofiar, i nie ma jej teraz, gdy cesarz Teodozjusz zabronił wam składania ofiar.

- To smutne czasy, Ambroży.
- To prawda. Weź sobie, proszę, do serca, co ci radzę – oznajmił na odchodnym biskup Mediolanu.

\*

Kilka dni później Ammian Marcellinus zabronił sługom wychodzić za nim dla ubezpieczenia go. Ulice Rzymu nie były po zmroku bezpieczne, toteż wziął ze sobą stary klasyczny miecz *gladius*. Świetnie nadawał się do walki w ciasnych ulicach – do pchnięcia, które na zawsze pozbawiało życia. Szedł szybko, naciągnąwszy wcześniej na głowę kaptur płaszcza. Po drodze spotkał się z Woluzjanem i jego bratem Cejoniuszem Albinusem, którzy choć byli bogaczami, też nie zabrali ze sobą sług, by w razie czego ich bronili. To miało być tajne spotkanie – tak bardzo tajne, że oprócz nich, wtajemniczonych mężczyzn, nikt nie mógł wiedzieć, dokąd idą i co to za tajemnicze miejsce.

Długo go poszukiwali, aż wreszcie znaleźli – za Awentynem, w pieczarze, w której niegdyś znajdowała się kryjówka chrześcijan. Przygotowywali ją sami, drążąc otwór od góry, aby zbawcza krew miała gdzie spłynąć. Ammian po raz drugi w życiu miał przeżyć całym sobą obrzęd tauroktonii. Byk zawczasu trzymany był w zagrodzie nieopodal i dobrze karmiony. Losem zwierzęcia ofiarnego jest umrzeć i dać życie – pozwolić, aby bóstwo Mitry upostaciowiło się w jego śmierci, by dać życie.

Ammian stanął w tym nowym mitreum jako wierzący wyznawca swojej religii. Nie chciał ocalenia siebie samego, tylko kultury, dzięki której żył. Jeśli ona miała umrzeć, jego życie nie miało sensu. Jedyne, co mógł dać światu, to historia. I choć nie mógł tego wiedzieć, pragnął, aby go przetrwała. Przez otwór w sklepieniu popłynęła krew ofiarnego byka. Spływała długo i powoli, aby każdy wierny mógł się w niej obmyć i zacząć nowe życie. Spłynęła też na Ammiana.

Ofiara go obmyła.

Narodził się na nowo.

## MEDIOLAN, 387 ROK

Minęły znów trzy lata. Ammian przez ten czas wydał drugą redakcję wszystkich ksiąg dzieła *Res Gestae* – i znów dzięki pomocy finansowej prefekta Rzymu Symmachusa, który uważał dzieło za najwybitniejszy przykład łacińskiej prozy historycznej ostatnich stu lat. Przy czym na wszystkich robiło wrażenie, że Grek napisał je po łacinie, a nie po grecku, czym stawiał swoje dokonania obok Tacyty, Tytusa Liwiusza czy innych wielkich historyków rzymskich. W kręgach intelektualnych Rzymu, w większości wyznających dawnych bogów, Ammian stawał się osobowością, znawcą stylu, doskonałym erudytą.

Latem tego roku mógł wreszcie odbyć podróż do Mediolanu na zaproszenie biskupa Ambrożego, który w tym mieście stworzył krąg intelektualnej elity chrześcijańskiej. Nie odrzucano tam wszystkiego, co stworzyli poganie. W większej grupie chrześcijanie ulegali prymitywnemu fanatyzmowi, co nie powinno dziwić. Religia, stając się masowa, nieuchronnie przybiera taką formę. Ammian miał tego świadomość i czuł do Ambrożego z Mediolanu jedynie przyjaźń, wzmacnianą przez wspólne pasje intelektualne. Ambroży był zdania, że Ammian nie napisał otwarcie wszystkiego, co mógł wiedzieć o śmierci Juliana, ale ponieważ oskarżenie chrześcijan nie padło, nie sprzeciwiał się propagowaniu dzieła.

Ammian podróżował do Mediolanu konno, w towarzystwie służącego, którego zatrudniał. Po dwóch tygodniach niespiesznej wędrówki dotarł do wielkiego miasta, ale biskupa nie zastał, ponieważ ten wyjechał do Akwilei z powodu przybycia cesarza Walentyniana II. Młody człowiek był coraz bardziej ambitny i biskup chciał się z nim spotkać, aby wysłuchać jego spowiedzi świętej. Ammian czuł się dobrze w Mediolanie. Postanowił poczekać i skierował swoje kroki do biblioteki urządzonej przez

Ambrożego. Nie mogła się ona równać z aleksandryjską, ale zgromadzono tu wiele dzieł ciekawych autorów, zarówno chrześcijańskich, jak i pogańskich. Z przyjemnością trafił w bibliotece na swoje *Res Gestae*.

W bibliotece Ammian spotkał też niezwyklego człowieka. Intuicyjnie rozpoznawał osoby niezwykle – tak już ułożyło się jego życie. Jednak ten mężczyzna zaskoczył go szybkością, z jaką pochłaniał manuskrypty. Zaciekawiony, zapytał:

– Czego szukasz w księgach, przyjacielu?

Człowiek ten został pytaniem wyrwany z jakiegoś dziwnego, niezwyklego skupienia nad tekstem. Spojrzał na stojącego przed nim Ammiana w eleganckim płaszczu z szarej wełny. Spotykał takich ludzi w Antiochii – z wyglądu typ wschodni. On sam był śniady, o kręconych ciemnych włosach. Nienagannie ubrany, lubił pachnidła – wrażliwy na zapachy Ammian wyczuł woń nardu.

– Szukam odpowiedzi na pytanie o przyczynę zła moralnego – odparł natychmiast. – Czy ty ją znasz?

Ammian zaprzeczył.

– To po prostu brak dobra. Takie jest stanowisko Sokratesa i Platona, i chyba neoplatoników też, o ile dobrze znam naukę Ammoniusza Sykkasa.

– Ale brak dobra nie tłumaczy fenomenu zła. Staram się zgłębić tę kwestię od dłuższego czasu i nie umiem znaleźć jednoznacznej odpowiedzi.

– A gdzie szukałeś?

Nieznajomy wymienił filozofów, z których twórczością się zapoznał. Były to w większości odpisy łacińskie lub klasyczne pisma Cyserona i Seneki. Ammiana zdziwiło, że ów gorliwy czytelnik nie sięgnął po greckie teksty.

– Dlaczego nie przeczytasz Platona?

Nieznajomy zmieszał się. Ale nie było sensu ukrywać prawdy.

– Nie znam greckiego.

– To jakim cudem wy w Rzymie studiujecie i uważacie się za ludzi uczonych?

– Mało kto dziś rozumie grecki. Ja staram się korzystać z tłumaczeń na łacinę – rzekł mężczyzna. – Dlaczego nikt nie przełożył w całości Platona na łacinę?

– Bo sto lat temu wszyscy Rzymianie czytali po grecku – odparł Ammian. – Lecz jeśli mam być szczery, zdumiewa mnie, że interesujesz się takim problemem.

– Bo frapuje mnie, skąd tyle zła w człowieku – powiedział nieznajomy. – I nie umiem tego pojąć. Łudziłem się, że odpowiedź dadzą mi manichejczy. Mieszkałem w ich wspólnocie przez kilka lat.

W owej chwili Ammian zrozumiał, że to spotkanie nie było przypadkowe. To był ten człowiek, o którym mówił mu Ambroży. On rzeczywiście nie mylił się co do ludzi. Nieprzeciętna inteligencja i wielka wrażliwość do poszukiwania prawdy, stawiania pytań, przekraczania granic. Grecki historyk i żołnierz już wiedział, kto jest jego rozmówcą.

– Opowiedz mi, proszę, o nich.

– To grupa dobrych ludzi, którzy dzielą się tym, co mają, i wydaje im się, że poznali Boga, ale to chyba nie jest moja droga. Dlatego szukam odpowiedzi w bibliotece.

– Uważasz, że ludzie nieuznający Kościoła mogą być dobrzy?

– Tak uważam. Moja matka to chrześcijanka. Jest dla mnie bardzo ostra. Wypomina mi, że mam syna z kobietą bez ślubu.

– To naprawdę dla chrześcijan taki problem?

– Tak, uważają oni ciało za świątynię Boga i z tego powodu styl życia pogan tak bardzo ich razi. Paganie uważają ciało za więzienie duszy, ale dbają o nie, pielęgnują, podczas gdy chrześcijanie uważają je tylko za doczesny dom ziemskiej pielgrzymki.

Ammian zastanowił się. Znał Ewangelie, ale chrześcijaństwa nie znał, nie rozumiał, odrzucały go antyintelektualny ton większości jego wyznawców, kłótnie teologiczne, pogarda dla dorobku Greków i dawnych wieków.

– W Persji spotkałem niegdyś ludzi traktujących ciało podobnie, choć nie z taką pogardą. Pozostawiali oni swoich zmarłych na wysokich wieżach, aby zajęły się nimi po śmierci drapieżne ptaki.

- To przerażające – powiedział czytelnik biblioteki.
- Według nich nie. To obieg materii w naturze. Uważają, że dusze są już u dobrego boga Ormuzda, w wiecznej światłości.
- Widzę, że podróżowałaś wiele.
- Takie było moje życie. Widziałem rzeczywiście spory kawał świata... Persję, Azję Mniejszą, prowincje bałkańskie i zachodnie. Wybrałem się w zeszłym roku do Egiptu na kilka miesięcy, nie byłem tylko w Brytanii i Hiszpanii. Daleko.
- Zazdroszczę ci podróży. Ja znam tylko Rzym i moją północną Afrykę.
- Jesteś tutaj w Mediolanie sam?
- Nie, z moim synem, z którego matką się rozstałem, i moją matką. A ona właśnie robi mi nieustanne wyrzuty...
- Tak, wspominałeś o niej. Ale nie traktuj jej jak wroga. Matka zawsze chce dobrze dla swego syna. Ja chciałbym, żeby się o mnie troszczyła, ale straciłem ją i ojca wiele lat temu z powodu złych ludzi.
- Kim oni byli?
- To cesarz Gallus i jego żona Konstancyna, którą chrześcijanie czczą jak świętą. A była niewyobrażalnie złą istotą.
- Teraz czytelnik z Afryki Północnej zastanowił się.
- Właśnie tego nie umiem zrozumieć. Ludzie, znając dobro, powinni je wybierać, a wybierają zło. I wytłumaczenie tego problemu nie jest tylko miarą korzyści, jakich mogą doznać. Zła nie można tłumaczyć jako braku dobra. Brakiem dobra jest też głupota. Zatem źródło zła musi istnieć poza człowiekiem.
- Zaratusztrianie w Persji tłumaczą to działaniem dwu bogów: jeden jest dobry, a drugi zły.
- Wyobraź sobie, że manichejczyści też. Zresztą Mani pochodził z Persji. Po wielu latach spędzonych u nich doszedłem do wniosku, że to wytłumaczenie jest zbyt mechaniczne, to tylko równowaga dobra i zła. Mnie jednak się wydaje, że zło jest odtwórcze, jak gdyby chciało czynić te same rzeczy, co dobro, ale wychodzą one straszne, potworne. Równowaga dwóch bogów, dobrego i złego, jest dla mnie nie do przyjęcia. Muszę

szukać innego rozwiązania tego problemu. Czy sądzisz, że chrześcijanie mogą mieć rozwiązanie?

To było szczere pytanie. Ammian szydził z fanatyzmu chrześcijan, ale jego stosunek do nowej i już powoli tryumfującej w imperium religii był złożony. Nie mógł jej przyjąć, ponieważ oznaczałoby to zdradę dawnej kultury, która stała na wyższym poziomie niż to, co prezentowali wyznawcy chrześcijaństwa. Nie zmieniała tego intelektualna pasja Ambrożego. Musiał jednak szczerze odpowiedzieć.

– Myślę, że warto poszukać odpowiedzi na twoje pytanie w pismach chrześcijańskich. Mnie one wydawały się zbyt proste. Ale może ty dostrzeżesz w nich głębię, której ja nie widzę. Tak, uważam, że powinieneś przeczytać ze zrozumieniem ich Ewangelie oraz teksty je komentujące. Ponieważ czytasz tylko po łacinie, nie będziesz mógł czytać Orygenesesa. Natomiast Tertulian jak najbardziej pisał po łacinie.

– Dziękuję – odparł mężczyzna.

– Proszę. Twoja sława dociera do Rzymu na długo przed tobą – rzekł mu Ammian na pożegnanie, nie chcąc dłużej przeszkadzać w lekturze.

– Zaskakujesz mnie. Ja tylko zgłębiam wiedzę.

– To dziś wiele znaczy, Aureliusz Augustynie. Idź drogą, którą wybierzesz. Idź nią do końca, konsekwentnie. Jestem pewny, że dotrzesz do prawdy, której tak bardzo pragniesz.

Postanowili, że będą do siebie pisać. Ammian zostawił swój adres w Rzymie. Historia nie zanotowała, czy zdołali wymienić listy. Jest pewne, że nigdy więcej się nie spotkali. Jednak konsekwencje rozmowy w bibliotece w Mediolanie ujawnią się kilkanaście lat później, gdy Aureliusz Augustyn ukończy swoje wielkie dzieło filozoficzne *Confessiones*. Zostanie biskupem Kartaginy i wielką postacią Kościoła chrześcijańskiego – tak wielką, jak sam nigdy by o sobie nie pomyślał. Znalazł bowiem odpowiedź na pytanie o naturę zła.



## *TESALONIKA, WIOSNA 390 ROKU*

Zło czasami objawia się jako dobro. Ludzie wierzący w dobro popełniają zło, będąc przekonanymi, że czynią słusznie. Cesarz Teodozjusz, który uważał się za wielkiego władcę, w oczach chrześcijan był wysłannikiem niebios. Doszedł bowiem do porozumienia z Wizygotami, którzy przestali atakować rzymskie prowincje, choć nie udało się ich wyprzeć. Przy tej okazji zmarł Fritigern – w niewyjaśnionych okolicznościach. Krążyły plotki, że Teodozjusz zdołał podzielić ten lud znów na klany, które zaczęły się zwalczać. Być może Fritigern urósł za bardzo i został zlikwidowany. Gdy Ammian się o tym dowiedział, kupił dzban najdroższego wina.

– Na pohybel sukinsynowi!

Jednak uwagę wszystkich miała przykuć Tesalonika, miasto portowe nad Morzem Egejskim, bardzo ważne dla chrześcijan z powodu podróży Świętego Pawła. Ammian przeczytał te pisma i stwierdził, że Paweł musiał być osobliwym rodzajem fanatyka, który popadał z jednej skrajności w drugą. Ale dostrzegł też, że to on zbudował chrześcijaństwo organizacyjnie wokół zmartwychwstałego Jezusa. Tesalonika miała się stać ośrodkiem jednej z największych zbrodni arcychrześcijańskiego cesarza.

Teodozjusz zmienił całkowicie postrzeganie chrześcijaństwa. Zakazał wszelkich innych wyznań oprócz wyznania katolickiego, heretycy tracili miejsce w społeczeństwie, musieli oddawać urzędy, nakładano na nich kary finansowe, a w ostateczności – jeśli trwali przy niedozwolonych formach kultu religijnego – narażali się na śmierć. Arianizm stracił możliwość rozwoju, podobnie manichejczycy oraz mniej znane sekty chrześcijańskie. Ammian wiedział, że przyjdzie też czas na wyznawców dawnej religii. Spodziewał się rzeczy strasznych, ale jego wyobraźnia była jednak ograniczona w tej materii.

W zasadzie nikt nie zauważył, że jedna z ustaw teodozjańskich została wymierzona w mężczyzn oddających się nierządowi z innymi mężczyznami – tym odgrywającym rolę kobiet groziła kara śmierci przez spalenie żywcem. Jednak nikt nie przypuszczał, że zdarzy się coś,

co wstrząśnie także chrześcijanami. Otóż w mieście Tesalonika, do którego ongiś zawitał apostoł Paweł, istniała silna gmina chrześcijańska. Oto jednak ulubieniec tłumów – Meletos, woźnica na hipodromie, porywający tłum podczas igrzysk – uwiódł pewnego chłopca stajennego. Cóż, takie rzeczy się zdarzały. Ale chłopiec Euteros poskarżył się naczelnikowi gminy chrześcijańskiej Aleksandrowi, który w czasie kazania w niedzielę grzmiał o grzechu sodomii, który obraża Boga. Władze kościelne natychmiast złożyły skargę do urzędnika cesarskiego i dowódcy garnizonu Buterycha, z pochodzenia Germanina, który w szczególny sposób musiał wykazywać się przed cesarzem gorliwością w wypełnianiu jego zarządzeń i ustaw. Buterych nakazał aresztowanie woźnicy. Sprawa może by i przycichła, ale w Tesalonice miały odbyć się zawody cyrkowe, w których zawierano liczne zakłady hazardowe. Można było wygrać duże pieniądze, a bez ulubionego woźnicy, bez złotego Meletosa, który prowadził rydwan mistrzowsko i w ostatnich latach nikt go nie pokonał, to nie byłyby te same zawody. Ludzie poczuli się zawiedzeni. Dowódca garnizonu nie był lubiany w mieście, rękę miał ciężką i wieszał za złodziejstwo, nawet jeśli sprawcami byli dziećmi i kradli z głodu.

Buterych popełnił błąd – zlekceważył Tesaloniczan. Gdyby pilnie chodził do kościoła, dowiedziałby się, że nie bez powodu Święty Paweł Apostoł pisał w drugim liście do owej wspólnoty ostrzeżenia przed niemoralnymi praktykami pogan, które to praktyki miały chyba podłoże trwalsze, niż mógł przypuszczać niedokształcony żołdak. Gdy wyszedł na miasto, rozgoryczeni ludzie rozpoznali go i krzyczeli za nim:

- Uwolnij złotego Meletosa! Potrzebujemy go!
- Wy, Grecy, jesteście narodem sprośnym. Rzygam na waszego Meletosa! Powieszę go wam na zakończenie igrzysk!
- Nie możesz! – odpowiedzieli ludzie, zapewne kibice wyścigów rydwanów.
- Mogę i zrobię to. Wykonuję cesarską ustawę!

Buterych zachował się po grubiańsku i okazał tłumowi pogardę. Nikt tego nie lubił. I zapewne nikt się już nigdy nie dowie, kto pierwszy rzucił

kamieniem. Dostyc, że kamień rozbił Buterychowi łuk brwiowy. Wódz cesarski, obficie brocząc krwią, dobył miecza i pchnął dwóch Bogu ducha winnych ludzi, którzy spośród tłumu napierającego ze wszystkich stron znaleźli się najbliżej niego. Tego już tłuszcza nie wytrzymała. Rozszarpano Buterycha na strzępy, a części jego ciała stanowiły pokarm dla bezpańskich psów.

To, co się stało potem, było straszne. Doniesiono cesarzowi Teodozjuszowi, który poświęcał wiele czasu swemu starszemu synowi, Arkadiuszowi, choć młodzieńcowi nie wchodziła do głowy ani nauka, ani literatura. Kolejni nauczyciele rezygnowali z pracy, ponieważ uczeń okazywał się zbyt tępy. Cesarz, który widział starszego syna w Konstantynopolu, nie był w dobrym humorze. Właśnie wtedy doniesiono mu o tym, co się stało w Tesalonice. Teodozjusz wpadł we wściekłość i wydał wojsku straszny rozkaz. Gdyby dostali go Ammian lub Ursycyn, z pewnością woleliby sami pchnąć się mieczem, niż go wykonać. Jednak ludzie dobrani przez Teodozjusza nie mieli takich skrupułów. Nie na próżno mówiono, że prawdziwi Rzymianie polegli pod Adrianopolem.

W Tesalonice kilka tygodni później znów odbyły się igrzyska z powodu przyjazdu nowej ekipy rydwanów ze stronnictwa Zielonych<sup>[78]</sup> z Konstantynopola. Ich celowo wysłał do Tesaloniki cesarz. Nocą przed igrzyskami do miasta weszło dziesięć tysięcy żołnierzy Teodozjusza, w większości ledwo mówiących po łacinie Germanów. Gdy igrzyska się rozpoczęły, a hipodrom aż huczał od wesołych przyśpiewek i okrzyków, żołnierze cesarza zamknęli wyjścia i zaatakowali. Masakrowano mężczyzn i chłopców, na próżno ich matki i siostry błagały o litość – żołnierze zabijali wszystkich Tesaloniczan płci męskiej, niezależnie od wyznania, rasy lub pochodzenia. Bogaci byli zarzynani wraz biedakami. Oficjalnie masakry dokonano, by wytępić sodomitów. Rzeź trwała cały wieczór.

Nikt nigdy nie policzył ofiar. Tysiące trupów leżało na słońcu, dopóki dwa dni później nie przyszedł rozkaz cesarza, by spalić wszystkich. Stosy płonęły w Tesalonice przez wiele dni...



## ROZDZIAŁ XXVIII

### *Ostatnia olimpiada*

#### *RZYM, CZERWIEC 390 ROKU*

Symmachus, prefekt Rzymu, złożył wizytę Ammianowi Marcellinusowi. Jej powodem były zatrważające wieści, które przysły z wschodu, z Tesaloniki.

– To miasto będzie mi się kojarzyć z ograniczeniem naszych praw przez chrześcijan – rzekł Ammian, nalewając Symmachusowi przedniego sycylijskiego wina do kielicha. – A zatem nie będzie mi się dobrze kojarzyć.

Symmachus westchnął i popił wina.

– Jest coraz gorzej – powiedział prefekt. – Reżim Teodozjusza jest inny od wszystkich. Jest naprawdę fanatyczny. Jak ci chrześcijanie, których rzucaliśmy na pożarcie lwom jeszcze za Dioklecjana.

– I to był właśnie nasz błąd – odparł Ammian, który zawsze był przeciwnikiem przemocy na gruncie religii. – Należało ich wyśmiać, jak chciał to uczynić Julian, ale nie rzucać lwom na pożarcie. Tylko ich wzmocniliśmy, sprawiliśmy, że krew fanatyków stawała się zarzewiem nowych wyznawców i nawróceń. Im bardziej ktoś bije w Kościół, tym staje się on twardszy.

– Może masz rację, a może nie. Ale to, co uczynił Teodozjusz w Tesalonice, naprawdę mnie przeraża, Ammianie.

– A co takiego uczynił?

Symmachus streścił wypadki z Tesaloniki.

– Przerażająca zbrodnia – rzekł Ammian. – Ale rozczaruję cię. Oni szybko coś wymyślą, jakąś formę pokuty publicznej.

– Co ty mówisz? – oburzył się prefekt Rzymu, z którym Ammian zdążył się zaprzyjaźnić. Mieszkał w Rzymie już od dekady.

– Mówię to, co uważam, Symmachusie. Katolicy potrzebują Teodozjusza jak ryba wody. Kiedyś, gdy sami byli prześladowani, ich symbolem była ryba – mówił po łacinie Ammian. – Ale po grecku słowo *ryba* to akronim: *Jezus Chrystus, syn Boga, Zbawiciel*. Teraz mają Teodozjusza, który skutecznie jak nikt przed nim odebrał arianom władzę i wpływy. Póki chrześcijanie zwalczali się nawzajem, dla nas było trochę miejsca. Teraz Teodozjusz odbierze nam wszystko. Zobaczysz.

Symmachus tęgo pociągnął wina.

– Kiedyś tak dużo nie piłem – westchnął. – Ale czasy, w jakich żyjemy, sparszywiały. Nie mówię, że to, co mówisz, naprawdę się ziści, ale rzeczywiście na zachodzie, w Rzymie, mamy trochę swobody, ponieważ Walentynian II jest skłonny uznać arian i nie wykonuje gorliwie wszystkich edyktów Teodozjusza. Ten barbarzyńca chciał zagasić ogień Westy, wyobrażasz sobie? Świętość, która płonie od tysiąca lat! Odwiodłem Walentyniana od tego.

– Dobrze uczyniłeś – rzekł Ammian. – Ale jak długo uda ci się uzyskiwać ustępstwa? Przecież Teodozjusz ma dwóch synów. Arkadiusz w opinii wszystkich świątłych ludzi zostanie w Konstantynopolu, gdyż jest głupszy, niż ustawy przewidują, i szybko zawładnie nim jakaś sprytna kobieta wyjątkowo sprawna w technice rozpusty. Natomiast młodszy, Honoriusz, jest ponoć bardziej zdystansowany od brata, czyta książki. Sam nie wiem... Nie przekreślałbym ludzi, którzy czytają książki.

Symmachus zaśmiał się.

– Tak więc nasza nadzieja w Walentynianie.

– Ano tak – potaknął Ammian. – Jak sądzisz, co uczyni z tą zbrodnią Ambroży z Mediolanu?

Symmachus i Ammian, elita pogan w Rzymie, paradoksalnie przyjaźnili się bardzo z biskupem Mediolanu. Łączyły ich rzymskie wykształcenie, pewne intelektualne predyspozycje, ciekawość świata i ludzi.

– To najciekawsze. Moje ptaszki w Mediolanie ćwierkają mi, że Ambroży zrobi coś niezwykłego i doniosłego. Chciałbym ci zaproponować, abys pojechał tam ze mną. Możemy być świadkami doniosłych wydarzeń.

– Uważam, że to świetny pomysł.

Ammian dopił wino. Było mocne, robione na sposób grecki z dobrze podsuszonych na słońcu winogron, które dawały moc i słodycz, a także kolor zachodzącego słońca.

\*

## *MEDIOLAN, 390 ROK*

Jak postanowili, tak uczynili. W Mediolanie, który obok Rawenny i Akwilei był głównym ośrodkiem administracyjnym i handlowym północy Italii w tym czasie, nie mówiono o niczym innym tylko o masakrze, jakiej na rozkaz cesarza dokonało wojsko w Tesalonice. Podawano różne dane dotyczące ofiar, ale powszechnie uważano, że zginęło dziesięć tysięcy mężczyzn i chłopców. Zabijano także chrześcijan, którzy wbrew kazaniom moralizatorskim udawali się na oglądanie wyścigów rydwanów, mimo że Kościół potępiał gry hazardowe. Groza tego mordu była czymś przytłaczającym. Władza cesarza była tak wielka, że nie wahał się uczynić rzeczy tak strasznych jak Konstantyn Wielki. Jednak okazało się, że biskup Ambroży podjął wyzwanie. Wymordowanie kilku tysięcy mężczyzn w środku państwa mieniącego się cywilizowanym i chrześcijańskim było czymś tak niesłychanym, że musiał zareagować. I tak oto Symmachus i Ammian, którzy przyjechali do Mediolanu, stali się świadkami pierwszego starcia między władzą świecką i cesarską.

W mediolańskim kościele biskup Ambroży w pełnych pasji słowach oznajmił, że cesarz, który nakazał wymordować tysiące niewinnych ludzi na arenie, złamał wszystkie prawa Boże i ludzkie i nie usprawiedliwia jego czynu troską o walkę z grzechem.

– Tysiące zamordowano! – grzmiał Ambroży. – Jeśli kto z was chce oddzielić ziarna od plew, niech się modli i przesiewa ziarno po ziarnie. Czy godzi się wrzucić cały plon w ogień, bo komuś nie chciało się wykonać należycie swojej pracy? Grzech trzeba karać, ale dotyczy to tych, którzy się

go dopuszczają, po wskazaniu ich i napomnieniu w obecności całego zgromadzenia. Ale mordować bez opamiętania tysiące mężów, ich synów i sług?

Wierni z Mediolanu popatrzyli po sobie, bo czegoś takiego nie słyszeli dotąd z ust biskupa.

– Potępiam mord dokonany przez ludzi cesarza Teodozjusza z jego rozkazu. Cesarz ma zakaz wstępu do kościoła, gdziekolwiek by się udał. Nikt nie może modlić się z nim ani siadać z nim do posiłku, albowiem jego ręce są skalane mordem jak ręce Kaina. Żaden ksiądz w łączności z Kościołem nigdy i pod żadnym pozorem nie udzieli mu żadnego sakramentu ani namaszczenia, ani błogosławieństwa, ani dobrego słowa! Niech cesarz będzie dla was nieczysty jak trąd, dopóki nie oczyści się z grzechu wielokrotnego zabójstwa swych braci! Bóg dał Mojżeszowi jasne przykazania. W piątym z nich napisano, że nie możecie zabijać. A Jezus, nasz Pan, rzekł, że kto gniewa się na brata swego, ten winny jest zabójstwa!

Słowa Ambrozego wywarły na wszystkich straszne wrażenie, toteż powtarzano je sobie w kościele i długo po nabożeństwie. Symmachus i Ammian jako poganie nie weszli do wnętrza, ale wkrótce poznali treść klątwy rzuconej przez Ambrozego na cesarza.

– Kiedy on się dowie? – zapytał Symmachus.

– Szybciej, niż myślimy. Już pojechali umyślni z mediolańskiego garnizonu do Konstantynopola. Jestem pewien, że wkrótce cesarz tu przybędzie.

– Z armią?

– Nie sądzę. To obszar rządów Walentyniana Drugiego, który sprzyja arianom, ale ma słabszą pozycję od cesarza. Jednak ta klątwa zmienia ich relację. Walentynian robi wszystko, żeby wyzwolić się z pęt Teodozjusza, zwłaszcza że cesarz ma syna z apetytem na zachód, czyli Honoriusza.

– No tak – rzekł Symmachus. – Arkadiusz już jest cezarem w Konstantynopolu.



– Jednak cała ta sprawa mieć będzie arcyciekawą otoczkę. Otóż mam znajomego Greka, który pływa z Ostii na Kretę po wino. Jest kupcem, ale też zbiera informacje. Dowiedział się, że Teodozjusz, ten jakże chrześcijański władca, wydał nową ustawę skierowaną w interesy Kościoła.

– Co ty nie powiesz? – zapytał Symmachus.

Szli mediolańską ulicą w stronę domu jednego ze znajomych filozofów, Agrencjusza z Lugdunum, który wykładał filozofię w kilku szkołach retorycznych. Mieli się tam zatrzymać.

– Otóż Teodozjusz zabronił diakonikom powyżej sześćdziesiątego roku życia przekazywać majątek Kościołowi w postaci ziemi lub pieniędzy.

– Ależ to w nich uderza!

– Oczywiście – odparł Ammian. – I myślę, że to zdecydowało o bezprecedensowej reakcji Ambrożego. Kościół traci z powodu tej ustawy mnóstwo pieniędzy, nadań, ziemi. Żyjemy w epoce Kościoła tryumfującego.

– Marzę, aby to zmienić.

– Wiem – odrzekł Ammian. – Ale to już niemożliwe. Walczymy o to, by zaistniały jakiegokolwiek warunki dla naszej religii. Walczymy o minimum, Symmachusie.

\*

Teodozjusz musiał się ukorzyć przed Kościołem karcącym. Nie miał wyjścia. Uczynił to w grudniu 390 roku w kościele Świętych Apostołów w Konstantynopolu. Przywdział na siebie szatę pokutną i boso, błagając jak grzesznik, prosił Boga o wybaczenie za straszliwą zbrodnię. Czy żałował prawdziwie? Czy naprawdę zapłakał nad kilkoma tysiącami mężczyzn i chłopców zarżniętych przez jego żołnierzy? Co czuł przed wielkim absolutem? Może była to tylko konieczna, wprawdzie upokarzająca, ale jednak maska, jaką ten okrutny człowiek przywdział na twarz?

Wkrótce wyznawcy dawnych bogów, starej religii musieli zmierzyć się z następnymi posunięciami cesarza – Teodozjusz nie miał zamiaru się cofać.

Wkrótce cesarz podpisał kolejny edykt i kazał go ogłosić we wszystkich miastach imperium.

Ammian Marcellinus zmierzał właśnie na spotkanie w Rzymie w domu Symmachusa, który został odwołany przez cesarza Walentyniana II z funkcji prefekta Rzymu, gdy heroldzi cesarscy ogłaszali właśnie nowy edykt.

– Niech nikt nie składa ofiar! Niechaj nikt nie śmie wylać wina ani mleka, zarówno w domu swoim, jak i miejscu publicznym na ołtarzach demonów, albo czcić posągi demonów w tak zwanych dawnych świątyniach, które nie są niczym innym, tylko siedliskiem demonów.

– To już jest szczyt wszystkiego – powiedział do siebie Ammian, spiesząc się na spotkanie do Symmachusa.

Bał się ostatnio mówić zbyt dużo o swojej religii nawet we własnym obejściu domowym. Chrześcijanie byli też służącymi lub niewolnikami i zdarzało się, że za donosy na swoich panów dostawali wolność. Ammian czuł, że zbiera się na przesilenie, ostateczną walkę wszystkich tych, którzy miłowali dawnych bogów i kulturę Rzymu, z nową wiarą i jej zwolennikami. Musiał przyznać, że wśród chrześcijan byli też ludzie dobrzy i rozumni, ale nie zmieniało to tego, że nowa religia usuwała wszystko, co kochał. Teraz miało się coś stać w Rzymie, ale Ammian jeszcze nie wiedział co.

W domu Symmachusa zastał przyjaciół, z którymi poznał się przed laty. Razem wypili morze wina, ale też odnaleźli i pieczołowicie zabezpieczyli rzeźby, znakomite kopie greckich mistrzów sprzed kilku wieków, które stały podziwiane, nieme i bezbronne w Tiburze, wielkim pałacu-mieście, gdzie przed dwustu laty mieszkał cesarz Hadrian. Dyskutowali o jego historii Rzymu i godzinami debatowali o Epikurze, Cynceronie, Senecie i innych filozofach.

– Słyszeliście, mili, o nowym cesarskim edykcie? – zapytał zgromadzonych Symmachus.

Wszyscy byli smutni, przygnębieni, jak gdyby przygnieceni tym kolejnym ciosem. Jednak nigdy wcześniej Ammian nie widział płaczącego

Woluzjana, którego miał za twardego człowieka.

– Ogień Westy ma zgasnąć po tysiącu lat – rzekł zrozpaczony Cejoniusz Albinus, brat Woluzjana.

– Nie może być – wyszeptał Ammian.

– A jednak – odparł Symmachus. – To nie koniec zmian. Zostałem odwołany przez Walentyniana II z funkcji prefekta Rzymu.

– Kto ma zająć twoje miejsce?

– Tego jeszcze nie wiemy. Musimy obronić ogień Westy.

To wydawało się jedynym honorowym wyjściem – powiedzieć *nie*, wycedzić szyderstwo, choćby głowa miała potoczyć się po bruku. Po zagaszeniu ognia Westy wezmą się za biblioteki, zaczną segregować zwoje papirusowe z dziełami moralnymi i niemoralnymi. Ammian pomyślał sobie, że jeśli chrześcijanie zaczną palić książki, to wkrótce będą palić też ludzi. Ale myśl ta wydała mu się po chwili niedorzecznością. Ambroży miłował książki, czytał je, sprowadzał do Mediolanu, prowadził debaty i intensywne życie intelektualne. Ammian wiedział, że to nie było udawane, ale autentyczne. Nie wszyscy chrześcijanie byli fanatykami. Jednak – co mogli uczynić?

– Napiszmy protest – zaproponował.

– I tak Walentynian Drugi go nie przeczyta. On nie jest samodzielny w podjęciu decyzji o takiej doniosłości. Firmuje ją, ale za tym wszystkim stoi ten morderca Teodozjusz – mówił Symmachus. – Musimy coś uczynić.

– Co masz na myśli? – zapytał Ammian.

– Ogień bogini Westy nie może zgasnąć – rzekł Symmachus. – Wówczas Rzym zostanie wystawiony na żer barbarzyńcom i... zostanie zniszczony.

W uszach Ammiana taki scenariusz brzmiał wciąż jak najgorszy koszmar, ale na razie był tylko nieziszczonym snem szaleńca.

– Zdradź nam, co możemy zrobić?

Symmachus westchnął, jak gdyby zmagając się z czymś strasznym.

– Czy zgodzicie się na to? Mamy obowiązek dalej żyć i walczyć z chrześcijanami piórem, słowem, śmiechem, ale jeśli bogowie nas wezwą na ostatnią bitwę, stoczymy ją. Ogień Westy musimy za zgodą trzech

ostatnich żyjących westalek, kobiet mających już lat ponad siedemdziesiąt, przenieść w bezpieczne miejsce na terenie Rzymu, aby mógł dalej płonąć i podtrzymywać istnienie miasta.

Pomysł wydawał się odrobinę szalony, ale właśnie czegoś takiego potrzebowali. W męczeństwie i tak nie dorównaliby chrześcijanom – lubującym się w obmywaniu się we krwi męczenników, tłuczeniu posągów bogów i paleniu bibliotek.

– Nasze mitreum – rzekł Ammian.

Bez przeszkód spotykali się tam co miesiąc i oddawali cześć Słońcu Niezwycięzonemu, emanacji wszystkich innych bogów. Ogień Westy mógł dalej płonąć na ołtarzu, istniał tam przecież otwór w sklepieniu, przez który wlewała się krew byka ofiarnego podczas tauroktonii. To miejsce mogło stać się jeszcze bardziej uświęcone przez ogień Westy! Cała rzecz musiała wydarzyć się po cichu – tak, aby nikt się nie dowiedział. Zwolennicy bogów musieli się ukrywać, choć przecież reprezentowali kulturę, która stworzyła całe imperium rzymsko-greckie.

Jednak czekał ich srogi zawód. Chrześcijanie słusznie podejrzewali, że obrońcy dawnej religii będą chcieli podmienić płomień lub go ochronić. Święty ogień Westy płonął na Palatynie, w miejscu, gdzie obradował senat. Walentynian II wysłał do Rzymu oddziały wojskowe dowodzone przez oficerów chrześcijan, które dopilnowały, aby ogień Westy został zgaszony. Nie wiadomo dokładnie, w jaki sposób się to odbyło. Fanatycy chrześcijańscy chcieli upokorzyć pogan, ale podobno Walentynian II nakazał po prostu zalać ogień wodą. Kilka dni po tym wydarzeniu dotarły do Rzymu wieści z Aleksandrii w Egipcie – jeszcze bardziej zatrważające.

\*

Gdyby cesarzem był ktoś inny, być może symbole dawnego Rzymu przetrwałyby dłużej. Jednak Teodozjusz, wychowany w surowej i rygorystycznej rodzinie chrześcijańskiej w Hiszpanii, nie znał pojęcia kompromisu w sprawach religii. Chrześcijaństwo miało oczywiście twarz tolerancji wobec innych religii, ale główny nurt domagał się unifikacji,

wchłonięcia wszystkich innych religii i wyznań chrześcijańskich, wedle zasady: *jeden cesarz, jedno imperium i jedna wiara*.

Gdy po wielu tygodniach od wydarzeń wieści o nich dotarły do Rzymu, właściwie nikt nie potrafił powiedzieć, jakie były przyczyny tumultu. Chrześcijańscy fanatycy, czyli parabolanie<sup>[79]</sup> należący do najniższych warstw społecznych, byli wykorzystywani przez wykształconą hierarchię Kościołów wschodnich, czy to w Aleksandrii, czy też w Konstantynopolu, do opieki nad chorymi, ale także do grzebania zmarłych. Wywodzący się z tego ruchu bracia pochodzący z rodzin niewolników, czy też po prostu ze społecznej hołoty, mieli skłonność do politykowania. Często bili się z arianami, gdy jeszcze ci znajdowali się u szczytu powodzenia, atakowali nieprzyjaznych chrześcijanom intelektualistów, bili też księży, którzy krytykowali ich publicznie. Pewnego dnia pod koniec 390 lub na początku 391 roku zdarzyło się, że grupa parabolan wrzuciła do ognia pogańskiego erudyte, wyzywającego ich od prostaków, nieuków i hołoty. W wyniku poparzeń człowiek ten zmarł.

Zabójstwo na ulicach Aleksandrii, mieście największym w rzymskim Egipcie, liczącym co najmniej pół miliona mieszkańców, nie było pierwszym ani ostatnim okrucieństwem parabolan. Jednak rozzuchwaleni zabójcy ruszyli z pałkami, nożami i tym, co nadawało się do bicia i niszczenia, na Serapejon – wielką świątynię Serapisa, boga synkretycznego, zbawczego kultu, który powstał w okresie rządów pierwszych Ptolemeuszy. Bóstwo to odgrywało swoją rolę, idealnie jednocząc Egipcjan przywiązanych do swojej pradawnej i świętej religii oraz Greków – bo Serapis miał również helleńskie oblicze męskie, łatwiej akceptowalne przez Macedończyków osiadłych w Egipcie i tworzących warstwę arystokracji ptolemejskiej. W świątyni Serapisa funkcjonowała z powodzeniem przez cztery wieki uczelnia wyższa, słynąca ze znakomitych wykładów z matematyki, astronomii, geometrii i wielu innych nauk. To właśnie w Aleksandrii Arystarch z Cyreny doszedł jako pierwszy do przekonania, że ziemia jest planetą krążącą wokół Słońca, ale wobec potęgi geografii Ptolomeusza (niespokrewnionego z dynastią)

pogląd ten uznano za nierzeczywisty. Jego prace zgłębiała jedyna w owym czasie kobieta, której sława i wiedza znane były na zachodzie – Hypatia z Aleksandrii. Renomę ośrodka, jego elitarność można było porównywać jedynie z Akademią Platońską lub Liceum Arystotelesa.

Nie dziwiła zatem nienawiść, jaką parabolanie – prostytutki przecież, żyjący obietnicami cudów, wychwalający tzw. słupników, czyli ascetów spędzających życie na platformie na słupie w pogodę i niepogodę, załatwiający z owego miejsca swoje potrzeby fizjologiczne – żywili wobec tej uczelni. W Aleksandrii były ich tysiące. Terroryzowali całe miasto, co było bardzo na rękę patriarsze Cyrylowi, który chciał odgrywać coraz większą rolę polityczną w imperium. Tego dnia, podjudzeni po dokonaniu okrucieństwa spalenia człowieka, parabolanie ruszyli na Serapejon, który oblegli i próbowali zdobywać. Poganie w mieście odwołali się do Teodozjusza, który jednak wydał wyrok przychylny dla fanatyków. Serapejon miał być wydany parabolanom. Ryknęli z tryumfalną zawziętością i wpadli do biblioteki, z której zdołano uratować niewiele – może kilkadziesiąt prac z astronomii i matematyki.

– Zniszczcie te szatańskie wersety!!!

Palono więc półkę za półką. Papirus pali się przecież nadzwyczaj łatwo, stąd cała biblioteka zajęła się szybko i nie udało się jej już ugasić. Była to niepowetowana strata, dorównująca jedynie pożarowi, jaki wywołały wojska cesarza Aureliana, które zdobyły Aleksandrię po buncie Zenobii i jej syna Wabalatha w 270 roku. Spłonęła wówczas duża część biblioteki aleksandryjskiej, lecz teraz chrześcijańscy fanatycy dopełnili dzieła, paląc to, co z niej zostało, i to, co przekazano do Serapejonu.

Kultura antyczna miała zniknąć, a intelektualna finezja – zostać zastąpiona wiarą w relikwie głowy Jana Chrzciciela i inne święte trupy męczenników z czasów Dioklecjana, odnajdywane cudownie po stu bez mała latach, czy artefakty jak gwoździe do ukrzyżowania, korony cierniowe albo miecz, którym ścinano pierwszych apostołów.

Ludzie miłujący grecko-rzymską kulturę nie mogli się z tym pogodzić. Musieli albo walczyć i zwyciężyć, albo zginąć.

\*

Wieści z Aleksandrii strasznie przybiły Ammiana, który słyszał wiele o bibliotece Serapejonu. Przed kilkoma miesiącami przyjęli oni kilkanaście kopii dzieła Ammiana – *Historii Rzymu*. Wiedział, że te kopie są już stracone. Jednak znajdowały się tam też księgi pisarzy chrześcijańskich – poganie studiowali je, aby lepiej poznać wierzenia chrześcijan. One też spłonęły, a były to rzadkie, czasem jedyne zachowane kopie wczesnych apologetów chrześcijańskich. Ammian zmagął się z tą myślą, odrzucał ją, kłócił się z samym sobą, ale po odrzuceniu wszystkich za i przeciw doszedł do wniosku, że to nieuniknione.

– Musimy walczyć – rzekł pewnego dnia do Sylasa, wyzwolenca, starego Greka pochodzącego z Sycylii, który kopiował dla niego teksty.

Sylas też był wyznawcą bogów.

– Z kim pragniesz walczyć, Ammianie Marcellinusi?

– Z chrześcijanami. To barbarzyńcy udający owce i potulne baranki.

– Zgadzam się, ale ty jesteś jeden, a ja jestem stary, więc jest nas już dwóch.

Ammian uśmiechnął się. Nigdy nie ciągnęło go do życia rodzinnego. Kochał za to historię i pisanie. Poświęcił się temu zajęciu. Nie miał nic do stracenia. Nie osierociłby nikogo. Dzieło życia napisał.

– Julian miał rację – wyszeptał smutno.

– Cesarz Julian? – zapytał Sylas. – Znałeś go?

– Tak. Był wspaniałym człowiekiem.

Ammian znów przypomniał sobie mrużącego oczy Juliana i swoją młodość. Niczego nie żałował. Przyszła godzina walki ostatecznej. Być albo nie być dla takich jak on.

– Poślij, proszę, po Symmachusa, Woluzjana i Cejoniusza Albinusa. Chcę się z nimi spotkać.

– Uczynię, jak każesz. Jednak jest jeszcze jedna wiadomość, którą muszę ci przekazać, Ammianie Marcellinusi.

– Co takiego?

– Cesarz Teodozjusz odwołał igrzyska w Olimpii – powiedział Syllas, którego jako Greka i wyznawcę bogów ten dekret szczególnie mocno zabolął.

Ammian poczuł bezsilną wściekłość. Po chwili zdał sobie sprawę z tego, że rozpoczyna ostatnią walkę swego życia. Nie wiedział jednak, że pewne wypadki na zachodzie zburzą pozorny spokój i przyspieszą ostateczną bitwę o duszę Rzymu.

\*

Cesarz Walentynian II, koregent Teodozjusza, był dzieckiem, gdy zmarł jego ojciec. Potem został zamordowany jego brat przyrodni – cesarz Gracjan. Chłopak rósł w izolacji od świata, początkowo w Mediolanie, a następnie po drugiej stronie Alp w Wiedniu<sup>[80]</sup> nad Rodanem. Wokół niego kręciło się sporo dziwacznych ludzi, pragnących władzy typów. Jednak jeden z nich wybijał się szczególnie żądzą władzy i zdolnościami wojskowymi. Miał na imię Arbogast. Mało o nim wiadano. Mówiono, że jego matka była Rzymianką, a ojciec Frankiem. Jednak wódz nigdy nie wspominał o rodzicach i o tym, skąd pochodził. Łaciną posługiwał się w stopniu komunikatywnym, ale dłuższe teksty literackie bądź sprawozdania wojskowe musiano mu czytać.

Arbogast miał kilka talentów, a jednym z nich było zjednywanie sobie ludzi. Oczywiście działał w najprostszy sposób – dowiadywał się o słabościach swoich przeciwników i przyjaciół, by jednych i drugich trzymać w szachu. Wstąpił do armii jeszcze za Walensa. Cenił go Gracjan, ale dopiero po jego śmierci Arbogast stał się na dworze zachodnim nieodzowny. Miał realną władzę nad wojskiem. Szybko zdominował Walentyniana II, który z racji młodego wieku nie był w stanie rzeczywiście kierować machiną państwa. Arbogast sięgał szybko po następne wpływy, podsuwał cesarzowi do podpisania decyzje o nominacjach dla ludzi, którzy byli mu coś winni. W ten sposób wszyscy dowódcy, ministrowie, doradcy, nawet dowódcy straży i służący



Walentyniana II byli na usługach sprytnego frankijskiego przybłądy. O skali upokorzeń, przez jakie musiał przechodzić cesarz, świadczyła scena z rady cesarskiej. Walentynian sprzeciwił mu się w sprawie przesunięcia garnizonu na Renie.

– Cesarz jest zmęczony. Odprowadźcie go do komnaty – wydał w pewnym momencie polecenie Arbogast.

– Nie jestem zmęczony!!! – krzyknął Walentynian. – Wydałem ci rozkaz, bo jestem cesarzem.

Arbogast popatrzył po ministrach i wyższych oficerach armii rzymskiej.

– Cesarz, który musi przypominać, że jest cesarzem, nie jest nim. Proszę zaprowadzić majestat do jego komnat – rzekł Arbogast do służących.

Walentynian krzyczał na niego i wymyślał mu od najgorszych. Ale musiał pójść do swoich komnat.

– Typowe zachowanie panującego – skwitował dowódca.

Obecni wybuchli śmiechem. Takich scen rozgrywało się mnóstwo. Arbogast nie rezydował w Wiedniu, ale czasami przyjeżdżał, gdy wymagała tego jakaś ważna decyzja. Wówczas dostawał zazwyczaj to, czego chciał. Otwarte pozostawało pytanie, czy Teodozjusz w końcu nie zareaguje i nie ujmie się za młodszym cesarzem, bratem jego żony Galii. Jednak on nie reagował, ponieważ chciał, aby młodszy syn, Honoriusz objął panowanie na zachodzie. Walentynian był mu przeszkodą.

Nic nie zapowiadało tragedii. Arbogast przyjechał do Wiedni wezwany przez cesarza. Choć nie bardzo chciał, to jednak głowie państwa nie mógł odmówić. Nie przypuszczał, że Walentynian będzie próbował zerwać się z łańcuchów, które nałożył na niego z pomocą swoich szpicli. Cesarz czekał w sali audiencyjnej ze świadkiem, który miał opowiedzieć o jakichś nieczystych interesach Arbogasta. Jednak, izolowany przez te wszystkie lata, nie wiedział nawet, jak się zabrać do porządnej intrygi. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest zewsząd otoczony szpiegami, donosicielami i wrogami.

Arbogast nie wydawał się zaskoczony. Wysłuchał oskarżeń i zaprzeczył wszystkiemu. Gdy Walentynian upierał się przy pisaniu zeznań, wódz

frankijski wyciągnął miecz i przy wszystkich ściał świadkowi głowę. Walentynian krzyknął przerażony, bo nigdy wcześniej nie widział zabójstwa tak strasznego, popełnionego z tak zimną krwią.

– Każę cię aresztować, psie! – krzyknął i rzeczywiście nakazał straży dokonać zatrzymania.

Żaden ze strażników nie ruszył się z miejsca. Wszyscy służyli Arbogastowi. Walentynian II zrozumiał, jak bardzo jest samotny. Wybiegł z płaczem z sali audiencyjnej. Tego, co się stało, nie dało się cofnąć, przekreślić, zatuszować, aby nikt o tym nie powiedział. Arbogast też to wiedział i przedsięwziął kroki. Nie miał już innego wyjścia. Bo Walentynian mógł uciec do swojego szwagra, a ten zapewne skróciłby Arbogasta o głowę.

Nazajutrz Wiedeń wstrząsnęła straszną wiadomością. Cesarz Walentynian II popełnił samobójstwo, wieszając się na pasku. Jak było naprawdę, nikt nigdy miał się już nie dowiedzieć. Czy Arbogast kazał zamordować cesarza i upozorować samobójstwo? Wielu zapewne w to uwierzyło. Jednak frankijski wódz był pragmatyczny. Zabójstwo cesarza odebrałoby mu jakikolwiek pozór legalności władzy. To przecież Walentynian wszystko podpisywał. A może zrozpaczony młody człowiek ostatecznie przekonał się, że jest jedynie figurantem w ręku sprytnego prostaka? Czy zdając sobie sprawę z tego, że nie może liczyć na nikogo, nie wpadł w rozpacz i nie odebrał sobie życia? To drugie wyjaśnienie było równie prawdopodobne jak pierwsze. Jednak śmierć cesarza zmieniała wszystko. Arbogast nie mógł się cofnąć. Wszystko zmierzało do nowej wojny domowej. Przed wszystkim sprytny wódz musiał znaleźć kogoś, kto przywdziałby cesarską purpurę.

I znalazł takiego kandydata.

## ROZDZIAŁ XXIX

### *Bitwa nad rzeką lodu*

#### *KONSTANTYNOPOL, 394 ROK*

W komnacie pałacu w Konstantynopolu, służącej jako punkt odpraw, na cesarza od rana czekali wyżsi oficerowie armii wschodniej, którą po katastrofie adrianopolskiej Teodozjusz poskładał i wyćwiczył ponownie, a także zapewnił dopływ rekrutów i pieniędzy. A armia była pazerna na pieniądze. Teodozjusz miał powiedzieć synom to samo, co powiedział Karakalli i Gecie przed ponad stu osiemdziesięciu laty w Eboracum<sup>[81]</sup> w Brytanii umierający cesarz Septymiusz Sewer:

– Dbajcie o armię, resztą możecie gardzić.

Teodozjusz znał swoich synów i wiedział, że są podobni do tamtych. Nie na próżno księża czytali mu pokrzepiające historie oraz rzymskich klasyków historiografii. Sam cesarz nie miał czasu na czytanie, ale za to miał innych, by czytali za niego.

Tego dnia przysły z zachodu, konkretnie z Galii i Italii, bardzo niepokojące informacje. Walentynian II, szwagier cesarza Teodozjusza, został najprawdopodobniej zamordowany lub zmuszony do samobójstwa – to już nie miało znaczenia wobec konsekwencji czynu. Za tymi strasznymi wydarzeniami miał stać Arbogast, wódz germański w służbie rzymskiej. To właśnie jego uznano za głównego wroga, bardzo niebezpiecznego, ponieważ w Konstantynopolu zdawano sobie sprawę z jego zdolności wojskowych. Przez wiele lat dowodził wojskami na zachodzie, uśmierzał bunty w Brytanii i nad Renem. Potrafił walczyć i wodzowie po cichu między sobą uważali, że jest równorzędnym przeciwnikiem dla Teodozjusza. Było też jasne, że nowa wojna domowa

jest nieunikniona. Być może będzie to największa tego typu wojna, jaką widzieli na oczy.

W pewnej chwili rozwarły się drzwi do komnaty, w której czekali wojskowi. Przybył Teodozjusz w asyście dwóch gwardzistów z dwoma synami – Arkadiuszem, który był już w Konstantynopolu cesarzem, i Honoriuszem, o którego prawa do zachodu miała między innymi toczyć się ta wojna. Cesarz zasiadł na tronie. Dowódcy mogli podejrzewać, że powziął już jakąś decyzję, i teraz nadszedł czas, aby im ją zakomunikować.

– Na zachodzie obwołano nowego uzurpatora – zaczął cesarz – który ośmielił się przybrać tytuł augusta. To Eugeniusz, profesor retoryki, wyniesiony do władzy przez barbarzyńcę Arbogasta.

Dowódcy wpatrywali się w cesarza. Znali go. Nie będzie negocjacji.

– Walentynian Drugi był moim szwagrem. Jego śmierć musi zostać pomszczona. Jednak w tej wojnie nie chodzi tylko i wyłącznie o zemstę na Arbogaście, ale też o ostateczny tryumf prawdziwej wiary nad pogańskimi kultami. Uzurpator Eugeniusz jest bowiem poganinem, który odrzuca świętą wiarę. Ta wojna to kres pogaństwa. Na czas wojny władzę w Konstantynopolu powierzam mojemu synowi Arkadiuszowi, niech Bóg ma go w opiece!

– Amen! – zakrzyknęli wodzowie.

Zaczęły się przygotowania do wojny.

\*

Dla nowego patriarchy Konstantynopola Grzegorza z Nazjanzu ta wojna nie była tylko konfliktem z uzurpatorem. W jej sprawiedliwość nie można było wątpić. Z pewnością też ów konflikt miał pomóc Honoriuszowi zyskać zachód, aby dynastia teodozjańska mogła kwitnąć, rządzić i kierować cesarstwem. Cesarz w mowie przed wojskowymi, którą potem wszyscy powtarzali na dworze – dlatego też po jednym dniu była już znana większości ważnych osobistości Konstantynopola – mówił o tej wojnie, że ostatecznie zakończy istnienie pogaństwa. Grzegorz był

człowiekiem Kościoła i autentycznie wierzył, że Kościół katolicki jest rzeczywiście posłany przez Boga do ludzi. Dla niego nieprzyjęcie wiary oznaczało wzgardzenie Duchem Świętym, którego w dzień Pięćdziesiątnicy Bóg udzielił pierwszym chrześcijanom – i Grzegorz wierzył, że ów Duch jest cały czas obecny na ziemi. A odrzucenie Ducha Świętego to grzech, który nie będzie wybaczony. Jednak on sam nie odczuwał żadnej radości na wieść o wojnie z Eugeniuszem i Arbogastem. Wiedział bowiem, że po drugiej stronie jest przyjaciel, wprawdzie od lat niewidziany w Konstantynopolu i niepiszący żadnych listów, ale jednak człowiek, którego znał od wczesnych lat młodości.

Grzegorz wiedział, że ten przyjaciel zginie. Dlatego postanowił uratować jego duszę.

\*

## *RZYM, LATO 394 ROKU*

Ammian Marcellinus wydawał się nieco zaskoczony szybkością, z jaką toczyły się zmiany polityczne, które miały wyrzeć na świat rzymski nieodwracalny wpływ. Śmierć Walentyniana II, człowieka tak młodego, była wstrząsem, ale ileż wstrząsów ów stary wiarus już widział, ile przeżył. Bycie cesarzem to najbardziej ryzykowny zawód w imperium, średnio co parę lat ciało jakiegoś władcy gniło wśród masowych mogił, jak pod Adrianopolem, albo spoczywało na katafalku pogrzebowym. Zamachy, podstępny, uzurpacje – to była codzienność rzymskiej polityki. Wobec Arbogasta Ammian zachowywał daleko posuniętą wstrzeźliwość. Nie ufał mu ze względu na jego barbarzyńskie pochodzenie, brutalność i nikczemne mataczenia wokół śmierci Walentyniana II.

Pewnego dnia Symmachus, były prefekt Rzymu i profesor retoryki – przyjaciel Ammiana, złożył wizytę w jego domu.

- Założę się, że przywiozłeś ze sobą dzban wina – rzekł Ammian.
- Oczywiście – odparł gość. – I to najlepszego.

Symmachus zobaczył niezwykle elegancką kurtyzanę, która na jego widok podrzuciła do góry mieszki ze złotem i posłała Ammianowi wielkiego soczystego całusa.

– Odwiedzę cię wkrótce.

– Nie mogę się doczekać.

Symmachus spojrział na nią, gdy odchodziła.

– Masz gust, przyjacielu – oznajmił.

Ammian odpowiedział poważnie:

– Kobietę, którą kochałem, udusiłem własnymi rękoma. Wolę kurwy.

Symmachus tego nie skomentował. Przeszli do atrium – rozświetlonego, z oczkiem wodnym, pełnego krzewów gorzkiej pomarańczy rosnących w kamiennych donicach. Ammian ostatnio uczynił swój dom schroniskiem dla wyrzucanych z dawnych świątyń posągów bogów i herosów. Chadzał też czasem na śmietnik, na który zwożono z całego Rzymu starożytne amfory po winie lub oliwie. Były ogromne, dobre do przewożenia morzem dużej ilości towaru, ale zbyt nieporęczne na lądzie, więc wino zlewano do mniejszych, a wielkie naczynia tłuczono i wyrzucano. Ammian śmiał się, że teraz, gdy świat drży, można wprowadzić w Rzymie demokrację ateńską i na tych potłuczonych amforach – ostrakonach – powypisywać nazwiska tych, których należałoby wygnać z Rzymu. Tyle że prawdopodobnie zabrakłoby skorup.

Na śmietnikach nie szukał ów wielki historyk niczego innego poza rzeźbami antycznymi, które chrześcijanie wyrzucali z domów i miejsc publicznych. Posągi bogów, bohaterów, deifikowanych cesarzy – wszystkie trafiały na śmietnik, często z potłuczonymi rękoma z marmuru. Nieme posągi śpiewały cichą pieśń upadku i swego zmierzchu. Z tym zmierzchem bogów Ammian nie mógł i nie chciał się pogodzić. Bogowie i dawny Rzym żyli w nim, a póki on żył – oni też istnieli.

Widząc te dziesiątki posągów, Symmachus rzekł:

– Masz tutaj tłum.

– Nie jestem sam – uśmiechnął się Ammian, który jednak bardzo przeżywał to, co się działo wokół nich. Obydwaj wiedzieli, że zmierza

w ich stronę wielka burza wojny domowej.

– Wiem, z czym przybywasz. Proszę, usiądź. Napijemy się wina i porozmawiamy.

Usiedli. Wino pochodziło z Rodos, a tam robią je starodawną metodą kilkudniowego przesuszania winnych gron w kiściach na słońcu. Stają się wtedy słodsze i dają mocniejszą fermentację. Takie było wino starożytnych Rzymian i Greków – mocne, słodkie i aromatyczne. Nalali sobie do pucharów i sączyli, rozmawiając.

– Walentynian Drugi jest już w swoim chrześcijańskim niebie – rzekł Symmachus. – Nie żebym go żałował, bo skłamałbym. Jednak Arbogast zdecydował, że diadem cesarski weźmie Eugeniusz, a to nasz człowiek! Wierzy w bogów!

Ammian odparł:

– To bardzo pięknie, ale wiara w bogów nie pomoże pokonać armii Teodozjusza.

– Nie posądzałem cię o malkontentstwo.

– To nie jest malkontentstwo, tylko świadome wyważenie ryzyka. Pamiętaj, że w razie przegranej spadną nasze głowy. Ja się śmierci nie boję, ale wiedz, że wraz z nami zginie kultura, którą chronimy.

Symmachus przez lata znajomości z Ammianem Marcellinusem poznał, że jest on osobą wyważoną w poglądach i nie brakuje mu zdolności przewidywania wypadków politycznych. Ale obaj wiedzieli, że tutaj nie chodzi o politykę.

– Ammianie, wydaje się, że minął czas kalkulacji. Łudziliśmy się, że da się przeżyć. Oczywiście, że imperium jest wielkie i z pewnością wszyscy byśmy się w nim zmieścili. Ale oni nie chcą, żebyśmy my i nasi bogowie w nim mieszkali.

Ammian popił tego wina z kielicha.

– Nie chcą, ale dlatego, że my przed stu laty nie chcieliśmy w nich widzieć ludzi. Rzucaliśmy ich na pożarcie dzikim zwierzętom, traktując ich śmierć jak jakąś makabryczną rozrywkę. My też burzyliśmy ich kościoły, konfiskowaliśmy i paliliśmy ich święte księgi. Używaliśmy dzikiej

przemocy, mając za sobą autorytet państwa. Powiedz mi szczerze, Symmachusie, czy możemy mieć pretensje, że teraz nas to spotyka?

Były prefekt Rzymu i profesor retoryki musiał się zastanowić, jak odpowiedzieć. Faktom trudno było zaprzeczyć.

– Nie mogę zrozumieć, jak to się stało. Że też posyłając ich jako pokarm dla lwów, nie wybiliśmy wszystkich – rzekł posępnie.

– Czy nie rozumiesz, że tryumf chrześcijaństwa zawdzięczamy między innymi męczeństwu ich członków podczas prześladowań? Ja i ty stoimy po stronie dawnych wartości i naszych bóstw, choć żaden z nas nie wierzy w istnienie Jowisza, Junony, gołej Wenus czy Apollina. Mamy wiarę neoplatoników, wierzymy w Jedno, w byt, który jest początkiem i końcem wszystkiego. Obydwaj nazywamy go Mitrą, Słońcem Niezwyciężonym, ale możemy go też nazwać bogiem Hebrajczyków i chrześcijan.

– Nie zgadzam się z tobą, mój drogi. Chrześcijanie przyszli z Judei, a to najlichsza z prowincji, i przywlekli nam wartości, których w naszym świecie nie ma i nie było nigdy. Czy widziałeś, że zamknęli termy Dioklecjana i Karakalli? Wiesz dlaczego? Bo ludzie chodzili się tam kąpać na golasa, a według chrześcijan nagość jest zła i jak oni to mówią, *demoniczna*. Sam przyznasz, że to bzdury.

– To prawda – odparł Ammian. – Ale my zlekceważyliśmy kobiety, podczas gdy chrześcijankami zostawały przede wszystkim niewolnice, które przekabacały swoje panie, młode dziewczyny. To też jest fakt. Musimy się z tym wszystkim zmierzyć.

Teraz Symmachus pociągnął wina i oznajmił:

– Masz rację. Musimy.

– Wiem i jestem z wami – odparł Ammian. – Ale chciałem zaznaczyć, że mam wątpliwości.

– Nie lekceważę ich. Musisz wiedzieć, że cesarz Eugeniusz już tu zmierza. Jego wojska zajęły przełęcz alpejskie, żeby zdążyć przed zimą.

– Chciałeś powiedzieć: wojska Arbogasta.

– To na jedno wychodzi. Nie masz pojęcia, jakie w mieście jest poruszenie. Rzym jest chyba ostatnim miastem w imperium, gdzie wciąż



żyjemy w licznej grupie. Trwa ochotniczy zaciąg. Chcą wystawić trzy tysiące ludzi.

– Teodozjusz ma wiele dziesiątków tysięcy żołnierzy. I jestem pewien, że już maszerują.

\*

Wybuch wojny domowej był dla biskupa Ambrożego kolejnym doświadczeniem, które próbował zrozumieć i ogarnąć dzięki wierze w Bożą opatrzność. Popierał sprawę legalnego cesarza, a tym bez wątpienia był Teodozjusz. Ambroży nie uznawał Eugeniusza z dwóch powodów: był uzurpatorem i poganinem. Biskup z Mediolanu był tak wybitnym już przedstawicielem Kościoła, tak wielkim intelektualistą, że chroniła go zarówno funkcja kościelna, którą sprawował, jak i autorytet, jaki posiadał. Eugeniusz wprawdzie zajął alpejskie przełęcze i jego dziesiątki tysięcy zbrojnych wkroczyły do północnej Italii, ale germański wódz, w imieniu którego go wybrano, wciąż stąpał po cienkim lodzie. Nie mógł być pewny poparcia katolików w Italii. Jednak powstrzymał Arbogasta przed represjami wobec tych, którzy nie chcieli go uznać za cesarza. Uzurpator był światłym człowiekiem i wiedział, że nic nie ugra, skazując swoich przeciwników na prześladowania.

Ambroży wiedział, że wszyscy poganie, których zna jako swoich przyjaciół i znajomych, znajdują się w sytuacji, w której trzeba wybrać stronę wojny. Był ciekawy, kogo wybierze Ammian Marcellinus, człowiek mu bliski i znakomity historyk. Szukał teologicznego wytłumaczenia sytuacji, w której ludzie, widząc dobro, nie wybierają go, ale sięgają po coś zupełnie przeciwnego. Był zdania, że powinni kierować się przede wszystkim ku dobru, czyli w jego pojęciu ku światowi wartości chrześcijańskich. Jednak jednostki wybitne, odcytane i mające wiedzę o świecie – takie jak Ammian – wcale nie wybierały dobra. A przecież byli i inni, bardzo długo błędzący po omacku – jak Aureliusz Augustyn, który ostatecznie przyjął chrzest i jak się Ambrożemu wydawało, został wyświęcony na księdza w Kartaginie. Biskup przed kilkoma miesiącami

napisał do nowego kapłana i członka wspólnoty chrześcijańskiej w Kartaginie list z wątpliwościami. Uzyskał odpowiedź prostą i bardzo znaczącą:

*Aureliusz Augustyn, prezbiter kościoła w Kartaginie, do biskupa Ambrożego w Mediolanie śle słowa pozdrowienia.*

*List Twój otrzymałem. Ucieszył mnie bardzo. W ogrodzie w Mediolanie usłyszałem głos mówiący we mnie: czytaj tę Księgę! Otworzyłem i przeczytałem.*

*Jednak wątpliwości, jakie przeżywasz, bracie, nie są dziełem przypadku. Wydaje mi się, że dobro, które jest w Chrystusie i jego Kościele, nie musi być wybierane przez ludzi, bo jest ipso facto<sup>[82]</sup> dobrem, ale dlatego, że pewni ludzie mają skłonność wewnętrzną do wybrania go. Jak to się dzieje? Człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boże, ale wolnym wewnątrz. Zatem może dokonywać wyboru. Dzieje się tak na zasadzie wolności pogodzonej z rozumem. I ja nazywam to wolą. Ty zostałeś wychowany w Chrystusie i jesteś w Nim, jednak ja musiałem Go wybrać i odrzucić dawne przekonania. Gdybym nie był wolny, a zniewolony przez Boga, nigdy bym nie dokonał takiego wyboru. To moja wola skłoniła mnie ku temu.*

\*

Jesienią 394 roku stało się jasne, że wojska wschodnie się zbliżają. Wedle opowieści szpiegów Arbogasta i Eugeniusza było ich mrowie. Jednak w takich sytuacjach zazwyczaj wyolbrzymia się wrogie siły. W Rzymie i całej Italii dał o sobie znać zachodni separatyzm. Źle tu kojarzono cesarzy ze wschodu, zarzucając im – zresztą słusznie – skłonność do despotyzmu, wschodnich ceremoniałów, czołobitności i donosicielstwa. Poza tym zachodowi obce były zacięte spory doktrynalne o naturę Chrystusa. Rozpalały one księży, wiernych i ludzi wierzących, ale myśl chrześcijańska biegła tu w innym kierunku. Obawiano się zemsty Teodozjusza, która

miała osiągnąć tych, którzy tak długo opierali się chrześcijaństwu w samym sercu imperium – elitę wyznającą grecko-rzymską religię. Z tego też powodu dokonał się swoisty podział.

– Albo jesteś za Eugeniuszem i dawnymi zwyczajami, prawem i kulturą, albo za chrześcijańskim tyranem, który zniszczył pamięć dawnego Rzymu, zakazując składania ofiar i oddawania czci bogom – powiedział do zwolenników Eugeniusza dawny prefekt miasta Symmachus. – Musimy zwyciężyć.

Ammian postanowił się zaangażować. Przekonało go do tego doświadczenie wojskowe Arbogasta oraz wielkie zastępy wojsk, które przyprowadził do Italii zza Alp. Obsadzono już drogę między Akwileją i grzbietem gór – jedyny wygodny szlak ze wschodu. Wojska Teodozjusza, dowodzone także przez barbarzyńców – Stylichona, który miał pochodzenie wandalskie, oraz Gajnasa, zwykłego najemnika, Gota, musiały tamtędy przejść. I stoczyć bitwę w imieniu rzymskiego cesarza, protektora imperium i wszystkich ludzi w nim mieszkających, przeciw Rzymianom, którzy myśleli inaczej i opierali swój świat na wartościach innych niż te, które Teodozjusz uznał za wzorcowe i niepodważalne dla wszystkich.

Z racji swego wieku Ammian nie mógł już iść na pierwszą linię. Został w Akwilei i dbał, jak mógł, o zaopatrzenie wojsk zmierzających w stronę rzeki Frigidus, zwanej przez miejscowych pasterzy rzeką lodu. Zimą często zamarzała i niosła nadzwyczaj chłodną wodę prosto z lodowców w Alpach na północy. Tam Arbogast i Eugeniusz utworzyli linię obronną i chcieli, by tam właśnie odbyła się bitwa.

Zmagania trwały przez dwa najbardziej krwawe i bezlitosne dni w historii rzymskich wojen domowych. Pierwszego dnia atak Teodozjusza odparto podczas przeprawy jego wojsk przez bród, zadając jeździe ciężkie straty od katapult i celnych łuczników, którzy – stojąc bezpiecznie za umocnieniami na zachodnim brzegu rzeki – siali spustoszenie w szarżujących oddziałach wschodnich. Teodozjuszowi trzeba oddać, że potrafił po klęsce adrianopolskiej odbudować wschodnią armię, ale i tak

szkody były ogromne. Tysiące zwłok ludzkich i końskich popłynęły w dół rzeki, a niektóre oddziały straciły po sześćdziesiąt procent stanów osobowych. Klęska zadrzała Teodozjuszowi i jego wodzowi w oczy. Była to straszna noc, ale cesarz nie tracił czasu na roztrząsanie porażki. Postanowił się skupić na wygraniu następnej bitwy, bo miał na to jeszcze siły.

Tymczasem siły Eugeniusza i Arbogasta, skupione i zdyscyplinowane przed pierwszym starciem, teraz pozwoliły sobie na świętowanie. W obozie było sporo beczek z winem, toteż nie żałowano go sobie. Arbogast był przekonany, że straty zadane armii wschodniej przekonają Teodozjusza do negocjacji i uznania Eugeniusza na zachodzie. Jednak jako Germanin nie docenił oporu władcy, który walczył nie tylko o honor, ale także o przetrwanie dynastii oraz za wiarę chrześcijańską. Ten ostatni wątek – tak istotny dla ludzi Teodozjusza, dobranych przez niego pod względem wiary – dla Eugeniusza i Arbogasta miał drugorzędne znaczenie. A przecież między innymi ze względów religijnych Teodozjusz nie chciał negocjować.

Nad ranem po całonocnym marszu dotarły odwody Teodozjusza, które przyprowadził Gajnas. Świeże siły i determinacja chrześcijańskich żołnierzy i oficerów sprawiły, że armia wschodnia wdarła się przez dolinę rzeki Frigidus i sięgnęła obozu przeciwnika, gdzie po całonocnej bibie nastroje były wręcz tryumfalne. Zaczęła się rzeź. I choć ludzie Arbogasta szybko się otrząsnęli z zaskoczenia, nie potrafili utworzyć skutecznego i głębokiego na kilkanaście szeregów bitewnego szyku. Walka była bezlitosna, ale wojska Teodozjusza, rozjuszona wcześniejszą porażką i zmotywowane przez księży towarzyszących wojsku, parły do przodu. Na próżno Arbogast dwa razy kontratakował – jego ludzie za każdym razem zderzali się z murem tarcz wschodnich żołnierzy. Ów walec toczył się zatem przez dolinę i nie było ludzkiej ani boskiej siły, która mogłaby go rozerwać.

Po trzech godzinach zmagania, gdy słońce stało wysoko i znad doliny rzeki lodu uniosły się mgły, widok był straszny. Na polu bitwy konały tysiące ludzi, dla których jedynym sposobem wyrwania się z bólu długiej agonii był sztylet. Arbogast, widząc klęskę swojej armii, uciekł. Ludzie

Teodozjusza mieli w swoich szeregach ludzie Stylichona – wandalskich tropicieli, którzy dwa dni później dopadli go w wiosce górskiej i zabili, a głowę odwieźli Teodozjuszowi. Natomiast wzięty do niewoli Eugeniusz nie okazał strachu. Nie prosił o łaskę, wiedząc, że jej nie otrzyma. Został ścięty toporem na pniu – przed Teodozjuszem i jego synem Honoriuszem oraz większością oficerów.

Jedynym panem imperium był Teodozjusz.

## ROZDZIAŁ XXX

### *Finis historiae*

#### *RZYM, JESIEŃ 394 ROKU*

Kłeska Arbogasta i Eugeniusza w bitwie nad rzeką Frigidus oznaczała tryumf chrześcijan, ostateczny i nieodwołalny. Dla ludzi wyznających otwarcie dawnych bogów nie było już miejsca. Do Rzymu przybył nowy prefekt, mianowany przez żądnego krwi i zemsty Teodozjusza, imieniem Rufus. Zdobył doświadczenie na wschodzie, prowadząc śledztwo w sprawie tumultu w Aleksandrii w Egipcie i wydając chrześcijańskiemu ludowi miasta, w tym fanatycznym i dopuszczającym się okrucieństw parabolanom bibliotekę w Serapejonie. Zniszczono ją bezpowrotnie, wielu cennych rękopisów prostytutki używali do podcierania sobie tyłków. Rufus przybył do Rzymu na czele licznych zastępów wojsk, które zaczęły dokonywać rekwizycji. Powołał składającą się wyłącznie z katolików wiernych Teodozjuszowi komisję śledczą, która miała wszelkie uprawnienia – otrzymała władzę nad życiem i śmiercią.

Ammian Marcellinus po bitwie nad rzeką Frigidus wymknął się żołnierzom cesarskim. Miał przecucie, że ta walka, w którą zaangażowali się wszyscy pogańscy intelektualisci, będzie przegrana, ale właśnie teraz, pod Akwileją, odkrył, że warto żyć. Dlatego porzucił godność, przebrał się za wieśniaka i – mając dwa konie, w tym jednego jucznego – zaczął się przebijać do Rzymu. Jednak droga jesienią przez Italię, gdy zaczęły się zimne dżdże, była dla niego męczarnią.

– Zdrowie i lata już nie te co dawniej – rzekł, ale miał wrażenie, że oszukuje samego siebie.

Do Rzymu dobrnął po sześciu tygodniach. Krążył, omijając główne drogi, bo jak wiadomo – te szybko obstawiły czujki Teodozjusza.

Głodował, choć kilka razy udało mu się kupić trochę sera koziego, kiedy indziej dostał cały bukłak świeżo udojonego mleka owczego. Ale raz musiał upolować wiewiórkę i upiec ją na ogniu bez soli. Była paskudna, ale choć trochę zaspokoił nią doskwierający głód. Gdy dostał się pod Rzym, wiedział, że trudno mu będzie przejść nieprzepytanym przez straż miejskie, które przysięgły Teodozjuszowi wierność. Okrążył miasto i odszukał tajny przesmyk w grotach na południu miasta, gdzie znajdowało się ukryte mitreum. W taki sposób wszedł do miasta i skierował się do swojego domu. Jego służący, Grek Sylas, od razu go poznał.

– Ammianie Marcellinusie, tak się cieszę, że żyjesz! – I natychmiast mu pomógł, wykąpał go, nakarmił.

Przez dwa tygodnie po powrocie nic się nie działo. Ammian mógł się uspokoić, oddać ulubionej lekturze i kontemplować piękno posągów, które zgromadził. Jednak czuł, że nadchodzi moment, gdy zostanie od tego piękna oderwany. Miał świadomość, że po niego przyjdą. Był zbyt istotnym poganinem, by go zignorować. Wiedziony przecuciem, spisał dokument ostatniej woli, a następnie, nie mówiąc nic Sylasowi, poszedł do pretora dzielnicy, aby nabrał mocy prawnej.

Gdy wrócił z potwierdzonym dokumentem spisany na papirusie, przywołał służbę i oznajmił:

– Sylasie, od dziś jesteś właścicielem tego domu i wszystkich przedmiotów, które się tutaj znajdują.

Stary służący zupełnie nie pojmował, dlaczego jego pan zachowuje się w sposób tak irracjonalny.

– Nie rozumiem.

– To proste. Od dziś jesteś właścicielem tego domu. Nie można już mówić, że to dom historyka Ammiana Marcellinusa, tylko Sylasa, wyzwoleńca, obywatela Rzymu.

Sylas zrozumiał. Tyle rękopisów razem przeczytali, tyle skopiował historii Ammiana Marcellinusa. Dzieło znajdowało się w każdej bibliotece

imperium. To między innymi zasługa pracy Sylasa, ale o nim historia miała milczeć.

– Czy mogę zadać pytanie? – zapytał Syllas.

– Możesz pytać o wszystko.

– Co się z tobą stanie?

Ammian westchnął.

– Cóż, najpewniej mnie aresztują. Ale, proszę, nie martw się, co się ze mną stanie. Najważniejsze, że rzeźby przetrwają.

– Oczywiście, że tak się stanie! Nie martw się, mój panie!

Rzeczywiście rankiem następnego dnia kilku żołnierzy i jakiś barbarzyński oficer, ledwo mówiący po łacinie, przyszli po Ammiana Marcellinusa, który spodziewał się aresztowania. Nie stawiał oporu. Ubrał się, zjadł kawałek jęczmiennego placka i popił wodą.

Poszedł ku przeznaczeniu.

\*

Ammian odliczał w więzieniu dni. Naliczył ich aż osiemdziesiąt cztery od dnia aresztowania. Z tego, gdzie go zaprowadzono, wywnioskował, że znalazł się w więzieniu mamertyńskim, które – jak na ironię dziejową – przed stu laty, podczas panowania Dioklecjana, było wykorzystywane do przetrzymywania chrześcijan. Od razu otrzymał pojedynczą celę z otwartym, okratowanym włazem dla światła dnia, do tego prosty, ale za to czysty siennik, nieużywany przez nikogo przed nim. W pomieszczeniu znajdowały się też prosty stół, a także krzesło oraz wiadro z pokrywą – do załatwiania nieczystości. Bezimienny człowiek codziennie rano po świtaniu zabierał owo wiadro i przynosił nowe. Ammian dostawał też wodę – tyle, ile chciał – oraz jęczmienne placki, które były najpowszechniejszym rodzajem chleba. Żaden luksus, ale też nie było to ciężkie uwięzienie ze zbrojeńcami, mordercami lub ludźmi marginesu. Był więźniem politycznym i nie było co do tego żadnych wątpliwości. Zastanawiał się, czemu ma służyć to długie przetrzymywanie



go w izolacji. Przez cały czas aresztowania nie dozwolono, aby któryś z przyjaciół go odwiedził, zagadał i zapytał o zdrowie.

Jednak pewnego dnia rankiem przed celą zatupały sandały kilku ludzi. Ammian, leżąc na pościeli, usłyszał wyraźnie, jak zgrzytnął klucz wkładany do zamka. Drzwi się otworzyły. Do środka wszedł jeden z przełożonych więzienia.

– Ammianie Marcellinusie, udasz się ze mną na przesłuchanie, na którym postawione ci zostaną zarzuty.

– Już myślałem, że się nie doczekam. Czy wolno mi złożyć zażalenie?

– Zażalenie? – zdziwił się urzędnik więzienny. – W twoim stanie nie składa się zażaleń, ale raczej prośbę o łaskę.

– Nie rozumiemy się. Nie narzekam na mój stan, bo nie może być inny. Narzekam na zimno w nocy. Potrzebuję koca, żeby nie marznąć. To chyba jest w twojej gestii, prawda?

Urzędnik skinął na znak, że rozumie.

Na zewnątrz, w mrocznym korytarzu, czekało dwóch strażników. Ammian miał wciąż jeszcze przyzwyczajenia człowieka należącego do elity intelektualnej Rzymu i wstydził się, że jego ubranie, spodnie, chiton i płaszcz są brudne i znoszone. Po raz pierwszy w życiu wiedział, że się nie wywinie, ale poczucie osaczenia nie odbierało mu dobrego humoru. Poprowadzono go na przesłuchanie.

O odbyło się ono w izbie, której centralnym meblem był długi stół. U jednego końca siedział wytworny mąż w czarnej szacie, ze złotym łańcuchem zawieszonym na szyi. Ammian bez trudu odgadł, że to jego oskarżyciel Rufus, fanatyczny chrześcijanin i człowiek bezwzględnie oddany Teodozjuszowi. Po obu jego stronach zasiadali stenotypiści zapisujący pytania i odpowiedzi na tabliczkach.

– Proszę siadać – rzekł człowiek w czerni. – Nazywam się Juliusz Rufus i jestem cesarskim prokuratorem skierowanym do sprawy zdrajców, którzy poparli rebelię Eugeniusza i Arbogasta. Przedstawiam oskarżonym o zdradę stanu zarzuty.

Ammian milczał.

– Jak się nazywasz? – padło pytanie, natychmiast skrupulatnie zapisane.

– Ammianus Marcellinus, syn Aureliusza Marcellinusa i Epafrodyte, jego żony.

– Jesteś oskarżony przez cesarza o zdradę stanu, uczestnictwo we wszetecznym spisku Arbogasta i Eugeniusza, walkę przeciwko prawowitemu cesarzowi Teodozjuszowi panującemu z woli Boga. Za te przestępstwa karą jest śmierć. Czy rozumiałeś zarzuty?

Ammian musiał odpowiedzieć. Brak odpowiedzi mógł zostać uznany za przyznanie się do winy. Jednak nie miał zamiaru tak po prostu zgodzić się z zarzutem zdrady. Dla żołnierza, którym był przez lata, byłaby to plama na honorze. Postanowił zatem walczyć nie o życie, ale o moralną rację. Chciał, by jego sprzeciw wobec Teodozjusza był sprzeciwem wobec tego, co chrześcijanie uczynili z kulturą klasyczną, której czuł się wyrazicielem.

– Tak, brałem udział w wojnie przeciwko cesarzowi Teodozjuszowi – odparł dumnie, nie zamierzając zniżyć się do kłamstwa. – Ale nie z powodu zdrady, choć tak to może wyglądać z punktu widzenia cesarza. Nie miałem wątpliwości, że walka z cesarzem Teodozjuszem będzie przegrana, ale mimo to postanowiłem wziąć w niej udział.

– A to dlaczego? – zapytał oskarżyciel.

– Jestem wyznawcą Mitry, w tej wierze zostałem wychowany. To bóstwo identyfikowano w Rzymie w czasach największej chwały cesarstwa ze Słońcem Niezwyciężonym. Jest mi droga kultura Greków i Rzymian, bo ona jest w istocie jednym i tym samym, opartym na kulcie Westy i jej świętego ognia, na misteriach eleuzyńskich, na kulcie bogów, którzy dali Rzymowi świetność i panowanie. Uważam się za obrońcę tej kultury. Cesarz Teodozjusz ma swoje racje, wierząc, że chrześcijaństwo zastąpi dawny fundament religii Greków i Rzymian. Z tego powodu w czasie jego panowania zgasł ogień Westy, zakazano igrzysk w Olimpii, zamykane są termy publiczne, choć przez setki lat służyły ludziom. W zamian otrzymujemy kult tak zwanych świętych, o szpetnych obliczach, którzy w pieczarze lub jaskini w brudzie i smrodzie pędzą swój żywot.

Widząc to wszystko, co się dzieje, nie mogłem nie przyłączyć się do rebelii Eugeniusza i Arbogasta. Ten drugi Germanin zasłużył na swój los, ale Eugeniusz tak jak ja wyzwiał bogów i chciał świątyni Rzymu.

– Mylisz się – przerwał prokurator cesarski. – Teraz, pod rządami Teodozjusza, są najświetniejsze czasy Rzymu.

– Obydwaj wiemy, że to nieprawda. Od czasów Adrianopola grasuje po imperium lud Wizygotów, których nie udało się już wypędzić za Dunaj. Rzym będzie trwał, póki będą pieniądze na wojsko. Gdy ich zabraknie, wszystko upadnie. Chrześcijaństwo nie zastąpiło bogów, bo samo w sobie podważa uniwersalizm państwa i jego instytucji. Rzym oparto na prawie, porządku i systemie dróg komunikujących całego imperium. Nie widzę niczego takiego w chrześcijańskiej kulturze, dzięki czemu mogłaby zastąpić starą, której jestem wierny. Rozumiem, że zarzuty są takie, że dopuściłem się zdrady.

– Tak jest w istocie – potwierdził Rufus.

– Kto tu jest zdrajcą, mój panie, a kto pozostał wierny?

– Jesteś pysznym człowiekiem.

– Nie, jestem samotnym człowiekiem, który w obliczu przemocy władzy staje po stronie wartości, które wybiera samodzielnie. Jestem wolnym człowiekiem nawet teraz w więzieniu.

To ostatnie zdanie zrobiło na Rufusie wrażenie. Traktował więźniów ostro i zawsze potrafił odróżnić tchórza i człowieka małej wartości, który załamywał się w obliczu konfrontacji z faktami oraz oskarżeniami, od człowieka, który wierzy w to, co mówi.

– Ammianie Marcellinusie, czy mam poddać cię torturom?

Ammian wzdrygnął się.

– Oczywiście, boję się cierpienia, bólu i śmierci. Na pewno przyznam się do wszystkiego, ponieważ ty także, Rufusie, przyznałbyś się w takiej sytuacji, żeś jest na przykład królem Persów. Czy mógłbym ci zadać pytanie?

– Pytaj. Rozmowa z tobą jest nadzwyczaj ciekawa.

– Czy jesteś chrześcijaninem z wiary czy z koniunkturalnego wyboru?

Rufus poczuł się zaskoczony pytaniem.

– Wierzę w Chrystusa.

– Dziękuję. Czy Jezus Chrystus potępiłby mnie, wiedząc, że odrzucam jego Kościół, który niszczy mój świat i kulturę? A przecież On powiedział w jednej z Ewangelii: *Nie potępiajcie, a nie będziecie potępieni*<sup>[83]</sup>.

– Znasz Pismo Święte! – rzekł zdumiony Rufus.

– Znam. Brałem też udział przed wieloma laty w tłumaczeniu Ewangelii Jana z greki na język gocki, świadkiem tego był biskup Wulfila, niech wasz Bóg odpuści mu jego winy – odparł Ammian.

Odpowiedź ta zdumiała Rufusa jeszcze bardziej. Biorąc sprawę następnego poganina, spodziewał się wybuchów płaczu i fali błagania o litość. Jednak przeliczył się zupełnie. Ten poganin mówił tak jak nikt inny. Rufus był myślącym człowiekiem i szybko doszedł do wniosku, że Ammian wcale nie nienawidzi chrześcijaństwa, a jego udział w buncie miał zupełnie inny powód. Prokurator poszedł z tym do samego cesarza. Jednak Teodozjusz nie był skłonny do ustępstw – nie po takiej wojnie, w której go zdradzono. W umyśle cesarza wszyscy wyznawcy bogów byli zdrajcami i zasługiwali na śmierć. Dlatego jego słowa były twarde:

– Żadnej litości.

Rufus wiedział już, że nie może potraktować Ammiana Marcellinusa inaczej. Potem nadszedł ciekawy list napisany przed kilku tygodniami w Antiochii przez tamtejszego patriarchę Jana Chryzostoma, który był uczniem Ammiana Marcellinusa. Rufus spodziewał się wstawiennictwa. Taki list od patriarchy mógłby wpłynąć na sąd. Jednak przeczytawszy go, Rufus wiedział, że Ammian miał także wrogów wśród swoich byłych uczniów. List nie nadawał się do pokazania ani opublikowania. Jan Chryzostom, który w swoich namiętnych kazaniach wzywał do potępienia pogan i Żydów (których uważał za takich samych wrogów chrześcijaństwa), wezwał prokuratora cesarskiego do wyśledzenia w bibliotekach niecznych i bezbożnych tekstów Ammiana, w tym jego dzieła historycznego. Rufus, znając surowość cesarza, zaczął skwapliwie ów

pomysł realizować. Rozkazał znaleźć w bibliotekach Italii dzieło Ammiana i zniszczyć je, lecz wieść o tym dotarła do uszu biskupa Ambrożego.

Pewnego dnia zaskoczył on Rufusa w Rzymie i zażądał natychmiastowej rozmowy.

– Zdumiewa mnie twoja wizyta, szlachetny biskupie – rzekł Rufus, widząc wkraczającego dostojnika.

– Przyszedłem cię ostrzec, Rufusie.

– Ostrzec? Przed czym? – zapytał drwiąco prokurator cesarski.

– Przed konfiskatą dzieła historycznego Ammiana Marcellinusa.

– O niczym takim nie słyszałem – odparł asekuracyjnie Rufus.

– Ja znam się na ludziach, Rufusie. Nie musisz kłamać. Nie przede mną. Doniesiono mi o liście wielebnego Jana Chryzostoma w tej sprawie. Wyobraź sobie, że ja znam Kościół lepiej niż ty i nic w nim nie odbywa się bez mojej wiedzy.

– Wykonuję polecenie cesarza – bronił się urzędnik.

– Doprawdy mam uwierzyć, że cesarz Teodozjusz kazał ci osobiście niszczyć papirusowe zwoje? Jesteś podwójnym głupcem. Raz, bo myślisz, że przysługujesz się tym barbarzyństwem cesarstwu, a dwa, bo zakładasz, że ja o tym nie wiem.

– Poskarżę się do cesarza, biskupie. – Rufus nie dawał za wygraną.

– I cóż, cesarz ci pomoże? – zapytał z pewnością w głosie biskup Ambroży. – Po masakrze w Tesalonice to ja obłożyłem cesarza klątwą kościelną, wykluczając go z grona wiernych Kościoła. Musiał przyjąć pokutę. Choćby mnie nie lubił, choćby życzył mi źle, gdy pójdę do niego ze skargą na ciebie, na dzikusa, który niszczy nasze italskie zbiory biblioteczne, żeby zniszczyć dzieło człowieka, który co prawda jest naszym przeciwnikiem, ale jest Rzymianinem lepszym niż ja i ty.

Rufus z wściekłości zacisnął pięści. Gdyby nie twoja godność, biskupie, gdyby nie twoja szarża, gdyby nie twoja sława, inaczej bym z tobą dziś porozmawiał – pomyślał. Wiedział jednak, że przegrał owo starcie. Ambroży był poza jego zasięgiem.

– Powiem, że wpłynasz na proces zdrajcy. – Do końca nie dawał za wygraną.

Ambroży teraz dostrzegł, że ma przed sobą niebezpiecznego węża. Postanowił położyć mu but na głowie. Podszedł do Rufusa i patrząc mu w oczy, powiedział:

– Nie wpływam. Ammian Marcellinus wybrał źle i musi ponieść tego konsekwencje. Nie kwestionuję jego zdrady. I jeśli dobrze go znam, on też jej nie zakwestionuje. Jeśli zażadasz jakiejś sadystycznej egzekucji, znęcania się, tortur publicznych, wiedz, że użyję wszelkich kościelnych środków, żeby potępić cię na wieki i zhańbić twoje imię. Zrozumiałeś?

Ambroży nie musiał się upewniać, czy groźba poskutkowała. Znał się na ludziach.

\*

Ammian nie wiedział o walce, jaką stoczył o jego dorobek pisarski biskup Ambroży. Nie wiedział, że ów mąż Kościoła, tak wrogiego świata Ammiana Marcellinusa, zrobi wszystko, by ocalić duszę swego niechrześcijańskiego przyjaciela. Ale najpierw Ammian musiał przejść przez upokarzające piekło procesu, którym kierował sędzia cesarski.

Proces odbywał się niejawnie, a do sali posiedzeń senatu, gdzie nie było już żadnych posągów bogów ani nawet niechrześcijańskich władców, nikogo nie zaproszono, aby Ammian, który posiadał sztukę wymowy, nie mógł wpływać na poglądy ludzi. Władza obawiała się jednostki wierzącej w swoje ideały. Rufus był wyznaczony jako sędzia prowadzący. W procesie mogli uczestniczyć ludzie wyznaczeni przez cesarza, a więc oficerowie armii, niektórzy księża. Wszyscy lojalni wobec Teodozjusza, który przebywał z młodszym synem Honoriuszem w Rawennie, oficjalnej rezydencji cesarza w Italii. Rzymu oczywiście Teodozjusz nie lubił, tak jak większość chrześcijańskich cesarzy, ponieważ kojarzył się z wielką, co prawda, ale pogańską przeszłością. Cesarstwo było imperium w stadium choroby, a jej najbardziej schizofrenicznym objawem było to, że panujący

cesarz wstydził się korzeni swego państwa i pragnął je zasłonić, a wszelkie przejawy kultury, która dała mu wielkość, postanowił wykorzenić.

Ammian Marcellinus miał bronić się sam, ponieważ w myśl postanowienia cesarza Teodozjusza zdrajcy nie przysługiwał adwokat z urzędu. Rufus był pewny swego. Przygotował się starannie. Przyszedł na salę i zasiadł na bogato rzeźbionym krześle, ale jego wzrok napotkał wśród obecnych postać, której cesarski wszechwładny pan życia i śmierci podsądnych nie chciał ujrzeć. Oto wśród zgromadzonych zasiadł biskup Mediolanu Ambroży – jedyny przyjaciel Ammiana, który go nie opuścił w tej strasznej chwili. Rufus tego nie zdzierzył.

– Szlachetny biskupie, cesarz nie przewidział twojej obecności na procesie zdrajcy Ammiana Marcellinusa – rzekł, z trudem maskując gniew.

– To wyproś mnie – odparł biskup.

Zapadła chwila nerwowej ciszy. Był to osobisty pojedynek tych dwóch ludzi, a właściwie pojedynek Ambrożego z Mediolanu z cesarzem Teodozjuszem, który nie zapomniał klątwy po masakrze w Tesalonice. Wszyscy spoglądali nerwowo to na Rufusa, to na biskupa.

– Wprowadzić oskarżonego! – powiedział głośno Rufus, dając znak, że odpuszcza sobie tę sprawę. Postanowił ignorować Ambrożego.

Biskup miał jednak inny cel niż przeszkadzanie dostojnikowi – przyszedł na ten smutny proces tylko po to, by Ammian miał wśród publiczności choć jednego człowieka niebędącego wrogiem. Czuł wstręt do tak niskiego moralnie sposobu rozprawiania się z przeciwnikami politycznymi.

Wszyscy spojrzeli na korytarz, z którego wkroczył Ammian w swoim zniszczonym ubraniu. Rufus celowo nie pozwolił oskarżonemu zmienić ubrania na inne, żeby go jeszcze bardziej upokorzyć. Ammian miał założone ciężkie kajdany i bardzo cierpiał, nie mogąc ruszyć dłońmi. Prowadzili go strażnicy. Jego miejsce stanowił podest, na którym miał stać i udzielać odpowiedzi na pytania. Więzienie go podłamało. Rozejrzał się i napotkał wzrok Ambrożego, jak gdyby biskup przyzywał go bez słowa.

Uśmiechnął się w duchu, bo wiedział, że ze strony biskupa może spodziewać się tylko pomocy.

Tymczasem Rufus zaczął odczytywać akt oskarżenia. Ammian mu przerwał:

– Przepraszam, a gdzie w tym procesie jest sędzia?

Szmer przeszedł po sali posiedzeń senatu rzymskiego, zamienionego na miejsce, gdzie odbywał się sfingowany proces polityczny.

– Ja jestem sędzią w imieniu cesarza.

– To zaskakujący proces, w którym sędzia jest jednocześnie prokuratorem, a oskarżony obrońcą. Jestem pewien, że wyrok też już został napisany. Więc przejdźmy do odczytywania tegoż – zauważył Ammian.

– Wolnego, mój panie! Ja tutaj decyduję, co jest odczytywane. – I Rufus, już zupełnie wytrącony z równowagi, czytał dalej akt oskarżenia.

Ammian z niecierpliwością przestępował z nogi na nogę. Nudził się.

– Czy przyznajesz się do winy?! – zagrział na koniec Rufus.

– Do tego steku kłamstw, które dodałeś od mojego przesłuchania? Przyznaję się jedynie do tego, że rzeczywiście zbrojnie wystąpiłem przeciwko cesarzowi, i mam świadomość wagi tego czynu, ale nie mogłem postąpić inaczej. Broniałem klasycznej kultury rzymskiej i całej spuścizny imperium, której wy, chrześcijanie, się wstydzicie.

Słowa te zostały uznane za hardą odpowiedź.

– W zasadzie to powinno wystarczyć – rzekł Rufus. – Ale... – Uśmiechnął się szyderczo.

Ambroży, obserwując te sceny, wzdrygał się z obrzydzenia. Był pewien, że urażony dostojnik popełni jakieś nieprzewidziane świństwo.

– Wezwać świadka!

Strażnicy przyprowadzili Sylasa, do niedawna kopistę, przyjaciela Ammiana Marcellinusa. Na ten widok oskarżony rzeczywiście drgnął. Rufus wiedział, jak go ugodzić w serce. Spotkali się wzrokiem. Sylas był inny niż zazwyczaj. Ammian nie rozumiał, na czym polegała ta odmiana.

– Jak się nazywasz, dobry człowieku? – zapytał Rufus.

– Nazywam się Sylas, panie.



– Jakiej jesteś wiary?

Chwila milczenia. Ammian nie wierzył w to, co słyszał.

– Jestem od niedawna chrześcijaninem. Musiałem się ukrywać z moją wiarą w domu Ammiana Marcellinusa, podżegacza wojennego, zdrajcy i poganina.

– Opowiedz o tym, proszę.

– O, panie, długo mógłbym mówić o bezecnościach tego poganina – zaczął Sylas, wskazując dłonią na swojego do niedawna przyjaciela. – Często w tym domu gościły kurwy, ale to nic. Zmuszony byłem do przepisywania pogańskich tekstów religijnych i filozoficznych, a wszyscy wiemy, że tylko chrześcijańscy filozofowie są ważni. Najgorsze jednak było to, że ów poganin Ammian kazał mi wyszukiwać po śmietniskach posągi dawnych bogów, czyścić je, przystrajać w kwiaty oraz oddawać im cześć.

– To bluźnierstwo! I brałeś w tym udział?

– Nie, nie zmuszał mnie... do tych bezecznych praktyk, ale w jego domu znajdowało się ponad sto takich posągów. Po aresztowaniu złoczyńcy dom przypadł mnie wedle wyroku cesarskiego majestatu.

– Sam ci go dałem! Kłamiesz! – krzyknął Ammian, wyprowadzony z równowagi.

O to właśnie chodziło Rufusowi.

– Biorę ciebie, dostojny Rufusie, oraz Boga na świadka, że dom jest mój w wyniku reskryptu cesarskiego wydanego w dniu aresztowania jego byłego właściciela.

Po tych słowach Ammian zrozumiał wszystko. Sylas musiał donosić wcześniej do gminy chrześcijańskiej, której był tajnym członkiem. Podobnie jak jego pan wiedział, że majątek zdrajców jest konfiskowany i prawdopodobnie już wcześniej wychodził sobie przekazanie mu domu. Darowizna Ammiana nie miała znaczenia.

– Co uczyniłeś z posągami demonów? – zapytał sędzia.

– Uczyniłem to, co nakazywało mi chrześcijańskie sumienie. Potłukłem wszystkie, gdy tylko to domostwo zaczęło mi się prawnie należeć. Śmieci

kazałem wyrzucić na śmietnik.

Ambroży spojrział na Ammiana, który poświęcił tyle czasu, żeby ocalić rzeźby. On sam nigdy nie ratowałby pogańskich artefaktów, ale zaczął rozumieć, że dla przyjaciela miały one znaczenie. Oskarżony przyjął słowa najbliższego współpracownika bez jednego słowa, choć wewnątrz bardzo cierpiał. To był koniec kultury, którą chciał ocalić. Sylas oddał się bez słowa. Zapewne żył jeszcze długo i szczęśliwie.

W końcu Rufus, syty zemsty i upokorzenia poganina, wydał wyrok. Taki sposób procedowania spraw o zdradę po rebelii Eugeniusza umożliwił dekret cesarza Teodozjusza. Wstał i powiedział do oskarżonego:

– Rezygnuję z przesłuchiwania ciebie, Ammianie Marcellinusi. Złożyłeś wyjaśnienia w toku postępowania w więzieniu. Jesteś winny zdrady stanu. Skazuję cię na karę śmierci. Jednak biorąc pod uwagę twoją nienaganną służbę przez lata dla armii cesarskiej oraz twoje niewątpliwe zasługi na rzecz rozwoju kultury, zarządzam zamiast ćwiartowania bądź ścięcia mieczem wypicie trucizny. Zostanie ci ona dostarczona przez kata w oznaczonym dniu w ciągu miesiąca od tej chwili.

Ammian przyjął wyrok bez słów. Tak bardzo były niepotrzebne.

\*

## *RZYM, WIĘZIENIE MAMERTYŃSKIE, MIESIĄC PÓŹNIEJ*

Ten miesiąc upłynął Ammianowi na zamykaniu ziemskich spraw i spokojnym oczekiwaniu na to, co nieuniknione. Nie składał apelacji od wyroku, który był polityczną hucpą, a nie sprawiedliwością. Zresztą jako aktywny uczestnik rebelii Eugeniusza nie mógł liczyć na łaskę.

Pewnego ranka, miesiąc po wyroku, naczelnik więzienia oznajmił Ammianowi, że jego śmierć nastąpi dziś.

– Czy będę cierpiał? – zapytał Ammian.

Naczelnik żałował historyka, ale wyrok zasądzony przez specjalny cesarski trybunał musiał zostać wykonany.

– Otrucie cykutą wydaje mi się bolesne, ale dodaliśmy do mieszanki stężony wywar z oleandra. Dowiedziałem się o tym z księgi medycznej niejakiego Dioskuridesa. Wywar jest stężony i osłodzony miodem, aby nie był przykry w smaku.

– Poślodziłeś dla mnie, naczelniku, truciznę, która odbierze mi życie. Jakie to miłe z twojej strony – odparł Ammian Marcellinus.

– Nie jesteś więźniem jak wszyscy. To się stanie w południe.

Była wczesna godzina.

– Mam więc jeszcze parę godzin.

– Nie więcej niż cztery – odparł naczelnik. – Jednak ktoś chce być przy tobie, Ammianie Marcellinusie, gdy przyjdę z kubkiem trucizny.

– Kto taki?

– Biskup Ambroży z Mediolanu. To tak wielka postać, że nie mogę mu odmówić, chyba że na twoją wyraźną prośbę.

Ammian w jakiś sposób ucieszył się, że jeden z przyjaciół, choć nie z jego świata, pragnie być przy nim w jego ostatnich chwilach.

– Dobrze – odparł cicho.

Jednak ostatnie godziny były trudne. Denerwował się. W jednej chwili znalazł się na krawędzi paniki, choć przecież zaglądał śmierci w oczy tyle razy na polu bitwy – czy z Persami, czy z Gotami. Teraz jednak nieuchronność spotkania z nią wytrąciła go zupełnie z równowagi. Minuty się dłużyły, a napięcie nie spadało. Wreszcie zgrzytnęły znów masywne drzwi do jego celi. Ammian drgnął, myśląc, że to naczelnik z trucizną, ale był to biskup Ambroży we własnej osobie. Nosił szary strój, zupełnie nie wyróżniając się spośród tych, którym przewodził.

– Czekałem na ciebie – rzekł Ammian. – Ciężko mi dzisiaj. Myślałem, że własna śmierć jest prosta jak kubek taniego wina, ale się myliłem.

Ambroży usiadł obok skazańca.

– Czeka cię dziś odpowiedź na wszystkie twoje pytania – oznajmił.

– Wiem, ale jakoś mało mnie to pociesza – odparł ironicznie Ammian.

– Jeśli myślisz, przyjacielu, że przyszedłem cię nawracać, jesteś w błędzie – powiedział Ambroży.

– Miło to słyszeć z twoich ust. Jesteś zatem pierwszym chrześcijaninem, który nie będzie nawracał poganina w obliczu śmierci.

– Nie wiem, czy jestem pierwszym, ale na pewno nieostatnim, który nie osądza, tylko towarzyszy przyjacielowi w ostatniej godzinie.

Ammian poczuł wdzięczność.

– Dziękuję. Myślałem, że kiedy do mnie przyjdiesz – mówił – odbędziemy ostatnią rozmowę filozoficzną na kształt *Fedona*.

Tekst Ambroży znał z łacińskiego tłumaczenia Lukana, dostępnego w bibliotekach cesarstwa.

– Śmierć Sokratesa była jedna i niepowtarzalna. On umierał niesłusznie oskarżony, ty przyznałeś się przecież do zarzutu zdrady Teodozjusza.

– Tak, zdradziłem go – odparł Ammian bez wahania. – I za to umrę. Przynajmniej jednak śmierć od trucizny łączy mnie z Sokratesem.

– Tak, choć okoliczności są zgoła inne – dodał Ambroży.

– I czasy parszywe, sam przyznasz.

– Rozumiem twoją krytykę chrześcijańskiego cesarstwa, choć nie podzielam jej. Nie widzę zagrożeń, które ty widzisz, Ammianie Marcellinusi – odparł Ambroży.

Rozmawiali tak swobodnie o wielu sprawach politycznych, społecznych i osobistych. Ammian wyraził żal, że tyle figur, które chciał ocalić dla potomności, zostało zniszczonych. Jego Rzym rzeczywiście umierał.

– Nie chcę przeżyć Rzymu – rzekł w końcu.

– Wiesz, ostatnio napisał do mnie Augustyn, którego miałeś okazję poznać w Mediolanie przed laty. Jest teraz księdzem w Kartaginie. Napisał mi, żebyśmy się nie martwili tym, że Rzym się kruszy. Opatrzność Boża gotuje nam coś innego, czego być może jeszcze nie ogarniamy. Może powstanie inna wspólnota obejmująca Rzymian i barbarzyńców, Greków, Persów i Egipcjan? Może będzie jednak chrześcijańska?

Ammian gorzko się uśmiechnął.

– Ktoś kiedyś tak do mnie mówił.

– Kto, jeśli można wiedzieć?

– Wulfila – odparł Ammian. – Ale jego marzenie go nie przeżyło. Wiem, że uważasz arianizm za ślepa uliczkę w rozwoju myśli chrześcijańskiej.

Znów nastąpiło milczenie. Ambroży po cichu modlił się do swego Boga, aby przyjął duszę skazańca, która odleci do niego dziś, choć on sam nie uznaje chrześcijaństwa. Wtem dały się słyszeć kroki. Otworzyły się drzwi i stanął w nich naczelnik więzienia mamertyńskiego z kubkiem trucizny. Ów letalny napitek był przykryty wieczkiem.

– Ammianie Marcellinusie, czy jesteś gotowy? – zapytał uprzejmie naczelnik.

– Całe życie jestem na to gotowy.

– Darujemy sobie komisję i biurokrację, ale muszę być obecny przy tym, kiedy wypijesz zawartość – oznajmił naczelnik.

Ammian kilka razy zrobił głęboki wdech i wydech. Dłoń mu lekko drżała.

– Niech będzie – powiedział cicho po grecku.

Wziął kubek od naczelnika, odsłonił wieczko i wypił zawartość. Trucizna na oleandrze jest gorzka, ale miód rzeczywiście nieco ją osłodził. Poczł ciepło. Oddychał ciężko.

– Najlepiej będzie, jeśli położysz się na pościeli – doradził naczelnik.

Ammian zrobił to. Oddychał spokojnie, ale przez pierwsze chwile nic się nie działo. Zaczęli znów rozmowę z Ambrozym o Augustynie i jego przyszłej wielkości. Po półgodzinie Ammian rzekł:

– Drętwieję.

Miskura była mocna i zrobiona tak, aby śmierć przyszła szybko. Ambroży ukląkł przy umierającym Ammianie i trzymał go za dłoń. Była spocona i zimna. Skazaniec jeszcze oddychał. Szeptał jakieś greckie słowa, niezrozumiałe dla biskupa, który cały czas oddawał Bogu tę duszę. Po jakimś czasie Ambroży i naczelnik więzienia zauważyli, że Ammian nie oddycha. Wyrok został wykonany. Zawinęli ciało w białe, lniane prześcieradło. Nad ranem pochowali Ammiana Marcellinusa na wzgórzu mamertyńskim, pod wielkim oleandrem, którego trujące soki zabrały go do krainy wiecznego snu.

# EPILOG

## *PONT, 405 ROK*

Nad Góry Pontyjskie znów nadciągnęła śnieżna burza. W powietrzu wirowały płatki śniegu, a Morze Czarne majaczyło w zamieci niczym wielki, nieposkromiony Lewiatan. Jan Chryzostom przez wiele dni miał wizje, w których jego dawny przyjaciel Ammian Marcellinus przychodził do niego i opowiadał mu dzieje jego życia. W końcu starzec silniej naciągnął ciepły wełniany koc na ramiona. W jego pustelni, miejscu wygnania, panowała cisza.

– Nie wierzę, że Ambroży z Mediolanu tak się z tobą pożegnał – rzekł w końcu do zjawy, która jak mu się wydawało, wciąż znajdowała się w pobliżu.

– Oczywiście, że nie wierzysz. – Zjawa zmaterializowała się w kącie chaty.

Jan Chryzostom nie dowierzał już temu, co widzi, a raczej temu, co wydawało mu się, że widzi.

– Nie wierzę, że to ty, Ammianie Marcellinusi! Byłeś poganinem, a tacy jak ty nie mogą doświadczać po śmierci łaski obcowania z żywymi. Tego mogą doświadczać tylko święci!

– Masz rację – odparła zjawa. – Jestem wytworem twojego umysłu. Używając chrześcijańskiej terminologii: jestem twoim wyrzutem sumienia. Jestem jak kolec z ostu lub róży, który boli, choć nie widzisz dokładnie, gdzie utkwiał.

– Nie pocieszasz mnie w mojej sytuacji – powiedział z wyrzutem w głosie Jan Chryzostom.

– Nie mam zamiaru polepszać ci nastroju – rzekła zjawa. – Obrażałbym twoją inteligencję, mówiąc ci rzeczy, które łechtałyby twoją pychę, patriarcho. Sam dobrze wiesz, ile tego było.

– Jestem grzesznikiem – oznajmił Jan Chryzostom.

– Rzekłeś prawdę – odparła zjawa. – Pycha, jesteś winny. Kłamstwo, jesteś winny. Nienawiść do Żydów i pogan, jesteś winny. Chrystus nie przyszedł, by siać nienawiść, a ty to robiłeś, prawda?

Cieężko było się przyznać do tych grzechów. Cierpiały duma, miłość własna, którą odczuwa każdy człowiek, niezależnie od tego, kim jest.

– Masz rację, jestem winny – odparł wygnany patriarcha.

Znów chwila milczenia.

– Chcę, żebyś mi powiedział, czy rzeczywiście jesteś duchem Ammiana Marcellinusa, mojego nauczyciela, który dał mi bardzo wiele, ale którego znienawidziłem, bo miał poglądy inne od moich.

– Popatrz w moją stronę. Od tylu dni opowiadam ci moje życie, a ty ciągle uciekasz wzrokiem – rzekła zjawa.

Jan Chryzostom spojrział. To naprawdę był Ammian Marcellinus – taki, jakim go zapamiętał. Te same rysy twarzy, ubiór, gesty i głos.

– Nigdy w tym życiu nie dowiesz się, czy to naprawdę ja. Jednak gdy umrzesz, wszystko stanie się jasne, proste i klarowne.

– Kiedy umrę?

– Tego się też ode mnie nie dowiesz. Musisz pokutować.

– Czyli tak mnie zostawiasz? Z wyrzutem sumienia?

– To najlepsze dla chrześcijanina odczuwać taki wyrzut. Oznacza, że masz sumienie. Pójdę już – odezwała się zjawa. – U nas jest wielu ciekawych ludzi, którzy żyli przed nami, i każdy ma coś ciekawego do powiedzenia.

– Idź, Ammianie Marcellinusi, i wybac mi – poprosił Jan Chryzostom.

– Ja nie mogę wybaczać, ponieważ nie mam ciała i jestem tylko wytworem twojej wyobraźni. Ty musisz sam sobie wybaczyć.

Zjawa rozpląnęła się w powietrzu. Jan Chryzostom czuł, że już nie wróci. Został sam. I zrozumiał, że wybaczenie sobie samemu jest najtrudniejsze.

# Przypisy

- [1] Jan Chryzostom tak naprawdę nie dotarł na miejsce zesłania, ponieważ zmarł z wycieńczenia po wygnaniu z Konstantynopola. Jednak w mojej powieści jego samotność nad Morzem Czarnym jest istotna z punktu widzenia dramaturgii.
- [2] Z gr. *chrysostomos* – złotousty.
- [3] Dziś: Trabzon w Turcji.
- [4] Jeden z tytułów Boga Jahwe.
- [5] *Tabula honestae missionis* (łac.) – oficjalny uroczysty dokument zwalniający żołnierza ze służby.
- [6] Nowa podstawowa moneta złota wprowadzona przez Konstantyna Wielkiego, ważyła 4,55 g.
- [7] August to tytuł cesarza wyższego rangą; cesarz podlega augustowi.
- [8] Z gr. Ἅγιοι Απόστολοι – *Agioli Apostoloi*.
- [9] Dziś: morze Marmara.
- [10] Sos o wyrazistym słonym smaku, przygotowywany ze sfermentowanych ryb.
- [11] Starorzymskie bazyliki nie miały sakralnego charakteru – pełniły funkcję hal targowo-sądowych.
- [12] *Auxilia* (l. mnoga od łac. *auxilium* – pomoc) – oddziały pomocnicze, złożone z nie-Rzymian na żołdzie cesarskim.
- [13] Z łac. granica – umocnienia na granicach rzymskiego imperium.
- [14] Dziś: Sremska Mitrovica w Serbii.
- [15] Z gr. *hypóstasis* – podstawa, istota.
- [16] Jeden z najważniejszych ojców wschodniego Kościoła.
- [17] Znany później jako Bazyli Wielki – jeden z ojców Kościoła.
- [18] Gaius Galerius Valerius Maximianus, cesarz panujący w latach 293-311 wespół z Dioklecjanem.



- [19] Rzymska miara objętości licząca około 0,545 litra.
- [20] Średniozamożna grupa społeczna.
- [21] Sanktuarium Mitry.
- [22] Bursztyn (łac. *amber*) to szczególnie ukochany kamień Rzymian.
- [23] Typ zbroi płytowej – na wyposażeniu legionów do końca III wieku.
- [24] Jednostka podziału administracyjnego w okresie późnego cesarstwa; diecezja była częścią prefektury, dzieliła się na prowincje.
- [25] Z łac. – warsztaty wykonujące na zamówienie uzbrojenie w IV wieku.
- [26] Tereny obecnej północnej Bułgarii i południowo-wschodniej Rumunii.
- [27] Król królów Ariów i nie-Ariów – oficjalna tytulatura perskiego władcy.
- [28] Dziś: Sofia w Bułgarii.
- [29] Dziś: Saloniki w Grecji.
- [30] Dziś: Nisz w Serbii.
- [31] To miejsce surowego monastycznego odosobnienia pochodzi od egipskiego miasta Sketis, gdzie tradycja ta została zapoczątkowana. Nazwa przeszła do greckiego jako *skíti* (σκήτη) – pustelnia, lub też *askitís* (ἀσκητής), co oznacza ascetę.
- [32] Pierwszy dzień miesiąca w kalendarzu rzymskim.
- [33] Z łac. – sprzymierzeńcy.
- [34] Majuskuła (łac. *maiuscula*) – wielka litera alfabetu.
- [35] Patrz: J 17, Biblia Tysiąclecia.
- [36] Dziś: Razgrad w Bułgarii.
- [37] Dziś: stanowisko archeologiczne ok. 4 km na wschód od Swisztow w Bułgarii.
- [38] Obszar na północ od Dunaju i na wschód od Renu, poza granicami cesarstwa.
- [39] Dziś: Tours we Francji.

- [40] Gwardia cesarska.
- [41] Dziś: Silistra w Bułgarii.
- [42] Z gr. *νοῦς*.
- [43] Z gr. *τουτέστιν ἐκ τῆς οὐσίας τοῦ Πατρός*; wymawiaj: tutestin ek tes usias tu patros – to jest z istoty Ojca (tłum. autora).
- [44] Z gr. *γεννηθέντα οὐ ποιηθέντα, ὁμοούσιον τῷ πατρί, δι' οὗ τὰ πάντα ἐγένετο, τὰ τε ἐν τῷ οὐρανῷ καὶ τὰ ἐν τῇ γῆ*; wymawiaj: gennethenta u poiethenta, homoision tu patri, di u ta panta egenento, ta te en tu urano, kai ta en te ge – zrodzony, a nie stworzony, współistotny Ojcu, a przez niego wszystko się wydarzyło, tak w niebie, jak też na ziemi (tłum. autora).
- [45] Z gr. *Οὐσία*.
- [46] Z łac. – kości zostały rzucone.
- [47] Współwładca Konstantyna Wielkiego.
- [48] W starożytnym Rzymie rodzinę tworzyły osoby podlegające władzy ojca rodziny; do tej grupy zaliczano też niewolników.
- [49] Z niem. *Alle Männer* – wszyscy mężczyźni, w znaczeniu wojownicy.
- [50] Dziś: Paryż we Francji.
- [51] Blacherny – dzielnica Konstantynopola.
- [52] Dziś: Diyarbakir w Turcji.
- [53] Dziś: Kurdystan.
- [54] Miliarium – rzymska miara powierzchni równa 1478 m<sup>2</sup>.
- [55] Starożytna nazwa Morza Kaspijskiego.
- [56] Dziełem tego starożytnego filozofa i historyka są *Żywoty i poglądy słynnych filozofów*.
- [57] Dziś: Edirne w Turcji.
- [58] Dziś: Płowdiw w Bułgarii.
- [59] Dziś: Sisak w Chorwacji.
- [60] Miasto dziś już nie istnieje, ruiny znajdują się nieopodal Maria Saal w Austrii.

- [61] Dziś: Salzburg w Austrii.
- [62] Dziś: Augsburg w Niemczech.
- [63] Z łac. – warunek konieczny.
- [64] Quadrantal – rzymska miara odpowiadająca 26,2 l.
- [65] Ofiara złożona z byków ku czci bogów.
- [66] 1 Kor 13, 11; Biblia Tysiąclecia.
- [67] Z łac. czyje dobro – reguła używana w sytuacjach wątpliwych, wskazująca, kto odnosi korzyść.
- [68] Wróżbici pochodzenia etruskiego.
- [69] Takimi słowami okoliczności śmierci cesarza Juliana opisał Ammian Marcellinus w swoich *Dziejach Rzymu*. Nikt nigdy nie zdołał potwierdzić (ani zaprzeczyć), że włócznię rzucił chrześcijański żołnierz rzymski, a nie Pers.
- [70] Z łac. – Morze Czarne (właśc. Morze Gościnne).
- [71] Dziś: Warna w Bułgarii.
- [72] Syna zmarłego Walentyniana.
- [73] Dziś: Windisch w Szwajcarii.
- [74] Z łac. Walens Gocki.
- [75] Dziś: Lyon we Francji.
- [76] Z łac. – czas ucieka, umyka.
- [77] Mt 7,16; Biblia Tysiąclecia.
- [78] Chodzi o stronnictwa cyrkowe, zajmujące się organizowaniem imprez na hipodromie.
- [79] Parabolanie – z gr. παραβάλλεσθαι τὴν ζωὴν – zajmujący się trudnymi rzeczami; rodzaj służby chrześcijańskiej, bojówek do walk ulicznych.
- [80] Dziś: Vienne w południowej Francji.
- [81] Dziś: York w Anglii.
- [82] Z łac. – na mocy samego faktu.
- [83] Łk 6, 37; Biblia Tysiąclecia.

**JUŻ W KSIĘGARNIACH**

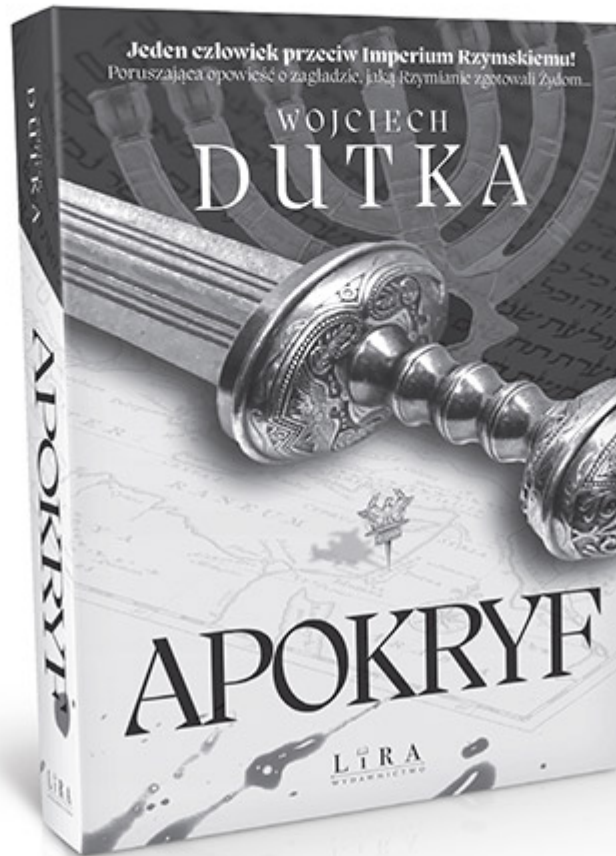


Burzliwe losy Antoniego Mokrzyckiego – hrabiego, dyplomaty i szpiega – ukazane na tle najważniejszych wydarzeń dwudziestowiecznej Polski i świata. Trzyczęściowy cykl Wojciecha Dutki to doskonałe połączenie powieści historycznej z literaturą sensacyjno-szpiegowską!

[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

**L i R A**  
WYDAWNICTWO

**JUŻ W KSIĘGARNIACH**



Przyjaciele z rzymskiego Eskwilinu: Rzymianin, Żyd i Grek już u progu dorosłości trafiają w wir dramatycznych wydarzeń, które zaważą na ich życiu... Wojciech Dutka mistrzowsko kreśli świat starożytny II wieku naszej ery, wciągając czytelnika w suspens powieści szkatułkowej.

[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

**L i R A**  
WYDAWNICTWO

**Imperium rzymskie, IV wiek. Po śmierci Konstantyna Wielkiego pokój w imperium nie trwa długo. W Konstantynopolu pojawia się młody Grek z Antiochii – Ammian Marcellinus, który wypełniając przyrzeczenie dane cesarzowi przez ojca, wstępuje do armii.**

Ammian pragnie opisać dzieje Rzymu od jego początków aż po czasy sobie współczesne. Staje się świadkiem szaleństw politycznych i namiętności religijnych, zacieklej walki między katolikami i arianami, potężnej wojny Rzymu i Persji. Na jego oczach rozgrywa się straszliwa bitwa z Gotami pod Adrianopolem w 378 roku, która zachwiała imperium. Bohater spotyka wielkie postaci historyczne, m.in. cesarzy – Konstancjusza II, Juliana Apostatę, Teodozjusza Wielkiego, ale też pogańskiego filozofa Libaniosa, zapomnianego geniusza biskupa Wulfilę, który przełożył Biblię na język gocki, a także wielkich Kościoła: Grzegorza z Nazjanzu oraz Ambrożego z Mediolanu.

Powieść jest epickim freskiem z IV wieku, z czasów, kiedy dokonywała się ogromna przemiana cywilizacyjna, która zachwiała Cesarstwem Rzymskim.

To także pasjonujące losy człowieka, który za wszelką cenę chciał tę cywilizację ocalić.



#### **Wojciech Dutka**

Urodzony w 1979 roku w Bielsku-Białej pisarz, nauczyciel i historyk. Człowiek spełniony. Jego największą pasją jest pisanie. Czuje się dobrze zarówno w powieści historycznej, jak i przygodowej czy sensacyjnej, ale z powodzeniem uprawia także kolaż tych gatunków. Autor wielu książek, w tym głośnej „Czerni i purpury”, „Kurier z Toledo”, „Kurier z Teheranu”, „Kurier z Tivoli”, „Apokryfu” czy „Snu o Głajwicz”.



[www.wydawnictwolira.pl](http://www.wydawnictwolira.pl)

**LIRA**  
WYDAWNICTWO

Patronat medialny:

[lubimy czytać.pl](http://lubimy czytać.pl)

ISBN: 978-83-67388-18-4



Cena: 44,99 zł  
(w tym 5% VAT)